

POGLĄD NA ŚWIAT

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY

WIEDZY, SZTUCE I FILOZOFII ŻYCIA

POD KIERUNKIEM LITERACKIM

W. M. KOZŁOWSKIEGO.

— —

Rok 1902.



KRAKÓW,

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1902.

Redaktor odpowiedzialny: *Jan Dutkiewicz.*

Wydawca: *W. M. Kosłowski.*

SPIS RZECZY.

Poezya i powieść.

	Str.		Str.
<i>Dzwon</i> przez D.	1	H. Heine. <i>Z podróży po Harzu</i>	
<i>Wyrok dziejów</i> przez D.	110	przekł. J. Stempkowskiej	241, 296
<i>Maryi Konopnickiej</i> przez A. Bandrowską	145	<i>Echa</i> przez L.	337
<i>Legenda o wielkim pokutniku</i> przez A. Niemojewskiego	166		

Krytyka i historia literatury.

<i>Belletrystyka nasza w r. 1901</i> przez P. Chmielowskiego	10	<i>Salomon polski XVII wieku</i> przez P. Chmielowskiego	204
<i>Historia w powieściach naszych</i> przez P. Chmielowskiego	62, 101	<i>Anglicy o współczesnej literaturze polskiej</i>	230
<i>Z krytyki i historii literatury</i> przez * * *	83	<i>Dwa światy</i> (« <i>Sprawa Dołęgi</i> », i « <i>Z minionych dni</i> ») przez M. Łopuszańską	249
<i>Typ kobiety współczesnej w najnowszej powieści polskiej</i> przez M. Łopuszańską	111	<i>Najnowsze poezye Kasprowicza</i> przez P. Chmielowskiego	386
<i>Motywa filozoficzne w poezyach M. Konopnickiej</i>	146		

Przeglądy naukowe.

<i>Teorya jonów i elektronów</i> przez St. Kramsztyka	24	<i>Nowe poglądy na powstawanie gatunków</i> (Teorya de Vries'a) przez J. Trzebińskiego	311, 355
<i>Elektryczność atmosferyczna w świetle najnowszych badań</i> przez St. Kramsztyka	198	<i>Przyczynki do słownictwa filozoficznego</i>	76, 131, 172, 229, 275, 316, 369, 450
<i>Zarys literatury socjologicznej</i> przez B. Limanowskiego	258, 299	<i>Prawda i wiedza</i> (Dyalog filozoficzny)	398
<i>Z literatury historycznej</i> przez H. Ułaszyña	277	<i>Lektura filozoficzna</i>	436

Artykuły publicystyczne i przeglądy życia współczesnego.

<i>Drogi postępu</i>	2	<i>Religia Ludzkości</i>	49
<i>Lornetki myślowe</i> (z życia Warszawy przez A. Niemojewskiego)	33	<i>Z Krakowa i Galicyi</i> (Wystawa sztuki stosow. — Wykłady P. Chmielowskiego. — Teatr)	79
<i>Z życia umysłowego Krakowa</i>	35		

	Str.
<i>Książki dla bogatych</i>	97
<i>Z Krakowa</i> (Pochód kumoszek na wolność słowa)	126
<i>Z Galicji.</i> (Nasza inteligencja) przez R. Zubera	168
<i>Słówko o charakterach narodowych</i> 193	
<i>Odstąpienie pomnika A. Comte'a.</i> (Korespondencja z Paryża)	222
<i>Ze świata.</i> (Katastrofa na Martinice; Kongres Federacji Regio-	

	Str.
nalistycznej; Ostatnia książka H. Spencera	267
<i>Estetycyzm współczesny</i>	289
<i>Dogmatyka egoizmu na polu międzynarodowem</i>	308
<i>Wykształcenie poczytkowe w Królestwie Pol.</i> przez T. Podlaskiego	319
<i>Jubileusz Maryi Konopnickiej</i>	340
<i>Rozmiary społeczeństwa i ich regulow.</i>	342
<i>Etyka w stosunkach międzynarodow.</i>	363

Nowe książki.

Büchner: <i>A Paurore du siècle.</i> E. Haeckel: <i>Les énigmes de l'Univers</i>	43
Drtina: <i>Ideály výchovy.—Ideály vychovawania</i> przekł. J. Rudzkiej	94
Letourneau: <i>La psycholog. ethnique</i>	95
E. Toulouse: <i>Le cerveau</i>	96
A. Niemojewski: <i>Familia</i>	137
— <i>Rokita</i>	184
<i>Książki dla wszystkich</i>	177
<i>Arcydzieła polskich i obcych pisarzy</i>	186
M. Zaruski: <i>Sonetny morskie</i>	188
A. Szyc: <i>O zadaniach psychologii dziecka</i>	188
Fr. Drtina: <i>Myšlenskovej vývoj evropského lidstva</i>	189
<i>Księga pamiątkowa na 25-lecie L. Cwiklińskiego</i>	189
<i>Biblioteka dla młodzieży</i>	233
Bouglé: <i>Les idées égaliitaires</i>	234
M. Wierzbński: <i>Akwarele angielskie</i>	234
A. Darowski: <i>Szkice historyczne</i>	234
T. Pini: <i>Nasza współczesna poezja</i>	284
<i>Książki dla wszystkich</i>	285

F. A. Hora: <i>Kapesni slovník česko-polski</i>	285
<i>Encyklopedia nauk społecznych</i>	285
K. Twardowski: <i>Zasadnicze pojęcia dydaktyki i logiki</i>	322
A. W. Saenger: <i>John Ruskin</i>	324
H. Ułaszyn: <i>O Janie Potockim i literaturze Kaukazu</i>	324
S. Rivière: <i>L'age de la pierre</i>	325
H. Mayer: <i>Le monde polynésien</i>	325
S. Zieliński: <i>Poezye, T. II</i>	326
W. Morris: <i>Więści z nikąd</i>	326
A. Garde: <i>Henryk Ibsen</i>	326
K. Woermann: <i>Czego nas uczyć dzieje sztuki?</i>	373
H. Struve: <i>Wstęp krytyczny do filozofii, wyd. 3-cie</i>	374
L. German: <i>Przegląd dziejów literatury powszechnej</i>	375
G. Daniłowski: <i>Poezye</i>	455
<i>Biblioteka klasyków greckich i rzymskich</i>	457

Przegląd czasopism	39, 90, 133, 179, 280, 327, 377
Z literatury i bibliografii obcej	88, 139, 235, 330
Korespondencja i czytelnikami	45, 140, 190, 236, 286, 381, 458
Kronika i nekrologia	46, 141, 191, 288, 382, 459

Odpowiedzi Redakcyi	46, 96, 142, 191, 239, 288, 335, 382, 459
Książki nadesłane	46, 143, 191, 287, 335, 383, 460
List otwarty	190



DZWON.

W dzień świąteczny, uroczysty, bije wielki dzwon,
Budzi w sercach zapal czysty, pragnień wiele on,
Budzi w duszach myśli szczytne, wzniosły stwarza czyn —
Ku wyżynom wiedzie chwały, ku zagładzie win.

Gdy uderzy serce z stali w dzwonu tego śpiż,
Myśl promienna się zapali jak ognisty krzyż;
Myśl gromowa w sercach wszystkich dźwięczny budzi ton,
Gdy kołysze się i huczy ten olbrzymi dzwon...

I po całym kraju bieży ta radosna wieść,
I we wszystkich piersiach szerzy ideałów cześć,
I rozbrzmiewa w każdym sercu jak echowa pieśń,
I otrząsa samolubstwa i gnuśności pleśń.

Lecz nie każda dzwon ten może rozkołysać dłoń:
Trzeba wielkiej siły ducha, by przystąpić doń,
A czystego serca trzeba, by mu wydrzeć głos —
I mężnego i czujnego na swych braci los...

Czasem wiele lat upłynie nim uderzy dzwon,
I dziejową niwę kryje zgrzybiałości szron;
Myśl daremnie się wysila, aby wydać czyn:
Nikt nie waży się poruszyć ciężkich dzwonu lin.

Stygnie wtedy każde serce, gaśnie zapal w niem;
Myśl drętwieje, wola krzepnie, duch śpi ciężkim snem,
Lepszych uczuć zdroj wysycha, wschodzi zbrodni siew
I musują pianą męty i kotłuje krew...

Lecz gdy myśl w polocie orlim skrzydłem trąci śpiż,
Zagrzmia jego dźwięczne tony i popłyną wzwyż —
Wtedy łowi je spragniony, czujny ludzki słuch
I w harmonią wielką splata — w pieśń budzącą duch.

Dalej bracia! złączmy siły i uderzmy w dzwon:
Może zabrzmie dla nas jeszcze uroczysty ton;
Wyciągnijmy wszystkie dłonie do tych grubych lin —
Może jeszcze nam wydzwonią jakiś wielki czyn!

D.

DROGI POSTĘPU.

Dwie są zasady, które leżą u podstawy wszelkiej organizacji społecznej: zasada *wolności* i zasada *braterstwa*.

Pierwsza dąży do wyzwolenia jednostki z wszelkich więzów niepotrzebnych; do zerwania wszelkich oplatających ją zobowiązań, których bezzasadność wykaże badanie poważne i bezstronne. Jest ona niejako siłą odpychającą w społeczeństwie, czynnikiem osłabiającym łączność jednostki z ogółem.

Zasada braterstwa jest przeciwnie siłą przyciągającą, czynnikiem utrzymującym łączność, cementem wiążącym jednostki w całość.

Zasada braterstwa nazwą swą wskazuje na wzór, według którego wyobrażamy ją sobie: wzorem tym jest rodzina, ów najmniejszy a zarazem najdokładniejszy pierwowzór wszelkiego uspołecznienia. Jeśli zastanowimy się nad tą najprostszą formą uspołecznienia, jeśli poddamy analizie, mianowicie to, co cechuje stosunek braterski, łatwo dostrzeżemy, że dwie cechy określają go: *równość* i *wspólność*. Słabszy czy silniejszy, zdolniejszy czy upośledzony, młodszy czy starszy — każdy z członków rodziny ma równą wartość w oczach pozostałych, jako jednostka do niej należąca. A wszystko, co stanowi własność materialną lub moralną rodziny: jej dorobek i jej honor, zaszczyt lub hańba, spadające na któregokolwiek bądź z jej członków, stanowią rzecz wspólną; każda radość członka jej spada na wszystkich, każdy smutek odczuwa się przez wszystkich.

Dla nadania społeczeństwu trwałości potrzebna jest pewna równowaga pomiędzy siłami przyciągania a odpychania, pewna

synteza zasad wolności i braterstwa, bez której byt społeczeństwa staje się nietrwałym. Wszakże typy społeczeństw z przewagą idei braterstwa, typy społeczeństw zbudowanych na wzór rodziny znamy tylko w okresach przedhistorycznych (np. gmina staroindyjska), lub jako częściowe objawy, ukryte u podwalin szerszych organizacyj (zadruga serbska). Wojny i zabory nieustannie w pierwszych fazach rozwoju społecznego powodują skupianie się mniejszych gromad w większe, odbywające się drogą przymusu. Pojedyncze gromadki nie spajają się w całość organiczną wewnętrzną siłą atrakcyi, lecz zostają skute i ściśnione zewnętrzną obręczą, trzymającą je razem. Obręcz ta niebawem staje się jedyną spójnią całości, niweczącą zarówno wolność jednostek jak i więzy braterstwa czyli wewnętrzną siłę spójności społecznej, które wydają się zbyt słabymi wobec ściskającego wszystko wiaźadła zewnętrznego. W ten sposób wytwarza się typ państw despotycznych wschodu starożytnego.

Wojny i zabory wspólne są pierwotnym stadiom wszystkich społeczeństw. Więc i tam nawet, gdzie nie doprowadzają do wytworzenia olbrzymich skupień pod władzą despotyczną, powodują organizacje typu wojskowego, oparte na przymusie zewnętrznym. Dlatego też pierwsze fazy rozwoju ku podniesieniu i uszlachetnieniu pożytku ludzkiego, jakie zastajemy w dziejach, przedstawiają się już jako walki o wyzwolone jednostki z pod ucisku zewnętrznego. Takie dążenie ku wyzwoleniu jednostki nazywa się wogóle *indywidualizmem*.

Indywidualizm prowadzi do zerwania ucisku zewnętrznego i w tem leży jego dobra strona, jego zasługa w dziejach emancypacji człowieka. Ale ponieważ społeczeństwa, które trzymały się tylko zewnętrzną obręczą przymusu, nie zdążyły rozwinąć odpowiednich zasad spójności, płynących z idei braterstwa, któreby przeciwdziałały rozprzegającej sile indywidualizmu, a nawet te ich zawiazki, jakie pierwotnie istniały, uległy zanikowi, przeto tryumf indywidualizmu rychło prowadzi do rozprężenia i upadku społeczeństwa. Daje się to widzieć w państwach greckich i w Rzymie.

Wyzwolenie jednostki w Grecyi odbywa się równolegle z rozwojem myśli filozoficznej, a szczytowym punktem krańcowego indywidualizmu jest epoka sofistów. Nauka, że «człowiek jest miarą rzeczy», stosowała się zarówno do poznania, jak i do zasad uspołecznienia, a «człowiek» w tym orzeczeniu pojmowany był nie ogólnie, lecz indywidualnie. Wszystko w ten sposób roz-

praszalo się w dowolność kaprysu: nie było ani poznania ogólnego — bo co dla jednego było prawdą, dla drugiego może być fałszem; ani piękna — bo jednemu podoba się to, drugiemu owo; ani żadnych przepisów ogólnych etyki lub prawa — bo każdy mógł być twórcą własnej etyki i prawodawcą swoim, nie oglądając się na innych.

Konsekwencye społecznie-polityczne z tej zasady Protagoras snuli Hypias, Trazymachos, a zwłaszcza Pollus. Uczył on, że prawa państwa sprzeczne są z prawami natury. Według prawa natury, człowiek silniejszy lub zdolniejszy, rozwija swoje zdolności i o władnąć może wszystkimi przedmiotami użytku na swoją korzyść, przewyciężając opór słabszych. Nie potrzebuje tłumić swoich namiętności ani apetytów: im więcej ich ma, tem lepiej dla niego, bo siła daje mu możność zadośćuczynienia im. Słabsi muszą mu się poddać. Taka jest sprawiedliwość w stanie natury. Lecz w społeczeństwie wszystko jest odwrócone. Większość wie, że należy do słabszych, i że jedyne zabezpieczenie ich dobrobytu polega na ustanowieniu praw i opinii, powściągających silnych. Biorą go więc za młodu, gdy umysł jego wrażliwy, i tresują, jak młode lwiątko; zapomocą nauki i wychowania wpajają mu zasady równości i umiarkowania. Taką więc jest sprawiedliwość społeczna: środek przeciwny naturze, która daje silnemu bezgraniczne prawo użycia. Lecz przy lada sposobności silny zrzuci te pęta, przelamie czarodziejskie koło opinii i zajmie to stanowisko władcy i pana, jakie mu natura przepisywała.

Taki jest wyraz dążności krańcowego indywidualizmu. Nie należy sądzić, iżby sofizmata te powstały w społeczeństwie nawskróś równościowem, jako protest przeciwko niwelacyi, jako aspiracye ku porządkowi społecznemu opartemu na hierarchii. Podobnie, jak dzisiejsze ich powtórzenia, są one tylko apologią rzeczywistości, próbą teoretycznego uzasadnienia istniejącej już nierówności, a zarazem usunięcia przeszkód ku dalszemu jej postępowi. W społeczeństwie greckiem bowiem, po wojnach perskich, wytworzyły się wielkie nierówności w uposażeniu; powstała klasa bogatych obywateli, a sofisci, pierwsi płatni nauczyciele złotej młodzieży¹⁾, wytwarzali teorye odzwierciedlające aspiracye i apetyty owej zamóżnej klasy.

¹⁾ Przed nimi filozofowie nigdy nie pobierali płacy za naukę; podobnież postępowali później Sokrates i Platon, który piętnuje chciwość sofistów.

Z tego zamętu grożącego rozprzężeniem oświacie i społeczności greckiej, a pośrednio także cywilizacji europejskiej, ocala ludzkość Sokrates, znamionujący nowy okres w rozwoju myśli starożytnej, okres znajdujący swój wyraz ostateczny i punkt szczytowy w nauce Chrystusa. Sokrates ratuje umysł z tej bezgranicznej chwiejności, z tego zapadnięcia się wszystkich punktów oparcia, zarówno w poznaniu, jak i w zakresie czynu, które było następstwem twierdzenia, że «człowiek jest miarą rzeczy», a ratuje go, nadając twierdzeniu temu znaczenie powszechne. Zamiast człowieka indywidualnego, podstawił *człowieka wogóle*, przyjmując przez to *równość wszystkich ludzi wobec wartości życiowych*: wobec prawdy i cnoty. Prawdą dla mnie i dla każdego jest to, co prawdą dla wszystkich; dobrem to — co dobrem dla wszystkich. W tej formie filozoficznej ukazała się po raz pierwszy w dziejach ludzkości idea równości obywatelskiej, idea, która wszakże odniosła zwycięstwo nad światem dopiero wtedy, gdy przez Chrystusa ogłoszona została w formie religijnej, jako *równość wobec Boga*. Nie powinniśmy się więc dziwić, że Sokratesa na równi z Chrystusem skazano na śmierć i to pod oskarżeniem zbliżonem, a mianowicie, że jest bezbożny i psuje młodzież.

Stulecia upłynęły wszakże zanim myśl Sokratesa wydała owoce na polu społecznem. Kielkować poczęła dopiero w nauce stoików. Tymczasem Plato, uczeń jego, rozumiał, że indywidualizm prowadzi do zguby państwa greckie, a do rozkładu cywilizacją helleńską. Dostrzegł, że ratunku szukać należy w zasadzie przeciwniej, w zasadzie *uspołecznienia*, będącej wyrazem idei braterstwa. Tę to zasadę obrał za podstawę dla ideału *Rzeczypospolitej*, który nakreślił i kilkakrotnie przeprowadzić usiłował w Syrakuzach, narażając swoją wolność i życie. Z dwóch wszakże składników zasady braterstwa, uwzględnił Plato tylko jeden — *wspólność*. Przepisał *wspólność mienia i dóbr wszelkich* tej najwyższej warstwie obywateli, która tworzyć miała klasę rządzącą; nie zaprowadził wszakże braterskiej równości pomiędzy nią a pozostałymi dwoma (klasami przemysłowo-handlową i urzędniczo-wojskową), a nie rozszerzył nawet na nie zasady *wspólności*. Nie wznosił się też ponad stanowisko walk narodowościowych ku idei kosmopolitycznej braterstwa ludów, skoro zachował klasę wojowników.

Ideal ten więc był bardzo niedoskonały, a rzeczywistość życia greckiego nie poszła wytkniętą przez Platona drogą, lecz rozwijała się w kierunku indywidualizmu, który obrał za podstawę

swego planu państwowego Zeno. Ten kierunek rychło doprowadził państwa greckie do upadku politycznego i do utraty niepodległości.

Tą samą drogą odbywał się i rozwój państwa rzymskiego, które odziedziczyło spuściznę idejową Grecyi. A chociaż dzięki militarystyce urosło do rozmiarów kolosalnych i przez jakiś czas utrzymywało się sztucznie, stoczone wszakże wewnętrzną niemocą, rozpaść się musiało w gruzy pod pierwszym naciskiem.

Daremnie stoicyzm usiłował odrodzić upadające wskutek wyłączeni indywidualizmu społeczeństwo starożytne, wszczepiając w nie jeden z czynników zasady braterstwa — równość i walcząc z niewolnictwem, które było rakiem toczącym owo społeczeństwo. Zasady jego, jako filozoficzne, dostępne były tylko dla wyżyn umysłowych, dla najlepszych jednostek. Dopiero chrześcijaństwo spopularyzowało tę myśl odradzającą ludzkość, nadając jej formę religii; ale też stanęło ono w krańcowej sprzeczności z indywidualistyczną budową państw starożytnych i przyczyniło się do jej ostatecznego upadku.

Idealem społecznym Chrystusa i najbliższych uczniów jego było społeczeństwo oparte na czystej zasadzie braterstwa. Według tego ideału utworzone były pierwsze gminy chrześcijańskie, w których równość zupełna członków połączona była z wspólnością dóbr. Ale w chrześcijaństwie historycznym zatracił się zupełnie pierwiastek wspólności, pod wpływem przystosowania się do indywidualistycznych instytucyj i tradycyj starożytności; natomiast równość w postaci najpowszechniejszej, jako równość wobec Boga, stała się czynnikiem podstawowym w dalszym rozwoju cywilizacji. Już w samej nauce Chrystusa wyzwolona z ciasnoty nacjonalizmu i wyobrażeń o «narodzie wybranym», wchłania ona pierwiastki kosmopolityczne, wyrobione przez cywilizację rzymską, a przez to staje się dźwignią postępu powszechnego.

I drugą stroną swojej nauki zwiastował Chrystus panowanie idei braterstwa: przyszedł on, jak sam twierdził, po to, by znieść «Zakon», a wszczepić na jego miejsce miłość. To znaczy, zastąpić żelazny pierścień przymusu zewnętrznego, nakazu surowego prawa, przez atrakcyjną siłę, wiążącą jednostki w całość.

Chrześcijaństwo wszakże urzędowe i w stosunku do tej idei staje w częściowym rozdzwieku z nauką Chrystusa, wprowadzając naśladującą władze cywilne, hierarchią kościelną. Przeciwno takiemu «spoganieniu» chrześcijaństwa, występuje szereg

reformatorów, jak albigojezycy, Wiklif, Huss, domagający się równości pod postacią prawa wszystkich do kapłaństwa czyli «czaszy dla ludu». Niektórzy (jak taborycy, anabaptyści) wprowadzają także i pierwiastek wspólności dóbr. Z niesłychanym okrucieństwem tłumione i zatopione w krwi swoich wyznawców, ruchy te przechowują tradycją idei braterstwa, tkwiącą w chrześcijaństwie pierwotnem, która niebawem znajduje zastosowanie polityczno-społeczne, wywołując szereg powstań włościańskich (w Anglii i we Francji w XIV wieku; w Niemczech «wojny chłopskie» w XVI wieku) odbywających się pod hasłami równości obywatelskiej, a ściśle związanych z ruchem reformatorsko-religijnym¹⁾. Ruchy mieszczańskie po części wiążą się z włościańskimi (w Niemczech) po części zaś (we Francji), reprezentują tradycją republikańską państw starożytnych — pogląd na władzę, jako na służbę publiczną, przeciwstawny feudalistycznemu, który widział w niej przywilej.

Oba te czynniki przygotowują więc żywioly, z których syntezy powstanie Rewolucya francuska. Tymczasem stłumione zostają przez feudalizm, który wszakże głęboko podkopały. Niebawem też na jego gruzach wyrasta absolutyzm.

Obręcz żelazna przymusu zewnętrznego ścisła znowu społeczeństwa europejskie, spajając je w wielkie państwa. Znowu więc siły wyzwolenicze zaczynają przeciwdziałać temu ciśnieniu pod hasłami indywidualizmu.

Wszakże walka indywidualizmu z państwowością przybiera w Europie nowożytnej formy inne, niż w państwach starożytnych. Idea równości, dzięki chrześcijaństwu, stała się już dorobkiem cywilizacyjnym powszechnym. Ten składnik idei braterstwa wchodzi w syntezę z indywidualizmem, wytwarzając ideał państwa republikańsko-demokratycznego, stanowiący myśl przewodnią Rewolucyi. Dzięki tej syntezie stała się płodną dla życia politycznego świata zachodniego.

Wśród społeczeństw nowożytnych jedno było, które do naj-

¹⁾ «Chcemy, ażebyś nas uwolnił nazawsze, nas i nasze ziemie, abyśmy nigdy nie byli uważani za chłopów (villeins) lub tak nazywani» — takie żądanie wystawili włościanie powstający, Ryszardowi II. w Anglii. Król przyrzekł, ale nie dotrzymał. O wiele dalej sięgały żądania włościan w Niemczech; były między nimi i takie, jak «pokój wieczysty dla całego chrześcijaństwa»; nie mniej i w kierunku wspólności — żądanie, aby zwierzyzna, lasy i sianożęcia były wolne i służyły wspólnemu użytkowi.

wyższego szczytu doprowadziło indywidualizm w urzędzeniach państwowych. Była to Rzeczpospolita polska — reprezentująca wolność, doprowadzoną często do samowoli, bez równości. Ten indywidualizm zaprowadził ją na brzeg przepaści wcześniej niż wybiła godzina syntezy, która rozpoczęła się przeto w chwili nieslychanie trudnej.

Teraz dwie drogi otwarły się przed cywilizacją współczesną — dziś już nie europejską, lecz zachodnią — bo obejmującą całą półkulę zachodnią. Jedną jest wyrugowanie zupełne czynników braterskich i zepchnięcie tej cywilizacji w przepaść, która pochłonęła państwa starożytne. Tę wytyka jej *indywidualizm* wyłączny, powstający na demokrację i ideę równości; uważający wszelkie związki społeczne za wędzidła narzucone niepotrzebnie jednostce, słowem powtarzający naukę Pollusa. Drugą drogą jest dalszy postęp w kierunku syntezy, rozpoczętej przez pracę idejową XVIII stulecia, a wcieloną w życie przez Rewolucją francuską: wchłonięcie do jej wytworu — społeczności nowożytnej — pozostałych pierwiastków idei braterstwa; urzeczywistnienie ostateczne ideału naszkicowanego przez Chrystusa. Jest to droga w kierunku *uspołecznienia* państwa dzisiejszego; droga ku stopniowemu zniesieniu «zakonu», a zastąpieniu go przez spójność wewnętrzną społeczności.

Przez cały wiek XIX dwa wymienione prądy walczyły z sobą, przelamując się wzajemnie, łącząc się ze składnikami przeciwnymi, niejasne i nieświadome dążności swoich własnych oraz pokrewnych żywiołów w rozmaitych objawach życia, myśli i czynu. Nic też pozytywnego nie stworzył wiek XIX w dziedzinie instytucyj; nic takiego, coby stanowczo znamionowało postęp w jednym lub w drugim kierunku. Ale oto na początku XX stulecia jasno stają przed nami obie drogi. Którą z nich obierze postęp dziejowy? Takie zagadnienie staje przed badaczem dziejów. Dla człowieka czynu atoli, któremu drogie są zdobycze cywilizacji, nie może być wątpliwości, jaką ma obrać.

BELLETRYSTYKA NASZA W ROKU ZESZŁYM.

Rok ubiegły nie dał nam tak znakomitych i rozgłośnych utworów jak *Krzyżacy* albo *Ludzie bezdomni*; żaden z pierwszorzędnych powieściopisarzy naszych nie obdarzył nas większem dziełem, zaledwie drobnymi obrazkami i nowellami się zadawałając; w liryce nie pojawiło się również nic bardzo wybitnego i świeżego; tylko dramat do pewnego przynajmniej stopnia wykazuje, jeżeli nie skończone dzieła sztuki, to żywe dążenia do podniesienia i udoskonalenia tej formy twórczości.

Zacznijmy od poetów i dramatyków zarazem. Tu siłą swego *Wesela* wybił się na pierwszy plan Stanisław Wyspiański. Nie nazwę go «wielkim poetą», któregośmy długo oczekiwali, nie nazwę go bezpośrednim spadkobiercą Mickiewicza i Słowackiego, gdyż okazałbym się niesprawiedliwym względem tych, co pomiędzy nim a tamtymi działali, torując drogę następcom; ale niepodobna nie uznać w autorze *Warszawianki*, *Legionu* i *Wesela* wyobraźni plastycznej tak bogatej i żywotnej, jakiej żaden ze współczesnych nie posiada, niepodobna nie widzieć w jego dziełach pomysłów genialnych, jakiemiby nie wzgardzili najwięksi nawet, niepodobna wreszcie nie stwierdzić, że bóle i cierpienia narodu bierze «w pierś swą magnetycznie», nie poprzestając na samym artyzmie, na samem fantazyowaniu. Szukał on drogi swojej przez lat wiele, niektóre temata już mu przed laty mniej więcej dziesięciu zjawiały się w wyobraźni, ale nie śpieszył się z ich obrobieniem i dopiero wówczas gdy uczuł, że już się należyte ukształtowały w głębi jego duszy, nadal im kształt artystyczny. I w dobieganiu tego kształtu odbywał jeszcze próby: zapatrywał się to na wizye Maeterlinkowskie, to na plastyczne obrazy tragedji greckiej, aż w końcu wytworzył sobie własną formę, w której można wprawdzie wyróżnić i wykazać pierwiastki składowe, lecz która jako całość jest istotną jego zdobyczą. A forma ta jest różna, daleka od maniery, w każdym dziele inna. Dość tylko zestawic ze sobą: *Protesilasa i Laodamię* z *Warszawianką*, z *Klątwą*, z *Legionem*, z *Weselem*, ażeby się o tem przekonać. Idee, głoszone przez Wyspiańskiego nie są nowe; pojęcie tragiczności również; ale sytuacje, wynikające ze starcia się potęg, przeważnie we-

wewnętrznych, są własnością poety niepodzielną, a tak niekiedy wielką, że wprawia w zdumienie. I poemata jego, będące jakoby rozwinięciem *Króla-Ducha*, ale rozwinięciem samoistnem, bez niewolniczej zależności, poemata, wydane p. t.: *Bolesław Śmiały* i *Kazimierz Wielki*, lubo nie dorównywiają najlepszym dramatom, stanowią w każdym razie świetne próby epiczne. Gdyby miał większe staranie o czystość i poprawność polszczyzny, którą szpeci dziwaczными konstrukcjami, i gdyby myśl jego jaśniejszą a zarazem głębszą się stała, możnaby po jego wyobraźni arcydzieł się spodziewać.

I Kazimierz Tetmajer wrócił w roku zeszłym do dramatu. Ogłosiwszy przed laty *Sfinksa* w duchu Maeterlincka, obecnie dał nam nową fantazyę dramatyczną p. t.: *Zawisza Czarny*, gdzie po części Hauptmannowskie odzywiają się echa, a po części oddziaływanie mistycznej idei Slowackiego o winie duchowej. Obrazy życia wiejskiego, części liryczne są tu niewątpliwie najlepsze, gdyż zarówno psychologii osób działających, jak układowi wiele zarzucić można, a przedewszystkiem zauważyć potrzeba, że postać rycerza sławnego nietylko w Polsce, ale i wśród obcych, nie porywa, nie unosi, a czasem poprostu w gniew wprawia, nie dorastając tej miary, jaką mu nadała tradycja. Być może, iż wybór chwili, w której go nam poeta przedstawił, nie był szczęśliwy, a że na tytule widnieje napis: część I-sza, wolno się spodziewać nowego wcielenia bohaterstwa i rycerskości Zawiszy Czarnego. — Z tych czasów, kiedy ludzie chodzili w zbroje zakuci, przynosi nas powieść Tetmajera p. t.: *Panna Mery* na woskowane posadzki dzisiejszych salonów plutokratycznych, malując jeden głównie charakter kobiety o niezmiernie bujnym temperamencie, nadzwyczaj żywej wyobraźni, próżnej, ambitnej i samowolnej, wciąż świadomej swoich uczuć i lubiącej je analizować. Pokochała artystę-muzyka, niedwuznacznie przyrzekła zostać jego żoną, ale gdy jego opera upadła, usłuchała podszeptu próżności, zdeptała uczucie i wyszła za zrujnowanego hrabiego, sportsmena, «blyszczącą cholewę». Uczucie powróciło, gdy muzyk, przecierpiawszy katusze, wyrwany niemal z objęć śmierci, stał się sławnym na obu półkulach, lecz wówczas on niem wzgardził, a pani Mery, jakby spełniając przekleństwo rzucone przez Gustawa z IV-ej części *Dziadów*, w apatycznym osłupieniu, zabawiała się złotem i klejnotami w skrytce swego pustego palacu — zapewne nie długo, bo

ją prawdopodobnie pociągnie nowa miłość ku innemu artyście. Szkoda, że poeta nie ma dowcipu na zawołanie; przydałby mu się on bardzo w tej powieści, gdzie rozmowy dowcipne a zręczne były niezbędnym czynnikiem, jeśli się chciało przedstawić dobrze stosunki salonowe, zwłaszcza wobec takiego charakteru, jak Mery. — Oprócz tych dwu większych utworów, Tetmajer zebrał w jeden tomik dawniej pisane poezye, dotyczące spraw narodowych, wolne od pesymizmu, przeniknięte myślą budzenia otuchy i odwagi. Tomik ten ma tytuł: *Hasła*.

Andrzej Niemojewski obficie zasilił literaturę naszą w roku zeszłym; prócz drobnych szkiców, ogłosił dwa obszernie dramata: *Familia* i *Rokita* oraz prozą pisane poemaciki, związane ze sobą jedną złotą nicią idei, p. t.: *Legendy*. Dwa dramata różnią się od siebie zupełnie nie tylko treścią, ale i sposobem wykonania. *Familia* jest pełnym grozy obrazem realistycznym stosunków wiejskich, *Rokita* jest poematem symbolicznym, w którym duchy i ludzie służą ku uwydatnieniu myśli o wiecznym, niezmordowanym, lubo zawodów i bólów pełnem dążeniu do światła i szczęścia. Siła i jędrność, znamionujące poezye Niemojewskiego wogóle, znajdują się także i w jego dramatach, więcej wszelako w *Familii*, aniżeli w *Rokicie*, gdzie pewna niejasność, rozwiewność pomysłu (nie wiadomo dlaczego bojownik światła i szczęścia ma być synem Złego) wpłynęła także i na samo jego wcielenie. Miększy ton, zgodnie z charakterem ewangelicznym nastroju, panuje w *Legendach*, które są u nas w tej formie zjawiskiem zupełnie nowem w literaturze, bo tylko stroną zewnętrzną przypominają wieki średnie, zamilowane w cudowności, gdy wewnątrz jest zupełnie nowożytnie z zabarwieniem humanitarnem i idealistycznym.

Jan Kasprowicz dał kilka pieśni *Ginącemu światu*. Są one i nastrojem i formą odmienne od tych, jakie dawniej autor pisywał; zyskały sobie rozgłos znaczny; niektóre z nich ogłoszono za arcydzieła. Uznając niezmierną głębię uczucia, jakie w nie włożył Kasprowicz, podniosłość tonu niezwykłą w naszych czasach, mnóstwo świetnie przedstawionych obrazów, nie mogę się zgodzić na to, ażeby forma w nich obrana, prawie przestająca być artystyczną, miała nadzwyczajne zalety. Hymn nie może być zbyt długim, jeżeli niema znużyć; naprężenie uczucia nie może trwać ciągle, jeśli się niema stać przykrem i przejść w nieczułość; miara jest konieczną w artyzmie, bo bez niej samo pojęcie

artyzmu zginać musi. Otóż pieśni Kasprowicza, o których mówię, grzeszą przeciwko tym zasadom, nie zadawalają poczucia estetycznego jako całość, choć w poszczególnych częściach zdumiewają siłą i głęboością.

Po tych pieśniach najwłaściwiej będzie wspomnieć o ich wielbicielu Stanisławie Przybyszewskim. Wydał on w roku zeszłym dwie dalsze części swojego *Homo Sapiens* t. j. *Po drodze* i *W Malstromie*, a nadto dwa dramata p. n.: *Taniec miłości i śmierci*. Ponieważ w czasopiśmie niniejszem była już obszerniejsza ocena powieści *Po drodze*, a ja się z nią całkowicie zgadzam, powiem tedy tylko słówko o trzeciej części trylogii: *W Malstromie*, gdzie wedle ostrzeżenia samego autora (w wydaniu niemieckiem) mieści się myśl jego istotna. Rzeczywiście Eryk Falk, bohater trylogii, zostaje tu napiętnowany jako szubrawiec i sam do tego przekonania przychodzi. Całe opowiadanie jest właściwie opisem udręczeń tego bezczelnego sofisty, a zarazem prób, jakie przebiegły jego umysł z zanikłem sumieniem podejmuje, by jeżeli nie wobec siebie, to wobec innych za coś wyższego jeszcze uchodzić. Możliwy przyjąć takie przedstawienie rzeczy z uznaniem, gdyby Czernski, występujący, zdaje się, w roli samego autora, nie był również chorobliwym megalomanem, otrząsającym się niby ze wszelkich pęt, nie chcącym działać wspólnie z jakimkolwiek stronnictwem, lecz polegającym jedynie i wyłącznie na sobie samym. Po utracie wszelkich ideałów, pozostało mu jeszcze pojęcie ludzkości jakiejś abstrakcyjnej, w imię której i dla której działać warto. Jest to pojęcie tak niejasne, tak nieokreślone, że o niem, a więc i o jego przedstawicielu, ani źle, ani dobrze mówić niepodobna. W dramatach swoich, wybornie pod względem scenicznym zbudowanych, Przybyszewski jest zupełnie jasnym i z ogólnego stanowiska etycznego wolnym od zarzutów, jakie mu z powodu jego powieści i teorii zrobić można. Grzech każdy mści się; nie daje spokoju przestępcy, wydobywa na jaw wszystko, cośmy starannie ukryć usilowali, wywołuje męki sumienia, które odrzucić jako stary przesąd napróżno staraliśmy się, i w końcu popycha ku unicestwieniu. Płciowy stosunek jest tu wyłącznym tematem, a że on ukazuje się już, nie jak zwykle u francuskich dramatyków w kształcie znanego trójkąta małżeńskiego, lecz w kształcie prawidlowego wieloboku; ponieważ wszystkie zewnętrzne okoliczności, zakrywające dla oczu ohydę tego stosunku, zostały pominięte, a ludzie przemienili się w sily żywiołowe, — dramata sprawiają

wrażenie ogromne; wielu zaś słuchaczy, trawiących spokojnie francuskie farsy lubieżne, wpada w nieuzasadnione tym razem oburzenie w imię moralności, w imię godności kobiet polskich i t. p. Nie przeczę, ujawnione zostały sprawy drażliwe w sposób drastyczny; ale pomawiać autora w tym razie o dążność niemoralną, kiedy on chciał tylko naturalne wyniki «grzechu» we właściwy sobie silny sposób ujawnić, nie jest rzeczą ani sprawiedliwą, ani rozważną, bo odbiera autorowi wiarę w to, czy opinia potrafi rozróżnić dobre od złego, czy jest w niej trafny sprawdzian oceny.

Wiele interesujących stron życia z doby najnowszej wśród naszej «inteligencji», przejmującej chciwie «nowe prądy» nakreśliła Zofia Wójcicka w dwu swoich dramatach: *Dyletanci* i *Psyche*. Znać na nich wpływy obce, lecz z wielką domieszką właściwości indywidualnych samej autorki, wkładającej w analizę stanów psychicznych dużo serdecznego, głębokiego uczucia.

Autorem trzech dramatów jest znany powieściopisarz i publicysta, Wilhelm Feldman. *Sądy Boże*, *Cudotwórca*, *Czyste ręce* — oto ich tytuły. O *Cudotwórcy* była w tem piśmie szczegółowa wzmianka, słusznie uwydatniająca zalety obserwacji i budowy. O dwu innych też samo powiedzieć można. Stanowią one bolesną analizę ujemnych stron naszego społeczeństwa w dziedzinie szacherek i nadużyć ekonomiczno-finansowych, paczenia się i łamania charakterów, zanikania sumień, byle tylko żyć wystawnie, byle nasycić namiętności. *Sądy Boże* podobnie jak *Cudotwórca*, wzięte są z życia żydowskiego, które autor zna tak dobrze i umie odtwarzać bez wpadania w niesmaczną karykaturę. Styl jędrny, żywy, dzielnie pomaga do uwydatnienia treści pełnej interesu.

Tadeusz Konczyński, autor *Otchłani* dał w roku zeszłym nowy dramat p. t.: *Kajetan Orug*. Choć na tle ekonomicznem się rozwija, dotyczy on właściwie duszy. Orug był marzycielem, poetą; do pracy przemysłowej zabrał się dla zyskania pozycji, któraby mu umożliwiła otrzymanie ręki panny z domu obywatelskiego, wielce pyszniącego się koligacyami; gdy stał się bogatym, trzymano go w rezerwie, mając nadzieję, że jaki utytułowany arystokrata się oświadczy; panna kochała Oruga, ale przyzwyczajona do zbytku, nie rozumiała życia bez wielkiego majątku, przytem wrodzona kokieteria nie dozwalała jej całem sercem pokochać. Orug poznawszy się na nieuczciwych intrygach, zmierzył sobie i pannę; zwątpił o uczciwości i szlachetności wszyst-

kich, zabił w sobie nawet litość, chciał jedynie wrócić do swych marzeń dawniejszych. Czy zdoła?... Wadą dramatu zasadniczą jest nieokreśloność «idei» Oruga, którejby się chciał poświęcić; czytelnik nie wie, czy ma przed sobą fantastę, czy też męża naprawę wielkimi myślami przepelnionego. Przytem i wykonanie w kilku ważnych sytuacjach jest wadliwe; tak że *Kajetan Orug* nie wywiera takiego wrażenia jak *Otchłań*. — Konczyński jest także autorem analizy psychologicznej p. t.: *Śladem tęsknoty*, przedstawiającej stosunek refleksyjnego poety do miłości; popęd twórczy zwycięża w nim uczucia, obudzone przez dziewczę pełne naiwnego powabu.

Zbiorki *poezyj lirycznych*, a raczej refleksyjno-lirycznych, gdyż przesiąknięcie uczucia myślą jest dziś powszechnym objawem, były w roku zeszłym mniej liczne, aniżeli w poprzednim, chociaż w czasopismach pojawiało się ich niemało. Na wyróżnienie zasługują tu najprzód *Sny o potędze* Leopolda Staffa, dlatego głównie, że wśród chóru skarg na chorobę, na niemoc woli, znajdujemy w nich przynajmniej *dążenie* do wyrobienia w sobie hartu, do zwalczania słabości, zwątpień, apatyi. Są to wprawdzie porywy dopiero, a może nawet porywy czysto frazeologiczne (jakby o tem można było wnioskować z kilku ustępów, a zwłaszcza z niefortunnego pod względem wyrażenia wiersza naczelnego), ale nawet taki przejaw wśród najmłodszego pokolenia poetów, musimy uważać za dodatni, za pożądany. Złudzeń co do owej potęgi woli nie brak poecie, nie brak nawet sofisteryi, kiedy powiada, że kto wszechmoc swoją nazewnątrz wywiera, ten chyba nie jest jej pewny; wśród dzisiejszego atoli chaosu pojęć byłoby może nadmiernym wymaganiem, by młodzieniec mógł go sobie we wczesnej dobie uporządkować, kiedy nawet doświadczeni błędzą poomacku.

Więcej rozważli i umiarkowania, więcej nawet zewnętrznej, formalnej doskonałości, ale mniej polotu okazują *Poezye* Józefa Wiśniowskiego, które już były oceniane w tem piśmie (r. 1901, str. 225, 226). Nie porwą one i nie zachwycają, ale nie wywołują też protestów rozumu i uczucia, a niekiedy powabem i prostotą znęca czytelnika. Życie nasunie autorowi niewątpliwie temata poważniejsze i wywoła głębsze zastanowienie nad zjawiskami, by sięgnąć aż do ich istoty.

Cierpienia biednych ludzi, przytłaczanych stosunkami miasta fabrycznego serdecznie odczuł i poprostu bez sadzenia się na wykuint formy przedstawił Artur Głisczyński w zbiorze poezyj p. t.: *Z mroku i dymu*. Wiersz wstępny p. n.: *Artysta*, bardzo

trafnie i z uczuciem maluje położenie poety, zmuszonego do pracy zarobkowej wśród stukotu maszyn, pośród ludzi depczących się wzajemnie w pogoni za groszem, wobec nędzy bezradnej, wobec tych «tradycyj miejskich», co wypełniają połowę tomu, a przedstawiają stosunki łódzkie.

O poemacie Gustawa Daniłowskiego *Na wyspie*, wzmiankuję tylko, odsyłając czytelnika do rozbioru pomieszczonego dawniej w tem piśmie.

Jakże się od tych poezyj jaskrawo odcinają samolubne, cyniczne wiersze Kazimierza Lewandowskiego, ogłoszone pod znamienym napisem *Lais*, przypominającym heterę helleńską i w życiu i w poezji rozgłosną. Autor ma niewątpliwie talent, pisze zręcznie i ujmująco, ale brak mu poczucia etycznego.

Wzruszenia erotyczne, pomieszane z wrażeniami, jakie daje przyroda tatrzańska wypełniają zbiorek *Poezji* Edmunda Biedera, zdradzający zbyt często naśladowanie Tetmajera albo Rydla, choć tu i ówdzie przebija się w nim nieśmiało jakiś rysik indywidualny, który może z czasem zmęźnieje.

Na rubieży między poezją a prozą mieszcza się *Utwory* zinarłego w 20-tym roku życia Witolda Gozdawy Godlewskiego. Była to dusza rwąca się do życia, spragniona go wbrew wszelkim pesymizmom, wynosząca je ponad wszystko z upojeniem, która nie pozwalała prawie młodzieńcowi widzieć, iż życie bez treści wypełniającej je, jest mrzonką. Oszołomiony hasłami indywidualistycznymi, marzył o «nadczołowieczeństwie», przeczył istnieniu prawdy i nieprawdy, dobra i zła; przeczył obowiązkom wspólnym dla wszystkich ludzi, chciał się wyłamać z pod ogólnych «praw obyczajowo-towarzyskich», bo istnieje tylko «świat duszy inny i odrębny u każdego», a więc ma się też rządzić odrębnymi prawami. Niebawem atoli zaczął się przekonywać, że owe dusze odrębne, puszczone samopas bez żadnego hamulca, domagające się dla siebie praw odrębnych, stają się katami innych dusz i katami samych siebie. Przerzucał się z jednego nastroju w drugi, nie mogąc znaleźć rozwiązania dręczących duszę młodzieńczą zagadnień, rwąc się do życia, a nie wiedząc, dokąd, w jaką stronę i jakimi drogami iść najlepiej. Był szczerym i wszystkie swe omamienia otwarcie składał w swe pieśni i opowiadania.

Na teźże rubieży, ale w zupełnie innym charakterze występują pisma Jerzego Orwicza (pseudonim kobiety). Miękką, serdeczną uczuciowość, wielkie poszanowanie dla form towarzy-

skich, pomimo dążności postępowych, zamilowanie w kreśleniu drobiazgów i drobiażdzków życia powszedniego, patetyczność umiarkowana i skromność wyrazów, prawie odrazu zdradzają tajemnicę pseudonimu. Autorka wydała najprzód gawędę wierszowaną z życia ludu wiejskiego p. t.: *Bartłomiej Słomka*, potem obrazek sielski z życia szlacheckiego p. t.: *Wśród rodzinnych gniazd* i zbiorok opowiadań p. t.: *Okruchy życia*. Radość życia nie przelewa się tu rwąciami potokami, ale płynie spokojną strugą. Z usposobienia i przekonania autorka woli jasne niż ciemne barwy, woli kreślić objawy zadowolenia niż zgryzoty, chociaż i tych nie unika. Nad stylem musi jeszcze dużo popracować, zanim zostanie jego władczynią.

Prozą, lecz prozą poetycką, przypominającą nieco Chateaubrianda, tylko bez jego patosu, napisał Feliks Habdank «studjum» swoje p. t.: *Azaryasz*. Jest to jakby wielka *przypowieść* o wyższości życia czynnego nad kontemplacyjnym, o wyższości uczucia nad rozumem, o konieczności idei ofiary, poświęcenia, jednym słowem wprowadzenia w czyn tych pięknych i wzniosłych zasad, jakie od wieków słyszymy wygłaszane, a tak rzadko wypełniane. Koloryt wschodni stylu, bardzo zresztą umiarkowany, nadaje opowieści dużo powagi i dużo powabu.

Przechodząc do autorów piszących wyłącznie prozą, najprzód złożyć należy hold zmarłemu Sewerowi (Ignacemu Maciejowskiemu), który w zeszłym roku wydał zbiorok nowel p. t.: *Legenda*, a w czasopiśmie pomieścił to *Kartki z podróży*, to obrazek *W lesie*. O wszystkich niemal utworach tego, pogodnie na świat, lubo zły, patrzącego optymisty, możnaby powiedzieć tak, jak on zatytułował jeden ze swych tomów, że są to «obrazki malowane w słońcu». Nawet przedstawiając ciemne strony życia i jego dramatyczne przejścia, nie pozbył się Sewer uśmiechu, nie zaniedbując złemu przeciwstawić dobrego, mizantropii — ukochania ludzi; pesymistycznym wybuchom — nadziei polepszenia doli. Za przykład dobitny może posłużyć opowiadanie, kreślące uroczo dobroczynny wpływ nauczycielki wiejskiej, którą bardzo rychło otacza egzaltowana niemal miłość wioski całej, upatrujące w nauczycielce zesłankę niebios. Z tą cudną sielanką proszę zestawić opowiadanie Jana Świerka p. t.: *Z szarej przędzy*, z tego samego wątku wysnute, wcale nie pesymistyczne, a jednak o ileż smutniejsze, a nawet boleśniejsze. Tamto jest poemacik prozą pisany, to rysunek realistyczny, z dłuższej obserwacji, a może i własnego

doświadczenia poczerpnięty; tamto obrazek w słońcu malowany, to fotografia robiona w dzień dżdżysty.

Najznakomitszą powieścią zeszloroczną jest *Sprawa Dołęgi* Józefa Weysenhoffa. Autor *Żywota Podfilipskiego* jest powieściopisarzem nawskróś współczesnym, chociaż bynajmniej nie «modernistą». Zna on doskonale tych estetów życiowych, co wyczuwają każdy, by najdrobniejszy dysonans, rażący ich miłość własną, ale nie chcą, a może nawet nie umieją przejąć się cudzemi cierpieniami, choćby najdolegliwszemi. Zna wybornie wadliwy stan dusz, dobrych w gruncie, lecz strasznie zależnych od wrażeń chwilowych, na które natychmiastowo reagują, niezdolne do osiągnięcia stałej równowagi zasad, przekonań, charakteru. Zna także tych poliszynelów frazesu, którym się zdaje, że wszystko: myśl, uczucie, czyn, można zastąpić gimnastyką słowa, jeżeli nie na pożytek bliźnich — bo o ten nie dbają — to na własną chlubę i chwałę. Modernistą atoli nie jest, jeśli przez modernizm rozumieć będziemy przeczulenie wrażliwości, uważane za przymiot najwyższy, a pocztywanie niezdolności do czynu za cechę duszy wysoko rozwiniętej. Owszem Weysenhoff ceni bardzo rozum zdrowy, uczucie proste i szczere, pożyteczną działalność, charakter silny. Bohaterem w *Sprawie Dołęgi* zrobił — o zgrozo! — szlachetnego inżyniera, a wydrwił dowcipnie snującego się wśród arystokracji dekadenta malarza, który fioletowe irysy rysuje na żółtem tle, nie dlatego zapewne, że tak to odczuwał, ale dlatego chyba, że widział to na nowych afiszach francuskich. Arystokracja nietylko już taka jak Podfilipski, ale rzetelna, stara, przedstawia się i w *Sprawie Dołęgi* bardzo smutnie, bo brak jej inicjatywy, a gdy popchnięta zzewnątrz wejdzie na drogę działania, to zamiast robić dobrze bodaj rzeczy małego zakresu, wypływa zaraz na wielkie wody polityki i zachowuje się z dystynkcyą wprawdzie, lecz głupio, bez najmniejszego pożytku dla kraju. Wśród mieszczaństwa wyróżnił autor jedną dzielną postać, nie bez wad i śmiesznośtek osobistych, ale rozumną, ofiarną, wiedzącą czego chce i dokąd dąży. Jako całość *Sprawa Dołęgi* nie jest tak jednolitą jak *Żywot Podfilipskiego*, nie posiada tyle finezyi, lecz zawiera widoki rozleglejsze, zarysy charakterów silniejsze i różnorodniejsze, a sposobem wykonania dowodzi, że autor nie popadł w maniery, jest różnostronnym.

Jeżeli wrażeniem mierzyć będziemy wartość utworów, to uczuciem gorącym, polotem młodej wyobraźni, atmosferą pełną

szlachetnych pierwiastków, odznaczające się *Podniebie* Edwarda Paszkowskiego zdobyćby sobie powinno miejsce najpierwsze. Oddawna nie czytałem książki tak żywo, tak silnie, i tak bezpośrednio przemawiającej do serca, przejętego idealami społecznymi, jak ta, po młodzieńczemu napisana, słaba w kompozycji, nieudatna często w wyrażeniu, grupowaniu i myśli, jak ta *Kronika czwartego pietra*. A nie robi tego autor w sposób dawny, rozlewający obficie wody rzewności, lecz przeciwnie, uczuciowość jest tu bardzo powściągliwa, udaje raczej gniew, niezadowolenie, a nawet oburzenie, tylko że przejawia się wśród takich warunków, iż czytelnik łatwo się domyśla ukrytego usposobienia osób i tem silniej je odczuwa, im one zewnątrznie, powierzchownie wydają się szorstkimi i oburkliwymi. Paszkowski znajdował się widocznie wśród tego grona zapaleńców, co się poczytywali za bardzo trzeźwych i logicznie myśl każdą rozsnuwających, podzielał serdecznie ich zamiary, dzielił z nimi ich radości i smutki, i po kilku latach, kiedy się gromadka owa z *Podniebia* w różne strony świata rozproszyła, serdeczną myślą ulatywał na owe gwarne zebrania, na których więcej było napomknień, aniżeli programów i odtworzył je duszą kochającą a mimowoli idealizującą wszystkie szczegóły, zrosłe z dobą szczęśliwej, bo żywej i życiem napelnionej młodości. Żadna faza duchowego naszego rozwoju w ostatnich trzydziestu latach nie doczekała się tak miłego, tak sympatycznego, a tak prawdziwego pamiętnika, jak ten paroletni okres istnienia pierwotnego «Głosu» w Warszawie. Jest to niezawodnem świadectwem, że okres ten działał płodnie, bo prócz rozumu miał za wodza serce, przejęte nie samolubnymi żądzami, nie rafinowaniem własnych wzruszeń, lecz dobrem ogółu, nawet z pewnem poświęceniem osobistych poglądów teoretycznych. Szczęśliwy, kto z czasów swojej młodości wyniósł taki zapas miłych wspomnień, bo chociaż w owem gronie nie brakowało charakterów i zdarzeń ujemnej natury, to przecież ogół ich był zacny.

Nie wyniósł takiego zapasu Stanisław Pytliński, autor powieści p. t.: *Koledzy*, lecz nie stracił wiary w żywotność całego pokolenia. Choć kreśli bardzo bolesne stosunki, nie myśli uderzać w ton rozpaczny, a złe, dostrzegane wśród ludzi, i to najbliższych, z którymi wiele przecierpiał i wiele przemyślał, nie pogrążą go w nastrój pesymistyczny, bo dostrzega także i objawy dodatnie, świadczące, że wytwarzanie dobra wśród narodu nie wyczerpało się bynajmniej. Wątek do swej opowieści zaczerpnął z własnych,

niezbyt pewnych wspomnień uniwersyteckich, kiedy wśród ogółu inteligentnego i w piśmiennictwie «społecznictwo» było żarliwie wyznawanem. Co do czasu zatem opisywanego, zbliżał się autor *Kolegów* do autora *Kroniki czwartego pietra*, ale nie bierze ruchu owego tak szeroko, ścieśnia go owszem do szczuplejszych, niemal całkiem prywatnych rozmiarów. Tchnienie atoli społeczne przenika wszystkie karty książki i wytwarza pewną swoistą atmosferę duchową, którą oddychają osobistości przez autora odrysowane. Pod względem opanowania materiału zaobserwowanego czuć rękę swobodną, umiejącą strun różnych dotykać, bez wywołania zgrzytliwych dysonansów; takiej atoli suggestyjności uczuciowej, jak u Paszkowskiego w *Podniebiu* tutaj nie znajdujemy.

Stronę społeczną zupełnie pomija, choć częściowo także studentów maluje Alfred Konar w *Pannach*. Konar od lat wielu znany jest z rodzajowego w literaturze malarstwa; najlepiej podobno poznał i najtrafniej kreśli sylwetki scenki z tego życia drobnomieszczańskiego, w którym ciągle kłopoty pieniężne walczą o lepsze z pragnieniem ubierania się elegancko i zadawania szyku. *Siostry Malinowskie* dały nam obrazy tej tragikomedii szykownego wyglądu, uprzejmości towarzyskiej z jednej strony, a z drugiej głodzenia się, swarów i niesnasek rodzinnych, wśród których podobne charaktery wytrwać mogą całe lat szeregi, a żywsze i kapryśniejsze marnują się czy łamią. *Panny*, to jakby dalszy ciąg owej powieści w dwu znowu głównych postaciach: potulnej i zrezygnowanej Helci, żwawej, dowcipnej, uamiętnej Kazi; pierwsza doczekała się pogodnego, otuchę w religii (bez bigoteryi) czerpiącego staropanieństwa, druga przechodziła z rąk do rąk, trula się, została wreszcie damą do towarzystwa głupszej od siebie, ordynarnej, ale sprytniej ladacznicy. Główną wadą tego utworu jest najprzód nieokreśloność czasu, w którym rzecz się dzieje, bo pewne początkowe wskazówki przenoszą nas w lata t. zw. «pozytywizmu warszawskiego», ale tuż obok są inne znacznie późniejsze. Ta nieokreśloność oddziaływała i na bezbarwność tego życia młodości męskiej i żeńskiej, jakie w przeważnej części powieści poznajemy; autor bowiem nie mógł życia tego silniejszymi rysami naznaczyć, nie uświadomiwszy sobie należycie fazy rozwojowej, z którejby czerpać mógł materiał. Psychologia Kazi mianowicie, kiedy się znajduje w gabinecie z panami, jest bardzo wadliwą i psuje całą postać, która w innych ustępach bardzo szczęśliwie pomyślaną i wykonaną nazwać się może. Kompozycya jest nie-

zmiernie luźna, nie tylko dlatego, że osnowa ciągnie się lata całe z nagłymi przeskokami ale i dlatego także, iż weszły do niej osobistości zgoła do akcji niepotrzebne (większa część pensjonatu p. Latoszkiewiczowej). Najpiękniejszymi są energiczne przemowy Kazi (do literata i w szpitalu), oraz obrazki cichej, zrezygnowanej, marnej egzystencji.

O autorach starszego pokolenia rozpisywać się nie będę; ich zalety i wady są dobrze znane i już niejednokrotnie nawet na tem miejscu były przeze mnie wykazywane; powiem tedy krótko, że Eliza Orzeszkowa ogłosiła nowy zbiorek przesłicznych obrazków i nowel p. t.: *Chwile*; Cecylia Walewska dała nową analizę psychologiczną, stan umysłowości kobiecej społecznej przedstawiającą p. t.: *Bez duszy*; Antoni Sygietyński zebrał w jednym tomie dawniej pisane *Drobiazgi*, pomiędzy którymi błyszczy jak brylant *Skalotocz - Palczak*; Adam Krechowicki z werwą odmalował sceny z czasów Jadwigi i Jagiellły p. t.: *Fiat lux*, a z czasów Michała Korybuta p. t.: *Sława* (trzeci epizod z opowiadania *O tron*); Artur Gruszecki z właściwą sobie trafnością obserwacji narysował sceny, jakie widzieć można *Na wyszcigach* w Warszawie, rujnujących obywateli, którzy zamiast myśleć o ulepszeniach gospodarskich, ubiegają się z magnatami i przemysłowcami o nader zawodne nagrody.

Przechodzę do debiutantów i debiutantek, których liczba jest dosyć znaczna, a co ważniejsza i pod względem jakości niepoślednia.

Tu najprzód należy wymienić nazwisko L. J a h o ł k o w s k i e j - K o s z u t s k i e j, która w rodzaju pamiętnika p. t.: *Z teki wrażeń*, okazała niemały talent pisarski i myśl do pewnego stopnia już wyrobioną. Ale że o niej była już mowa w «Poglądzie na świat» (r. 1901, str. 16, 17), poprzestaję na tej wzmiance.

A. S u s z c z y ń s k a ogłosiła powieść p. t.: *Przekonana*. Autorka należy widocznie do najmłodszego pokolenia, które przekształciło nie tylko powieść wogóle, ale i specjalny jej odcień, powieść psychologiczną, na obrazowanie stanu istot, dotkniętych neurastenią, nie umiających ani na chwilę dojść do równowagi wewnętrznej. Kiedy istoty takie rozmyślają, to im w wywodach logicznych wciąż przeszkadzają uczucia, czy raczej co chwilowe wrażenia; a gdy coś odczuwają, to im się zdaje, że rozwinięta w nich zdolność do analizy nie pozwala im czuć całą pełnią duszy, wątpią o rzeczywistości i rzetelności swoich wzruszeń, męczą się tem

saniem i zamęczają innych, co mają nieszczęście wejść z nimi w bliższe stosunki; same nie doznają szczęścia i dać go nie mogą innym. Jedną z takich istot w osobie Elli przedstawiła Suszczyńska w *Przekonanej*, podając szereg jej listów pisanych do siostry. Najpiękniejszemi, bo najsilniej odczutemi są ostatnie zwierzenia, kiedy Ella długo, bardzo długo żywi nadzieję, iż jej ukochany przyjdzie; a nawet dowiedziawszy się o jego jakiejś bardzo dalekiej podróży, jeszcze mniema, że podróż ta spowodowana koniecznością rychło się skończy, a ona obaczy swego Stanisława. A potem chwile rozpaczy, gdy się nadzieja rozwiła. Te kartki pod względem działania na uczuciowość czytelnika, pod względem siły wywoływania wizyj tragicznych są przepyszne i mało znajdują sobie równych w naszej belletrystyce kobiecej. Całość silnie wraża się w duszę; nie daje ukojenia, lecz przejmującym wyrazem bólu i rozpaczy przemawia do serca.

Spokojniejszy, bardziej codzienny obrazek nakreśliła Michałina Domańska w swojej *Brzydkiej*. Zamożna panna, wychowana na wsi, nieładna, nie miała od dzieciństwa zamiłowania do stroju, zabawy, a gdy na pierwszym balu w sąsiedztwie posłyszała przypadkiem, iż starać się o nią będzie młodzieniec dla jej posagu, choć ze wstrętem dla jej brzydoty, cierpi mocno, pogrąża się w apatyi, nie widzi celu życia. Cel ten wskazuje pannie niemłody już sąsiad, radząc, żeby się zajęła uczeniem dzieci i leczeniem chorych na wsi. Zawód w miłości znowu odbiera Józefie ochotę do pracy i znowu ów sąsiad budzi ją do działania, tym razem zadawalając i jej uczucia, gdyż pokochawszy w niej nie twarz, lecz «duszę», bierze ją za żonę. Osnowa opowiadania nie odznacza się pomysłowością, ale kilka scen odmalowała autorka żywo, charakterystycznie, dobrym, poprawnym językiem.

N. Bardzka w swoim *Utopiście* chciała odmalować człowieka, który mając sporo pieniędzy, dużo czasu a żadnych stronnych obowiązków, postanowił podnieść dobrobyt wieśniaków. Kupuje wioskę, urządza ją wzorowo, dba o zdrowie i oświatę ludu. Sama autorka osłabia nieco wrażenie, jakie mogłaby wywołać działalność jego obywatelska, nazywając go utopistą; lubo w zakończeniu stara się udowodnić, że dobry jego przykład pociąga za sobą innych, dotychczas lekko traktujących życie; wszelako to wszystko, co autorka przedstawia, wydaje się wziętem nie z rzeczywistości, lecz z fantazyi. Rzecz wykonana została dawnym

powieściopisarским trybem, dydaktyzm i opisowość dużo tu zajmuje miejsca.

Jan Augustynowicz, autor *Księdza Prota*, gdzie okazał dużo bystrości obserwacyjnej, kreśląc postaci mało dotychczas u nas z tej strony rozpatrywane, zebrał dawniejsze i nowsze swoje opowiadania i obrazki, wydając je p. t.: *Pociągnięcia pędzlem*.

Są tu rzeczy bardzo młodocianem piórem rysowane, zdradzające na każdym niemal kroku naśladowanie to Adama Szymańskiego, to Wacława Sieroszewskiego, to Sienkiewicza; są także i rzeczy oryginalniejsze, z pewną siłą albo subtelnością kreślone. Może się przyda autorowi przestroga, iż krajobrazy i stosunki dalekie, których autor sam nie widział, o których jeno słyszał i czytał, lepiej, bezpieczniej nawet jest podawać w formie opowieści cudzej, subiektywnej, aniżeli w kształtach przedmiotowych, przez samego autora gwarantowanych. Praca nad czystością języka, nad wyrzuceniem niewłaściwych, obcych zwrotów, byłaby również pożądaną.

Stefan Krzywoszewski, który przed dwoma laty ogłosił w Warszawie zbiór nowel p. t.: *W walce życiowej*, dał w roku zeszłym dwie powieści: *Zmierzch* i *Pani Jula*. Pierwsza z nich przedstawia stosunki towarzyskie i moralne w kraju, druga w Paryżu, ale wśród polaków; pierwsza maluje bardziej stronę zewnętrzną, druga psychologiczną. Zwyrrodnienie etyczne i w pierwszej i w drugiej główną odgrywa rolę. Osłabienie nie tylko zasad moralnych, ale życia rodzinnego wogóle pod hasłem wyzwolenia z więzów tradycyi, oddziało z gubnie na pojęcia i usposobienia kobiet, zatarło w ich duszach, albo całkiem z nich wymazało wyrzuty sumienia, a użycie za jedyny drogowskaz podało. Styl autora jest giętki i zręczny, ale raczej publicystyczny niż artystyczny.

Bardzo podobne stosunki, tylko na rozleglejszą skalę odtworzył Jan Sielski w opowiadaniu p. t.: *W pół drogi*. Jesteśmy tu wśród artystów muzyków polskich, zamieszkałych w Paryżu i przywykłych już do trójkąta małżeńskiego przy najlepszej naporów wzajemnej przyjaźni mężczyzn. Zetknięcie się z temi trującymi miazmatami duszy świeżej, naiwnej, ufnej, działa straszliwie. Autor pod względem czysto pisarskim jest panem materiału, kreśli swe postaci i sytuacje ręką swobodną, stylem jasnym, prostym, nie ubiegającym się za wykwintami, ale wyrażającym wybornie to, co miało być wyrażonem.

Smutne, przykre bolesne sceny z życia szlachty zbankruto-

wanej skreślił publicysta znany z prac różnorodnych na polu etnografii i krytyki artystycznej Kazimierz Strzelbicki w opowiadaniu p. t.: *Blichtr*. Zdaje się, że i jemu jak i jego bohaterowi snują się w *wyobraźni* żywe figury, ale gdy przychodzi utrwalić je zapomocą słowa pisanego, nagle sztywnieją, że nie powiem, martwieją. Parę scenek nakreślił z życiem, lecz tam, gdzie zamierzał wprowadzić postaci oryginalne, wygłaszające jakieś nowe hasła, czy nowe paradoksy, zabrakło mu werwy i wyrazistości.

Zakończę to sprawozdanie wzmianką o powieści, napisanej przez księdza, lecz wolnej od zapachu zakrystyi. Mówię tu o *Esterze X. Bolesława* (Bronisława) *Maryańskiego*. Jest w niej rzeczywisty talent powieściopisarski, niewyrobyiony jeszcze, posługujący się niekiedy szablonowemi figurami, nie zawsze umiejący motywować czyny swoich osobistości, ale posiadający dużo plastyki, dużo żwawości i władający piórem dzielnie. Za temat posłużyła autorowi opowieść biblijna o Esterze i Hamanie, o niewoli żydów w państwie medo-perskiem za Ahaszwerosza, którego autor utożsamia z Cyaksaresem. Odczytanie w literaturze odnoszącej się do historii żydowskiej, asyryjsko-babilońskiej i medo-perskiej, znajomość języka hebrajskiego, zamiłowanie do muzyki, pozwoliło talentowi X. Maryańskiego osnuć na owem tle opowiadanie zajmujące, w wielu ustępach bardzo żywotne (nawet na dzisiaj), niekiedy powabne.

P. Chmielowski.

Z POSTĘPÓW PRZYRODOZNAWSTWA.

TEORYA JONÓW I ELEKTRONÓW.

Słownik wyrazów naukowych coraz się mnoży, bezustannie bowiem przybywają nowe pojęcia i rzeczy nowe. Z pomiędzy całego tłumu tych wyrazów dorabianych, często potrzebnych, ale niekiedy też zbytecznych, niektóre dorastają szczególnej potęgi, zyskują rozgłos powszechny, nabierają znaczenia doniosłego, jakby w nich streszczało się najwybitniejsze zadanie ponownej doby w rozwoju nauki. Całe okresy jej dziejów możnaby tytułować wyrazami takimi, jak ciężenie Newtona, gaz Van-Helmonta, energia Rankine'a. Obecnie w ten sposób nad poziom powszedni wynurza się «jon»; rozpostarł się w całych działach chemii i fizyki,

przenika do fizjologii a budzi zaciekanie wszystkich, których sprawy nauki obchodzą. Poświęcimy mu chwilę uwagi, choć obraz nasz pobieżnymi rysami jedynie szkicować tu możemy.

Jon nie jest to zresztą bynajmniej termin zupełnie nowy; wprowadził go Faraday 1834 r. w siódmej seryi pamiętnych swych badań elektrycznych: *Experimental Researches in Electricity*. Zdumiewający ten człowiek, z pośród samouków najgenialniejszy, a z eksperymentatorów największy, również obficie, jak doświadczenia, rozrzucał i pomysły, które dotąd naukę użyźniają i stały się dla niej wytycznymi. Z pomysłów Faradaya wyrosła teoria elektromagnetyczna światła i wiążąca się z nią teraz teoria jonów. Jony owe zrodziły się z elektrolizy, dlatego wypada nam do tego ich początku sięgnąć.

Chemia związała się wcześniej z elektrycznością, już bowiem w 1800 r., gdy zatem ledwie stos galwaniczny zbudowany został, i gdy sama chemia ledwie co na pewnych fundamentach zdołała się ugruntować, dostrzegł Carlisle, że pod działaniem prądu galwanicznego woda ulega rozkładowi na gazowe swe pierwiastki, przyczem tlen gromadzi się przy biegunie dodatnim stosu, wodór zaś przy ujemnym. W tymże samym jeszcze roku poznano, że i inne ciecze podobnemu ulegają losowi, a roztwory soli rozrywają się pod działaniem prądu na kwasy i zasady. Ze szczególnem zwłaszcza powodzeniem prowadził badania te Humphrey Davy, a potęgę chemiczną galwanizmu wykazał w sposób uderzający, gdy w r. 1807, działaniem stosu ze stu ogniów zbudowanego, zdołał rozłożyć potaż i sodę, a w roku następnym nadto barytę i wapno, wydobywając utajone w nich, nieznanne jeszcze metale. Stos galwaniczny stał się odtąd łącznikiem między fizyką a chemią; starą gałąź wiedzy zespolił z latoroślą nową. Elektryczność i powinowactwo chemiczne nie mogły już istnieć w pojęciach, jako objawy odrębne, jako zgola różne między sobą siły natury; należało im przyznać pewną wspólność. Rozumiał to więc Davy w ten sposób, że przyciągania elektryczne i chemiczne przez jedną powodowane są przyczynę, która wszakże w pierwszym razie działa między masami całemi, a w drugim między ich atomami tylko. Pogląd ten wydał się wówczas dosyć zadawalniającym, by zjednać autorowi wielką nagrodę instytutu francuskiego, ustanowioną przez Napoleona za najlepsze doświadczenia z pływem galwanicznym.

Trudniejszą jeszcze do rozstrzygnięcia zagadkę nastęrczała

osobliwa wędrówka pierwiastków i w ogólności ciał, wydzielających się pod wpływem rozkładu elektrolitycznego. Gdy prąd galwaniczny przez wodę przebiega, tlen i wodór nie wywiązują się na całym jego przebiegu, ale każdy z tych gazów skupia się oddzielnie, u właściwego sobie bieguna, jeden zdala od drugiego. Wydawało się to zgoła niezrozumiałem, ale już w r. 1805 zadawalniające wyjaśnienie podał Grotthius. Według tłumaczenia tego cząstki wody pod wpływem prądu galwanicznego układają się, porządkują, obracają i rozrywają tak, że atomy wodoru dążą do pociągającego je bieguna ujemnego, atomy zaś tlenu do dodatniego, ale w biegu tym napotykają się nawzajem, chwytają i łączą znowu w cząsteczki wody; oswobodzić się więc mogą krańcowe tylko atomy całego szeregu cząsteczek, a proces ten wciąż się powtarza, dopóki prąd przebiega. Toż samo dzieje się z rozkładem innych substancyj; wędrówka części składowych jest pozorna tylko, albo raczej jest to proces wewnętrzny, utajony, którego rezultaty jedynie dostrzedz się dają na krańcach.

Pierwotne pomysły Davy'ego i Grotthusa stały się podstawą dalszych teoryj elektrochemicznych, które musiały się naginać do coraz większej obfitości i zawilosci faktów poznawanych. Berzelius powiązał ściśle dwoistość elektryczności z dualizmem związków chemicznych i rozdzielił ogół pierwiastków na dwie kategorie, na pierwiastki *elektro-dodatnie* i *elektro-ujemne*, jakby jedne w stanie wolnym posiadać miały swobodny ładunek dodatni, drugie zaś ujemny; łączenia się i rozkłady chemiczne można było według tego pojmować, jako następstwa przyciągań elektrycznych, tem łatwiej, że Berzelius różnym pierwiastkom, albo raczej ich atomom, przypisywał niejednakie ładunki elektryczne, a od wielkości takiego ładunku zależy dzielność chemiczna. Berzeliusowi szło wszakże głównie o uzasadnienie dualizmu w całym obszarze chemii, a poglądów swoich nie starał się bynajmniej poprzeć pomiarami elektrycznymi, dlatego też z jego teoryi elektrochemicznej niewiele ocalało, gdy Faraday działania elektryczne i chemiczne ilościowo ze sobą zestawil. Przekonał się wtedy, że gdy woda poddana zostaje wpływowi prądu galwanicznego, to ilość jej ulegająca rozkładowi jest zawsze proporcjonalna do ilości elektryczności przepływającej; gdy zaś porównał rozkłady różnych substancyj czyli różnych elektrolitów, okazało się, że *jednakie ilości elektryczności wydzielają zawsze równoważne chemicznie ilości części składowych*.

Przenoszenie się więc elektryczności w elektrolitach od je-

dnego bieguna czyli od jednego elektrodu do drugiego, związane jest z przenoszeniem się produktów rozkładu; wydobywające się ze związków atomy i rodniki posiadają ładunki elektryczne, a tak elektrycznie naładowany atom, czy też cząsteczka ciała, jest to właśnie *jon* według nomenklatury Faradaya. Ładunek elektryczny, który ze sobą jon taki unosi, nie zależy bynajmniej od natury rodnika, od jego dzielności chemicznej; potas lub fluor są to pierwiastki wywierające bardzo żywe działanie chemiczne, srebro lub jod działają słabo zaledwie, niemniej jednak dodatni jon potasu równie silnie jest naładowany elektrycznością, jak dodatni jon srebra, a ujemny jon fluoru posiada ładunek taki sam, jak ujemny jon jodu. Stopień więc działalności chemicznej nie zawisł bynajmniej od wielkości ładunku elektrycznego, ale od wytrzymałości, od mocy, jaką ładunek ten jest związany, a dlatego to jodek srebra już przez słabą siłę elektrowzbudzającą rozszczepia się na swe pierwiastki składowe, gdy fluorek potasu rozpaść się może dopiero pod wpływem nader znacznej podniety elektrycznej.

Dodać tu jeszcze należy, że powyższa równość ładunków tyczy się jedynie pierwiastków jednowartościowych, to jest pierwiastków, których pojedyncze atomy wiążą się z jednym atomem wodoru; pierwiastki dwuwartościowe lub trójwartościowe, których każdy atom łączy się z dwoma lub trzema atomami wodoru, utrzymują też ładunek elektryczny dwukrotnie lub trzykrotnie większy, aniżeli atomy jednowartościowe.

Znajomość nasza jonów, zyskała znaczne uzupełnienie i rozwinęła się dalej w następstwie badań nad roztworami, przeprowadzonych przez Van t'Hoffa, Arrheniusa, Hittorfa i innych. Nie możemy zbyt odbiegać od wątku naszej rzeczy, ani opowiadania naszego zbyt rozszerzać, przytoczymy więc tylko, że według dzisiejszej teorii roztworów, cząsteczki soli lub jakiegokolwiek innej zresztą substancji, rozpuszczonej w wodzie, nie czekają dopiero prądu, by się rozszczepiać na składowe swe części czyli na jony, ale jony te i bez udziału prądu obficie w roztworach istnieją. Swobodne pierwiastki i rodniki nie są wprawdzie w zwykłych warunkach elektrycznie naładowane, jak przyjmował Berzelius, ale gdy cząsteczka związku ulega rozkładowi, rozszczepia się w pewnych okolicznościach na jony, przyczem rodniki dodatnie naładowane są dodatnio, a rodniki ujemne posiadają ładunek ujemny. Cząsteczki soli rozpuszczonej nie są już w równowadze tak statecznej, w jakiej się znajdowały, dopóki sól była stała, skrysta-

lizowana; rozproszone w cieczy cząstki te po części rozpadają się i wymieniają między sobą swe jony, które odbiegają wciąż od jednych i wiążą się z innymi, skąd w każdej chwili znajduje się w roztworze pewna ilość cząstek rozszczepionych, a tem samem odpowiednia im ilość jonów swobodnych, ilość zależna od temperatury, od stopnia rozcieńczenia roztworu, od samej jego natury wreszcie. Beładne ruchy tych jonów miotających się swobodnie między cząsteczkami, porządkuje się natychmiast, skoro prąd elektryczny przez ciecz przebiega; jony przenoszą ładunek elektryczny po drodze, przez bieg prądu wskazanej, stają się same ruchliwymi przewodnikami elektryczności. Prąd elektryczny nie rozrywa cząsteczek, ale nadaje tylko kierunek rozszczepionym ich składnikom.

Pogląd ten na istotę roztworów odbiega znacznie od powszednich naszych wyobrażeń i łatwo budzić może nieufność. Według tego bowiem w najzwyczajszym roztworze soli kuchennej, która jest chlorkiem sodu, występować mają swobodnie jony sodu i również swobodnie jony chloru, a wszakże sod ten nie sprowadza rozkładu wody, ani też chlor nie barwi jej na zielono i nie rozpościera drażniącej swej woni. Na zarzut ten wszakże odpowiedzieć trzeba, że co wiemy o własnościach sodu i chloru, innych pierwiastków i wszelkich ciał w ogólności, tyczy się ich cząsteczek, albo raczej skupień tych cząsteczek, własności zaś jonów swobodnych, są nam zgoła nieznane; nie są to przecież same cząsteczki ciał, ani ich skupienia, ale atomy ładunkiem elektrycznym obdarzone, z ładunkiem elektrycznym związane. W brylce soli kuchennej nikną charakterystyczne własności chloru i sodu, a podobnież i w jonach utajają się własności atomów i cząsteczek; są to już pewnego rodzaju związki atomów materyalnych z elektrycznością.

Myśl o związkach materyi zwykłej z elektrycznością prowadzi dalej do wniosków bardziej jeszcze uderzających, skoro przypomnimy sobie, jakie znaczenie mają atomy według pojęć chemicznych. Trzeba się było do nich odwołać, gdy poznano, że ciała łączyć się mogą w związki, jedynie w stosunkach statecznych, dających się ściśle wyrazić liczebnie. Zasadnicze to prawo natury, obejmujące nieprzejrany obszar objawów chemicznych, bez pojęcia atomów byłoby dla nas zupełnie zagadkowym, w teorii zaś atomistycznej okazuje się zupełnie zrozumiałem, narzuca się nawet, jako konieczne jej następstwo.

Takież same wszakże prawo stosunków statecznych i wielokrotnych poznaliśmy co do związków materji zwykłej z elektrycznością, podobnież więc, jak mówimy o atomach materyalnych, nasuwa się nam i «atom elektryczny», gdy bowiem wyobrażamy sobie elektryczność podzieloną na oddzielne atomy wielkości nieziennej, pojmujemy, dlaczego rozmaite pierwiastki wiążą oznaczone i stateczne ilości elektryczności, co byłoby niezrozumiałem, gdybyśmy wyobrażali sobie elektryczność rozpostartą w sposób ciągły.

Takim atomom elektrycznym, których pomysł po raz pierwszy rzucił Helmholtz w r. 1881, nadał Stoney w r. 1891 nazwę *elektronów*. Oprócz więc zwykłych pierwiastków chemicznych, przyjąć według tego należy dwa jeszcze pierwiastki dalsze, utworzone z elektronów dodatnich i ujemnych, które znamy wprawdzie tylko, gdy w połączeniu z atomami materyalnemi, jako jony występują, ale którym też zdolności istnienia swobodnego odmówić nie możemy. Gdy w cieczy rozkładowi elektrolitycznemu poddanej wędrujące jony dobiegają do biegunów czyli elektrodów, oddają im swoje ładunki elektryczne i wydzielają się jako atomy obojętne; przebieg ten, jakkolwiek szybki, nie dokonywa się przecież nagle, choćby więc przez chwilę nader krótką, elektrony mają tu być samodzielny. Dają się wszakże wyszukać i w innych objawach.

Obok tak uzasadnionych bowiem chemicznie jonów i elektronów, nie mogła przejść obojętnie fizyka; jeżeli obecność swą zdradzają przy procesach chemicznych, nie mogą ograniczać się do tej tylko dziedziny, ale winny istnienie swe i na innych drogach ujawnić, winniśmy je wykryć i w innych działaniach elektrycznych. Rzeczywiście też przed baczem poszukiwaniem fizyków utaić się nie zdołały.

Możemy je przedewszystkiem rozpoznać w przewodnictwie elektrycznem gazów. Gazy w warunkach normalnych nie są wprawdzie dobrimi przewodnikami elektryczności, przewodnictwo ich wszakże wzmagą się, gdy są silnie ogrzane, lub też wystawione na działanie promieni pozafioletowych, a występujące przytem objawy dają się dobrze wyjaśnić, jedynie przypuszczeniem, że elektryczność przenoszą w gazach cząstki wędrujące, podobnie jak jony w elektrolitach, jakkolwiek cały przebieg nieco się tu inaczej dokonywa. Z pewnych różnic w zachowaniu się cząsteczek dodatnio i ujemnie naelektryzowanych, wnosi J. J. Thomson, że cząstki ujemne są to elektrony swobodne, gdy ładunki dodatnie

pozostają związane z atomami gazów. Taki atom naładowany dodatnio wraz z elektronem ujemnym tworzą obojętną cząsteczkę gazową.

Wyraźniej jednak występują te elektrony ujemne w słynnych promieniach katodalnych, które powstają, gdy wyładowanie elektryczne ma miejsce w gazach do wysokiego stopnia rozrzedzonych. Do doświadczeń tych służą najdogodniej rurki Geisslera, czyli naczynia szklanne rozmaitej postaci, dla urozmaicenia zjawisk często w osobliwy sposób skrzycone, które w dwu końcach, lub w jakichkolwiek innych punktach swych ścian, posiadają szczelnie wtopione dwa druciki czyli elektrody platynowe albo glinowe, do doprowadzania prądu służące. Gdy taka rura Geisslera połączona zostaje z biegunami maszyny elektrycznej lub cewy indukcyjnej, przebiegają przez nią wyładowania elektryczne, których objawy zależą od stopnia rozrzedzenia w niej powietrza. Przy pewnym, daleko już posuniętem rozrzedzeniu, nikną znane powszechnie, wspaniałe objawy świetlne, a z elektrody ujemnej, czyli z kadowu, wybiegają promienie, od tego pochodzenia swego zwane promieniami katodalnemi, które obecność swą zdradzają tem, że w uderzanych przez nie punktach ściany rury szklanej wywołują jej świecenie, fosforescencyą czyli raczej fluorescencyą, przyczem barwa tak wzbudzonego światła zależy od chemicznego składu szkła. Promienie katodalne ulegają wpływowi magnesów, wywierają też pewne działania mechaniczne i cieplikowe, jeżeli zaś objawów tych nie dostrzegamy przy słabszem rozrzedzeniu gazu w rurce, tłumaczy się to tem, że łatwo ulegają pochłanianiu, przy nieco gęstszem przeto powietrzu w rurce, przebieg ich ograniczony jest do bezpośredniego sąsiedztwa kadowu.

Doświadczenia z promieniami katodalnemi miały przed dwudziestu laty rozgłos znaczny, ale niemniej głośną była i teoria, którą Crookes starał się zjawiska te wytłumaczyć. Przyjął on, mianowicie, że objawy fosforescencyi wzniesane są przez bezpośrednio uderzanie, jakby przez bombardowanie cząsteczek materialnych, które są od kadowu odrzucane czyli odpychane i w przestrzeni gazami rozrzedzonymi zajętej, bieżną po drogach prostoliniowych.

Według hipotezy Crookes'a, w rozrzedzeniu tak znacznym, materya nie jest gazem zwykłym, ale pozostaje w pewnym stanie ultragazowym, który obok stanu stałego, ciekłego i lotnego, tworzy jeszcze dalszy, czwarty stan skupienia, a dla prostoliniowego

właśnie rozchodzenia się cząsteczek oznaczył Crookes stan ten nazwą *materyi promienistej*. Wyobrażał sobie, że rozproszone cząstki takiej materyi elektryzują się przez zetknięcie z kadotem i odbiegają od niego w taki sposób, jak odskakują kulki rdzenia bżowego od naelektryzowanej płyty metalowej. Domysł ten ukazał się wprawdzie nieuzasadnionym, ale natomiast zdać można sprawę ze wszystkich szczegółów zjawiska, jeżeli promienie katodalne uważać będziemy, jako złożone z naładowanych elektrycznie cząsteczek niesłychanie drobnych, mniejszych aniżeli atomy materyi zwykłej, a wybiegających z katodu. W cząsteczkach tych odnajdujemy elektrony, ale teraz poznajemy je bliżej, różne bowiem objawy promieni katodalnych zdołano poddać pomiarom ścisłym i oznaczono liczebnie wielkość ładunku elektrycznego, jaki cząsteczka taka z sobą unosi, przez porównanie zaś z zachowaniem się atomów zwykłych oceniono, że z ładunkiem tym związana masa wynosi zaledwie jakąś dwutysięczną część atomu wodoru. Masa tak drobna uchodzi poszukiwaniom chemika, liczebny ten jednak rezultat potwierdziło badanie innych jeszcze objawów. Czy zresztą w swobodnym elektronie mamy do czynienia z masą w pospolitem tego słowa znaczeniu, z drobnutką cząstką materyi zwykłej, czy też zdradza się tu tylko pewne działanie elektryczne, nie jest to pytanie rozstrzygnięte. Nadto wnioski te tyczą się elektronów ujemnych jedynie; elektronów dodatnich na swobodzie nie ujęto.

Sprowadzenie takie promieni katodalnych do ruchu elektronów swobodnych otwiera teraz drogę do wniosków dalszych. Z promieni katodalnych przecież rodzą się te osobliwe *promienie Röntgena*, których odkrycie przed kilku laty tak powszechny popodziw wzbudziło, a które dotąd są przedmiotem zaciekawienia ogólnego. Skoro są to pochodne promieni katodalnych, jednaka drogą wyjaśnione być muszą. Rzeczywiście, pojmować można, że elektrony tak szybko biegnące, gdy uderzają o ciało stałe, wznecają falę elektryczną i rozsyłają ją w przestrzeń, jak pocisk uderzający o ciało wytwarza falę głosową w powietrzu; z hipotezą taką własności promieni Röntgena dają się dobrze pogodzić.

Na korzyść nowej teorii elektronów przytoczyć też można, że sprowadzają jednolitość objawów, które dotąd zgłębiały się odrębnymi wydawały. Tak, w szczególności, przewodnictwo elektryczności w metalach odróżniano stanowczo od przenoszenia się jej

w elektrolitach (cieczach), w których, jak widzieliśmy, dokonywa się przez bieg jonów. Sprzecznosc wszakże tego dwojakiego przewodnictwa ustępuje, gdy się do elektronów odwołamy. Skoro w promieniach katodowych elektrony wybiegają z powierzchni katodów od biegunów metalowych, to już i wewnątrz metali posuwać się muszą ku ich powierzchni i w ten sposób sprawę przewodzenia elektryczności załatwiają. Poddany dochodzeniu matematycznemu i ten pomysł doprowadził istotnie do wniosków, dających się potwierdzić doświadczalnie.

Poznaliśmy udział elektronów w objawach chemicznych i elektrycznych, ale rozpostarły się już dalej i wtargnęły także do dziedziny światła. Jest to już zresztą następstwo konieczne poglądów dzisiejszych na istotę światła, według których drgania świetlne są rezultatem zakłóceń elektromagnetycznych, są tylko pewną kategorią fal elektrycznych. Teoria jednak elektromagnetyczna światła nie naginała się dobrze do objawów, które zachodzą, gdy fala świetlna przedziera się przez ciała przezroczyste a w szczególności trudno jej było objąć rozszczepianie się światła na promienie różnobarwne,

Trudności te ustępują, jeżeli przyjmiemy w ciałach przezroczystych istnienie swobodnych, ruchomych ładunków elektrycznych, zatem elektronów takich samych, jakie wykryliśmy już w cieczach, gazach i metalach; na zjawiska optyczne, podobnie jak na objawy elektryczne, ciało materialne wywiera wpływ jedynie za pośrednictwem elektronów, jakie zawiera; fala świetlna, wdzierająca się do ciała przezroczystego, działa na drgania tych elektronów i sama pod ich wpływem przeobrażeń doznaje. Na tej drodze nie tylko objawy rozszczepiania promieni dały się wyjaśnić zgodnie z zasadami teorii elektromagnetycznej światła, ale ujęto też wpływ, jaki ruch ciała przezroczystego wywiera na bieg przedzierającego się przez nie promienia światła, co dotąd ciężki szkopuł w optyce stanowiło. Dalszy jeszcze tryumf teoria ta odniosła przez wyjaśnienie odkrytego w r. 1896 przez Zeemana osobliwego zjawiska, polegającego na tem, że pod wpływem magnesu linie widmowe gazów płonących ulegają rozszczepieniu na smugi podwójne i potrójne.

I inna też jeszcze kategoria zjawisk niedawno poznanych wiąże się niewątpliwie z teorią elektronów. Mówimy tu o promieniach odkrytych przez Becquerela, promieniach bez żadnej zgoła podniety zewnętrznej wysyłanym przez pewną grupę ciał, którym

dano nazwę *ciał promieniotwórczych*. Znajomość tych ciał zawdzięczamy głównie wytrwałym badaniom pani Skłodowskiej-Curie i jej męża p. Curie. Własnościami swemi promienie Becquerela zbliżają się znacznie do promieni katodowych, można je więc także za bezpośredni objaw elektronów uważać. Ciała promieniotwórcze byłyby według tego grupą związków chemicznych, które posiadają własność rozsyłania elektronów swobodnych, niezależnie od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych. Zbyt jednak niedostatecznie jeszcze ciała te i promienie ich znamy, by naturę ich już teraz rozważać można było.

W jakiej łączności pozostają wreszcie elektrony te, czyli atomy elektryczne, z eterem wypełniającym przestrzeń światową, jakie przypada im znaczenie w ogólnej budowie materji, dziś nie wiemy jeszcze; jakakolwiek jednak czeka je przyszłość, przyznać musimy, że już teraz rozszerzyły i pogłębiły znacznie znajomość naszą zjawisk otaczającego nas świata.

Stanisław Kramsztyk.

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO WARSZAWY.

LORNETKI MYŚLOWE.

Mieliśmy w beletrystyce miłość, wschody i zachody słońca, aż przyszli pisarze, którzy wymietli z beletrystyki miłość wraz z wschodami i zachodami słońca, a natomiast dali zagadnienia społeczne, orzekając, iż odtąd w ten a nie inny sposób pisać się będzie.

Aż po nich przyszli pisarze, którzy zawołali, że zagadnienia społeczne to tendencja, z którą sztuka parać się nie powinna; wymietli tedy ze swych ksiąg społeczne zagadnienia i dali stany psychiczne, orzekając, iż odtąd w ten a nie inny sposób pisać się będzie.

Ale w tych stanach psychicznych pojawiła się znowu miłość, błysnęły wschody i zachody słońca, zadźwięczały pewne problemy społeczne, aż wreszcie wychyliła swoją węzową głowę tendencja.

Cóż to jest tendencja w sztuce? Kiedy możemy ją wytknąć autorom?

Tendencja w sztuce bywa utylitaryzmem, szlachetnym lub

nieszlachetnym. Jest to także wysunięcie jakiejś tezy na pierwszy plan, której z łatwością da się przeciwstawić twierdzenie przeczące.

Ale dola lub niedola życiowa doprowadza często ludzi do tendencyjnego światopoglądu. Patrzą tedy na życie przez jakieś myślowe lornetki i widzą wszystko inaczej. Nie jest to spojrzenie geniuszu, bo geniusz w patrzeniu wyprzedza tylko świat mu współczesny. Jest to patrzenie zboczone, a świat nigdy nie będzie mógł tak widzieć.

Ostatnia fala piśmiennictwa pięknego wyrzuciła na ławice księgarskie następującą fabułę dramatyczną:

Osoby: Mąż, Żona i On.

Akt 1. Wierność małżeńska, zastanawiająca nawet interesowanych.

Akt. 2. Zjawia się On i uwodzi Żonę bez szczególnych trudności.

Akt. 3. Żona dostaje wyrzutów sumienia. Dom jest ołtarzem Męża, a ona ten ołtarz skalala. Co pocznie? Mąż dowie się, to go złamie. Żona przypomina sobie, że ma w pierścieniu truciznę. Więc się otruje. Nie, tego zrobić nie może. Skrzywdziłaby Męża podwójnie, najpierw wiarołomstwem a następnie skandalicznym samobójstwem. Nagle wpada na pomysł. Hej, szampana! Wsypuje proszek do szklaniczki Męża, ten pije, umiera i zasłona spada.

Takie zakończenie sztuki jest twierdzeniem albo, 1) że się tak dzieje, albo 2) że się tak dzieć powinno, albo 3) że jest to psychologia tego, co się dzieje lub dzieć powinno.

Na wszystkie trzy pytania odpowiadamy kategorycznie: nieprawda.

Gdyby się tak działo, to bohaterka musiałaby być albo zbrodniarką, albo waryatką, co z rysunku tej postaci bynajmniej nie wynika.

Gdyby się tak dzieć powinno, to autorka, apostołująca truciicielstwo, musiałaby być zbrodniarką lub waryatką, co znowu z całej książki bynajmniej nie wynika.

Gdyby to zaś miała być psychologia tego, co się dzieje lub dzieć może, to należałoby po akcie trzecim nietylko dramatu nie kończyć, ale dopiero go rozpocząć.

Więc otrucie męża wyczerpuje zagadnienie? Więc żona, która po skalaniu «ołtarza» rozpacza, otruwszy człowieka, przewinęła przed naszymi oczami już wszystkie karty swej duszy?

Otruła — i nic? Sprawa skończona, idziemy spać?

Lady Makbet zabiła. Ha, w tym małym człowieczku było tyle krwi... Myje ręce, ciągle myje ręce... Domyć się ich nie może... Zaczyna przez sen chodzić po komnatach i myć ręce...

Ale Szekspir został przez nową szkołę uznany za fuszera. Nowa szkoła bada drgnienia duszy, drgnienia najbardziej tajemne, ukryte. A w tym wypadku? Kończy się na efekcie fabulistycznym, kończy tak, jak w całym piśmiennictwie współczesnym to potępia, wyrzucając psychologię po za rampę sceny.

A czyni to tendencyjnie.

Sprawy seksualne są wedle niej alfą i omegą zawikłań życiowych. Każdemu osobnikowi przysługuje prawo dążenia do zdobywcy płciowych *per fas et nefas*; zrywa *cichym sposobem* ugodę społeczną, która to prawo ujęła dla wspólnego bezpieczeństwa w pewne karby. Trzeba istotnie patrzeć na życie przez jakąś lornetkę myślową, aby bodaj na chwilę przypuścić, że ludzkość ze chce pod tym względem cofnąć się wstecz o kilka tysięcy lat, kiedy to przy pomocy kamieni i maczug odbywały się swaty.

Powiedzieliśmy: nowa szkoła. To nie znaczy: nowe piśmiennictwo. Wypiański wyparł się jej w *Weselu*; każde dzieło jego świadczy, iż nie ma on nic wspólnego z tą tak zwaną «nową szkołą» lornetek myślowych, często gęsto bardzo teatralnych.

Nie jest to również modernizm, tylko chyba zabawy ciurów tego obozu. Kto nie chce na rzeczy patrzeć oczyma wszystkich, a nie jest w stanie, jak geniusz, sięgnąć po za horyzont przeciętniaków, ten sprowadza sobie choćby od Peladana lornetkę myślową, by widzieć w jakiś sposób inaczej.

Andrzej Niemojewski.

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO KRAKOWA.

Czytelnik zapewne ze zdumieniem zapyta: czy jest w Krakowie coś takiego, jak życie umysłowe? Krakowiacy jego nie widzą — i doskonale bez niego się obchodzą. Takiej potrzeby u nas nie ma; jest to jakiś «tromtadracki» wymysł... Co innego Hawelka lub Klimek ¹⁾: bez tychby Kraków istnieć nie potrafił. Ale jeśli niema u nas życia umysłowego, jeżeli nie odczuwamy nawet jego potrzeby, to nie bez tego, aby od czasu do czasu nie było spora-

¹⁾ Restauracye.

dycznych objawów umysłowych. Bo przecież i w Krakowie zdarzają się ludzie, którzy nad czemś myślą, coś czują i od czasu do czasu w ten lub ów sposób wyjawiają to na zewnątrz — chociaż nikt ich zwykle nie słucha. Nie stwarza to zapewne życia umysłowego, bo życie umysłowe może istnieć tam jedynie, gdzie jest wrażliwy na objawy umysłowe ogół, gdzie objawy te szerzą się falą, spotykają się i syntetyzują w duszy zbiorowej tego ogółu lub przynajmniej znajdują w niej oddźwięk; a Kraków — to miasto bez echa... na objawy umysłowe rozumie się; no, bo ploteczki rozbrzmiewają tu naturalnie bardzo echowo.

Więc tylko te objawy sporadyczne notować będziemy — sporadycznie, jak się pojawiają.

Zacniemy od nowego towarzystwa, które przybyło do nie-małej liczby dotychczas istniejących: **Sztuka polska stosowana**. Zadanie jego bardzo piękne: zbieranie i rozwijanie motywów dekoracyjnych i architektonicznych ludowych. Znamy też parę osób, które z wielkim zapałem oddają się gromadzeniu wzorów, a niebawem zapowiedziana jest ich wystawa. Cóż, kiedy jak i w innych towarzystwach krakowskich, jeśli coś się robi (co wogóle należy do wyjątków), to robią jednostki. Dla ogółu zaś członków, a zwykle są to we wszystkich towarzystwach jedne i też same osoby, założenie nowego stowarzyszenia jest sposobnością podpisania swego nazwiska, a rola ich ściąga się przeważnie do płacenia składki. Zwykle też tak bywa, że składkę bez oporu płacą przez pierwsze dwa, trzy miesiące, później opędzają się od «kursora», jak mogą, a wreszcie wykreślają się ze stowarzyszenia. Oby taki los nie spotkał młodego towarzystwa: szczerze mu innego życzymy ze względu na sympatyczny i doniosły cel.

Teatr nasz robi wszelkie wysiłki, aby utrzymać salę swą niezbyt próżną. Cóż kiedy zwykle, po 2—3 przedstawieniach sztuki, wyczerpuje się cały zasób miłośników Melpomeny, a to powoduje potrzebę ciągłej zmiany repertuaru, co bardzo utrudnia, rozumie się, położenie i bez tego nielicznej trupy. Wielką zasługą dyrekcji obecnej jest wyprowadzenie na scenę całego szeregu arcydzieł literatury dramatycznej swojskiej i wszechświatowej, które bądź nigdy jeszcze sceny nie widziały, bądź bardzo dawno w Krakowie nie były grane, a nawet próby przystosowania do sceny rzeczy niepisanych dla teatru. Do pierwszych należą takie utwory,

jak Słowackiego: *Kordyan*, *Sen srebrny Salomei*, *Złota czaszka* (choć tylko fragment), *Książę Marek*, które okazały się doskonale scenicznymi i znakomicie wzbogaciły repertuar arcydzieł. Niemniej pomysłnie wystawiono *Na Ukrainie* Sowińskiego. Z arcydzieł wszechświatowych z powodzeniem powtarza się od czasu do czasu *Faust* Göthego (I część). Z mniejszym już powodzeniem, jeśli mowa o całości, przystosowane zostały do sceny *Dziady* Mickiewiczowskie, chociaż i tu pojedyncze akta (a mianowicie z III-ciej części) okazały się pełnymi życia scenicznego. Niefortunny epilog, dorobiony całkowicie, a rażąco różniący się od całości radzilibyśmy odrzucić. Wreszcie i powieści p. Sienkiewicza dostarczyły materiału scenicznego: epizod w *Czartowym Jarze z Ogniem i mieczem* i *Krzyżacy*.

Wśród utworów młodszych poetów, wdzięcznym materiałem okazał się *Cudotwórca* p. Feldmana. *Wesele* p. Wyśpiańskiego, trzyma się na scenie, powtarzane z pewnymi odstępami, dzięki kilku efektywnym momentom i tematowi, chociaż całość przy braku akcyi i dziwacznie rubasznej formie jest raczej nużąca. — Pożalować należy, że nie próbują utrzymać na scenie tak pięknej rzeczy, jak *Bunt Napierńskiego* p. Kasprowicza, oraz że dotąd nie widzieliśmy w teatrze żadnego z dramatów p. Niemojewskiego.

Akademia Umiejętności w Krakowie, «pragnąc ożywić wśród naszego społeczeństwa znajomość starożytnego świata, uchwaliła na zebraniu walnem przystąpić do wydawnictwa przekładów autorów starożytnych».

Zdawałoby się, że społeczeństwo nasze ma tak dobrze zaopatrzone potrzeby umysłowe, iż nic mu nie pozostaje, jak bawić się «autorami starożytnymi!»¹⁾

Ze słusznym też oburzeniem woła na to p. W. N. w «Głosie» (Nr 1, 1902), że gdy «brak nam dzieł na polu wszystkich nauk żyjących», gdy «pozostaliśmy w tyle za ruchem postępowym Zachodu, a uczeni nasi, którzyby pragnęli brakowi temu zaradzić, nie znajdują wydawców, a nawet uginają się i łamią pod brzemieniem nędzy — w chwili takiej Akademia wynalazła środek

¹⁾ Czy nie byłoby np. właściwiej zamiast «starożytnych», wydać taką *Socjologią* L. Ward'a, której przekład dokonany przez ś. p. Józefa Potockiego i ocenzone już, od kilku lat spoczywa w rękopisie dla braku wydawców, lub *Mikrokosm* Lotzego, którego rękopis, pióra ś. p. Filipowicza złożono w naszej redakcyi — że wymienię tylko to, co się nawija pod rękę?

cudowny: ofiarą znacznych pieniędzy i sił «ożywić» społeczeństwo, puszczając nań prąd powietrza — trupiego».

Kto wszakże nie wie, że Akademia jest instytucją trupa? Że stroni od życia, że boi się go? O, bo życie czasem niemile parzy — jak dotknięcie pokrzywy. Jak tu np. zajmować się naszymi dziejami z przed stu lat? Nasi obecni «panowie» mają sumienie historyczne tak drażliwe... Bez porównania drażliwsze, niż było «aktualne» sumienie ich pradziadów, którzy trzymali się zasady «*non olet...*» Niechno historyk spróbuje odsłonić kartę z tej epoki, a spotka się z takimi spojrzeniami bazyliżkowemi, które parzą gorzej od pokrzywy.

To też *uczni* radzą sobie, jak mogą, z wydawaniem dzieł; Akademia zaś w pewnych gałęziach obchodzi się bez uczonych i radzi sobie także, jak może... tłumaczeniami klasyków. Wszak do tego wystarczy kupić słownik i znać trochę gramatyki... A przytem jest tu i chleb dla *bene merentibus!*

Otrzymujemy 1-szy zeszyt nowego dwutygodnika p. t.: „**Nowe Słowo**“. Początek jego poświęcony głównie przedmiotom związanym z kwestyą kobiecą. Dziwaczna winietka na karcie tytułowej i notatka (umieszczona wprawdzie na samym szarym końcu) p. t.: «Nowe prądy w sztuce», każą nam wszakże obawiać się, aby ta nowa próba nie stała się znowu (jak kilka poprzednich efemeryd krakowskich), polem rozczochranego debiutantyzmu dla tych, którzy tem głośniej chcą krzyczeć, im mniej mają do powiedzenia. Życzylibyśmy, aby tego uniknęła, a życzylibyśmy głównie w interesie poważnej kwestyi — ruchu kobiecego — której pismo to, jak sądzić można z kilku artykułów obecnego numeru, służyć zamierza. Bo jak z jednej strony wybryki niepoczytalności zdyskredytują samo pismo, tak znowuż niepodobna będzie pogodzić żądań wynikających z godności i praw kobiecych z zapatrywaniami czysto samczemi t. z. «modernizmu».

Nie nowym, bo już drugi rok rozpoczynającym wydawnictwem jest **Poradnik językowy**, poświęcony kwestyom związanym z czystością języka polskiego. Pismo to bardzo potrzebne i pożyteczne w Galicyi, gdzie nie tylko język stale jest kaleczony w rozmowie i w dziennikach, ale każdy czuje powołanie do nowatorstwa w tym zakresie, przez co mowa zaśmieca się ustawicznie nowemi dziwolągami.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Biblioteka Warszawska“. W zeszyście październikowym znajdujemy początek *Listów Krasin'skiego* do Reeve'a, już poprzednio wyzyskanych dla artykułu *Poeta myśli*, teraz w całości przytoczonych, koniec ich w zeszyście listopadowym. W artykule *Żegluga napowietrzna* p. W. Zieliński zaznajania z najnowszemi próbami w tym kierunku. Z wycieczek balonem ciekawy jest opis wzniesienia się Bersona, który dosięgnął wysokości 9150 metrów. Następnie opisane są w krótkości przyrządy latające: Lilienthala, Langleya, Richet'a i Tatin'a, Stenzla, Adera. Postęp w tym kierunku jest stały, chociaż rezultatów pozytywnych dotąd jeszcze nie ma. Ważną zdobyczą jest osiągnięte zredukowanie wagi motoru do 7 funtów na konia parowego. — P. A. Brückner poświęca artykuł *Bogarodzicy*. Przychodzi on do wniosku, że pieśń ta była napisana dla królowej Kingi około 1400 r., t. j. tego, z jakiego datuje najdawniejszy odpis. Artykuł pełen ciekawych szczegółów i cennych uwag historycznych i filologicznych. — P. Darowski opisuje *Dwa dni w Pompei*, p. St. Zdziarski ustanawia *Chronologią młodocianych utworów Bohdana Zaleskiego*. D. c. *Pana Balcera* p. M. Konopnickiej i *Śladem tęsknoty* p. Konczyńskiego.

W listopadowym zeszyście zaznaczymy notatkę p. M. Loreta p. t.: *Między Jeną a Friedlandem* — opowieść o zamierzonym pod wpływem presji prusko-rosyjskiej przystąpieniu do przymierza tych mocarstw Austrii, który to zamiar obróciła w niwecz porażka sprzymierzeńców pod Friedlandem. — P. J. Białokur poświęca artykuł *Sądom gminnym* (w Królestwie), wobec zamierzonej ich reformy, której projekt ogłosiło Ministerjum sprawiedliwości; omawia ich historią, dotychczasową organizacją i potrzeby. — P. Biegelejsen ogłasza nieznaną szkic Szujskiego o *Kasprze Miaskowskim*, pocie XVII wieku, pisany przypuszczalnie około 1855 r. — P. St. Witkiewicz ciągnie dalej szkic o *Aleksandrze Gierymskim*, zakończony w zeszyście grudniowym.

Zeszyt grudniowy zaczyna rozprawa p. Kruczkiewicza o *Językach klasycznych w szkołach średnich*; kwestyą omawia szczegółowo, stając w obronie ich nauczania. — *Duch czasu*, dramat niewydany ś. p. Sewera Maciejowskiego (Akt I). — P. A. Plutyński poświęca szkic *stosunkom Rosyi do Austrii w przedmnu kampanii galicyjskiej 1809 r.* W chwili gdy wojska austriackie wkroczyły do Księstwa Warszawskiego, na skutek wojny rozpoczętej pomiędzy Napoleonem a Austryą, Rosya związana była traktatami z obu przeciwnikami:

jawnymi (Tyłżyckim i Erfurtskim) z Napoleonem; tajnym z Austryą. Gdy wojska Księstwa szybko oswładnęły całą Galicyą, wojska rosyjskie stojąc na jej granicach miały rozkaz wyczekiwania i oszczędzania obu przeciwników. Daremnie domagał się rząd Księstwa należytnej pomocy i również daremnie oczekiwał jej cesarz Austriacki, pozbywano ich wymijającymi odpowiedziami, oczekując biegu wypadków. Gdy przyszła wszakże wiadomość o groźnem położeniu Napoleona pod Aspern, armia rosyjska otrzymała rozkaz zajęcia części Galicyi, obejmującej około 1,200.000 ludności i utworzenia tam rządu cywilnego w imieniu cesarza Aleksandra. — Te są wypadki opowiedziane w tym szkicu na podstawie źródeł archiwalnych. — P. Tretiak daje charakterystykę na tle biograficznem *Ignacego Krasickiego*. — P. W. Bogusławski poświęca artykuł *Reformie teatrów warszawskich*. Wytrawny krytyk i znakomity znawca sceny, stawia pytanie, dlaczego opera, dramat i komedia reprezentowane w teatrach: Wielkim i Rozmaitości, przynoszą deficyt, kiedy farsa i operetka w teatrze Nowym dają wielkie korzyści. Zastanawiając się nad dziejami pierwszych dwóch teatrów w ostatnim czasie, przychodzi do wniosku, że niewłaściwe kierownictwo było przyczyną ich upadku. W operze mianowicie — przewaga włoskiego żywiołu i języka; w dramacie — brak właściwego literackiego kierownictwa, które powinno zastąpić czysto sceniczne, dotąd panujące.

— „Krytyka“, zeszyt styczniowy. Artykuł wstępny omawia *Sprawę ruską* (w Galicyi). Słusznie potępia autor obskurnie-hakatylistyczną broszurkę, wydaną w Nowym Sączu p. t.: *Baczność polacy, głos w sprawie ruskiej*, głosząca, «że tylko równy poziom kulturalny daje narodom równe prawa»; słusznie domaga się równouprawnienia bezwzględnego dla kultury i języka rusinów. Z samych faktów, które przytacza, nie widać wszakże, aby istniała pod tym względem istotna krzywda, więcej jest, zdaje się, nierozsądnych krzyków z obu stron. Pomimo przewagi liczebnej ludności polskiej w Galicyi, było np. w r. 1900 szkół ruskich 2136, polskich 2099; że wśród tych było więcej nieczynnych ruskich — tłumaczy się to brakiem nauczycieli. Wprawdzie polskich gimnazjów jest 28, ruskich tylko 4; ale ta różnica w szkolnictwie średnim nie powinna zadziwić nikogo, jeśli weźmiemy pod uwagę, że sam język ruski dopiero się kształtuje, że brak im podręczników, nauczycieli, uczniów. Słusznem rozumie się jest żądanie rusinów podniesienia tej liczby i żaden dobrze myślący polak nie powinien się temu sprzeciwiać. — P. Haecker omawia kilka objawów z *Nowszej literatury ekonomicznej w Niemczech*, przeważnie w związku z dziełem i przemówieniami Bernsteina.

— „Przegląd Filozoficzny“, zeszyt IV, 1901, poświęcony jest cały *określe niom filozofii* podanym przez naszych pracowników na tem polu: pp. Struvego, Straszewicza, Kozłowskiego, Heinricha i panią Kodisową. Każdy z autorów przedstawia swój pogląd na zadania dzisiejszej filozofii. Mniej wiąże się z całością obszerny artykuł X. Radziszewskiego p. t.: *Odrodzenie filozofii scholastycznej*, który przedstawia historyczny szkic scholastyki (nie bezzasadnie potępionej w swoim czasie przez humanizm), oraz próby jej odrodzenia przez współczesny katolicyzm wskutek encykliki Leona XIII. Przedstawia też autor, jak ten kierunek pojmuje istotę i cele filozofii.

— „Kosmos“, zeszyt VIII—X, 1901. Rozpoczyna go obszerne studjum p. Rudzkiego o *Plamach na słońcu*, zestawiające bardzo skrupulatnie najnowszą literaturę tego ciekawego przedmiotu. Pani Rozalia Nusbaumowa omawia *Teorię dociekań naukowych*, biorąc pobudkę z pracą p. Heinricha, który występuje jako krańcowy rzecznik Kirchhoffowskiego poglądu, że nauka powinna tylko opisywać zjawiska. Autorka wykazuje na własnej pracy p. H., iż sam ustawicznie przekracza ten przepis. Sama doskonale streszcza istotny przebieg myśli ludzkiej w badaniu przyrody: «Z początku zwykle obserwują się zmiany i zjawiska w otoczeniu, myśl szuka związków pomiędzy różnorodnemi zjawiskami, nie starając się wcale zbadać ich istoty i sprowadzić do czegoś jednorodnego. Lecz gdy tych zbadanych zjawisk i związków jest już bardzo wiele, gdy powstaje z nich chaos, w którym myśl się błąka, wówczas zaczyna się szukanie nici przewodnich. Zrazu nici tych jest bardzo wiele, biegną niezależnie jedna od drugiej, obejmują różne pomiędzy sobą grupy zjawisk. Następnie w miarę postępu łączą się z sobą w coraz grubsze, obejmujące coraz większą ilość zjawisk. Różnych w istocie swych grup okazuje się coraz mniej. W końcu myślowe domieszki całego szeregu myślicieli skręcają owe nici w jedną, wiążącą wszystkie zjawiska świata. W dziejach zawsze ją spotykamy, nosi ona tylko rozmaite nazwy. Obecnie nazywa się mechanicznem, albo też energetycznym objaśnieniem świata. Dziś zaczęto ją już napowrót rozplątywać, okazuje się bowiem, że to, co ona tak silnie napozór wiązała ze sobą, jako coś jednorodnego, jest właściwie bardzo różnorodnem i związać w jedno się nie da. Jeżeli nic ta w przyszłości rozpadnie się zupełnie, to odwieczne wrzeczono na kołowrocie ziemi, myśl ludzka pomoże wkrótce uprząść i skręcić inną podobną».

— „Slovanský Přehled“ w zeszytach styczniowym daje charakterystykę poety bułgarskiego *Konstantego Weliczkowa* pióra Władysława Śaka. Zajmuje on wybitne stanowisko nie tylko przez prace literackie, ale i życiem swoim. «Apostoł nieszczęsnego a nierozważnego powstania w r. 1876 przebył, a po części przeniósł na siebie przesładowania. Z ideałów młodości wytworzył sobie świątynią najczystszej wiary w przyszłość swej ojczyzny, a marząc o tem, aby umrzeć na progu nowej epoki, dożył do doby, która się sprzeniewierzyła dawniejszym wysiłkom całego narodu, a surowo urąga wszelkim ideałom». — Urodzony w r. 1856 w Tatar-Pazardżiku był po ukończeniu studiów nauczycielem w rodzinnem mieście aż do czasów powstania. Jeszcze będąc studentem, oddawał się literaturze. Po osiągnięciu niepodległości Bułgarii był czynny w polityce i jest nim do dziś dnia. Obecnie jest posłem do Zgromadzenia Narodowego. Dwa razy był ministrem oświaty (pierwszy raz pod nazwą «dyrektora» za czasów Rumelijskich) i raz ministrem kultu. Pomimo to zmuszony jest walczyć z ciężkimi warunkami ekonomicznymi w kraju, gdzie «najlepsza książka nie sprzedaje się więcej, niż w 500 egzemplarzach». Oprócz drobnych prac wydał dramata: *Nawienka i Światostaw* i *Haderol*. Z liryki *Sonetu Carogrodzkie* i *V žalíří*, wspomnienia z ucisku. Prócz tego *Listy z Rzymu*. Wydaje *Letopisy* i przełożył *Pieśń* Dantego.

— „Česka Myl“, dwumiesięcznik filozoficzny daje szkic *Chorwackiej literatury filozoficznej* pióra p. Ot. Kádnera. Pierwszym filozofem, piszącym rozumie się po łacinie, był Marko Marulicz (1450—1524), autor dzieła *De institutione*

bene beneateque vivendi, które miało 10 wydań oryginalnych, później zaś przełożone zostało na języki: włoski, francuski, hiszpański i niemiecki. Wielbicielem Arystotelesa był w XVI wieku Fr. Patricij. Z Dubrownika rodem był J. R. Boszkowicz (1711—1787) znany twórca odrębnego typu atomizmu. Pisał on także w zakresie matematyki, astronomii, fizyki, historii, archeologii i poezji. W rozprawie *De viribus vivis* (1745) doszedł do pojęcia atomu, podobnego do tego, jakie Kant później naszkicował w swojej *Monadologia physica* (1756), a w r. 1858 wydaje główne dzieło *Theoria philosophiae naturalis*, w którym pojęcie to obiera za podstawę pojmowania przyrody i poglądu na świat, zbliżając je do Leibnizowskiej monady. Odrodzenie narodowe na początku XIX stulecia kierowało twórczość na inne pola literatury. Dopiero po założeniu Akademii w r. 1867 i uniwersytetu w Zagrzebie (1874) rozpoczął się ruch naukowy. Pierwszym z profesorów filozofii na uniwersytecie tym jest Fr. Markowicz (ur. 1845), który czynny był uprzednio jako poeta. Jako profesor oddał się przeważnie pracom krytycznym i estetycznym. W filozofii w ogóle reprezentuje kierunek Herbartowsko-Zimmermannowski. Młodszy kolega jego Dj. Arnold (ur. 1851) jest profesorem od r. 1894 również poeta; przebył wszakże poważne studia filozoficzne w Niemczech. Pierwszą pracą jego była *Etyka i powieść* (1879). Rozpoczął również od herbartyzmu, ale śledzi pilnie za rozwojem nowszej filozofii, o czem świadczy jego *Logika i psychologia*. Obrany na rektora w r. 1899 w mowie wstępnej o *Filozofii, naukach przyrodniczych i socjologii* dzieli wiek XIX na trzy okresy: w pierwszym panuje aprioryzm pokantowski, w drugim przyrodoznawstwo, trzeci pod wpływem Comte'a przybiera charakter społeczny. Cała wiedza socyalizuje się. Też same znamiona okresów dają się wykryć i w belletrystyce (romantyzm, naturalizm, tendencja socyalna). — Z młodszych A. Tresicz Pawiczicz (ur. 1867) zajmuje się psychologią; Golik i Kuzmicz historią filozofii; A. Bauer, profesor dogmatyki, neoscholastyk wydał *Teologią* (1892) i *Ontologią* (1894).

Z innych artykułów wymienimy p. Ol. Josek'a *O samozachowaniu w stosunkach międzynarodowych*.

— „*Die Religion der Menschheit*“ (zeszyt IV, 1901), oprócz artykułów poświęconych popularyzacji zasad pozytywizmu, omawia dzieło p. Nowikowa *La fédération de l'Europe*. Kilka myśli przytoczonych z tego dzieła, dadzą o nim pojęcie:

•Ludzkość powinna się przeobrazić zupełnie — powiada p. Nowikow. — Dotąd głównym jej celem był rabunek; odtąd będzie nim produkcja. Od chwili, gdy to nastąpi, federacja stanie się faktem, gdyż federacja nie jest niczem, jak tylko stosunkiem prawnym (poszanowaniem praw innych) zastępującym anarchię (panowanie siły).

•Możliwe, iż federacja zostanie stworzona przez usiłowania wydziedziczonych tego świata. Nasyćeni znajdują, że obecne położenie jest znośne; ale głodni nie są tego zdania».

Zaznaczymy jeszcze artykuły o *Reformie gruntowej* przez p. Engel'a; o *Etyce społecznej w Stanach Zjednoczonych* przez T. Minuth'a. — W kronice nadmienia p. Molenaar o epizodzie z p. Omańkowską w Poznaniu, potępiając rząd pruski za jego postępowanie względem polaków, «którzy mają zupełnie to samo prawo do pielęgnowania swego języka i narodowości swojej, jak i my, Niemcy».

NOWE KSIĄŻKI.

Louis Büchner: *A l'aurore du siècle. Coup d'oeil d'un penseur sur le passé et l'avenir.* Version française par le Dr. L. Laloy. Paris, Schleicher frères, 1901.

Ernest Haeckel: *Les énigmes de l'Univers.* Traduit par Camille Bos. Paris, Schleicher frères, 1902.

Mamy przed sobą dwie książki, stanowiące niejako testamenta idejowe dwóch weteranów materjalizmu teoretycznego w Niemczech; dwóch, rzecz można, głównych jego popularyzatorów, których imiona zrosły się z tym ruchem, należącym już po części do przeszłości.

Jeden z nich już zeszedł ze sceny, rzucając przed śmiercią ów *Rzut oka myśliciela*, zwrócony ku jutrzni nowego stulecia. Drugi jest już w wieku sędziwym, a w książce swojej zebrał i systematycznie zestawił poglądy swoje na wszystkie *Zagadki wszechświata*, dając w ten sposób syntetyczną całość poglądu na świat czysto przyrodniczego. Obaj bowiem wiążą ściśle poglądy swoje z wiedzą przyrodniczą, na której wyłącznie kształcili się, ignorując krytycyzm filozoficzny, a wszelkie próby określenia warunków i wartości poznania traktując jako «subtelności metafizyczne». Ale Büchner, który wystąpił wcześniej, opierał się więcej na hipotezach fizycznych, odnawiając materjalizm XVIII stulecia, kiedy Haeckel operował głównie na podstawie biologicznej, rozwijając myśli Darwina i stosując je do rodowodu królestwa zwierzęcego w ogóle, a człowieka w szczególności. Pierwszy mógł być przeto konsekwentniejszym — bo główne trudności przy rozciągnięciu poglądu przyrodniczego na całość zjawisk wszechświata zaczynają się dopiero w zakresie życia, nieprzechwyconą zaś zaporę logiczną przejścia od zjawisk materjalnych do świadomości przecinał łatwym frazesem, że myśl jest funkcją mózgu. Drugi, przebywając ciągle w zakresie zjawisk biologicznych, musiał nieustannie mieć na oku tę dwoistość danych empirycznych, a chcąc ominąć sprzeczność, musiał ją ukryć w głębi nieskończenie małych pierwiastków, z których buduje wszechświat, nadając życie i świadomość atomom.

Któż z obecnie czynnego pokolenia ludzi wykształconych nie czytał kiedyś, w młodym wieku, może nawet cichaczem od starszych, *Sily i materji* Büchnera¹⁾, tej «strasznej» książki, burzącej kojący dogmatyzm wierzeń tradycyjnych, wpojonych w domu i w szkole? Któż nie odczuwał bólu a może i oburzenia, gdy mała ta książeczka odzierała w oczach jego świat z szat poezji i piękna, gdy namiot nieba zostający pod troskliwą opieką ojcowską zastępowała zimnym mechanizmem, pozbawionych wszelkich jakości atomów i sił? Któż znowu nie odczuwał upokorzenia i fałszywego wstydu względem przodków swoich, czytając rodowód człowieka w *Dziejach utworzenia przyrody* Haeckla?²⁾

A jednak to wytrącenie z drzemki dogmatycznej, to biczowanie nadętej zarozumiałości «króla przyrody» miało swoje dobre skutki: rozsiewając wia-

¹⁾ Przekł. polski wyd. we Lwowie około 1866 r.

²⁾ Przekł. polski, Lwów, 1869.

domości na ślepo przyjęte, kazalo myśli szukać, badać, budować poglądy własne i samodzielne. I dziś pragnęlibyśmy, ażeby młodzi czytelnicy nie pomijali tych pisarzy; nie po to, by na nich się zatrzymać, lecz aby pójść dalej. Bo żeby iść naprzód, trzeba przedewszystkiem zamieść przed sobą drogę. Z drugiej strony zaś jeśli pogląd przyrodniczy nie wystarcza dla objęcia całości kształtu naszego poznania; jeśli jego «prawdziwość» jest bardzo niedoskonała, to przedstawia on wszakże tak doskonałą zamkniętą w sobie całość, tak harmonijne spojenie ogromnego obszaru poznania, że dokładna jego znajomość staje się dziś niezbędną dla każdego pracującego nad wyrobieniem własnego poglądu na świat. A niezbędną jest z dwojakiego stanowiska: 1) dla treści swojej, która wchodzi jako czynnik w wyrobieniu tego poglądu¹⁾; 2) dla formy t. j. strony metodycznej, która jest najdoskonalszym wzorem zastosowania metody naukowej analitycznie-syntetycznej, a więc stanowi doskonałą szkołę logiczną dla każdego przystępującego do szerszych zagadnień filozoficznych.

Jeśli zestawimy z sobą dwa dzieła wymienione w nagłówku, dostrzeżemy łatwo przewagę zarówno pod względem szerokości poglądów jak i zwiększości a jasności wykładu po stronie książki Büchnera, co zresztą wypływa po części z jej charakteru: jest ona «rzutem oka», gdy książka Haeckla jest rodzajem podręcznika, dającego w skondensowanej formie rozwiązanie całego szeregu zagadnień wszechświatowych. Bliżej też życia społecznego i jego zagadnień bieżących stoi pierwszy. *Wiedza, Filozofia, Materyalizm, Religia, Spirytyzm, Polityka, Anarchia, Kwestya społeczna, Feminizm, Kwestya żydowska, Literatura i sztuka* — takie są przedmioty, które omawia Büchner w dwunastu rozdziałach swojej książki. Widzimy, że nie pominął żadnej z kwestyj głośniejszych, zajmujących ogół. Gdy wszakże spojrzymy na odpowiedzi, które daje na nie, skłonni jesteśmy zredukować nazwę «myśliciela» zawartą w tytule, do skromniejszej — człowieka myślącego. W zapatrywaniach swoich bowiem autor nie jest bynajmniej myślicielem torującym drogi nowe, lecz człowiekiem, który ma swoje własne zdanie w każdej z wymienionych kwestyj i zdanie to wypowiedziada. Opinie jego wnoszą się wprawdzie w ogóle mówiąc, ponad poziom przeciętnej myśli filistra, niekiedy w znacznym stopniu ją wyprzedzając, nie są wszakże wynikiem głębszych studyów, dających niezachwiane podstawy, szeroki polot i ścisłość przekonaniom myśliciela, lecz raczej wytworem jasnego i zdrowego rozumu, który otrząsnawszy się z przesądów w jednej dziedzinie, nabył przyzwyczajenia śmiało i samodzielnie rozstrzygać inne zagadnienia. Tak np. przedstawiwszy w jaskrawych barwach zło, wynikające z kontrastu zbytku i nędzy w społeczeństwie, a poddawszy krytyce rozmaite proponowane środki, przychodzi do takiego wniosku:

«Nie, prawdziwy socjalizm nie sprzyja żadnej klasie, ani ugrupowaniu zawodowemu. Chce wyzwoić całe społeczeństwo, nie wykluczając i pracowników intelektualnych, których położenie bywa często gorsze niż rzemieślników. W tym celu powinien zrównać majątki i środki, przy pomocy których każdy podtrzymuje walkę o byt... Nie potrzeba, jak chcą kolektywiści dążyć do przerobienia jednostki na maszynę, lecz pozostawić jej zupełną niepodległość» (str. 119). — Gorąco powstaje autor na niesprawiedliwość względem ko-

¹⁾ Odsyłamy do artykułu p. t.: *Wiedza przyrodnicza jako czynnik poglądu na świat* w rocznikach 1900 i 1901.

biet społeczeństwa obecnego, przyznaje im wyższe raczej niż równe z mężczyznami zdolności do studyów. «W sumie emancypacja zupełna kobiety jest tylko kwestyą czasu», tak konkluduje autor rozdział o feminizmie.

Antysemityzm niweczy Büchner bardzo prostym, ale nie dającym się zbić rozumowaniem: na 50,000.000 ludności w Niemczech jest 500.000 żydów, t. j. 1%. Gdyby było prawdą, iżby rasa ta wywierała tak olbrzymi i zgubny wpływ, jaki im przypisują, należałoby przypuścić, albo niesłychaną potęgę w niej samej, albo niesłychaną słabość i ułomność w społeczeństwach tak łatwo ulegającym jej wpływom.

Przechodzimy teraz do dzieła Haeckla, które ma charakter niejako ewangelii «filozofii monistycznej», przeznaczone, jak pisze autor w przedmowie, «dla tych wszystkich ludzi wykształconych, którzy myślą i szukają prawdy». W szeregu rozdziałów przebiega on budowę ciała i jego czynności, jego rozwój embryologiczny i filogenetyczny, świadomość i nieśmiertelność, zasadnicze prawa dotyczące materii, rozwój wszechświata, jedność przyrody, stosunek jej do Boga, wiedzę i wiarę, religią i moralność monistyczną, wreszcie rozwiązanie zagadek wszechświatowych. Każdy rozdział zaopatrzony jest wskazówkami dla czytelnictwa uzupełniającego; przeglądając uważnie tę literaturę, znaleźliśmy w każdym prawie z rozdziałów po parę dzieł, które istnieją w przekładach polskich. Dowodzi to, że literatura nasza naukowa w okresie pozytywizmu nie zaniedbywała obowiązków swoich.

Poglądy monistyczne dają się ująć w sześciu zasadach: 1) *Monizm* (jedność świata duchowego i cielesnego), 2) *Panteizm* (jedność Boga i świata), 3) *Genetyzm* (rozwój nieustanny wszechświata), 4) *Naturalizm* (wszystko redukuje się do przyczyn naturalnych czyli praw zachowania materii i energii), 5) *Mechanizm* (życie jest objawem mechanicznym), 6) *Tanatyzm* (śmiertelność).

KORRESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Jakie są warunki przyjęcia na wydział filozoficzny Uniwersytetu lwowskiego dla kończących szkołę realną w Królestwie Polskiem?

Odpowiedź. Kwestyę tę rozstrzyga dziekan. Wogóle przyjmują na uniwersytetach austriackich z patentem szkoły realnej (krajowej lub zagranicznej), jako «studentów nadzwyczajnych» pod warunkiem złożenia w ciągu pobytu egzaminów dopełniających do matury. Po ich złożeniu dopiero można się immatrykulować, przyczem poprzednio wysłuchane semestra zostają zaliczone. Czasami może fakultet zwolnić od tego warunku. Wiele zależy od tego, jaką obiera się specjalność:

dla filologii oczywiście języki grecki i łaciński są niezbędne. Przygotowanie do matury nie jest zbyt trudne. Wiele pań składa ją po upływie roku lub dwóch.

Pytanie. Znajomość jakich dziedzin wiedzy jest nieodzowną dla człowieka inteligentnego? Jakie należy studyować nauki prócz własnej specjalności?

Odpowiedź. Pytanie to wymagałoby bardzo obszernej odpowiedzi; odsyłając po szczegóły do dwóch książek wydawcy tego pisma: *Co i jak czytać?* zwłaszcza *Wstęp i Klasyfikacja umiejętności, jako wstęp do wykształcenia ogólnego* (drugie wydanie pod prasą), zaznaczymy tylko w krótkości, że nie

tyłe ilość lub wybór nauk stanowi o tem, czy możemy komuś zasadnie nadać miano człowieka inteligentnego, ile raczej spójność wiadomości nabytych w harmonijną całość i ta myśl, z którą się one nabywają. Cechą inteligentnego człowieka jest przede wszystkim (ze strony teoretycznej) to, że wiedza nabyta tworzy dlań materiał do syntezy, którą jest pewien pogląd na świat; tę syntezę, musi *sam* wykonać; jeśli nie czyni zadość pierwszemu warunkowi (syntezie), to suma nabytych wiadomości czyni zeń tylko «worek mądrości», ale nie człowieka mądrego. Jeśli nie spełnia drugiego z wymienionych warunków, to jest nie sam wytwarza swój pogląd na świat, lecz przyjmuje gotowy, nie jest również mędrcem, lecz «papugą mądrości». Drugą cechą również zmienną jest ta, że człowiek inteligentny szuka wiedzy nie po to, by zajmowała jakąś odosobnioną kryjówkę w jego umyśle, obok której mogą się mieścić najdziksze przesady, najwierutniejsze zabobony, najpospolitsza filisterya, kierująca jego krokami życiowymi. Pogląd na świat teoretyczny wiąże się u niego ściśle z wymaganiami praktycznymi, z zasadami i przepisami, które obiera jako kierowniki postępowania swego w życiu. Innymi słowy wiedza staje się dla niego prawodawczynią życia. — Co zaś do tego, jakie gałęzie wiedzy przyczynić się mogą do wytworzenia poglądów ogólnych,

a jakie dać wskazówki dla zasad postępowania — na to znowuż odpowie *Co i jak czytać?* przeważnie zaś rozdz. III, IV, VII, IX w części I-szej i cała część II-ga. Odsyłamy także do szkicu *Inteligencya i wykształcenie w Ha-słach umysłowości współczesnej* tegoż autora.

Pytanie. Czy przy studyowaniu historii literatury powszechnej lub polskiej wystarczy czytanie podręczników i wypisów (w rodzaju *Obrazu literatury powszechnej* lub *Złotej przędzy* i t. p)?

Odpowiedź. Książki tu wymienione są wypisami, bardzo pożytecznymi, gdyż dają możliwość poznać w urywkach autorów, o których się czyta, lecz nie mogą oczywiście zastąpić biblioteczeki arcydzieł. Zwłaszcza dotyczy to *Obrazu literatury*, który, skrepowany będąc w wyborze przeważnie istniejącymi przekładami, nie zawsze daje najbardziej charakterystyczne utwory pewnego autora, lub najlepsze z nich ustępy. Przypiętem indywidualne zainteresowanie czytelnika każe mu nieraz zwrócić się do utworu, nawet drugorzędne stanowisko zajmującego, lecz dla jakichbądź względów budzącego jego ciekawość. Wreszcie istnieje szereg arcydzieł wszechświatowych, których przeczytanie w całości jest niejako obowiązkiem dla każdego wykształconego człowieka. Wybór ten mamy zamiar podać niebawem.

KRONIKA.

— Otrzymujemy broszurę, zawierającą oświadczenie trzech głównie czynnych członków rady zarządzającej **Instytutu nauk społecznych**, założonego przez p. Solvay'a w Brukselli: pp. Hektora Denis'a, Wilhelma de Greef'a

i Emila Vandervelde'go o ich ustąpieniu z tej instytucji obok korespondencyi ich z p. Solvay'em; wyjaśniającej powody tego wystąpienia. Wymienieni uczeni ogłosili w rocznikach tego instytutu od r. 1894 do 1900 sze-

reg prac z zakresu ekonomicznie-społecznego, których lista jest załączona.

— Cztery **Kalendarze**, wydane staraniem p. Wojnara, a mianowicie: *Polak*, *Gospodarz*, *Kalendarz Maryjański* i *Kalendarz powszechny*, odznaczają się bardzo starannym wyborem przedmiotów w częściach literackich, pracowicie ułożeniami i stosownie dobranymi częściami informacyjnymi, obfitością i dobrym gatunkiem ilustracji a bardzo przystępną ceną. Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak wiele jest osób, dla których kalendarz stanowi jedyną książkę czytaną w ciągu roku, to przekonamy się, że rozumny, uczciwy i odpowiadający wymaganiom estetycznym, wybór treści w kalendarzu stanowi nie małej wagi czynnik kultu-

ralny. Dlatego też praca ta, moźna a niewdzięczna ze wszechmiar, zasługuje na uznanie, a jej owoce na polecenie, zwłaszcza wobec rozwieleniania się u nas tandety, szablonowo w Niemczech fabrykowanej.

— Drugi rocznik rozpoczyna wysoce sympatyczne wydawnictwo: „**Głos ziemi Sandomierskiej**“, rzadki objaw samodzielnego wlotu myśli dziennikarskiej w cichym zakątku prowincjonalnym. Serdeczne życzenia przesyłamy zacnemu koledze.

Nekrologia.

Wilhelm Bogusławski, badacz dziejów słowiańszczyzny, zmarł na Wołyniu, mając lat 76.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Realiscie*. Na pytania Pańskie chętniej odpowiemy listownie. Prosimy więc o dokładny adres (kartą pocztową). Tu zaznaczymy tylko, że wybór i roz-

kład przedmiotów jest bardzo trafny. Wiele wszakże zależy od wyboru podreczników.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

V. Maes: *Projection Sphérique comparée aux autres projections*. Publié par l'Institut Géographique de l'Université Nouvelle. Bruxelles, 1901, str. 13 i 3 tablice.

Jules Destrée: *La fin du parlementarisme*. Discours prononcé à la séance solennelle de rentrée de l'Université Nouvelle de Bruxelles 14 oct. 1901. Bruxelles, 1901. — Cena 50 ctm.

Fifth and Sixth list of Books offered for sale by W. M. Voynich (z reprodukcjami kart tytułowych i faksymilami).

M. Wierzbiński: *Akwarele angielskie*. Lwów, Tow. Wydaw., 1902, str. 154.

M. Zaruski: *Sonetny morskie i sonetny północne*. Kraków, 1902.

P. Chmielowski: *Najnowsze prądy w poezyi naszej*. «Wiedza i Życie». Lwów, 1901.

Ad. Szelałowski: *Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce*. Lwów, Tow. wyd., 1902, str. 320.

E. Sonnenberg: *Reklama lekarska w obliczu etyki stanowej*. Warszawa. (Odbitka z «Krytyki lekarskiej»), 1901.

— *Granice władzy zawodowej lekarza*

- ze stanowiska prawa i etyki. (Odbitka z «Czasopisma lekarsk.»). Łódź, 1901.
- *Tajemnica lekarska, jako nakaz stanowy, przepis prawny i postępowanie etyczne* (Odb. z «Czasop. lekarsk.»), Łódź, 1899.
- E. Biernacki: *Zasady poznania lekarskiego*. Warszawa. Nakł. grona lekarzy. — Cena rs. 1'80.
- F. Popławska: *Dwie mogiły*. Powieść dla starszej młodzieży. Lwów, Tow. Wydaw., 1902.
- Polak* - kalendarz historyczno - powieściowy na rok 1902.
- Kalendarz Maryjański* na rok 1902. Wyd. K. Wojnara. — Cena groszy 80.
- Gospodarz* - kalendarz na rok 1902. Wyd. K. Wojnara.
- Ernst Haeckel: *Les Enigmes de l'Univers*. Traduit par. Camille Bos. Paris, Schleicher freres, 1902. — Cena fr. 10.
- S. i B. Webb: *Dzieje organizacji zawodowej w Anglii*, przekł. J. S. i J. K. 2 t. Kraków, Br. Natanson, 1901.

Mamy pewną ilość kompletów

„**POGLADU NA ŚWIAT**“

z lat ubiegłych,

które ofiarujemy za zgłoszeniem do Redakcyi (netto):

Rok 1899 i 1900 (15 numerów) za rs. 2 (w Austrii złr. 2).

Rok 1901 (12 numerów) za rs. 1 $\frac{1}{2}$ (w Austrii złr. 1 $\frac{1}{2}$).

Również są do nabycia w Redakcyi

PROGRAMY-STRESZCZENIA (syllabusy):

W. M. Kozłowski: *Historia literatury powszechnej*. — Cena kop. 15.

— *Historia filozofii starożytnej*. — Cena kop. 15.

Z. Daszyńskiej-Golińskiej: *Ekonomia społeczna*. Cena kop. 15.

Opuszcza prasę:

W. M. Kozłowski: **Z hasał umysłowości współczesnej.**
Szkice publicystyczne.

TRĘŚĆ: Wykształcenie i oświata. — Czem jest pogląd na świat i na co potrzebny? — Inteligencya i wykształcenie. — Rola jednostki inteligentnej w społeczeństwie. — Czy mamy inteligencyą? — Indywidualizm i jego granice. — Jednostka i społeczeństwo. — Źródła psychologiczne i związek wzajemny potęg dziejowych. — Postęp i wsteczność. — Tradycya i nowość. — Mrówcza praca czy wzlot ku wyżynom? — O dogmat. — Ruch etyczny wobec zagadnień socyologicznych współczesnych. — Słówko o kobiecie. — Apostołowie mierności. — Gieniusze bez teki. — Self-made men. — Mrok czy świt? — Epigonizm współczesny. — Epilog.

— *Królestwo ideałów i odkupienie estetyczne*. — Cena cnt. 25 (kop. 20).

— *Idea etycznie - społeczna w ostatnich powieściach Elizy Orzeszkowej*. — Cena cnt. 50 (kop. 40).

RELIGIA LUDZKOŚCI¹⁾.

Stąpaj więc dalej, o synu światłości!
Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie;
Wszystko, co żyje, świeci, dźwięczy, plonie,
Twojem, na drogach twej nieśmiertelności.
Coś myślą pojął — dosięgniesz ramieniem,
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki
Weźmiesz, jak perły widome do ręki,
Gdy wrócą kiedyś, świeże i stwardniałe,
W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe.
Bądź znów, jak Tytan, wielki, silny, dumny,
Wszędzie kolebki, nie ma nigdzie trumny,
I wszędzie niebo, niema nigdzie ziemi —
I wszędzie Bogi, nad Tobą i w Tobie...

Z. Krasiński.

Cały wiek XIX upłynął w daremnych wysiłkach syntezy, pomiędzy indywidualizmem, pod którego hasłami odbywały się świeżo zwycięskie walki Rewolucji francuskiej a ideą braterstwa, która już jednym ze składników swoich — równością — weszła w skład tego odrodzonego przez nią indywidualizmu.

Od samego początku ubiegłego stulecia, a nawet w czasie walk rewolucyjnych końca XVIII, czuli myśliciele o wzroku w dal sięgającym, że synteza ta nie jest dostateczną; że potrzebne jest szersze i głębsze przeprowadzenie zasad braterstwa, ażeby indywidualizm uszlachetnić i podnieść do prawdziwej wolności. Jako też na samym początku nowego stulecia występuje umysł ge-

¹⁾ Artykuł ten zaczyna szereg studyów, mających na celu wykrycie i ocenę pierwiastków przyszłości, chaotycznie mieszających się i krzyżujących z odgłosami reakcji w prądach umysłowych XIX wieku.

niałny, duch pośredni pomiędzy dwoma wiekami, który usiłuje wytworzyć syntezę wszechobjmującą, reformę całej myśli, wierzeń i stosunków społecznych ludzkości. Reforma ta rozpocząć się musiała od religii.

Le Nouveau Christianisme Saint-Simon'a jest tylko ułamkiem większej zamierzonej pracy, która miała być wykonaną według programu ogólnego, wytkniętego sobie przez tego myśliciela: «Zbadać pochod umysłu ludzkiego, ażeby pracować następnie nad udoskonaleniem cywilizacji»; jest szkicem niedoskonałym, zawierającym wszakże kilka myśli, z których uczeń jego Comte snuł już samodzielnie swoją pracę reformatorską.

Już w samym pojmowaniu religii daje się poznać umysł XIX wieku. W przeciwności do poprzedniego stulecia, negującego bezwzględnie religią, jako rozmyślną «obludę księży», mającą na celu panowanie nad ciemnym tłumem, Saint-Simon pojmuje ją historycznie: «religie są zmateryalizowanymi systematami filozoficznymi». Religie mają swoje okresy dzieciństwa, rozkwitu i upadku. Chrześcijaństwo jest wyższe od poprzednich systematów. Rozkwitem jego był katolicyzm średniowieczny. Znaczenie dziejowe Lutra polega na tem, że był burzycielem systematu przeżytego, ale to, co ustanowił na jego miejscu, nie posunęło naprzód chrześcijaństwa, lecz przeciwnie, cofnęło je wstecz. Odnowić chrześcijaństwo — znaczy odbudować go z nowoczesną wiedzą i filozofią.

Takie myśli ogólne rzucił był Saint-Simon w owym fragmencie. Comte rozwinął swój systemat religii pozytywistycznej około połowy XIX stulecia, a bardzo rozpowszechnionym i stale w literaturze mniej ścisłej powtarzanym jest pogląd, jakoby to dzieło drugiej połowy życia twórcy pozytywizmu było powrotem do poglądów metafizycznych tak energicznie potępianych w pierwszej; jakoby było czemś zupełnie przeciwnym Kursowi, nawet rodzajem zboczenia umysłowego; myśl tę spotykamy nawet w badaniach najnowszych ¹⁾. Dostyć jest wszakże zastanowić się głębiej nad znaczeniem, jakie nadał Comte całemu systematowi pozytywizmu, a zwłaszcza przeczytać jego młodzieńcze szkice, zarysowujące już plan działalności twórczej, wypełniającej całe później-

¹⁾ Tak np. u Allengri'ego (*Sociologie d'Aug. Comte*), który wszakże zwrócił uwagę na pomijane zwykle, a tak ważne do rozstrzygnięcia tej kwestyi artykuły z doby młodzieńczej Comte'a, umieszczone w dodatku do *Système de politique positive*.

sze życie, aby dostrzedz, jak ściśle związana jest Religia ludzkości z całokształtem jego poglądów.

Pozytywizm w myśli Comte'a obejmuje cały zakres życia jednostki i ludzkości, nie tak wszakże, jak to czyni filozofia. Pozytywizm nie jest tylko teorią wszechświata, ale i samą wiedzą o nim: *Kurs filozofii pozytywnej* — to encyklopedia filozoficzna wszystkich umiejętności zasadniczych. Nie jest również pozytywizm tylko filozofią religii, lecz samą religią ze wszystkimi dogmatami i szczegółowymi przepisami kultu; nie jest tylko filozofią moralności, prawa i państwa, ale etyką i polityką praktyczną; słowem, jak sam Comte mówi, jest systematyzacją wszystkich objawów życia.

«Pozytywizm składa się głównie z filozofii i z polityki, które są z konieczności nierozdzielne, jedna bowiem stanowi podstawę, druga — cel jednego systemu powszechnego, łączącego ściśle rozum z uspołecznieniem»¹⁾.

«Taką więc jest misja zasadnicza pozytywizmu: uogólnić wiedzę rzeczywistą i usystematyzować sztukę uspołecznienia»²⁾.

Czy takie pojmowanie zadań wytworzyło się dopiero później, jako dodatek, nie harmonizujący z pierwotną tendencją kursu?

Przeciwnie, wszystko dowodzi, że pierwszą i zasadniczą myślą Comte'a było stworzenie religii społecznej; że studia naukowe, których wynikiem był Kurs, stanowiły tylko czasowe odstępianie dla przygotowania się do tego celu. Umysł to tak dalece praktyczny, nie pojmujący zaciekania się w dziedzinę czystego poznania, że nie tylko wyrzuca ze swojej systematyzacji wszystkie zagadnienia, które uważa za nierozwiązalne, potępiając wszelką metafizykę, ale nawet z wiedzy ścisłej chętnie usuwa wszystko, co zdaniem jego nie może mieć wpływu na losy ludzkości. Za taką np. uważa astronomię gniazd stałych:

«Oczywista, bezowocność głównych usiłowań ku temu celowi skierowanych od stulecia blisko, nie zniechęciła nawet astronomów do tej jałowej rutyny, o której bezcelowości wszakże zaczyna już domyślać się ogół»³⁾.

Słowa te napisane były w kilkanaście lat po zmierzniu przez Hershela pierwszej paralaksy gwiazdy stałej, a zaledwie na

¹⁾ *Politique positive*. Préambule générale T. I. str. 2.

²⁾ *Ibid.* str. 3.

³⁾ *Politique positive*, I, str. 509.

kilka lat przed odkryciem analizy widmowej, która miała utorować drogę do poznania budowy chemicznej i oceny wieku najodleglejszych gwiazd!

Taki umysł więc o dążnościach przeważnie praktycznych, umysł, który już na początku swego zawodu, podniósł bakonowskie hasło: «wiedza to potęga», w przeciwstawności do hellenistycznego, niezrażonego niczem dążenia ku prawdzie dla samej prawdy, umysł ten, widząc potęgę duchowieństwa, widząc masę wysiłku i najlepszych uczuć, skierowanych na praktyki bezużyteczne, widząc liczne umysły błakające się po labiryntach scholastycznych dogmatyki średniowiecznej, nie mógł nie zastanowić się nad tem, jak dalece użytecznem byłoby dla ludzkości, gdyby popędy te zostały skierowane ku jej dobru; gdyby na pytania, z tęsknotą zadawane, dać odpowiedzi zgodne z wiedzą dzisiejszą; gdyby praktyki religijne skierować ku utrwaleniu zasad owej wiedzy i dogmatów uspołecznienia, ku rozwojowi uczuć wyższych skierowanych na ludzkość.

Taki był punkt wyjścia, a zgodny z nim był cel pracy całego życia Comte'a. Celem tym było stworzenie religii, któraby popchnęła ludzkość na drodze postępu; religii zgodnej z wymaganiami dzisiejszej umysłowości, obejmującej w sobie całą wiedzę i wszystkie zdobycze cywilizacji, słowem syntezę wszystkiego, co wyrobiły wieki. Pozytywizm jest jednym wielkim systematem religijnym, którego dogmatami są prawdy naukowe, aspiracjami — ideały ludzkości.

Na miejscu więc powagi, opartej na mglistej tradycji, wiążącej się z wierzeniami pozaświatowemi, stawia powagę opartą na wiedzy — myśl, którą już znalazł gotową u St.-Simon'a, a której holdował również i Hoene-Wroński, umysł oryginalny i potężny, z wielu względów w życiu i twórczości przypominający Comte'a.

Idea rządu przez rozum, oddająca powagę w rozstrzygnięciu zagadnień, a władzę w życiu czynnym najmądrzejszym, idea ujawniająca się już w Rzeczypospolitej Platona, u wymienionych przed chwilą mężów jest spuścizną racjonalizmu XVIII stulecia. Filozofia oświaty obrała rozum za najwyższą władzę w sprawach ludzkich, za sędziego nieomylnego i bezapelacyjnego, za lekarza na wszystkie kłęski ludzkości. Nic więc naturalniejszego, jak to wytknięcie dwojakiej drogi do oddziaływania rozumu na ludzkość:

przez wychowanie, jako przygotowanie odpowiednie jednostek; przez władzę, jako kierownictwo ogółu.

U Comte'a wszakże bardzo wczesnie myśl ta przybiera odzieni praktyczny i zupełnie charakterystyczny dla XIX wieku; występuje jako reakcja przeciwko indywidualizmowi XVIII stulecia. W rozprawie p. t.: *Separation générale entre les opinions et les désirs*, drukowanej bezimiennie w «Organisateur» 1820 r. Comte wynurza myśl, że walcząc przeciw brakowi wolności, wiek ubiegły wpadł w błąd przeciwny: «Wpojono rządzonym przesąd, niemniej śmieszny, chociaż mniej niebezpieczny, jakoby każdy mógł utworzyć sobie przy pomocy samego instynktu poprawny sąd o systemacie politycznym; każdy więc czuł się powołanym do tego, aby zostać prawodawcą». Wszakże to już Condorcet zaznaczył był niekonsekwencją w mniemaniu ogółu: nikt nie uważa, iżby mógł znać astronomią, fizykę i inne podobne umiejętności, bez odbycia w nich studyów; przyjmuje się wszakże powszechnie, iż każdy powinien posiadać naukę polityczną i mieć wyrobione a dosadne zdanie o zasadach najbardziej abstrakcyjnych, bez tego, aby się nad nimi zastanawiano lub odbywano studia w tym zakresie. «Pochodzi to stąd — powiada Comte — iż polityka nie jest jeszcze nauką pozytywną»; gdyby była taką, każdy zrozumiałby niezbędnosć studyów specjalnych. — Tu więc widzimy już wytknięty cel Kursu: podnieść naukę o społeczeństwie do stopnia wiedzy pozytywnej w postaci Socyologii, dla której pozostałe nauki stanowią tylko podwalinę; a myśl tę odnajdziemy i w kulcie religii pozytywnej.

Ażeby pojednać tę sprzeczność: «usunąć wymieniony przesąd, nie powracając do zasady obojętności politycznej, tak milej dla rządów», proponuje Comte ściślejsze rozgraniczenie między pożądaniami a opiniami. «Rozsądnem, naturalnem i koniecznem jest, aby każdy obywatel miał życzenia polityczne, gdyż każdy zainteresowany jest w dobrem prowadzeniu spraw publicznych... Wszakże opinia polityczna zawiera więcej niż życzenie: jest ona jednocześnie wyrazem i to zwykle w formie bardzo stanowczej i bardzo bezwzględnej, myśli, że te życzenia nie mogą być spełnione inaczej, jak przy pomocy tych a nie innych środków». To właśnie jest nierozsądnem. Udział więc publiczności w rządzie polegać powinien na wygłoszeniu swoich dezyderatów. «Publiczność sama tylko może wytykać cel, albowiem, jeśli nie zawsze wie czego potrzebuje, to wie doskonale czego chce, a nikt nie

może rościć pretensyi do tego, aby chcieć za nią. Gdy wszakże idzie o środki zmierzające ku temu celowi, powinni o nich decydować jedynie uczeni politycy, skoro tylko sam cel zostanie jasno wytknięty przez opinią publiczną. Byłoby niedorzecznością, gdyby tłum miał o tem rozumować. Opinia powinna chcieć, publiczności proponować środki wykonania, rząd zaś wykonywać. Dopóki te trzy czynności nie będą rozdzielone, istnieć będzie dowolność i zamieszanie».

Nie miejsce tu poddawać rozbirowi doniosłości proponowanego środka dla polityki praktycznej. Szło nam jedynie o zaznaczenie, jak wcześniej myśl o potrzebie powagi powstała w umyśle Comte'a, oraz o wykazanie sposobu, w jaki ją pojmował. Nie było to dążenie do powrotu pod rząd owej powagi w zakresie państwa i kościoła, przeciwko której występował wiek XVIII; powagi, która domagała się ślepego posłuszeństwa i wiary, że zarówno środki jak i cele wybrane są najwłaściwiej. Żądał tylko tej powagi, którą wiedza daje wobec niewiedzy; żądał, aby «polityków obdarzono tem samem zaufaniem, jakim darzymy lekarzy, astronomów i t. d., z tą różnicą, że wytknie się im cel i kierunek pracy»¹⁾.

Narówni z powagą, na której opierają się wierzenia religijne, zmienił Comte zasadniczo i sam przedmiot adoracyi: zamiast pozaświatowego Boga, zostaje nim Ludzkość, jako Wielka Istota, trwająca pomimo przemijania jej składników. Stanowią ją ludzie wieków minionych, obecnie żyjący i ci, którzy się narodzą, ale tylko ci, którzy poczuwają się do tej łączności, którzy są użyteczni ludzkości; pasażerowie są wykluczeni. «Wszelkie pożyteczne i dobrowolne współpracownictwo dla urzeczywistnienia przeznaczeń ludzkich czyni z istoty współpracującej rzeczywisty pierwiastek tego złożonego bytu, stosownie dogodności gatunku i uzdolnienia jednostki».

W tej idei ujawnia się najpotężniej pierwiastek uspołecznienia zawarty w nauce Comte'a. Złanie się z Ludzkością podniesione jest do godności najwyższej, do objawu, który przez wszystkie wierzenia religijne uważany był za szczyt dążeń: do wcieleń się w Boga. Ponieważ zaś z dwóch składników religii: *wierzeń* i *miłości*, do ostatniej przywiązuje twórca pozytywizmu największą wagę, więc kult ludzkości staje się najwyższem i zarazem naj-

¹⁾ Rozprawka ta przedrukowana jest w dodatku *Politique positive*.

bardziej uszlachetniającem zadaniem. Kult ten objawia się w trzech kierunkach, stosownie do trzech władz zasadniczych: «nasze badania, aby ją poznać; nasze uczucia, aby ją miłować; nasze czyny, aby jej służyć». Socyologia więc staje się nie tylko nauką, czyniącą zadość naszej żądzy poznania lub praktycznym potrzebom: jest ona rozumową formą kultu Najwyższej Istoty, a zarazem wskazówką dla formy czynnej tego kultu. Stąd też najwyższą zasadą etyki pozytywistycznej jest: *żyć dla innych* (Vivre pour autrui).

Zaznaczmy tu jeszcze drugą cechę o charakterze uspołeczniającym w idei kultu Ludzkości. Robotnik pracujący nad gmachem użytecznym dla ogółu, kamieniarz wykuwający dla niego glazy, bierze w większym stopniu udział w Wielkiej Istocie niż sybaryta, któremu odziedziczone bogactwa pozwalają zajmować się «artyzmem ducha»: tacy «geniusze bez teki», zostają z niej zupełnie wykluczeni, jako bezużyteczne pasożyty. Ta konsekwencya myśli Comte'a, przywracająca godność pracy, a nawet podnosząca współpracowników człowieka ze świata zwierzęcego do szczytu udziału w Wielkiej Istocie, konsekwencya, którą chętnie nazwalibyśmy *odkupieniem społecznem*, wiąże się ściśle z rolą, jaką przypisywał Comte proletaryuszom w przeprowadzeniu nowej fazy życia ludzkości, którą miał być pozytywizm, z tym szacunkiem, jaki dla tej klasy okazywał.

Jak przedmiot kultu religijnego z transcendentnego, pozaświatowego, stawał się immanentnym, w samej rzeczywistości namacalnej bytującym, tak też idea sprawiedliwości najwyższej, której wyrazem jest nieśmiertelność, traciła swój charakter problematycznie-pozaswiatowy, aby stać się bliską i namacalną. Na miejsce obiektywnej stanęła nieśmiertelność subiektywna, podmiotowa, w pamięci tej Wielkiej Istoty, a przedewszystkiem najbliższych do zmarłego jej pierwiastków. Pamięć ta tem szersza, tem trwalsza, im więcej zmarły położył zasług, t. j. im w większym stopniu należał do Ludzkości. Im dalej postępuje Ludzkość na drodze cywilizacyi, tem bardziej żyjąca, obiektywna jej część ulega wpływowi nieżyjącej, subiektywnej; rozwój bowiem zależy od całości. Stąd zasada, że *umarli rządzą żywymi* — przez dzieła i czyny swoje. W ten sposób owo elementarne źródło religij pierwotnych, kult przodków, zostaje podniesiony do idei filozoficznej i głębokiej, idei syntetyzującej w jedność Wielkiej Istoty wszystkie minione i przyszłe jej pokolenia.

Wielka Rewolucya francuska chcąc zaznaczyć nową erę,

dobę panowania rozumu i wolności, wprowadziła nowy kalendarz. Myśl tę przejął i Comte dla zaznaczenia doby pozytywistycznej, którą wszakże nie rozpoczął zarozumiale od chwili powstania własnej nauki, lecz od r. 1789 — początku Rewolucyi. Data ta zresztą przyjęta tymczasowo; trwała chronografia miała rozpocząć się od chwili uroczystej inauguracji społecznej pozytywizmu.

Cóż było naturalniejszego nad myśl zastąpienia paru tysięcy imion nieznanymi ogółowi i nic mu nie mówiących przez szereg nazwisk prawdziwych dobroczyńców ludzkości? W trzynastu miesiącach, składających się na rok pozytywistyczny, a podzielonych każdy na cztery tygodnie, daje Comte prawdziwy przegląd tak historyzoficzny — okresów, które przeżyła podmiotowa część Ludzkości, jako też i indywidualny — imion znakomitych na wszystkich polach twórczości, myśli i czynu.

Mamy więc tu miesiące poświęcone: teokracji (pod nazwą Mojżesza), poezyi starożytnej (Homer), filozofii starożytnej (Arystoteles), cywilizacji wojskowej (Cezar), katolicyzmowi (św. Paweł), feudalizmowi (Karol W.), epopei nowożytnej (Dante), przemysłowi (Guttenberg), dramatowi (Szekspir), filozofii (Descartes), polityce (Fryderyk II!) i wiedzy (Bichat) nowożytnym. Każdy zaś z nich gromadzi, jako patronów dni swoich, odpowiednio dobrane imiona. W miesiącu dwunastym (polityki) znajdujemy imię Kościuszki obok Washingtona.

Comte miał słabość, zwłaszcza w późniejszym wieku, opracowywać przepisy szczegółowe kultu, które przedstawiają najmniej obronną, niekiedy nawet śmieszoną część jego wielkiego dzieła z drugiej połowy życia. Wszakże jeśli weźmiemy tylko zasady ogólne, znajdujemy w nich same myśli podniosłe i uspołeczniające. «Nie czcimy Wielkiej Istoty w celu mówienia jej komplementów, lecz aby jej służyć doskonaląc siebie». «Kult Ludzkości powinien przyświecać nawet uczonemu we wszystkich jego badaniach». — Kult Ludzkości objawia się znowuż w trojkiej formie, zgodnie z podziałem władz umysłowych: polityka jest kultem czynnym, moralność uczuciowym, nauka i poezya — kontemplacyjnym. Stąd formuła: «Miłość zasadą, porządek podstawą, postęp celem».

Do znamion uspołeczniających, bo występujących przeciwko krzywdzie istniejącej w społeczeństwie dzisiejszem, należy także wysoka cześć dla kobiety, w osobach matki, żony i córki, jaka charakteryzuje kult pozytywistyczny: kobieta jest przedewszyst-

kiem przedstawicielką Ludzkości. I tu więc występuje idea odkupienia społecznego, podniesienie do wyższości tych składników ludzkości, którym prawo dzisiejsze nie przyznaje nawet równości.

Najbardziej wszakże ujawnia się uspołeczniająca dążność pozytywizmu w samym pojęciu religii. Religia jest dla Comte'a stanem zupełnej harmonii w istnieniu ludzkim, zarówno zbiorowym jak indywidualnym — Stan zupełnej jedności, syntezy i zespolenia jednostek, wynikający z miłości i wiary. Religia pozytywna ogarnia całe nasze istnienie, zadaniem jej opanować wszystkie nasze uczucia, myśli i czynności; utrzymać (w związku) i udoskonalić Ludzkość.

Zaprzeczenie religii przez negacyjny prąd oświaty w XVIII wieku nie wynikało tylko z wyłączności intelektualizmu, odrzucającego uczuciowość. Łączyło się z tem ściśle dążenie indywidualistyczne; tendencya ku rozerwaniu więzów duchowych, łączących społeczeństwo w całość jednością wierzeń, jednością przedmiotu czci.

Jeśli zastanowimy się nad tą stroną religii, to będziemy zmuszeni uznać trafność historyozoficznej oceny katolicyzmu przez Saint-Simona. W średnich wiekach katolicyzm był spójnią łączącą większą część Europy, pomimo jej rozbicia politycznego, w jedną całość bardzo spójną. Świat chrześcijański przeciwstawiał się niechrześcijańskiemu, a granice państwowe nie przeszkadzały poczuciu jedności całego Zachodu. Nizki poziom oświaty sprzyjał jednostajności wierzeń, co pociągało za sobą i jednostajność kultu. Wszakże postępy oświaty rychło zerwały tę jedność. Ludzie wykształceni naukowo i filozoficznie nie mogli podzielać «wiary węglarzy», a nie dzielając jej, starali się wyłamać z pod przymusu okazywania zewnętrznie tego, co nie było przekonaniem wewnętrznym ¹⁾. Stąd owo różniczkowanie się wierzeń w społeczeństwie, zrywające ostatecznie łączność pomiędzy jego klasami, a sprzyjające ich wroziej wobec siebie postawie.

¹⁾ Gdy przyjaciel Comte'a Valat w r. 1843 powrócił do katolicyzmu, Comte wieszował mu tego kroku, mówiąc, że katolicyzm jest «systematem naprawdę logicznym i socyalnym», dodając, że i samby to uczynił, «gdyby kiedykolwiek cofnął się do tego stopnia», uważał to wszakże za niemożliwość. «Czy znajdzie się np. dziś — mówił — wśród teologów najbardziej wytrawnych ktoś, ktoby naprawdę wierzył, że ja i tyłu innych skazani zostaniemy na męki wieczne za to, żeśmy odrzucili wszelkie dogmaty teologiczne, a przytem sumiennie pełniły wszystkie wymagania moralne?»

Protestantyzm z jego licznymi sektami jest bardziej racjonalną, ale też i bardziej indywidualistyczną formą religii niż katolicyzm, niedopuszczający zboczeń. To też w krajach, gdzie indywidualizm jest najdalej posunięty, jak w Anglii, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki, widzimy, że kościoły grupują ludzi według klas i według stopnia oświaty: najbardziej wykształceni gromadzą się dokoła sekt, jak unitarianizm lub kultura etyczna, przedstawiających czysto filozoficzne wierzenia. Zamożne mieszczaństwo ma liczne kościoły wszelkich denominacji, posiadające wymownych kaznodziei, dobrą muzykę, piękne lokale służące zarazem i za kluby towarzyskie. Lud biedny zadawania się ulicznymi kazaniami i śpiewami na placach publicznych Armii Zbawienia. Przeciwnie, w krajach katolickich zachowuje się przynajmniej pozorną jedność religii: kościół jest naprawdę miejscem, w którym wszystkie klasy spotykają się z sobą; w którym światowa pani nie wstydzi się ukłęknąć obok żebraka. Jedność to wszakże tylko pozorna. W rzeczywistości klasy oświecone, których wierzenia coraz bardziej odbiegają od wierzeń tłumów, usuwają się stopniowo od kultu, a dosyć jest wstąpić do kościoła w niedzielę, w którymkolwiek z większych miast Europy, aby przekonać się, jak mało naprawdę jednoczy on rozmaitych klas.

Wpływy estetycznie-uczuciowe, zwłaszcza gdy natrafiają na przygotowane już skądinąd dążenie do zbliżenia się z ogółem społeczeństwa, mogą popchnąć niekiedy jednostki, z natury swojej społecznie usposobione, do zjednoczenia się z masą na polu religijnym; ale zjednoczenie takie nie może się odbyć bez gwałtu nad myślą lub rozdziwienia wewnętrznego.

Znakomicie oddała p. Orzeszkowa stan psychiczny, towarzyszący takiemu zjednoczeniu się w przedudnej scenie w kościele na końcu *Australczyka*. Przygotowanemu już umysłowi Romana przez cały szereg spostrzeżeń, rozmyślań, rozmów w czasie pobytu kilkotygodniowego w uspołecznionej atmosferze Darnówki, odsłania się nagle cała wielkość tego zlania się z ogółem, całe szczęście, jakie w nim znaleźć może pod wpływem suggestywnie-estetycznym nabożeństwa w kościele. Symboliczna ta «służba boża» wskazuje mu drogę do rzeczywistej, którą, zupełnie zgodnie z ideą Comte'a jest czyn w imię obowiązków obywatelskich i ideałów przyszłości, t. j. praca dla Ludzkości, gdy jednocześnie odsłania się tu głęboki sens religii, jako spójni. jednoczącej w braterstwie ducha wszystkich członków Wielkiej Istoty. Kiedy po-

tężny śpiew tłumu wstrząsnął sklepienia kościółka, kiedy w tych prostych słowach: «Święty Boże, święty mocny, zmiłuj się nad nami!» przemówiły «antropomorfy», przynosząc tu «wszystkie swoje nędze i żądania, przeczcucia rzeczy wielkich, iskry śpiące pod popiołami, głody wyzierające z policzków zapadłych, poty stojące na czołach zoranych»... odczuł on, że niewolno mu oddzielać się od tego wielkiego chóru braterskiego, zamykać się w swoich wiszących ogrodach i wynosić się pyszałkowato w sceptycznym mędrkowaniu ponad tłumy, które rzetelnie pracą i niedolą swoją przykładają się do dobra Wielkiej Istoty.

Czy ma wszakże człowiek prawo zrzekać się w imię tej jedności swoich przekonań rozumowych; tych, do których doszedł w szczerem dążeniu ku prawdzie poznania, drogą pracy, zwątpień i wysilków myśli? Czy takie zrzeczenie się może być trwałem i istotnem?

Nie potrzebujemy odpowiadać na te pytania. Wyjście z trudności wszakże nie jest niemożliwe. Polega ono — dla doby przejściowej, bo tylko w takiej dobie, której cechą jest ta rozbieżność poziomów umysłowych szczytów a nizin społecznych istnieje ona, — rozwiązanie to polega na takim wyborze wierzeń i nauk, któreby dawały możność interpretacji rozmaitych: pojmowania dosłownego przez masy, symbolicznego przez oświeconych.

Zasady chrześcijaństwa nadają się doskonale do podobnych różnostopniowych interpretacji, których przykłady dawały i dają niezliczone racjonalistyczne sekty¹⁾. One to podtrzymują życie religii, wlewając myśl nową i odpowiednią czasowi w formy dawne.

Jedną zaś z najwspanialszych może prób podniesienia, drogą tego rodzaju interpretacji, zasad tradycyjnych do znaczenia religii społecznej przyszłości dał znakomity nasz myśliciel August Cieszkowski, odsłaniając w modlitwie Pańskiej ogólny zarys postulatów uspołecznienia, do których, z innej strony, mozolną, ale za to dowodną drogą doprowadza nauka o społeczeństwie²⁾.

Comte wszakże nie miał na myśli fazy przejściowej, lecz

¹⁾ Jako przykład jednej z najnowszych służyć mogą rozdziały: V (Jak ludzie rozmaitych przekonań mogą używać wyrazu «Bóg»?) i VI (Chrystus «etyczny») w *Ruchu etycznym* Sheldona.

²⁾ Mamy tu na myśli oczywiście *Ojce nasz*, którego drugi tom niedawno ukazał się, dzięki pietyzmowi synów filozofa. Próbie tej poświęcimy niebawem osobne studjum w jednym z najbliższych zeszytów.

kończącą. Nie potrzebował więc krępować się przywiązaniem do pewnych form, ani przystosowywać się do daleko odbiegających od siebie poziomów umysłowych adeptów. To też jakkolwiek trudno przewidywać dokładne kształty, jakie przybierze przyszłość, nie wahamy się twierdzić, że próba twórcy pozytywizmu jest jednym z ziaren składowych do syntezy przyszłości. Dostyc jest wniknąć w zasady kierownicze lepszych, przodowniczych umysłów doby dzisiejszej, umysłów nie zaliczających siebie do kościoła pozytywistycznego, a nawet niekiedy nie wiedzących o jego istnieniu, aby dostrzedz, jak łatwo zasady te dadzą się podciągnąć pod niezrównane w prostocie i zwięzłości orzeczenia twórcy pozytywizmu.

Co za dziwna myśl: rozdzielać i przeciwstawiać sobie dwa okresy działalności jego! Wszak ta dążność praktyczna, której wyrazem jest Religia Ludzkości, ujawnia się już w pierwszych wysiłkach filozofa. Jak Epikur, dla którego wszelka filozofia była dobrą, byleby zwalczała strach bogów i rozpraszała widmo ponure życia pozagrobowego, szuka Comte w wiedzy tylko przygotowania swego i adeptów¹⁾ do nowej religii, która ma przekształcić społeczeństwo.

Tylko z tego stanowiska pozytywizm jest konsekwentny i zrozumiały; tak go pojmował sam twórca i niejednokrotnie to zaznaczał, a trudno zaiste znaleźć umysł bardziej systematyczny, bardziej konsekwentny i tak mało skłonny do zbieżeń od raz wytkniętego celu.

Comte więc był przede wszystkim twórcą religii. Ale, podejmując się tej roli, nie otacza się obłokami tajemniczości, nie występuje jako prorok lub zesłaniec boży, lecz jako filozof.

Wchłonawszy najprzód wszystko, co mogła mu dać wiedza, aby wytworzyć z jej wyników «filozofią naprawdę pozytywną, jedyną możliwą podstawę religii powszechnej»²⁾, poświęca resztę życia «przeznaczeniu społecznemu», czerpiąc natchnienia z utworów poetów i duchów podniosłych wszystkich wieków i narodów. Przeciwno utopistom, którzy chcą zbawić ludzkość doktrynami społecznymi, wystawia potężny gmach religii społecznej — bo wie, że religia nieraz ratowała ludzkość w momentach krytycznych,

¹⁾ Ob. R. II w *Introduction fondamentale à la Politique Positive*.

²⁾ *Appendice Général* w IV tomie *Polityki pozytywistycznej*.

a czyni ją filozoficzną, bo wie, że wiek nasz nie mógłby przyjąć innej.

W samym nawet ukształtowaniu zewnętrznym; w tem jej pokrewieństwie z katolicyzmem, ujawnia się praktyczny zmysł reformatora: chce zbliżyć formy religii przyszłości do panujących obecnie w krajach, dla których odbyć się ma «wielka kryzys zachodnia», aby ułatwić przejście jednych w drugie. Tak kapłani chrześcijańscy stawiali swoje ołtarze na miejscach uświęconych przez tradycją pogańską.

Dziwnem to może wydać się, że ten systemat, tak religijny, uchodził w społeczeństwie naszym za bezbożny; że wyraz pozytywista znaczył prawie tyleż, co ateusz. Atoli z każdej zdobyczy umysłowej, doba dziejowa bierze to, co jej dogadza, co odpowiada jej dążeniom. Trzy ostatnie dziesięciolecia ubiegłego wieku zostały u nas pod wpływem przeważnym indywidualizmu przemysłowego; nic też dziwnego, że z całego pozytywizmu przyswoiła sobie nasza myśl narodowa tylko tę część krytycznie-analityczną, która wiąże się z indywidualizmem, a zabarwiła ją jeszcze bardziej jaskrawo w tym kierunku. Publicystyka nasza ¹⁾ z doby tej dostrzegła w pozytywizmie tylko to, co już wcześniej dokonane było przez krytykę filozoficzną — zaprzeczenie metafizyki dogmatycznej. A takie przecięcie systematu na dwie połowy i odrzucenie jednej z nich, jako bezużytecznej, ułatwione było przez błąd jego twórcy: wykluczył on bowiem nie tylko metafizykę dogmatyczną i dowolną, lecz wszelką wogóle; zagadnieniom natarczymym myśli ludzkiej kazał umilknąć, a odpowiedzi na nie zasłonił czarnym kirem z napisem «niepoznawalne». Metafizyka wszakże jest ogniwem, które łączy w spójną całość krytycznie-naukową część systematu filozoficznego z jego wierzeniami, z częścią przepisowo-praktyczną. Brak tego łącznika zmniejszał spójność obu części pozytywizmu, ułatwiał ich faktyczne rozdzielenie.

Koniec wieku XIX jest wszakże momentem, kiedy w całej jaskrawości zarysowuje się przeciwstawność pomiędzy rozkładowymi dążnościami indywidualizmu a twórczymi prądami ducha społecznienia. Wzory bismarkowskie i dogmatyzujące je teorie nitscheizmu w Berlinie, a jego praktyka we Wrześni, dążność,

¹⁾ Nietylko nasza zresztą; było to zjawiskiem dość powszechnem. Po za garstką bowiem ludzi, stanowiących kościół pozytywistyczny, przeważna większość tych, którzy mianują się pozytywistami w Anglii i w innych krajach, są, właściwie mówiąc, tylko wyznawcami Kursu.

którą objawiać zdaje się całe to państwo do przyjęcia na siebie roli owego «jądra dzikich baszkirów», o którym marzył Renan w swojej «uiewinnej utopii» dla poskramiania popędów antiindywidualistycznych, mogły już otworzyć oczy nawet najbardziej zaślepionym. Przyszedł więc może czas, aby ocenić słuszniej drugą część dzieła Augusta Comte'a i dostrzedz to, co zawiera w sobie z elementów przyszłości.

Spoleczeństwo nasze przechodzi obecnie od uwielbienia do bezwzględnego zaprzeczenia pozytywizmu takiego, jakim go znało przed dwudziestu laty; poznanie i ocena w całości systematu tego postawi może na miejscu jałowej negacji płodną syntezę¹⁾.

HISTORIA W POWIEŚCIACH NASZYCH.

Chcąc dokładnie wyrazić w tytule treść zasadniczą niniejszej rozprawki, musiałbym go bardzo wydłużyć; a że nawet w takim razie nie obeszłoby się bez wstępnych objaśnień, wolę w nich już całą sprawę wyłożyć.

Nie idzie mi tu o szczegółowy rozbiór zagadnienia, jak powieściopisarze nasi historią w utworach swoich rozpatrywali, jak daleko odstępowali, czy to dla względów artystycznych, czy z powodu niedokładnej znajomości dziejów, od prawdy historycznej wykrytej przez badaczów; — lecz poprostu o zaznaczenie tylko, jakie chwile z przeszłości uwzględniono dotychczas w powieściach naszych i czego z nich czytelnik pod względem poznania dziejów nauczyć się może.

Rzecz naturalna, że mówiąc o nauczaniu się czegoś z powieści, mam na myśli ogół jak najszerszy. Dziejów z dobrych tylko książek historycznych nauczyć się można; to nie ulega wątpli-

¹⁾ I pod tym względem nie unikneliśmy dziwnych *qui pro quo*: najlepszą i najprzystępniejszą książką, rzec można, pierwszą u nas, zaznajamiającą z całością doktryny pozytywistycznej, obdarzył literaturę naszą ks. Dębicki, głośny przeciwnik «pozytywizmu warszawskiego», tłumacząc znane dzieło jezuity Grubera, a uczynił to w chwili, kiedy pozytywizm zaczęto uważać u nas za kierunek stanowczo przebrzmiały. Pragnęlibyśmy, aby powodzenie tego pożytecznego wydawnictwa umożliwiło autorowi przekładu spełnić przyrzeczenie warunkowe — przekładu drugiego dzieła O. Grubera o pozytywizmie po śmierci Comte'a.

wości najmniejszej. Kiedy Hofmanowa w swoim kursie Historii powszechnej kładła obok dzieł historycznych romanse Waltera Scotta, jako źródła do zaznajomienia się z pewną daną epoką; można było poczytać to co najmniej za zbyt wielkie ustępstwo dla lenistwa umysłowego uczennic, dla których książki swoje przeznaczała. Wszelako nikt chyba zaprzeczyć nie może, iż dobra historyczna powieść w sposób najłatwiejszy, najdostępniejszy przedstawić potrafi przynajmniej ogólne tło pewnej chwili dziejowej i z grubsza zapoznać z zasadniczymi jej rysami. Niestety, takich, którzy do czytania Szajnochy nawet nie czują się usposobionymi i przygotowanymi, jest u nas bardzo dużo, bo do tej wielkiej grupy policzyć można wszystkie niemal kobiety o średnim wykształceniu, rychło po skończeniu pensji zapominające faktów pierwszorzędnych; o duchu okresów dziejowych mają one zazwyczaj bardzo mętne pojęcie, gdyż z chronologią zawsze są w nieporządku.

Otóż czytelnicy tej kategorii pożądamy nieraz karmi dziejowej, ale podanej w formie jak najprzyjemniejszej. Surowi sędziowie umysłowości ludzkiej powiedzieliby może, iż lepiej, żeby tacy czytelnicy wcale się nie interesowali historią, niż ją mają poznawać z powieści, które zazwyczaj dowolnie, zarówno ducha dziejów, jak charaktery osób i ich przygody przeinaczają. «Szpetniej jest wiedzieć źle, niż nie wiedzieć wcale» — powiedział niegdyś nauczyciel Nerona, Seneka. Istotnie, gdyby się poznawało fałsz zamiast prawdy, przeciwko temu zdaniu występowałyby niepodobna, chociaż sofista mógłby zauważyć, że nawet poznanie fałszu nie jest bezużytecznym, gdyż wywołuje w umyśle ruch pewien, a tymczasem całkowita niewiadomość do stojącej wody się upodabnia. Ale ja takiego argumentu nie użyję; ani pójdę za sceptykiem pytającym, co to jest prawda; bo takie rozprawy zanadto by mię od rzeczy przedsięwziętej oddaliły.

Przyznaję, że lepiej nie znać wcale historii, niż znać ją fałszywie. Odróżnić atoli potrzeba sprawy główne od podrzędnych i ocenić drobne szczegóły według ich wartości. Co dla szperacza może przedstawiać nadzwyczajną doniosłość, to dla człowieka ogarniającego całość rozwoju ludzkości, wyda się może błahostką, bo lubo zgodzi się, iż zbadanie nawet drobiazgów jest konieczne dla odtworzenia prawdy całkowitej, nie zgodzi się na to, iżby wszystkie drobiazgi miały jednakową dla nas wartość.

Mogą więc istnieć różne stopnie przybliżenia się do prawdy

lub oddalenia od niej; specjaliści mają w tym względzie inną miarę, a ludzie «ogólnie ukształceni» inną. Źle jest, gdy jakiś dyktant lekceważy pracę mrówczą badacza; ale nie jest również dobrze, gdy drobiazgowy badacz z góry pogląda na wszelkie uogólnienia, przeceniając znaczenie szczegółów, przez siebie rozpatrywanych. I jedno i drugie jest potrzebne w społeczeństwie, rozwijającym normalnie swoje zdolności i pragnącym wszechstronnej oświaty.

Gdybyśmy chcieli być konsekwentni w potępianiu wszelkiego oddalenia się od ścisłej, drobiazgowej nawet prawdy, tobyśmy musieli odrzucić całkowicie powieść historyczną, jak ją z innych względów (niby — psychologicznych) ośmieszył Jerzy Brandes, zwąc ją «prawdziwą kawą *figową*». Jeżeli zaś tego nie robimy (mojem zdaniem zupełnie słusznie); jeżeli owszem wielbimy i tak wysoko podnosimy Sienkiewicza za *Trylogią*, *Quo vadis*, *Krzyżaków*, to bądźmy pobłażliwsi dla tych, co chcieliby bodaj z powieści nabrać najogólniejszego przynajmniej wyobrażenia o przebiegu dziejów, o wybitniejszych chwilach rozwoju, o znakomitszych osobistościach — a przytem doznać także estetycznej rozrywki; albo — jeśli to wyrażenie wyda się za płaskim — estetycznego zadowolenia.

Pożądanem byłoby, ażeby więcej czytano u nas dzieła historyczne; można stwierdzić faktami, że postęp w tym kierunku istnieje, wzmagając się z każdym rokiem; zachęcać ku temu jest obowiązkiem. Ponieważ jednak niepodobna się spodziewać, iżby masy rychło ku takiemu czytaniu nabrały ochoty, trzeba szukać środków ułatwiających to zadanie.

Kraszewski nazwał powieść «propedeutyką», rodzajem wstępnego przygotowawczego czytania, na którem zaprawiona publiczność może zażądać stawy posilniejszej, ale i trudniejszej do strawienia. Wszelkimi środkami dążyć należy przedewszystkiem do obudzenia zamięłowania w czytaniu, a przynęta estetyczna — obok właściwego sobie wpływu — ma jeszcze znaczenie poboczne, ułatwiające sam trud przyswajania pewnych wiadomości i pewnych poglądów.

Tą myślą kierowany, podaję tutaj systematycznie ułożony spis powieści, mniej lub więcej udatnych, a zawierających w sobie pierwiastek dziejowy: dołączam do tego spisu krótkie uwagi, czy to o zaletach, czy o wadach utworów.

Ponieważ autorowie nasi bardzo mało zajmowali się przed-

stawieniem powieściowem dziejów powszechnych, wyłącznie prawie historią ojczystą się zajmując, więc oczywiście i w rozprawie mojej uwzględnioną będzie ona najobszerniej. Na początku wszakże podają i owe wyjątkowe powieści na tle cywilizacji starożytniej osnute, lub też z wieków średnich zaczerpnięte, jakie się w literaturze naszej znajdują. Poprzestaję na pisarzach wieku XIX, gdyż powieści w końcu XVIII u nas pisane (przez X. Jezierskiego i X. Krajewskiego), raczej politycznemi niż historycznemi nazwane być mogą; są to właściwie satyry, albo też utwory dydaktyczne, wzorowane na sławnych *Przygodach Telemaka*, utworzonych przez Fenelona.

I.

Najdawniejsze czasy, jakie w powieściach naszych dotąd znalazły odbicie, to epoka świetności i potęgi cywilizacji *staroegipskiej*. Że do odtwarzania tej epoki pobudką były rozgłosne romanse uczonego niemieckiego, Ebersa, to chyba nie może ulegać wątpliwości.

Niewielu jednak puściło się drogą przezeń utworowaną. Znam tylko dwa nasze utwory nierównej artystycznej wartości, ale świadczące o studyach nad dziejami i życiem Egipcyan; są to: *Święty ptak* (1895) Wojciecha Dzierżyszyckiego i *Faraon* (1896) Bolesława Prusa; powstały one całkiem niezależnie od siebie; pierwszy opowiada wypadki z czasów panowania Ramzesa I; drugi maluje przejścia królewicza egipskiego, później krótko rządzącego Ramzesa XIII. Pierwszy utwór niewielkie sprawił wrażenie, drugi przez niektórych za arcydzieło był poczytany; arcydziełem wprawdzie nie jest, ale niepodobna mu odmówić zalet niepospolitych zarówno w treści (trudność rządzenia państwem, walka z uczoną i wpływową hierarchią), jak i w obrobieniu.

Zstępując niżej po stopniach chronologii, znajdziemy znowu dwa odosobnione utwory, przedstawiające stosunek narodów podbitych do despotyzmu *medo-perskiego*. Eliza Orzeszkowa w *Czcieliu potęgi* (1891) wymownie, ale z pewną retoryczną przesadą odmalowała tragiczne losy Greka, sądzącego, że przez korzenie się przed Persami, co jego ojczyznę zawojowali, szczęście sobie i swoim zapewni — i zawodzi się strasznie. X. Bolesław (recte Bronisław) Maryański, świeżo w trzytomowym opowiadaniu rozwinął znaną z dziejów biblijnych historią *Estery* (1901), co potrafiła naród swój od prześladowania zausznika królewskiego, Hamana,

oswobodzić; autor *Estery* żywo i umiejętnie potrafił, tak samo zresztą, jak Orzeszkowa, nadać tym starym dziejom zajęcie współczesne.

Stosunki greckie, tak nęcące wspaniałym rozwojem umysłu i nadzwyczajnem poczuciem piękna, dopiero w najnowszych czasach i to w drobnych zaledwie odbiły się zarysach, raczej jako symbole pewnych idei, aniżeli jako odtworzenie pełni życia. Znaleźć je można w zbiorowem wydaniu *Pism Elizy Orzeszkowej* p. t.: *Stare obrazki*, oraz w 3-cim tomie *Pism Aleksandra Świętochowskiego*.

Dopiero epoka cesarstwa rzymskiego, a mianowicie stosunek chrześcijaństwa do pogaństwa, dostarczyła obfitszego wątku naszemu pisarzom. Rozgłośna *Fabiola* (1857) kardynała Wisemana obudziła jak gdzieindziej tak i u nas, chęć posiadania podobnych obrazów. Pierwszy Kraszewski w opowiadaniu *Capreä i Roma* (1860) poszedł za tym przykładem i po swojemu odtworzył czasy Tyberyusza; a niebawem potem, nie bez silnych alluzyj do współczesności, przedstawił *Rzym za Nerona* (1866). Pomijając niezdarne utwory nieudolnych naśladowców Wisemana, wspomniawszy z uznaniem *Histryonów* (1891) Wincentego Rapackiego, można przejść do Sienkiewicza, który najprzód w obrazku *Pójdźmy za nim* — może pobudzony utworem Anatola France — skreślił objawy sceptycyzmu i niepokoju duchowego wśród społeczeństwa rzymskiego i rwania się duszy ku nowym widnokęgom, jakie się otwierały w Palestynie przez nauczanie Chrystusa i śmierć jego; a w *Quo vadis* po mistrzowsku odmalował i życie Rzymian za Nerona i pierwsze prześladowanie chrześcijan. W ślady Sienkiewicza poszedł, nie posiadając jego talentu, Teodor Jeske-Choiński; starał się on odtworzyć czasy Marka Aureliusza, filozofa, na tronie w *Gasnącem słońcu* (1896), a czasy upadku pogaństwa w *Ostatnich Rzymianach* (1897). Stosunek żydów do Rzymian znakomicie odmalowała Orzeszkowa w *Mirtali* (1886); Deotyma była u nas pierwszą, co osnuła większy utwór na tle stosunków średniowiecznych wszechświatowych, pisząc swoje *Branki w jassyrze* (1891), gdzie z powodu najścia Mongołów na Polskę, pięknie przedstawiono dzieje Mongołów. Potem T. Jeske-Choiński nie okazując co prawda wielkiej siły twórczej, bądź co bądź rozwinął szeroki obraz stosunków XI stulecia w opowiadaniu historyi starcia się władzy świeckiej z duchowną, Henryka IV z Grzegorzem VII w 4-tomowej powieści p. t.: *Tyara*

i *Korona* (1900). Mniejsze, a trochę udatniejsze są dwa obrazki z końca XII stulecia, malujące stosunek pieśniarzy francuskich do dworów pańskich i dam; nakreślił je w tomiku zatytułowanym *Trubadurowie* (1901). Dodam nawiasem, że o głównej postaci występującej w pierwszym obrazku, o Wilhelmie de Cabestaing, pisał u nas Kraszewski w I-szym tomie swoich *Wędrówek literackich* (1838).

Ani czasy humanizmu i reformacji, ani późniejsze wszechświatowe wypadki nie skusiły żadnego z naszych powieściopisarzy do próby ich odtworzenia ¹⁾.

Wyjątek atoli stanowią świetne obrazy Teodora Tomaszka Jeża (Zygmunta Miłkowskiego), przedstawiające nam już to stan okropny Słowiańszczyzny południowej pod uciskiem Turków, już to zrywanie się do walki, najczęściej zakończone klęską, czasami jeno zwycięstwem uwieńczone. Wśród powieści na tym temacie osnutych, jest jedno arcydzieło Jeża: *Uskoki* (1869/70 w «Kłosach», osobno 1882), oraz szereg bardzo udatnych i zajmujących, jako to: *Asan, Narzeczona Harambaszy, Dahijszczyzna, Hecog słowiański, Rycerz chrześcijański, Rotulowicze, W zawianiu, Lat temu dwieście, Miłość w opałach*. Stosunek słowaków do madziarów na tle kampanii węgierskiej r. 1849 skreślił wybornie Jeż w *Szandorze Kowaczu*.

Na tem mniej więcej zakończyć należy szczupłutki katalog naszych powieści, czerpiących materyał z dziejów powszechnych, a przejść do utworów na tle swojskiem.

II.

Najdawniejsze, w mgłę podaniowej ukazujące się nam dzieje Polski, znalazły dotychczas trzech jeno malarzy: Bronikowskiego, Budzyńskiego i Kraszewskiego.

Aleksander Bronikowski posiadał spory zapas fantazy i duży rozmach pióra, ale o ścisłą wierność względem dziejów nie bardzo się troszczył, studyów pilnych, mianowicie nad epoką przedhistoryczną nie odbywał, ze zwyczaju wreszcie panującego w pierwszej ćwierci zeszłego stulecia, ufał przedewszyst-

¹⁾ Istnieje wprawdzie (według bibliografii Estreichera) powieść Aleksandra Bronikowskiego z czasów Ludwika XIII p. t.: *Klara Hebert*, napisana po niemiecku, a tłómaczona na francuski; ale nie ukazała się ona w przekładzie na nasz język.

kiem wyobraźni. Pisał po niemiecku; ale prawie wszystkie powieści jego zaraz przekładano na język polski. *Mysia wieża* (1827, dwa tłumaczenia polskie) obrazuje podania «sarmackie» z IX wieku; Popiel okrutny jest jej bohaterem.

Jest nim także i w powieści *Lechia w IX wieku* (1843) Wincentego Budzyńskiego, który do pisania tego utworu przystępował poważnie, korzystał nietylko z opracowań historycznych, ale i z kodeksu dyplomatycznego (dla nazwisk) i z rękopiśmiennych notat Lelewela o mitologii polskiej; dobrze rozumiał i przedstawiał masy ludowe, oraz objawy ambicji, dumy, apostołstwa religijnego; mniej był szczęśliwym w obrazowaniu miłości.

Kraszewski przystąpił do malowania czasów przedhistorycznych na schyłku swego zawodu, lecz nie dał odczuć czytelnikom znużenia swej zdolności twórczej; wlał w nie dużo poezji, choć w charakterystyce stosunków religijnych, politycznych i społecznych nie bardzo się troszczył o przybliżenie się do prawdy, przez naukę stwierdzonej. Dwie są jego powieści, kreślące obrazy owej doby: jedna z nich *Stara baśń* (1876) pozyskała wielki rozgłos ustępami prawdziwie poetycznymi, obrazkami prostego życia wiejskiego za Piasta, krajobrazami i kilku ślicznie skreślonymi postaciami; druga p. t.: *Lublana* (1879), kreśląca czasy Leszka okrutnego, gęsto przytępiona fantastycznymi wyobrażeniami, niewielkiem cieszyła się powodzeniem, lubo początkowe jej sceny bardzo są piękne, tylko zanadto sielankowe.

Stara baśń stanowi początek cyklu powieści historycznych, napisanych przez Kraszewskiego w ostatnich 10 latach życia, a przedstawiających dzieje nasze aż do panowania Stanisława Augusta. Ponieważ w dalszym ciągu szeregując utwory powieściowe wedle wieku, który malują, nieraz będę musiał przerywać naturalny ciąg tego cyklu, muszę go więc tutaj ogólnie scharakteryzować, ażeby uwag swych nie powtarzać.

Kraszewski pisał ten cykl w czasie, kiedy t. zw. «szkoła krakowska» nadzwyczaj pesymistyczne poglądy na dzieje nasze wygłaszała, akcentując jako pierwszorzędną przyczynę nieszczęść słabość rządu. Choć autor nasz bronił się od pesymizmu, wrażliwa niezmiernie jego dusza mimowoli wchłaniała trujące pierwiastki z owoczesnej historyografii, a lotność wyobraźni sprawiała, że smutne rozmyślenia nad dolą naszą przenosił aż w same początki założenia państwa. Stąd w odtwarzaniu znakomitych osobistości, a przedewszystkiem królów, przebija się dążność do kreślenia sła-

bej ich strony, nie zaś ich potęgi i dzielności, które pomimo ciężkich warunków potrafiły przeciw państwu przez długie wieki utrzymać a nieraz i blaskiem sławy opróżnić. Wrażenie też, jakie wynosi czytelnik z rozpatrywania się w tym «cyklu» jest, wogóle biorąc, nie podnoszące i krzepiące, lecz raczej przygnębiające¹⁾. Zrobiwszy takie zastrzeżenie, które mieć trzeba w pamięci wszędzie tam, gdzie odmiennego nie zaznaczą rysy, przystępuję do wykazu powieści naszych według stuleci.

Wprowadzenie chrześcijaństwa do Polski i pierwsze lata naszego, ściśle już historycznego, bytu państwowego zobrazował jeden tylko Kraszewski w *Luboniach* (1876) — ale słabo; król Mieszko ma wprawdzie zręczność pewną, ale ani inteligencją, ani wolą się nie odznacza; naród zaś jest nijaki.

Walkę starego pogaństwa z młodem chrześcijaństwem za Bolesława Chrobrego dobrze, choć krótko, uwydatnił Seweryn Goszczyński w powiastce *Oda* (1840), a szerzej, wraz ze staraniami o koronę i wojnami niemieckimi nakreślił Wincenty Budzyński w *Białej kniehinie* (1844). W *Braciach Zmartwychwstańcach* (1876) Kraszewskiego występuje Bolesław Chrobry jako tyran domowy, lubieżnik i ograniczony gospodarz; naród częścią niesforny, częścią apatyczny. Budzyński w *Wyprawie pruskiej* (1845) wyprowadził na widownię syna Chrobrego, Bezbraima, mężnego, ale płocheo, oraz Radewita, dzielnego rycerza, i ich wyprawę na pogańskich Prusaków, przyczem zostały odtworzone pojęcia i zwyczaje ich religijne w świętym lesie Romnowy. Tenże autor w powieści fantastyczno-historycznej p. t.: *Półtora krzyża* (1845) opowiada śmierć Bolesława Chrobrego, rządu Mieszka II, bunt pogaństwa i dzieje Masława, aż do poskromienia go przez Kazimierza. W *Masławie* (1877) Kraszewskiego król jest parawanowy, naród dziki, rozbestwiony, albo niezgodny w chwilach najbardziej stanowczych.

Ponowny bunt pogaństwa za Bolesława Śmiałego, przedstawił stylem dziwnym Dominik Magnuszewski w powiastce *Krwawy chrzest* (1834), zużytkowując podanie o Małgorzacie z Zębocina²⁾. Zatarg Bolesława z biskupem krakowskim Sta-

¹⁾ Szczegółowo starałem się uzasadnić to zdanie w obszernych ocenach, jakim poddałem kilka pierwszych powieści z owego cyklu. Oceny te znaleźć można w «Niwie» warszawskiej z r. 1876 i 1877.

²⁾ Ten sam temat podjęła w r. 1899 Szczęсна; ładne jej opowiadanie,

niślawem, wraz z całym szeregiem innych faktów, rozwlekłe opowiedział Kraszewski w *Beleszczycach* (1877).

Dodać wreszcie potrzeba, iż wątek z wieku IX posłużył Aleksandrowi Bronikowskiemu do osnucia obszernej powieści: *Olgi i Olga* (1829—32).

Całkiem dowolny obraz czasu (XI wieku) z przeniesieniem zwyczajów rycerskich Europy zachodniej do Polski, z charakterami bajronicznymi, nakreślił młodzieńcem piórem Zygmunt Krasziński p. t.: *Władysław Herman i dwór jego* (1830).

Czasy Bolesława Krzywoustego (początek wieku XII) obrobił Kraszewski w *Królewskich synach* (1877); jako siedmioletnie pacholę Bolesław jest cudownym zjawiskiem bohaterstwa i rozumu, lecz z wiekiem maleje, staje się chwiejnym, umie się tylko bić i «miać». W *Historji o Petruku Właście* (1879) przedstawił Kraszewski po kronikarsku niezgodę pomiędzy potomkami Krzywoustego i rysy okrucieństwa wśród możnych rodzin. W *Stachu z Konar* (1879) Mieszko Stary — to okrutnik i zdzierca; Kazimierz Sprawiedliwy — słaby i nadmiernie w piękności kobiecej gustujący; naród zaś w zawichrzeniu bez żadnej myśli przewodniej.

Wiek XIII, prócz fantastycznych *Zawieprzyc* Aleksandra Bronikowskiego (1827 i 1828 dwa przekłady) mamy odtworzony tylko w cyklu powieściowym Kraszewskiego, podobnie jak i stulecie poprzednie. Niektóre strony życia dobrze i malowniczo zostały przezeń odtworzone, a mianowicie: wzmożenie się ducha pobożności w *Waligórze* (1880), zepsucie kapłaństwa butnego, lekceważącego wszelkie prawa i względy w *Synu Jazdona* (t. j. Pawle z Przemankowa, 1880), rozpasanie obyczajowe i pokuta surowa, jako równorzędne czynniki bytu średniowiecznego w *Pogrobku* (1880 — dzieje Przemysława); ale i tu opowiadanie jest raczej kronikarskie niż rzetelnie artystyczne.

Wiek XIV nieraz już u nas bywał przedmiotem obrobień powieściowych; ale bardzo mało jest utworów, któreby naprawdę znakomitemi nazwane być mogły. Bardzo słabemi są powieści Franciszka Wężyka: *Władysław Łokietek* (1828) i *Zygmunt z Szamotuł* (1830), tak samo jak *Dwaj Śreniawici* (1830) Konstantego Gaszyńskiego, tę samą dobę przedstawiający. Nieco lepszy jest *Nalęcz* (1828) Feliksa Bernatowicza, obrazujący

przedstawiające spokojny heroizm, znajduje się w «Bluszczu» z owego roku; osobno nie wyszło.

czasy Kazimierza W. Czyta się z pewnem zajęciem *Kazimierza i Esterkę* (1828) A. Bronikowskiego. Historję Maćka Borkowica z wielką wiernością dziejową i z wielkim rozmachem pióra opowiedział Adam Krechowicki w *Szarym wilku* (1892). Kraszewski napisał niektóre sceny znakomicie w *Krakowie za Łokietka* (1880), w *Jelitach* (1881), gdzie mianowicie noc przed bitwą pod Płowcami wybornie odmalowana, wreszcie w *Królu chłopków* (1881), gdzie Kazimierz W. odmalowany został w charakterze czynnym i dzielnym, jako miłośnik ludu i prawodawca, ogłaszający statut wiślicki, choć się autor zanadto rozszerzył nad jego słabościami i ułomnościami. Pogrzeb Kazimierza ładnie został opisany w *Białym księciu* (1882), którego historia tak pełna przygód, słabo została przez Kraszewskiego wyzyskana.

Połączenie Litwy z Polską przez ślub Jagielly z Jadwigą, wypełniło treść pierwszej u nas udatnej powieści historycznej, na wzór Waltera Scotta, przez Feliksa Bernatowicza napisanej p. t.: *Pojata, córka Lizdejki* (1826), która takim cieszyła się rozgłosem, że niedawno (r. 1898) w szóstym wyszła wydaniu i była tłumaczona na język francuski, niemiecki, angielski i rosyjski. Spółczesnych zajęło barwne malowidło zwyczajów i obyczajów Polski i Litwy, dużo plastyki w odtwarzaniu ludzi i ozdoby w ówczesnym retorycznym smaku wysłowienie. Dziś dla nas jest to już rzecz wielce ułomna zarówno pod względem historycznym, bardzo dowolnie traktowanym, jak i psychologicznym, dosyć pierwotnym i naiwnym; ale zalety wątku powieściowego i starannego stylu teraz jeszcze wartość swą zachowały; opisy miejscowości robione były z natury.

Ten sam temat obrobił Kraszewski w *Semku* (1882), ale nie potrafił wywołać estetycznego i psychologicznego zadowolenia. Zrazu ujmująco zarysował ciche życie dworu książęcego w Płocku, uwydatniając intrygi krzyżaków; ale gdy przyszło do odmalowania Jadwigi, więcej poświęcił miejsca jej stosunkom z Wilhelmem, aniżeli umotywowaniu jej zgody na ślub z Jagiellą; wielbimy w niej piękność młodocianą i urok wywierany przez nią na ludzi, ale nie dostrzegamy w niej ani odrobiny wzniosłości. Najnowszą próbą odtworzenia wielkiego faktu dziejowego jest powieść Adama Krechowickiego p. t.: *Fiat lux* (1900), próba nie bez wartości w szczegółach, lecz w ogólnem wrażeniu równie niezadałająca, jak i *Semko*.

Zanim przejdę do panowania Jagielly, winienem tu wspo-

mnieć o powieści Kraszewskiego, obrazującej specjalnie stosunki litewskie z drugiej połowy wieku XIV-go. Mówię tu o *Kunigasio* (1882), jakby rywalizującym ze wspomnieniami *Konrada Wallenroda* i *Margiera*. Bohaterem jest Margier, chowany niegdyś w niewoli u krzyżaków i ochrzczony imieniem Jerzego. Otoczony on został aureolą młodości, szlachetności, bohaterstwa, a przytem jednak pelen uczucia czysto-ludzkiego, nie stał się doskonałością papierową. Mamy tu nie drobne scenki i obrazki, ale szerokie malowidło, zarówno poetycznej i bohaterskiej Litwy, jak i krzyżaków, przedstawionych i z ujemnej i z dodatniej strony. Dużo poezyi w kreśleniu krajobrazów, obrzędów litewskich, uczuć i czynów bohaterskich, wyróżnia *Kunigasa* świetnie z pośród całego tłumu powieści historycznych Kraszewskiego, w których wstrętne strony życia ze szczególnem zamięłowaniem bywały odtwarzane. Serce i umysł w atmosferze *Kunigasa* poruszają się lżej i swobodniej i doprawdy przejmuje pewne zdziwienie, iż ogół nie wyróżnił go z pomiędzy innych, i poczytnością większą, na którą zasługuje, nie obdarzył. Nikt przecie nie pożałuje, gdy się z nim zapozna.

III.

Wiekowi XV-go najdawniejsi powieściopisarze nasi, piszący w duchu Waltera Scotta, zgoła nie tykali; o ile pamiętam, pierwszym, co się ku niemu zwrócił, lubo bardzo po młodzieńczemu, bez znajomości dziejów, bez znajomości ludzi, był głośny później z innych względów Aleksander Miniszewski, wydając w 20-tym roku życia trzytomową powieść p. t.: *Jan Pieniążek*. Uplywały potem lata, a nikt próby nie ponawia; dopiero Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Milkowski) z właściwą sobie dobitnością słowa i wyrazistością przekonań polityczno-społecznych osnuł dwa obszernie opowiadania na tle zdarzeń XV stulecia, z dwu niemal krańców, pisząc *Derśława z Rytwian* (1872 w «Kłosach»; osobnego wydania dotychczas niema) i *Za króla Olbrahta* (1876). Równocześnie Kraszewski porwał się na rzecz bardzo trudną, na odtworzenie największego zwycięstwa, jakie polacy odnieśli, t. j. na odmalowanie wiekopomnego Grunwaldu, i napisał *Krzyżaków* (1874 w «Kłosach», osobne wydanie 1882). Niestety siły mu nie dopisały; autor zajął się raczej obrazowaniem drobiazgowem leniwych przygotowań, rozterek i swarów, nieumiejętności wyzyskania zwycięstwa, aniżeli artystycznym odtworzeniem wielkiego czynu dzie-

jowego i stosunków cywilizacyjnych. Potrzeba było czekać lat dwadzieścia kilka, zanim zadanie to po mistrzowsku spełnił Sienkiewicz w swoich *Krzyżakach* (1900). Nad nimi nie trzeba się zastanawiać; dość je wymienić.

Inne sprawy XV-go stulecia obrabiał głównie Kraszewski i to z różnym powodzeniem. W *Matce królów* (1883), t. j. historii Sonki, księżniczki holszańskiej, czwartej żony Jagielly, dzielnej, energicznej, ambitnej, rozwijają się różnorodne obrazki z dziedziny polityki, stosunków religijnych (piękna scena, przedstawiająca knowania husytów polskich), szkolnictwa, nauk w akademii i t. d. Ale postać Witolda, ukochana przez autora, dość nikle występuje: jest on po dziecinnemu ambitny, marzący o tem, żeby korona choćby na chwilę na jego głowie spoczęła, a przytem intrygujący nikczemnie; wielkości w nim ani trochy. W *Strzeżmieńczyku* (1883) pięknie odmalował Grzegorza z Sanoka, wraz z dziejami krzewienia się u nas humanizmu włoskiego; przytem Władysław Warneńczyk wspaniale piękny, po rycersku, szlachećnie został odmalowany; jedyny to nasz król, jakiego Kraszewski w zupełnie dodatniem świetle przedstawił. — *Jaszka Orfanem zwanego żywota i spraw pamiętnik* (1884) słaby jest i nudny: drobne sprawy na pierwszym planie, a ważne z czasów Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra, po kronikarsku zbyte; pewne atoli rysy cywilizacyjne (Jan Kapistran, Jan Kanty, Długosz, Kalimach, Erazm Ciolek) niezłe uwydatnione.

Garnięcie się do nauki, nawet kobiet, na początku wieku XV, po otwarciu uzupełnionej Akademii krakowskiej, odtworzył Wincenty Rapacki w powieści *Do światła* (1887, nowe wydanie 1899), a stosunki kupieckie w przeciwieństwie do szlacheckich w *Hanzie* (1893). Ruch husycki, z wielką dla niego sympatją, a niechęcią względem duchowieństwa katolickiego, zwłaszcza zaś do Zbigniewa Oleśnickiego, zobrazował w obszernem opowiadaniu Józef Rogosz p. t: *Na dziejowym przełomie* (1890).

Najwięcej stosunków ogarnął, najwszechstronniejszy obraz cywilizacji naszej z końca XV-go wieku, we wszystkich warstwach społecznych nakreślił Zygmunt Kaczkowski pod koniec swego życia, wydając *Olbrachtowych rycerzy* (1889). Gdyby tu strona powieściowa, artystyczna, zwłaszcza zaś uczuciowa dorównywała historycznej, moglibyśmy powieść tę do arcydzieł zaliczyć. To pewna, że żaden z powieściopisarzy naszych, nie wyjmując Sienkiewicza, bogactwem szczegółów, krytycznie ustalonych

na podstawie bardzo dokładnej znajomości epoki, nie przewyższył tego utworu. Zalecić go można każdemu, kto w sposób łatwy i zajmujący chce się zapoznać z oświatą i kulturą naszą z owej doby, tak niesłychanie ciekawej pod względem psychologicznym.

Zarysy XVI-go wieku w powieściach naszych są dość liczne, ale niestety nie czynią zadość wymaganiu zasadniczemu, by ujmowały trafnie ducha wieku. Nietylko różnorodność objawów życia, wielkich prądów cywilizacyjnych, lecz także (a może głównie) stawała temu na przeszkodzie niechęć uwydatnienia faktu dziejowego, że w pewnej chwili znaczna część szlachty stała u nas po stronie reformacyi i ostro krytykowała zarówno hierarchią kościelną, jak i dogmata. Stąd albo omijanie tego rysu, albo też lekkie i jednostronne jego traktowanie. Zazwyczaj zaś poprzestawano na kreśleniu strony zewnętrznej, na opowiadaniu kilku znanych wypadków, jakoto śmierci Barbary Radziwiłłówny, wyboru Henryka Walezyusza, stracenia Samuela Zborowskiego i t. p.

Pierwszy z naszych pisarzy starał się nakreślić życie przodków w XVI stuleciu, na tle przygody romantycznej, Julian Ursyn Niemcewicz w *Janie z Tęczyna* (1825), ale zadaniu temu jedynie co do strony zewnętrznej, nie zaś psychologicznej, podołał. Losy Barbary pierwszy Aleksander Bronikowski powieściowo przedstawił w obszernym, za najlepszy ze wszystkich jego utworów uznanym romansie p. t.: *Hipolit Boratyński* (1827—9); Walezego, Zborowskiego i Batorego razem wziął Henryk Rewuski za przedmiot swego *Zamku krakowskiego* (1849), gdzie poboczne figury wybornie są skreślone, ale główne (Zamoyski, Stefan Batory, Zborowski) przedstawiają się ulomnie; a duch czasu przedstawiony zupełnie opacznie. Kraszewski również z początku żywo kreślonymi drobiazgami się zadawał, albo żywo rozwalkowując wiadomości kronikarskie, jak w *Żakach krakowskich* (1846), albo kreśląc miniaturowe obrazki obyczajów w połączeniu z licho osnutą intrygą, jak w *Zygmuntowskich czasach* (1846). Po długiej przerwie, dopiero pod koniec życia znowu się zajął wiekiem XVI; poważniej się wtedy zapatrywał na rozwój cywilizacyjny, ale ująć jego rysów należycie nie zdołał. W *Powrocie do gniazda* (1874) chciał odtworzyć ów czas wrzenia umysłów, gdy «nowinki» witemberskie czy genewskie z zagranicy do nas się przedostały; ale poprzestał na odmalowaniu hałastry reformatorskiej, krzykliwej, rozpustnej, gardlującej o tem, czego nie rozumiała, pod przewodem człowieka, który miał taką opinię, że «gdyby nie był no-

watorem, toby go wyśmienicie pod pręgierzem postawić można». Podobnie nie bardzo się udały obrazy polityczne i cywilizacyjne. *Dwie królowe* (1884, t. j. Bona i Elżbieta), zaczynają się pięknie przedstawieniem szerzenia się mody włoskiej w budowlach, urządzeniu domów, zastawie stołu, rodzaju pokarmów i napojów, strojach, oraz wizerunkiem: prześlicznej Dżemmy, kochanki Zygmunta Augusta, potem spotykamy nudną, jednostajną, przez całe tomy ciągnącą się sytuację: Bona wstrętna, trzęsąca wszystkim, Zygmunt Stary — zniedołężniały, Zygmunt August — słaby, płochy, kochliwy, dopiero przy końcu zdobywający się na jakąś samodzielność. W *Infantce* (1884, t. j. Annie Jagiellonce) mamy ostatnie, smutne, bolesne, wstrętne chwile życia Zygmunta Augusta, potem rozpustne postęпки Henryka Walezyusza i jego ucieczkę; z rzadkimi wyjątkami nudnie, rozwlekle przedstawione. Podobne wady ma i *Banita* (1885), gdzie losy wichrowatego Samuela Zborowskiego słabo (w porównaniu z powieścią Rzewuskiego) opowiedziano. Stefan Batory ma tu wprawdzie charakter dzielny i niezłomny, ale autor uwyatnił w nim aż do przesady srogość, skłonność do gniewnych wybuchów, mściwość za urazy osobiste i tym podobne strony niesympatyczne.

Pominałem tu nadzwyczaj słaby utwór Kraszewskiego *Stańczykową kronikę*, jako też *Mistrza Twardowskiego*, bo choć w nim rzecz się dzieje w dobie oznaczonej, kiedy Zygmunt August tęsknił za zmarłą Barbarą, to pierwiastek historyczny nie odgrywa tam wogóle roli najmniejszej. Toż samo powiedzieć należy o powiastce Lucyana Siemieńskiego p. t.: *Cień Barbary*.

Stosunki polsko-francuskie z czasów Henryka Walezyusza starał się odtworzyć T. T. Jeż w powieści *Karzeł dyplomata* (1882 w «Kuryerze warszawskim»; osobnego wydania dotąd niema) i wywiązał się z tego zamiaru dość szczęśliwie.

Na końcu umieszczam tu wzmiankę o powieściach, których zadaniem było przedstawienie życia literackiego w Polsce XVI wieku. Klementyna Hofmanowa zrobiła to w *Janie Kochanowskim* (1842), wiele w swoim czasie nowego materiału podającym, lecz niezdolnym zadośćuczynić wymaganiom psychologii znakomitego poety. Jan Zacharyasiewicz w nader skromnym szkicowym zakresie poprzestał w *Dwóch lutnistach* (1857) na opowiedzeniu wydatniejszych scen z życia chłopca-poety, Klemensa Janickiego i mieszczanina-poety, Sebastjana Klonowicza. Jako drobne, bezpretensjonalne obrazki, sprawiają one mile wra-

zenie. Wreszcie *Tarłówna* (1895) Adama Krechowickiego ładnie kresli nieszczęśliwą miłość poety Mikołaja Sępa Szarzyńskiego i straszne przygody bohaterki tytułowej. (D. c. n.).

P. Chmielowski.

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Antynomia — sprzeczność pomiędzy jednym prawidłem a drugim. Kant nazywa *antynomiami czystego rozumu* sprzeczności wynikające stąd, że *rozsądek* (ob.) usiłuje rozwiązać zagadnienia, należące z natury swojej do *rozumu* (ob.) starając się utworzyć przy pomocy swoich *kategorij* (ob.) pojęcia, odpowiadające *ideom* rozumu. Cztery są antynomie kosmologiczne według Kanta:

Twierdzenie.

Świat ma początek w czasie i jest ograniczony w przestrzeni.

I.

Przeczenie.

Świat nie ma początku ani granic.

II.

Każda substancja złożona składa się z prostych części; nic nie ma oprócz tych prostych części i tego, co z nich utworzone.

(Por. *atomizm*).

Żadna złożona substancja nie składa się z prostych części i nie ma prostego w naturze.

III.

Należy dopuścić swobodę, aby wytłumaczyć zjawiska świata.

(Por. *indeterminizm*).

Nie ma swobody. Wszystko odbywa się według praw niezmiennych.

(Por. *determinizm, mechanizm*).

IV.

W świecie jest istota, która bądź jako część jego, lub jako przyczyna jest istotą bezwzględnie konieczną.

Nie ma ani w świecie, ani po za światem istoty bezwzględnie koniecznej, któraby była jego przyczyną.

Antypatya (*αντιπαθεια*, czucie przeciwne czemuś) — ślepa instynktowa, nieuzasadniona niechęć odraza do kogoś, kogo po raz pierwszy widzimy. Odraza istot żywych do pewnych czuć lub wrażeń (np. byków do czerwonej barwy).

Apagogeniczny dowód — dowodzenie nieproste; w którym dowodzimy twierdzenia, wykazując niemożliwość jego przeciwności, np. gdy dowodzimy, że wielkość *a* jest równą *b*, wykazując, że nie może być ani mniejszą, ani większą.

Apatya — *beznamiętność*. Wyrazu tego używała filozofia w trojakiem znaczeniu: 1) jako brak namiętności; 2) jako ich stłumienie przez wolę; 3) jako obojętność na wyższe pobudki moralne — bezwładność moralna (Kant). W pierwszym i drugim znaczeniu używali go stoicy, wymagając od mędrca apatyi, t. j. stłumienia namiętności; ich brak stanowił ideał mędrca i zabezpieczać miał mu szczęście, czyniąc go *niewzruszonym* (ob. *Ataraksya*) na wszelkie nieszcześcia, zapewniając mu spokój ducha.

Apercepcya (samowiedza). Leibniz używał tego wyrazu dla oznaczenia tego stopnia percepcyi (ob.), w którym niejako odbija się na siebie samą; dzięki któremu stajemy się świadomi naszych ujęć, przez który możemy rozważać czynności własnego umysłu i ujmować prawdy abstrakcyjne. Cousin widział w apercepcyi rodzaj myśli samorzutnej, niezależnej od woli i rozważania, a dającej intuicyą absolutu. Wundt nazywa apercepcyą zdolność wyboru wśród wyobrażeń dostarczanych przez kojarzenia. Jeśli czynną jest w tym kierunku (poznawczym) nazywa się *uwagą* (wybór pewnych wyobrażeń, często słabszych i mniej jaskrawych); jeśli pobudza nerwy ruchome — staje się *wolą*.

Apodyktyczny — oczywisty, nie potrzebujący dowodzenia; nie dopuszczający przeczenia (przeciwstawny mu: *dialektyczny*).

Apodyktyczny sąd. Rozróżniają trzy rodzaje sądów: apodyktyczne, asertoryczne i problematyczne czyli warunkowe.

Sąd warunkowy twierdzi coś pod pewnym warunkiem; gramatyczną formą jego spójniki *jeśli* — *to*. Jest to forma, w której wyrażają się wszystkie abstrakcyjne twierdzenia wiedzy. Żadne z nich nie uczy, że coś jest lub nastąpi koniecznie; wykazują one tylko związek między zjawiskami, niezależnie od tego, czy te zjawiska nastąpią kiedykolwiek, czy nie. Np. *jeśli* dwa ciała znajdują się w przestrzeni, *to* będą się przyciągały w prostym stosunku do mas i odwrotnym do kwadratów odległości.

Sąd asertoryczny (twierdzący) twierdzi coś bezwarunkowo; jego formą gramatyczną — łącznik *jest*. Wielbłąd *jest* zwierzęciem ssącym — tu nie tylko twierdzi się, że wielbłąd należałby do klasy zwierząt ssących, gdyby istniał, ale i to, że zwierzę takie rzeczywiście istnieje. Twierdzenie tu wszakże nie zawiera konieczności wewnętrznej.

Sąd apodyktyczny (niezaprzeczalny) twierdzenie określone prawami umysłu czyli aprioryczne (por. t. w.), zawierające konieczność logiczną (np. jedna i taż sama rzecz nie może jednocześnie być i niebyć; całość jest większa od każdej ze swych części i t. p.). Wyraz ten zapożyczony przez Kanta od Arystotelesa i zastosowany do sądu.

Apologia — obrona jakiegokolwiek nauki lub osoby przeciwko zarzutom (tak zatytułowane są np. Platona — *Apologia Sokratesa*; Tertuliana *Apologia chrześcijaństwa* i t. d.).

A posteriori — *to co idzie później, co następuje*; przeciwstawne apriori (ob. t. w.). W znaczeniu Kanta to, co pochodzi z doświadczenia, co jest empirycznym. Jako metoda rozumowania = *analityczna metoda* (ob. t. w.).

Apprehensio — termin logiczny, oznaczający ujęcie rozumem (pojmowanie), tak, jak *percepcya* (ob. t. w.) jest ujęciem zmysłowym. Kant używa go w szerszym znaczeniu, jako obejmujący tak zmysłowe jak i rozumowe ujęcie. Apprehensio nie jest tem samym co zrozumienie; możemy obejmować umysłem rzeczy, które nie są wcale zrozumiałe.

A priori — jako metoda rozumowania: rozumowanie od tego co poprzedza, do tego co następuje: od przyczyn do skutków (Arystoteles). W takim znaczeniu używano tego wyrazu aż do XVII stulecia; przeciwstawne mu było rozumowanie *a posteriori*, t. j. od skutków do przyczyn (od tego, co późniejsze ob. t. w.). Od czasów Leibniza sens wyrazu zmienił się: *a priori* znaczy u niego sposób rozumowania od oczywistych (wrodzonych) prawd umysłu, wywód z pewników, które dla niego stanowią ostateczną podstawę wszelkiej wiedzy. U Wolffa i jego szkoły *a priori* znaczy poznanie przez rozum w przeciwności do *a posteriori*, jako poznanie z doświadczenia. U Kanta wreszcie razem ze zmianą poglądu na ideje wrodzone (ob.) *a priori*, oznacza to, co jest *potencjalnie* (ob.) w umyśle naszym i ujawnia się dopiero przy doświadczeniu. «Będziemy rozumieć pod nazwą poznania *a priori* — powiada Kant (*Krytyka czystego rozumu*, wstęp §. 1) — nie takie, które jest niezależnym od tego lub owego rodzaju doświadczenia, lecz takie, które nie zależy od żadnego wogóle doświadczenia. Przeciwnem mu jest poznanie, możliwe tylko *a posteriori*, t. j. drogą doświadczenia. Poznanie *a priori* może być *czyste* lub *nieczyste*. Czystem jest takie, do którego nie są domieszane żadne pierwiastki empiryczne. Np. twierdzenie: «wszelka zmiana ma swoją przyczynę», nie jest

czyste, gdyż pojęcie zmiany może być zaczerpnięte tylko z doświadczenia».

Aprobacya — przyznanie za jakimś czynem zgodności jego z prawem moralnem lub inną zasadą ogólną postępowania.

Archaeus — tak nazwał Paracelsus zasadę życiową wszystkich organizmów; zasadę kierującą ich wzrostem i rozmnożeniem. Nazywał go istotą cielesną, lecz pochodzenia gwiazdzistego (ciało astralne), którego przeznaczeniem jest zabezpieczenie organizmu od wpływów szkodliwych aż do chwili, gdy nastąpić ma kres życia. — Van Helmont rozciągnął znaczenie jego do roli czynnika nadającego właściwy kształt ciałom uorganizowanym, a przynależnego każdej najmniejszej cząsteczce tego rodzaju ciał (ob. *vitalizm*).

Z KRAKOWA I GALICYI.

Towarzystwo Sztuki Stosowanej Polskiej, o którego zawiązaniu się donosiliśmy w ostatnim zeszycie naszego pisma, z wielką energią przystąpiło do czynności i już w połowie stycznia otworzyło wystawę w Sukiennicach. Wystawa składa się z trzech rodzajów przedmiotów, należących: 1) do historii sztuki stosowanej w Polsce; 2) do twórczości ludowej na tem polu; 3) do prób stylizowania według motywów ludowych.

Cała wystawa, jakkolwiek niezbyt bogata okazami, przedstawia się wysoce interesująco, a główną uwagę ściągają rzeczy, należące do drugiej z wymienionych grup, grupy najbogaciej reprezentowanej. Nie można dziś jeszcze nic przesądzać o tem, czy próby stylizacji według motywów ludowych zdołają wydać rzeczy godne uwagi: to, co dotychczas widzimy, jest prawie niczem. Są to bądź naśladowania, których samo przeznaczenie i materyał staje w rozdzwiewku z wzorem (np. filiżanki srebrne, kopiujące drewniane czerpaki) bądź kopie dosłowne, często charakterystyczne i oryginalne, rzadko estetyczne. Nie wyklucza to wszakże możliwości rozwoju tych motywów w przyszłości przez artystów odpowiednio uzdolnionych i umiejących przejąć się duchem stylu ludowego. W tem wszakże tkwi zdaje się główna trudność. Grzechem wszelkiego naśladownictwa stylów obcych dobie historycznej lub

właściwej danej klasie kulturze jest brak rzeczywistego odczucia, stanowiącego podstawę jedności stylu: pojedyncze części naśladową się wiernie; ale w spojeniu tak się klóć z sobą, że sprawiają wrażenie wprost przeciwne estetycznemu. Daje się to widzieć na niektórych domach krakowskich, mających być niby stylizowanymi, z których przeto krakowiacy są bardzo dumni, a które w rzeczywistości przedstawiają tylko niesmaczne pot-pourri niezharmonizowanych części.

Pomijając wszakże kwestyą: czy sztuka ludowa wleje ożywczy strumień do naszej ornamentyki, czy stworzy sztukę dekoracyjną polską, doniosłem zawsze zostanie badanie twórczości ludowej w tej dziedzinie. Odsłania ono nam zakątek tak mało jeszcze znanej duszy ludu, jej sposób estetycznego odczucia świata. To też sądzimy, że w tym kierunku, w kierunku folkloru estetycznie-dekoracyjnego, powinna skupić się głównie działalność towarzysztwa. Dalsze wyniki, jeśli przyjsć mają, przyjdą same. Przedwczesne zaś próby muszą być z natury rzeczy zbyt sztucznymi, a przez to nieestetycznymi i zrazić mogą do dzieła, które ze wszechmiar zasługuje na poparcie. A i dla tego dalszego celu pierwszym warunkiem jest dokładne poznanie twórczości ludowej; bo, jak już nadmieniliśmy, nie pojedyncze szczegóły, ale przejęcie się duchem całości stanowić może o tem, czy próby takie okażą się pomyślnymi czy nie.

Przewaga tego działu na wystawie świadczy może, że tak pojmuje zadanie swoje Towarzystwo. Gdyby można było sądzić ze zbiorów tak dorywczych i przygodnych, jak te, które zgromadzić zdołano, możnaby przypuścić, że istnieją specjalne ogniska, gdzie jakieś warunki przyjazne lub zdolność wyjątkowa ludności, sprzyjały rozwojowi twórczości dekoracyjnej. Do takich należy przedewszystkiem ks. Łowickie, obfitujące w tkaniny o bardzo gustownie dobranych kolorach, w przesliczne, znane wszystkim stroje. O rozpowszechnieniu zamilowania do ornamentyki, oraz o wysokim zmyśle artystycznym świadczą ozdoby do ścian i powały w izbach, wycinane z papierów kolorowych przez dziewczęta, a przedstawiające bądź rozmaite figury (np. ludzi prowadzących krowy, rolników, oficerów na bicyklach i t. p.), bądź bardzo gustowne arabeski, niemniej i piękne malowania na skrzyniach. Drugim ogniskiem, odznaczającym się zamilowaniem do jaskrawego zestawienia kolorów krzyczących, jest Krakowskie, dosyć bogato reprezentowane, co już przez samą bliskość się tłumaczy.

Górale z Tatr i Beskidów przedstawiają urodzonych rzeźbiarzy (z drzewa), niemniej jak twórców interesujących motywów architektonicznych. Tkanin i ozdób papierowych dostarczyli Kurpie. Najwięcej i z rozmaitych miejscowości zebrano kopij skrzyń malowanych, przedstawiających dużo interesującego, tak ze względu na motywy rysunkowe, jak i na dobór barw. Pisanki z rozmaitych miejscowości (Galicya, Królestwo, Litwa) przedstawiają także ciekawe motywa ornamentyki, jakkolwiek zbiór ich daleki od tego bogactwa, jakie posiada Muzeum etnograficzne w Warszawie (zbiory p. Z. Wolskiego).

Dział historii sztuki stosowanej w Polsce⁶ jest bardzo fragmentaryczny. Prócz bardzo pięknego i pouczającego zbioru pasów słuckich z rozmaitych fabryk, — dostrzedz tu daje się stopniowe wystąpienie motywów swojskich na miejsce wschodnich, przeważających na pierwszych wytworach w tym kierunku — wymienić wypada kilka fajansów koreckich, baranowieckich i cmielowskich, oraz trochę szkieł urzeckich.

Wśród prób stylizacji przeważają breloki i inne drobne ozdoby, naśladowujące motywa zakopiańskie. Z rzeczy dotyczących stylizacji architektonicznej wymienimy model willi i szereg szkiców budynków murowanych, przystosowanych do motywów góralskich.

W pierwszych dniach lutego odbyła się we Lwowie, dzięki staraniom Zarządu Wykładów Powszechnych, serya wykładów p. Piotra Chmielowskiego, poświęconych dramatowi polskiemu. Wykłady te z kilku względów uważać powinniśmy za wypadek większej wagi w życiu umysłowym Galicyi. Po raz pierwszy to, o ile wiemy, zabiera tu głos publicznie, przemawiając do słuchaczy galicyan, znakomity znawca dziejów naszej literatury, wytrawny, sumienny i światły w sądach swoich krytyk literacki, tak znany i ceniony w Królestwie. Zainteresowanie, jakie obudziły te wykłady, owa na pięć kwadransów przed rozpoczęciem wykładu wypełniona sala, ów ścisk w niej, skupienie i cisza, z jakim go słuchano, entuzjastyczne oklaski, jakimi go żegnano — wszystko świadczy, że i publiczność lwowska, gdzie miał 6 wykładów i tarnowska, gdzie był jeden wykład, umiały ocenić naukę i zalety wykładu prelegenta. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę, że sądy szanownego krytyka dalekie są od schlebiania «modnym prądom», że z całym uzbrojeniem argumentacji logicznej i subtelnością ana-

lizej, odsłania nicość pretensyj t. zw. sztuki dla sztuki¹⁾, to wnosić winniśmy, że krzewienie się tak licznych chwastów na niwie belletrystyki galicyjskiej jest głównie wynikiem chwiejności sądu ze strony ogółu, a braku poważnej i wytrawnej krytyki, opartej na głębszych studyach i na intuicyi, a nie zrażającej ogółu zaco-faniem poglądów. Oby więc ten głos tak poważny, a tak potrzebny w chwili obecnego rozwichrzenia pojęć, mógł jak najczęściej roz-brzmiewać i przyczynić się do wychowania pokolenia, zdolnego odczuć prawdziwe piękno i wydać z siebie jego twórców.

Obok rozumnej i wytrawnej krytyki, na rozwój smaku pier-wszorzędny wpływ wywierają wzory prawdziwego piękna. Jesteśmy najmocniej przekonani, że trzy ćwierci dziwołagów, zachwaszcza-jących belletrystykę naszą współczesną, są wynikiem tego, że autorowie ich nie znają dokładnie arcydzieł literatury wszechświa-towej i swojskiej. Za zasługę więc powinniśmy uważać dyrekcji teatru krakowskiego, że stara się utrzymać na scenie utwory ojca teatru nowożytnego, nieśmiertelnego Szekspira; a gdy siły nie po-zwalają na przedstawienie największych jego arcydzieł, daje przy-najmniej te, na które warunki pozwalają. Do *Burzy* i *Komedji pomyłek*, które widzujemy od roku zeszłego, dołączył się obecnie *Cymbelin*, utwór tak dziwny, tak odbiegający od sztucznych prze-pisów, jak i słusznych wymagań, które dramatowi postawić mo-żna, tak naiwnie wywracający chronologią i historią, mieszający epoki, narody i stroje, a jednak pełny wdzięku i poezji prawdziwej. Urocza postać Imogeny z wdziękiem oddana została przez panią Wysocką.

¹⁾ O sądach tych da pojęcie czytelnikowi umieszczony w bież. zeszytcie artykuł: *Z dziedziny krytyki i historii literatury*.

Z KRYTYKI I HISTORII LITERATURY.

«Modernizm! Modernizm! Modernizm! słyszymy na wszystkie strony, czy w dziennikarstwie, czy w salonie, czy nawet u modniarki i fryzjera, tak jak słyszeliśmy niedawno wyraz *secesya*, a przedtem *dekadentyzm*, a jeszcze dawniej *symbolizm* lub *impresjonizm*...¹⁾».

Przyszedł wreszcie czas, że po steku komunalów, naiwności, cielejących zachwyków, daje się słyszeć głos poważny, sąd wytrawny, a tak pożądanym, o tych niby «nowych prądach»; sąd oparty nie tylko na ocenie samych utworów, ale wykazujący ich związek z poprzednikami ojczystymi, wzorami obcymi, ich tło historyczne i socjologiczne.

Autor zaczyna od paraleli: modernizm i romantyzm. Jest coś wspólnego między obu kierunkami: jeden i drugi są niby reakcją uczuciową — pierwszy na chłód klasycyzmu; drugi ma brutalną przedmiotowość i cynizm naturalizmu. I romantyzmowi nie brakło też dziwołagów, a na dowód przytacza autor *Eliksiry dyabła* Hoffmana. Wyobraźnia góruje nad rozumem: «Gardzi się wówczas rzeczywistością namacalną, ludźmi pospolitymi, tłumem przeżywanym filistrani czy «mydlarzami», a wynosi się własną osobistość nad wszelkie zestawienia i porównania...» Ale też jest i rażąca różnica. «Uczucia romantyków nie posiadały już wprawdzie cechy szczerzej, naiwnej bezpośredniości, jak pieśni ludowe, choć poeci ubiegali się o jej osiągnięcie, w każdym jednak razie miały rozmach szeroki, obejmowały ludzkość całą lub naród, lub jakąś umiłowaną dziedzinę wiedzy, czy sztuki. Uczucia modernistów lubo niby bardzo głębokie i dojmujące, mają charakter ułamkowy i ulotny...» a są samolubne. «Jakoś zmalala pierś człowieka w ciągu stulecia».

Zanim przystąpi do modernizmu autor, zatrzymuje się na dwóch duchach stojących, rzec można, na wyżynach poezji naszej współczesnej: p. Kopnickiej i p. Kasprowiczu, oraz tych, którzy o te same struny potracali: p. Nowickim i Mańkowskim (pseudonim), charakteryzując ich jako «szukających nowych ideałów narodowych»; są to ci, co po romantyzmie i jego epigonach nowe drogi poezji torowali. Niedługo wszakże wzrok spoczywa na tych pocieszających sylwetkach: idą dalej «piewcy pesymizmu». Schopenhauer,

P. Chmielowski: *Najnowsze prądy w poezji naszej*. Lwów, 1901. («Wiedza i Życie», Ser. II, T. VI).

Byron i Heine, Musset i Baudelaire, są tu mistrzami; uczniami — p. Tetmajer ze swoim «Hymnem do Nirwany»:

«Oto mię wstręt przepelnil, ohyda mię zadusza,
Nirwano...»¹⁾.

«Pod względem myśli i nastroju nie dają oni nic nowego» — powiada p. Chmielowski o tym poecie i jemu podobnych: ośmielimy się sądzić, że pod względem formy — jeszcze mniej.

Gromada *wyznawców «sztuki czystej»* dzieli się na trzy pomniejsze.

Symboliści i wirtuozi słowa — tym za wzór służy Maeterlink, a jego impressaryem u nas — p. Przesmycki (Miriam). «Wprawdzie Miriam utrzymuje — powiada autor — że w tych niezrozumiałych frazesach kryją się bardzo głębokie symbole które intuicyja czytelnika, biegłego w odgadywaniu zagadek odsłonić potrafi; lecz ja wyznać muszę, iż pomimo wysiłków nie zdołałem odnaleźć znaczenia bardzo wielu zdań Maeterlinka, przytoczonych przez jego tłumacza i wielbiciela...» Jakichże uczniów wydać mógł ów «ciemny» mistrz? Idą jego śladem u nas pp. Przesmycki i Lange. Ostatni pragnie podnieść do ideału ciemność mistrza: napisać taką pieśń «samotną, niedostępną, jakby na innej urodzoną planecie... której nikt nie pojmie».

Szanowny krytyk wyraża nadzieję, że projekt ten zostanie projektem, a p. Lange będzie po dawnemu pisał «rzeczy zrozumiałe, choć wytworne», a więc nie narazi się, aby go nikt nie pojął... i nie czytał.

Drugą gromadkę stanowią *Intuicyoniści i nastrojowcy*. Tu należą p. Żuławski, pani Jankowska, p. K. Sterling. — O pierwszym tak konkluduje autor: «Nie powtórzymy za poetą, że jest «fałszywym prorokiem», ale musimy zauważyć, że jak idealistyczna filozofia, zaprawiona buddyzmem, przyczyniła dawniejszą jasność jego myśli w *Lotosie*, tak znowuż rozczytywanie się w *Królu Duchu* Słowackiego i wielbienie go jako szczytu poezyi polskiej, natchnęło go «niezdrowym pomysłem niszczenia tego, co tylko chyba starannej naprawy potrzebuje. Wprawdzie ten, co ma złudzenie, iż jest «wszechświatem» całym, może sobie roić, iż potrafi zburzony gmach odbudować; ale przecież sam przyznał... iż jego *wszechmocny* pieśniarz jest bardzo *niemocnym*...» Allegorye zawarte w *Pieśniach Słowa* p. Jankowskiej «kołyszają nas łagodnie do marzeń». — Allegorye p. Sterlinga czerpią naukę od Nitzschego. Ocharakteryzuje go następujące zdanie: «cnota, trupi oddech z rany zgnitego świata...»

¹⁾ Zdaje się nam, że szanowny krytyk zbyt pobłażliwie zalicza te utwory do poezyi; wszakże w tym wierszu niema ani uczucia, ani obrazu, ani rytmu, ani wdzięku językowego: najprozaiczniejsza myśl wypowiedziana w najprozaiczniejszy sposób. — Albo oto drugi przykład również prozaicznej siekanki, z tym dodatkiem, że brak tu i logiki:

Kiedy kobietę, ciało, nazywam aniołem,
Gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
Kiedy mię twórcza władza w zaświaty uniesie,
W nigdzie nieistniejące idealne światy,
Gdy stracę pamięć, wtedy mogę być szczęśliwy i t. d.

Cóż to za zestawienie: nazywanie «ciała» aniołem, t. j. poprostu gadanie głupstw, a oddanie życia dla idei!

Indywidualistą krańcowym jest p. Przybyszewski, który «pierwszy u nas wydrwił obowiązek...»

«Nigdy jeszcze u nas nie było tak brutalnego kopnięcia najwyższych ideałów» — tak kończy p. Chmielowski wykład poglądów na sztukę p. Przybyszewskiego — «takiego cynicznego lekceważenia zasad moralnych, społecznych i narodowych, jak w tym wywodzie Przybyszewskiego. — I rzecz doprawdy dziwna i oburzająca. Zaledwie jeden lub drugi głos powstał przeciwko tym twierdzeniom, kiedy się one poraz pierwszy w druku pojawiły — a natomiast zwolenników i chwalców tego, rzeczywiście nowego programu, znalazło się wśród młodzieży, a nawet wśród starszych, znaczna liczba...» Tymczasem owa «sztuka czysta», w imieniu której nibyto odbywało się owo kopanie, okazała się bardzo nieczystą...

«Nigdy jeszcze tak zuchwale, a nawet bezczelnie nie występował indywidualizm rozhukany, jak w chwili obecnej — tak kończy p. Chmielowski swój przegląd. — «Jad wyrafinowanego sobkostwa, czei dla swojego *ja*, wsącza się w dusze młode i zatruwa je do gruntu». Autor jednak ma zbyt wielkie zaufanie w siły żywotne narodu, aby przypuszczać, że te zapędy mogą zaszkodzić jego rozwojowi, zwłaszcza, gdy widzi w literaturze liczne objawy prądu przeciwnego nie małej potęgi.

Bezpośrednio wiąże się z tym tomem «Wiedzy i życia» trzecia część następującego (VII-go ¹⁾), pióra tegoż autora, poświęcona Wyśpiańskiemu.

«*Warszawianka* wzruszyła, *Wesele* wzięło szturmem publiczność» — powiada autor i wykazuje nam cały rozwój talentu p. Wyśpiańskiego, rozwój, niezawodnie jeszcze niezakończony. Sąd wypada wogóle przychylnie, niekiedy pochlebnie, chociaż daleki jest od lekkomyślnych uwielbień ludzi pozbawionych zmysłu krytycznego. Podnosząc oryginalność pomysłów, swojskość charakteru, który przybrała po kilku próbach naśladownictwa obcych twórczość poety, krytyk wytyka także i błędy historyczne, niekonsekwencye charakterów, wady kompozycyjne, a zwłaszcza skażenie i szpetność języka, stanowiące tak poważną wadę utworów p. Wyśpiańskiego. Wszakże i w tym względzie daje się dostrzedz pewien postęp w stosunku do pierwszych prób. Rości też p. Chmielowski nadzieję, że p. Wyśpiański, «jako artysta zrozumie, że błędy językowe są brzydsze, niż pryszcze na twarzy ładnej, bo nie są ułomnością zewnętrzną, lecz odbierają wiele uroku samej treści». Dalej czytamy, iż ostatnimi utworami «wydzielili się silnie z pośród tych, co w «sztuce czystej» jedyną dziś możliwą religią upatrywali...» Jako artysta olśnił nas wyobraźnią, przypominającą największych twórców, ale walczył i walczy dotąd jeszcze z wyjaśnieniem sobie samej idei przewodnich, by zapanować nad myślami i nad narzędziem ich wyjaśnienia, nad słowem.

Dwie pozostałe rozprawy tego tomu są owocem konkursu i wprowadzają imiona nowe. Autorem szkicu o *Żeromskim* jest p. A. Gałęcki z Warszawy; o *Przybyszewskim* p. Z. Bytkowski ze Lwowa. P. Żeromski *Ludźmi bezdomnymi* nie tylko zdobył sobie wyjątkowe stanowisko w literaturze powieściowej, ale i obrysował indywidualny charakter swojej twórczości. Nad tą powieścią głównie też zatrzymuje się autor, potracając tu i ówdzie o rzeczy po-

¹⁾ *Charakterystyki literackie (Żeromski, Przybyszewski, Wyśpiański)*. Lwów, 1902. («Wiedza i Życie», Ser. II, T. VII).

mniejsze. Cały szkic pisany w tonie sympatycznym, ale nie odpowiada ani rozległością, ani treścią doniosłości przedmiotu. To, co napisał kiedyś p. Gall z powodu *Ludzi bezdomnych*, najtrafniej może, chociaż w kilku słowach tylko, charakteryzuje twórczość p. Żeromskiego¹⁾. Zasluguje też ona na poważną ocenę, która, miejmy nadzieję, nie każe na siebie długo czekać.

Charakterystyka p. Przybyszewskiego jest wogóle trafną. Słusznie wykazuje, że sposób twórczości jego (unikanie wypadków zewnętrznych, chęć malowania duszy bez jej przejawów) nie może doprowadzić do wyników pożądaných. «Wszelkie usiłowania przedstawienia stanów nagiej duszy i duszy w stanie potencjalnym, nie zaś w reakcyi na zdarzenia, z natury rzeczy są skazane na zupełną jałowość opowiadania i zapewnienia, że coś jest, czego jednak nie widzimy». Dlatego też utwory wywołują «efekt wprost przeciwny zamierzonemu: niesmak i zmęczenie». Owo «szukanie nagiej duszy», nie jest czem innym, «jak tylko obniżaniem, często zbyt cynicznym może, własnej duszy». Nie rozumiemy tylko, jak to pogodzić z twierdzeniami, że «obrazy i nastroje» p. Przybyszewskiego są «pozornie tylko lubieżne»; że poeta jest «ascetycznie niemal czystym w głębi duszy» (str. 80). — Rozprawkę tę szpeca galicyanizmy (germanizyny), jak ekspansywność, senzacyjny, szemat i t. p.

P. Chmielowski dal prócz tego w ostatnim roku dwie inne książki z zakresu historii i krytyki literackiej. Jedna, poświęcona działalności pisarskiej p. H. Sienkiewicza²⁾, druga — Gustawowi Zielińskiemu³⁾.

Pierwsza z nich już dosyć dawno jest w ręku czytelników i zbyt wszystkim znana, abyśmy się potrzebowali nad nią dłużej zastanawiać. Kto chce przeżyć do pewnego stopnia powtórnie rozkosze duchowe, jakich doznawał, czytając utwory znakomitego pisarza, a zarazem wyrozumować te dawne wrażenia i ująć je w karby myśli, ten dobrze uczyni, zwracając się do tej książki. I tu nie jest autor bezwarunkowym wielbicielem i chwałcą; wytyka, może niekiedy zbyt surowo, i rozdźwięk z prawdą historyczną i nietrafny wybór momentu, dla osiągnięcia zamierzonego wrażenia i usterki techniczne. A całość książki daje wypukły obraz całej twórczości p. Sienkiewicza, oświetlony jasnem światłem logiki, która bardzo często pozwala dostrzedz to, co łatwe jest do przeoczenia w uczuciwem uniesieniu, jakie wywołuje niezrównany talent pisarza, a w ten sposób każe nam modyfikować sądy swoje, uświadamiać ocenę.

Życiorys Gustawa Zielińskiego opracowany został na życzenie rodziny poety i na podstawie materiałów przez nią dostarczonych, przeważnie listów poety. Dołączone są niewydane utwory jego, rzeczy mniejsze, przeważnie liryki, po części przygodne. Zajmują one trzecią część tomu, którego główną wartość, jak ilościowo, tak i jakościowo, stanowi życiorys poety. Uzupełnia on szereg, coraz to mnożących się monografij, poświęconych postaciom drugorzędnym z okresu wielkiego wstępu poezyi w XIX stuleciu.

Podobną rolę pełni względem jednego z największych duchów twór-

¹⁾ Ob. «Pogląd na świat», 1900, str. 231.

²⁾ *Henryk Sienkiewicz w oświetleniu krytycznem*. 1901. (Tow. wydawnicze).

³⁾ *Gustaw Zieliński Poezycie z życiorysem poety przez P. Chmielowskiego*. Toruń. Wydanie rodziny. 1901.

czych po tym okresie, Kornela Ujejskiego książka p. K. Wróblewskiego¹⁾. Życiorys opracowany sumiennie, opowiedziany zajmująco, na tle ogólnym wypadków życia narodowego. Więcej głębi i odczucia może należałoby żądać od oceny utworów. Listy w dodatku, zajmujące około ćwierci tomu, należą do późniejszych okresów życia. Bądź co bądź jest to cenny przyczynek do historii wieszczą, któremu jeszcze, w stosunku do zasług, zbyt mało pracy krytycznie-biograficznej poświęcono.

Z najnowszych, znowuż *Wyśpiąnskiemu* poświęca studjum książkowe p. Antoni Potocki²⁾. Pomimo przesadnie-chwalczego tonu i podnoszenia wad do cech oryginalności, jest to jedna z lepszych rzeczy o tym poecie. «Tryumf mowy polskiej nad p. Wyśpiąnskimi stał się początkiem bardzo ważnych przemian poety» — pisze autor w jednym miejscu. Sądzimy, że jak wogóle tryumf nad mową stanowi cechę rzeczywistego poety, mówcy lub prozaika, tak też głównie dwie są trudności, których przewyciężenia brakuje p. Wyśpiąnskiemu, aby zostać prawdziwym poetą: tryumfu woli i myśli nad pomysłami, oraz tryumfu autora nad swoim językiem. Jak w utworach jego wogóle pełno pomysłów i szczegółów niepotrzebnych, a w sposób krzywcący klócających się z całością (że weźmiemy chociaż owe w stylu Maeterlinkowskim wybruki historyczno-przeczułowe Maryi w *Warszawiance*, tak nieliczące z sytuacją, ani z momentem historycznym), tak znowu dziwolągi językowe nie tyle są objawem łamania się z językiem ile braku wysiłków ku jego pokonaniu, lekceważeniem formy, brakiem szczerości względem siebie i czytelnika. Prawdziwie oryginalnym pisarzem może zostać tylko ten, kto umie dojść do owej szczerości: dawać myśli swoje, a nie szukać dla nich formy sztucznej, robionej, lecz w tą ją wylewać, jaką naturalnie przybrać dąży.

Wypada mi jeszcze nadmienić o dwóch zbiorkach, które mogłyby bez szkody dla czytelnika zostać w tece autorskiej. Jeden stanowią *Studia i szkice* p. Neuwart-Nowaczyńskiego³⁾, artykuły już drukowane w rozmaitych czasopiśmiech. Z nich pierwszy p. t.: *Dramat polski w XIX wieku*, który tylko przez nietuwagę redaktorską chyba mógł ukazać się w «Ateneum»⁴⁾, stanowczo nie powinien był być przedrukowywany. Z pozostałych (*Miriam*, *Podhalanie*, *Hogarth*, *Heine*, *Cellini* i t. d.) najlepszym jest *Do Damaszku*. Sądy autora zupełnie niewyrobite. — Nie lepiej się przedstawiają, pomimo pompatycznego tytułu, *Prolegomena, uwagi i szkice* p. J. Zuławskiego. Treść tu mieszana: filozoficzna i literacka. Do ostatniej kategorii należą rozprawki o symbolizmie, teorii «nagiej duszy», o Królu Duchu. I te rzeczy lepiej było pozostawić w tece, czekając na utwory dojrzałsze.

* * *

¹⁾ K. Wróblewski *Kornel Ujejski* (1823—1893) z dodatkiem listów Ujejskiego, Szajnochy i Bohdana Zaleskiego. Lwów, Tow. wydawn., 1902.

²⁾ *Stanisław Wyśpiąnski*, studjum literackie. Lwów, Tow. wyd., 1902.

³⁾ Tow. wydawn., Lwów-Warszawa, 1901.

⁴⁾ Ob. o nim «Pogląd na świat» 1900, str. 273.

Z LITERATURY I BIBLIOGRAFII OBCEJ.

Dwa nowe wydania *Dzieł Berkeley'a* ukazały się w Anglii (*The Works of S. Berkeley*); jedno przez G. Sampson'a w 3-ech tomach (Bell and Sons 1897/8. — Cena 15 sh.); drugie jest powtórzeniem wydania Fraser'a (w 4-ech tomach, Henry Frowde, London 1901. — Cena 24 sh.) o cenie niższej.

Pierwsze wydanie dzieł założyciela idealizmu angielskiego (solipsizmu) ukazało się w r. 1784, drugie w r. 1843; oba były niekompletne. Profesor edynburski Fraser, pierwszy dał odpowiadające wymaganiom wydanie w r. 1871, które obecnie powtarza. Jest ono o tyle kompletniejsze, że daje tekst oryginalny łacińskich rozpraw, które u Sampsona są przetłumaczone. Wydanie Sampsona natomiast zawiera parę niewydanych dotąd drobniejszych pism filozofa.

J. B. Bury (prof. w Dublinie) *A History of Greece to the death of Alexander the Great* (London, Macmillan, 1900, str. XXIII i 909. — Cena 8½ sh.).

Książka ta płynnie i jasno napisana, oparta przeważnie na badaniach Grote'a, Freeman'a Busolt'a, E. Meyer'a i Droysena, uwzględnia także wszystkie najnowsze zdobycze filologii i historii, przedstawia więc obraz współczesnej wiedzy o historii Grecji do śmierci Aleksandra W. (a więc do utraty niepodległości) w wykładzie zwięzłym i objętości nieodstrasżającej przeciętnego czytelnika.

Pierwsze okresy życia greckiego należą do tych, na które coraz to nowe światło rzucają badania archeologiczne i filologiczne. Autor uważa za twórców najdawniejszej kultury egejskiej i myceńskiej (XIII do XII wieku przed Chr.) nie hellenów lecz plemię nie-aryjskie, pokrewne ludom Małej Azji, którego cywilizacją przejęli hellenowie, dając im w zamian język (pelasgowie starożytnych). Wędrówka doryjska miała miejsce w XI do X stul. od strony morza; Kreta, Melos i Thera uległy jej wcześniej niż Lakonia i Argos. Autor użytkował dla tych wywodów świeże wykopaliska kreteńskie przez anglików uzyskane. Krytycy niemieccy uważają te hipotezy za niedość uzasadnione.

Louis Madelin: *Fouché* (1759—1820). 2 tomy. Paris, Plon. — Cena fr. 16.

Coraz to więcej przybywa sylwetek lub wyczerpujących biografij działaczy wielkiej Rewolucji. Postać przedstawiona w tem dziele należy do najwstrętniejszych, ale rola jej, zwłaszcza za czasów pierwszego cesarstwa, była ogromna i wpływy sięgały zbyt daleko, aby dzieje jej nie były zajmujące. Autor, kreśląc życie tego fałszerza odezwy kościuszkowskiej do legionów, ministra i zdrajcy Napoleona, zużytkował obfity materiał drukowany, niemniej jak i stopy dokumentów. — Autor kończy przeproszeniem, że tak długo bawił czytelnika tak złem towarzystwem (jak jego bohater).

J. de Crozals: *L'Unité italienne (1816—1870)*. «Bibl. d'Hist. illustrée». Paris, May, str. 284. — Cena fr. 4.

Jest to niezwykle zajmująca karta z dziejów ludzkości, doskonale i przejrzysto skreślona. Autor ze szczególnem zamiłowaniem maluje obraz literatury i życia duchowego, które poprzedziło i wytworzyło ruch polityczny, zmie-

rzający ku wyzwoleniu i zjednoczeniu Włoch. Wyświetlona jest rola pism Mazzini'ego, Niccolini'ego, d'Azeglio'a, Gioberti'ego i Balbo'a, zarówno jak udział czynny Mazzini'ego, Garibaldi'ego, Karola Alberta i Piusa IX. Dla Metternicha wyzwolenie Włoch było niespodzianką; stary lis, który tylko niskie pobudki umiał brać w rachubę, przeliczył się tam, gdzie szlachetny entuzjazm objął przewodnictwo; tłumaczył się też, jakoby wszystko miał przewidzieć i na wszystko był przygotowanym; «lecz papież liberalny — była to rzecz, która mu nigdy nie przyszła na myśl».

Ernest Lavisse: *Histoire de France depuis les origines jusqu'à la Révolution* (z licznym gronem współpracowników).

T. II, cz. II. A. Luchaire: *Les premiers Capétiens* (987—1137). — T. III, cz. I, tenże: *Luis VII, Philippe Auguste, Louis VIII* (1137—1226). Cz. II. Langlois: *St. Louis. Philippe le Bel. Les derniers Capétiens directs* (1226—1328). — Cena po 6 fr. za tom.

Dwa obszerne dzieła dotyczące historii Francji J. Michelet'a i Henryka Martin'a, które ukazały się w r. 1833, jakkolwiek świetne, należą dziś do przestarzałych. Toż samo dotyczy niemieckiej *Geschichte von Frankreich*, G. Al. Schmidt'a, sięgającej do śmierci Ludwika XV (1835—48).

Obecna zbiorowa praca zmierza ku wypełnieniu tej ważnej luki, a czyni to, według uznania krytyków, jak dotąd, w sposób doskonały, czego nie można powiedzieć było o przedsięwziętej na ten sam sposób *Historii Europy* Lavisse'a i Rambaud'a, która obok rzeczy dobrych zawiera i bardzo słabe, a w sądach wogóle zbyt często grzeszy oportunistem. Zwłaszcza doskonale są tomy, opracowane przez p. Luchaire'a. Przedstawienie feudalizmu na początku XI wieku i następująca potem wielka reforma kościelna w połowie tego stulecia; spotęgowanie władzy królewskiej i «odrodzenie» Francji państwowej w XII stuleciu, stanowią najwybitniejsze punkta pierwszego z wymienionych tomów. Drugi poświęcony jest walce królewskości z innymi potęgami we Francji, z główną postacią Filipa Augusta, dokoła której się koncentrują. — Mniej przejrzysty jest układ w tomie opracowanym przez pana Langlois.

H. Bergson: *Le rire. Essai sur la signification du comique*. «Biblioth. de phil. contemp.» Alcan., 1900, str. 204. — Cena fr. 2-50.

Autor — znakomity analityk świadomości i jej stanów — obiera za punkt wyjścia założenie, że «śmiech ma znaczenie społeczne». Interes społeczeństwa wymaga możliwej towarzyskości jego członków; przeciwdziała uspołecznieniu nie tylko niemoralność i występki, lecz także «sztywność ciała, umysłu i charakteru». Karą tego rodzaju antyspołecznego usposobienia jest śmiech, który wywołuje ono. — Taka jest myśl przewodnia autora, która wszakże oczywiście nie wyczerpuje całości przedmiotu. — Autor poddaje badaniu rozmaite rodzaje komizmu, które dzieli na: 1) komizm ciała i jego kształtów; 2) komizm ruchów i gestów; 3) komizm sytuacji i słów; 4) komizm charakterów; analizę tych rodzajów, świetnie przeprowadzoną, ilustruje autor szeregiem dobrze wybranych przykładów. Książka należy do najlepszych rzeczy w tym zakresie.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Biblioteka Warszawska“, luty, 1902. Numer rozpoczyna artykuł p. Kallenbacha, poświęcony p. *Antoniemu Małeckiemu*, temu weteranowi literatury, którego prac 50-tą rocznicę w tym roku uroczycie we Lwowie uczczono w teatrze. Życie to długie a pracowite, pełne twórczości na rozmaitych polach. Urodzony r. 1821 w Obiezierzu, już w r. 1841, jako abiturient gimnazjum poznańskiego układa *Życiorys Adama Mickiewicza* na podstawie wiadomości od brata wieszczka, Franciszka, uzyskanych. Pierwsza ta praca ukazuje się w «Ore-downniku naukowym» 1842 r. Na studiach w Berlinie ulega urokowi hegelianizmu, już zresztą mającego się ku schyłkowi; pod jego wpływem wydaje rozprawę *O żywej pojmującej się i dokonywającej Narodowości* («Tygodnik literacki», 1843). Uczuwa niebawem pociąg do z życiem bliżej wiążącej się dziedziny, a walka z niemczyzną każe mu obrąć za temat *Porównanie pierwotnych związków społecznych u Germanów i Słowian* («Przegląd poznański», 1846). Jednocześnie umieszcza w tym samym piśmie, również jak i w «Roku» szereg rozpraw z historii włościan, oraz artykuł *O stanowisku i dziełach autora Irydiona* («Rok», 1846), zawierający najlepszy, w duchu demokratycznym napisany, rozbiór *Nieboskiej*. W r. 1850 zostaje profesorem filologii klasycznej, ale już w r. 1853 zostaje zdemisyonowany razem z Polem, Helclem i Zielonackim, wskutek intryg i denuncyacji. Przeniesiony do Insbrucku, oddaje się pracom dramatycznym: przekład *Elektry*, *List żelazny*, *Grochowy wieniec*. W r. 1856 po odbyciu studiów nad filologią słowiańską zdobywa katedrę literatury polskiej we Lwowie i rozpoczyna wykłady po polsku, co było wówczas niezwykłą śmiałością. Tłumy go słuchają. W r. 1860 oddaje na konkurs dwie *Gramatyki polskie*. Po pracach z zakresu literatury wraca znów do badań nad dawną cywilizacją Polski. rozprawką *O runach na mikołczyńskich kamieniach* (1872). — Przy założeniu Akademii krakowskiej w r. 1863 układa program dla wydziału jej filologicznego. Obecnie już ma na ukończeniu *Genezę społeczeństwa polskiego*. — P. N. Trepka w artykule p. t.: *Schyłek ekonomiczny Anglii*, przedstawia niebezpieczeństwa grożące pierwszeństwu ekonomicznemu Anglii przez zalanie jej (przy zupełnej wolności przywozu) taniemi wyrobami niemieckimi — niebezpieczeństwo, które już przed pięciu laty wytknął był E. Williams, obecnie stwierdzający pogorszenie — przez rozwój marynarki niemieckiej, oraz przez współzawodnictwo Ameryki. — We wdzięcznej formie dyalogu p. t.: *Demokracja* p. Wojciech Dzieduszycki opowiada o nieuniknionym postępie demokracji, a nawet socjalistycznemu usposobieniu (?) biurokracyi wiedeńskiej. — P. Kraushar podaje niedrukowany dotąd *Pamiętnik Niemcewicza z lat 1807—9*.

— „Krytyka“, luty, 1902. W artykule p. t.: *Rola jezuitów w dziejach Polski* roz-biera p. W. Sobieski dwa pierwsze tomy obszernego dzieła X. St. Załęskiego *Jezuici w Polsce*, wykazując stronniczość autora, zbyt pochopnego do przypisywania wpływom protestanckim rozwoju indywidualizmu i anarchii. — P. J. Karski poświęca książce p. W. Załęskiego *Statystyka Królestwa Polskiego* artykuł pod

tym samym tytułem. — P. Reymont kończy szkic p. t.: *Ostatnie godziny*. — P. Marawski pisze z *Poznańskiego*.

— „Muzeum“, styczeń, 1901. P. St. Schneider *Nowe poglądy na cywilizację grecką* — bardzo pracowicie zebrane wyniki nowszych studyów nad pierwszemi i dalszemi krokami myśli helleńskiej. Autor sam pracował w tym zakresie, wydając szereg rozpraw, dotyczących wczesnych faz cywilizacji greckiej. Obecnie zestawia wyniki przeważnie literatury filologicznej niemieckiej nad początkiem tragedji, sofistami i Sokratesem, filozofią przedsokratyczną i t. d. Zdaje się wszakże, iż zbyt wielką rolę przypisuje się tu wpływom mistycznym i religijnym na myśl filozoficzną grecką, która nosi tak wybitne piętno racjonalizmu i tylko jemu właściwej jasności i ścisłości. — Praca ta ukazała się i w odblasku. — P. Karbowski zajmuje się *Przyrodnym wychowaniem* komisji edukacyjnej.

— „Wiadomości matematyczne“, zeszyt 4—6, 1901. Znajdujemy w zeszycie tym, zamykającym ubiegły rok, koniec sprawozdania p. Mereckiego ze *Spostrzeżeń wykonanych w Obserwatorium im. J. Jędrzejowicza* w Warszawie: Dotyczyły one, prócz obserwacji nad dwoma kometami, oraz pomiarów czasu pokrycia Saturna przez księżyc, przeważnie badań fotometrycznych i spektroskopowych gwiazdy *Nowej* (zmiennej) w konstelacji Perseusza oraz mikrometrycznych pomiarów mgławic. P. Rudzki zajmuje się kwestyą *Wieków ziemi*. Thomson obliczył go na 100 milionów lat (od chwili, gdy miała jednostajną temperaturę, wynoszącą około 4000° C.), Berry na 9600 milionów lat. Autor podaje swoją metodę. Przychodzi do wniosku, że zależnie od przypuszczeń co do pewnego współczynnika, liczbę Thomsona wypadnie zmniejszyć na 10 lub 100 razy; p. Danielewicz podaje (według p. A. Markowa) elementarny sposób dowodzenia *Twierdzenia Poissona o prawie wielkich liczb* — tak doniosłego w zagadnieniach statystycznych i filozoficznych.

— „La Revue“ 1 stycznia 1902 poświęca artykuł pióra p. L. Bolack'a kwestji *Języka międzynarodowego*, sprawie podniesionej przez kongresy naukowe w Paryżu w r. 1900, a omawianej już parokrotnie w naszym wydawnictwie¹⁾. Autor sam jest twórcą projektu języka, który nazwał *Langue Bleu*, a który uważa za pierwszą próbę w tym kierunku, opartą na teorii języka. Nadmieniwszy wkrótce korzyści, jakie osiągnąć można przez dodanie do nauki języka ojczystego w szkołach tego *drugiego* języka, jako organu stosunków międzynarodowych, a mianowicie ze stanowiska *wychowania, stosunków handlowych, warunków społecznych, wolności, stosunków życiowych, oraz idei pokojowych*, rozważa autor głównie warunki teoretycznie-językowe, którym odpowiadać powinien taki język. Założona przed rokiem *Delegacja dla przyjęcia języka międzynarodowego* uzyskała już przystąpienie więcej niż 50 towarzystw handlowych i innych, niekiedy bardzo licznych. Obecnie ma przedłożyć tę sprawę *Związkowi międzynarodowemu Akademij*. — *Petite main qui fut meurtrière* — wiersz poświęcony Wrześni.

¹⁾ Ob. str. 57, 91, w roczniku 1901.

Zeszyt z 15 stycznia. P. M. L. Norvis daje szkic *Ruchu literackiego w Stanach Zjednoczonych*. Literatura tego kraju miała swoich znakomych pisarzy: Cullen Bryant, autor *Thanatopsis* przed 1820 i F. Cooper przed 1830; od 1830 do 1860: Longfellow, Washington Irving, Edgard Poe, Hawthorne, Holmes, Bayard Taylor; po 1860: Whitman, Bret-Harte, Mark Twain, Russel Lowell i inni. Żadne z dzieł tych autorów — z wyjątkiem *Chaty wuja Toma*, która była zresztą manifestem w sprawie niewolnictwa, nie dosięgło takich kolosalnych wydań, jakie dziś są na porządku dziennym. W połowie zeszłego stulecia powstało Towarzystwo *Dime Novels* (powieści po 10 centów), które załaziło rynek księgarski okropnemi utworami, naśladowującemi awanturnicze powieści Cooper'a, ale bez cienia jego talentu. One to uitorowały drogę książce do najniższych warstw. Wpływ ich na wyobraźnię był odurzający, tak że pastory wie walczyli w swoim czasie z zapalem do powieści, jak z alkoholizmem. Dziś sprzedaż powieści dochodzi do 500.000 egzemplarzy. Cechą dzisiejszych talentów na polu powieściopisarstwa jest niezwykle szybki wzrost popularności; nie znać na nich studyów, pracy, wysiłków ku podniesieniu się; ukazują się niespodziewanie i odrazu zdobywają popularność — nie bez pomocy wszechpotężnej reklamy impressarya-wydawcy. Jak na tem wychodzi literatura — nie potrzebujemy mówić. Ale wydawcy i zręczni autorowie robią miliony. Szowinizm rozbudzony przez ostatnią wojnę spotęgował zapal do powieści historycznej.

D'ri and I (D'ri i ja) Irvinga Bachellor'a ma za temat wojnę z r. 1812 (z Anglią); zaledwie opuściwszy prasę, książka ta doszła do 200.000. Całą zaletą jej — potoczystość opowiadania, oraz szereg niespodzianek porywających i prowadzących czytelnika od początku do rozwiązania, nie dając mu ani chwili na rozważanie lub zastanowienie się. — Również popularną jest *Lazare* przez panią Catherwood, która wyzyskała tajemnicę otaczającą losy nieszczęśliwego syna Ludwika XVI: każe mu uciec do Ameryki i tam doświadczać rozmaitych przygód, aż w końcu uzbraja okręt i puszcza się na odzyskanie tronu do Francji. — *Blennerhasset* Pidgina maluje sceny z okresu Rewolucyi (amerykańskiej) grupując je dokoła postaci historycznej Aarona Burr. — Do najbardziej popularnych należy również *Octopus* Franka Norris'a, przedstawiający pierwszą część trylogii, obejmującej «epopeę zbożową». «Oktopusem» jest tu sieć kolejowa, wdzierająca się swojemi żelaznemi uściskami w pogodne życie farmerów kalifornijskich. Druga część ma przedstawić walki spowodowane przez zboże na giełdzie chicagoskiej; trzecia — to zboże idące do Europy ratować głodnych. — Z pośród dzieł w innym rodzaju, wielką popularność uzyskała (p. t.: *Up from Slavery*) autobiografia Bookera Washingtona, murzyna utalentowanego i dobroczyńcy swojej rasy, znakomitego pisarza, który z wielkim humorem opowiada upokorzenia, jakie znosił, pomimo sławy, z powodu koloru swej twarzy.

— „*Revue philosophique*“, styczeń, 1902 P. H. Bergson p. t.: *L'effort intellectuel* daje studjum z dziedziny psychologii uwagi. Rozważa on wysilek umysłowy w formie przypominania, pojmowania i interpretacji, wynalazku (twórczości), a wykazuje, że wszystkie te rodzaje są wynikiem pewnego schematu dynamicznego, będącego wyobrażeniem, ku któremu zmierzają wszystkie idee, wyrazy i obrazy, który wszakże nie obejmuje samych obrazów, lecz raczej

wskazówki co do kierunków, w jakich iść należy, oraz czynności do wykonania. — P. Milhaud bada *Prawo czterech stanów*, rozwijając myśl Comte'a o trzech stanach. Twórca pozytywizmu poprawnie określił fazy rozwoju, lecz nie miał słuszności, przypuszczając, iż są już wyczerpane. Idąc naprzód otwieramy szeroko drzwi, o których sądził, iż będą nazawsze zamknięte.

— W „*Contemporary Review*“ znajdujemy aż dwa artykuły świadczące o tem, jak źle wyszła Anglia na «uprzemysłowieniu» kraju. Jeden z nich p. t.: *Skąd dostać ludzi przez «Miles'a»* (styczeń, 1902), zwraca uwagę na to, że na każdych pięciu zgłaszających się do wojska, trzech okazuje się niezdatnych. Trzy piąte więc ludności angielskiej należy do kategorii ludzi fizycznie niedoskonałych. W liczbie przyczyn wytyka autor brak mleka w wieku dziecięcym, który powoduje zły rozwój zębów. Wynikiem koncentracji miejskiej jest, że mleka najmniej jest właśnie po wsiach, gdzie ono się produkuje. Dalszemi przyczynami są: wczesne macierzyństwo i ignorancja matek nie umiejących pokierować wychowaniem. Pozorne zamiłowanie anglików do sportu jest raczej gustem do widoków walki: mała gromadka gra w piłkę, znacząca bawi się, czytając w taniach dziennikach o przebiegu gry, co oczywiście nie sprzyja rozwojowi fizycznemu. — C. W. Sorensen w artykule p. t.: *Back to the Land* (Napowrót do wsi!) wskazuje niejako na środek zaradczy. Systemat rolnictwa jest nawskróś wadliwy, nie zabezpiecza bowiem rolnikowi wprowadzonych przez niego ulepszeń (jak wiadomo, w Brytanii przeważa system drobnej dzierżawy, przyczem dzierżawca nie jest zabezpieczony ani co do trwałości dzierżawy, ani od podwyższenia czynszu). Większa część kraju zamieniona na pastwiska. W Anglii akier daje 30 buszli pszenicy, kiedy w Danii 39 (przeciętnie); jęczmień w Anglii daje 33 buszli z akru, w Belgii zaś 40. Krowy angielskie dają przy tem samem pożywieniu na 30% mniej mleka niż duńskie. Ludność miejska wyradza się fizycznie; autor wątpi, czy może mieszkaniec miasta przetrwać trzy generacje. E. Wright daje artykuł *O rozwoju krytyki we Francji*. Autor twierdzi, że krytyka literacka francuska przez swoją prawowierność, współdziałanie i ciągłość, stała się najbardziej wpływową i poważną na świecie. Przebiega on jej rozwój od Villemain'a do Bruntière'a; z współczesnych palmę pierwszeństwa oddaje Lemaitre'owi, który umie skondensować na niewielu stronicach najświetniejsze sądy, wyrażone w najlepszym stylu.

— „*Pall Mall Magazine*“, styczeń, 1902. Artykuł pani Warwick pod tyt.: *A Rural School* (Szkoła wiejska), opisujący eksperyment edukacyjny, podjęty przez autorkę, wiąże się z narzekaniami i aspiracjami, których wyraz znaleźliśmy w «*Contemporary Review*». W r. 1897 założyła ona w majątku swoim Dunmow szkołę, która egzystuje, dzięki zapomogom Rady Księstwa Essex i Biura edukacyjnego (ministerjum oświaty), wpisom członków i pomocy prywatnej — głównie samej założycielki. Gromadzi obecnie przeszło 70 uczniów, z których około 40 są pensyonerami. Przychodzący placą po 6 gwinei rocznie (około 70 rs.); pensyonerowie 30 gw. (315 rs.). Pierwsze dwa lata poświęcone są nauce przedmiotów ogólnego wykształcenia: matematyki, literatury angielskiej, historii, gramatyki, języka francuskiego, rysunku, chemii, ogrodnictwa i botaniki z zajęciami praktycznymi w laboratoryach. Prócz tego chłopcy ćwiczą

się w stolarstwie, a dziewczęta w gospodarstwie domowym. Autorka zaznacza, że w botanice i herborystyce dziewczęta prześcigają wogóle chłopców. — Po kursie elementarnym następuje wyższy (dla obojga płci), który wchodzi w szczegóły nauk rolniczych i pomocniczych do nich (matematyka, chemia, fizyka, biologia). Nabyte jest w sąsiedztwie pole, podzielone na działki około przęta kwadratowego, na których każdy z uczniów uprawia rośliny pastewne, przyczem współzawodniczą z sobą o ilość plonu; jest także pole doświadczalne dla zbóż i mała ferma podzielona na cztery oddziały w celu zaznajomienia z rotacją płodów. Dziewczęta, obok studiów teoretycznych wspólnych z chłopcami, zajmują się głównie gospodarstwem mlecznym według najlepszych metod, przy pomocy odpowiednich machin. Istnieje także drób i ule. Chłopcy uczą się robót metalowych, ciesielskich i inżynierskich. — Założycielka jest wielką zwolenniczką systematu t. zw. w Anglii *coeducation*, t. j. wspólnego wychowania obojga płci. Większa część wykładów i zajęć odbywa się wspólnie. Wyniki stąd są jak najlepsze. Autorka sądzi, że nie najmniejszym wynikiem dodatnim jej małej próby będzie wychowanie lepszych mężów i żon i stworzenie szczęśliwszych rodzin».

— „Fortnightly Review“ za styczeń 1902, zawiera artykuł M. A. Stobarta *The «Æther-Or» of Sorren Kirkegaard*. Sorren Kirkegaard jest według sądu autora Tychonem Brahem filozofii duńskiej, a jego «Albo-albo» («Enten-Eller» — jest to tytuł głównego dzieła jego) dotyczy wyboru pomiędzy życiem według zasad estetyki lub etyki. Pierwszy tom tej książki poświęcony jest estetyce, drugi — etyce. Sam autor energicznie przechyla się w wyborze tym ku etyce.

NOWE KSIĄŻKI.

Fr. Drtina: *Ideály výchovy* (Volné kapitoly) Knižovnička Času. Čís. 2. Praha, 1900. — *Ideály vychování*, przełożyła z czeskiego J. Kietlińska-Rudzka. Warszawa, 1901. — Cena kop. 15.

Zanim przystąpimy do tego dziełka, winniśmy kilka słów o jego autorze, którego pierwsza to praca ukazuje się w przekładzie polskim. P. Francisek Drtina jest profesorem filozofii na uniwersytecie czeskim w Pradze i współredaktorem dwumiesięcznika filozoficznego «Česka Mysl». Poświęca się przeważnie zagadnieniom pedagogicznym, a zwłaszcza dotyczącym wyższego wykształcenia. Z pism w tym kierunku wymienimy: *Nástín dějin vyššího školství a theorií paedagogických ve Francii od doby Revoluciji*. (Wykształcenie wyższe i teorie pedagogiczne we Francji od czasów Rewolucji) Díl I (1789—1814); *Vyšší výchova dívočí ve Franciji* (Wyższe wykształcenie dziewcząt we Francji); *Gymnasium, jeho dějiny a nynější organisce; O appercepti a jejím významu ve vyučování*. Do historycznych należą rozprawy o *Chrześcijaństwie*, o *Podręczniku Epikteta* i inne.

Rozprawka, której przekład zawdzięczamy p. Rudzkiej, jest próbą naskikowania ideałów wychowawczych najbliższej przyszłości na podstawie ich rozwoju historycznego. Autor przebiega ideały wychowania różnych okresów

historycznych; wykazuje naturalistyczny charakter helleńskiego (*Kalokagathia*), supernaturalistyczny chrześcijańskiego, próbę syntezy i indywidualizm w dążeniach wychowawczych odrodzenia. Dotychczas wykształcenie ograniczone było prawie wyłącznie do mężczyzn i to do klas zamożniejszych. Luther żąda szkół dla wszystkich klas i dla obojga płci. Wymownie za tem przemawia także Komensky. Jednocześnie z rozwojem narodowości nowożytnych, wychowanie staje się narodowem. Szkoła sekularyzuje się, wychowanie przybiera charakter realistyczny i praktyczny, dzięki hasłu Bakona: «wiedza, to potęga»; staje się ono wyłącznie intelektualistycznym w wieku oświaty, kiedy pokładane są w nim wielkie nadzieje — odrodzenia ludzkości przez wszechwładztwo rozumu. Bazedow i Pestalozzi wyciskają piętno swoje na ideałach wychowawczych XVIII wieku. Pierwszy nadaje im cechę encyklopedyzmu (w wykształceniu); drugi podnosi pierwiastek uczuciowo-społeczny i moralny.

Wiek XIX ogranicza wzlot aspiracyj swego poprzednika, ale też jest praktyczniejszy w przeprowadzeniu wymagań. Wychowanie dzisiejsze powinno być bardziej przystosowane do życia. Nie zaniedbując historii, bez której nie można pojąć teraźniejszości, powinno zaznajamiać z techniką współczesną. «Z postępek religii ku idealowi etycznemu i wzajemnej tolerancji, wykład religii w szkołach musi naturalnie ulegć reformie». Głównie zaś pozbyć się powinien antropomorfizmu. Wykształcenie mniej polegać powinno na pamięci i znajomości faktów, ile na samodzielności w rozumowaniu. «Zagadnienie społeczne wraz z trudnemi problematy życiowemi, pod którego znakiem wступujemy do nowej doby, tworzy właśnie nowe ideały wychowania». Wychowanie współczesne powinno wpajać dziecku przekonanie, że rodzi się nie dla siebie, lecz dla ludzi i dla ideałów ludzkości.

Pomimo szczupłej objętości, książeczka ta daje wiele myśli. Gorąco ją polecamy naszym czytelnikom. — Przekład miejscami niejasny, wogóle wszakże zadawalniający. Uderzyła nas dowolność w rozkładzie paragrafów (użycie *alinea*). Korekta pozostawia wiele do życzenia. Jest i opuszczenie niewielkie; zapewne nie z winy tłumacza.

Ch. Letourneau: *La psychologie ethnique*. Paris Schleicher fr. («Bibl. des sciences contemporaines»), 1901, str. 556. — Cena fr. 6.

Autor tej książki znany jest czytelnikom polskim z przekładu niektórych prac poprzednich. Metoda, którą posługuje się, polega na zestawieniu odpowiednio dobranego materiału etnograficznego, tak iżby z porównania sam czytelnik mógł wytworzyć sobie obraz stopniowej ewolucji rozmaitych zakresów życia umysłowego i społecznego. W ten sposób dał w szeregu tomów następujące ewolucje: *własności, rodziny, niewolnictwa, handlu, wychowania, polityczną, literacką, religijną*. Zestawienia te nie mają charakteru syntetycznego; autor nie wchodzi głębiej ani w krytykę źródeł, ani w analizę materiału umożliwiającą następną syntezę, a uogólnienia, o ile są wygłaszane, mają raczej charakter dedukcyj, wysnutych z ogólnych zasad apriorycznych, niż istotnie wynikają z materiału podanego. Mimo to, dzieła jego mają tę zaletę, iż dając w ręce czytelnikowi niezwykle obfity materiał, zebrany i ugrupowany właściwie, pozwalają samemu snuć dalsze wnioski. Napisane są przytem lekko i żywo, tak, iż czytają się z łatwością, a idea sympatyczna i postępową zawsze przewodniczy autorowi.

W obecnym tomie, mającym ten sam charakter, co i poprzedzające, stara się autor dać charakterystykę porównawczą umysłowości rozmaitych ras. Zaczyna więc od omówienia życia umysłowego zwierząt, jako przygotowania do takiegoż życia człowieka (R. I); dalej wierny mottowi, które sam wygłosił: że «człowiek pierwotny jest tem, czem małoletni uczyłizowany», daje charakterystykę życia umysłowego dziecka (R. II); przechodzi następnie do rozbioru treści świadomości człowieka dorosłego (R. III); na podstawie uzyskanych danych, kreśli w rozdz. IV umysłowość człowieka pierwotnego, której bilans tak się przedstawia: tyrania potrzeb odżywiania¹⁾; altruizm obywatelski; ubóstwo życia uczuciowego; estetyka dziecinna. W dalszym ciągu kreśli autor typy umysłowości u ludów Afryki, Ameryki, Azji południowej, Chin, Egiptu, rasy semickiej, Indyj wschodnich, helleńskiej, rzymskiej, średniowiecznej i nowożytnej (typu przemysłowego). W ostatnim rozdziale daje wreszcie «syntezę ewolucji umysłowej».

Ed. Toulouse: *Le cerveau*. (Petite encyclopédie scientifique du XX-e siècle). Paris, 1901, str. 156. — Cena fr. 250.

Tomik ten stanowi jeden z seryi, której całość wytworzyć ma «Encyklopedyą naukową». Poświęcony jest anatomii i fizyologii mózgu. Pierwsza część obejmuje pobieżny rzut oka na mózg w szeregu zwierząt. Druga, poświęcona anatomii, traktuje o rozwoju embryologicznym mózgu i stopniowym kształtowaniu jego powierzchni; o ogólnym charakterze tego organu, o topografii zewnętrznej, o budowie anatomicznej, histologicznej, o osłonach i naczyniach mózgu. Część fizyologiczna rozważa przedewszystkiem wpływ mózgu na ruchy; mechanizm mowy, wytwarzania obrazów pamięciowych słów, pisma, wypadki rozmaitego rodzaju afazyj zajmują względnie dużo miejsca i doskonale przedstawione są zapomocą schematów; dalej idą umiejscowienia psychiczne i rzut oka na psychologią fizyologiczną.

Wszystkie części przedstawione są w należytem ustosunkowaniu; wykład jasny, przejrzysty, nieco za pobieżny, ale nie omijający nic istotnego. Wiadomości w tym tomiku podane, wystarczą temu, kto chce mieć ogólne pojęcie o przedmiocie, lub też mogą służyć za wstęp do głębszych studiów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— WP. M. M. w Stryju. Co do wypisów, najprędzej zalecibyśmy K. Mecherzyńskiego *Przykłady i wzory z najcenniejszych poetów i prozaików polskich* (z życiorysami krótkimi) wyd. drugie, 1887—8. Dwa tomy str. 617 i 651. Cena zlr. 4¹/₂. — Do fizyki elementarnej naj-

lepsze są: St. Kramsztyk *Wiadomości początkowe z fizyki*, Warsz., 1886 (dwie części); jeszcze popularniejszą jest jegoż *Fizyka bez przyrządów*, Warsz., 1891—3, dwie książeczki (po 75 ct.). — Trzecie pytanie w następnym zeszytcie.

¹⁾ Autor już w jednym z pierwszych dzieł swoich: *La sociologie d'après l'éthnographie* (1880) wytknął takie stopniowanie potrzeb w miarę rozwoju cywilizacji: odżywianie, życie zmysłowe, uczuciowe, społeczne, intelektualne. Przewaga każdej z nich znamionuje pewien okres rozwoju czyli «wiek ludzkości».

KSIĄŻKI DLA BOGATYCH.

Trzydzieści lat temu Redakcja «Przeglądu Tygodniowego», reprezentującego wówczas skrajną lewicę myśli naszej, rozpoczęła wydawnictwo małych niepokaznych książeczek o niesłychanie niskiej cenie. Bibuła, druk, cały wygląd zewnętrzny, często i tłumaczenie — bo były to zwykle przekłady — pozostawiały bardzo wiele do życzenia.

Dziś prawdopodobnie niechętnie wzięlibyśmy do ręki książkę tak wydaną, a jeszcze trudniej byłoby zmusić siebie do czytania tak słabych pod względem językowym tłumaczeń. Ale wówczas mniej na to zważano. Zapal do wiedzy pozytywnej, ścisłej, ogarnął społeczeństwo, a wydawnictwo to, dostarczając pożywienia wszystkim łakącym po tak przystępnej cenie, znakomicie odpowiadało zapotrzebowaniu.

Tysiące tych drobnych tomików wchłaniało społeczeństwo nasze, pochłaniała je przeważnie młodzież kształcąca się, a nie mająca środków na kosztowne wydawnictwa. I tak, przez ten kanał niepozorny, wsiąkały w umysłowość naszą zbiorową ideje Mill'ów, Taine'ów, Lubbock'ów, Büchner'ów Huxley'ów i tylu innych, które takie wyraźne piętno wycisnęły na umysłowości całej doby dziejowej...

Dziś inne przyszły czasy — inne są upodobania. Na dużych prześcieradlowych stronicach czerpanego papieru, pod okładką wyszukanie antykwizującą lub pokrytą niemożliwymi arabeskami, ukazują się książki — przeważnie zbiory rymów — w których czerniejąca smuga farby drukarskiej znika wśród olbrzymich marginesów, a treści pod tą szczupłą warstewką czernidla ukrytej nie zawsze doszukać się można.

Książki te kosztują drogo, a więc cieszą się uznaniem księgarzy, którzy, pełni nadziei, pielęgnują ten nowy smak publiczności «wyborowej».

Książki te wyglądają — może nie zawsze ładnie — ale bądź co bądź «oryginalnie»; można je położyć w salonie obok albumów, nie wstydząc się za ich niską cenę, a treść ich jest taka, że doskonale nadają się do zagajenia flirtującej rozmowy.

Książki te znajdują uznanie wśród tych, którzy w wyborze strawy duchowej, przywykli kierować się maksymą handlową: «niska cena — lichy towar». Ten nowy rodzaj towaru wygląda istotnie obok dawnych wydawnictw tanich tak, jak cienkie angielskie sukienko przy grubej tkaninie siermiężnej; ale tylko dopóty, póki go w rękę trzymamy. Gdy zagłębiamy się w treść — niejeden pożałuje takiej zamiany wartości wewnętrznej na zewnętrzną...

Nie chcemy wszakże wchodzić w ten szczegół. Zostawmy na uboczu treść książek, a mówmy jedynie o ich szacie zewnętrznej.

Pewna redakcja, dokładająca wszystkich usiłowań, aby w tym kierunku, nie powiemy dogodzić wybredności ogółu — bo jej nie ma nasz czytelnik — ale ją rozwinąć, podnosiła podobno zasługę swoją w tym kierunku. Smutne to zaiste świadectwo składa sobie czasopismo, gdy do tego rodzaju zasług już odwoływać się musi. Nie wchodząc wszakże w rozbiór estetycznej wartości i smaku tego lub owego wydawnictwa, a zapominając na chwilę o planetarnej odległości, dzielącej doniosłość treści książki od jej wyglądu, zapytajmy siebie: czy wykwintnie wydana książka jest istotnym postępek?

Milej jest zapewne trzymać w rękę rzecz ładną niż brzydką; ładnie też wygląda szafka oszklona z tomami oprawnymi w dobry szagren z wyciśnieniami odpowiedniami. Ale — każdy to rozumie — ta ozdobność zewnętrzna podnosi w ogromnym stopniu cenę książki, nie a nic nie wpływając na jej wartość istotną, wartość użytkową, którą jest treść. Bo ten wygląd wykwintny ma oczywiście istotne znaczenie tylko dla tych, u których głównem przeznaczeniem książki jest błyszczeć w salonie i nadawać intelektualny pozór mieszkaniu.

Wynikiem więc tego upiększenia książki jest z konieczności zmniejszenie koła jej czytelników. Książka droga nie zwraca się do ogółu, do mas łaknących wiedzy lub innej strawy duchowej;

szuka ona koła «wybranych», tych, których los wyposażył materialnie.

Wszakże ci «wybrani» pod względem uposażenia materialnego, nie zawsze, a nawet bardzo rzadko, są również wybranymi na polu ducha.

Jeśli więc książka zawiera dobrą treść, to bogata szata zewnętrzna w sposób dwojaki okazuje się dla niej szkodliwą: najprzód dlatego, iż ogranicza w znacznym stopniu zakres rozpowszechnienia tych dobrych myśli; powtóre dlatego, że zmniejsza w ogromnym stopniu szanse ocenienia ich i uznania.

Wprawdzie można się pocieszać odwrotnym rozumowaniem: jeśli treść książki jest zła i degradująca, to nie wiele osób ją pozna. Ale co do tego rodzaju książek, to najlepiej, aby się wcale nie ukazywały.

Wszakże treść książki nie zostaje zupełnie niezależną od koła czytelników, do którego ma przemawiać; nie jest dobrą lub złą jedynie tylko dlatego, iż autor ma dobre lub złe myśli. Najbardziej niezależny z pisarzy, świadomie lub mimowolnie, ulega częściowo wpływowi tego audytoryum, do którego przemawia; stosuje sposób wyrażenia, wybór przedmiotów, po części nawet i sądy, do sposobu myślenia tych, dla kogo pisze, a z którymi wiąże go cały szereg oddziaływań wzajemnych, jakie wywierają uznanie lub oziębłość czytelnika, jego aprobata lub potępienie.

Takie więc zacieśnienie koła czytelników nie może nie wpłynąć i na treść utworów. Pod grozą zupełnego nieuznania, a co za tem idzie — i nieczytania tych utworów, muszą one odpowiadać gustom i usposobieniom swoich czytelników. Z zakresu więc interesów szerokich, od zagadnień i tematów budzących zajęcie mas, muszą schodzić do spraw obchodzących tę szczupłą gromadkę; w tonie swoim muszą się stosować do upodobania w nowości, w drastyczności, w zaciekawieniu jakąkolwiek bądź niespodzianką, chociażby niesmaczną, byle dającą pozór oryginalności. Bo klasy, które czytują drogie książki, nie skłonne są traktować literatury poważnie: jest ona dla nich rozrywką, modą, przedmiotem flirtu. A ponieważ, każdy lubi widzieć w książce, jakby w zwierciadle, odbicie własnej postaci duchowej, więc wszystko, co wychodzi po za sferę, do której należą czytelnicy kosztownej książki, niemiłe jest w niej widziane.

Czy wobec tego książka zbyt kownie wydana jest postępem

w literaturze? — Ze stanowiska kunsztu drukarskiego, wziętego w oderwaniu od jego właściwego przeznaczenia, traktowanego jako «sztuka dla sztuki», może być uważana za taki. Ale sztuka drukarska ma sens tylko wtedy, gdy służy celom literatury. Literatury zaś przeznaczeniem — przemawiać do szerokich mas, wlewać zdobyte wiedzy do treści życia, ozłacać je różowymi promieniami ideału, rzucać w nie surowy nakaz żądań etycznych; nie zamykać się w ciasnym kółku dla dogodzenia sybarytyzmowi smakoszów o stępienem podniebieniu, nie mogących już naprawdę rozróżnić słodyczy od goryczy.

Wiek XIX stworzył tani dziennik, a ledwie zapoczątkował sprawę tanich książek; miejmy nadzieję, że wiek XX dokończy to dzieło, a przez to przyczyni się do osłabienia ujemnego wpływu wyłącznie dziennikarskiej lektury, oraz wynikającej z niej płytkości sądów i polowiczności wykształcenia. Z szacunkiem więc witajmy książkę taną, przemawiającą do szerokiego ogółu, potrącającą o interesa powszechne i ogólne. Nie dajmy sobie zaimponować zbyt kownym wyglądem książki, jak nie imponuje rozumnemu człowiekowi galowy strój osoby, ukrywającej często pustkę i nicłość wewnętrzną. Inny ideał miał wielki wieszcz nasz, gdy marzył o tem, by książki jego zajrzały «pod strzechy»...

Niechże i współczesnych autorów dumą będzie, aby prace ich ukazywały się raczej pod skromną okładką tanich wydawnictw, niż w zbyt kownej, chociaż często niepięknej szacie «książek dla niewielu». Bo nie tylko do szerszych mas przemawiają wtedy, nie tylko w liczniejszych i szerszych sercach budzą odgłos współczucia, lecz, co najważniejsza, spełniają właściwiej powołanie swoje, jako utworów literatury, którym jest wychowanie i podniesienie całego społeczeństwa.

Książki dla bogatych są jednym z objawów tego niezdrowego indywidualizmu, który cofa się wstecz od dokonanej w XVIII stuleciu syntezy z ideą równości; który wyrzeka na demokracją za to, że nie jest dość wykwinną, a za ideał sobie stawia pasyżnictwo garstki zuchwałców, rozpierających się wśród dorobków cywilizacji całej ludzkości, jak dorobkiewicz w świeżo nabytym pałacu, nad którego wytworzeniem i ozdobą pracował szereg pokoleń znawców i miłośników sztuki.

Literatura nasza zbyt szanowną ma przeszłość, zbyt piękną spuściznę, aby potrzebowała przybierać tony intruza w świat myśli i ducha. Jak dobry ton w stroju przeciwny jest jaskrawości

i przesadzie, tak i w szacie zewnętrznej książki, wolimy wygląd skromny i gustowny nad krzyżący, często arlekiński, strój tak zwanego «modernizmu».

HISTORIA W POWIEŚCIACH NASZYCH.

(Dokończenie).

IV.

Z wieku XVII posiadamy nietylko liczne, ale także niektóre znakomite powieści. Aleksander Bronikowski występuje tu z czterema swojemi utworami. W jednym przedstawił *Więzienie we Francyi Jana Kazimierza Wazy* (1828); w drugim p. t.: *Elekcya* (1829) opowiedział dzieje wyboru Michała Korybuta; w trzecim p. t.: *Jan III i dwór jego* (1830) rozwinął szeroki obraz stosunków polskich w ostatniej ćwierci XVII stulecia; w czwartym wreszcie w *Pretendentach* (1828), przechodząc już w początki XVIII wieku, odmalował spotkanie się w Strasburgu trzech nieszczęśliwych wygnańców, co marzyli o koronie, t. j. Jakóba Sobieskiego, Stanisława Leszczyńskiego i Jakóba Stuarta, który poślubił Maryą Klementynę Sobieską.

Równocześnie z Bronikowskim próbował i Fryderyk Skarbek, skądinąd utalentowany pisarz, opowiedzieć artystycznie odzież wiedeńską w *Damianie Ruszczycu*, ale bez powodzenia. Potem przez lat dwadzieścia ukazywały się słabe jeno opowiadania na tle wieku XVII, takie jak Józefiny Osipowskiej *Zofia Olekiewiczówna* (1842), Romana Laskowskiego *Trzy sieroty* (1842), *Hiszpanka w Polsce* (1843), obie niby z czasów Zygmunta III, a dalej: *Ostatnie chwile Michała Korybuta i Elekcya Jana III* (1847), *Michał Odrowąż z czasu oswobodzenia Wiednia* (1857) i t. p., wliczając w to także pierwsze ułomne powieści historyczne Kraszewskiego: *Kościół Święto-michalski* (1832), *Ostatni rok panowania Zygmunta III* (1833), *Ostatnia z książąt Słuckich* (1841).

Dopiero Henryk Rzewuski swoim *Rycerzem Lizdejką* (1852) stworzył zajmujący i pełen życia obraz najazdu szwedzkiego na Polskę za Jana Kazimierza. Oświecenie historyczne osób jest tu wprawdzie bardzo często fałszywe, ale wszystkie postaci żyją naprawdę; wątek rozsnuwa się swobodnie, a niektóre pomysły

czem (1884), *Potop* (1886), *Pan Wołodyjowski* (1887), świetnie, po mistrzowsku obrazując te same czasy — i odrazu pozyskał sobie serca i umysły czytelników.

Niezupelnie był zadowolony Zygmunt Kaczkowski, zarzucając Sienkiewiczowi, iż istotnego ducha dziejów nie pochwycił. Sam więc zabrał się do dzieła i napisał *Abrahama Kitaja* (1886), uwydatniając głównie rozpręganie się organizmu państwowego, a wystawiając wyprawę wiedeńską, jako wyjątkowy objaw dzielności narodu, objaw, który nie przyniósł dodatniego wyniku. Myśl ta była niewątpliwie rozumna, niektóre sceny znakomicie napisane, niektóre postaci świeże i oryginalne, ale całość, jako powieść — chybiona; brakło jej i dobrej kompozycji i żywszego uczucia.

Równocześnie Wincenty Rapacki opracował jeden epizod z czasów Władysława IV w *Grzechach królewskich* (1885 — bunt Kostki Napierskiego); a Adam Krechowicki rozpoczął swój zawód powieściopisarski, ogłaszając *Starostę Zygwulskiego* (1887), gdzie przedstawił rokoszan występujących przeciw Zygmuntowi III. *Veto* na szerokiem tle roztacza nam sceny życia publicznego i prywatnego za Władysława IV. Cykl opowiadań wydawany pod ogólnym napisem: *O tron*, ma zobrazować smutną i bolesną dobę panowania Michała Korybuta i początki rządów Jana III, aż do okropnej sceny spalenia Łyszczyńskiego na stosie za mniemaną bezbożność. Dotychczas wyszły trzy części tego cyklu: *Ostatni dynasta* (1898), *Piast* (1899), *Sława* (1900). Sceny gwałtowne i namiętne, osobistości silne, energiczne, lepiej się autorowi udają, aniżeli łagodne i rzewne. O ścisłą prawdę historyczną dba on bardzo. — Odosobnione miejsce zajmuje powieść Walerego Przyborskiego p. t.: *Aryanie* (1876), mierna pod względem talentu.

V.

Wiek XVIII, najczęściej u nas brany za przedmiot opracowań powieściowych, rozpatrzę w dwu działach, jako czasy saskie i okres Stanisława Augusta, ponieważ są one całkiem od siebie różne pod względem cywilizacyjnym.

Otóż pierwszą próbę odmalowania czasów saskich dał nam Julian Ursyn Niemcewicz, przeciwstawiając im czasy Księstwa warszawskiego, w powiastce p. t.: *Dwaj panowie Sieciechowie* (1815). Obszerniej, szczegółowiej zarysowała stan obyczajowy

za Augusta III Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa) w dwu swoich drobnych arcydziełach: *Listy Elżbiety Rzezyckiej* (1824) i *Dziennik Franciszki Krasieńskiej* (1825). Fryderyk Skarbek z mniejszem powodzeniem opowiedział przygody *Adama Tarły* (1827). Nastąpiła potem długa przerwa w osnuwaniu wątku na pierwszej połowie XVIII wieku; tak że dopiero w r. 1847 ukazuje się słaba powieść Józefa Wiślickiego: *Pani Orzelska*, na intrygach dworskich za Augusta II oparta, bez talentu i bez dokładnej znajomości czasu napisana.

Falszywy pod względem kolorytu, ale wyborny jako żywe opowiadanie jest *Adam Śmigielski* (1851) Henryka Rzewuskiego, przedstawiający okres walki stronników Stanisława Leszczyńskiego z wojskami Augusta II. Czasy Augusta III tenże autor obrobił w *Zaporożcu* (1854), najslabszem swoim dziele, zaledwie tu i ówdzie wykazującym wielki talent. I Zygmuntowi Kaczkowskiemu nie powiodło się malowidło zatargu Augusta II z narodem, w rozwlekle pisanej powieści p. t.: *Sodalis Marianus* (1859); *Bracia ślubni* zaś (1853) przedstawiają tylko stosunki prywatne za Augusta III.

Dopiero Kraszewski, osiadłszy w Dreźnie i zapoznawszy się z dokumentami, zaczął odtwarzać czasy saskie ręką pewną, ze spokojem artysty i wybornego znawcy, którego żaden wybryk obyczajowy, żaden błąd polityczny nie dziwi, gdyż obecne mu są w pamięci całe takich objawów szeregi. Wrażenie, jakie z przypatrywania się tym obrazom życia rozpasanego lub bezmyślnego odnosimy, jest zazwyczaj bardzo przykre: intrygi, szalbierstwa, przekupstwa, pijatyki, zrywanie związków rodzinnych, samolubstwo brutalnie tryumfujące nad uczciwością i poświęceniem, zjawiają się tu jako cechy znamienne i trwałe stosunków, napelniając duszę goryczą i wstrętem. Pod względem artystycznym jednak mamy tu nieraz sceny, a nawet całe grupy scen wykończone świetnie, barwnie, plastycznie, z takim wyzyskaniem sytuacji, a zarazem z taką miarą, jak w rzadko której powieści historycznej Kraszewskiego. Najlepszą z nich bezwątpienia jest pierwsza *Hrabina Cosel* (1873), malująca w szerokich rysach hulaszczę życie na dworze Augusta II, płochość króla i silne przywiązanie kobiety śmiałej, odważnej i ambitnej; i inne atoli mają niepospolite zalety, jako to: *Brühl* (1874 — oprócz ministra królewskiego, jezuita Guarini, dumny i lekkomyślny Sułkowski); *Z siedmioletniej wojny* (1875 — działalność agentów politycznych, bezradność rządu sa-

skiego wobec potęgi Prus i t. d.), *Starosta warszawski* (1877 — syn ministra, Aloizy Brühl, Franciszek Salezy Potocki, Sollohubowie), *Grzechy hetmańskie* (1879 — Jan Klemens Branicki, Czartoryscy), *Skrypt Fleminga* (1879 — znowu czasy hulaszczcze Augusta II). Słabe są powieści z «cyklu» do tej epoki odnoszące się, jako to: *Za Sasów* (1890), *Saskie ostatki* (1890). — Obok tych powieści, zawierających albo przeważnie, albo w znacznej mierze pierwiastek historyczny, są inne, malujące stosunki czysto prywatne z uwydatnieniem zepsucia obyczajowego, przemocy możnych, braku wymiaru sprawiedliwości za Augusta II i III. Takimi są *Bratanki* (1871), *Herod Baba* (1872), *Sąsiedzi* (1878), *Wilczek i Wilczkowa* (1878), *Pułkownikówna* (1881), *Na bialskim zamku* (1882). Historia szlachecka: *Pan na czterech chłopach* (1878) jest jedynym obrazkiem z czasów saskich, przedstawiającym wyłącznie dodatnie postaci — oczywiście na prowincyi.

Z teje epoki, lecz nie z pod panowania Sasów, ale z historii króla Leszczyńskiego i jego córki, wzięte zostały dwa opowiadania; jedno skreślił Karol Hoffman p. t. *Król wygnaniec* (1856); drugie Kraszewski p. t.: *Męczennica na tronie* (1887 — smutne losy Maryi Leszczyńskiej, wydanej za króla francuskiego Ludwika XV).

Czasy Stanisława Augusta najświetniej przedstawione zostały przez Henryka Rzewuskiego i Zygmunta Kaczkowskiego; lubo wyprzedziło je głęboko pomyślane i ładnie obrobione opowiadanie Dominika Magnuszewskiego p. t.: *Posiedzenie u Baciarellego* (1834).

Rzewuski wielką sławę swoją zawdzięcza głównie *Pamiętkom Imci Pana Seweryna Soplicy* (1839—41) i *Listopadowi* (1845). Znakomity dar opowiadania językiem i stylem starszlacheckim, żywość wspomnień tradycją mu przekazanych, jowialność dawna nie wykluczająca nowszego dowcipu, fantazyja plastyczna ogromna, i pewien stopień przedmiotowości w malowaniu zarówno sympatycznych, jak i niemiłych autorowi osobistości, sprawiły, że owe dwa utwory Rzewuskiego pozyskały odrazu nadzwyczajne uznanie krytyków i chętnie były czytane przez ogół. Z czasem zapal do nich się zmniejszył: odślonięto słabe ich strony; ale to pozostało pewnikiem, że rozleglejszego nad *Listopad* obrazu cywilizacyi staropolskiej w zetknięciu z modą i wyobrażeniami francuskimi w wieku XVIII, dotychczas nie posiadamy, pomimo prób bardzo licznych, podejmowanych przez siły pierwszorzędne.

Kaczkowski daleko większą ilość zarysów i powieści pozostawił. Obrazował on głównie obyczaje domowe i w tem był najszcześniejszy. *Bitwa o Chorążankę*, *Gniazdo Nieczujów*, *Pierwsza wyprawa pana Marcina*, *Kasztelanie Lubaczewscy*, *Swaty na Rusi*, zapoznają nas w sposób bardzo powabny z zewnętrzną stroną życia szlachty sanockiej zarówno przed rozbiorem kraju, jak i potem. Wszystkie zalety żywego opowiadania i malowniczego kreślenia scen skupiły się w obszernej powieści p. t. *Murdelio* (1854), której brak jeno szerszych widnokręgów politycznych, ażeby mogła stać obok *Listopada*. Mniejszą wartość posiada *Starosta Hołobucki* (1857), dworskie stosunki kreślący; w *Anuncyacie* (1859), opowiadającej epizody z Konfederacji barskiej, dobrze jest nakreślona postać tytułowa; *Grób Nieczui* przenosi nas w czasy zupełnego upadku kraju i opowiada walki legionistów i udział polaków w wojnach napoleońskich.

Z czasów Konfederacji barskiej, legionów i dziejów następnych zaczerpnął treść do swych skromnych, uczuciem ogrzanych obrazków Kajetan Suffczyński (Bodzantowicz), wydając po kolei następne książki: *Rodzina konfederatów* (1856, 1869), *Boje polskie i przygody żołnierskie* (1871), *Zawsze oni* (1875).

Jan Zacharyasiewicz wy dobył na jaw udział mieszczaństwa w sprawach narodowych, kreśląc bardzo ładny szkic p. t.: *Konfederat* (1861); mniej natomiast udatnie przedstawiają się jego zarysy chwil tragicznych z czasów Stanisława Augusta w powieściach: *Marek Poraj* (1867), *Noc królewska* (1872), *Chleb bez soli* (1872). Lepsze są drobne obrazki zawarte w książce *Z pod trzech zaborów* (1892).

W związku z Kaczkowskim wspomnieć wypada powieści Władysława Łozińskiego, który z właściwem sobie ożywieniem oraz zamiłowaniem do powikłanych przygód poszedł w ślady mistrza, pisząc *Pierwszych galicyan* (1867), *Legionistę* (1870), a zwłaszcza najlepsze: *Opowiadania Imci Pana Wita Narwoja, rotmistrza konnej gwardyi koronnej* (1874—76).

Kraszewski dostarczył najwięcej obrazów XVIII wieku, z początku malując je jednostronnie, lecz z czasem coraz bardziej stając się przedmiotowym. *Maleparta* (1844), to jakby antyteza *Pamiętek Soplicy*; co u Rzewuskiego było białem, to czarno u Kraszewskiego się przedstawia. *Dyabeł* (1855) jest znacznie wielostronniejszym; zepsutemu światu stolicy przeciwstawione zostało patryarchalne życie na prowincyi. *Staropolska miłość* (1859) maluje

wiernie, wytrwale, zrezygnowane kochanie prowincjalisty w stosunku do płochości wielkoświatowej. *Dola i niedola* (1864) kreśli bolesne przejścia człowieka szlachetnego w gruncie, ale słabego charakteru, nie mogącego oddziaływać na kuszące powaby rozkoszy i ponętne a dowcipne wywody «encyklopedystów», wolteryanizmu. W *Żelidze* (1865) i *Ongi* (1867, inaczej: *Krwawe znamię*) wystawione są ciemne strony rodzin arystokratycznych, zatargi i nienawiści wzajemne, wynikłe z dumy lub wyścigu celem dopięcia mniej lub więcej samolubnych celów. W *Orbecie* (1867) na tle zepsucia obyczajowego czasów Stanisława Augusta, nakreślił autor obraz bezwstydneho wyzyskiwania chorobliwej miłości bohatera tytułowego przez ladacznicę Mirę. *Póldyable weneckie* (1868) przy ślicznym opisie miejscowości, przedstawia pokochanie i poślubienie mieszczyki przez szlachcica polskiego. *Tułacze* (1868—1870) to zamierzona przez Kraszewskiego, ale względnie do obudzonych wymagań słabo wykonana epopeja o losach wygnańców od upadku Konfederacji barskiej do upadku rewolucyi listopadowej. W *Bezimiennnej* (1868—69) mnóstwo nadzwyczajnych przygód na tle powstania Kościuszkowskiego. *Sto dyabłów* (1870) to mozaika z czasów Sejmu czteroletniego. Podobna treść, tylko więcej skupiona, w *Baranim kozuchu* (1881 w «Tygodniku ilustr.», osobno dopiero 1900). *Król i Bondarywna* (1875) to sceny ze zjazdu w Kaniowie. *Król w Nieświeżu* i *Ostatnie chwile księcia wojewody* (1877) malują nam postać popularną Radziwiłła Panie Kochanku. *Sceny sejmowe* (1875) — to bolesny obraz nieszczęsnych narad w Grodnie 1793 r. *Warszawa w r. 1794* (1871) samym tytułem mówi o swej treści. *Pod Błachą* to wesołe życie Warszawy za czasów pruskich, książę Józef Poniatowski, pani Vauban i t. d.

Inne, jeszcze liczniejsze powieści Kraszewskiego mają tylko ogólne tło drugiej połowy XVIII wieku, z krótkiem zaznaczeniem epoki historycznej; wypełnione zaś są wypadkami życia prywatnego, charakterystyką obyczajową. Oto ich spis: *Szaławiła* (1870 — mało wykształcona tęż y z n a), *Przygody pana Marka Hinezy* (1870 — poszukiwanie karyery przez milego i zdolnego próżniaka), *Ewunia* (1871 — wytrwała miłość szlachcianki dla chudopachołka), *Zemsta Czokołdowa* (1871 — zatargi rodzinne), *Papiery po Glince* (1872 — przebiegi zręcznego obieżyświata, zyskującego łaski Radziwiłła Panie Kochanku), *Boża opieka* (1873 — awanturnicze dzieje Janka Leliwy), *Kawał literata* (1876 — niedouk karyerowicz), *Syn marnotrawny* (1877 — znowu obraz tęż y z n y, wyborny), *Macocha* (1873 —

(1873 — sprawy teatru narodowego), *Sniebotowie* (1881 — znowu zatargi rodzinne). W tych utworach przeważa strona ciemna: rozpasanie namiętności, lekkomyślność, zepsucie lub przewrotność. Za przeciwstawienie temu zepsuciu można uważać obrazki cnotliwej obyczajności na prowincyi, zawarte w takich powieściach, jak: *Bracia rywale* (1877), *Sekret pana Czuryły* (1877), *Zadora* (1878 — syn chłopa), *W pocie czoła* (1881 — również syn chłopa, dorabiający się fortuny bez wypierania się przeszłości), *Raptularz pana Mateusza Jasienickiego* (1880), *Stara panna* (1881), *Klasztor* (1882 — sympatyczne malowidło staropolskiego życia klasztornego, w którym nie było miejsca na fanatyzm i nieludzkie odpychanie jednostek w imię wiary).

Mówiąc najogólniej, sceny życia potocznego, stosunki literackie i teatralne w powyższych powieściach Kraszewskiego są daleko lepiej odmalowane, aniżeli wielkie wypadki dziejowe, wybitne postaci, które wywarły wpływ na losy narodu. W żadnej zaś niema takiego skupienia wszystkich czynników twórczych, jak u *Hrabiny Cosel*, to też pomimo, że niektóre szczegóły są w nich lepsze, świetniejsze, niema pomiędzy nimi całości doskonalszej.

Okropne stosunki między rodzeństwem na tle XVIII wieku odmalował Józef Dzierzkowski w *Skarbcu* (1855); a otumanienie szlachcica przez magnata, wciągającego go podstępnie do Konfederacyi targowickiej w *Uniwersale hetmańskim* (1857). Powstanie Deniski pod sam koniec XVIII stulecia, udaremnione zdradą Dąbrowskiego, z wielką żywością i plastyką opowiedział T. T. Jez w *Krwawych dziejach* (1862). Sylwetkę poety Książnina na tle dziejowem nakreślił Adam Rządewski w *Pierwszym Roman-tyku* (1884).

Pomimo tak licznych prac powieściowych, o wieku XVIII nie można bynajmniej twierdzić, iżby już wszystkie strony cywilizacyi owoczesnej znalazły odbicie artystyczne; owszem, dla przyszłych twórców pole do zasługi i do wypróbowania lotu swej wyobraźni jest jeszcze bardzo a bardzo obszerne.

VI.

Co do wieku XIX, to on dla nas jest z natury rzeczy jeszcze współczesnością; były atoli w nim momenty, które już przeszły całkowicie do dziedziny historii; takimi są czasy pruskie (od 1796 do 1807), rok 1830/31, wojna krymska (od 1853 do 1856), lata 1860/64.

Powieści zatem, do tych momentów się odnoszące, znajdują właściwe miejsce w tym spisie.

Czasy pruskie odtworzyła pierwsza na podstawie żywej tradycji Klementyna Hoffmanowa w powieści p. t.: *Karolina* (1839). Niebawem potem z innej strony ukazał je Fryderyk Skarbek w *Pamiętnikach Seglasy* (1845). Rozwinęli ten obraz szeroko Paulina Wilkońska w *Skalińcach* (1864), Kraszewski we wspomnianem już opowiadaniu: *Pod Blachą* i Adam Rządowski (Aër) w *Złudzeniach* (1899).

Czasy poprzedzające lata 1830/31 i następujące po nich, były odmalowane w sposób namiętny najprzód przez Jana Czyńskiego w *Jakobinach polskich* (1833), potem przez Konstantego Gaszyńskiego w opowiadaniu: *Pan Dezydery Boczek i sługa jego Pafnucy* (1846), dalej przez Edmunda Chojeckiego w *Alkhadarze* (1854), następnie przez T. T. Jeżę w *Wasyłu Hołubie* (1858), w *Pierwszem Bożem przykazaniu* (1861), w *Pani komisarzowej* (1866), w *Drugim Bożem przykazaniu* (1866), w *Sprawie ruskiej* i w *Ostapku* (1874), przez Jana Zacharyasiewicza w *Czerwonej czapce* (1872, albo *Nemezys*) i w *Świętym Jurze* (1862); wreszcie przez Z. Kaczkowskiego w *Świętej Klarze* (1895). Samym rokiem 1830/31 zajmuje się wyłącznie powieść Zygmunta Kaczkowskiego p. t.: *Wasi ojcowie* (1892).

Okoliczności połączone z wypadkami wojny krymskiej znalazły dotychczas, o ile wiem, jedynego malarza w T. T. Jeżu, a mianowicie w jego opowiadaniu p. t.: *Hryhor serdeczny* (1874, nowe wydanie 1898).

Lata 1860—64 obrobił na gorąco Kraszewski, przejęty do głębi myślą, żeby nic z tego, co przeżył sam, lub o czem od innych się dowiedział, nie zmarniało w zapomnieniu, więc skrzętnie notował zarówno ważne, jak nawet drobne zdarzenia, dyskusye, mało dbając o ich artystyczne wyzyskanie i niezbyt się troszcząc o nakreślenie wykończonych, pełnych w sobie charakterów. Dopiero po upływie pewnego czasu, kiedy się powieściopisarz oswoił z nowym dla siebie materiałem, kiedy obok przejęcia się uroczystością i powagą chwili dziejowej, zaczęła się pojawiać w umyśle jego chłodniejsza refleksya, obrazki przemieniały się na obrazy, w których artysta musiał zwrócić baczniejszą uwagę na postaci niż na wypadki, gdyż te w zasobach pamięci jego już się wyczerpywały. Wówczas w malowaniu niektórych scen wzniósł się Kraszewski do takiej siły, jakiej naprózno szukalibyśmy w po-

wieściach z powszedniejszych chwil życia naszego; ale całości, którąby znakomitą nazwać było można, nie utworzył. Wydawał te dzieła pod pseudonimem Bohdana Bolesławity. Oto ich tytuły: *Dziecię starego miasta* (1863), *Szpieg* (1863), *Para czerwona* (1864), *My i oni* (1865), *Żyd* (1866), *Na wschodzie* (1866), *Hybrydy* (1867), *Dziadunio* (1869), *Zagadki* (1870—72), *Kochajmy się* (1870), *Nad Spreą* (1874).

Takie są dzieła, z których można z naszych powieści zaczerpnąć, w sposób łatwy i przystępny, pewnej wiedzy historycznej. Nie przywiązując się zbyt mocno do szczegółów w przedstawieniu ludzi i wypadków, nie biorąc za rzetelną prawdę wszystkiego, co powieściopisarze ze względów artystycznych wzięli z własnej fantacyi, czyli, zachowując się wobec nich krytycznie, potrafi czytelnik pochwycić prądy dziejowe, wyrozumieć ducha czasu i przyswoić sobie pewne określone poglądy na przeszłość, ażeby z nich wysnuć wnioski o rozwoju dziejowym i o naszym dzisiejszym do niego stosunku.

P. Chmielowski.

WYROK DZIEJÓW.

Błogosławieni wy ciszy, ubodzy,
Co, ciężką tylko w życiu znając pracę,
Pchacie wóz dziejów po postępu drodze,
Głaz na świetlane kujecie pałace;

Co pogrążeni w noc niewiadomości,
W progu tych świątyń nawet nie staniecie;
Czyja dłoń zwiędła w przedwczesnej starości,
A myśl stroskana nie wie nic o świecie...

Błogosławione i wy, wielkie duchy,
Których wzrok wieszczy w przyszłość mglistą sięga,
Za czym technieniem, jakby lekkie puchy,
Przerzuca karty tajna losów księga...

Błogosławieni wy czynu kapłani,
Których dłoń nawy ster dziejowej chwyta,
Wiodąc ją w przyszłość przez nurty otchłani,
Gdy rzeczywistość w swych zawiasach zgrzyta...

Lecz tym, co plody z życia niwy łzawej
Zgarnąć chcą sobie rękami chciwemi,
A dla swej uczty płoczej i plugawej,
Ścielą kobierce na skrwawionej ziemi;

Co w samolubne pragnienia bogaci,
Uciech swych tylko kłaniali się bogu,
Nie zamarzyli o szczęściu dla braci
I nie stanęli u przyszłości progu —

O tych pogardy i przekleństwa słowy
Wspomni jedynie wielka dziejów księga,
I piętno hańby spadnie na ich głowy,
A imię ich zmaże letejska potęga.

D.

TYP KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ

W NAJNOWSZEJ POWIEŚCI POLSKIEJ.

Nikt chyba nie zaprzeczy tej prawdzie, że literatura pełni rolę nadzwyczaj doniosłą w rozwoju społeczeństw; widzimy tu wzajemne oddziaływanie życia na twórczość i utworów ducha na objawy życia. Podobnie woda oceanu paruje i unosi się w wyższe warstwy atmosfery, aby się znów skroplić i zasilić jego głębiny. Literatura musi koniecznie odbijać w sobie wszystkie prądy życiowe, aby osiąść ów pierwiastek prawdy, który jak sól pokarmom, zapewnia jej trwanie, na rozwój zaś charakterów w znacznym stopniu wpływają książki, zwłaszcza w młodości przeczytane. Nawet pewne typy spotykane w życiu, urabiają się, bądź świadomie, bądź nieświadomie, pod wpływem świeżo przeczytanej, głośniejszej powieści. Utwory Orzeszkowej wychowały całe pokolenie kobiet, co zaś do Sienkiewicza, to któż nie stwierdził, że po wyjściu *Bez Dogmatu* Płoszowskich zaczęliśmy coraz częściej spotykać po salonach i na ulicy. Była to zapewne w znacznej części poza lub też suggestya, ale częstokroć też powieść odgrywała rolę czynnika uświadamiającego; jednostka dopiero wtedy poczuła czem jest właściwie, gdy jej przed oczy postawiono typ, w którym jak w zwierciadle, przejrzeć się mogła.

Powieść przytem napisana z talentem, jako objaw twórczości bardziej bezpośredni, więcej nas może pouczyć o życiu i aspiracjach danego społeczeństwa, aniżeli tendencyjne i po doktrynersku nieraz napisane artykuły.

Rzućmy okiem na galeryą postaci kobiecych w powieści współczesnej, aby ocenić, o ile posunęliśmy się ostatnimi czasy w pojęciach co do stanowiska kobiety w społeczeństwie, i który z autorów naszych dał nam *najwierniejszy obraz duszy niewieściej we wszystkich jej objawach i pożądaniami, jakie w niej wytworzyły warunki życia współczesnego?*

W Anglii p. Ward, we Francyi zaś dwaj autorowie mężczyźni, mianowicie Paweł Margueritte i M. Prevost, starali się stworzyć typ kobiety nowej, «nowej Ewy», która ma się wyłonić wkrótce z chaosu walk i cierpień, na jakie narażona jest kobieta dzisiejsza, pragnąca zdobyć stanowisko człowieka. Dziwna rzecz, że u nas pierwszy Zygmunt Krasiński w *Niedokończonym poemacie* wyraził o kobiecie przyszłości myśli, tak wyprzedzające czasy, w których były wyrzeczone, że dziś żadna najzapaleńsza feministka nie mogłaby żądać więcej; a Prevost w swoich *Vierges fortes* tę samą myśl rozwija, każąc kobiecie walczyć z własną słabością, aby stać się strażniczką najwyższych ideałów etycznych i tym sposobem ludzkość całą odrodzić. Margueritte zaś powiada w swojej powieści *Femmes nouvelles*: «Jeżeli kobieta chce być rzeczywiście równą mężczyźnie, niech to nie będzie niewolnicze naśladownictwo; niech zostanie przede wszystkim kobietą, nie zrzekając się swego właściwego wdzięku. Niech zamiast być chybionym mężczyzną, nowa kobieta stara się być pod wielu względami podobną do dawnej... Trzeba żeby kobiety stworzyły sobie nie nową formę, ale nową duszę».

Nasza powieść nie poszła tak daleko w usiłowaniu rozwiązania kwestyi kobiecej; zajmowały ją dotychczas więcej zagadnienia społeczne i ogólne psychologiczne; często bardzo nawet kwestya ta bywa traktowana z punktu humorystycznego i satyrycznego, jak np. w *Emancypantkach* Prusa, gdzie owa feministka, panna Howard, albo też obraz sesyi kobiecej, jest prawdziwą karykaturą ruchu kobiecego. Wprawdzie nader wdzięczny i sympatyczny typ Madzi przedstawia bezgraniczną dobroć serca i poświęcenie, ale zarazem niezaradność, która potrzebuje koniecznie opieki silniejszego ramienia. Wszystkie zresztą kobiety w *Emancypantkach*, feministki i niefeministki, bez opiekuńczego męzowskiego skrzydła

czują się najnieszczęśliwszymi. Wogóle nasza literatura nie posiada jeszcze podobnego typu feministek, jakie dał Prevost w swoich *Vierges fortes*.

Jednakże oprócz Orzeszkowej, która dała całą galerię postaci kobiet uświadomionych i szlachetnych, rozważanych już niedawno w tem piśmie w wyczerpującym artykule, mamy jeszcze kilku innych młodszych autorów, posiadających pod tym względem zasługi, gdyż przedstawili parę typów kobiecych obecnej doby, z całą znajomością rzeczy. Do tych należy Zapolska, Godlewska, Reymont i Żeromski. Zapewne niejednego z czytelników zdziwi, dlaczego na czele tego szeregu imion nie wymieniłam Sienkiewicza — otóż odpowiem, że Sienkiewicz w swojej galerii przepysnie odmalowanych postaci, nie dał ani jednego typu kobiety współczesnej, takiej, jaką wyrobiły najnowsze stosunki. Maryni Polanieckiej bowiem nie możemy zaliczyć do współczesnych; jest to bohaterka ze szkoły Hoffmanowej, która nakazywała kobiecie kryć się ze swoją inteligencją i wykształceniem, żeby nie urazić mężczyzn.

Wśród zastępu młodych powieściopisarzy, Reymont w *Komedyantce* i *Fermentach*, Godlewska w *Katonie*, dali typy kobiet z okresu przejściowego. Tylko że Janka, bohaterka *Komedyantki* i *Fermentów*, to jakaś istota żywiolowa, nie mająca w życiu żadnych określonych celów, ani ideałów. Janka wyłamuje się z karbów towarzyskich, ale w imię czego, dla jakiej idei? Czy ma w istocie talent, czy też idzie jedynie za swoim rozbujałym temperamentem, tego nikt nie wie, zarówno jak i ona sama. Jest impresyonistką, szuka wciąż czegoś nowego, nieznanego, silnego. Po ojcu swoim, który zakończył żywot w szpitalu obłąkanych, odziedziczyła pewne cechy anormalne; niektóre jej postęпки rażą swoją brutalną nieświadomością i każą domyślać się w niej zaniku niektórych uczuć i instynktów kobiety kulturalnej; zdradzają brak wszelkiej subtelności. Jeśli mam być szczerą, to Janka wydaje mi się niekiedy wprost niesmaczną. Tak samo jak i wiele innych typów w *Fermentach*, zaliczyć ją należy raczej do dziedziny patologii niż psychologii.

Sam autor, jak i jego bohaterka, w obu tych powieściach zdawał się nie wiedzieć, czego chce i dokąd dąży, ani też, co ma począć z siłami, których nadmiar czuł w sobie. Dopiero w *Ziemi Obiecanej* stanął na wyżynie swego talentu.

Powróćmy jeszcze do tej powieści, wpierw jednak pomó-

wimy o *Katonie* Godlewskiej. Literatura nasza poniosła dotkliwą stratę w osobie niedawno zmarłej Ludwiki Godlewskiej, gdyż młoda autorka z każdą powieścią wznosiła się coraz wyżej i byłaby doszła z pewnością do wysokiego stanowiska w piśmiennicze, gdyby jej śmierć nie porwała przedwcześnie. Obdarzona umysłem refleksyjnym i na tyle trzeźwym, aby nie uledez prądom modernistycznym, posiadała jednakże w swym talencie dość pierwiastku lotnego i subtelnego, aby przyswoić sobie wszystko, co jest dodatniego w najświeższych prądach. Szkoda, że jej ostatnia powieść *Nowy Adam* nie została ukończoną, zmarła bowiem autorka przywiązywała do niej wielkie znaczenie, jako do jednego z ogniwi całego szeregu utworów, w których chciała wyczerpać do dna kwestyę małżeńską i wogóle kwestyę duchowego stosunku kobiety do mężczyzny. — W *Katonie* występuje na pierwszy plan sprawa wieczyście roztrząsana we francuskiej powieści: mąż, żona i «ten trzeci» — ale jakże inaczej jest ona tutaj rozwiązana! Młoda dziewczyna wychodzi za mąż, nie mając pojęcia o miłości, jedynie z szacunku i przyjaźni. Po kilku latach małżeńskiego pożycia niezamąconego żadną chmurką, wśród którego umysł jej i dusza rozwijały się w obcowaniu z człowiekiem szlachetnym i rozumnym, kochającym ją całym ciałem, Emilia spotyka się z przyjacielem męża, pięknym, o artystycznej wrażliwej duszy, Zygmuntem Znamienieckim, który odkrywa nagle przed nią, czem jest miłość rzeczywista. Tu Emilia występuje wyraźnie, jako typ kobiety z epoki przelomowej, przejściowej, — z epoki kobiet zbuntowanych. Gdyby należała do poprzedniego pokolenia kobiet zrezygnowanych, zamknęłaby miłość swą głęboko w sercu i cierpiałaby milcząc, wierna do końca obowiązkowi — jeśliby zaś urodziła się w czasach, kiedy kobiety będą miały większą swobodę wyboru i większą świadomość, wówczas prawdopodobnie owa tragedia uczuć nie miałaby miejsca. Ale ona jest dzieckiem chwili obecnej, więc wzgardziła milczącą rezygnacją, chciała być szczerą, bądź co bądź, i nie zważając, że łamie tem serce kochającego ją nad życie męża, wyznaje mu swą miłość dla Zygmunta. Cóż uczyni Krępic? Czy wybuchnie sceną zazdrości, czy skończy samobójstwem? Jest bowiem w tej samej sytuacji, co *Jacques G. Sand*; — ale nie pójdzie w jego ślady... On zdobywa się na największą ofiarę, na jaką człowiek kochający zdobyć się może; dla szczęścia ukochanej kobiety wyrzeka się jej i wydaje ją za mąż za Zygmunta; sam nawet jest obecnym na ślubie i tylko jako jedyną

poecie, zostawia sobie dziecko. Przewaga moralna stoi tu po stronie mężczyzny, bo Emilia porwana wyłącznem uczuciem zapomina o obowiązkach matki, to też one mszczą się na niej, zakłuczając swem wspomnieniem spokój i szczęście, jakiego używałaby teraz powinna w pożyciu z ukochanym. W objęciach Zygmunta, wobec cudnej przyrody włoskiej spogląda w dal z tęsknotą, myślą ulatując do kraju i zapytując wciąż: «Co oni tam robią?» Nie może zapomnieć ani o człowieku, kochającym ją z takim zaparciem, ani o dziecku, które pozbawiła opieki macierzyńskiej.

W *Dobrych Parach* Godlewska w samej bohaterce, Hance, daje również do pewnego stopnia typ kobiety z epoki przejściowej, szlachetnej ale słabej; «nową kobietą» jest tu Jadwiga Linkowska, doktor medycyny. Kocha ona swój zawód, który uprawia z zamiłowaniem, ale zarazem jest wzorową żoną i matką; potrafi zająć się gospodarstwem domowem i czuwać nad wychowaniem dziecka; męża, który nie dorasta jej inteligencją, kocha poczciwie i wiernie, przekształcając lekkoducha na człowieka pracowitego i użytecznego. Ale gdy mąż ten domaga się od niej, by rzuciła praktykę lekarską, ona wyjeżdża od niego razem z dzieckiem i nie wcześniej powraca aż Leon wyrzeka się swych niesłusznych żądań. Nie tyle tu studia lekarskie, jak ten właśnie postępek maluje kobietę nowych zapatrywań, umiejącą bronić swej niezależności duchowej.

Nowy Adam miał przedstawić parę napozór dobraną rzeczywistość, gdyż złączoną węzłem duchowym, oraz wspólną czią dla sztuki. Miłość ich nie wypłynęła z zewnętrznych tylko podnieć, ani z pociągu zmysłów, lecz stała się łącznikiem pomiędzy dwoma duchami równymi sobie. A jednak mężczyzna niebawem uczuwa zazdrość względem tej sztuki, która powinnaby ich łączyć wzajemnie; nie może on pogodzić się z tą myślą, że miłość nie stanowi dla jego żony całego świata, lecz że po za nią pozostaje jeszcze dla niej niezmiernie pole natchnień i rozkoszy twórczych, czerpanych z tego źródła. Uniesiony wreszcie obłędem zazdrości, mści się nad dziełem, które mu zabrało połowę duszy ukochanej kobiety, ciskając je w ogień, ona zaś, rażona tym ciosem, dostaje obłąkania. Takie miało być zakończenie powieści, którą śmierć w połowie przerwała. — Autorka w obu ostatnich powieściach stanęła na stanowisku, które wśród grona męzkich krytyków wywołało pewne oznaki protestu, chociaż bynajmniej nie ukrywała ujemnych stron w kobiecie dzisiejszej. Ale w ostrych rysach od-

malowała walkę toczącą się pomiędzy kobietami pragnącymi wyrosnąć ponad zwykły poziom kur i gęsi, a przeciętnym ogółem męzkim, patrzącym na to z niechęcią. Czytamy np. takie zwierzenia Linkowskiej: «Kobiety, jak ja, nie po różach idą do swego celu, kto może, podsunie im cierń pod nogi i już dwa razy ojcowie, którym uratowałam dzieci od śmierci, odwdzięczyli mi się zapytaniem: cobym zrobiła, gdyby podczas mojej nieobecności w domu, mojemu dziecku stało się co złego? Dodali jeszcze: że pewno miałabym wyrzut przez całe życie... Czy którejkolwiek z kobiet, siedzących całe dnie u szwaczki lub u znajomych, zadał kto takie ciężkie, tak dojmujące pytanie?»

Dodajmy jeszcze, że sama zmarła autorka była pięknym typem kobiety nowej, wysoko uświadomionym, prawym i szlachetnym, a śmierć jej uczyniła lukę, nie tylko w szeregach piszących, ale także w gronie jednostek wartościowych.

Zapolska w swojej powieści p. t.: *Janka* przedstawiła duszę kobiecą, zrazu znajdującą się zupełnie w stanie embryonu, lecz następnie rozwijającą się pod wpływem miłości dla człowieka, oddanego zupełnie pracy dla idei. Janka chowana jest przez ojca dziwaka i tyрана, zupełnie jak wschodnia odaliska, nic się nie uczy, nic nie robi, ojciec jest tego przekonania, że tylko syn przedstawia jakąś wartość, jako reprezentant rodu, dziewczęta zaś są niczem. To też jest ona bierną niewolnicą, nie ma pojęcia o żadnych wyższych celach istnienia, aż dopiero spotkanie z Kuniewiczem, który był korepetytorem jej brata, budzi stopniowo jej ducha z uspienia. Gdy Kuniewicz wyjeżdża do Paryża, ona podąża tam również, przechodzi przez wszystkie stopnie opuszczenia i nędzy, odepchnięta przez ukochanego człowieka, który brutalnie rzucił jej w twarz zapewnienie, że jej nigdy nie kochał, gdyż dręczy go obawa, iż miłość może mu być zawadą w pracy dla idei. Nieszczęśliwa dziewczyna złamana moralnie, przytłoczona niedostatkiem materyalnym, nie umiejąca pracować, tuła się odpychana wszędzie, wśród obcego, nielitościwego społeczeństwa, ale w ogniu cierpienia duch jej wyrabia się i mężnieje. W końcu dostaje się do nocnych przytułków, gdzie się styka z istotną nędzą, i ona obecnie również nędzarka materyalnie, ale duchem bogata, tknięta współczuciem, zostaje w przytułku jako dozorczyni. Kuniewicz spotyka wreszcie dogorywającego na suchoty; dopiero teraz pojmuje on duszę Janki, i spostrzega się, że zbłądził, odpychając jej miłość; w kilka dni potem umiera w szpitalu. Jankę

znaleziono na pół obłąkaną na jego grobie. Po ciężkich kolejach i przejściach powraca wreszcie do kraju; śmierć ojca i brata czyni ją właścicielką dużego majątku. Smutna jest, ale bynajmniej niezłamana, bo wierzy, że duch ukochanego unosi się nad nią, więc pragnie w myśl jego wszystko czynić: dla niej on żyje zawsze. Prześliczne jest to zakończenie powieści, gdzie autorka wypowiada swoje poglądy na nieśmiertelność ducha. — Ewolucya kobiety - lalki w kobietę człowieka jest tu przeprowadzona znakomicie. W *Jance* od początku do końca zda się brzmieć ów okrzyk bolesny, który Krasiński kładzie w usta kobiecie: «Duszę miałam, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznano: Ty, Boże, sądz, coś mi tę duszę dał!»

Gdyby utwór ten nie zawierał paru scen zbyt naturalistycznych, oraz paru dziwactw stylowych, mógłby stanąć w rzędzie najlepszych powieści z ostatnich lat kilku i dziwić się należy, dlaczego nasza krytyka tak mało zwróciła nań uwagi, podczas gdy *Komediantka* Reymonta wywołała tak liczne artykuły i odezwy, z przyczyny, iż ma jakoby przedstawiać kobietę nowoczesną z jej wszystkimi dążeniami i aspiracyami.

Przejdźmy teraz do *Ziemi Obiecanej* tegoż autora. Gdzieindziej już wspomniałam o tej powieści ¹⁾, dziś tylko chcę nadmienić o paru typach kobiecych tam się znajdujących. Mianowicie występują na pierwszy plan jako postaci dodatnie, Anka, narzeczona kuzynka Karola Borowieckiego, oraz Mela Grünszpan, inteligentna żydówka, która kocha się w doktorze Wysockim, szlachetnym altruście i ideologu. Anka jest kobietą z charakterem i pełną uświadomienia. Sama jej powierzchowność, w której autor potrafił nader umiejętnie podkreślić znamienne rysy charakteru i temperamentu, zdradza już jej usposobienie odrazu: «Szaro-błękitne oczy patrzyły z pod zupełnie czarnych brwi, jasno, spokojnie, ale z pewną surowością». Anka umie kochać i poświęcać się; oddaje cały swój fundusz narzeczonemu na budowę fabryki, a nawet w końcu zastawia albo sprzedaje na ten sam cel swoje kosztowności, w sekrecie przed nim; zraniona jednak w swej miłości, widząc, że go zaczyna krępować pierścionek zaręczynowy, bo chciałby poślubić Madę Müller, aby za pomocą jej milionów zdobyć upragnione stanowisko wśród łódzkich potentatów, zwraca mu go bez

¹⁾ Ob. *Współczucie w najnowszej powieści polskiej* «Pogląd na świat», 1901, Nr 4.

żadnych scen, bo jej do tego nie dopuszczają wysoko rozwinięta godność niewieścia. Po latach kilku, Karol przesycony bogactwami i potęgą, i tęskniący teraz za jakimś wyższym celem w życiu, spotyka w parku Helenowskim Ankę, zupełnie taką samą jak dawniej, «pełną sił i pełną czarującego wdzięku, prostoty i szlachetności». Z rozmowy dowiaduje się, że dawna jego narzeczona kieruje ochronką dla dzieci robotników, i że w tem znalazła szczęście spełnionego obowiązku. Do niego nie żywi już żadnego żalu, tylko siostrzane współczucie. Pod wpływem owej rozmowy, Karol, powróciwszy do domu, zaczyna się zastanawiać nad własnym życiem i dochodzi do wniosku, że przegrał własne szczęście. Pisze do Anki list, prosząc ją o wskazówki potrzebne mu do założenia ochronki dla dzieci swoich robotników. «Człowiek nie może żyć tylko dla siebie — nie wolno mu tego pod groźą własnego nieszczęścia» — taki jest ostateczny wynik rozmyślań Borowieckiego, do których popchnęło spotkanie i rozmowa z Anką. Przedstawia się ona, jako rodzimy, swojski typ kobiety, urobiony na podstawie surowego pojęcia o obowiązkach, wysokiego poczucia własnej godności, serdecznego współdziałania w ludzkiej niedoli, co się maluje w jej opiece nad okaleczonymi robotnikami z fabryki, a zarazem uszlachetniony i pogłębiany przez świadomość i zrozumienie pracy społecznej obywatelskiej. Jest to jedna z tych kobiet, która gdziekolwiek się znajdzie, zawsze dla otoczenia swego będzie prawdziwym skarbem i źródłem dobrych natchnień — potrafi ona poświęcić się aż do zupełnego zapomnienia o sobie, nie stając się wszakże niczyją niewolnicą, nie tracąc nic ze swej samoistności.

Mela natomiast jest dobrą i szlachetną, ale w gruncie bierną istotą; kocha doktora Wysockiego, rozumie i odczuwa jego ideały, a jednak ulegając woli rodziny, wychodzi za ordynarnego Moryca Welta i po roku małżeńskiego pożycia pod wpływem otoczenia usposobienie jej ulega najzupełniejszej zmianie; idealna Mela staje się zwyczajną łódzką damą, bezmyślną i flirtującą. Smutna ta metamorfoza następuje zbyt szybko, jakby to sądzić można z poprzedniego zachowania się Meli. A jednak sam Moryc Welt przyznaje, że Mela posiada to «coś takiego», co się nazywa duszą. Smutne też robi wrażenie owa dusza, która gnieciona coraz więcej przez zmateryalizowane, wrogie otoczenie, zamiera powoli i zostaje pogrzebaną. Ileż to dusz takich ginie wśród owego otoczenia, a posiadaczki ich stają się temi pospolitemi, bezmyślnemi

istotami, jaką została później szlachetna, idealna Mela! Są jednakże pomiędzy nimi takie, które się zdobywają na siłę odporną, które walczą i bronią się rozpaczliwie przeciw zalewowi poziomych instynktów i nędzy moralnej — co tak tragicznie umiała przedstawić Zapolska w *Małce Szwarcenkopf*.

Teraz przejdziemy do dziennika Joasi w *Ludziach Bezdomnych*. Z góry uprzedzam zarzut, że w artykule poświęcam tej bohaterce Żeromskiego więcej miejsca, niż poprzednio przytoczonym postaciom kobiecym; dwie są bowiem ku temu przyczyny. Najprzód, chociaż Joasia aspiracyami i poziomem duchowym nie przerosła szlachetnych typów kobiecych, zjawiających się w naszej literaturze od pewnego czasu, jednakże żaden z nich nie był tak skończonym, tak idealnie zharmonizowanym, tak wszechstronnie pojętym.

Dziennik Joasi odsłania nam całą głęb duszy niewieściej, tak jak gdyby autor pozwolił zajrzeć do jej wnętrza przez szklaną szybę, za którą wstawił lampę rozświetlającą wszystkie zakątki tej duszy. Powtórę w uwagach, co krok spotykających się w dzienniku, mieści się tyle głębokich myśli, dotyczących kwestyi kobiecej, że zasługują one na dłuższe zastanowienie się nad nimi, chociażby dlatego, że wyszły z pod pióra męskiego, więc tem samem są zabezpieczone przeciwko zarzutowi stronności. Niekiedy autor kładzie w usta swojej bohaterki uwagi o kobiecie, tchnące tak wielką prawdą i mądrością życia, że podziw bierze, skąd umysł męzki doszedł do takiej znajomości najgłębszych tajników duszy niewieściej, której mężczyźni znali dotąd jedną tylko stronę. Dotąd mieliśmy tylko Narcyzę Żmichowską, która w utworach swoich dała subtelną analizę duchów kobiecych, ale ona sama była kobietą, mogła tedy łatwiej wnikać w owe tajniki, niekiedy nawet nieświadomione przed samą sobą.

W dzienniku Joasi odsłania się przed nami przedewszystkiem dusza ludzka piękna, przejrzysta jak woda w strumieniu: pewne jednak, nadzwyczaj subtelne odcienia podkreślają jej pierwiastki kobiece: np. jej wytworna delikatność co do pojęcia o czystości atmosfery moralnej, bezgraniczne poświęcenie, niemal kult dla uczuć rodzinnych, nakoniec łagodna, smętna poezya, jaką tchną owe wspomnienia młodej nauczycielki. Bo ta istota urocza o wysokiej kulturze moralnej i umysłowej, to biedna nauczycielka, należąca do szarej armii pracownic, biegających od rana do wieczora po lekcjach, z jednego końca miasta na drugi. Gdzież tu

poezya w tem życiu, po większej części spędzanem w tramwajach, na ulicy, lub przy lekcyi z tępymi dzieciakami, którym wbija się w głowy gramatykę francuską, lub inny, równie zajmujący przedmiot? W tem leży tajemnica wielkiego talentu, że we wszystkim potrafi się doszukać źródła żywej poezyi. On pokazał, że nietylko Hanie, Liliany i Anielki, owe istoty bierne, wpatrzone w jedyne słońce swego życia, w męzczyznę, a więdnące jak kwiat bez jego promieni, że nietylko one potrafią być poetycznymi, i że kobieta, pracująca samodzielnie, a od siedmnastego roku życia borykająca się bez żadnej pomocy ni opieki z twardymi warunkami, może posiadać urok i wdzięk niewieści, którego nie umniejszają bynajmniej jej umysł rozwinięty i znajomość praw przyrody.

Tamte epigonki Ofelii i Desdemony, nim poznają miłość, już marzą i śnią o niej; Joasia niema czasu na marzenia, zajęta od rana do nocy lekcjami, pochłonięta przez obowiązki rodzinne — pracuje bowiem na dwóch braci, z których młodszy kształci się za granicą, starszego zaś losy zagnały daleko w obcą, posępną krainę.

Zresztą miała sposobność lepiej poznać życie, niż inne panny w jej wieku, które nigdzie się nie ruszyły bez opiekuńczego skrzydła cioci lub mamy. A jednak zaręczyć można, że większa część ich nie odznacza się taką łabędią czystością duszy, jak ona, która szczerze notuje w swoim dzienniczku każdą myśl, każde najtajniejsze poruszenie wewnętrzne. To też nie może znieść i wciąż oburza się na otaczające ją kłamstwa i fałsze, w których atmosferze wychowuje się większość naszych dziewcząt.

W kilku słowach, stanowiących jak gdyby komendę dla samej siebie, dzielna dziewczyna wyraża zasady, któremi się rządzi w życiu: «Zachowywać czystość duszy i nie dawać do siebie przystępu niczemu podłemu!» «Uczucia nasze nie mogą drzemać, muszą mieć jakiś wyraz w czynach». W wykrzyku tym czuć moc i krzepkość duszy młodej, świeżej, pełnej zapалу, niezłamanej jeszcze zawodami. Przyjdzie i na nie kolej.

Ale najciekawsze są uwagi ogólne o kobietach i o ich stanowisku w społeczeństwie. Tomy całe zapisano już w kwestyi kobiecej, a żadne w nich zdanie nie odznacza się tak swoją jędrnością, jak następne: «Jeżeli w duszy kobiety jest próżnia, którą mogłaby zająć dążność do jakiegoś światła, to w tej próżni naturalną rzeczą kolejną rosną owoce złości, głupstwa, złego wychowania...» A jakże trafną i ciętą jest następująca uwaga: «Co do

twierdzenia, że emancypantka, która już nie ma o co zapytać mężczyzny, jest zjawiskiem brutalnym, to wyznałam, że takiej kobiety dziś jeszcze wcale niema. Dośćnąć mężczyzny nie może wprost z powodu mniejszego zasobu sił fizycznych (gdyby miała nawet przez sobą drogę bez przeszkód i... pułapek). Jeżeli zatem «niewiadomość» nietylko «grzechu nie czyni, ale oprócz tego nadaje «urok», to pomimo wszelkich wysiłków, jeszcze kobieta będzie długo bardzo «uroczo» głupsza od mężczyzny. Dziś wreszcie nie chodzi wcale o to, żeby mężczyznom dorównać, lecz o to, żeby coraz mniej zostawać w tyle we wszystkim...»

Jakże głęboką prawdą tchnie ów ustęp o kobietach piszących: «Kobieta dotąd za twórcę uważać nie ma prawa. Śmieszną jest, gdy przeoczy całą a tak ogromną wyrwę, która ją dzieli od człowieka szczerego: Jakież to nowe prawdy duszy kobiecej jej poezya zawiera? Tylko miłość (notabene męską). Czasami wrzask rokoszu, to jest przejściowego, co raczej uboży niż wzbogaca.. Dość często bunt o prawo głoszenia tego, co już zostało powiedziane przez mężczyzn... W rzeczywistości wszystkie te same uczucia ona posiada, może nawet serce ich zawiera więcej i daleko subtelniejszych, ale nie może ich, nie śmie wyrazić szczerze. Myśli jej biegną odmiennem łóżyskiem, mianowicie są czystsze, a raczej nie tak brutalnie zmysłowe, namiętności zaś zgola inne, wcale nie takie, jak je przedstawiają dzisiejsi autorowie, nietylko mężczyźni ale i kobiety. «Dalszy ciąg tego ustępu odznacza się niezwykłą spostrzegawczością i dokładną oceną umysłowości kobiecej. Autor powiada w nim, że wszystko, co w wielkiej sztuce mogło z równą siłą być stworzone przez kobiety, musiało dotychczas wzorować się na dziełach mężczyzn. Stąd brak szczerości w utworach kobiecych. Słusznie też zaznacza, że mężczyźni, broniąc dotychczasowego, wygodnego dla nich ustroju, potępiają wszelkie próby wyodrębnienia się duszy niewieściej i nowego, jeszcze nieznanego rodzaju sztuki, w czym im dzielnie pomagają kobiety, wychowane w ich szkole. — Dalej zaś nieco Joasia zapytuje na kartach swego dzienniczka: «Czyż mężczyźni uczuć najbardziej wzniosłych, poeci, szanują w kobiecie ducha ludzkiego?» Odpowiedź brzmi przecząco. Oni uwielbiają piękną istotę za jej piękność i ponętę, chociaż zewnętrzne te zalety nie stanowią jej zasługi. Najbardziej sławiono zawsze kobiety o demonicznym wpływie, dalej szły słodkie, bezbronne Ofelie. «Istoty, korzystającej z praw do szczęścia osobistego, użytkującej z siły przyrodzonej

ducha i zdolności umysłu — prawie niema. Daleko łatwiej znaleźć w literaturze szlachetne dążenia mężczyzny do rehabilitacji kobiety winnej, niż oddanie praw i szacunku pokrzywdzonej. To drugie nie jest ani sielanką, ani tragedją, więc nie może budzić «estetycznego wrażenia».

Takich myśli i uwag pełno jest w dzienniku Joasi; jako studjum ducha kobiecego można postawić obok niego tylko niektóre utwory Gabryeli. W dalszym toku powieści postać młodej nauczycielki, jak gdyby chwilami zaciera się i blednie; autor pozwoliwszy nam przejrzeć nawskróś jej duszę w pewnej fazie życia, w następnych zdarzeniach każe patrzeć na nią tylko oczami Judyma. Dla niego zaś jest ona przede wszystkim przedstawicielką wykwiśniętej kultury moralnej umysłowej i estetycznej, do której owo dziecko suteran czuje nieprzeparty pociąg. Zdawało mu się nieraz, że tak jak za lat dziecińczych, siedzi obdarty i głodny w ciemnej izbie piwnicznej, aż tu, po schodach, zstępuje ku niemu jakaś postać. «Słysząc cichy szelest jej sukien, pachnący szmer jej nadejścia... Niesie w oczach dalekowidzących przedziwne posłannictwo swojej miłości...» Kochał w niej nad piękność dobroć i rozum, kochał w niej swoją czy jej miłość, ów zaklęty wirydarz, gdzie człowiek wchodzący zdobywał nadziemską zdolność pojmowania wszystkiego.

A czyż nie jest to znamieniem, że Judym po raz pierwszy wybraną swoją spotyka w Luwrze u stóp posągu tej czystej, szlachetnej Afrodyty z Melos? Opis posągu jest jednym z najbardziej artystycznych ustępów w całej książce. — «Schylone czoło wynurzało się z mroku i jakby dla obaczenia czegoś brwi się zsunęły. Judym przyglądał się jej nawzajem i wtedy dopiero ujrzał małą, niewidzialną fałdę między brwiami, która sprawia, że ta głowa, że ta bryła kamienna w istocie — myśli. Z przenikliwą siłą spogląda w mrok dokoła leżący i rozdziera go jasnemi oczyma. Zatopila je w skrytości życia i do czegoś w niemi uśmiech swój obraca. Wyteżywszy rozum nieograniczony i czysty, posiadała wiadomość o wszystkim, zobaczyła wieczne dni i prace na ziemi, noce i lzy, które w ich mroku płyną. Jeszcze z mądrego czoła bogini nie zdążyła odejść mądra o tem zaduma, a już wielka radość dziewicza pachnie z jej ust rozmarzonych. W uśmiechu jej zamyka się wyraz uwielbienia. Dla miłości szczęśliwej... A przecież nie była to Pandemos, nie była nawet żoną Hafaistososa, ani kochanka Anchizesa, tylko jasny i dobry symbol życia, córka Nieba

i Dnia...» — Obok tego można postawić drugi jeszcze, cudownie piękny ustęp, kiedy Judym zwiedza fabrykę wyrobów żelaznych, w której pracuje jego brat. Zwrócił on tam uwagę na młodego kowala «z twarzą tak piękną, że ujrzawszy ją, stanął jak wryty. Były to ostre rysy chudej twarzy, regularne i jakby wyrzeźbione z kości... Ruchy miał nieszybkie, lecz pewne swego celu, nieodzowne i harmonijne... Wrótce, gdy kolej na niego przysła..., dźwignął swój młot i zaczął uderzać... Młot obiegał krąg rozsunięty i trzaskał w żelazo z ogłuszającą potęgą. Nagie ręce wyrzucały w prawo i w tył i zadawały sztabie cios z boku a od samej ziemi poczęty. Korpus ciała stał prosto, jakby w tej czynności nie brał udziału. Tylko biodra wzdrygały się pewnym, minimalnym ruchem, który wskazywał stopień samej siły... Snopy iskier wyfruwały z pod młota w kształcie gwiazd błękitnych i złotych. Otaczały wspinałą figurę rycerza, jakby aureolą, należną wielkiej mocy i cudownej piękności».

Te dwa opisy nie są symbolami: jeden wieczystego piękna duchowego i cielesnego, uosobionego przez kobietę, drugi męskiej siły i energii, w której istnieje także pierwiastek ducha, oraz tchnienie piękna i poezji, czyniące z tego rycerza pracy — bohatera?

Boska Afrodyta, ów «jasny i dobry symbol życia» zstępuje ku pracownikowi i ofiaruje mu cudowny, drogocenny dar miłości — jakże on ją przyjmie?

Oto odpycha ją, tę miłość, w przekonaniu, że człowiek, który za zadanie w życiu sobie postawił walkę ze złem, powinien być samotnym, aby go nic nie wiązało, nawet ukochana kobieta.

Zawsze więc to samo przekonanie, że miłość, nawet taka, przez którą «człowiek zdobywał nadziemską łatwość pojmowania wszystkiego», może być przeszkodą w dążeniu do podniosłych celów!

Postać Joasi jest tak żywą, zwłaszcza kiedy nam odsłania swą duszę na kartach dziennika, tak jest pełną prawdy, wdzięku i świeżości, że wydaje się nam, iż się kędyś spotykaliśmy w życiu, że jest naszą dobrą znajomą. Prawdziwy to typ kobiety współczesnej, jak ją urobiły najnowsze warunki, lecz nieskończenie więcej mający wdzięku i poezji, niż bohaterki pani Ward, oraz wszystkie «femmes nouvelles» Margueritte'a, gdyż tamte nadto pragną być «nowemi kobietami» i ta samowiedza odbiera im

poezyę, którą oddycha postać Joasi, tak uduchowiona a taka prosta.

Prześliczne jest marzenie Joasi w noc wigilijną, po powrocie z Pasterki: «W żłobie, gorzej niż niemowlę ubogiego parobka, leży Ten, o którym Izajasz mówił, że «uderzy różgą ust swoich». Może to Jego królestwo już się zaczęło, może już idzie «rok pański wdzięczny». Niech się umocnią dusze cierpiące dla dobra wielu i niech wytechną, Panie...»

Ale nie — «rok pański wdzięczny» jeszcze nie przyszedł. Stąd brak harmonii w życiu, stąd to, co by powinno się wspierać wzajemnie i jednoczyć, musi się rozdzielić, gdyż stosunki ludzkie tak się ułożyły, iż wytwarzają kolizje tam, gdzie z natury rzeczy ich nie ma i być nie powinno. Ale dzisiejsze stosunki w społeczeństwie są jak nieuregulowane koryta rzeki, która coraz nowo tworzy sobie łożysko i, kapryśna w swoim biegu, czasem urwie kawał urodzajnego wybrzeża, by w drugim miejscu udarować ludzi piaszczystą wydumą. Jedyną na to radą jest uregulowanie koryta rzecznoego, a fale przestaną podmywać brzegi i zatapiać zielone, wspiane łąki.

I znów przychodzi na myśl ów starożytny, a wieczną prawdą technący myt o Afrodycie; tylko czasy nasze nadały mu inne zakończenie. Afrodyta, z piany morskiej zrodzona, była z początku biała i czysta; później dopiero ziemia splugawiła ją, czyniąc z niej potworną Wenus Pandemos, rzucającą czar w ludzkie serca. Jednakże stopniowo Wenus zaczęła się oczyszczać, tak samo jak wyobrażenie, które zrazu na Cyprze przedstawiał duży kamień kształtu stożkowego, a w późniejszych czasach zaczęło nabierać coraz więcej ludzkiego wyrazu, aż doszło do posągu Wenery Medycejskiej, ideału piękna cielesnego i Afrodyty z Melos, ideału piękna duchowego. Otóż owa cudna Wenus, zanim duch w niej się ocknął, przechodziła różne koleje; pod wpływem słonecznej, greckiej kultury, odrzuciła niezdrowe tajemnice syryjskiej bogini i stanęła wśród Olimpu naga, piękna, ale bezduszna. Pokochała śmiertelnika Anchizesa, ale bogowie wydali ją za kulawego, staroego kowala, Hefajstosa, najbrzydszego z bogów. Wenus poddała się woli Olimpu, bo duch w niej spał jeszcze snem głębokim, wynagradzała sobie jednak ten przymus, oszukując staroego małżonka i poniżając swą godność bogini w przelotnych miłostkach. Wszakże po upływie wieków, dwoje jej dzieci (na imię im było: Miłość i Harmonia) zaprowadziły trochę ładu na ziemi; śmiertelni prze-

stali oddawać się ślepym szałom, zrozumieli znaczenie wyrazu «kochać», a i sama Wenus wyszlachetniała, ponieważ poznała prawdziwą miłość, połączoną z cierpieniem. Oto pokochała młodego pasterza, Adonisa, który został później zabity przez dziką, a Wenus nie mogła utulić się z żalu po jego śmierci. Boleść zbudziła i oczyściła w niej ducha i w końcu odrodziła zupełnie; wówczas powstała boska i czysta Afrodyte-Urania, ów «jasny i dobry symbol życia, córka Nieba i Dnia». — Ale na świecie panowanie Harmonii jeszcze nie rozwiłmożniło się dostatecznie; jeszcze w krainie dusz rządzi niekiedy Chaos, lub gorsze od niego boginie: Niezgoda, Gniew, Nienawiść. Jeszcze po ziemi chodzą potwory o żelaznych klach i spiżowych pazurach, gorsze stokroć od Harpij i Hydr, potwory, które niszczą na ziemi wszystko co dobre i piękne.

Śmiertelnicy, jedni zajęci zdobywaniem skarbów ziemskich, które mają im dać potęgę i przewagę wśród ludzi, inni przywaleni ogromem pracy na chleb codzienny, nie patrzą w górę, kędy unosi się postać niebiańskiej Afrodyty. Inni, podobni mitycznym bohaterom, oczyszczają Augiaszowe stajnie, zwalczają potwory, lecz ciężką walką zajęci, z czołem uznojonem od trudów, chociaż widzą czystą boginę, odwracają się od niej, podczas kiedy przechodzi koło nich jasna i promienna, pragnąc spojrzeniem swoich oczu, przenikających mroki, oświecić im drogę i dodać otuchy w pracach wielkich. Ale kiedy oni, kując ciężkimi młotami, nie zwrócą ku niej wzroku, odchodzi cicha i biała, zostawiając ich samotnymi na dalszy żywot, wśród którego nieraz padają ze znużenia na drodze, nie mogąc dojść do kresu.

A bogini błądzi samotna po świecie, zapoznana i chcąc ukarać śmiertelników, rozbudziła w drugiej połowie rodu ludzkiego uczucie buntu, które będzie tak długo się szerzyć, aż na ziemi Harmonia zupełnie zapanuje — a wtedy mężczyzna i niewiasta, równi duchem, podadzą sobie ręce.

Marya Łopuszańska.

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO KRAKOWA.

POCHÓD KUMOSZEK NA WOLNOŚĆ SŁOWA.

Są takie szczęśliwe zakątki na świecie, nad którymi czas, zdaje się, utracił władzę swoją. Kiedy cała ludzkość idzie naprzód, kiedy gdzieś postępek ten przybiera charakter szalonego pędu i, jak potężna rzeka, gotująca się do olbrzymiego skoku w przepaść w postaci imponującej katarakty, pieni się i wzdyma, rzuca się w podskokach na zweżające koryto jej ściany skalne, spotykają się i takie zatoki odcięte od całości oceanu dziejów, toczącego swe fale w nieznaną przyszłość, w których żywioł płynny nieruchomości spoczywa wciąż na jednym poziomie. W zwierciadlanej powierzchni takich zakątków odbija się pogodny krajobraz otoczenia: strzeliste wieże i ostroluki nurzające się w czarną głęb mile wabią oko; ale pod tą szybą lechcąca oko pięknym odbiciem tał się wytworzona przez nieruchomości zgnilizna wewnętrzna, która zatruwa głębie. Z czasem opanowuje ona całość: cicha zatoka zamienia się na cuchnącą kałużę, a pleśń ją okrywająca odziera z uroku nawet i powierzchnią.

W takiej fazie ewolucji wstecznej znajduje się Kraków. Gdzieindziej — na szerokim świecie, a i u nas także — wskazówki zegara dziejowego wkroczyły już w XX stulecie; w Krakowie stoją one na wiekach średnich.

Mile jest przejeżdżającemu do Zakopanego koroniarzowi, gdy w szybkim tempie przebiega ulice Krakowa, spojrzeć na cudowny gmach Biblioteki Jagiellońskiej i wszedłszy w jego podwórze, rozkoszować się harmonijnymi kształtami budowy; zapomnieć na chwilę, że jest w XX wieku; przenieść się myślą w te czasy, gdy po kamiennych stopniach schodził zwolna z folialem pod pachą taki Wojciech z Brudzewa lub Jan z Głogowa; kiedy pod sklepieniem kryształowem krużganków przechadzał się Grzegorz z Sanoka i szeptał współbiednikowi swemu, wskazując na perorującego w przeciwnym końcu scholastyka: *Vigilantium somnia!*¹⁾

Miło mu zejść od skwaru dnia letniego do podziemi Wawelu i dumać wśród grobów królewskich. Nawet snujące się po ulicach habity mnichów przynoszą jakiś koloryt staroświecki, jakies

¹⁾ Marzenia czuwających.

tchnienie zamierzchłej przeszłości... Ale to wszystko — tylko krajobrazy dalekie, odbite w szybie powierzchni. Pod tą romantyczną estetyką chwilowego wrażenia kryje się coś, co przy bliższym poznaniu odurza syna swego wieku stęchlizną i trupią wonią.

Bo pod temi zakrzepłemi formami gmachów gotyckich gnieździ się i poziom myśli średniowiecznej, z tą wszakże różnicą, że to, co niegdyś było życiem i prawdą, drgało siłą przekonania i tętnem szczerości, dziś jest martwą formą, ukrywającą rozmyślną obłudę u szczytów, tępość lub uległość u spodu...

Bigoterya zastąpiła wiarę, pruderya — wstydlivość. Ci którzy najwięcej krzyczą na niewiarę, na upadek obyczajów, nie mają ani wiary, ani obyczajności. Biją się skostniałą dłonią w próżną pierś, krzycząc w obronie tego, w co przestali wierzyć, co już dawno przestało być żywym źródłem, a stało się martwą literą ukrywającą interes i nieprawe roszczenia zmurszałej kasty; gdy przeciwnie to, co nazywają niewiarą jest nową wiarą, tchnącą życiem i pełną zasiewów przyszłości; to co okrzyczeli jako zepsucie jest nieukształtowaną jeszcze, rodzącą się dopiero formą wyższą stosunków życiowych.

Pod temi zwodniczymi kształtami zewnętrznymi średniowiecznymi, jak pod owym obrazem odbitym w szybie wodnej, kryje się w rzeczywistości tylko próchno i pleśń; żadnej treści żywej, żadnej myśli, chociażby o stulecia zacofanej, tam niema. Niema tu w rzeczywistości nawet przeciwstawności i walki dwóch poglądów na świat, odległych o kilka stuleci: «nowa scholastyka» sfer niby-kulturalnych Krakowa, nie jest nawet owem «marzeniem czuwających», które już w XV wieku ośmieszał Grzegorz z Sannoka. Jest to tylko zbiór przeżytków i przesądów, pozostałych po dawnych formach; zabobonów powtarzanych na zimno, bez wiary w nie, bez tajemniczego dreszczu, jaki sprawiały w wiekach naiwnej łatwowierności.

Dosyć wszakże, aby promień światła spadł na powierzchnię stojącej wody, a wnet znikają owe złudne malowidła w niej odbite a wnet zaroi się cały świat zakalą i zgnilizny wewnętrznej.

Kiedy przyszedł przed paru laty do miasta tego pisarz, szerzący w pismach swoich najbardziej wyuzdane wizye zdegenerowanej i zatrutej narkotykami wyobraźni, kumoszki krakowskie obojga płci nietylko czytały z dreszczem zachwytu nawpół niezrozumiałe elukubracje, ale z istic parafialną ciekawością wciskały się do każdego szczegółu nie zawsze budującego życia

autora; bezmyślne dziennikarstwo robiło mu hałaśliwą reklamę, a «ojcowie uczeni» grodu nie oponowali przeciwko tej bakchanalii, cichaczem nawet cieszyli się, że młodzież zamiast «kwestyj przewrotowych» zajmuje się nieczystymi pomysłami, wylęgli z wyziewów absyntu.

Ale oto w tym czasie znakomity uczony, głośny w całym świecie ucywilizowanym, a który mógł i pragnął zostać sławą i ozdobą wszechnicy krakowskiej, miał odwagę wytknąć palcem jedną z krost składających się na skorupę brudu moralnego, okrywającą społeczeństwo. W grodzie podwawelskim zawrzało, jak w gnieździe os; nie zawahano się przed denuncjacją i oszczerstwem. Człowieka, który nawet w młodzieńczych latach był przeciwnikiem wszelkich środków gwałtownych i rewolucyjnych, a który miał odwagę cywilną ujawnienia tych przekonań wtedy, gdy całe społeczeństwo z niesłychaną gwałtownością porywało się w przeciwnym kierunku, przedstawiono jako rewolucjonistę i agitatora i wyżebrano u władz centralnych jego usunięcie.

Po uczonym przyszła kolej na pisarza.

Na półkach księgarskich ukazało się dzieło, które postawiło sobie za zadanie poetyckie przedstawienie najpiękniejszych i najbardziej podniosłych *Legend*, tych, które wiążą się z postacią założyciela panującej u nas religii. Nie miejsce tu na rozbiór tego dzieła; poświęcimy mu osobny artykuł w najbliższym lub w jednym z najbliższych zeszytów. Dostyc jest zaznaczyć, że zarówno treść, jak i podniosły ton i wysoki nastrój jego, stanowią rażącą przeciwstawność z wyuzdaną chorobliwą erotomanią apostoła wyrodnienia przed chwilą wymienionego, a tak dobrotliwie protegowanego przez «ojców opinii» sfer decydujących krakowskich.

Aby nie być w tym sądzie zbyt podmiotowym, przytoczymy tu parę opinii ludzi poważnych i do sądu w tej kwestyi powołanych z odpowiedzi zebranych przez «ankietę» «Krytyki» ¹⁾.

«*Legendy* Niemojewskiego należą niewątpliwie do dziedziny idealnej — pisze p. P. Chmielowski — niema w nich śladu jakiejś propagandy czynnej. Co więcej, powiedziałbym, że ci, którym naprawdę leży na sercu uszlachetnienie dusz, podniesienie ich i przeciwdziałanie materyalizmowi brutalnemu w myśli i postępkach, powinni by raczej starać się o ich rozpowszechnienie, nie o ich zagładę»... «mieszczą one w sobie tyle nauk o miłosierdziu, dobroci

¹⁾ Ob. o niej w *Przeglądzie czasopism* w numerze bież.

i przebaczenia, że najsurowszy wyznawca etyki, najdoskonalszy filantrop, największy religiant (w podniosłem znaczeniu tego wyrazu) nie mógłby żadnego względem nauk tych podnieść zarzutu».

«I w czem razić mogła czyjekolwiek uczucia przepiękna postać Rebege z *Legendy*, tak niezwykle przypominająca postać Mistrza — pisze p. O. Bujwid. — Wywoływała ona wręcz podniosłe wrażenie na każdym, z kimkolwiek o tem mówiłem».

Ten sam sąd słyszeliśmy osobiście od wszystkich niemal *tych, którzy czytali* dzieło p. Niemojewskiego.

Ale — powiada p. R. Zuber, — «nie wolno» pisarzowi «wyobrażać sobie Chrystusa, jako uosobienia najczystszej wiary i miłości bliźniego, jako obrońcy nieszczęśliwych i uciśnionych, tylko jako dygnitarza, do którego kancelaryi trzeba wnosić podania o audyencye i to na stemplu».

Przytoczyliśmy umyślnie opinie trzech profesorów uniwersytetów ¹⁾, których głosy ogół przywykł cenić: w tym wypadku niezawodnie zasługują wszystkie trzy na podobny szacunek.

Trudno byłoby naprawdę zrozumieć wściekłość wszystkich tych obskurantów w sutanach i bez sutan przeciw książce tak podniosłej, gdyby nie owo objaśnienie, dane przez p. Zuberę, a wytknięte już w śmiałym i silnym liście autora *Legendy*, umieszczonym w kilku dziennikach galicyjskich niezależnych.

* * *

I oto stała się rzecz niesłychana: gdy na całym świecie państwo podejmuje inicjatywy konfiskaty druków, ogół zaś zwykle staje po stronie zakazanej książki; gdy już w XVII wieku pręgierz, pod którym stanął z wyroku sądowego genialny twórca *Robinsona*, stał się dla niego piedestałem tryumfalnym — tu kumoszki obojga płci, podniecane przez jakieś ciemne zakulisowe figury, oszukane przez fałszowane teksty ²⁾ i opaczne przedstawienie treści w obskurantystycznych dziennikach, tłoczyły się do prokuratorji z denuncyacją na książkę, *której nie czytały!*

— Czy pani czytała *Legendy*? — zapytałem jedną z hałaśliwych agitatorek.

¹⁾ P. Chmielowski był, jak wiadomo, mianowany na katedrę literatury polskiej w Warszawie. Zresztą zasługi jego w piśmiennictwie naszym stawiają go o wiele wyżej od wszelkich zewnętrznych oznak i tytułów.

²⁾ Jak to wykazała «Nowa Reforma».

— Nie!... Jakżebym mogła je czytać? — była naiwna odpowiedź.

— Jakże może pani agitować przeciwko rzeczy, której nie zna?

— Polegam na tych, którzy mi o niej mówili...

Nie wiadomo naprawdę, czy oburzać się na bezmyślność tych, którzy, na ślepo polegając na czyimś sądzie, idą z denuncyacją do prokuratora; czy śmiać się z naiwności tego «marszu filistynów» na zasadę wolności słowa, z tego pochodzącego belkoczących, nie wiedząc o co i dlaczego: «Na stos! na stos!»

Były czasy, gdy pochody takie przybierały charakter grozy tragicznej; gdy zapalano stosy pod Brunem lub Savanarollą, żądano zrzeczenia się od Galileusza, wyklinano księgi Kopernika, (które pono i dotąd zostają na indeksie, chociaż o treści ich dowiaduje się każdy malec w szkole). Ale dziś, w XX stuleciu, kogóż przestraszą te patyczki zbierane na stos pod *Legendy* przez bigotki i prudystki? Nie starczy ich nawet na podpalenie tych kilkunastu egzemplarzy książki, które prokuratora znalazła w księgarni!

Jedynym skutkiem, jaki wywołała cała ta wrzawa, było rozgłoszenie książki — skutek wcale pożądanym wobec tego, że ogół miejscowy czyta więcej reklamowanych zuchwale ramot, niż dzieł wartościowych. Książek zaś takich, jak *Legendy*, konfiskata nie zgubi. Gdyby nawet została zakazaną w Austrii — istnieje jeszcze świat szeroki, gdzie ukazać się może w nowych wydaniach. Palenie dzieł Rousseau'a we Francji nie przeszkodziło im przebudować tej samej Francji według zasad w nich zawartych. Miejmy nadzieję, że i *Legendy*, pomimo zakazu (jeśli nastąpi), zrobią swoje dobre dzieło, chociaż w skromniejszym o wiele zakresie.

Tymczasem wszakże na to się jeszcze nie zanosi. Sąd pierwszej instancji w Krakowie wykazał dużo taktu i niezależności, odrzucając konfiskatę, wbrew «silnym plecom», na których opierała się agitacja¹⁾. Sąd apelacyjny przyznał jej częściową rację. Nie wchodzimy tu w rozbiór jego pobudek. Sąd musi działać według formalnych przepisów ustawy, a sędzia może ją interpretować według własnego przekonania w pewnych granicach. Roz-

¹⁾ Za co został zmieszany z błotem w brudnym bezimiennym świstku, grożącym doraźną rozprawą «bandytom literackim», t. j. tym, którzy nie podzielają ich ciemnoty. Donoszą nam, iż nauczyciele rozdawali uczniom gimnazjalnym ten świstek; nie wahano się mieszać dzieci w tę obłudę! Ciemne postacie, które go wydały, doświadczyły w końcu na sobie niedogodności środka, za którym obstawały: piśmidło ich zostało przez policję skonfiskowane.

prawa sądowa nad tym wyrokiem wyjaśni jego formalną poprawność lub błąd.

Nie chcemy również poddawać tu krytyce ustawy państwowej: musi ona być wadliwą, skoro daje możliwość uzyskania takich wyroków — bo ten, co dotknął *Legendy* nie jest już pierwszym.

Naszym zadaniem było jedynie wytknięcie niesłychanego w dziejach najnowszych zachowania się ogółu. A nie zmniejsza odpowiedzialności jego ta okoliczność, słusznie podkreślona przez p. Bujwidową, że «pomimo *ogólnej pochlebnej dla Legendy* opinii, zostały one skonfiskowane wskutek nawoływania *garstki* pseudomoralistów»; bo jak dalej zaznacza sama autorka: «brak *odwagi cywilnej*, brak śmiałości w wygłaszaniu swego zdania przez niezależnie myślący ogół, jest... najważniejszą przyczyną tych barbarzyńskich stosunków, jakie dziś u nas panują»¹⁾.

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Aprioryczne sądy, wyobrażenia, pojęcia — pochodzące z czystego rozumu, czyli nienabyte z doświadczenia (ob. *a priori*). Tak twierdzenie, że linia prosta jest najkrótszą odległością między dwoma punktami, również jak inne matematyczne pewniki są aprioryczne, gdyż nie pochodzą z doświadczenia. Przeciwnie pojęcie — *a posteriori* (ob. ten wyraz; również *empiryczny* = doświadczalny). Cechami sądów apriorycznych jest ich *konieczność* i *powszechność*. Obie tłumaczą się tem, że sądy te będąc wytworem umysłu poznającego, muszą mu towarzyszyć we wszystkich jego czynnościach. Tak więc twierdzenie «ciała są ciężkie», które jest pochodzenia doświadczalnego, nie ma tych cech: możemy sobie wyobrazić ciało bez ciężkości (sąd więc nie jest konieczny); możemy również przypuścić, że chociaż dotąd nie spotykaliśmy ciał pozbawionych ciężkości, mogą one wszakże istnieć na jakimś planecie, lub w jednym ze światów gwiazdzystych. Przeciwnie, gdybyśmy wykryli związek logiczny pomiędzy pojęciem ciała a własnością ciężkości, taki, iż ta własność byłaby wynikiem owego pojęcia, sąd nasz zostałby apriorycznym i jako taki posiadałby obie wy-

¹⁾ Odpowiedź na kwestyonaryusz «Krytyki».

mienione cechy. Ten charakter mają wogóle twierdzenia matematyczne: nie możemy np. wyobrazić, aby gdziekolwiek lub kiedykolwiek istniał trójkąt płaski w przestrzeni euklidesowej, którego suma kątów nie byłaby równą dwóm prostym. Takiego trójkąta pojąć nie możemy.

Aprioryczne pierwiastki poznania — to co do poznania naszego wchodzi nie od rzeczy poznawanej, lecz od istoty poznającej. Ponieważ poznanie jest aktem, w którym bierze udział zarówno przedmiot poznania, jak i poznająca istota (podmiot), więc jedno i drugie wnosi coś do treści poznania. Innemi słowy: nasze wyobrażenia o rzeczach różnią się od samych rzeczy na to, co w tych wyobrażeniach jest apriorycznem, t. j. pochodzi od umysłu poznającego. Kant rozróżnia, jako pierwiastki poznania aprioryczne: 1) formy poznania zmysłowego: *przestrzeń* i *czas* (ob.). Nie należą one do rzeczy, lecz stanowią porządek, w jakim zmysły nasze układają zjawiska świata; 2) *kategorie* — czyli formy poznania przez rozsądek (ob. wyraz); 3) *ideje* (ob. wyraz) czyli formy poznania przez rozum (por. *rzecz w sobie*, *zjawisko*). Aprioryczne pierwiastki nie tylko poprzedzają wszelkie *doświadczenie* (ob. t. w.), lecz bez nich byłoby ono niemożliwe. One nadają elementom doświadczenia pewien porządek i ład, dzięki któremu doświadczenie staje się poznaniem. Wykrywamy je wszakże dopiero wtedy, gdy czynimy z nich użytek: ujawniają się bowiem dopiero przy badaniu doświadczalnem, przy zastosowaniu umysłu do poznania.

Arché (wyr. grecki), tak nazywał Anaximander substancją pierwotną, z której powstać miał świat, istotę wszechrzeczy, którą określał jako *nieograniczoną* co do ilości; *pozbawioną własności* (*ἀπειροσ*) *niestworzoną* i *wieczną*. Pojęcie to nie jest wszakże identyczne z pojęciem *matery* (ob.) fizyki współczesnej lub filozofii materialistycznej, gdyż w pojęciu Anaximandra obdarzone było władzą samorzutnego ruchu (ob. *hylozoim*), było więc cielesno-duchowe. Nazywał też je bogiem (*θεός*).

Archetypus — pierwowzór; por. *idea* w znaczeniu Platona. *Mundus archetypus* u Campanelli (1568—1639) — świat pierwowzorów czyli wszystkiego możliwego, wypływający wprost z Boga, pierwsze jego objawienie (por. *neoplatonizm*, *emanacja*).

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Pamiętnik literacki“, kwartalnik, poświęcony historii i krytyce literatury polskiej. Rok I, zeszyt 1. — Zaczynamy ten przegląd od przywitania nowego i jak sądzić można z początku i ze stanowiska, jakie zajmuje, poważnego wydawnictwa peryodycznego. «Pamiętnik literacki» jest bowiem organem Tow. Literackiego im. Mickiewicza we Lwowie. Podnieść należy w tym pierwszym zeszycie (obejmującym 12 arkuszy druku) artykuły p. P. Chmielowskiego *Znaczniejsze teorye dramatu w literaturze polskiej* i p. E. Porębowicza *Poezya polska nowego stulecia*. — Pierwszym teoretykiem dramatu, piszącym po polsku jest Wacław Rzewuski, autor poematu *O nauce wierszopiskiej* (1762), który nietylko się na Horacyusza powołuje, ale z doświadczenia znając teatr francuski i angielski, na nich prawidła wzoruje. Znał Szekspira, a jego miał na myśli pisać:

Nic-to że z dawnych praw scena wykroczy
Dobra jest, kiedy lzy wyciska z oczy.

Również i autor artykułów w *Monitorze* Bohomolca (1766) nie jest zwoleńnikiem ślepym Boileau'a, a idąc raczej za Horacyuszem, domaga się większej swobody. Przeciwnożądaniu «trzech jedności» występuje *Theatralski* w tym samym piśmie, cytując Johnsona (wstęp do dzieła Szekspira). W obronie tej reguły staje Adam Czartoryski (przedmowa do komedyi *Panna na wydaniu*, 1774). Roztrząsa dalej autor poglądy Golańskiego, F. K. Dmochowskiego, Krasickiego, Wężyka, prostując niesprawiedliwe sądy dotychczasowe. — P. Porębowicz roztrząsa *teoryę*, którą za swoją podają niektórzy z najmłodszych poetów polskich. Wykazuje jej źródła w *Art politique* Verlainé'a, w pismach K. Morice'a¹⁾; w zapożyczeniu myśli te utraciły jasność wskutek zastąpienia wyrazów ścisłych mglistemi. Oslawiona «naga dusza» p. Przybyszewskiego jest również zapożyczoną od p. Haraucourt'a; inne przeciwstawności p. Przybyszewskiego są reminiscencją też i antytez heglowskich lub pojednania biegunowości w duchu Schellinga («Androgyne» — jako synteza przeciwności płci i t. d.). Obniżanie kobiety, ujemny wpływ jej przypisywany, pochodzi od Schopenhauera; najwięcej wszakże zapożyczają się poeci najnowsi od *Lucyndy*

¹⁾ Odsyłamy w tym względzie do artykułu o *Krytyce we Francyi* naszego wydawn. (Rocznik I, str. 57—59), gdzie zaznaczyliśmy te zapożyczenia.

Schlegla — owej powieści pełnej zmysłowości i «kultu genialności». Wogóle charakteryzuje autor ten prąd, jako «neoromantyzm». Wszelkie «neo» jest zwykle odtworzeniem formy bez treści; tu zaś dodać możemy, iż ta nowa kontynuacja romantyzmu jest naśladowaniem najgorszych jego wybryków. — P. J. Chrzanowski poświęca studjum *Satyrom Naruszewicza*; p. Górski — *Karpińskiemu*; p. Windakiewicz pisze o *Erotyku Kochanowskiego*; p. Kallenbach — o *Francuskich pismach Z. Krasiańskiego*. Liczne sprawozdania uzupełniają całość.

— „**Biblioteka Warszawska**“, marzec. P. G. Smólski w artykule zatytułowanym: *Ostatni molikanie polscy*, omawia zabytki piśmiennictwa kaszubów ewangelickich na Pomorzu, zwanych także «słowińcami», «kabetkami», «kaszubami łebskimi», oraz wyniki badań językoznawczych nad ich gwarą. — Dal-
szy ciąg *Pamiętnika Niemcewicza* opisuje sprawy w Księstwie Warszawskim w r. 1807: walki w Hiszpanii, niepowodzenia Napoleona, rewelacje Czartoryskiego w rozmowie z autorem i t. d. — P. A. Donimirski roztrząsa nasze *Stosunki handlowe z Niemcami*, aby na podstawie dat statystycznych przyjść do wniosku, że «w bardzo wielu działach naszego zaopatrywania się w towary zagraniczne, moglibyśmy z wielką dla siebie korzyścią zastąpić towary niemieckie towarami sprowadzonymi z innych krajów». — Przewagę niemieckich wyrobów tłumaczy autor tem, iż należą one przeważnie do kategorii tandety taniej, która poszukiwana jest przez złe zrozumienie interesu, a zwłaszcza niekorzystną jest wobec cel przywozowych. P. Ign. Chrzanowski omawia książkę p. Brücknera w artykule p. t.: *Historja literatury polskiej dla Niemców*. P. Dzieduszycki kończy swój dyalog o *Demokracji*.

— „**Krytyka**“, marzec. Z powodu konfiskaty *Legend* p. Niemojewskiego, rozesłała redakcyja tego pisma pytania do rozmaitych osób, przeważnie znanych pisarzy, aby się wypowiedzieli w tym przedmiocie. Nie potrzebujemy mówić, jaka była odpowiedź przeważnej większości. Przytoczymy tu parę ustępów bardziej energicznych: «Użyć należy — pisze p. P. Chmielowski — wszystkich środków, jakie ustawa konstytucyjna dopuszcza, ażeby konfiskatę ową unieważnić; użyć należy wszystkich środków, jakimi prasa rozporządza, ażeby napiętnować postępowanie tych, co do konfiskaty doprowadzili świadomie». — Pani K. Bujwidowa zaznacza słusznie, «że garstka, co przeciw *Legendom* szczyła, miała za sobą plecy sfer decydujących, co jej dawało odwagę i śmiałość do publicznych wystąpień, chociaż w istocie stanowiła mniejszość. (Parę innych ustępów z tej trafnej i silnej odpowiedzi znajdzie czytelnik w kronice *Z życia umysłowego Krakowa*). — Pani Marrenowa przytoczywszy argumenta Milтона, wygłaszane jeszcze w XVII wieku, dlaczego ani złej, ani dobrej książki palić nie należy, przechodzi do takich konkluzyj: «Czy jest rada na podobne nadużycia? Czy Sejm krajowy mógłby je ukrócić? Wiecie to lepiej ode mnie. Ja mogę tylko wyrazić oburzenie, które podzielają wszyscy uczciwi ludzie». . . .
. . . Silną jest odpowiedź p. J. B. Marchlewskiego, który nie może znaleźć w słowniku swoim słów dostatecznych, by określić pogardę, jaką czuje «dla mameluków pisarskich, posługujących się w walce idejowej denuncjacyą i apelem do policyi». Zarazem wskazuje na skuteczność tego środka, jako leku na bujanie w błękitach: ci, którzy brutalnie mówili, że nie chcą być «zwierzęciem politycznym», że chcą być «po za walkami partyjnemi», odczują w ten sposób

na sobie kij owych walk. — Zaznaczamy mimochodem, iż same pytania postawione były nie dość śmiało, a po części wadliwie: zamiast mówić o wolności słowa wogóle, wytwarza się w nich myśl o jakimś specjalnym przywileju dla sztuki. Dlaczegożby sztuka (a zwłaszcza tak obniżona w zadaniach swych, jak dzisiejsza) miała używać przywileju wobec poważniejszych form literatury, jakimi są myśl naukowa i publicystyczna?

Wśród tych mezkich odpowiedzi nie zabrakło i dyssonansów: znaleźli się wśród pisarzy (tak!) tacy, którzy, jak grzeczne dzieci proszą o różgę dla siebie — na wypadek jeśli zostaną niegrzeczniemi.

P. Zieliński porusza kwestyą *organizacji młodzieży polskiej* na uniwersytetach zagranicznych, radząc słusznie łączność w stowarzyszenia bezpartyjne, zamiast rozbijania się na kłójące się kółka.

— „*Wszechświat*“, 1902, Nr. 1—9. Od początku roku umieścił «*Wszechświat*» szereg artykułów dotyczących kwestyj bardzo doniosłych i ogólnych. Wymienimy tu: p. Kaufmanna *Rozwój pojęcia elektronu* (przekład); p. Hofmeistera *Organizacja chemiczna komórki* (streszczenie); *O tworzeniu się żył kruszcowych* według Van Hise'go; p. Jabłczyńskiego *Elektryczność w chemii*; p. Trzcіńskiego *Analiza widmowa gwiazd stałych*; p. J. Trzebińskiego *Biologia pyłku kwiatowego*; *Sen* według Bunge'go.

— „*Kwartalnik historyczny*“, zeszyt IV, 1901, zawiera następujące artykuły zasadnicze: *Lichwa w świetle ustawodawstwa synodalnego polskiego w wiekach średnich* przez P. Z. Pazdrę; *Świeżo ogłoszone utwory Z. Krasіńskiego* przez p. T. Piniego (rozbіór *Myśli pobożnych i Wandy*). Dalej idą sprawozdania, przegląd czasopism, kronika.

— „*La Revue*“, zeszyt z dnia 15 lutego poświęca artykuł *L' Hérítage de V. Hugo et la Renaissance française* pamięci największego poety francuskiego w stuletnią rocznicę jego urodzin. Autor jego p. Berenger zestawi sądy o V. Hugo wydawane przez niektórych krytyków nazajutrz po jego śmierci a widać z nich, że nie tylko u nas znamieniem duchów podrzędnych jest niewysłowiona niechęć do wielkich; zdaje się im, że ci wielcy zasłaniają ich światu, i że pierwszym szczeblem ku własnej sławie jest poniżenie geniuszów, których czci naród. E. Hennequin, Lemaître, P. Adam, G. Kahn, E. Faguet prześcigali się w sądach, które wydadzą się dziś bezstronnemu czytelnikowi również humorystycznemi, jak wymyślenia od «mydlarzy» Matejce i Siemiradzkiemu, wychodzące z ust naszych «kieszonkowych nadludzi», jak pasowanie Mickiewicza na Jana Chrzcziciela, zwiastującego... p. Wyśpiańskiego. Krytyków francuskich tak drażniła sława literacka wielkiego gieniusza, jak owego atenciżyka opinia niezłomnej cnoty Arystidesa: nie mogli ostracyzować go z Francji, więc próbowali wygnać z Parnasu. Lecz od tego czasu wiele się zmieniło we Francji: «Gra w kostki umysłowe ustąpiła miejsca objawom energii na forum. Kwestye, które uważano za nierozwiązalne, zostały postawione na porządku dziennym; ...wieża z kości słoniowej przybrała postać Domu Ludowego». — I teraz więcej niż kiedykolwiek myśliciel ocenić w stanie to wszystko co dał cywilizacji wielki poeta.

W zeszycie z 1 m a r c a znajdujemy odpowiedzi wywołane przez ankietę

redakcyi w sprawie *Głosowania kobiet w Belgii*. Podali opinie w tym przedmiocie pp. H. Colaert, René Henry, Paul Janson, Edmond Picard, Ch. Delachevalerie, E. Vandervelde i panie Lalla Vandervelde i J. Gatti de Gamont. Godnem uwagi jest, że w duchu równouprawnienia kobiet przemawiają najenergiczniej krąncowi konserwatyści (katolicy), jak p. Woeste, w nadziei, iż przez uległość kobiet dla księży, spotęgują przez ich głosy żywioł konserwatywny i krąncowi postępowcy (socjaliści, jak p. Vandervelde) w imię zasady równości płci. — P. M. A. Retté poświęca artykuł *Poezyi francuskiej w r. 1901*. «Czasy obecne nie są przyjazne poetom» — powiada autor. Dlaczego? — Publiczność nie troszczy się o nich, bo oni nie pracują dla niej. «Od czasu śmierci V. Hugo, nie znalazł się ani jeden, któryby objął jego czynność: mówcy lirycznego, wygłaszającego z powagą i ze wszystkimi środkami wspaniałego rzeumiosa jego ideje ogólne, drogie dla narodu». Indywidualizm marzycielski przeważa w utworach najnowszych. Trzech młodych poetów zgasło w ostatnim roku, a dzieła ich wydane zostały staraniem przyjaciół: Ary Rénan, syn znakomitego ojca, Gabryel Vicaire i Albert Samain. Zbiór poezyj pierwszego ma za tytuł *Rêves d'artiste*; cechują go retrospektywne marzenia o mistycyzmie dawnych czasów (indyjskim). Vicaire zaczął od rzeczy wesołych i pełnych życia; później pod wpływem choroby przybrał ton melancholii. Samain od pierwszej chwili zdradzał nadwrażliwość serca, w którym każde wrażenie wywoływało bolesne wstrząśnienie. Jest, jak i Rénan, pełen tęsknoty za odległymi wiekami. Pośmiertny zbiór jego ma za tytuł *Le Chariot d'or*. Z żyjących wymienia autor symbolistów: J. Moréas (*Les Stances*) i Emila Verhaeren (*Petites légendes*), którzy te tomy dodali do poprzednich. Wśród młodszych: M. Magre (*Poème de la jeunesse*), P. Souchon (*Elévations poétiques* i *Nouvelles élévations poétiques*), Fr. Jammes (*Le Deuil des Primevères*), Ch. Guerin (*Le Semeur de cendre*), J. Gasquet (*L'Arbre et le vent*). P. Montesquiou w swoich *Paons* zadał sobie niemało pracy, aby zadziwić czytelnika ekstrawagancją.

— „*Revue Occidentale*“, styczeń-luty, 1902. (1 Moïse, 114). *Un chapitre de l'histoire du positivisme* przez A. Ritti'ego, poświęcony jest przeważnie wykładom publicznym A. Comte'a. *Le crime anglais* przez J. Dévot'a jest namiętną filipiką przeciwko anglikom za okrucieństwa afrykańskie. *La crise morale et le positivisme* przez p. Grimanelli'ego jest kontynuacją większej całości. *Les Universités populaires* przez Roussy'ego — omawia pierwsze zawiązki wykładów popularnych we Francyi, zaczynając od założenia Muzeum w 1781 r. W dodatku znajdujemy treść prelekcyi p. P. Edger'a o *Prawdziwym patryotyzmie i zasady Związku patryotycznego*, którego ten autor jest sekretarzem. Spotykamy tu szereg wzniosłych myśli, do których przyszłość należy, a które niezawodnie przyczynią się do uszlachetnienia dziś pospolicie przemycanego pod tą nazwą szowinizmu do godności prawdziwego patryotyzmu. Widać to już w samym określeniu: «Patryotyzm prawdziwy polega na utrzymaniu wolności własnego kraju i na jej podniesieniu bez szkody dla dobrobytu rasy ludzkiej przy stałym rozwoju stosunków przyjaznych z innymi narodami».

— „*Contemporary Review*“. P. Dillon daje ocenę literackiej działalności p. M. Gorki'ego, głośnego pisarza rosyjskiego, przez wielu przesadnie mianowanego gieniuszem (widocznie zwyczaj ten nie w samym Krakowie panuje!).

Jest on, według autora angielskiego, pisarzem pełnym życia, z równym talentem malującym dusze ludzkie, jak i przyrodę zewnętrzną. Zasady wszakże przezeń wygłaszane, mają być w wysokim stopniu antyspołeczne. Autor angielski tak formułuje jego doktrynę: «Jedźcie, pijcie, weselcie się kosztem waszego bliźniego, nie bojąc się ani Boga, ani dyabła, ani grzechu, ani człowieka». Dla napelnienia żołądka lub zadośćuczynienia namiętności człowiek ma prawo zgasić życie bliźniego tak, jak zrywa jagodę. «Kto jest silny, jest sam sobie prawem» — powiada jeden z bohaterów Gorki'ego. — Wszakże zdaje się, iż pisarz ten zdaje sobie sprawę z tego, jaka jest moralna wartość jego kreacyj, skoro mówi przez usta jednego z bohaterów swoich: «Jesteśmy odrębnymi ludźmi... nie należymy do żadnej klasy... Dla nas powinny być stworzone specjalne prawa... bardzo surowe, któreby nas wytepiły. Jesteśmy bezużyteczni, a jednak zajmujemy miejsce i stoimy na drodze innym».

— „*Economic Review*“⁴. Styczeń. P. H. W. Wolff poświęca zajmujący artykuł *Ruchowi kooperacyjnemu we Włoszech*, który postępuje tu szybkim krokiem w ciągu ostatnich lat. Przybrał on tu przytem charakter odrębny, rozciągając swój zakres i stając się bardziej demokratycznym. Przyczynił się do niego nawet i papież, na którego wezwanie księża pozakładali więcej od 1000 banków wiejskich i innych stowarzyszeń podobnych. Głównym wszakże promotorem ruchu było stronnictwo robotnicze. Poważną przeszkodą w rozwoju tego ruchu były niesłychane represalie w r. 1898. Wiele stowarzyszeń kooperacyjnych zamknięto wówczas, a majątki ich skonfiskowano. Gdy wszakże ten obłęd przeminał, ruch począł rozwijać się na nowo. Związek kooperacyjny w Medyolanie założył olbrzymi dom typu t. zw. «Rowton'a» o 530 pokojach mieszkalnych, doskonale zaopatrzonych. Apteki kooperacyjne używają wielkiej popularności wśród ludu roboczego. Związek kooperacyjny w Turynie ma 17 sklepów urządzonych według typu Rochdalskiego, z wyjątkiem chleba, który sprzedaje się po cenach rynkowych. Sklepy otwarte są dla wszystkich i wszyscy kupujący otrzymują dywidendę; lecz tylko członkowie korzystają z dochodów, bezpłatnego leczenia i wykształcenia w uniwersytetach ludowych. — Mniej pomyślny jest rozwój stowarzyszeń produkcyjnych. Związki murarzy przyjmują i wykonywają w sposób zadawalniający prace budowlane.

— „*Quarterly Review*“⁴, styczeń. Anglia nie posiada ani jednej instytucji rządowej, równoległej do akademii innych krajów Europy. «*Quarterly Review*» podnosi potrzebę takiej instytucji, powołując się zwłaszcza na przykład Francji (której *Instytut* otrzymuje rocznie nie mniej jak 28.000 £. = 280.000 rs. zapomogi rządowej) i wytyka szereg zadań, które powinna spełniać.

NOWE KSIĄŻKI.

Andrzej Niemojewski: *Familia*; dramat w 5-ciu aktach, uwieńczony nagrodą na konkursie jubileuszowym w r. 1898, Kraków, 1901, str. 147.

Pierwszy to był utwór w formie dramatycznej, napisany przez poetę, celującego jednością słowa i trzeźwością myśli postępowej; po nim poszły

inne: *Bajka, Rokita*. Ponury i groźny obraz stosunków wiejskich roztoczył w *Familii* przed oczyma naszymi Andrzej Niemojewski. Bohaterem jego jest Skiba, chłopski 70-letni król Lear. Podzielił on majątek między dzieci, zostawivszy sobie tylko nędzną chałupinę pod lasem i kawalek gruntu, który zresztą wydzierzałwił zięciowi, wzięwszy od niego pożyczkę dla dopomożenia bratu. Wdzięczności on od dzieci, ani od brata nie doznał. Wysługiwano się jak parobkiem, wymawiając w dodatku, że je chleb darmo. Zięć raty dzierżawnej nie płacił, składając się to nieurodzajem, to pomorkiem, to innymi okolicznościami. Dobroduszny Skiba darowywał te raty; ale wreszcie coraz bardziej poniewierany, zażądał zwrotu gruntu; na to mu odpowiedziano, żeby zapłacił całą wypożyczoną sumę. Ależ wyście nie płacili rat — mówi Skiba. Prawda — odpowiadają — lecz tyś je darował, a my swojej sumy domagamy się. Wobec sądu prawdopodobnie przegrałby biedny Skiba, więc się do niego nie zwraca; ale powołuje się na stary obyczaj, że co postanowi «familia», to ma być prawem. Zebrała się familia, t. j. brat Skiby z żoną, syn Skiby również z żoną. Wezwany był także zięć, Grzebień, ale się nie zjawił; przyszła tylko jego żona, ażeby oświadczyć, iż postanowieniom familii wcale poddawać się nie myśli. Ugoszczeni przez Skibę, upatrując własną korzyść w tem, jeżeli Grzebieniem grunt zostanie odebrany, zawyrokowali zebrani, iż Grzebieniowie winni są śmierci. Miano chatę podpalić i przedsięwziąć środki, by się z niej wydobyć nie mogli. Stary Skiba działał tu w zupełnem, szczerem poczuciu, iż jest wykonawcą sprawiedliwości i wyrzutów sumienia nie doświadczał; ale inni, działający jeno pod wpływem bardzo samolubnych pobudek, robili co mogli, aby się tylko prawu nie narazić. To też główny czyn, podpalenie, było dziełem Skiby.

A tymczasem w chacie Grzebieniów zaszła inna tragiczna scena. Grzebień był to chłop ocieślały i ospały, i wszystkim rządziła jego żona. A nie należała do cnotliwych. Upatrzyła sobie parobka Kubraka i miewała z nim schadzki, jak tylko mąż spać poszedł. Tego wieczora, kiedy miał wyrok familii się spełnić, synek własny mimowoli zwrócił uwagę Grzebienia na odwiedzinny Kubraka i ten śpioch postanowił czuwać, udając że spać idzie. Istotnie wszedł niebawem oknem parobek. Kiedy się zaczęły zalecanki Kubraka, lekceważącego już sobie Kasię, zjawia się Grzebień z drągiem i grozi śmiercią obojgu. Żona podbija mu nogi, a Kubrak dobywszy noża, wraża go kilkakrotnie w piersi leżącego na ziemi Jaśka. Chcą wynieść trupa i gdzieś zakopać; kobieta okazuje się tu przytomniejszą i odważniejszą od mężczyzny, ale nic to jej nie pomaga; drzwi podparte, czerwono ją przed oczyma, czerwono naokoło; przywidują się nieboszczycy, lęk ją chwyta zabobonny, niebawem przekonywa się, że ogień objął chałupę, a niema sposobu z niej się wy dostać, ani drzwiami, ani oknem; śmierć niechybna i jej i Kubraka i 10-letniego synka, nie licząc już trupa mężowskiego, który leży przede drzwiami i nie dozwala ich wywalić, przejmując zabobonnym lękiem i wiarołomną żoną i Kubraka. Znajdą wszyscy śmierć w płomieniach.

Trup Grzebienia odsuwa splot podejrzeń, jaki się około familii utworzył. Korzystać chce z tego ona, z wyjątkiem starego Skiby, który się czuje blizkim zgonu. Wyspowiadał się on, lecz trwa w tem przekonaniu, że dopełnił tylko dzieła sprawiedliwości. Powiedział on wójtowi, co go nagabywał: «Czego wy ode mnie chcecie? Nawet nie dacie mi popłakać nad zgłiszczami:

Ha, ha, ha, ha! Prawo, jak cię idzie za człowiekiem i staje nawet między nim a nieszczęściem». Potem, wyznawszy, że on sam własnymi rękami podpalił chatę Grzebieniów, powiada: «Księdzu się powiedziało, bo tak kościół każe i wam (t. j. wójtowi) się mówi, bo to jest w świecie jakieś prawo... Ale co do Pana Boga, to dajcie pokój... Kto z rodziną zdrze, temu śmierć!... Tak, panie wójtie!... Już tam stary Skiba będzie niezadługo o tem sam z Panem Bogiem gadał i od niego usłyszy, czy on krzywdziciel, czy nie krzywdziciel». I umiera spokojny.

Postać Skiby panuje nad wszystkimi. Gdyby zebranie familii mogło być dostrojone do jej sposobu myślenia, gdyby na niem nie występowały jaskrawo niskie samolubne pobudki innych osób ją składających; toby okropna scena w akcie III odmalowana nie miała charakteru pospolitej zbrodni, lecz byłaby wyrazem surowej, nawet srogiej, ale bądź co bądź sprawiedliwości, dokonanej nie w imię interesu osobistego, lecz wyższej rodzinnej idei. Niestety, tak nie jest. Prócz Skiby, wszyscy inni są to sobki i chciwcy, czyhający na dobro bliźniego, a pragnący się uwolnić od odpowiedzialności prawnej. Niewątpliwie zgodne to jest ze zwykłym biegiem spraw ludzkich, czy się one dzieją wśród chłopów, czy wśród inteligencji. Ale wrażenie dramatyczne mać się przez to; staje się dziwną mieszaniną grozy tragicznej i wstrętu. Mieszanina ta oczyszcza się wówczas tylko, gdy występuje Skiba, mianowicie zaś przy zgonie, kiedy dla uwolnienia familii od badań sądowych, całą winę bierze na siebie i ufny w dobrą sprawę, odważnie pragnie stanąć przed sądem Najwyższego, a nie tylko jest ona rozrzewniającą, ale i wzniosłą. Z innych scen, moim zdaniem, odznacza się wielką siłą obraz niepokoju, jaki ogarnął Katarzynę i Kubraka po zabiciu Grzebienia, wobec języków płomiennych dostających się do wnętrza, wobec krzyku dziecka, co przerażone patrzy na trup ojca swego.

Piotr Chmielowski.

Z LITERATURY I BIBLIOGRAFII OBCEJ.

E. Klostermann: *Dzieła Origenesa*, Lipsk u J. C. Hinrichs, 1901. T. III, str. 351. — Cena 12 m. 50 pf.

Trzeci tom dzieł Origenesa zawiera jedyne większe, przechowane w greckim oryginale, utwory Origenesa, jako kaznodziei. Składają się na ten tom: homilie Jeremiasza, komentarz do jego Lamentacyj i objaśnienia ksiąg Samuela i Królewskich. — Nielatwem było zadanie wydawcy wobec dwóch ostateczności: braku źródłowych materyałów i masy rozlicznych wariantów. Dotąd przy studyowaniu dzieł Origenesa posilkowano się tekstem Hieronimiusza oraz Scorialeusis. Źródłowe jednak badania Klostermanna wykazały, że tekst łaciński Hieronimiusza jest bardzo nieściśły: wiele rzeczy opuszczono, niektórym nadano wprost inne znaczenie. Wobec tego Klostermann opiera się na Scorialeusis, w ostatecznych tylko wypadkach uciekając się do Hieronimiusza i to zawsze z oględnością. Wogóle oględne i rozważne traktowanie kwestyi, umiejętne, treściwe wskazówki stanowią zaletę tej pracy.

Werner Bötte: *Immanuel Kants Erziehungslehre dargestellt auf Grund von Kants authentischen Schriften*. (Langensalza, Hermann Beyer i Syn), 1900, str. 99. — Cena 1 m. 50 pf.

Autor wpadł na myśl, która zresztą nie była obcą i Leibnizowi, przy studyowaniu poglądów na wychowanie Kanta posiłkować się nie tylko jego *Pedagogiką*, lecz i wszystkimi jego dziełami, oraz listami. Ułatwia to zadanie wychodzący obecnie, staraniem Akademii Umiejętności w Berlinie, zbiór wszystkich dzieł i korespondencji Kanta. Wydawnictwo to, jak o tem świadczą pierwsze dwa świeżo wydane tomy korespondencji, rzuci nowe światło na rozwój idei pedagogicznych mędrca królewieckiego. Tymczasem książeczka Böttego stara się zapoznać w krótkości z jego poglądami w tym zakresie, dając o nich pojęcie poprawniejsze od tego, jakieśmy sobie utworzyli na podstawie jego *Pedagogiki*.

K. v. Hase: *Die psychologische Begründung der religiösen Weltanschauung im XIX. Jahrhundert*. (Berlin Herm. Walther), 1901, str. 26. — Cena 80 f.

Sądząc z tytułu, spodziewa się czytelnik poglądu na stosunek, jaki zajęła religia względem psychologii pierwszej połowy XIX wieku. W rzeczywistości jednak jest to szkic rozmaitych poglądów na istotę religii (Balfour'a, Drummond'a, Naville'a, Sabbatier'a i in.). Rzecz traktowana dość pobieżnie. Na końcu autor podaje swój własny sąd o psychologicznych założeniach pojęcia o Bogu.

Justus Koeberle: *Natur und Geist nach der Auffassung des alten Testaments*. (Monachium, O. Beck), 1901, str. 297. — Cena 7 m.

Autor stając na gruncie psychologii historycznej i etnologii psychologicznej, usiłuje wykazać, jak żydzi pojmowali otaczający ich świat i własny świat duchowy, oraz jak ich poglądy odbiły się u innych pokrewnych im narodów. Materiał dzieli się na cztery główne punkta: 1) Ogólne podstawy poglądu na świat zewnętrzny, 2) animizm i mytologia, 3) pogląd na życie duchowe, 4) wpływ religii na wyrobienie wyobrażeń o wszechświecie i duchu. — Dzieło napisane z głęboką znajomością rzeczy, z szerokim uwzględnieniem zagadnień psychologicznych, lingwistycznych i etnologicznych.

KORESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Czy należy poznać dramata p. Przybyszewskiego?

Odpowiedź. Nie chcemy nawet radą prywatną wstrzymywać od przeczytania utworu, który zaciekawia kogoś, wierni tej zasadzie, niejednokrotnie wygłoszonej w tem piśmie, że kierownictwo nie powinno polegać na prowadzeniu za rękę czytelnika, lecz na

umożliwieniu utworzenia *własnego sądu* o każdej rzeczy. Taki sąd najwłaściwiej się wytwarza pod wpływem porównania. Nie nasze to tylko spostrzeżenie, że zachwyty wobec nowości, wątpliwych co do wartości swojej, są zwykle wynikiem niezajomości rzeczywistych arcydzieł piękna.

Nie radzimy więc Pani zamykać oczy

na jakiegokolwiek bądź dzieła, idąc ślepo za wskazówkami, chociażby i obdarzonego zaufaniem Pani doradcy; gdyż zastosowanie tej zasady, dobre w poszczególnym wypadku, może okazać się złem w innym; może odsunąć od Pani książkę dobrą i rozumną, a niezrozumianą lub stronniczo ocenioną przez doradcę. Przeciwnie, jeśli dzieła Przybyszewskiego zainteresowały Panią tem, co Pani o nich czytała lub słyszała, niech Pani pozna je i oceni własnym sądem. Dlatego wszakże, aby ocenę ułatwić, aby możliwie zubożenić zły wpływ podobnej lektury, radzimy tak postąpić: po przeczytaniu dramatu Przybyszewskiego zaraz przeczytać jeden z dramatów Schillera, V. Hugo lub Słowackiego. Takie bepośrednie zestawienie pozwoli Pani samej z własnego doświadczenia ocenić, który z autorów podnosi czytelnika, a który obniża i utworzyć sobie niezależny sąd o tem, którego warto czytać.

Jeśli Pani nie zadowolni się bepośredniem wrażeniem, ale spróbuje podać analizie uczucia doznane przy czytaniu tak przeciwstawnych rzeczy i wyszukać ich źródła w utworach

czytanych, to będzie Pani w stanie swój sąd umotywować i wobec innych uzasadnić.

Pytanie. Czy *Dzika kaczka* Ibsena zawiera w sobie coś symbolicznego i jakie jest jej znaczenie?

Odpowiedź. Ponieważ ogólny nastrój dramatów Ibsena jest symboliczny, więc i w *Dzkiej kaczce* nie trudno dostrzec symbolu. Można go krótko wyrazić w ten sposób: jak owa dzika kaczka, zostawszy postrzeloną, zarzyła się głęboko w muł nadmorski i ledwie z niego wydobyta być mogła, a potem nędznie wegietowała na strychu, służąc za cel udanych polowań, prowadzonych przez zidyociale lub próżniacze jednostki; tak i pokolenie odmalowane przez dramatyka, zagrzezło w kłamstwie i obłudzie do tego stopnia, iż skierowanie go na drogę prawdy, szczerości i szlachetności jest zadaniem nad siły reformatörów takich jak Grzegorz Werle; woli ono raczej takich działaczy, jak Relling, którzy schlebiają namiętnościom, wmawiają w ludzi nieistniejące przymioty, byleby ich od ostatecznej rozpaczcy ochronić. P. Chmielowski.

KRONIKA.

— Panna **Melania Lipińska** z Warszawy, która ukończyła studia lekarskie, otrzymała od Akademii Lekarskiej w Paryżu nagrodę imienia V. Hugo, przeznaczoną za najlepsze dzieło, jakie w ciągu ostatnich pięciu lat wyszło z zakresu historii medycyny. Pracą w ten sposób uwieczoną jest jej rozprawa doktoryzacyjna pod tyt.: *Histoire des femmes médecins depuis l'antiquité jusqu'à nos jours.*

Drugą laureatką, polką, jest pani **Curie** (z domu Skłodowska), która wraz

z mężem otrzymała nagrodę La Caze'a za prace fizyczne od Akademii Umiejętności w Paryżu (w sumie 10.000 fr.).

— **Wystawa jubileuszowa Tow. Politechnicznego** we Lwowie odbędzie się między 17 maja a 30 czerwca r. b. Obejmie trzy działy: 1) wynalazki polskie, 2) prace członków Tow. Politechnicznego, 3) przemysł krajowy artystyczny. Do działu wynalazków zgłaszać można przedmioty wykonane, modele, rysunki i wyroby od-

noszące się do wynalazków technicznych i przemysłowych, wykonanych przez osoby narodowości polskiej, gdziekolwiekbyż zamieszkałe od r. 1877 do 1902. Zgłoszenia powinny być podane na arkuszach deklaracyjnych, które wysyła na żądanie biuro komitetu wystawy we Lwowie (Chorążczyzna 17).

— We wtorek 11 marca prof. H. Struve z Warszawy wygłosił w auli Uniwersytetu krakowskiego odczyt **O znaczeniu filozofii w życiu narodowym**, który zarówno wytworną formą, jak i aktualnością zagadnień w nim potrąconych obudził powszechne zajęcie. Sala była napelniona.

— Staraniem k oła nauczycielek przy Uniwersytecie Jagiellońskim odbędą się **Kursa wakacyjne**, przeznaczone głównie dla przyjezdnych nauczycielek, od 24 czerwca do 15 lipca r. b., według programu następującego:

W. Milewski *O dobrobycie społeczeństwu* (4 godziny); St. Estreicher *O podziale*

społeczeństwu na stany (10 godz.); B. Ulanowski *Dzieje uniłi łiweusko-polskiej od XIV do XVI wieku* (4 godz.); Czermak *Dzieje roku 1846* (9 godz.); Krzyżanowski *Pojęcia polityczne w Polsce średniowiecznej* (6 godz.); Straszewski *Zarys historii filozofii polskiej* (8 godz.); F. Kopera *Zarys historii sztuki w Polsce* (12 godz.) zwiedzanie muzeów i gmachów); Rozwadowski *Historja języka polskiego* (9 godz.); Zdziechowski *Idea mesyanistyczna w Polsce* (5 godz.). — Razem 65 wykładów. Zapis 10 rb. płatnych z góry. — Na czas kursów kilka pensjonatów zobowiązało się kursistów utrzymywać za 1 zlr. dziennie.

— **Uniwersytet Ludowy w Krakowie.** Do 12 marca odbyło się 136 wykładów wobec 42.560 słuchaczy. Fundusz zebrany na dom własny wynosi zaledwie 2.327 K. Polecamy ofiarności przyjaciół oświaty tę tak doniosłą instytucję. Posiadanie lokalu własnego przyczyni się niezawodnie do podniesienia i spotęgowania jej działalności.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wny Item we Lwowie.* Jak w stosunkach osobistych pierwszym krokiem ku ich zawiązaniu jest wymienienie nazwiska, tak powinno być i w listownych. W zasadzie nie odpowiadamy na listy anonimowe lub pseudonimowe: kto przychodzi do nas z prośbą o radę, nie potrzebuje tego wstydzic się, ani z tem się kryć. W nadziei, że Szan. Pan bład ten przy najbliższej sposobności naprawi, odpowiadamy tymczasem ogólnikowo: znajomość kilku języków wcale nie jest cechą niezbędną wykształcenia, a może je Pan w stopniu bardzo szerokim uzyskać przy pomocy książek polskich.

Radzimy więc odłożyć te studia na przyszłość, a zająć się systematycznym czytelnictwem. Wskazówki i rady w tym przedmiocie znajdzie Pan w *Co i jak czytać?* W. M. Kozłowskiego (nowe wydanie 1902 r. — Cena zlr. 2.50). Jeśli jakie kwestye szczegółowe nasuną się Panu po przeczytaniu tej książki, prosimy pisać do nas.

— *Wny M. M. w Struju.* Według wiadomości podanych przez księgarńie *Samouczka dla skrzypców* w języku polskim nie posiadamy.

— *Wny Ź. w Humanii.* Podręcznika do wypychania zwierząt nie ma w języku polskim. O owadach szkodliwych

dla ogrodów i sadów traktuje popularna książeczka p. M. Brzezińskiego *Owady i ich znaczenie w gospodarstwie* (99 str., 50 rysunków. — Cena kop. 20). Bliżej omówione są szkodniki sadów w dziełach ogrodniczych p. Jankowskiego (*Nasze sady i inne*). Radzilibyśmy obrać Uniwersytet warszawski. — Najkorzystniej użyje Pan czas obecny, oddając się pracy nad własnym wykształceniem i wyjaśnieniem poważnym zadań i obowiązków obywatelskich; parę lat poświęconych tej pracy udziesiętkrotni płodność późniejszej.

— *Wny. P. S. w Warszawie*. Rzut historyzoficzny zawarty w artykule *Drogi postępu* w Nrze 1 naszego pisma jest skondensowanym przedstawieniem wyników obszerniejszej pracy, która ukaże się wkrótce w formie książkowej.

— *Wny W. W. w Warszawie*. Doskonałą pod względem układu, treściwego a jasnego wykładu przedstawienia rzeczy, trafnego doboru przykładów i wzorowego języka jest *Stylistyka (Teorya prozy i poezyi)* p. Wł. Wejchertówny. (Warszawa, M. Arct; wyd. drugie, 1901. — Cena w opr. 70 k.).

KSIAŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

St. Schneider: *Nowe poglądy na cywilizacyą grecką*. (Odbitka z «Muzeum»). Lwów, 1902.

— *Dwa hymny anonimowe do Dionizosa i do Apolina*. (Odbitka z książki pamiątkowej Dr Ludw. Ćwiklińskiego), Lwów, 1902, nakł. autora.

The London School of Economics and Political Science (University of London). Arrangements for Lent Term, 1902.

E. Reclus: *L'enseignement de la Géographie*. Université Nouvelle. Institut Geographique de Bruxelles, 1901.

A. Szyc: *Nauczyciel wobec dzisiejszych wymagań higieny*. (Odbitka ze «Zdrowia»), 1902.

Jan Kasproicz: *Wybór poezyi*, Lwów. Nakł. Tow. wydaw., 1902.

— *Ginącemu światu*. Nakł. Tow. wyd., Lwów.

J. Kosiński: *Die Athmung bei Hungerzuständen etc. bei Aspergillus niger*. Leipzig, 1901.

St. Grabski: *Współczesna nasza literatura ekonomiczna*. (Odbitka z «Ekonomisty»), 1901.

N. Karijew: *Osnownyje woprosy filozofii istorii*. Petersburg, 1897. — Cena rs. 2:50.

J. Baudouin de Courtenay: *O śmieśzanych charakterach wszech jazyków*.

R. Baudouin de Courtenay: *Tretij zjezd polskich istorikow*. Petersb., 1901

P. Popiel: *Powstanie i upadek Konstytucyi 3 maja*. Kraków, Spółka wydawnicza, 1901.

Saenger: *John Ruskin, jego życie i działalność*. Warszawa, wydanie «Przeglądu Tygod.»

T. Pini: *Nasza współczesna poezya*. Lwów. Tow. wyd., 1902.

D. Mercier: *Logika*. Warszawa, 1901. Wyd. «Przeglądu filozof.»

— *Kryteriologia*. Warsz., 1901. Wyd. «Przegl. filozof.»

Aniela Szyc: *O zadaniach i metodach psychologii dziecka*. Lwów, 1901.

F. Waligórski: *Z krwawych dni*. Tow. wyd., 1901.

Tadeusz Balicki: *Szkice o narodowości*. Warszawa, 1898. Wyd. Gebethner i Wolff.

Emil Boutroux: *Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofii społecznej*. Warszawa, Wende i S-ka, 1902.

W naszych sprawach. Szkice w kwestjach ekonomiczno - społecznych. T. I, II, III.

MARYI KONOPNICKIEJ

W 25 ROCZNICĘ JEJ DZIAŁALNOŚCI LITERACKO-SPOŁECZNEJ

JAKO HOŁD CZCI

ZESZYT TEN POŚWIĘCAMY.

REDAKCJA.



LUTNI KONOPNICKIEJ.

Królewskiej pieśni dziedziczko wspaniała!
Z tęcz różnówzorych tkłaś wieszczę struny;
Gminna Ci piosnka echa podawała,
Klątw biegły w niebo złociste pioruny!

Wodzem Ty byłaś! Proporzec Twój biały
Ciągnie wysoko w dróg orlich słoneczność;
I duchem byłaś, co w amfor kryształ
Ból wiekuisty przelewa na wieczność.

O cześć Ci za to, żeś bytu gorycze
Wypiwszy do dna, wśród nocy zwątpienia,
W blask nieśmiertelny zwracała oblicze;

O cześć, że prochom butwiejącej kości,
Wystrzelać każesz wiosnami z promienia,
Pieśniarko wielka bólu i przyszłości!..

Kraków, w kwietniu 1902 r.

A. Bandrowska.

MOTYWA FILOZOFICZNE

W POEZYZACH MARYI KONOPNICKIEJ.

Każdy wielki poeta ma w duszy swej materiał na filozofa, a każdy prawdziwy filozof mógłby zostać wielkim poetą, gdyby miał talent formy. Filozof i poeta są obaj twórcami idejowymi, tylko u jednego twórczość ta przybiera formę abstrakcyjną pojęć, które się muszą w takim razie wiązać z sobą nicią ścisłego rozumowania i dowodów; u drugiego ideje uplastyczniają się w kształty żywe i piękne, a miejsce dowodzenia zajmuje wówczas oddźwięk uczuciowy, który budzą powszechnie w duszach czytelników. Pierwsi głoszą prawdy rozumu, drudzy prawdy uczucia, które nie ścisłą formą dowodzenia, lecz powszechnem serc oddaniem się świadczą o prawdzie swojej. Dlatego też o wiele częstsze i łatwiejsze na tem ostatniem polu złudzenia: ludzie zręczni, umieją uderzyć bądź w strunę sensacyi, bądź wywołać tematem obranym szereg skojarzeń uczuciowych, od dzieciństwa z nim związanych, bądź innemi wreszcie jakimiś sztuczkami sprawić potrafią w duszy czytelnika zawichrzenie, które umysły niekrytyczne mieszają łatwo z odczuciem estetycznem, a winowajcy jego uchodzą nieraz za poetów, chociaż w istocie są tylko kuglarzami. Wprawdzie złudzenie takie nie trwa długo: skoro tylko światło krytyki odsłoni czytelnikowi dosyć rubaszny mechanizm sznureczków, na których pociągnięcie reagował, złudzenie znika, a utwór, chwilowo czyniący sensacyą, tonie w zasłużonej niepamięci. Wysoki zmysł krytyczny wszakże jest rzadszym darem nawet niż talent twórczy, bo wymaga połączenia głębi myśli badacza z wrażliwością uczuciową i bogactwem obrazów poety.

W twórczości pojęciowej myśl snuje tkaninę dowodów, a umysł przez nią, jak przy pomocy nici Aryadny, orientuje się łatwo w labiryncie pomysłów; lecz w twórczości poetyckiej i artystycznej wogóle starannie usunięte są z oka widza wszystkie rusztowania przygotowawcze, bo widok ich szpeciłby harmonią obrazu. Oddziaływanie na uczucie powinno być bezpośrednie; serce musi być podbite siłą tajemniczą piękna; a ten, kto chce utwór analizować, poddać go próbie rozumu krytycznego, musi niejako genialną intuicją odtworzyć w myśli te wszystkie prace wstępne, świadome i nieświadome, których ślady starannie zaciera sztukmistrz w gotowem dziele, aby dopiero po tem odtworzeniu wypróbować ich wartość idejową, ich wytrzymałość logiczną. Bo logika jest w każdym utworze wartościowym; tylko nie dla każdego oka dostrzegalna.

Trudność tej sprawy tłumaczy rzadkość prawdziwych krytyków; tłumaczy, dlaczego, gdy w twórczości pojęciowej wystarcza sama erudycja, aby wykazać kto zaczyna nowy rozdział w nieustannie roztaczającej się przed ludzkością księdze prawdy, kto zaś powtarza tylko spóźnione echa poprzedniego, w twórczości poetyckiej, wierszokleci parafrazujący cudze myśli są często uważani za poetów, duchy zaś twórcze nieraz długo czekać muszą na właściwą ocenę.

Do takich duchów twórczych, nieocenionych jeszcze w całej pełni, chociaż głos uznania powszechnego nie waha się już dziś umieścić go na szczycie Parnasu polskiego, należy p. Marya Konopnicka, kończąca w roku bieżącym dwudziestopięciolecie pracy poetyckiej. Nie możemy rościć pretensji do całkowitego zapelnienia tego wielkiego braku naszej literatury krytycznej, a zwłaszcza na kilku stronach, jakie tu ocenie tej poświęcić możemy. Pragniemy więc tylko dołożyć jedną cegielkę do tego gmachu: spróbować wykryć wątek filozoficzny w twórczości naszej największej mistrzyni słowa.

Obieramy tę część z jej bogatego plonu poetyckiego, która dotąd najmniej ocenioną była, a z natury rzeczy taką być musiała.

Istotnie, jeśli zastanowimy się nad warunkami wrażenia estetycznego, łatwo dostrzeżemy, że pierwszym z nich jest obecność w duszy słuchacza tej struny, o którą potrąca dany utwór poetycki lub inne dzieło sztuki. Może ta struna być nierozwiniętą, niewykształconą — a właśnie wychowawczy wpływ sztuki i do-

niosła jej rola dziejowa polega na rozwijaniu takich związków — ale przynajmniej w związku istnieć musi. Jeśli jej niema, dzieło piękne nie wywoła żadnego oddźwięku; słowa poezji zrozumiane będą przez rozum, ale nie obudzą drżenia serca. Wynika więc stąd naturalnie, że im wyżej nastrojona jest lutnia poety, tem mniej liczne grono znaleźć może takich, co jej dźwięki jako piękno, t. j. sercem, odczują.

Jeśli znowuż porównamy rozmaite struny duszy, o które potracając zwykli poeci, to zauważymy łatwo wśród nich ustopniowanie, oznaczające coraz to rzadsze ich znalezienie się wśród słuchaczy. Uczucia osobiste, pospolite, jak np. miłość, znajdują oddźwięk w każdym niemal sercu (jaki będzie ten oddźwięk — w to nie wchodzimy); rzadsze już są uczucia zbiorowe, uczucia obywatelskie; potrzebny jest bowiem wysoki stopień wychowania duszy, aby struna ta brzmiała uczuciowo; aby zasady i myśli wzniosłe nie przemawiały tylko do chłodnej aprobaty etycznej, wynikającej z *pojmwania obowiązku*, lecz aby wywoływały oddźwięk uczuciowy, aby wrażenie etyczne zlewało się z estetycznym; to co stanowi obowiązek, było zarazem przedmiotem upragnienia, ideałem pięknym i pożądanym. Dusze, w których znajdują się struny takie, należą do kategorii «pięknych dusz» w myśl Szillera, a najszczytniejszym zadaniem poezji jest wyrabianie i kształcenie takich dusz. Uczucia, które wywołują tego rodzaju utwory piękna, są najpiękniejsze, najczystsze, najwyższe; piękno tu bowiem wkracza już w dziedzinę *wzniosłości*; ale zarazem są one rzadkie. Jeszcze mniej dostępną struną duszy jest ta, o którą potracają najwyższe zagadnienia wszechbytu. Jeśli nie wszyscy zdolni są odczuć estetycznie ogólne zasady, które stanowią podstawę życia zbiorowego, wznieść się do uczuć, w których jednostka olbrzymieje do objęcia w duszy narodu lub ludzkości, a własna jaźń maleje do punkciku nieznacznego¹⁾, to wszyscy, prócz nierozwiniętych umysłowo, w stanie są je zrozumieć przynajmniej. Najwyższe zagadnienia filozoficzne należą przeciwnie do takich, które bardzo rzadko i tylko przez najwyższej rozwinięte jednostki, stawiane bywają inaczej, jak wskutek przemijającej ciekawości.

Aby zaś pojęcia z niemi związane mogły stać się przedmio-

¹⁾ Jak to prześlicznie wyraził Sziller:

Tem mniejszy sam — tem większa miłość jego.

Ob. *Filozofia Szillera i wiersz Artysty* przez W. M. Kozłowskiego.

tem odczucia poetyckiego, a więc wywoływać w duszy słuchacza oddźwięk uczuciowy, potrzeba, aby słuchacz ten nie tylko ciekaw był rozumem rozwiązania tych zagadnień; potrzeba aby ich pragnął sercem; aby przeżył walki i zwątpienia wewnętrzne; aby miewał w życiu swoim chwile, w których utożsamiał niejako istnienie swoje z odpowiedziami na nie. Takie zaś jednostki należą do rzadkich wyjątków wśród tak zwanej inteligencji.

Nie dziwny się też wcale, że gdy *Romeo i Julia* lub *Otello* wzruszają wszystkich, *Don Karlos* nudzi wielu, a poezye filozoficzne Szillera znajdują tylko wyjątkowo czytelników. Wytknięta tu gradacya tematów poetyckich, według rozpowszechnienia odpowiednich strun w duszach czytelników, pozwala nam także określić warunki, w których uznanie ogółu może lub nie może służyć za miarę istotnej wartości utworu. Jeśli piewca miłości lub innego również pospolitego uczucia nie znajduje uznania powszechnego, to wszystko przemawia za tem, że utwory jego nie są prawdziwą poezyą, t. j. że nie odczuwa dość głęboko tego, co opisuje, aby uczucie to mógł przelać na innych, aby wprawić w drżenie struny, których tu niewątpliwie nie brak w duszy czytelnika; lub też, że odczuwa je w sposób jakiś indywidualny, zaściankowy, jeśli rzecz tak można, nie wznoszący się do poziomu ogólnie-ludzkiego, co stanowi istotną cechę prawdziwej poezyi — prawdy uczucia, tak jak powszechność jest znamieniem prawdy poznania. Przeciwnie, jeśli poeta, którego utwory poświęcone uczuciom prostym i sielskim, znajdują oddźwięk we wszystkich sercach, te zaś, co sięgają w dziedzinę wyższe, spotykają się z zarzutami tendencji lub dydaktyczności, to wiele przemawia za tem, że krytyk nie ma poprostu w duszy swej odpowiedniej struny, któraby zadrgała współdzwięcznie na podniosłe tony liry poetyckiej; mniej bowiem prawdopodobne jest przypuszczenie, aby poeta, który w innych utworach przemówił do serc wszystkich, a więc był szczerym, pozostawał sobą, zechciał obrać temata, do których nie dźwięczały mu samorzutnie struny własnej duszy; potrącał o nie tylko w sposób naśladowczy, rozumowy, bez głębszego odczucia; przybierał niejako tylko pozę — chociaż i taka możliwość nie jest wykluczona.

Dla krytyka pozbawionego struny odczucia społecznie-obywatelskiego dzieła, chociaż w najgłębszy i najpoetyczniejszy sposób w tę strunę uderzające, będą tylko zimną tendencyą: pojmuje je bowiem tylko rozumem; dla tej samej przyczyny poezye filo-

zoficzne mogą wydać się nie tylko zinnymi i niepoetycznymi, ale wprost niezrozumiałymi, jeśli w duszy czytelnika nie drgała nigdy namiętnie struna pragnienia wiedzy bezwzględnej, dążenie do ogarnięcia rozumem absolutu.

Jeśli zastanowimy się nad tą okolicznością, że z utworów poetyckich (w szerokim znaczeniu) nie liryka i dramat, które ujmują najbardziej skoncentrowane i najwyższe nastroje uczuciowe, lecz powieść jest najbardziej czytana, redukując do minimalnego procentu poczytność dwóch innych gałęzi, to naturalnie przychodzimy do wniosku, że ogromna większość czytelników robi taki niewłaściwy użytek z dzieł sztuki. Zamiast szukać w nich ożywczego źródła wzruszeń uczuciowych, pragnie zadowolnić nimi tylko ciekawość (głównie przecie idzie o to, czy Numa pójdzie za Pompiliusza!) — uczuciowe zaś zabarwienie ma w tej czynności rolę szczypty soli, zabarwiającą ciekawość kumoszki. Stąd też niesłychane powodzenie produkcji portretujących żywe osobistości.

Rozważania te tłumaczą nam, dlaczego te dwa pokrewne z sobą duchy, które uderzały w struny najszczytniejsze duszy ludzkiej, pp. Orzeszkowa i Konopnicka, pomimo uznania powszechnego i czci otaczającej ich imiona w literaturze naszej, nie ocenione zostały jeszcze dostatecznie właśnie w najwyższych objawach swojej twórczości.

Poezye sielskie p. Konopnickiej narówni z jej nowelami, cieszą się powszechnem uznaniem. Ale skoro krytyk o filisterskim pokroju zbliża się do tych arcydzieł, w których autorka wznosi się na wyżyny szczytności poetyckiej, nie w stanie jest podążyć za jej podniesieniem uczuciowem dla braku oddźwięku we własnej duszy, gdy jednocześnie maleńki rozumek jego przestraszony zostaje śmiałością zawrotnych wyżyn myśli. Ze zdwojoną więc niechęcią krzyczy na «tendencją», zakłócającą spokój jego i obniżającą poczucie zadowolenia z siebie, które stanowi zasadnicze tło wszelkiej filisterskiej duszy.

Cechą charakterystyczną p. Konopnickiej, jak i wielu wybitniejszych duchów twórczych, należących do jej pokolenia, jest ta, że z subtelną wrażliwością uczuciową i bogactwem przeżytego materiału — bogactwem pochodzącem stąd, że nigdy nie ograniczała się do swojej jaźni, a nawet rzadko w niej przebywała, lecz najczęściej bolała cierpieniami wielu — łączy wysokie aspiracje

umysłowe, tak iż żadne z najszerszych zagadnień myśli ludzkiej nie pozostało jej obcem.

Skłonność zaś do potrącenia o te wielkie zagadnienia ujawniła się już w pierwszych utworach. W r. 1881 ukazały się nakładem E. Orzeszkowej w Wilnie fragmenty dramatyczne *Z przeszłości*, w których znalazł wyraz entuzjazm autorki dla walki i poświęcenia w imię prawdy wiedzy, prześladowanej przez ciemne potęgi zabobonu i służalstwa, entuzjazm tak harmonizujący z panującym wówczas w społeczeństwie naszym prądem wywoleńczym. Tragiczne losy uroczej *Hypaty*, ostatniej przedstawicielki filozofii greckiej, okrutnie zanieczonej przez chrześcijan, podnieconych przez biskupa Cyryla; uwięzienie *Wezaliusza* za badania anatomiczne na trupach; wreszcie smutniejsze może od śmierci wyrzeczenie się przez *Galileusza* prawdy przez *Kopernika* światu zwiastowanej, stanowią treść trzech fragmentów. Wytykają one dwa doniosłe momenta w dziejach myśli Europy. Śmierć *Hypaty* odzwierciedla chwilę, kiedy fale fanatyzmu zalewały ostatnie przybytki myśli starożytnej — szkoły filozoficzne, aby pogrążyć Europę na tysiącolecie w mrok ciemnoty i zabobonu. Skazanie na śmierć *Wezaliusza* (który uniknął jej zresztą, dzięki wstawieniu się potężnych przyjaciół) i zrzeczenie się *Galileusza*, odpowiadają momentowi zgęszczenia tysiącoletnich mroków przed świtem nowej epoki, w chwili, gdy tracące grunt pod nogami ciemne potęgi, zdwajały prześladownictwo, aby utrzymać w ręku wymykającą się im władzę nad duchami.

Nie brak już w utworach tych owych szczytnych wzlotów poetyckich, któremi tak hojnie pełną garścią sypie autorka w późniejszych lirykach swoich. Kiedy np. usta kata - inkwizytora bluźnią Niebu słowami modlitwy, której kłamią myśli i czyny jego, *Wezaliusz* w tych słowach wznosi myśl ku Najwyższej Istocie:

Ojcie wolnych, ludzkich duchów!

Do światła Twego przywołaj błędzące...
Niech imię Twoje, wskrós przemian i ruchów
Calej przyrody, świeci nam jak słońce!
Niech wolę Twoją wieszczą nam nie gromy
Srogich zakazów, gróźb i przerażenia, —
Lecz wszechświat cudów pełen, tron widomy,
Skąd wznosisz berło wiecznego istnienia...
Niech na Twej ziemi, marząc o Twem niebie
Nie giną duchy w rozpaczliwym głodzie!

Daj pierśmiom naszym puklerz brylantowy!
Daj myślom światło, potęgi swej gońca!
Niech pękną starej ciemnoty okowy
I niechaj duchy ulecą do słońca!
Módlcie się bracia! Ja modłę się z wami...

Jakaż to piękna antyteza, godna Wiktora Hugo, tego skostniałego zabobonu bez wiary, a tej głębokiej żywej wiary ducha badawczego! Ten, który staje wrzekomo w obronie chrześcijaństwa, tai w sobie jedynie ciemny kult dla przeżytych form, podszyty nienawiścią do wszystkiego co ludzkie, i brudną żądę panowania; ten zaś, którego skazano jako kacerza, jest istotnym apostołem religii miłości, prawdą wcieloną. Albo ten cudny obraz, w którym prowadzony na stos Wezaliusz, dostrzega odzwierciedlenie swoich losów:

Stójeicie! z błękitów błędna gwiazda leci
Kreśląc w pomroce złotą paralełę...
To myśl, co wyższe ukochała cele
I ginie marnie wśród ciemnych stuleci!...

Pełne natchnień wieszczych są także słowa Wezaliusza, gdy idzie do więzień inkwizycyi:

Świta!... dzień nowy bieli się do słońca...
To mój ostatni dzień! o, stójeicie, proszę!...
Umierać idę, jak noc ta mdlejąca
I śmiercią moją świt ziemi przynoszę!
Witaj mi słońce jeszcze niezrodzone...
Śpiesz się, niech światła zwycięstwo obaczą
Duchy strudzone, zatrute rozpaczają...

Nie mniej głęboki tragizm wydobywa z piersi Galileusza ten bolesny wyrok potępienia na siebie w chwili, gdy zmuszony jest zrzec się nauki swojej:

Ja byłem głosem, który «naprzód» — woła
I wstrząsa pleśni łańcuchem!...
A dziś — za skrzydła złamane ściągnięty
Z słonecznych wyżyn — jam orzeł raniony...
Jam promień, który przygasa i znika,
Jam odszczepieniec i prawd wiecznych zdrajca...

Doskonale oddana jest tu również przeciwstawność między prawdziwym duchem religijności a żądzą panowania przez utrzymywanie tłumów w ciemności w wynurzeniach opata Paraffi'ego

i Vulpianusa, rektora z Bolonii. Ten ostatni rozumie, że nie o to idzie, czy ziemia stoi, czy słońce,

Lecz o to, czy tajemnicze drogi
Badań przyrody mają stać otworem
Przed umysłami śmiertelnych?...
Czy nie należy już w samym zarodzie
Stłumić objawów bluźnierczej odwagi,
Z jaką dziś ludzkość w chaosu otchłanie,
W pysze swej rzuca zuchwałe pytanie,
Które dzień sądu płomieniem rozwiąże:
«Czem — i gdzie jestem? skąd idę? gdzie dążę?»

Pierwszy zaś w następnych słowach wytyka obowiązki prawdziwego kapłana i chrześcijanina:

Jakto! Na świecie są jeszcze nędzarze,
Głodni, i nadzy, są łyzy nieotarte,
Krzywdy, głos których aż do nieba bije,
Nieprzytulonych sierot są tysiące,
Jest niewolnicza ciemnota i praca —
Są wszystkie straszne niedole ludzkości;
A wy, uczniowie Tego, który siebie
Oddał na wieczną miłości ofiarę —
Wy się klóćcie o to, czy na niebie
Dla nieruchomej ziemi świeci słońce —
Czy też się ziemia z swą nędzą obraca?

Takie wysoce humanitarne stanowisko zajmie autorka zawsze, ilekroć z jednej strony na szali spocznie interes teoretyczny — z drugiej łyzy i niedola ludzka. Wobec tej ostatniej wszelkie kwestye metafizyczne, wszelka ciekawość poznawcza blednie i usuwa się na drugi plan.

Tak, gdy duch jej, «jak motyl drżący nad lampy płomieniem», wzbija się tam, «gdzie wiekuistość bezsennem spojrzeniem czuwa nad nędzami świata»

Chciałby przeniknąć bytu tajemnicę,
Jak ci, co wierzyć chcą, ale nie mogą...

To gotowa poetka wyrzec się tego pragnienia i ukorzyć się przed majestatem Wszechpotęgi, cudownym obrazem kojącym jej uczucie estetyczne:

O Panie! przebacz mi! Tyś Bóg, Tyś wielki!
Z błysków masz szatę, a z gromów koronę,
A stopy Twoje na słońcu są wsparte!
Łzy ludzkie, cóż są? — Ach! rosy kropelki...

Lecz tu następuje olśniewająco niespodziane, a jednak tak naturalne przejście do oceny etycznej:

A jednak wszystkie masz je policzone...
Co?... policzone? — co! — i nieotarte?

To drugie pytanie, jak nie dający się już niczem ukoić rozdźwięk staje przed umysłem autorki.

Używając terminu filozoficznego, mamy tu kantowskie *pierwszeństwo rozumu praktycznego*; decydującym motywem w wytworzeniu poglądu na świat p. Konopnickiej, nie jest jakiś systemat pojęć naukowych, jakaś teoria wszechświata, lecz punkt wyjścia etyczny. Jest to, jak wiemy, i stanowisko poprawnie pojętego, a w całości swej wziętego pozytywizmu ¹⁾, które tu zresztą przybiera odcień bardziej praktyczny: Comte dlatego odrzucał metafizykę, aby wysiłki myśli skupić na tem, co stanowi o szczęściu i sprawiedliwości wśród ludzi.

Zagadnienie złego, ten najobszerniejszy z problemów filozofii praktycznej, naturalnie więc staje się osią, dokoła której obracają się idejowe motywa poezyj p. Konopnickiej. Przybiera on tu najrozmaitsze postacie, a nie występuje w owej chłodno-refleksyjnej, a nawet kastowo-zamkniętej formie, jak w utyskiwaniach pesymistycznych Voltaire'a, lecz zawsze wyrывa się z piersi poetki jako gorący wykrzyk oburzenia, jako jęk bólu, jako łza współczucia dla niedoli świata. Więc to do nocy zwraca się majowej, by błagać ją:

O! miłościwą bądź!... Zarzuć zastonę
Na smutki ziemi tej nieukojone,
Na wielką nędzę istnienia!

To do Boga się zwraca ze słowy:

Zbrodniarz, skazaniec, nędzarz i sierota
Śni, że się zbliża świt z róż i ze złota,
I że do szczęścia go zbudzi.
A przecież jutro, Ty wiesz o tem, Panie!
Uderzy w niebo płacz i narzekanie,
Ockną się krzywdy ludzkości...
Czyżby nie lepiej było, już na wieki
Polożyć na te zamknięte powieki
Śmiertelną pieczęć nicości?

¹⁾ Ob. *Religia Ludzkości* w zeszycie lutowym za r. b.

To znowu daje «usta wszystkim krzywdom ziemi i wszystkim nędzom i tęsknotom ducha», aby pytać:

Czy Tobie, Boże, imię: «grom i burza»,
 Że świat Twój w ogniach się nurza?...
Czy Tobie imię: «śmierć i wytępienie»,
 Że się krwi leją strumienie?
.....
Czemu, o Boże, prawdzie nie dasz krzyku
 Głośniego w każdym języku?

To woła do ludzi:

Nie płaczcie smutni! Ach, czy wy myślicie,
 Że tam wysoko, w tym cichym błękiecie,
Jęk wasz, odbity od gwiazd złotych proga,
 Zakłóci spokojność Boga?
.....
Och! świat zbyt wielki! wy na nim zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawymi płakali,
Nic się nie wzruszy i nic się nie zmieni,
 W wiecznie pogodnej przestrzeni.
Krzyk ucisnionych nędzarzy nie sięga,
Gdzie nieskończoność atomów ruch słyszy,
Żaden głos do was nie ozwie się w ciszy:
 Milczenie — bogów potęga.
Któż wie, czy w wielkiej harmonii stworzenia
Ostatni okrzyk ginących w rozpacz,
Więcej coś waży i więcej coś znaczy,
 Nad róż mdlejących westchnienia?

A z bolesną ironią, robiąc alluzję do Leibnizowskiego rozwiązania problemu złego we wszechświecie — owej «kosmodicei» czyli «teodicei»¹⁾, która wywoływała gryzące sarkazmy Voltaire'a — dodaje:

Któż wie, czy biegnąc po strunach tej lutni,
Której dźwięk każdy dostraja Duch duchów,
Jęki boleści i zgrzyty łańcuchów
Nie tworzą hymnu?...

Ow rozdźwięk bolesny, owo zwątpienie: czy to, co rozum uznaje za najwyższą Siłę wszechświata, może być przez poczucie

¹⁾ Obrona wszechświata — obrona boga. Leibniz tłumaczył potrzebę złego w harmonii wszechświata, tak jak cienia w obrazie lub dyssonansu w harmonii.

moralne uznane także i za najwyższe Dobro? — rozdźwięk, który tak silnie podnosi wrażliwa na wszelkie objawy krzywdy i niedoli dusza poetki, wywołuje szereg innych wątpliwości:

Srebrne złudzenia i błękitne mary,
Co niegdyś ducha trzeźwiły wśród znoju,
Stają przede mną, jako puste czary,
 Bez jednej kropli napoju.
I próżno wołam: pragnę!... i daremnie
Podnoszę oczy w gwiaździste błękity,
Z których wątpliwanie odarło tajemnie
 Cudów zachwyty.
Imię twe, duchów uciszonych Boże,
Zamknąć ust moich płonących nie może,
 Jak pieczęć złota...

Widzieliśmy z jakim entuzjazmem stawała autorka po stronie duchów walczących o światło z ciemnotą i zabobonem, wskrzeszając *Z Przeszłości* promienne postacie męczenników myśli i przywódców ludzkości na drodze ku jasnej zorzy przyszłości. Ale czy ludzkość dojdzie do tego upragnionego celu, do którego dąży przez wieki cierpienie i trudów, walk i ofiar? Z problematu kosmodicei wylania się bezpośrednio *zagadnienie historyzoficzne*:

Dech tracąc, ludzkość, jak nurek zapada
 W otchłań, gdzie perła lśni blade,
I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie...
 Ach czy ze skarbem wypłynie?

Ludzkość się zrywa, jak ptak z ponad ziemi
 Skrzydłami skrepowanemi...
Przed nią dzień jasny i słońce nowych zorze;
 Lecz czy doleci o Boże?

To znów budzi się w niej wątpliwość, czy duch wiekami niewoli spodlony, nie nadużyje świętej iskry Prometeusza, jako żagwi dla niecenia luny pożarów, jak to maluje w precudnym obrazku dramatycznym p. t.: *Szyf i Prometeusz*, odzwierciedlającym także stosunek wyżyn inteligentnych do mas ludowych.

To znów zapytuje, jaką drogą ma przyjść ów dzień upragniony:

Wyteżam oko — i dojrzeć nie mogę
 Przez cieniów morze,
Jaką dla świtu wyznaczasz ty drogę
 Światłości Boże!

Czy mu przyjąć każesz, jak idą pioruny,
W błyskawie szacie,
Z pośród przerażeń i kłesk krwawych luny,
W burz majestacie?..
Czy wszędzie cicho w te ciemne przestworza...
I błękitniejąc jak prawda odwieczna,
Bez walk, w pokoju
Wszędzie nam, jako słoneczność, konieczna,
W ludów rozwoju?

To znów staje przed oczyma ducha wieszczego bolesne zagadnienie pokrzywdzonych przez dzieje pokoleń. Dlaczego ci, którzy najgoręcej pragną owej jasnej przyszłości, ci, co ku niej z upragnieniem wyciągają ramiona, ci co za nią walczą i cierpią, nie mogą ujrzeć jutrzni nowej doby, a spada ona niespodziewanem niemal, a często prawie nieświadomym szczęściem na pokolenie, które najmniej dla niej pracowało? Dlaczego owym Wezaliuszom, Galileuszom i innym przywódcom ludzkości nie sądzono było widzieć ziemi obiecanej, do której ludy prowadzą? Takie zagadnienie staje przed nami, odziane w szatę biblijną, w niezrównanym podniosłością tonu, siłą języka, głębokiem odczuciem, barwnością obrazów i kolorytem poemacie lirycznym pod tytułem: *Mojżesz*.

Rozpoczyna go wspaniale majestatyczny obraz:

Odszedł jak przyszedł — w gromach!..
Oto się oddala
Na czterech wichrach splepanych jak konie,
W błysk, który w dłoniach dzierży, piorunowy...
A za nim chmura, jak czara z korała,
Z której ogniste węże piją, płonie
Od skier skrzesanych złotemi podkowy...

I znikł Jehowa z oczu przodownika ludu; daremnie woła
«wróć się»:

Ucichło; tylko pustynia lkająca
Tarza w bólach, jako lwica płowa,
Co ma porodzić lwa, króla tych piasków;
A blade widmo umarłego słońca
W koronie swoich przygaszonych blasków,
Z grobu chmur czarnych powstaje...
Cisza; z burzy proga
Pan wstąpił w wiecznych błękitów swych gmachy;
I tylko w dali mdlejące przestrachy
Niosą tężowy płaszcz Boga...

Zaiste, jednego takiego obrazu starczyłoby na wieniec poetycki dla całego tłumu tych małowudków, którzy, kopiąc zaważające im prawdziwe wielkości, chcą kuglarstwem słowa zasłużyć na miano poetów!

Nie wysłuchany, jako niewolnik odepchnięty nogą, pada Mojżesz piersią na wrzące piaski:

A więc to prawda?... Głos, co światy stworzył,
I od ciemności odciał jasność dniową,
Rozgrzmiał ten wyrok tu, nad moją głową?
I piorunową pieczęć mu przyłożył!...
To, o com walczył, to, czego pożądam,
Nigdy w żywocie moim nie oglądałem!...
Dusza się moja umniejsza — i skona
Nienakarmiona i nienapojona!...

I maluje mu wyobrażenia cały szereg duchów do niego podobnych, tych płomiennych drogowskazów ludzkości, na równe męki skazanych:

Ach, odtąd każdy, co pójdzie przed ludem,
By udarować dniem skazańców nocy...
Nim ujrzy chwilę odkupienia błogą,
Przeklęty przez wiek swój — skona!
.....
Ja pierwszy pochód otwieram złowrogi,
A po mnie — padną miliony,
Wśród dziejów ciemniowej drogi,
U bram obiecanej ziemi,
Nim dzień tryumfu nastanie.

Musielibyśmy przepisać cały prawie ten wiersz, aby dać pojęcie o niezrównanej głębi i sile lirycznej jego końcowych ustępów, zbliżającej go do niezrównanej wszakże *Improwizacji* Mickiewicza.

Wreszcie rolę *młodych pokoleń*, jako zwiastunów nowych plonów ducha, jako siewców świeżego ziarna na niwę życia — rola, z którą niestety, niekiedy się rozmiągają pod podmuchem reakcyi — pojęła i odczuła autorka w wierszu *Do młodej braci* :

Czuwaj strażnico! W ludzkości pochodzie
Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie!
Niech tory biją przed braćmi ciemnymi,
Niech będą światem i jutrznią tej ziemi —

I wyciągniętą po światło prawicą...
Dziś, samym walczyć nie można zapalem:
Myśl przekuj w słowo, a słowo — zrób ciałem!
Siej za swym plugiem nie mary, lecz czyny...
Wrzącego ducha, co światła jest głodny
Kwiat jednodniowy zaiste niegodny...

Te dwa ostatnie wiersze powinnyby dzisiejsze pokolenie, goniące chwilowe nastroje i mody, wziąć pod szczególną rozwagę.

Od stanowisk kosmoficznego i historyzoficznego w problemacie złego naturalne jest przejście do *socyologicznego*. Dlaczego istnieje zło w społeczeństwie, które wszakże w nierównie większym stopniu podlega woli ludzkiej, kierowanej pobudkami moralnymi, niż bieg dziejów świata lub ludzkości?

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna jako oceany,
A taka straszna, jak rozwarte rany?
.....
Krwią swoją ludzkość zalewa ją co dnia,
W głębie jej leci i enota i zbrodnia,
I łza, i kłątwa, i miłość, i zdrada;
A przecież wszystko marnie gdzieś przepada...
Olbrzymie serca i umysłu siły,
Ruchy milionów, milionów mogiły,
Czas rzuca na dno, przez lata, przez wieki,
A brzeg od brzegu tak zawsze daleki!

Aby rozświetlić nieco tę przepaść, w którą szermierz rzuca hasło boju, myśliciel — ustawę pokoju, mędrzec — pęk światła, nędzarz pot krwawy, bohater — sławę, geniusz — swoje trudy, rzuca i autorka garść pereł poetyckich, pereł, które najszczytniej świecą w wieńcu jej sławy, nieugasłym światłem prawdy wielkiego serca; najszczytniej — powiadam — bo nie tylko do najwznioślejszych i najpiękniejszych w tym obfitym plonie piękna należą, ale i z zacnego a głęboko odczutego bólu wypływają, bólu dostępnego tylko dla dusz wielkich. Cóż dziwnego, że krytycy filistrzy ominęli je! Są to takie drobne arcydzieła, jak *Bez dachu*, *Z szopką*, *Przed sądem*, *Jaś nie doczekał*, *Chłopskie serce*, *W piwnicznej izbie*, *Wolny najmity* i inne.

Wreszcie przynębiona tym tłumem obrazów fałszu i złego, istniejącego dotąd pomimo prawdy promiennej, która już przed dwoma lat tysiącami zablýsła dla ludzkości z krzyża Golgoty,

woła do ludów, aby zbudziły «tego Chrystusa z marmurów ciszy»; bo jego święte a żywe słowa stały się martwą, zastygłą formułką, tak jak postać — zimnym kamieniem, przedmiotem konwencyonalnego kultu:

Ciemną jest, straszną ta droga daleka,
Gdzie ludy biegną!...
Zbudźcież wy tego, co karmi łaknące,
Spragnione poi;
Niechaj zażegna te fale kipiące,
Niech je ukoi!
Zbudźcież wy tego, co nagie okrywa
Krajem swej szaty,
Bo już się burza rozbłyska i zrywa,
By wichrzyć światy...

O innego rodzaju złe w obrębie społeczeństw ludzkich potracą szereg nie mniej wzniosłych i silnych utworów stanowiących przeważną część trzeciego tomu poezyj p. Konopnickiej, gdzie nieraz gorzką prawdę rzuca w oczy społeczeństwu swemu, jak w owym niezrównanej siły wierszu:

Szalony, kto chce na morskiej głębi
Gasić pragnienie, co mu krew kłębi.
Kto do szerokiej przyłgnąwszy fali,
Z nią się podnosi i w przepaść wali...

lub gdy woła:

Wy, co z zastygłą piersią i usty zimnemi,
Kłękacie dla zwyczaju na mogilnej ziemi,

lub wreszcie, gdy stawia mu przed oczy obraz tańczącego niewolnika.

Po tych wstrząsających porywach pesymizmu — nie tego lekkiego a płytkiego pesymizmu smakoszków życia, którym jego słodocze zaczynają się przyjadać, ale bolesnego, z głębi pragnącej dobra a złe widzącej dokoła siebie duszy płynącego — wznosi się wszakże autorka na wyżyny wiary w przeszłość, tego balsamu wielkich duchów, w przepięknym wierszu *Contra spem spero* :

Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów,
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei —
Przeciw nadziei!

A później wygłasza swoje *Credo* filozoficzne:

Wierzę w ducha potęgę i wiedzy zdobycze...

W cel życia wzniosły, w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze, które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki, w dobro, w jutrznią dni nowych, w pokutę dziejową,

Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie
W największej własnych uczuć i porywów wojnie;
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały...
Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą;
Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości,
Do potężnych idei prawa i równości...

«I niech mi się stanie podług wiary mojej» — kończy autorka. I my za nią to powtórzmy: Niech się jej stanie według tej wzniosłej wiary! A niezawodnie ogół temu życzeniu przykłaśnie.

Od tych uczuć świat i ludzkość obejmujących, na których, jak na skrzydłach orlich unosi się poetka ku niedościgłym wyżynom szczytności, zniża się ona niekiedy do zagadnień bardziej osobistych, wchodzących w zakres *filozofii życia osobowego*. Zagadnienia te względnie małą część jej twórczości obejmują, a to, co u małoludku poetyckiego stanowi główne tło twórczości — gruchanie gołębie — ledwie dostrzegalną część jej plonu stanowi: jakiś tam dyskretnie ukryty zakątek tej liry, dźwięczącej tyłu wszechludzkiemi a potężnemi struny.

Czasem tylko wyrwie się jej skarga rzewna:

Wieczór już, Panie! Oto leśni ptacy
Sklaniają skrzydła ku gniazdom w polocie,
Oto pół twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałam już w pracy,
We łzach, w tęsknocie...

Po cząstkę moję, na boku stojąca,
Nie wyciągałam przez dzień cały ręki...

Lecz oto kwiaty posnęły majowe...
Na wiernej piersi daj skłonić mi głowę,
Wieczór już Panie!...

Lub gdzieindziej żali się:

Moja rodzina — wicher co lata,
Moje dziedzictwo — piosnka skrzydlata,

A moja ścieżka — tulące wrota,
A moje życie — wieczna tęsknota...

Szczęście i potęga — te są dwa filary, na których spoczywa życie osobowe człowieka. Pierwsze, potrzebne mu jako ukojenie pragnień; drugie — jako moc spełnienia ideałów. Nie dziw więc, że te dwa motywy powtarzają się częściej w poezjach naszej autorki.

«Bądź silnym» woła — «życie swą wagą przygniata tych, co bez steru świadomej zasady... błądzą wypadków uniesieni ruchem...»

Bądź silnym! ziemia pod stopą się chwieje...
Stać trzeba z mężkiem wytrwaniem wśród burzy...
Ten, kto nieść będzie pochodnię nadziei,
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odcisnie z lwią siłą
Na wieku swoim...

Ten tylko imię «człowieka» wysłuży
W nieśmiertelności błękitach!

A później rzuca pytanie: «czem jesteś, szczęście: wspomnieniem, tęsknotą, spokojem, złudzeniem, nadzieją, pragnieniem, mogiłą?» Lecz w końcu daje pozytywną odpowiedź na pytanie, na czem jedno i drugie oprzeć:

Ty będziesz silnym przez to, w co uwierzysz,
Jako w cel życia wzniosły, choć daleki...
Przez to, co prawdzie oddasz z swego życia...
Szczęśliwym będziesz przez to, co twa dusza
Ukocha...
Przez to, co oddasz w służbę ideału...
Szczęśliwym będziesz przez iskrę tę błądą,
Którą twa miłość w narodzie rozdmucha,
Aż tryśnie blasków ożywczych kaskadą
Płomieniem ducha...
Przez ukochanie gorące przyszłości
Będziesz szczęśliwy!

I temu uczuciu, które stanowi zwykłą karm' poetów, a jedyną — poetów małej miary, uczuciu, które tak ściśle wiąże się z myślą o szczęściu, poświęciła p. Konopnicka jeden z najpiękniejszych wierszy swoich. Ale jakże odmiennie pojęła w nim miłość od zwykłych uczuć turkawek płci obojej! Chociaż przemawiający *Do kobiety*, wiersz ten (pomijając te ustępy, gdzie wytyka, czem

miłość *nie powinna* być, które dla mężczyzny współczesnego należałoby przenicować na odwrotność) przedstawia równie upragniony dla obojga płci i równouprawniony związek dwóch dusz, opierający się na wspólności wyższych pragnień, a pełen gotowości z każdej strony iść na spotkanie ideałów przeciwnej:

«Kocham», to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemu;
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!
Chcę by mą drogą była twoja droga,
Mojem pragnieniem były twe pragnienia...
«Kocham», to znaczy, chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu i łez i boleści...
Ja nie chcę ciężać tobie jak kajdany,
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem;
Chcę tylko byś mnie uznał, ukochany,
Bratnim, pokrewnym ci duchem...
«Kocham», to znaczy: ja chcę być dla ciebie
Prawdy i dobra i piękna zakłębem...
Chcę, byśmy leżeli w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy w dziedzinie wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym,
Gwiazdziste szlaki przyszłości...

Bez wahania twierdzimy, że nikt w literaturze naszej, ani przedtem, ani później nie wypowiedział myśli o miłości tak wzniosłych i tak głębokich w tak pięknej formie. Bezwzględna równość i wzajemność w uczuciu, zamiast brutalnego panowania z jednej strony, a biernej uległości z drugiej; związek przez wyższy ideał i imię niesamolubnego celu, zamiast pociągu estetycznie-zmysłowego — oto w dwóch słowach ideał miłości, jaki tylko w sercu kobiety-myślicielki mógł powstać. A i samo zagadnienie szczęścia w miłości na równi z jej godnością zabezpieczone jest tem żądaniem: związku dla celów wyższych. Tylko taka sankcja podnosi samolubne uczucie pociągu płci do godności szczytnej i poetyckiej; tylko takie wytknięcie celu ponad «egoizm we dwoje» zabezpiecza szczęście, które rychło tonie w przesycie i rozprasza się w małostkowym dręczeniu się wzajemnem, gdy miłość staje się sama sobie celem, rodzajem «sztuki dla sztuki».

Taka jest idejowa strona wiersza. Co zaś do estetycznej, to wolę się powołać na sąd tego, który uznany jest przez naród cały za mistrza, zdolnego nie tylko najlepiej odczuć, ale i stworzyć arcydzieła piękna. Piszący jeszcze jako Litwos *Mieszaniny literacko-*

artystyczne w «Niwie» p. Sienkiewicz poświęcił parę kartek temu wierszowi:

«Na pierwszej stronie («Bluszczu») widzę wiersz: *Do kobiety* i oczywiście nie czytam go; na drugiej spostrzegam jednak podpis «Marya Konopnicka», więc czytam i odkrywam perłę prawdziwą. Ale, żeby jej blask opisać, trzeba by mieć chyba cały zasób poetycznych wyrażań poetki...» Po długiej cytacie z wiersza czytamy dalej:

«Ze słów tych bije brylantowa poezya, i moc, i poczciwość, i szczerze uczucie, i prawda. Szlachetnym sercom kobiecym, to poetyczny katechizm...»

«Pewien sceptyk w gronie literackim zauważył, że niejedna panna przeczytawszy ów wiersz, zamyśli się, i mara jakaś złota przesunie się jej przed oczyma i niby do snu ją ukołysze; — potem zbudzi się dziewczyna, wstrząśnie główką, spojrzy zdziwionemi oczyma naokół i powie:

— *Maman! quel drôle de rêve j'ai eu!...*

Potem roześmieje się sama z siebie... Dziwni są ci sceptycy, co w prawdę mar nie wierzą...¹⁾».

Potrąca wreszcie poetka o zagadnienia dotyczące przeznaczenia sztuki i powołania poetów. *Dekadentom* więc mówi:

Nie nam, pieśniarze, stać w tęczy kolorach,
Barwić się w róże i w pióreczka pawie,
Bo my te sosny czerniejące w borach,
Bo my te krzyże w przydrożnej kurzawie...
Nam w spiż sere ludzkich bić, jak biją dzwony...
Nie nam pieśniarze biedz pustą gonitwą,
Za blaskiem lir tych, co serc próchnem świecą...
Bo jest pieśń nasza o świty modlitwą,
I skowronkowe legie za nią lecą,
Bo o słoneczność dla ziemi jest bitwą
I brzaski od niej przyszłe już się niecą...
Bo my zakonu związani przysięgą...
Pieśń nasza kmicęą odziana siermięgą,
Z ducha królewskość bierze, nie z purpury...

Tak wzniosłe pojmując przeznaczenie poezyi, jak to już Sziller był niegdyś wytknął, mówiąc o «zwierciadłach odbijających blask nadchodzących stuleci», a rodzinną formę i odcień na-

¹⁾ «Niwa» za r. 1880, str. 387–89.

dając tej myśli ogólnie-ludzkiej, autorka już dawno jasno i świadomie wytknęła drogę swoją w krainie duchów:

Samotna idę wśród nocy tą drogą,
Którą lez ludzkich wskazują mi ślady,
Ale o hasło nie proszę nikogo!..
W prawo i w lewo odrębne dwa światy,
Lecz droga moja ni w lewo, ni w prawo:
Ja idę prosto do tej biednej chaty,
Co nędzą swoją odbija jaskrawo
Od głośnych hasel, rozdwojeń i klótni.
Idę, gdzie ziemia pustą jest i łzawą,
Gdzie jęczą ludzie, skrzywdzeni i smutni...

Błogosławiona bądź, któraś ją obrała; obyś z niej nigdy nie zбочyła, a samotną na niej nie zostaniesz!

Widzimy z tego bardzo niedostatecznego i pobieżnego przeglądu, o jak liczne zagadnienia filozoficzne potracają utwory p. Konopnickiej. Że pierwszego miejsca nie zajmują tu kwestye metafizyczne; że górują zagadnienia z dziedzin bardziej ludzkich, t. zw. filozofii praktycznej, zagadnienia kosmologicznej, filozofii dziejów i socjologii, filozofii życia i szczęścia — to z natury rzeczy jest zrozumiałe. Niejednokrotnie robiono poetce zarzuty, że więcej stawia znaków zapytania, niż daje odpowiedzi. Zarzut ten dotyczy oczywiście tylko zagadnień najogólniejszych. Tam, gdzie szło o zasady życiowe, o credo podstawowe przekonań — widzieliśmy, że odpowiedzi są stanowcze i niedwuznaczne. Co zaś do zagadnień bardziej abstrakcyjnych, to nie sądzimy, aby zadaniem poezji filozoficznej mogło być ich rozwiązanie: należy ono raczej do dziedziny badań naukowych. Zadaniem poezji filozoficznej jest może pręcej postawienie tego rodzaju zagadnień na tle uczuciowem; zamiana prostej ciekawości rozumowej na gorące pragnienie, chłodnej myśli na odczute głęboko przekonania. Obecność takich to idei-uczuć stanowi o istocie człowieka wykształconego w wyższem znaczeniu, wrażliwego na zagadnienia czasu i umiającego do nich przystąpić, gdy przeciwnie czysto rozumowe rozwiązanie zagadnień czyni z umysłu człowieka rodzaj klucza, dołączanego do zbiorów ćwiczeń arytmetycznych.

W zakresie tego podniesienia zagadnień do uczuciowej potęgi, która staje się źródłem pragnienia wiedzy żywej, życiu służącej, a więc pobudką do prawdziwego wykształcenia, poetka na-

sza dała może najpiękniejsze rzeczy, jakie posiada literatura nasza, a obok których można postawić prześliczne i równoznaczne im poezye filozoficzne Asnyka.

LEGENDA O WIELKIM POKUTNIKU.

Szedł niektóry człowiek do Rzymu, aby uzyskać przebaczenie za ciężkie winy swoje, któremi był zmazał duszę nieśmiertelną. Opuścił siedziby ojczyzny swojej, gdzie imię jego było przekleństwem, a osoba jego w ostatecznej pogardzie. Nikt nie wierzył w szczerłość jego pokuty, starcy odwracali od niego oblicza, mężowie za nim pięść wyciągali, a dziatwa żegnała go gwizdaniem i rzucaniem kamieni. Z ciężkiem sercem opuszczał ojczyste rubieże pokutnik, gorzkimi zalewał się łzami, a dusza ciężyla mu jako niesłychane brzemię, które dźwigać musiał, póki by się przez odkupienie win i zmaz lżejszem nie stało. Niewiara ogółu w szczerłość jego pokuty sprawiała mu niesłychane cierpienia. Jedyną ulgą dla niego było to, że stracił już z oczu znajome twarze, że szedł puszczą, krajami obcemi, że już nikt za nim nie patrzył, nikt mu nie urągał, nikt nie sztydził z jego łez. Słońce raziło ogniami odkrytą głowę jego, deszcze smagały mu oblicze, głód doskwierał a pragnienie paliło. Dręczył ciało swoje i umartwiał, szedł modląc się, płacząc, nowe jeno męki obmyślając sobie. I zwolna, zwolna wyzbył się dawnej natury swojej, odstąpił go gniew, żal, mściwość, pycha, odstąpiły go wszystkie namiętności. Myśli jego stawały się coraz czystsze, coraz szlachetniejsze. Ale on nie pozwolił sobie na żadną słabość, nie dopuszczał pociechy do swego serca, kajał się wciąż i dręczył, aż nareszcie zdjąwszy odzienie, powiesił sobie na plecach wielki ochlap żywego mięsa i szedł dalej. Wtedy poczęły rojami zbiegać się owady, a z ziemi po jego nagich nogach pelzać robactwo, dążąc do onego mięsa, kasaając go niemilosiernie i z ciała jego czyniąc jedną wielką otwartą ranę, która go piekla jak ogień żywy. W tych męczarniach niesłychanych dusza jego czyściła się i doskonaliła, stawał się innym człowiekiem, podróż odmieniła z gruntu jego naturę. Już ujrzał zdala kopulę Piotrową, już ukazały się kościoły wiecznego miasta. I wtedy stał się dziw. Nagle we wszystkich

wieżach ozwały się dzwony, same serca bez pomocy rąk ludzkich rozkolysały się w nich i uderzały o spiż. A kiedy wielki pokutnik mijał bramy miasta, rozlegał się w powietrzu jeden niesłychany hymn dzwonów, że ludzie na ulicach stawali a mówili: jakiś święty człowiek do nas dąży!

Wielki pokutnik szedł dalej, kąsany przez robactwo, strugami łez zalany, spalony pożarem słonecznym, posypyany kurzem. Dzwony dzwięczały coraz głośniej, coraz tryumfalniej.

Ludzie poczęli się za nim oglądać, a potem klękali na ulicy i wołali:

— Święty, święty, święty!

Już słowa ich posłyszał wielki pokutnik. Już ujrzał ciżby przed nim klękające a składające ręce i wielbiące go w głos.

Wtedy lzy obeschły na jego zoranem obliczu, wtedy pojawił się pierwszy uśmiech. Spojrzał po tłumach i wyprostował się.

A tłumy wołały coraz głośniej:

— Święty, święty, święty!

Wielki pokutnik wydał wargi, ujął się pod bok, a rzuciwszy dokoła pyszne spojrzenie, zawołał:

— Jeszczeby też...

I w tej chwili stał się drugi dziw. Wszystkie dzwony nagle umilkły...

Typ współczesnego wielkiego pokutnika wygląda nieco inaczej. Nie opuszcza on ojczystych rubieży, choćby imię jego było w pogardzie u wszystkich uczciwych. Natomiast rozbiera on swego bliźniego do naga, kładzie mu na plecy ochłap żywego mięsa, aby się wszystkie robactwo zbiegało i kasało go, a następnie wysyła go do Rzymu.

A skoro to uczynił, skoro tak postąpił z bliźnim swoim, wtedy ciemne rzesze otaczają go i w uwielbieniu wołają:

— Święty, święty, święty...

A on wydyma wargi, ujmuje się w bok i mówi:

— Rozumie się...

Dzwony zaś nie milkną, ale, kolysane rękami ludzkiemi, śpiewają mu hymn tryumfu i zasługi...

A kiedy tamten bliźni w udręczeniu i prześladowaniu wchodzi do Rzymu, cisza studzonna nad wiecznym miastem. I tylko strażnicy opadają go, wołając:

— Dokąd leziesz, żebraku? A zasię!...

O wielcy pokutnicy dnia dzisiejszego! Oblicza wasze świecą dobrobytem, a ciała są znakomicie odżywione. Dokoła was brzmi okrzyk: Święci, święci, święci — a wy wydawszy wargi, śmiejecie się i z tłumów i z siebie...

I z tłumów i z siebie...

Andrzej Niemojewski.

Z GALICJI.

NASZA INTELIGENCYA.

Nikt nie zdoła zaprzeczyć, że srogie cięgi, jakich doznajemy z wielu stron w czasach ostatnich, mają przynajmniej ten dobry skutek, że nawet w wynędzniałej i brnącej w ekonomicznym i moralnym błocie Galicji, pobudziły drzemiące dotąd umysły szerokich warstw do żywszego ruchu.

I tak, zwolujemy wiece jedne po drugich, na których uchwalamy jednogłośnie najpiękniejsze i najdalej idące rezolucye: wyrażamy zachwyty jednym a pogardę drugim, postanawiamy popierać przemysł krajowy, reformujemy i rozdajemy uniwersytety, wykrzykujemy nawet głośno na niegodziwych prusaków i t. d.

Wszystko to jest bardzo piękne i wlaoby nawet najzatwardziałszym pesymistom nieco wiary w lepszą przyszłość, gdyby przytem chciano pamiętać jeszcze o jednej drobnostce, a tą jest fakt, że nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny, i że chcąc leczyć choroby, trzeba koniecznie zacząć od usuwania przedewszystkiem ich przyczyn.

Otóż najpiękniejsze uchwały powzięte na wiecach nie nie poradzą, jeżeli nie zaczniemy od radykalnego usuwania przyczyn kilku ciężkich chorób, nękających polonię galicyjską.

Najstraszniejszym rakiem, który nas toczy, jest niesłychany brak ludzi o wyrobionym charakterze i poczuciu obowiązku, o wyższych ideałach i zdolnych do wytrwałego i pilnego zdążania do tych ideałów. Wprawdzie u każdego narodu na świecie istnieją obok olbrzymów ducha i czynu także osobniki słabsze i mierniejsze, a nawet i zupełnie liche i nikczemne, — ale tak smutnego stosunku jednostek dzielnych do istot miernych i lichych, jak u nas, to chyba nigdzie się nie znajdzie!

Zrozumiemy to najłatwiej na kilku przykładach.

Czy istnieje kraj pod słońcem, gdzieby trudniej było, niż u nas, wyrobić odpowiedni zastęp sil dziennikarskich niezawisłych, występujących śmiało i otwarcie w obronie swych przekonań, bez uciekania się do kłamstwa, oszczerstwa i przekupstwa?

W Galicyi pozyskać bardzo łatwo takiego, i to nawet zdolnego pisarza, który będąc z przekonania radykałem, za pieniądze żydowskie będzie pisał artykuły klerykalne, — ale proszę poszukać, czy wielu się znajdzie takich, którzyby pisali tylko prawdę, albo którymby tylko za to chciano tyle płacić, ile się płaci za rozmaite kłamstwo!

Interesowność ta weszła już do tego stopnia w krew i mózg naszego społeczeństwa, że nawet najpoważniejszy nieraz człowiek, przeczytawszy przypadkiem śmielszy i aktualny artykuł dziennikarski, nie pyta o to, czy zawarte tam zapatrywania są uzasadnione, czy nie, lecz — «jaki on miał w tem *interes*, że to napisał!...»

Urzędnik węgier, czech, rusin pamięta zawsze o tem, że nawet najściślejsze i najsumienniejsze spełnianie obowiązków służbowych nie przeszkadza temu, ażeby zawsze i wszędzie i przedewszystkiem pozostał obywatelem swego narodu. A urzędnik nasz?...

Kiedy naród węgierski wskutek nieszczęść politycznych, stanął nad brzegiem ostatecznej ruiny ekonomicznej i moralnej, znalazł w sobie, a przedewszystkiem w swej arystokracji, jeszcze dość wybitnych przedstawicieli, którzy z całą ofiarnością patrio-tyczną i z całą świadomością szlachetnego celu zdołali w krótkim czasie stworzyć rodzinny przemysł a handel i przez to doprowadzili kraj cały do bogactwa i niezależności, i dziś, skutkiem tego ogrywa kraj ten rolę przewodnią w całej monarchii.

A nasi «najlepsi»? Z małymi wyjątkami albo trwonią odziedziczone fortuny za granicą, albo lokują bezmyślnie swe kapitały w spekulacyach giełdowych, — ale gdy nawet z najkompetentniejszej strony pokazać im odłogiem leżące skarby krajowe, które przy racjonalnem ujęciu bardzo łatwo mogą i kraj i ich samych wydzwignąć z grożącej ruiny — to milczą i «popierają rząd», jak gdyby ten rząd mógł liczyć się w czemkolwiek ze zdaniem takich manekinów, zdolnych tylko do szumnych frazesów i głosowania na komendę! — śmiać się gorzko trzeba z tych «wpływów» naszych w Wiedniu, zdobywających nam co roku chyba kilka nowych ekscelencyj i hofratów! — A tu przecież nie trzeba nawet

silić się na wynajdywanie jakichś nowych formuł politycznych, lecz w formie najlegalniejszej naśladować tylko to, czem zdobyli sobie *rzeczywisty* wpływ i szacunek u sfer rządzących reprezentanci węgrov i czechov.

Na każdym kroku lenistwo, bezmyślność, — a obrona interesov chyba tylko osobistych lub zaściankowych — i to jeszcze często źle zrozumianych.

Lecz może przynajmniej młoda generacja rokuje nadzieję, że zdobywszy potężną broń w nauce nowoczesnej, odstraszona smutnemi doświadczeniami swych dziadov i ojcov, oraz ożywiona energią młodości, zdoła odnaleźć zgubiony gdzieś przez owych mamutov sztandar narodowy i doprowadzić nas przez wyteżoną, uczciwą, patriotyczną i świadomą celu pracę do tak potrzebnego odrodzenia. Zobaczmy:

W każdym zdrowem społeczeństwie rodzice usilują dzieci swe przedewszystkiem czegoś *nauczyć*, bez względu na spodziewaną przyszłą ich *karyerę*; dalej starają się odkryć w nich i rozwinąć pewne specjalne zdolności i upodobania i wedle tego grupują się następnie coraz nowe zastępy pracowników w najrozmaitszych zawodach. Przy tem powszechnem jest słuszne przekonanie, że przemyśliwanie naprzód nad urzędem lub instytucją, w jakiej uczeń następnie ma zarabiać na chleb i wyczekiwać emerytury, jest niedorzecznością; wystarczy bowiem, jeżeli się tylko w obranym zawodzie przy zdolnościach i pilności wydoskonali, — bo tęgich specjalistov zawsze i wszędzie potrzebują i zginąć im nie dadzą — naturalnie powtarzam: *w społeczeństwach zdrowych*, to jest takich, w których ogół zdrowo myśli, zdrowo pracuje i zdrowo każdą pracę ocenia.

Tak wyrastają gdzieindziej młode pokolenia prawnikov, technikov, artystov, przyrodnikov, historykov, wykształconych rzemieślnikov i t. d., zarabiających następnie każdy w swoim zawodzie, w najrozmaitszych biurach i pracowniach państwovych i prywatnych.

A u nas? Tylko w najrzadszych wypadkach słyszeć można u rodzicov, zastanawiających się nad przyszłością swego synalka taką np. uwagę: «Chłopak ma szczególniejsze upodobanie do książek historycznych lub przyrodniczych; niech się uczy jak najwięcej w tym kierunku, a może zostanie kiedyś tegim nauczycielem na naszą pomoc i na chlubę przyszłych pokoleń». Albo: «Synek nasz objawia osobliwszą zręczność w robotach mecha-

nicznych; niech się nauczy wszystkiego, czego potrzebuje dziś człowiek inteligentny, a potem, zdobywszy w swym umiłowanym zawodzie wykształcenie praktyczne i teoretyczne, będzie mógł skutecznie pracować na fabrykach, a może zostanie nawet kiedy ich dyrektorem i właścicielem».

Nie, takich zdań u nas nie usłyszysz! U nas przedewszystkiem zawody dzielą się na kategorie, wedle jakiejś przedpotopowej i urojonej większej lub mniejszej ich szlachetności. I tak, najgłupszy radca będzie w hierarchii społecznej stał nieskończenie wyżej od najwyższego kupca lub fabrykanta; najlichszy gryziopiórek w urzędzie, którego praca mózgową zredukowaną jest do najmożliwego minimum, stoi zawsze o wiele wyżej od nauczyciela pracującego z całym poświęceniem nad najdroższym skarbem narodu, bo nad wychowaniem przyszłego pokolenia!

U nas nie posyłają dzieci do gimnazjum po to, ażeby się jak najwięcej nauczyły, ale rachują naprzód, po ilu latach jak najmniejszego wysiłku mózgowego, i z jaką protekcją dosłuży się młodzieniec najpierw gwiazdek, potem złotego kolnierza, a wreszcie emerytury!

Autentycznym jest utyskiwanie pewnej mamy galicyjskiej, której syn cudem prawie wśród takiej atmosfery poczuł w sobie zamiłowanie do pracy naukowej i skończywszy gimnazjum zapisał się na wydział filozoficzny: «Szkoda, iż nie zapisał się na prawo; on taki ładny, tam dopiero zrobiłby karierę!...»

A co najsmutniejsze, to to, że nawet u rodzin najzamożniejszych, obywateli ziemskich, tej «śmietanki towarzystwa», jedyną niemal myślą przewodnią w wychowaniu dzieci jest wzgląd na przyszlą karierę i bogaty ożenek. Czytajcie drukującą się obecnie w «Słowie Polskim» powieść Gruszeckiego *Więszością*. Przedstawiony tam typ pięknego syna obywatelskiego, nadużywającego najcyniczniej ideałów tak świętych, jak patriotyzm i miłość — dla najwstrętniejszego egoizmu — to nie fantazyja, ani wyjątek; to niestety prawie reguła w dworach galicyjskich!

I cóż się tu dziwić, że na grobach bohaterskiego narodu rozrasta się takie marne pokolenie niedołęgów i kalek, które nie tylko, że same nic pożytecznego dla kraju zrobić nie potrafią, ale jeszcze zawistnie ściągają z wyżyn i paraliżują swym jadem nie liczne jednostki, które przecież dalej patrzą i z całym wysiłkiem, z bezinteresownością dusz szlachetnych pragną nas postawić i utrzy-

mać w rządzie narodów prawdziwie ucywilizowanych i odpornych w powszechnej walce o byt.

I cóż jest przyczyną tego rozpaczliwego stanu i co na to poradzić?

Powiecie może: myśmy nie winni, nasze wyjątkowe położenie, biurokracya i fiskalizm austriacki, nasz wadliwy system szkolny i t. d., i t. d.

Nie prawda i stokroć nie prawda!!

Tylko i wyłącznie wadliwe wychowanie szeregu pokoleń było i jest przyczyną naszej niedoli!

Systemu szkolnego bronić nie będę — ale że i najgorszy system narodu dzielnego nie zniszczy, a najlepszy nikczemnego sam nie zbawi, na to jaskrawe dowody znajdziemy znów u Czechów i Węgrów, którzy z tym samym systemem i wśród wrogiego otoczenia wyrobili się w krótkim czasie na dzielne narody, z których przykład brać nam należy.

Jednem słowem jest strasznie źle, i możnaby popaść w bezdenną rozpacz, gdyby się przecież nie pojawiały pewne przeblyski dodatniejsze, tylko trzeba te iskiereki rozdmuchać i nie pozwolić im zgasnąć w morzu gnuśności.

Rudolf Zuber.

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Archetypus (od ἀρχή — pierwszy, główny; τύπος — kształt) — pierwowzór. — To według czego kształtują się rzeczy (ob. *idea platońska*). *Intellectus archetypus* — umysł zawierający w sobie idee czyli pierwowzory rzeczy, od którego udzielają się one innym umysłom (a więc umysł boski). Korneliusz Agrippa nadawał imię *Archetypus* Bogu — zgodnie z duchem filozofii platońskiej.

Apoftegma. — Krótkie i dobitne orzeczenie jakiegokolwiek znakomitego męża.

Architektonika — sztuka budowania systematu; także — formalna strona systematu filozoficznego.

Argument — dowód. Rozróżniają dowód prosty i nieprosty (por. *apagogiczny*). Rozróżniają następujące formy dowodów nieprostych:

1) *Argumentum ad hominem*, gdy dowodzący, zamiast zbijać

doktrynę, napada na tego, kto jej broni, chcąc zwalczyć twierdzenie przez wykazanie słabości jego autora.

2) *Argumentum ex concessio* — dowód zaczerpnięty z jakiegokolwiek założenia, które przyznał przeciwnik.

3) *Argumentum a fortiori* (ob. *a fortiori*).

4) *Argumentum ad iudicium* — odwołanie się do sądu ogółu (zdrowego sensu).

5) *Argumentum ad verecundiam* — odwołanie się do powagi.

6) *Argumentum ad populum* — gdy dla zbitcia przeciwnika odwołujemy się do namiętności lub przesądów ogółu.

7) *Argumentum ad ignorantiam* — dowód oparty na nieuctwie przeciwnika.

8) *Argumentum per impossibile* = *reductio ad absurdum* (ob. *absurd*).

Z tych tylko trzeci i ostatni mają znaczenie naukowe, to jest mogą służyć dla odkrycia prawdy (przekonania się o poprawności twierdzenia) i używają się często, zwłaszcza w matematyce. Inne mają znaczenie wyłącznie polemiczne, t. j. gdy idzie o przekonanie kogoś, o zbitciu argumentów przeciwnika. Możemy je uważać za typy fałszywej argumentacji, w które się często wikła myśl niewyćwiczona, a więc za błędy rozumowania lub rozmyślne nadużycia.

Argumenta Zenona z Elei (V wiek przed Chr.), skierowane przeciwko poglądom mechanicznie-atomistycznym Leucyppa, miały nie tylko rozgłos w starożytności, ale i do dziś dnia stanowią przedmiot licznych rozpraw i dyskusyj. Potracając one istotnie o podstawy filozoficzne dzisiejszej wiedzy przyrodniczej. Argumenta te należą do dwóch gromad: jedne skierowane są przeciwko *podzielności bytu* (tego co istnieje, substancji), stając w obronie jego jedności; drugie przeciwko *możliwości ruchu* (jako najprostszej ze zmian, do której redukują się wszystkie inne) w obronie niezmienności bytu: wszelka bowiem zmiana jest złudzeniem według eleatów (ob.). *Argumentacja przeciw podzielności*: 1) Gdyby byt był mnogością, t. j. składał się z części, to musiałby być jednocześnie nieskończenie mały i nieskończenie wielki. Pierwsze dlatego, że wszelka mnogość składa się z jednostek; jednostka zaś, aby być rzeczywistą jednostką, t. j. niepodzielną, nie powinna mieć żadnej wielkości. Całość więc złożona z takich jednostek nie miałaby również żadnej wielkości (suma zer jest zerem). Nieskończenie wielką — bo to, co niema wielkości, nie istnieje; części bytu

więc muszą mieć jakąś wielkość; ich części muszą być również oddalone, a więc między nimi muszą się mieścić inne części i t. d. w nieskończoność. Całość więc musi być nieskończenie wielka. 2) Drugi argument powtarza to samo rozumowanie w stosunku do liczb. 3) Trzeci dotyczy niemożliwości próżnej przestrzeni: gdyby wszystko, co jest, zamknięte było w przestrzeni, przestrzeń sama, jako istniejąca, musiałaby być zamknięta w innej przestrzeni i t. d. w nieskończoność. 4) Czwarty potrąca o zagadnienie: jak mogą rzeczy razem wzięte wywołać skutek, którego nie wydaje każda z osobna? (np. szum, dający się słyszeć przy wysypywaniu miary zboża, wymagałby, aby każde ziarnko i jego część wydawały szum). — *Argumenta przeciwko ruchowi*: 1) Ruch nie może mieć miejsca, gdyż zanim ciało przejdzie swoją drogę, musi przebyć połowę; zanim tę przebędzie, musi przebyć połowę połowy i t. d. do nieskończoności. Aby dojść do celu, musiałoby więc przebiec nieskończoność przestrzeni, co niemożliwe jest w skończonym czasie (*Dichotomia*). 2) Achilles nie może dopędzić żółwia, gdyż ilekroć przybędzie na miejsce, gdzie się żółw znajdował, ten zdąży już posunąć się naprzód (*Achilles*). 3) Strzała będąca w locie, jest w każdej chwili w spoczynku (w pewnym miejscu); nie może więc być w ruchu (*Strzała*). 4) Ciało znajdujące się w ruchu przebiega przestrzeń dwa razy większą lub dwa razy mniejszą, stosownie do tego, czy ją mierzymy w stosunku do ciała spoczywającego czy będącego w ruchu (*Ruch względny*).

Argumentacja (rozumowanie). — Sam akt dowodzenia (przeciwstawny *intuicji* (ob.); często w znaczeniu zbioru lub systematu dowodów.

Ascetyzm — zrzeczenie się użycia w inie wymagań moralnych. Tak nazywali *stoicy* (ob.) i *pitagorejczycy* (ob.) wykonywanie surowej cnoty. Wogóle tak nazywa się wszelka nauka, czyniąca doskonalenie moralne (lub szczęście) zależnem od stłumienia pragnień, nie zaś do panowania nad nimi (por. *apatia*). Można różnić *ascetyzm filozoficzny* — zrzeczenie się w imię zasad filozoficznych, w celu wyzwolenia duszy od wpływu zmysłowości, od *ascetyzmu religijnego* — pełnionego dla prześlągania bóstwa przez dobrowolną ekspiacją (a zatem nie bezinteresownego; zmierzającego ku nagrodzie lub uniknięciu kary).

Assentio (*zgodyenie się*) — akt umysłu, którym przyjmujemy jako prawdziwe dane twierdzenie, ujęcie lub wyobrażenie. Stanowi ono niezbędną składnik sądu; gdyż bez niego sąd byłby

prostym wyobrażeniem, pozbawionym wartości logicznej. Również i ujęcie bez tego aktu byłoby tylko widmem (złudzeniem). Zgodzenie się jest *dowolne*, gdy od nas zależy przyjęcie prawdziwości lub nie; *konieczne* — gdy nie możemy go uniknąć, nie stając w sprzeczności z sobą. Stoicy przyjmowali, że wszystkie wyobrażenia przychodzą z zewnątrz, jako obrazy zmysłowe, lecz nie mogą przeobrazić się na poznanie rzeczywiste bez aktu zgodzenia się lub uwierzenia ($\sigma\upsilon\nu\chi\alpha\tau\alpha$ $\Theta\epsilon\sigma\iota\zeta$).

Assertoryczny — twierdzący (ob. *apodyktyczny*).

Associatio idearum *kojarzenie wyobrażeń* (ob.).

Associacyonistów szkoła psychologiczna czyli *szkoła kojarzenia*. Szkoła psychologii angielskiej, wyprowadzająca zjawiska duchowe z praw kojarzenia wyobrażeń (ob.). Należą tu głównie: Locke, Hume, Hartley, Reid, Stewart, Brown, Hamilton, Mill i inni.

Assumptio. — Z założeń czyli przesłanek ogólniejsza nazywa się *propositio*; mniej powszechna i przychodząca później na myśl *assumptio* (Trendelenburg). — W logice nazywa się tak przesłanka mniejsza we wnioskowaniu kategorycznym.

Astralne ciało (ob. *Archaeus*).

Ateizm (α , $\Theta\epsilon\sigma\iota\zeta$) — zaprzeczenie istnienia Boga. Należą tu więc wszelkie doktryny filozoficzne, które tłumaczą powstawanie świata bez pomocy umysłu twórczego (por. *atomizm*, *materyalizm*). Przeciwnie, nie należy tu zaliczać *fizyologów* (ob.), gdyż oni pojmowali substancją jako nawpół cielesną, nawpół duchową (ob. *hilozoizm*). Również nie należy mieszać z ateizmem *panteizmu* (ob. t. w. i *akosmizm*) i *deizmu* (ob. t. w.), co często dzieje się w polemice religijnej.

Atom (α — nie; $\tau\epsilon\mu\upsilon\sigma\iota\nu$ — ciąć) — niedziałka; cząstka materii nie dająca się podzielić. Z takich pierwiastków utworzony jest cały świat, według poglądu atomistów (ob. *atomizm*). Atom jest czysto cielesny i w tem zasadniczo przeciwstawny *monadzie* (ob.). Nie ma on *stanów wewnętrznych*. Pokrewne z atomem jest pojęcie *cząsteczki* (*corpusculum*). Atomy według poglądów starożytnych różniły się tylko kształtem, wielkością i położeniem wzajemnem. Są to różnice *ilościowe* (arytmetyczne lub geometryczne). Według poglądów chemii dzisiejszej, atomy są *jakościowo* różne co do samej substancji, a mianowicie tyle jest jakościowo różnych atomów, ile pierwiastków chemicznych.

Atomizm. — Pogląd, według którego świat składa się z atomów (ob.). Atomy te mają rozmaity kształt, wielkość i prędkość ruchu. Mogą one działać na siebie tylko mechanicznie, t. j. bądź

cynetycznie — drogą uderzenia, albo ciśnienia, bądź też *dynamicznie* — przez siły przyciągania lub odpychania. Rozmaite połączenia atomów powodują odmienne własności ciał. Założycielem atomizmu w starożytności byli: Kanada w Indjach a Leucypp w Grecyi; rozwinął go w systemat Demokryt, później odnowił tę naukę Epikur, a w ślad za nim Lukrecyusz. W czasach nowożytnych wznowił go Gassendi (w XVII wieku). Charakter cynetyczny miał atomizm do odkrycia przez Newtona siły ciężenia powszechnego. W XVIII wieku poglądem tym posługiwać się zaczęła fizyka i chemia, jako hipotezą naukową, nadając mu formę dynamiczną. Początkowy pogląd, według którego atomy działają na siebie tylko przez uderzenie lub ciśnienie, uległ przemianie: zaczęto przypisywać atomom siły działające w odległości (przyciąganie lub odpychanie).

Atomistyka = *Atomizm*.

Atrybut (*ad tribuere* — przypisywać) — to co się orzeka o czemś innym. — W znaczeniu *logicznem*: to co się orzeka o podmiocie — orzeczenie. «Orzeczenia dzielą się zwykle według trzech kategorii: jakości, ilości, stosunku» (Mill *Logic*, drugie wyd. I, 83). — W filozofii scholastycznej atrybutami dyalektycznymi nazywano: określenie (*definitio*), rodzaj (*genus*), właściwość (*proprium*) i przypadkowość (*accidens*); są to bowiem według Arystotelesa cztery stanowiska, z których może być rozważany każdy przedmiot w dyskusyi filozoficznej.

W znaczeniu *metafizycznym* atrybutem nazywa się jakość, stanowiąca nieodłączną, inherentną, istotną cechę rzeczy, nie tylko w przyrodzie, ale co do jej istoty. «Przez wyraz *atrybut* oznaczamy — powiada Kartezyusz (w liście do Regius'a) — coś nieodłącznego od istoty podmiotu, co wchodzi w jego skład, a przez to przeciwstawia się stanowi (*modus ob.*)». — Spinoza określa atrybut: «to, co umysł dostrzega w substancyi, jako stanowiące jej istotę». Tak rozciągłość jest istotną cechą ciała; natomiast kształt, położenie, ruch lub spoczynek są tylko *modi extensionis* (sposoby bycia rozciągłości), czyli stanowią własności przypadkowe.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH.

Mieliśmy sposobność w ostatnim zeszycie naszego wydawnictwa potrącić o ujemne strony wydawnictw zbyt licznych, książek «dla niewielu». Na szczęście dla roli pozytywnej literatury, jako źródła oświaty dla szerokich kół, poszukujących jej, możemy zaznaczyć już dziś, iż posiadamy kompensatę w szeregu tanich wydawnictw, wydawnictw zwracających się do wszystkich.

Do dawniejszych, a powszechnie znanych, jakimi są «Biblioteka mrówki» i «Biblioteka powszechna» wydawana w Złoczowie, poświęconych przeważnie rzeczom belletrystycznym lub paniętnikowo-histerycznym, przybywają obecnie «Książki dla wszystkich» p. Arcta, dążące po części do zajęcia opróżnionego przez przerwę wydawnictwa p. Wiślickiego stanowiska.

Wydawnictwo to pod względem strony zewnętrznej — nie tylko drukarskiej, ale i języka — stoi bez porównania wyżej od tylko co wymienionego, zachowując zbliżoną do tamtego taniść (10 kop. za 4 arkusze druku). Treścią swoją wszakże różni się ono znacznie. Przedewszystkiem przeznaczone jest dla kół szerszych, a więc popularniejsze; uderza wszakże brak jednolitości w poziomie, na który jest obliczone, a zwłaszcza brak wszelkiego planu w wyborze przedmiotów. Obok książeczek, których w żaden sposób do literatury, a tem bardziej naukowej zaliczyć nie można, a nawet o wątpliwej użyteczności (jak np. kilka książeczek poświęconych leczeniu według metody Kneipa, *Nauka gry w szachy*, *Przepisy właściwego zachowania się* i t. p.), znajdujemy takie czysto praktyczne, jak *Obliczanie procentu*, *Hodowla ptaków śpiewających*, *Droga do bogactwa (oszczędność)*, *Miary i wagi*, *Monety wszystkich krajów* i t. d. lub dydaktyczne, jak *Ćwiczenie głosu*, *Słowniczek muzyczny*, *Zasady muzyki*, *Nauka szybkiego rachunku*, *Prawidła pisowni polskiej*. Dalej idzie najobszerniejszy dział poświęcony rzeczom teoretycznym, stanowiącym zwykły przedmiot lektury człowieka inteligentnego, szukającego w książce przedewszystkiem wykształcenia.

Nauki przyrodnicze reprezentuje w tym dziale zaledwie kilka tomików. *Woda pod względem fizycznym i chemicznym* przez p. S. Bouffalla omawia wszechstronnie ten tak doniosły dla życia na ziemi «żywiol». Strona geograficzna, meteorologiczna i geologiczna; osobliwości fizyczne wody, lód, para, ciepło utajane, skład i własności chemiczne, rodzaje wody, ciała w niej rozpuszczone, użycie jej, jako ciała wzorcowego — wszystko to omówione bardzo przystępnie

na 62 stronach, zaopatrzonych w odpowiednie ilustracje. Książeczka *O powietrzu* tegoż autora przedstawia równoległe do poprzedniej opracowanie żywności lotnego; przeważa tu z natury rzeczy strona fizyczna (własności gazów). Dalej do rzeczy o charakterze teoretycznie-opisowym należą *Zwierzęta współżyciulnicze* p. B. Dyakowskiego; opisuje w niej autor rozmaite typy symbiozy wśród zwierząt. Czysto opisowe są *Grzyby jadalne i trujące*, książeczka opracowana przez p. M. Arctównę według H. Blüchera, a zawierająca 32 kolorowe obrazki, doskonale oddające postaci opisywanych grzybów, które wszakże przyczyniają się do podniesienia ceny książeczki tej do 50 kop. Dalej idzie charakterystyka ogólna *Zwierząt ssących* według Brehma (?). Dział ten zamykają: *Krótką anatomia ciała ludzkiego* przez p. L. Wolberg (może zbyt krótka) dająca na 82 stronach opisanie makroskopowe, a po części i mikroskopowe wszystkich organów z pominięciem wszakże zupełnym ich czynności. Takie rozdzielenie anatomii od fizjologii jest może mniej dogodnym w dzielkach popularnych. Do zakresu fizjologii należy *Znużenie* p. S. Kopeczyńskiego; do higieny *Ruch i ćwiczenia cielesne* p. R. Skowrońskiego. Z trudnością zaliczylibyśmy do tej galezi książeczkę pod tytułem *Sen i środki nasenne*, gdzie obok rad dobrych, spotykamy np. taką, jak zalecanie osobom anemicznym sypiania z głową leżącą niżej od nóg, umotywowanem potrzebą odżywiania mózgu w czasie snu (!). Książki takie jak ta lub inne, w duchu Kneipa, mogą przyczynić niejedną krzywdę i dlatego podręczniki w tym kierunku powinny być starannie wybierane.

O wiele obszerniej reprezentowane są nauki humanistyczne. Do ogólniejszych należą tu rzeczy poświęcone ekonomii; a więc *Ekonomia polityczna* p. J. Marchlewskiego. Nie jest to wykład ekonomii, lecz raczej wstęp do niej. Autor omawia przedmiot ekonomii; rozważa zależność stosunków gospodarczych od stopnia rozwoju społeczeństw, wyjaśnia to na przykładach, nadmieniam wreszcie o podziale ekonomii. *Giełda* w opracowaniu p. S. Kempnera stanowi przedmiot osobnego tomiku; *Pieniądze* podobnież opracowane przez p. Z. Kamińskiego. Najbliższą do tej galezi jest *Nauka o ludności* p. Z. Daszyńskiej-Golińskiej; autorka wyjaśnia przedmiot i zaznaja ją z wynikami demografii. Do zakresu prawa państwowego należy *Jak jest za oceanem?* p. W. M. Kozłowskiego, tomik omawiający historią konstytucyi Stanów Zjednoczonych Ameryki, jej istotę i sposób funkcjonowania (partye polityczne, ich rozwój i stan obecny). *Pogląd na rozwój dziejowy* przez p. H. Witkowską, zawiera krótki przegląd niektórych systematów historyozoficznych (Vico, Condorcet, Kant, Hegel, Marks, Comte, Buckle, Spencer). Książeczka ta, pomimo, iż bardzo niewiele i niekoniecznie najbardziej typowych przedstawicieli historyozofii omawia, potrąca o przedmiot szczególnież zaniedbany w naszej literaturze ostatniej doby i dlatego już zasługuje na szczególne polecenie. — Do dziedziny historii właściwej należą *Początki walki słowiańsko-niemieckiej nad Bałtykiem* przez p. J. Kochanowskiego, omawiające walki o Pomorze na podstawie najnowszych niemieckich opacowań i jegoż *Heraldyka*. — Do dziedziny estetyki należą *Zasady estetyki* p. M. Mutermilcha; do etyki — odczyt p. B. Prusa *O ideale doskonałości*.

1) Główne znaczenie snu dla organizmu polega na wypoczynku mózgu, którego warunkiem jest odpływ krwi i zmniejszenie odżywiania do minimum.

Najlichniesze, a zapewne i najpoczytniejsze są tomiki poświęcone literaturze lub biografii. Pierwszy tomik *Historji literatury polskiej* przez p. F. Łagowskiego poświęcony jest okresowi poprzedzającemu XVI stulecie. Dalej idą tegoż autora *Jan Kochanowski*, *Kazimierz Brodziński* i *Komedye Aleksandra Fredry*. P. St. Kozłowski daje umieszczone dawniej w «Bibliotece warszawskiej» studia *O trylogji Sienkiewicza* i *Maryja Konopnicka*. Ten ostatni tomik nabiera aktualności wobec jubileuszu poetki i znajdzie się niezawodnie w wielu rękach. Szkoda więc, że autor, który umie pięknie wytknąć zalety pióra autorki w rzeczach mniejszej wagi, nie dorasta do oceny najdonioślejszych jej utworów, dla przyczyn bliżej wyjaśnionych w wstępnym artykule tego zeszytu. Niemniej aktualną jest książeczka p. H. Gallego: *Aleksander Świętochowski jako belletrysta*, która, mamy nadzieję, znajdzie się również w wielu rękach. Filozofią polską reprezentuje tomik, poświęcony *Józefowi Kremerowi* przez p. St. Brzozowskiego. Wreszcie dwóch wielkich myślicieli obcych *Hipolita Taine'a* i *Jana Ruskina* opracowali: pierwszego tensam autor ze szczególnem zaangażowaniem i pietyzmem o nim piszący¹⁾, drugiego p. Maryja Bujno. Twórców muzycznych reprezentują życiorysy *Chopina* i *Moniuszki*.

Jak zaznaczyliśmy niema jednostajności w opracowaniu poszczególnych tomików, ani ścisłego planu w całości; nie przeszkadza to wszakże, iżby biblioteczka ta, której zaledwie początek mamy przed sobą, była pożyteczną i pożądaną pomocą dla ogółu, pragnącego zasięgnąć wiadomości z tego lub owego zakresu, w krótkim a popularnym zarysie poznać tę lub ową gałąź wiedzy lub osobistość wybitną. Potrzeby ogółu, ujawniające się w pokupności, wytkną zapewne dalszy kierunek wydawnictwa. Tymczasem witamy tę nową próbę popularyzacji wiedzy wśród szerokich mas i szczerze życzymy jej powodzenia.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Tygodnik ilustrowany“ poświęcił numer ostatni uczczeniu działalności literackiej p. Maryi Konopnickiej: rozpoczyna go doskonała a sympatyczna charakterystyka poetki przez p. W. Bogusławskiego. Dalej idą hołdy składane przez rozmaitych pisarzy. Wyjmujemy z nich słowo równie wielkiej bratniej jej duszy — p. Elży Orzeszkowej:

«Moja najmilsza Marychno!

Powiedziano mi, że w girlandę myśli ludzkich, którą część powszechna dziś do stóp Twych rzuci, mam prawo wpleść kilka swoich, w formie aforystycznej zamkniętych. Śpieszę, przynoszę; ale dla Ciebie mówiąc, pragnę mówić także i do Ciebie. Na każdej z myśli, ku tobie lecających, niech spocznie, jak pocałunek, uderzenie serca.

¹⁾ Niestusnie wszakże doprowadza autor kult swój dla Taine'a aż do usprawiedliwienia jego opacznych sądów o działaczach i całym charakterze Rewolucji francuskiej (por. str. 96 i nast.).

Więc naprzód: człowiek jest nurkiem, szukającym pereł w morzu życia. Tyś w wodach znalazła pereł sznur długi, którym, jak dyademem, skronie narodu swego uwieńczyłaś.

Następnie: Orzeł samotny, z górskiego gniazda spoglądając na ziemię, duma niekiedy o szczęściu wróbbli, które szczebiocą gromadnie i wesolo.

Weselsze, lżejsze, pieszczotliwe bywają na nizinach zefirki drobne, niż dumne i szumne wichry, bijące o górskie szczyty; ale cóżby się stało z wróblami ludzkości, gdyby nie posiadała ona takich, jak Ty, orłów?

Stałaby się z nią najpewniej rzecz wielce smutna, gdyż istnieją dwa działy natur ludzkich: chodzący i skrzydlaty; a tych, którzy umieją tylko chodzić, trzeba ciągle potrącać skrzydłami, aby nie zaczęli pełzać.

Ludzkości, oprócz skrzydeł, potrzeba jeszcze dzwonów.

Więc niech nam dzwoni i dzwoni na strunach prawdy i piękna muzyka Twego geniuszu, bo świątynie do połowy jeszcze pustką stoją i połowa świata jeszcze śpi!

Powiadają wprawdzie niektórzy, że serca dzwonów kruszą się i pękają od uderzeń o ściany śpiżowe, o ściany zimne, twarde i nielitościwe; wóz życia zgruchotać go może, ale z serca nie wygna mu Boga.

Nie może również wóz ten wydrzeć Ci siły cudotwórczej, która sprawia, że, jak w baśniach bogowie, tak w rzeczywistości poeci, posiadają dar przemieniania znikomości w nieśmiertelność.

Ani pozbawi Cię klejnotów, złożonych w skarbnicy Twej wielkiej duszy, bo poetką jesteś, a poeta, to taki tkacz, który, przez całe życie siedząc nad krosnami, wznosi oczy ku ideałom i od nich bierze wzory dla swych tkanin i światła dla swych ciemności.

Do tych należysz, którzy posiadli najtrudniejszą umiejętność ducha, w tem spoczywającą, aby nie tracić nigdy z oczu błękitów niebieskich; i do tych także, którzy — wiedząc, że stosunki z ludźmi, odarte ze złudzeń, to głogi obrane z kwiatów — mają jednak dla ludzi skrzydła podnoszące i serca grające.

A o tem, co ja w sercu swoim mam dla Ciebie, długo mówić nie będę, ponieważ bywają uczucia, dla których słowo wszelkie wydaje się monetą wytartą i przez liczne dotknięcia zbrudzoną. Więc o tem trzy tylko krótkie razy: Kocham Cię serdecznie!*

Przytoczyliśmy ten głos tak piękny i szczerzy z serca płynący i do serca przemawiający. Nie brak w tym numerze wszakże i humorystyki!.. nieświadomej, rozumie się. Oto jeden z autorów (bardzo młodych, jako taki) nie znalazł mądrzejszego sposobu uczczenia jubilatki nad... wychwalanie siebie samego! Mniej się dziwimy, że kwiatek taki urósł na krakowskim gruncie. Ale gdzież był redaktor, gdy układano zeszyt?

— „Biblioteka Warszawska“, kwiecień. Zeszyt ten rozpoczyna odczyt p. H. Struvego, wygłoszony w Krakowie p. t.: *Znaczenie filozofii w życiu umysłowem narodu*. Życie umysłowe porównywa autor do olbrzymiej rzeki, płynącej wśród granitów bytu przedmiotowego. Dwa prądy w nim wyróżnić można: dolny — to siła żywiołowa, ciemne, bezwiedne potęgi; górny — świadoma działalność jaźni. — Najgłębszym objawem życia umysłowego narodu

jest dziedzina ideału, urzeczywistnienie jego stanowi robotę życia. Poeta i artysta czerpać może z dwóch źródeł: z serca (ducha) lub z otoczenia (przyrody). Stąd dwa zasadnicze kierunki: romantyzm i naturalizm. Oba wiążą się z poglądami filozoficznymi swojego czasu, panując pierwszy w I-szej, drugi w II-giej połowie ubiegłego stulecia. Sztuką przyszłości nie jest dzisiejszy neo-romantyzm (karykatura przyrody), lecz będzie nią synteza obu kierunków. — Narówni ze sztuką i działalność praktyczna zostaje w zależności od filozoficznego poglądu na świat. Naród dochodzi do świadomości swych dążeń dziejowych przy pomocy historyzofii. Opiera się ona na etyce postępowania narodowego, której najwyższa zasada «bądź i pozostaj sobą»; zachowaj swoje cechy narodowe w myśli i w czynie. — Koniec *Pamiętnika Niemcewicza* zawiera kilka ciekawych szczegółów; między innymi o włościaninie z powiatu częstochowskiego, który przy wyborach do nowoukonstituowanego sejmu Księstwa warszawskiego, podjął i przeprowadził myśl, aby włościanie wybrali włościanina na posła. — P. Jeziorański poddaje szczegółowemu rozbirowi *Nową taryfę celną niemiecką*. Autor przytacza obliczenia Momberta, wykazujące, że przy ciele zbożowym, wynoszącym 5 marek, wydatki roczne rodziny robotniczej podnoszą się o 45½ marek, czyli wymagają nadwyżki 12 dni pracy dla utrzymania tej samej stopy żywienia. Przypomina spostrzeżenie Cobdena, potwierdzone przez badanie statystyczne Roberta Peel'a, że podwyższenie cen zboża wpływa deprymująco na płacę zarobkową. Dalej wykazuje, «że włościanie poniżej 5 ha. gruntu posiadający, nierównie więcej tracą wtedy, niż zyskać mogą na poprawie cen zboża, którego sprzedają bardzo mało, spասając inwentarzem tę drobną ilość, jaka im pozostaje od potrzeb własnych». Łatwo zrozumiemy, wobec tego, jaki wpływ taryfa ta wyrzuci na lud nasz, zarówno miejski jak i wiejski w Prusach i jak osądzić powinniśmy posłów z Koła polskiego, którzy głosowali za taryfą¹⁾. P. Smulski kończy artykuł o *Mohikanach polskich* (kaszubach) niezmiernie ciekawym i zasługującym na pilną uwagę. P. Ign. Chrzastowski podaje nieznaną dotąd *Pierwszy utwór Gabrieli*.

— „**Nowe Słowo**“. Dwutygodnik ten poświęcony sprawom kobiecym, krzącze się pracowicie około tej doniosłej a tyle zagadnień poszczególnych obejmującej kwestyi. W Nrze 7 znajdujemy artykuł redaktorski p. t.: *Wyzwolenie ekonomiczne kobiety*, w którym podnosi się znaczenie tej niezależności, jako podstawy wszechstronnego wyzwolenia kobiety. Nie wiemy tylko dlaczego autorka przypisuje wogóle umysłowi męzkemu niedorzeczności, które Proudhon powiedział o kobiecie. Nawet ludzie bardzo rozumni mogą mówić głupstwa, a Proudhon wykazał tę zdolność nie tylko w zakresie kwestyi kobiecej. Widzieć w tem typową cechę męczyzny — to już zapewne nie męzka logika. — P. Bujwidowa robi słuszne zarzuty przeciwko ministeryalnemu *Projektowi liceów dla pańien*, pomysłyanych w duchu «der ewigen Weiblichkeit»; p. W. Ławska roztrząsa *Strój kobiet* pracujących, w związku z nieszczęśliwymi wypadkami u maszyn; p. Bandrowska daje p. t.: *Z poezji ewangelicznych*, opowieść w stylu

¹⁾ Przypominamy przy tej sposobności szan autorowi, że gdy w pewnej dyskusyi pewna osoba nazwała politykę Koła polskiego w Berlinie kastową i wyznaniową, ale nie narodową, stanął on w obronie Koła. Jakże pogodzi to z wynikami własnej pracy?

biblijnym; p. W. Dalecka — *Niewieście dusze*. W zupełnej dysharmonii z całością zostaje umieszczony w końcu artykuł o *Weselu* p. Wyśpiańskiego: jest to dziwaczne zestawienie wyrazów, w którym sam Salomon nie doszuka się treści i sensu. Za przykład parę zdań: «Ostatecznie «Czas» jest materiałem niezmiernie cierpliwym i podatnym, i zawsze da z siebie utkać bohatera. Wiedzą o tem dobrze kobiety dumne, fatalnie skazane na samotność. Obecność jest nienawistna dla człowieka zbyt wiele myślącego, lecz mało rozumiejącego. Nie można wiele myśleć, trzeba wiele rozumieć, choć i jedno i drugie wytrąca z ręki narzędzie rozkoszy...» i t. d., albo: «Wszystkie niemal osoby *Wesela* stanowią dla siebie odrębne sytuacje, poza którymi chytre oko myśliciela dostrzeże Rzeczywistość, dramat...» Autor gdzieś z pogardą odzywa się o «literaturze»; niema wątpliwości, że i «literatura» się odzwajemni i nie zaliczy do swego zakresu jego utworów.

— „Tydzień“ (lwowski) Nr 13 zawiera ciekawy a nieznany podobno dotąd list Mozarta, pisany przezeń, jako 14-letnie dziecko do siostry ukochanej («Nannerl»). Autograf jego był подарowany przez syna genialnego muzyka, który był nauczycielem fortepianu we Lwowie (od 1813 do 1838 r.) jednemu z swoich uczniów A. Cybulskiemu, po którym odziedziczył go obecnie wnuk tegoż nazwiska, ogłaszający ów utwór. Oto jest brzmienie tego nader sympatycznego nawpół dziecinnego wynurzenia genialnego twórcy *Requiem*:

«Droga siostrzyczko moja!

Na Twój list nie wiem doprawdy, co Ci mam odpisać, gdyż mi właściwie nic prawie nie napisać. Menuety p. Haydena przysył Ci, skoro tylko mieć będę więcej czasu; pierwszy już Ci posłałem. Ale tego, to już wcale nie rozumiem: piszesz mi, że zostały wykradzione, czyś Ty je wykradła, czy jak?... Proszę Cię, odpisuj mi zaraz, za każdym odejściem poczty. Dziękuję Ci za przysłanie mi tych łamigłówek rachunkowych, i proszę Cię, jeżeli chcesz, by mnie głowa bolała, przyslij mi jeszcze trochę tych figli.

Przepraszam Cię, że tak źle piszę, ale przyczyną tego jest, że mnie jeszcze trochę głowa boli. Dwunasty menuet Haydena, który mi przysłałaś, podoba mi się bardzo, a akompaniament dokonponowałaś do niego w sposób niezrównany i bez najmniejszego błędu — proszę Cię, probuj częściej takich rzeczy. Mama niech nie zapomni kazać wyczyścić obydwie strzelby. Napisz mi, jak się powodzi panu kanarkowi, czy śpiewa jeszcze, i czy jeszcze świszcze? Wiesz, dlaczego myślę o kanarku? Bo w naszym przedpokoju jest także kanarek, który takie, jak nasz, piski wyprawia. A propos, p. Johannes otrzymać zapewne musiał list gratulacyjny, któryśmy napisać *chcieli*, gdyby go zaś przypadkowo nie otrzymał, to mu sam w Salzburgu oświadczyć, co w tym liście stać miało. Wczoraj ubraliśmy po raz pierwszy nasze nowe szaty, wyglądaliśmy w nich pięknie, jak aniołowie; obawiam się jednak, że zresztą nie pięknego do domu ze sobą nie przywieziemy. Addio, bądź zdrowa, oświadczyć Ancę (*d' Nandl*) moje ukłony i niech się pilnie modli za mnie.

Kreślę się

Wolfgang Mozart.

30-go rozpocznie się opera, którą Gomeo skomponował. Królowę i króla widzieliśmy podczas odpustu w Portici, w kaplicy dworskiej, a i Wezuwiusz

widzieliśmy także. Neapol jest piękny, ale tak samo ludny, jak Wiedeń, Paryż i Londyn. Tylko, co się tyczy arogancji ludności, nie wiem, czy Neapol Londynu jeszcze nie przewyższa. Lazzaroni mają tu swego własnego przełożonego czyli naczelnika, który co miesiąc dwadzieścia pięć dukatów srebrem od króla dostaje, byle tylko Lazzaronów w karbach utrzymywał. Przy operze są tu Deamicisowie, byliśmy u niej i poznała nas odrazu. Drugą operę komponuje Cafaro, trzecią Cicio de Majo, a czwartą nie wiadomo kto jeszcze. Chodź pilnie do Mirabellu na litanie i słuchaj *Regina coeli* albo *Salve Regina*, śpij dobrze i niech ci się nie złego nie przyśni. Panu Schiedenkoferowi moje okrutne pozdrowienie: Tralaliera, tralaliera — i powiedz mu, niech się «Repetiter-Menuet'u» grać na fortepianie nauczy, ażeby go już nie zapomniał i ażeby do tego doprowadził, ażeby mógł mi sprawić przyjemność, ażeby mu z raz mógł zaakompaniować. Wszystkim drogim przyjaciółom i przyjaciółkom oświadczyć moje ukłony, i żyć zdrowa i nie umierać, ażebyś mi odpisać mogła, ażebym ja znów mógł Ci odpisać, i ażebyśmy wciąż robić to mogli, aż do skutku; niemniej ja pozostaję tynu, który to będzie robić, dopóki się to w końcu robić już nie da. Tymczasem kreślę się

Wolfgang Mozart.

— „*Krytyka*“, kwiecień. Artykuł wstępny pod tytułem *Skarłowacenie ideału* omawia wyniki ankiety p. Golińskiej, dotyczącej położenia robotnika, wykwalifikowanego w Krakowie; narzeka autor na upadek u nas prometeizmu... Warto byłoby wszakże postawić ten upadek w związku z tak bujnie rozwijającymi się chwastami duszy społecznej: pseudoestetycznym specjalnie galicyjskim i erotomanją. Dyalog p. S. Żeromskiego p. t.: *Godzina* oraz artykuł p. Sobieskiego p. t.: *Rola jezuitów w Polsce* (skrócenie), znane już są czytelnikom Królestwa z pism warszawskich. *Uprzemysłowienie Galicji* przez L. R. zaleca wprowadzanie do kraju obcych kapitałów. W dalszym ciągu ankiety o *Legendach* zaznaczymy głos p. Witkiewicza.

— „*Slovanský Přehled*“, marzec. P. R. Jesieńska daje krótką charakterystykę młodego poety ruskiego Bohdana Łepkiego (ur. 1872). Wydal on nowelle: *Z sęła* (1898), *Z życia* (1899), *Szczasływa hodyna* (1901), oraz poezye: *Striczki* (1901) i *Listki paduł* (1902). P. Wagner p. t.: *Ze současné tendenci poesie polské* daje bardzo sympatyczny rozbiór *Polonia Irredenta* p. Andrzeja Niemojewskiego oraz jego nowel zebranych w *Listopadzie*. — P. F. Vadsedálek charakteryzuje *Naukę chrześcijańską Leona Tottoja*. P. Černý daje *Mapę etnograficzną Dolnych Łużyc*. P. t. *Literatura polska w r. 1901*, Redaktor streszcza artykuł p. Chmielowskiego z Nru 1 naszego wydawnictwa — P. Łepkij kończy szkic o *Literaturze ukraińskiej w r. 1901*.

— „*Revue Occidentale*“, marzec. (4 Aristote, 114). Zeszyt rozpoczyna artykuł p. C. Billberg'a *Le positivisme et le Trade-Unionisme*. Wiązanie się robotników w stowarzyszenia pociąga za sobą pewne złe następstwa wśród których najważniejszym jest wywoływanie podobnych związków fabrykantów i stopniowe oddalenie jednych od drugich, kiedy interes obopólny, zarówno jak interes przemysłu wymagają przeciwnie zbliżenia. Autor proponuje dla usunięcia tej niedogodności związki fachowe, sprzyjające zbliżeniu obu stron na tle wspólnego interesu — udziału w jednej gałęzi produkcji. W artykule

p. t.: *Un chapitre de l'histoire du positivisme* przez p. A. Riti'ego, przedstawiającym historią skondensowanych wykładów doktryny pozytywistycznej w celu jej popularyzacji, spotykamy wśród działaczy na tem polu, nazwisko polskie: Karol Jundziłł był jednym z pierwszych popularyzatorów doktryny. Ogłosił on pracę swoją p. t.: *De la philosophie positive* w r. 1850 w jednym z czasopism. Młodzieniec ten, o którego zdolnościach wyraża się autor z wysokiem uznaniem, zmarł mając lat 23. Z innych artykułów wymienimy: *A propos de la guerre anglo-boer* przez J. Devot; *La crise morale et le positivisme* przez P. Gri-manelli oraz koniec artykułu *O uniwersytetach ludowych* przez p. Roussy.

NOWE KSIĄŻKI.

Andrzej Niemojewski: *Rokita*; poemat dramatyczny w 6-ciu aktach. Kraków, 1901, str. 171.

Rzecz tego poematu dzieje się, jak w misteryach średniowiecznych, w piekle i na ziemi.

Piekle zapełnione jest przeważnie halastrą dyabelską, rozmaitymi kuzymi, krętaczami, opętami, ale znajdują się tam również postaci wyższego rzędu, poważne a smutne — przetworzenia Byronowskiego Lucyfera — Zły i Nija. Zły prezentuje się nam wprawdzie z początku bardzo niepokaźnie, jest to kudłate dyablisko, przykute do skały łańcuchem, liże łapę i wyje: hau, hau! hau! — niebawem wszelako wyziera z niego strącony, zmiażdżony Tytan, który niegdyś myślą ogarniał rozległe widnokreśli, usiłował coś wielkiego zrobić dla ludzi, ale doznał strasznego zawodu, strącony został na dno piekła i obecnie już nie wierzy w możność uszczęśliwienia świata, bo jak jest teraz, tak zawsze być musi.

Nija (z mitologii polskiej wzięta) — to «latawica» — nie ujęte marzenie, widmo szczęścia, za którem ludzie gonią i... przepadają. Jak Zły reprezentuje Myśl złamaną, tak Nija — Uczucie zawiedzione i goryczą zaprawne, a stąd do deptania szczęścia cudzego pochopne.

Synem ich jest Rokita, którego charakteryzuje głównie uczucie litości dla wszelkiej niedoli, jakaś tkliwość nieukojoną, jakieś pragnienie ulżenia bólu wszystkim cierpiącym. Ale jest tu także odziedziczona po ojcu lotność myśli i buta; a po matce — usposobienie marzycielskie, oraz chęć działania.

Wrywa się on z piekła, kiedy tam przypadkiem przez nierozwagę jeden z dyabłów przypędził dusze sierot, które, prześladowane utopiły, się w rzece. Sieroty, które Zły kazał natychmiast wypuścić z piekła, pozostawiły po sobie woń fijołków, a te Rokicie przywiodły na pamięć niewyraźne wspomnienie dzieciństwa, kiedy z matką był na ziemi i wpada w dumanie:

Zali anioł świetlisty między nami gości
I z kwiatów swego serca tę cudną woń sieje?
Woń niewinności, mgliste obudza nadzieje
O jakichś lepszych światach, gdzie promyk pociechy
Padając na twarz, słodkie małuje uśmiechy,
Gdzie radość złotym blaskiem lica opromienia...
Słyszałem tam głęboko tajemne westchnienia;

Z najmroczniejszej otchłani sunę za tą wonią,
Za temi westchnieniami... Mrok rozgarniam dłońmi...
Szukam... Woń tę pamiętam. Gdzież poznał? Nie pomnę...
Lecz to wiem, że tam słońce płonęło ogromne,
I że dotąd tęsknota za niem łono pali...
Idźmy, szukajmy zuroku w pomrok, dalej, dalej!
Gdzieś muszą się rozstać gór ciemne wierzecholki...
Woń czuć, woń! To fijołki, uroczę fijołki!...

Napróżno Zły i Nija upominają Rokitę, napróżno ostrzegają, że tam na ziemi, gdzie świeci słońce, gdzie pachną fijołki, dozna samych cierpień, przesładowań, męczarni, i że nie w odwiecznym porządku rzeczy odmienić nie zdola. On nie może dłużej wytrzymać w mroku i duchy sierot owych podają mu ręce; na twarzy jego maluje się, dobywa z piersi głosu uniesienie. Pójdzie do słońca, na ziemię. Zły w strasznym gniewie każe krętaćcowi iść za Rokitą krok w krok.

Działalność Rokity na ziemi, określa autor, jako usiłowanie szerzenia światła wśród ludzi. Jako bakałarz wszechnicy Jagiellońskiej jest Rokita w połowie XVI wieku nauczycielem we wsi Wiśle. Zyskuje sobie miłość dzieci, których zaznajamia ze wszystkimi zjawiskami przyrody, postępując z nimi łagodnie, wyrozumiale i serdecznie. Ma też poważanie u starszych, bo im daje praktyczne rady gospodarskie i przemysłowe.

Naraża się atoli organiście, który go podejrzewa o herezję; istotnie bowiem Rokita unikał kościoła a dzieciom nie mówił o Bogu. To przeciwieństwo względem wiary, wyznawanej przez ludność, przeciwieństwo bierno tylko, bo nauczyciel nauk niezgodnych z religią nie głosił, wytwarza kolizję dramatyczną, skomplikowaną jeszcze miłością Krzysia względem nauczyciela; miłością nie poblogosławioną przez kościół. Krzysia jest rodzajem emancypantki XVI wieku, nie uznaje więzów zwyczajowych, chce być w całej pełni człowiekiem; przysięga, że w swoim gnieździe kacząt ludzkich nie wyłgnie i raczej w takie gniazdo plunie, nim z kokoszą da się zrównać.

Następstwa łatwo przewidzieć. Wieś się oburza; ksiądz wyklina i Rokitę i Krzysię, jako gorszyieli. Rokita podniecony, rozdrażniony, już dłużej w karbach umiarkowania utrzymać się nie może; zaczyna wobec tłumu głosić zasady radykalne. Nietylko Kościół, ale i szkołę nawet własną poczytuje za rzecz zmuszałą, która nie naprawy, lecz całkowitej odnowy wymaga. Wola więc w uniesieniu:

Co stary gmach poprawiać w stylach w pół zbutwiałych!
To dobre dla *mrzonkarzy*, tych głowaczy małych,
Co to się kamykami sądów w izbach bawia!
Tak!.. Dzieła nieudolne własnych twórców dławia,
Precz z niemi!..
Starego świata żadni zbawcy nie naprawią —
Zwalić go! Tak — a z gruzów wydzwignąć nanowo
Większy. — Zwalić, to wszystko naokoło, zwalić!
Instancje, kazalnice, cały ten gmach stary,
One ustawy, one wiary i niewiary,
Przeszłość i terażniejszość, wszelakie nadzieje,
Zwątpienia w ogień!.. Całe te jutrzejsze dzieje
W ogniu!..

Krzysię, która go w tym nieprzytomnym szale usiłuje hamować, odpycha brutalnie, mówiąc: «Mała jesteś, jak oni — Precz!» Krzysia widząc się wzgardzoną, a nie mogąc wrócić do swoich, topi się. Rokita zboląły; wtem tłum, w który wzmówiono, że Rokita zabił Krzysię, otacza szkołę i ma ją podpalić.

Za sprawą Niji i Kręcacza wraca Rokita do piekła, gdzie Zły i Nija usiłują go uspokoić, a zarazem przekonać, że najlepiej mu będzie wśród mroków.

Rokita jednak bynajmniej się nie zniechęcił swoim upadkiem; on odpocznie tylko, siły wzmoże i w innej zapewne postaci znowu zatęskni za słońcem, za światłem, za myślą i za szczęściem, znowu się zjawi wśród ludzi — i będzie wracał wciąż, wciąż, bez ustanku — piekło go nie powstrzyma. Bo słusznie mówi jeden z dyabłów, Opęt:

Nie lubię walki z myślą! Nieraz była w popiołach,
Spalona piorunami losu. Piekło zerka,
Zaciera łapy. Nagle w popiołach iskierka —
Budzi się — żyje... Nie, nie! Myśl — z nią nie zaczynać,
Można ją wieki dusić i w prochu hańby zginać,
W końcu dźwignie się zawsze!

Dlaczego Rokita jest synem Złego? Odpowiedź, że tak baśni ludowa twierdzi, nie wystarcza. Jest on reformatorem, a wszystkich reformatorów uważali prawowierni za heretyków, za wysłańców piekła; więc i on w pojęciu rutyny musiał być synem Złego. Nadto w jego działalności były pewne czynniki złe, mianowicie kiedy uniesiony namiętnością, drażniony oporem mas, uległych zwyczajom i poglądom tradycyjnym, stracił wiarę, rzucił się do burzenia przystykiego, odepchnął i zdeptał kochające serce. Są to zarazem naturalne przyczyny jego niepowodzenia, jego upadku. Ponieważ atoli sama zasada udoskonalenia, której był przedstawicielem, jest dobra i wielka, więc upadek jego nie jest stanowczym i nieodwołalnym; piekło go nie pochłonie. On z nowymi wzmocnionymi silami przyjdzie znów ideę swą urzeczywistnić.

Piotr Chmielowski.

Arcydziela polskich i obcych pisarzy. Wydawnictwo Feliksa Westa w Brodach, 1902.

Czytanie arcydzieł nie tylko zagranicznych, na język polski przełożonych, ale i swojskich, nie tylko z bardzo odległych czasów, ale nawet z wieku ubiegłego, przedstawia pewne trudności dla ludzi, którzy przystępują do nich bez specjalnego przygotowania.

Zarówno pojęcia, jak i sposób ich wyrażenia, mogą się wydawać nieprzystępnymi, niezrozumiałymi, niejasnymi tym, co obracając się wyłącznie tylko w kole dzisiejszych wyobrażeń i stosunków, nie umieją i nie mogą przenieść się myślą w inne czasy i w inne warunki.

Częstokroć nie tylko z ust młodzieży, lecz i z ust «inteligencji» dojrzałszej dają się słyszeć najdziwniejsze zdania o arcytworach wszechświatowych i ojczystych, zdania, polegające na zupełnem niemal niezrozumieniu ducha i formy dzieł, a wynikające z niesłychanie u nas zaniedbanego przygotowania do lektury samodzielnej. W szkole i w domu ćwiczą pospolicie uczniów

w rozbiorze gramatycznym na podstawie t. zw. *Wypisów*, t. j. krótkich urywków, nie dających (z wyjątkiem bajek, anegdot, przypowieści i pieśni lirycznych) najmniejszego wyobrażenia o całości utworów. Całkowitych dzieł nie czyta się w czasie szkolnym prawie zupełnie, a jeżeli się czyta jakie krótsze, np. *Wiesława, Jana Bieleckiego, Grażynę*, to się poprzestaje zazwyczaj na prostem odczytaniu, z dodaniem kilku ogólników o piękności tych poematów i o rodzaju poezyi, do którego się zaliczają. Układ utworu, stosunek części do całości, styl, akcja, charakter, nie bywają przedmiotem szczegółowego rozbioru. Uczeń, przyzwyczajawszy się do powierzchownego przebiegania dzieła, nie zadaje sobie trudu myślenia, nie kształci się pod względem estetycznym, nie przyswaja sobie zdolności wnikania w odmienne od dzisiejszych stosunki, a nawet po prostu nie uczy się poważnego zastanowienia nad tem, co czyta. Nie dziw, że potem wygłasza cudaczne opinie.

Przed 18 laty prof. Piotr Parylak, sprobował tym niewłaściwościami zaradzić, ogłaszając wydawnictwo *Arcydział poetów polskich z objaśnieniami*. Próba ta spotkała się z niezmiernie surową, a niezawsze słuszną oceną, tak, że autor wydrukował tylko trzy tomiki, obejmujące: *Maryę, Ojca zadżumionych i Treny* (Kochanowskiego), musiał swojej pożytecznej pracy zaniechać. Nie wiem, w jakiej ilości owe trzy tomiki się rozeszły; starałem się w swoim czasie zachęcić prof. Parylaka do wytrwania, wykazując zarówno ujemne, jak i dodatnie strony jego opacowań; widocznie jednak obawa strat materialnych zmusiła do zaniechania przedsięwzięcia.

Następcy przez czas długi prof. Parylak nie miał. Dopiero obecnie księgarz brodzki, p. Feliks West, podjął podobne, tylko na większą skalę obmyślane wydawnictwo p. t.: *Arcydziała polskich i obcych pisarzy z krytycznemi wstęпами i objaśnieniami*.

Wstępy wszystkie obrobione są mniej więcej według jednej modły. Najprzód podaje się życiorys autora cały, jeżeli do wydawnictwa wybrane zostało jedno tylko dzieło; jeżeli zaś wejść ma kilka, to w biografii uwzględniona bywa ta chwila, kiedy dany utwór powstał. Następnie wykazuje się «genezę» dzieła, t. j. pobudki skłaniające autora do napisania go, materiały użyte do obrobienia, korzystanie z pomysłów obcych i t. p. Dalej idzie rozbiór układu czyli kompozycyi, wraz z oznaczeniem jej zalet lub uchybień a z uwzględnieniem tych poglądów, jakie w sprawie układu panowały, kiedy dzieło było pisane. Ocena «charakterów» występujących w utworze, oraz ogólny nań pogląd, stanowią zakończenie wstępu.

Środkową część książki wypełnia tekst utworu, ile możności według najlepszych wydań wydrukowany; przyczem wiersze, czy poezyi, czy prozy są numerowane, głównie dla ułatwienia przytoczeń i objaśnień, które nie nieszczą się pod tekstem, lecz dopiero przy końcu książki. Objasnienia te mają na celu ułatwienie czytelnikowi należytego zrozumienia dzieła; są więc rzeczowe, słownikowe, gramatyczne i stylistyczne. Kto je odczyta i przyswoi sobie na własność duchową, ten nie doświadczy już trudności w czytaniu dzieła.

W ten sposób wydał p. West dotychczas pięć utworów: 1) *Maryę* Malczewskiego i 2) *Barbarę Radziwiłłównę* Felińskiego, w opracowaniu prof. Władysława Dropiowskiego; 3) *Konrada Wallenroda* Mickiewicza w obrobieniu

prof. Jana Gawlikowskiego; 4) *Lilę Wenedę* Słowackiego i 5) *Nieboską komedję* Krasieńskiego — z mojemi wstępami i objaśnieniami.

Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór zalet lub uchybień, jakie w poszczególnych opracowaniach dojrzeć można, stwierdzę tylko ogólnie, że we wszystkich pięciu książkach unikano wszystkiego, coby nazwać się godziło pedantycznym nadmiarem objaśnień, że we wszystkich pięciu książkach współczesna wiedza krytyczna została uwzględniona, i że z małymi wyjątkami język piszących jest poprawny i prawdziwie polski. Z czystym sumieniem każdemu, kto chce dokładnie poznać owe arcydzieła, zalecić można to ich wydanie. Na każdej książce znajdujemy objaśnienie, iż jest ona przeznaczona «do użytku szkolnego». Nie powinno to nikogo zrażać, bo wszystkie pięć podają *tekst całkowity*, bez żadnych wykreśleń, tak, jak w dziełach danego autora się drukuje; wstępy zaś i objaśnienia każdy nawet wyżej ukształcony może odczytać z korzyścią i zajęciem.

W programie wydawnictwa zapowiedziane są między innymi utwory Sofoklesa, Szekspira, Kalderona, Schillera, Moliera. Z całego serca życzymy jak największego powodzenia temu wydawnictwu, które odznacza się wielką taniością (30 centów za tomik), dobrym papierem i czystym drukiem.

P. Chmielowski.

Maryusz Zaruski: *Sonetny morskie. — Sonetny północne*. Kraków, 1902.

Autor zamknął w tym zbioru szereg wrażeń z wędrówek swoich po morzach, zwłaszcza północnych i po lądach dalekiej Północy. Kocha on ten olbrzymi żywioł, umie odczuć jego piękno i różnorodność tającą się w pozornej jednostajności, a bogate doświadczenie osobiste obok nowości u nas tematu przyczyniają się do nadania poezjom tym uroku świeżości. Tundra, zorza północna, jazda na jeleniach, epos samojedów, polarna noc, spotkanie z lodowcami, niemniej jak szereg scen z życia morskiego ogólnego — taki obfity a ciekawy materiał obejmują w sobie wdzięczne co do formy i poprawne co do języka sonety. Czytając je wszakże doznajemy żalu, że autor obrał formę wierszową, a przytem tak ścisła, dla zamknięcia w niej swoich wrażeń, które przez to samo musiały przybrać charakter urywkowy i często pozostać nierozwiniętymi. Sądzimy, iż opracowując je w formie wspomnień prozą pisanych, potrafi autor lepiej wyzyskać bogactwo swego doświadczenia i więcej da czytelnikowi obrazów jasnych i skończonych.

Aniela Szyca: *O zadaniach i metodach psychologii dziecka*. Lwów, 1901. Nakład autora.

Rozprawka obecna, będąca odbitką ze «Szkoly», powstała wskutek postanowienia sekcji psychologicznej na Zjeździe przyrodników i lekarzy w Krakowie w r. 1900. Wskutek referatu autorki na tym Zjeździe, sekcya postanowiła prosić ją o ułożenie krótkiego podręcznika dla obserwacyj nad dziećmi, któryby mógł służyć jako przewodnik dla nauczycieli szkolnych, domowych, rodziców etc. Książeczka obecna doskonale odpowiada temu zadaniu. Na 56-ciu stronach omawia ona jasno i gruntownie naukę o dziecku i jej znaczenie, metody badania w psychologii dziecka, dotychczasowe prace w tej dziedzinie swojskie i obce, wytyka plan dalszych badań w celu poznania umysłu dzie-

cinnego, daje przykłady kwestyonaryusza, wyczerpujące wskazówki praktyczne, bibliografią i t. d.

Fr. Drtina: *Myslenkový vývoj evropského lidstva*. Praha, Laichner, 1902, str. 390. — Cena K. 5-40.

Książka obecna stanowi treść wykładów, wygłoszonych przez znanego już naszym czytelnikom autora ¹⁾, w Extensyi Uniwersyteckiej czeskiej (Uniwersytecie ludowym). Należy ona do tych rzadkich w literaturze wszechświatowych dzieł, które zaliczyć można do zakresu *historii myśli* w szerokim znaczeniu wyrazu; w znaczeniu mianowicie obejmującym nie tylko wyrobione systematycznie i naukowo uzasadnione poglądy na świat umysłów szczytowych (co stanowi przedmiot historii filozofii), ale i poglądy ogółu oraz rozmaite czynniki na nie wpływające. Autor przebiega rozwój myśli europejskiej, jako przygotowanie idejowe życia umysłowego współczesnego, zaczynając od naturalizmu i racjonalizmu greckiego, a kończąc na dobie najnowszej. Zakreśla on szerokie koła, obejmujące dziedziny myśli, uczuć, przepisów i nakazów, aspiracyj i pragnień: religią i sztukę, narówni z obyczajem i prawem; myśli filozoficznej obok wierzeń potocznych.

Donoszą nam, że książka ta ma w niedługim czasie ukazać się w przekładzie polskim pióra p. Rudzkiej, która już dała poznać czytelnikom polskim jedną z mniejszych rozpraw autora. Z niecierpliwością oczekujemy przekładu tego, tak potrzebnego w naszej literaturze dzieła; po ukazaniu się zaś jego damy bardziej wyczerpujący jego rozbiór.

Księga pamiątkowa ku uczczeniu 25-letniej działalności nauczycielskiej Ludwika Źwiklińskiego. Lwów, 1902.

Tom ten wydany przez «przyjaciół i byłych uczniów» profesora Źwiklińskiego opuszczającego katedrę na Uniwersytecie lwowskim. Z licznych prac tu umieszczonych wymienimy te, które mogą interesować szersze koła czytelników. Są to: p. J. Dolnickiego *O winie tragicznej Sofoklesowego «króla Edypa»*; p. S. Schneidera *Dwa hymny anonimowe do Dyonizosa i do Apollina*; p. W. Barewicza *Demonologia nowoplatoników i Orygenesia*; p. A. Radeckiego *Pliniusz o życiu współczesnem rzymskiem*; p. T. Garlickiego *Z wycieczki na wyspę Thera* (archeologia). — Z rzeczy polskich znajdujemy niewydany *wiersz Korwina* (łaciński) — podany przez p. M. Jezienieckiego; *Ignacy Krasicki a reformy Komisji Edukacyjnej* przez p. T. Mandybura. — Wreszcie wśród przekładów podnieść należy pięknie tłumaczenie *Robót i dni Hezydoda* przez p. K. Kaszewskiego; urywek z *Żab Arystofanesa* przez p. F. Konarskiego; pieśń VII *Iliady* przez p. J. Czubka i *Porównanie Demostenesa z Cyceronem* przez p. K. Bronikowskiego.

¹⁾ Ob. «Pogląd na świat», luty b. r.

KORRESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Czy istnieje jakaś myśl przewodnia w *Emerycie* Korzeniowskiego?

Odpowiedź. *Emeryt* Korzeniowskiego należy do tej grupy powieści, których głównem zadaniem jest artystyczne odtworzenie postaci i scen życia powszedniego, codziennego, nie zajętego żadnemi wyższemi idejami. To też taki bystry krytyk, jak A. Tyszyński w ocenie *Emeryta* powiedział bez ogródki, że «żaden cel jakiś jawny dobitny, światowy, nie cechuje tej powieści». Nie znaczy to jednak wcale, by wogóle nie można było odnaleźć w *Emerycie* jakiejś «myśli przewodniej», gdyż bez takiej myśli, małej czy wielkiej, popolitej czy wzniosłej, żaden utwór artystyczny nie może tworzyć «organicznej całości». Ciche zwycięstwo biednej, niezbyt ukształconej, ale sercem żyjącej Kasi, nad wykwintną, dowcipną, zrečną, lecz zalotną panią Rożewską stanowi właśnie «myśl przewodnią» *Emeryta*, myśl bez wątpienia nie odznaczającą się znamieniem świeżości, owszem nieraz już w powieścio-

pisarstwie obcem i naszym przeprowadzoną, ale bądź co bądź myśl, która spaja w całość różnorodne części opowiadania. Postać pani Rożewskiej, postać starego wysłużonego filologa, wreszcie kilka świetnych opisów (np. kontraktów kijowskich) — oto główne plastyczne zalety *Emeryta*.

P. Chmielowski.

Pytanie. Czy nie istnieje jaka praca, przy pomocy której możnaby poznać *Treny* Kochanowskiego?

Odpowiedź. Poznać *Treny* Kochanowskiego bardzo łatwo, gdyż istnieją dwa ich przystępne wydania ze wszelkimi pożądanymi objaśnieniami i rozbiorem estetycznym. Jedno z nich ogłosił Felicjan Faleński w Warszawie r. 1866; drugie zaś Piotr Parylak we Lwowie r. 1885. Niebawem ma się ukazać trzecie, obrobione przez Zygmunta Paulisza w wydawnictwie Feliksa Westa w Brodach p. t.: *Arcydzieła polskich i obcych pisarzy*.

P. Chmielowski.

LIST OTWARTY.

Lwów, dnia 3 kwietnia 1902 r.

Szanowna Redakcyo!

Ośmielam się przesłać do dowolnego użytku następujących kilka uwag:

Matematyk angielski, John Perry, krytykując w jednym z ostatnich Nrów czasopisma «Nature» (z 27 marca b. r.) metodę nauczania matematyki w Anglii, opowiada następującą znamienną bajkę:

«Pastuch świń Ho-ti i jego syn Bo-bo odkryli wyśmienitość pieczonej wieprzowiny przez pożar swego domostwa; i oni i ich sąsiedzi i wszelki mandaryn w Chinach, który studyował tę sprawę, sądzili, że było niezbędnie potrzebne spalić dom, jeżeli ktoś życzył sobie pieczonej wieprzowiny. I tak powstał w kraju kult palenia domów, lecz po wielu generacjach przybył tam mędrzec imieniem Pel-li, który wykazywał każdemu, że wcale niema potrzeby

palenia domów, gdy zwykle ognisko domowe zupełnie wystarcza. I on i wra-
stająca liczba jego uczniów byli przedmiotem zazdrości, aż skarga o bezboż-
ność została wytoczona przeciw niemu. I ze wszystkich stu oskarżycieli Pel-
li'ego, wszystkich mandarynów wysokiego stopnia, każdy był absolutnie pe-
wnym i przekonanym, że istotnie było bezbożnością piec wieprzowinę bez
palenia domów, i tak Pel-li i jego wyznawcy zostali ukrzyżowani.

Czyż nie łatwo dopatrzeć się uderzającej analogii między powyższą chiń-
szczyzną a metodami pedagogicznymi, stosowanymi przez naszych «mandary-
nów wysokiego stopnia»?

Z uszanowaniem

Rudolf Zuber,
Prof. Uniwersytetu.

KRONIKA.

— We Lwowie powstało Towarzy-
stwo w celu założenia prywatnej **Szkoły**
Nauk politycznych, mającej wykłady
w ciągu czterech miesięcy w tem mie-
ście; w lecie zaś dwa miesiące w Zako-
panem. Zadaniem jej ma być popula-
ryzacja nauk społecznych i polity-
cznych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wna Z. L. w Torczynie.* Patent
z 8-miu klas gimnazjalnych wystar-
cza nie tylko do wstąpienia na kursa
Baranieckiego (które o wiele skro-
mniejsze stawiają wymagania), ale i na
Uniwersytet w roli «hospitantki», z pra-
wem przejścia na stanowisko «stu-
dentki zwyczajnej» po złożeniu uzu-
pełniających do matury egzaminów
(z łaciny i greckiego), co też wiele pań
tu czyni.

— *Wny X. N. w Paryżu.* Artyku
w Nrze marcowym *Bulletin Polonais*,
podpisany «Ladislav Malinowski» jest
istotnie plagiatem artykułu p. Chmie-
lowskiego, umieszczonego w Nrze 1
«Poglądu na świat» za r. b. — Czy
Redakcyja *Bulletin'a* mogła być nie-
świadomą plagiatu? Trudno to przy-
puścić, gdyż otrzymuje wydawnictwo
nasze na zamianę.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

G. Lechalas: *Études esthétiques.* Pa-
ris, Alcan, 1902. — Cena 5 fr.

L. Couturat: *Sur la méthaphysique*
de Leibniz, avec un opuscule inédit.
str. 24.

G. Rivière: *L'age de la pierre.* Paris,
Schleicher frères, 1902, str. 184. —
Cena 2 fr.

W. Feldman: *Na posterunku* (Szkice
publicystyczne). Lwów, 1902.

R. Zuber: *Zadania i metody geologii.*
Odczyt (odbitka z «Wszczęhwiata»).

Warszawa, 1901, str. 33.

Dr Zofia Daszyńska-Golińska:
Nauka o ludności. Nakł. M. Arcta
w Warszawie.

SŁÓWKO O CHARAKTERACH NARODOWYCH.

Przed kilku dniami mieliśmy sposobność usłyszeć następujące zdanie z ust najgłośniejszego dziś profesora psychologii:

— Powiadają powszechnie, że z charakteru jesteście panowie zbliżeni do francuzów. Co do mnie, to miałem sposobność obserwować jednostki z najrozmaitszych pochodzące narodowości w liczbie pracujących w ciągu kilkunastu lat w tem laboratorium, a zauważyłem wśród każdej taką różnorodność charakterów i usposobień, że naprawdę wątpić zaczynam, czy istnieje coś takiego, jak charakter narodowy.

Jednakże, pomimo tej tak dobrze uzasadnionej wątpliwości, faktem jest, iż rozróżniamy charaktery narodów, iż możemy je nawet dosyć trafnie ująć w pewne rysy ogólne; niemniej też faktem jest owo oddawna uczynione spostrzeżenie podobieństwa z tego stanowiska polaków do francuzów, podobieństwa, któremu zawdzięczamy przydomek: *les français du nord*.

Psychologia ludów jest umiejętnością istniejącą zaledwie z nazwy. Trudno jest nawet znaleźć jakieś podstawy pojęciowe dla niewątpliwego faktu spostrzeżenia, że rozrzutnik - francuz ma więcej cech wspólnych ze skąpcem francuzem, niż z rozrzutnikiem niemcem lub anglikiem. To podobieństwo, ta jednostajna pieczęć narodowa daje się dostrzedz zarówno w narodach, jak tylko co wymienione, które są wytworzone przez mieszaninę ras, a więc nie spoczywa na pewnej wspólnej podstawie dziedzicznie - fizyologicznej, lecz jest raczej wytworem historycznym, wynikiem nasiąknięcia pewną wspólną kulturą. Nie umiemy też inaczej, jak drogą intuicji pokrewnej raczej z taktem psychologicznym poety, niż z pracą pojęciową uczonego, odtworzyć rysy charakterów

narodowych. Niemniej wszakże czytamy nieraz charakterystyki, które uderzają nas odrazu trafnością i poprawnością swoją.

Do rzadkich prób połączenia tej intuicji z myślą pojęciową dla wyvodu cech narodowych, należy rozprawka pisarza bardzo płodnego w zakresie socjologii p. Raoul de la Grasserie p. t.: *De l'individualisme et de ses conséquences chez les Anglo-Américains*. Autor jej przeciwstawia najsamprzód typ narodów indywidualistycznych (jakimi są Anglicy i Amerykanie) innym, które nazywa narodami towarzyskimi (*sociétaristes*). Różnica zasadnicza pomiędzy obu polega na tem, że jednostki z narodów o typie indywidualistycznym, wchodząc do organizacyj społecznych, pragną pozostawić sobie jak największą możliwą wolność, oddając społeczeństwu tylko ściśle tyle, ile jest niezbędnem dla zachowania reszty. Innemi słowy: pragną *jak najmniej rządu*. Prawo jest jedynie tolerowane, jako środek obrony przeciwko zamachom indywidualistycznym u współobywateli. Narody przeciwnego typu (do których zalicza Francuzów) odznaczają się tą cechą, że jednostki ich pragną wchodzić w skład całości, opierać się niejako na niej, reprezentować ją na wet w swoim życiu indywidualnem.

Z wielką bystrością wyprowadza następnie autor cechy charakteru narodowego Anglików i Amerykanów, ich instytucje polityczne, ich dzieje, cały wreszcie typ ich kultury, wykazując zarazem — mniej szczęśliwie może, lecz z niemniejszą subtelnością spostrzeżenia, źródła wielu wad narodowych Francuzów w owem spozywaniu jednostki na ogóle, w owem ciągłym pragnieniu odwołania się do niego.

Aby ocenić charakter narodowy Anglika lub Amerykanina z tego stanowiska jego niezależności osobistej, weźmy go w warunkach, gdy zostaje od ogółu oddalony, a więc w podróży na przykład. Odosobnienie od współrodaków nie pozbawia go bynajmniej tej pewności siebie, którą jednostki, należące do narodów towarzyskich, posiadają jedynie wtedy, gdy czują, iż mają za sobą ogół. — Anglik czuje się w domu wszędzie. Nie troszczy się o otoczenie, ani stara się z niem zbliżyć. Jeśli podróżuje z rodziną, na niej skupia całą uwagę; jeśli sam — na sobie tylko. Nie troszczy się o to, aby przystosować się do nowego otoczenia: zostaje wszędzie sobą samym; nie robi sobie nic z nikogo. Stąd ta opinia oryginalności, która go nie odstrasza, której wszakże nie poszukuje. W krajach najbardziej niewolniczo ulegających modzie i zwyczajowi, nie waha się postępować wbrew ich przepisom;

lecz nie czyni tego dla ostentacji, tylko w imię zdrowego rozsądku i praktyczności. W jakiegokolwiek sytuacji ekonomicznej, jest zawsze dumny, pracowity, obstający energicznie o to, co mu się należy, nie aspirujący do pieczonych gołąbków, spadających z nieba (przypomnijmy tylko straszny wyzysk ludu przez loterye w krajach łacińskich i u nas), lecz zawsze ofiarujący pracę w zamian zysku. W stosunkach handlowych jest uczciwym przez poczucie interesu — jest to może najpewniejszy rodzaj uczciwości. W polityce dąży bezwzględnie do urzeczywistnienia własnych korzyści, lecz pozwala innym czynić to samo. W religii jest zwolennikiem kultu wolnego, pozbawionego ostentacyjności, racjonalistycznego raczej niż uczuciowego. W stosunkach towarzyskich jest poprawny w najwyższym stopniu; jest wogóle pozytywny; opiera się zawsze o przeszłość, lecz tylko własnego narodu, a nie przestraszają go najbardziej krańcowe ideje innowacyjne, jeśli przedstawione są w postaci praktycznej. Jest ludzki wogóle, lecz świat poza granicami cywilizacji europejskiej uważa za własność swoją i «na więcej poszanowania dla kawy i herbaty, niż dla tubylców, którzy je uprawiają».

Ta zdolność obchodzenia się bez swego społeczeństwa, czyni zeń kolonizatora potężnego, a odosobnienie wytwarza egoizm. Nawet kult dla siły fizycznej i ćwiczenia fizyczne, którym tak chętnie się oddaje, tłumaczą się chęcią uzdolnienia się do obrony własnej. Anglik tak dalece chce być panem u siebie, że nie przyjął propozycji tunelu podmorskiego, któryby go połączył z Europą. W rzeczywistości podróżny, który przebywa całą Europę, nie znajduje nigdzie, pomimo różnic rasowych i kulturalnych jej ludów tyle odrębności, ile go uderza po przebyciu Lamanche'a: tu dopiero staje wobec świata odrębnego, tak odmiennego, jak gdyby wyspa, na której się znalazł, była oddzielona od lądu całym oceanem. A przebywając dalej ocean Atlantycki, znajduje przeciwnie — prawie wszystko bez zmiany u pobratymców anglików na lądzie amerykańskim.

Do gromady ludów towarzyskich (*sociétaires*) należą wszystkie łacińskie i pozostałe z rasy germańskiej; należeli do niej grecy i rzymianie. Jako typ, maluje autor charakter francuza, którego zna najlepiej oczywiście. Wystawmy sobie francuza w podróży lub na obczyźnie: czuje się on wykolejonym, gdyż został odezwany od tego otoczenia, z którym przywykł obcować, spoczywać na niem. Stąd też płynie jego wstręt do kolonizacji. Nie wy-

starcza mu życie osobowe. Żyje on po to, by pokazać się sąsiadom, kiedy Anglik zadawał się tem, że sam siebie ogląda. Dlatego też Francuz częściej bywa wspaniałomyślnym względem innych narodów, nie tyle przez bezinteresowność ile przez próżność. W religii ceni przede wszystkim stronę obrządkową; w polityce — zaszczyty. Jest prędzej podmiotowy niż przedmiotowy. Mówi wiele złego o przeszłości swego narodu, lecz nie śmie wykroczyć poza nią, chyba w chwilach gwałtownych, a których żałuje następnie. Naśladuje często innych (zwłaszcza Anglików, od których zapożyczył parlamentaryzm i sąd przysięgłych), lecz nie przyznaje się do tego, jak również nie przyznaje się, że zapożyczył prawo swe od Rzymian. Może żyć tylko w towarzystwie, co go czyni świętym we wszystkich rzeczach towarzyskich i bardzo uległym wpływom wymowy. Jest twórcą mody, którą często zmienia, i której ulega niewolniczo. Lubi wszelkie funkcje publiczne, gdyż dają mu sposobność wystąpienia wobec ogółu, gdyż są wreszcie objawem państwowości, którą ceni przede wszystkim. Dlatego też większą część życia poświęca gonitwie za niemi, uważając najmniejszy odłam władzy publicznej za rzecz bardziej wartościową, niż największa doskonałość osobista. Dlatego też i politykę uprawia nie tyle ze względów praktycznych, lecz raczej jako gimnastykę społeczną i jako pole do popisu teatralnego. Poszukuje względów, jako szczytu grzeczności; pracuje zaś jedynie z obowiązku. Odosobniony, traci większą część swoich sił, które ujawniają się głównie w hałaśliwych starciach. W rozwoju państwowym Francuz dąży do zwiększenia stopniowego władzy państwowej.

Nie będziemy śledzili za wywodem całych dziejów wewnętrznych Anglii i jej instytucyj z panującego w niej ducha indywidualizmu. Weźmiemy tylko parę przykładów, aby wykazać, ile słuszności jest, bądź co bądź, w takim przeciwstawieniu charakterów narodowych.

Instytucja przysięgłych w Anglii jest jednym z objawów niechęci do ulegania sądowi wyższej potęgi społecznej; nie jest ona tylko gwarancją wolności osobistej, gdyż sąd przysięgłych stosuje się również i w sprawach cywilnych. Anglik indywidualista nie chce ulegać innemu sądowi, jak tylko osób prywatnych, przez niego wybranych.

Z tegoż indywidualizmu, jako przywiązania do tego, co swoje, płynie również przewaga prawa zwyczajowego, a oporność wzglę-

dem prawa rzymskiego. Dążność do wytworzenia swego *home* (ogniska rodzinnego), które jest jego *castle* (zamkiem obronnym) wobec państwa; nieobecność biurokracji; samodzielność w interpretacji pisma, jako podstawa religii; niezależne stanowisko kobiety, wszystko to tłumaczy się tym indywidualizmem charakteru, opartym na poszanowaniu równych praw innych jednostek i w nim znajdującym swoje granice¹⁾; indywidualizmem nie mającym nic wspólnego z doktryną pasożytnictwa lub rabunku, propagowaną pod tą nazwą przez niektórych pisarzy współczesnych.

Zanim przejdziemy do wniosków z tego zestawienia, przytoczymy jeszcze ciekawą paralelę, dotyczącą wpływu i rodzaju wymowy na każdy z wymienionych typów. Francuz chętnie poddaje się wymowie, daje panować mówcy nad sobą, gdyż jest to objaw społeczny. Przeciwnie, Anglik słucha cierpliwie; lecz od czasu do czasu wraca do siebie; stawia zarzuty, oburza się w głębi ducha, odgradza się od mówcy baryerką swojej autonomii; tamten znowu, czując tę nieprzenikliwość dla frazesu, ogranicza się do tego, co konieczne, waży słowa: teraz już słuchacz idzie za nim, wchłania istotną treść mowy, przyjmuje wszystko, co zgadza się z jego przekonaniem, dodaje co zostało pominięte, przekonywa sam siebie z powodu mowy.

Łatwo dostrzedz, że w tej paraleli dwóch charakterów narodowych autor nie jest zupełnie bezstronny: wytyka on przeważnie dodatnie strony, płynące z niezależności charakteru osobistego w narodach indywidualistycznych, z drugiej zaś strony przeciwstawia im wady wynikające z zależności od ogółu w ludach bardziej towarzyskich. Ktoś powiedział podobno, że wszystkie cnoty i wady Francuzów płyną z próżności; portret duchowy współrodaków swoich, dany przez autora, jest tylko rozwinięciem tego twierdzenia; a czemuż jest próżność, jak tylko owocem zbytniego przywiązywania wagi do oceny i sądu innych?

Chcąc być bardziej bezstronnym, a przede wszystkim ściślejszym, musiałby autor rozróżnić *charakter niezależny* (indywidualistyczny) od *instytucyj indywidualistycznych*. Pierwszy jest wynikiem wychowania jednostki, przy potężnym współdziałaniu czynników społecznych, rozumie się, i staje się źródłem tych zalet, które tu były podniesione. Drugie tkwią w organizacji społecznej i pań-

¹⁾ Ob. *Indywidualizm i jego granice* w Nrze 2 pierwszego rocznika naszego wydawnictwa.

stwowej ludów anglo-amerykańskich i są źródłem wielu wad, nad którymi przy najbliższej sposobności dłużej się zatrzymamy. Gdybyśmy więc z zestawienia rozmaitych typów narodowych chcieli wysnuć jakiś przepis praktyczny, moglibyśmy go tak sformułować: *jak największy rozwój samodzielności jednostki w wychowaniu, jak największe uspołecznienie w instytucjach.*

Nie to wszakże stanowi cel nasz w chwili obecnej. Oto chcieliśmy tylko skorzystać z trafnej niewątpliwie charakterystyki psychologicznej dwóch typów: indywidualistycznego i towarzyskiego, aby czytelnik mógł zestawić z nimi obraz psychologiczny naszego narodu, a w ten sposób odpowiedzieć na często stawiane dziś pytanie: czy jesteśmy naprawdę z charakteru narodem indywidualistycznym?

Może niekoniecznie pochlebne wyda się niejednemu owo podobieństwo przysłowiowe polaka do francuza po przytoczonej wyżej paraleli; wszakże tem trudniej da się ono zaprzeczyć. Nie to zresztą jest ważnem, czy charakter pewnego narodu z natury jest takim czy innym. Główną rzeczą jest, aby nie podnosić wad i nalogów do godności zalet i cnót, pod tym pozorem, iż są cechami narodowymi; a czy przyznamy pewne cechy za indywidualistyczne, czy za towarzyskie, skoro tylko bez uprzedzenia ocenimy ich wartość rzeczywistą, potrafimy je wykorzystać, jeśli są wadami, rozwinać, jeśli są cnotami. Niezbędnymi wszakże ku temu warunkami: sąd krytyczny i wytrwała praca.

Nie przestajemy być sobą, odcinając chorobliwe latorośle naszego charakteru; tylko to bowiem, co aprobujemy w sobie wewnętrznie, co zgodne z ideałami naszemi, należy do istoty jaźni naszej.

ZE ZDOBYCZY PRZYRODOZNAWSTWA.

ELEKTRYCZNOŚĆ ATMOSFERYCZNA W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH TEORYJ

Teorya jonów i elektronów, o której podaliśmy wiadomość w pierwszym numerze tegorocznym naszego pisma, prowadzi nas także na pole elektryczności atmosferycznej.

Gdy Wall przy tarcie znacznej bryły żywicznej po raz pierwszy dostrzegł żywszą nieco iskrę i huk usłyszał silniejszy,

wniósł zaraz, że iskra ta i ten huk na drobną skalę błyskawicę i grzmot stanowią, doświadczalne jednak potwierdzenie tego poglądu zawdzięczamy Franklinowi, któremu przypada chwała twórcy nauki o elektryczności atmosferycznej. Od chwili tej półtora już stulecia upłynęło. Inne gałęzie wiedzy, których początek sięga tejże samej epoki, zdążyły przez ten czas rozwinąć się i wyolbrzymić; elektryczność atmosferyczna pozostała skromnym i niejasnym ustępem nauki. Meteorologia pomija ją niemal zupełnie, zwracając na nią uwagę o tyle tylko, o ile ujawnia się w grozie błyskawicy i grzmotu; fizyka drobną ledwie jej kartkę poświęca. Zapominać o niej jednak nie należy.

Franklin wiedział już, że «płyn elektryczny jest przyciągany przez ostrza przewodników metalowych»; jeżeli więc chmura zięjąca błyskawicą jest siedliskiem tegoż samego płynu elektrycznego, to pręt wysoki, na wieży osadzony, powinien płyn ten ściągać; jeżeli nadto pręt ten będzie odosobniony, to zbliżając doń jakikolwiek przewodnik, wydobywać z niego będziemy potężną iskrę. — Doświadczenie to, wskazane przez Franklina, wykonał Dalibard, tłumacz dzieła Franklina na język francuski, Franklin zaś sam zmienił je w ten sposób, że w miejsce pręta użył latawca, trzymanego zapomocą sznura konopnego, który w dolnej części przechodził w jedwabny. Elektrycznością ściągniętą z chmur ładował Franklin butelki lejdejskie i powtarzał inne, wówczas znane doświadczenia elektryczne.

Potężne skutki tych doświadczeń zwróciły uwagę na ich niebezpieczeństwo, aż nadto dowodnie stwierdzone śmiercią Richmanna w Petersburgu; badając stan elektryczny pręta żelaznego podczas burzy, zabity został iskrą, która z pręta przeskoczyła ku jego głowie. Nieszczęśliwe to doświadczenie powstrzymało na długo fizyków od podobnych obserwacyj.

Wkrótce po pierwszych doświadczeniach Dalibarda okazał Lemonnier, że pręt metalowy nawet i w czasie zupełnie pogodnym stawać się może tak silnie elektrycznym, że iskry z niego dają się wydobywać. Nauczyło to, że powietrze i w zwykłych warunkach jest naelektryzowane, a bliższe badania wykazały, że przy niebie pogodnym naelektryzowane jest zawsze dodatnio. Ponieważ zaś ziemia zachowuje się jako przewodnik elektryczności, wypływa już stąd, że w tych warunkach powierzchnia ziemi naelektryzowana jest ujemnie; pomiędzy ziemią zatem a atmosferą istnieje różnica potencjału.

Potencjał wyobraża jakby zdolność pracy, siłę prężną, energię potencjalną. Wyobraźmy sobie ciało naelektryzowane dodatnio i dajmy, że ku temu ciału zbliża się z odległości nieskończeni wielkiej jednostka elektryczności również dodatniej. Ponieważ ciała jednoimiennie naelektryzowane wzajemnie się odpychają, powyższe przeto zbliżenie dokonać się może jedynie nakładem pracy i ta właśnie praca, do zbliżenia tego potrzebna, stanowi potencjał ciała naelektryzowanego w owem miejscu, do którego jednostka elektryczna doprowadzoną została. Oczywiście więc, im punkt uważany bliższy jest danego ciała, tem potencjał jest większy. Łatwo też wnieść można, że istnieją powierzchnie, na których rozłożone punkty mają potencjał jednaki; są to powierzchnie równego potencjału, ekwipotencjalne, albo też powierzchnie poziomowe.

Ostatnia ta nazwa wyprowadzona jest z analogii do działania siły ciężkości. W tym bowiem razie powierzchnie poziome, a przynajmniej ich części, przedstawiają istotnie płaszczyzny poziome, kierunek zaś sił działających jest pionowy, do tych samych płaszczyzn prostopadły. Przesuwanie ciała z płaszczyzny niższej do wyższej wymaga nakładu pracy, przy przenoszeniu ciała na poziom niższy praca zostaje wytworzoną, ale przesuwaniu ciała po poziomie, siła ciężkości żadnego nie stawia oporu, nakładu zatem pracy ruch taki nie wymaga. Tak samo właśnie przenoszenie masy elektrycznej po powierzchni ekwipotencjalnej pracy nie pochłania. Nawzajem też praca przez dwa ciała naelektryzowane wtedy tylko wykonana być może, gdy zachodzi różnica potencjałów, a ta różnica właśnie stanowi siłę elektrowzbudzącą. Siła więc elektrowzbudząca mierzy się różnicą potencjałów, w dalszym ciągu zatem pracą.

Pierwszem zadaniem tej części meteorologii, która zajmuje się stosunkami elektrycznymi atmosfery, jest oznaczenie różnicy potencjalnej między danem miejscem atmosfery a powierzchnią ziemi. Badania prowadzone głównie przez Mascarta, Thomsona, Palmieri'ego, Exnera, nauczyły, że potencjał przy niebie pogodnem doznaje przyrostu w miarę, jak wznosimy się w górę, chociaż wielkość tego przyrostu ulega często znacznym zmianom, przy powietrzu nawet spokojnem. Natomiast, gdy przyrząd obserwacyjny przesuwa się w kierunku poziomym, choćby w płaszczyźnie bardzo rozległej, dostrzedz się nie daje żadna zgoła zmiana potencjału, skąd wynika, że ruch ten odbywa się w powierzchni

jednakowego potencjału, czyli że powierzchnie te stanowią płaszczyzny poziome, równoległe sobie. Ponad wyniosłościami ziemi powierzchnie jednakiego potencjału również się w górę podnoszą, czyli biegną za skrzywieniami ziemi. Przebieg taki wszakże ujawnia się tylko, gdy niebo jest pogodne, a powietrze spokojne.

Nasuwa się, oczywiście, pytanie, jaki cel mieć może znajomość takich powierzchni i dochodzenie ich przebiegu. Krótko powiedzieć można, że dla nauki o elektryczności atmosferycznej przedstawiają znaczenie toż samo, co linie jednakiego ciśnienia barometrycznego czyli izobary dla meteorologii, a linie jednakiej temperatury średniej, czyli izotermy, dla klimatologii, — stanowią mogą podstawę dla dalszych badań teoretycznych.

Wraz z doskonaleniem przyrządów mierniczych elektrycznych, ulepszały się i metody badań elektryczności atmosferycznej. Podobnie, jak przy śledzeniu innych elementów meteorologicznych, pożądaną pomoc dają przyrządy samopiszące, które w miejsce mozolnych i w pewnych tylko odstępach czasu prowadzonych dostrzeżeń, same notują ciągły bieg zjawiska i wszelkie zmiany jego natężenia. W przyrządzie samopiszącym Mascarta za przyrząd mierniczy służy elektrometr Thomsona, a ruchy jego igielki fotografują się na stosownej płytce.

Ogół obserwacyj uczy, że wznoszenie w górę przyrządu elektrometrycznego wskazuje zawsze, jak już powiedzieliśmy, wzmaganie się potencjału powietrza. Podczas pogody dostrzegł Wiliam Thomson między powierzchnią ziemi a warstwą powietrza wyniesioną na 9 stóp ang. różnicę potencjału, wynoszącą 430 woltów (jeden wolt odpowiada mniej więcej sile elektrowzbudzającej ogniwa Daniella). W jednym i tem samym miejscu i w jednej wysokości potencjał powietrza zmienia się w różnych godzinach dnia, a średni stan elektryczny dzienny zmienia się z porami roku. Przy niebie pochmurnem, jeżeli deszcz nie pada, elektryczność powietrza jest zawsze dodatnia, słabsza wszakże, aniżeli w czasie pogody; okres jej także mniej jest wybitny.

Podczas deszczu rozkład elektryczności staje się bardziej zażyły; występują wtedy naprzemian strefy silnej elektryczności dodatniej i ujemnej, przeskoki od znacznych wartości dodatnich do ujemnych szybko po sobie w jednym miejscu następują, a część wolnej elektryczności znoszą z powietrza na powierzchnię ziemi kropki deszczu lub płatki śniegu. Jeżeli w pewnym miejscu zachodzi szybki rozwój chmur, to elektryczność wywiązuje się tak

obficie, że z konduktora trzymanego w górze wydobywać można silne iskry.

Gdy zwrócimy się teraz do pytania, jaki jest początek, jakie są źródła tej elektryczności atmosferycznej, napotykamy wprowadzić znaczną ilość domysłów i hipotez różnych, żadna wszakże z podanych teorii kwestyi tej stanowczo nie rozwiązała. Jedni dostrzegali źródło elektryczności atmosferycznej w parowaniu wody, inni w jej skraplaniu. Według jednych, ziemia obdarzona jest pewną ilością elektryczności ujemnej, która nie doznaje zmiany ilościowej, ale ulegać może rozmaitemu rozkładowi; według innych wpływ znaczny na wytwarzanie elektryczności atmosferycznej wywiera słońce. Nahrwold sądzi, że elektryczność ma siedlisko w cząsteczkach pyłu, które w niezliczonej ilości powietrze wypełniają; Sohnke zaś źródło jej dostrzega w tarcu cząstek wody i lodu, unoszonych przez górne warstwy powietrza.

Każdy z tych i innych jeszcze pomysłów opierał się na podstawie faktycznej wprawdzie, ale nie dosyć ogólnej, by starczyła do ujęcia tak wielkiego objawu przyrody ziemskiej, jakim jest elektryczność atmosferyczna. Gdy więc teraz widnokrąg rozleglejszy rozwarła nowa teoria jonów, pospieszono odwołać się do niej i w tej dziedzinie; przedstawimy tu treść tych badań, przeprowadzonych głównie przez Geitela i Elstera.

Widzieliśmy już¹⁾, że gazy w różnych warunkach stają się przewodnikami elektrycznymi, a przenoszenie w nich elektryczności, podobnie jak w elektrolitach, dokonywa się za pośrednictwem jonów; taka zaś «jonizacja» powietrza, czyli wytwarzanie się w niem jonów swobodnych, może być źródłem elektryczności atmosferycznej.

Jonizacja powietrza wywołana być może łatwo działaniem skrajnych promieni pozafioletowych, które ulegają pochłanianiu już w cienkich jego warstwach. Jeżeli więc światło słoneczne promienie tego rodzaju zawiera, to zatrzymywane są już na kresach atmosfery, przyczem rozwijają się tam jony, które przez dyfuzję schodzą aż do powierzchni ziemi. Niezależnie od tego, doświadczenia nauczyły, że w każdej objętości powietrza, oddzielonej nawet od związku z atmosferą otaczającą, wywiązują się bez żadnej podniety zewnętrznej jony, których ilość zależy od ciśnienia i temperatury; powiększanie się ilości jonów powietrza w zamkniętej

¹⁾ Ob. zeszyt styczniowy.

przestrzeni przerywa się w chwili, gdy takąż sama ilość jonów w oznaczonym czasie wiąże się w cząstki obojętne, ile ich w tymże czasie na nowo się tworzy.

Skoro więc w atmosferze jony takie rozwijać się mogą, przypomnieć sobie tylko potrzeba, że jony ujemne posiadają ruchliwość większą, aniżeli jony dodatnie, by pojąć źródło elektryczności atmosferycznej. Przebiegające szybko jony ujemne ładunek swój elektryczny znoszą wciąż na powierzchnię ziemi, gdy powietrze elektryzuje się dodatnio od pozostających w niem jonów dodatnich; kres zaś tego działania ma znowu miejsce, gdy pod wpływem wzrastającego ładunku ujemnego ziemi, przebieg opieszalych jonów dodatnich tak dalece się przyspiesza, że dalszy dopływ jonów ujemnych ulega zubożeniu. Ponieważ zaś elektryczność ujemna, skoro na ziemię przejdzie, na powierzchni jej wszędzie rozpościerać się może, przeto ubytki jej w danym miejscu wciąż się wynagradzają, a stąd ogólny ładunek ujemny ziemi pozostaje stateczny. Natomiast natężenie pola elektrycznego w danym miejscu, czyli spadek tam potencjału elektryczności atmosferycznej, zależy od warunków lokalnych, od ukształtowania powierzchni ziemi i od ilości unoszących się jonów swobodnych w rozpościerającym się nad nią powietrzu.

Nie jest to zapewne jeszcze teoria w szczegółach wykończona, nie może zwłaszcza zdać dotąd sprawy z okresu dziennego i rocznego elektryczności atmosferycznej, nie wiemy bowiem, czy i obfitość jonów podczas pogody podobnej ulega zmienności, natomiast jednak ująć się dają lepiej zakłócenia elektryczne, występujące przy opadach.

Doświadczenie wykazało, że gdy powietrze wolne od pyłu i nasycone parą wodną zostaje sztucznie najonizowane, to po oziębieniu wypełnia się kropelkami mgły. Z dawniejszych doświadczeń Aitkena wiadomo, że mgła rozwijać się może jedynie, gdy w powietrzu unoszą się cząstki pyłu, na których gromadzą się kropelki wody; w braku pyłu para oziębianą wydziela się na ścianach w postaci rosy. Skoro więc mgła wytwarza się w powietrzu jonizowanem, przyjąć można, że w tym razie jądrami kropelek mgły są same jony, które przytem ładunek swój elektryczny ustępują rozwijającej się dookoła nich powłoce wodnej. Poznano nadto, że jony ujemne bardziej, aniżeli dodatnie, wytwarzaniu się mgły sprzyjają. Jeżeli więc jony w atmosferze zachowują się podobnie, jak w powietrzu sztucznie najonizowanem, to mgła

powstająca we wznoszących się prądach atmosferycznych musi być naelektryzowana ujemnie, a krople deszczu, które z niej powstają, znoszą ładunek ujemny na ziemię. Opady więc atmosferyczne dają dalsze źródło ujemnego ładunku elektrycznego powierzchni ziemi, gdy powietrze przez spadek deszczu od jonów ujemnych oswobodzone, pozostaje naelektryzowanem dodatnio. Przy silniejszym jedynie przesycaeniu powietrza parą wodną, mogą się i jony dodatnie stawać jądrami kropeł, a wtedy ze spływającą wodą deszczową przybywa na ziemię elektryczność dodatnia, jak to rzeczywiście przy silnych ulewach obserwować można. Gdy wskutek pewnych zakłóceń atmosferycznych następuje nagle skraplanie pary, wzmagają się też szybko i obfitość wywiązującej się elektryczności, a gęste chmury stają się siedliskiem burzy.

W ogólnych przeto rysach nowa serya jonów ujmuje rzeczywiście ogół objawów elektryczności atmosferycznej w obraz pełny. Potwierdzenie wszakże dać jej będą mogły dopiero pomiary ścisłejsze, gdy zdołają wykazać, że zachodzi zgodność liczebna między zmienną zawartością jonów w powietrzu z jednej, a przebiegiem jego zjawisk elektrycznych z drugiej strony.

Stanisław Kramsztyk.

SALOMON POLSKI XVII WIEKU.

(ZARYS OKOLICZNOŚCIOWY).

I.

W dniu 17 stycznia r. b. upłynęło lat dwieście od chwili śmierci męża, którego współcześni nazywali Katonem i Salomonem polskim, a o którym dzisiejsze pokolenie nie prawie nie wie, bo ze zwykłych podręczników, czy to historii politycznej, czy też dziejów literatury, zaczerpnąć o nim wiadomości nie mogło.

Mężem tym jest Stanisław Herakliusz Lubomirski (ur. 1642 r. † 1702 r.), syn głośnego magnata - rokoszanina Jerzego, co wojną domową zamącił kraj, skolatany zewnątrz bojami pod koniec rządów Jana Kazimierza. Jak ojciec tak i syn piastował urząd marszałka w. koronnego i cieszył się swojego czasu wielkiem uznaniem. W kilka tygodni po jego zgonie, pisał o nim Andrzej Chryzostom Załuski, uczony biskup warmiński: «Był to mąż w każdym

nauk rodzaju doskonale wyćwiczony, a co i w mądrych ludziach jest rzadka, przy gruntownym rozsądku i wspaniałym umyśle, nie miał żadnej wyniosłości i chciwości próżnej chwały. Żywość swoją roztropnością, a odwagę ostrożnością miarkował. Żadnej rzeczy nie brał przed się bez uwagi, a raz przedsięwziętą statecznie utrzymywał. Był on z przyrodzenia gniewliwym, ale rzadko widziano go zagniewanym, i to z pomiarkowaniem. Dla wielkiej jego w przedsięwzięciach ostrożności bojaźliwym go być niektórzy rozumeli. Miał on tę w sobie namiętność, jako człowiek, ale bez przywar, bojaźni właściwych. Nie zbywało mu na żadnej rzeczy, która szczęśliwym uczynić może człowieka. Tak się we wszystkim sprawował, jak na godność i fortunę jego przystało; najszczęśliwszy jest, kto szczęścia nie pragnie; najpotężniejszy, kto sobą władać potrafi. Rozumu był głębokiego i gruntownego; zostawił nam księgi bardzo mądre i doskonale. Kto się nie wzruszy, czytając jego wiersze o Męce Pańskiej i Psalmy? Kto się nie nauczy, moralne i polityczne jego pisma rozważając? — Spokojność życia nad próżne i troskliwe prace przenosił; -wiele jednak takich rzeczy pisał, z których poznać można, jak wielkim był człowiekiem. Zdania jego głębokie i krótkie, a więcej w sobie treści niż słów zawierające... Wtenczas z tym się światem pożegnał, kiedy życie jego najpotrzebniejsze było dla Rzeczypospolitej. W tym jeszcze był wieku, w którym czerstwość ciała bystrości jego umysłu wystarczyć mogła... Warszawa, owszem cała Polska, pamięć jego zasług będzie zawsze ze czcią i wdzięcznością obchodziła».

Istotnie, w ciągu wieku XVIII pamięć o «Salomonie polskim» nie zanikła; dzieła jego polskie wierszem i prozą przedrukowywano, pisma łacińskie na język ojczysty przekładano nieraz parokrotnie; charakterystykę jego, powyżej przytoczoną, powtórzył Franciszek Bohomolec na czele wyboru jego *Ksiąg moralnych, politycznych i pobożnych* (1771); nie zapomniał o nim Krasicki w dziele o *Rymotwórstwie i rymotwórcach*, co więcej przytoczył nawet z jego *Tobiasza* trzy oktawy...

I w początkach XIX stulecia jeszcze o Lubomirskim nie zapomniano. Kazimierz Brodziński (a za nim Klementyna Tańska) wysławiali go nie jako poetę wprawdzie, ale jako znakomitego moralistę i wyborczego doradcę w rzeczach stylu, i dużo z pism jego wybierali maksym. Brodziński w 3-cim swoim *Liście o polskiej literaturze* (w *Pamiętniku warszawskim*, t. XVI, 1820) pomieścił Lubo-

mirskiego między największymi moralistami francuskimi i zachęcał współrodaków do ponownego ogłoszenia wyboru jego utworów. «Pisma jego — mówił — z tem większą uwagą czytać i tem sprawiedliwiej sądzić będziemy, gdy zważymy czas, w którym je wydawał; okoliczności i doświadczenia, przez jakie przechodził w epoce nie już wolności, ale swawoli szlachty, gdzie więcej na sejmach odzywać się poczęła szkolna erudycja niżeli zdrowy rozsądek. Wszystkie myśli Lubomirskiego są równie cierpliwego doświadczenia, jak bystrego dowcipu owocem, i dlatego wytrzymają nawsze wszelkie porównania *i mierzyć się mogą z ozdobami literatury w swoim rodzaju*. Nie znajdziemy w zdaniach jego politycznych przewrotności, dworskiej obłudy i tych krętych dróg, które późniejsi politycy za prawe i mądre uznali, ale uderza nas roztropność i przezorność, których tylko wolność, ścieranie się zdań i prawdziwe obywatelstwo nauczyć może. Tam to polityka, na chlubę wolności i narodu naszego, łączy się najściślej z religią i moralnością... Pragnę ci, przyjacielu, okazać, że i w czasach już nie bardzo u nas naukom sprzyjających, mieliśmy pisarzy godnych iść w zapasy z pismami wsławionemi podówczas. Myślę przytem, że cię zachęcę do czytania dzieł filozofa, który tak skromne miejsce w literaturze naszej zajmuje. Znajdziesz w nim daleko więcej piękności i prawd uderzających, czytając całego, jeżeli przytem zechcesz mu przebaczyć popisywanie się z erudycją, zbyt przytaczania klasyków i pisma biblijne, a czasem styl scholastyczny. I największy geniusz musi często wypłacić dług czasowi, w którym żyje. Łatwiej jest wynieść się nad swój wiek głębokością zdań i mocą wyobraźni, niżeli stylem. Przecież Lubomirski, jak w geniuszu, tak w języku, należy do celniejszych pisarzy naszych. Porządne wydanie dzieł tego autora, otrząśnione z bardzo rzadkich makaronizmów, ozdobiłoby klasycznym pisarzem narodową literaturę. Wielu zagranicznych autorów klasycznych przez wybór, z ich dzieł zrobiony, doszło do sławy. Ilużbyśmy może my zapomnieniu wydarli, gdybyśmy starannem wydaniem ich pism mogli ich powszechności dostępniejszymi uczynić. Olbrzymim krokiem prześcignęły nas inne narody w naukach i sztukach; musimy im hołdować,łożyć w daninie czas na uczenie się ich języków, przyjmować ich ustawy, zdania, zwyczaje i głosić ich tryumfy; — ale nie odmawiajmy dlatego wiunej części ojcom naszym, którzy się rodzili i starzeli w wolności, którzy nie tylko nam, ale i światu garnącemu się do niej zostawili dobre przy-

kłady cnót, błędów i doświadczenia. Jest to owoc szczepu narodowego, w którym smakować, którym się uzdrawiać i orzeźwiać winniśmy. Do rozerwania nawet umysłu w chwilach swobodnych lepszy — krewny, przyjaciel i sąsiad, z którym wspomnienia dawniejszych czasów, znajomość domowych okoliczności nas łączy, niżeli wytworny i dowcipem obdarzony cudzoziemiec, który, w wyższości swojej nade mną, niema dla mnie pociechy i skutecznej porady... Piękne dla nas przypomnienie, jaką szkołę swobody ojcowie nasi przebyli, jakie zdanie o prawach człowieka, o wolności myślenia objawiali obywatele wtenczas, kiedy z podobnemi filozofia ścigana w obcych krajach kryć się musiała... Ale, niestety, wszystko u nas butwieje... Świetną tragedią zakończywszy, porzuciliśmy dostojne szaty, jesteśmy tylko ciekawymi widzami scen zagranicznych».

Myśl ta, natchniona Brodzińskiemu zacnem a gorącym zamiłowaniem narodowości, nie doczekała się urzeczywistnienia. Wyboru pism Lubomirskiego nie ogłoszono drukiem, ani wtedy, ani później, choć drugi, bynajmniej od niego nie wyższy, tylko szczęśliwszy autor, w pewnym względzie bardzo do niego zbliżony, Andrzej Maksymilian Fredro, dzięki swoim *Przysłowiom* pozyskał imię nader rozgłosne nawet w XIX wieku.

W wykładach uniwersyteckich o literaturze polskiej Brodziński pobieżnie tylko wspomniał o poezjach Lubomirskiego, mówiąc, że one «talentowi jego mało zaszczytu przynoszą», ale jego pisma prozaiczne zaliczał i wtedy do najcenniejszych nie tylko u nas, ale i w Europie, i jeszcze raz zachęcał do ogłoszenia ich wyboru.

Wykłady Brodzińskiego przebrzmiały bez odgłosu. Żaden z jego słuchaczy nie zajął się badaniami historyczno-literackimi wogóle, żaden o dokładniejszym rozbiórze dzieł *Salomona polskiego* nie pomyślał. Nazwisko Lubomirskiego i jako poety i jako moralisty-polityka znikło z kart podręczników historii literatury.

Być może, do tego pogrążenia w niepamięci przyczyniły się *Dzieła Euzebiusza Słowackiego*, wydane pośmiertnie w Wilnie 1826/7. Tu w tomie III znajdował się dość szczegółowy, a w uwagach krytycznych drobiazgowy rozbiór poematu Lubomirskiego *Tobiasz wyzwolony*, tego poematu właśnie, który Brodziński liczył do «znakomitszych». Słowacki oczywiście nie mógł znać opinii Brodzińskiego, bo umarł wprzód, aniżeli ten wogóle zaczął się zajmować krytyką, a napisał swą ocenę około r. 1810. Ocena ta wogóle jest

nieprzychylna. Zauważywszy, iż rymotwórca biorąc wątek z Biblii, «nie śmiał nic swego przydać i zmyśleniem ozdobić rzecz poematu», tak dalej ciągnie Słowacki swój wywód: «Jakoż temu poematowi, które¹⁾ w rządzie religijnych liczyłoby można, w pierwszych pieśniach pędzel poety nie przydaje bynajmniej ozdoby. Uważając jednak czas, w którym to poema pisane było, to zepsucie smaku i upadek nauk, które w tej epoce do najwyższego przyszły stopnia, oddać jeszcze potrzeba sprawiedliwość autorowi, iż się nie dał unieść powszechnej zarazie, i że czytanie dobrych dzieł, tudzież własny rozsądek, ochroniły go od tych dzikich makaronizmów i po części od tych śmiesznych konceptów, które są smutną cechą pism owego wieku. Rzadko jednak duch prawdziwej poezji ożywia autora i natchnie mu wiersz poetyczny. Tam nawet, gdzie imaginacja jego, żywiej dotknięta, bierze świetniejszy pędzel, zaraz myśl jakaś blaha, koncept płaski, niestosowna uwaga, albo podle wyrażenie zeszpeci piękność obrazu». Po tej ogólnej uwadze następuje roztrząsnięcie szczegółowe kilku zwrotek, przy czem autor wytyka albo niestosowność porównań, lub wogóle wyrażań, albo płaskość myśli i t. p. Przytoczę dla przykładu parę spostrzeżeń: «Jaka myśl dziwaczna — powiada — że Święci tak są strawni na losy niepoehlebne, jak strussy (t. j. strusie) na żelazo? Jak płaskie wyrażenie, że Bóg nie samym chciał się popisać Jobem... *Świat rozbić w jednym szcztuku* — myśl nikczemna i upadająca Jestestwo nieśmiertelne... U Homera Jowisz skinieniem głowy wstrząsa Olimp w zasadach swoich; cóżby było, gdyby go był poeta wystawił jako uderzającego szcztukiem w budowę świata». Przytoczywszy słowa anioła do Tobiasza, w których między innymi mieściły się i następane wyrażenia:

Śmieie się porwiesz i bezpiecznie krzykniesz,
Na całe piekło i na dyabła *przytkniesz*. —

Słowacki woła: «Możnaż używać tak podłych wyrazów w poe-macie poważnem, gdzie należało podnieść umysł czytelnika do wysokości myśli i zdarzeń nadprzyrodzonych, gdzie niebo działa i miesza się widocznie do spraw ziemskich?... Imaginacja czytelnika sama usiłuje unieść się nad okrąg ziemskich rzeczy i na nieśmiertelnej piękności zapatrywać się obrazy: przeczytawszy

¹⁾ W początkach wieku XIX, wyrazu *poema* (tak samo jak drama), zgodnie z pochodzeniem jego greckiem, używano w rodzaju nijakim.

taki wyraz, upadamy z obłoków na ziemię, dziwimy się i zrażamy taką przemianą. Bardzo wiele w tem poemacie jest myśli rozsądnych i gruntownych; ale w ogólności autor nie utrzymuje się na przyzwoitym tonie i nie umie dobrać stosownych kolorów».

II.

Czterdzieści lat z górą upłynęło od owego czasu, a o Lubomirskim głucho było w naszej literaturze. Dopiero Aleksander Tyszyński, jako profesor dziejów piśmiennictwa naszego w Szkole Głównej warszawskiej, ujął się w wykładach swoich r. 1868 za autorem *Tobiasza Wyzwolonego* oraz *Rozmów Artaksesa i Ewandra*. Zwrócił się on przedewszystkiem przeciwko krytyce Euzebiusza Słowackiego, jemu głównie przypisując «popsucie sławy», jak się wyraził, pisarzowi, który nawet w prozie pisał bardzo czysto, wyśmiewał makaronizmy, a poruszał nader liczne zagadnienia, wszędzie okazując rozum praktyczny, czasem tylko «arystokratycznemi» uprzedzeniami zabarwiony. Najdłużej zastanawiał się Tyszyński nad *Rozmowami Artaksesa i Ewandra*, oraz nad *Tobiaszem*. Lubomirskiemu przypisywał także autorstwo *Amana* czyli *Estery*, gdy inni przyznawali ten utwór to Chrościńskiemu, to Jabłonowskiemu.

Ale i głos Tyszyńskiego nie wywarł skutku. Wprawdzie za jego wzorem i przykładem poszło kilku badaczy literatury staropolskiej, lecz żaden z nich nie poświęcił szczegółowej uwagi Lubomirskiemu.

I znów upłynęło lat trzydzieści bez śladu najdrobniejszego zajęcia się działalnością «Salomona polskiego»; aż Aleksander Brückner, który tyle zrobił dla dokładniejszego poznania naszego wieku XVII pod względem literackim, w dodatkach do swojej rozprawy o Wacławie Potockim (1898), upomniał się nanowo o przywrócenie Lubomirskiemu należnego mu w dziejach literatury stanowiska, dołączając przytem wiadomości o nieznanym, w rękopiśmie kryjących się komedyach jego, które świadczyły, że «Salomon polski» w młodych latach bardzo chętnie obrabiał temata nie tylko wesole, lecz nawet swywolne.

Zdaje się, że ta praca prof. Brücknera pobudziła Stanisława Tarnowskiego do przestudyowania komedyj Lubomirskiego i wydania o nich sądu w *Historji literatury polskiej* (1900). Sąd ten pochlebnym zgola nie jest. O jednej z nich, uważanej przez siebie

za najbardziej oryginalną p. t.: *Ermida albo królowna pasterska*, przytoczywszy jej treść, Tarnowski powiada: «Wiersz jest ogółem dobry; ale też to wszystko, co na pochwałę tej pasterskiej komedyi powiedzieć można. Treść, naśladowana z wielu podobnych, mdłą być musi, ale mogłaby dać ładny poemacik, gdyby te czule sentymenta umiały się ładniej, żywiej, z wdziękiem wyrażać. Tego jednak niema. Ani jeden wiersz, ani jedna myśl nie zatrzyma uwagi czytelnika i nie utkwi mu w pamięci. Jedyna figura, w której znać trochę talentu, to Adrast, giermek Filandra, błazen i frant, może na wzór hiszpanów wymyślony, dość zręczny w swoich wybiegach i wymysłach, a czasem dość zabawny w swoich odpowiedziach. Najlepszy prolog, ułożony do muzyki, rytmem wcale zręcznie zmienianym. Merkury i Kupido zakładają się między sobą o wierność lub niewierność pasterek i pasterzy. Jest to dość obiecujące, i zdaje się, że ci bożkowie będą się wdawali różnymi sposobami w sprawy ludzkie, i że zakład rozegra się jakoś. Ale z końcem prologu nie słyhać już nic o bożkach, ani o zakładzie, więc nie rozumie się, po co oni byli i po co się zakładali».

O drugiej komedyi: *Don Alvarez albo niesformu w miłości kompania*, napisanej prozą, powiada Tarnowski, że o tyle jest ciekawą, iż ma jakieś reminiscencye teatru hiszpańskiego. «Nie tylko ludzie nazywają się *Don*, a rzecz dzieje się w Hiszpanii, ale dwóch służących, Biribis i Gurgiel, wymyśleni są widocznie na wzór hiszpańskiego *gracioso*, a służącą Faramuszkę woła ktoś słowem *Muchacha*. Historia bardzo zawila; dramatycznego zmysłu nic. Don Alvarez, Don Guzman, sultan Garabuzel zawsze zapowiadają naprzód, co chcą zrobić, a potem opowiadają, co zrobili. Powtarzań i gadanin bez końca; widocznie autor, choć dobre komedye czytać musiał, a może i widział, nie nabral wyobrażenia o tem, czem jest komedya». «W innej — dodaje Tarnowski — bez tytułu w rękopisie nam znanym, wziął z Boccaccia nowellę bardzo nieprzyzwoitą, ale bardzo zabawną, i zrobił z niej komedye jeszcze nieprzyzwoitszą, ale bardzo nudną. *Comedia faceta*, prawdopodobnie także nie z własnej inwencji, tylko przerobiona, mniej od tamtej nieprzyzwoita, ale niemniej nieudolnie napisana i nudna».

Tak więc, postępu w literaturze dramatycznej utwory Lubomirskiego nie stanowią zgola, na co zgodził się potem i prof. Brückner. Ciekawą jest opinia Tarnowskiego co do *Tobiasza*, którego i on, podobnie jak Brodziński, uważa za najlepsze dzieło poetyckie naszego «Salomona», choć dodaje: «podobno». Oto króciutko sformu-

lowany sąd: «Biblijna historia, w której jest coś sielankowego, coś łagodnego i spokojnego, jak w powiastkach dla dzieci, gdzie nawet smutek i przestroch występuje dyskretnie, żeby na czas zawsze znikać, i wszystko się dobrze kończy, opowiedziana jest krok w krok za Biblią, obszerniej naturalnie, rozciągając obrazy niektórych scen, ale wiernie, jak tylko być może; autor nic nie zmienia i nic nie dodaje, nie poetyzuje księgi Tobiasza, zostawia jej ten łagodny, sielankowy prawie charakter, ale *robi z niej poemacik miejscami nie brzydki*. Pisze go oktawą i oktawą niezłą. Miejscami jest to wcale nie brzydkie, jak np. modlitwa Sary w III-ej pieśni, albo poranek i opis rzeki Tygrys w pieśni VI-ej, albo o weselu i rumieńcu w pieśni VII-ej, albo w ostatniej, w prorocztwie Tobiasza *muzyk różnych pełne ściany*, to brzmi, *jak żeby ze Słowackiego przepisane*. Tobiasz już wyszedł z tego religijnego ducha, którym tehną im dalej tem bardziej pisma Lubomirskiego, a z którego z poezyi wyszedł *Jeżus Nazareński* czyli epigramata o Męce Pańskiej, *Melodya Duchowna*, oboje od Tobiasza słabsze. Przekład księgi *Ekklesiastes* znowu to skutek połączonych gustów: do poezyi i do reguł filozoficzno-moralnych i wreszcie do rzeczy duchownych; ale i to dalekie od Tobiasza».

O utworach moralno-politycznych Lubomirskiego wyraża się Tarnowski także surowo. *Adverbia moralne* są bardzo słabe, dalego mniej świetne niż *Monita* Fredry. Artakses i Ewander w rozmowach swoich są niewątpliwie «ludźmi rozumnymi i cywilizowanymi», ale książka nie jest bardzo zabawną, lubo jest najlepszą, jaką w tym rodzaju napisał. Najdłużej rozprawiał się Tarnowski z *Marnością Rad* (*De vanitate consiliorum*) i nazwał ją w końcu «falszywą», choć przyznał, że są w niej rzeczy «mądre, głębokie i trafne».

Charakter Lubomirskiego wydaje się Tarnowskiemu «psychologiczną zagadką trudną do rozwiązania», pełną sprzeczności wewnętrznych. «Zły stan Rzplitej i jego powody widzi i rozumie doskonale, wytyka trafnie, zna wybornie wszystkie obowiązki dobrego obywatela; ale sam takim nie jest. Powtarza często rzeczy mądre i słuszne o szkodliwości fakcyj i osobistych ambicyj, ale sam jest w r. 1688 jedną z głów spisku, zawiązanego na złożenie z tronu króla Jana. O marności rzeczy światowych i świeckich mówi wiele; ale sam dla siebie niemi nie gardzi, owszem w swojej ambicyj jest śmiały i zarozumiały aż do śmieszności. Naprzykład, kiedy w r. 1682/3 Ludwik XIV podnieca i wspiera Teke-

lego przeciw cesarzowi, Lubomirski insynuuje dworowi francuskiemu osobliwszy pomysł, żeby Węgrzy, jak się pozbędą cesarza, jemu oddali swoją koronę. Jakim sposobem człowiek rozumny mógł nie pomyśleć, że gdyby Tekely wypędził cesarza, to wołałby sam zostać królem węgierskim, niż jego na tron powoływać? Jaki po temu powód i tytuł? Dlaczego miałby to zrobić? Powodu niema żadnego, tylko ten, że on jest Stanisław Herakliusz Lubomirski, syn Wielkiego Jerzego! a jako taki ma tytuł do wszystkiego na świecie i wszelki zaszczyt, jakiby spadł na jego głowę, uważałby za rzecz naturalną, za coś, co mu się słusznie należy, za swoje prawo. Mieszanina pobożności, która zapewne nie jest zupełnie nieszczerą, pozornej obojętności na honory i blaski z nieograniczonym ich pragnieniem, doskonałej znajomości warunków cnoty publicznej z mnogimi przeciw niej grzechami, dobrej rady dla Rzeczypospolitej z zupełnym i przykrym sceptycyzmem: — (oto) Lubomirski. Gdyby się nie wiedziało nic o jego życiu, a z pism jedynie miało zrobić sobie o nim wyobrażenie; to łatwo doszłoby się do przypuszczenia, dla niego najzaszczytniejszego, że ten sceptycyzm i zniechęcenie, ten charakter prawdziwie rozpaczliwy niektórych jego pism, to skutek patryotyzmu, wielkiego i zbolalego, i głębokiego rozumu, który nie widzi już rady i ratunku; że w tem jego usposobieniu jest na dnie głęboko ukryta, ale bardzo bolesna zgryzota, świadomość, że do tego złego stanu ojczyzny przyczynił się jego własny ojciec. Ale przeciw takiemu tłumaczeniu świadczą jego uczynki, świadczą niektóre ustępy jego pism».

«Cóż to więc wszystko znaczy? — pyta w końcu prof. Tarnowski. — Czy to prosty Tartuffe? czy sofista, który własne sumienie tak umiał oszukać, że miał się za Katona i za świętego, kiedy naprawdę ani w prywatnym, ani w publicznym życiu cnotliwym nie był? Niektórzy twierdzą, że taka dwoistość, taka różnica między teorią a praktyką, zasadami a życiem była tak częstą u ludzi pobożnych XVII wieku, iż stała się niemal jego cechą, i twierdzą, że mistycyzm religijny, jeżeli nie prowadzi do zupełnego i szczerzego zerwania ze światem, do świętości, kończy się zwykle na takiej sztucznej i fałszywej zgodzie między gorącą modlitwą a złym obyczajem. Czy tak jest istotnie? Że takiej zgody było w owym wieku wiele, to pewna; same Listy Pascala mogą służyć za dowód, że pobożność godziła się z krzywą moralnością. Ale czy było tego złego więcej niż w innych wiekach? czy wiek XVII miał istotnie ten popęd i charakter mistyczny, który

niby ma się wyradzać w taką bezwiedną hipokryzyę? Jeżeli tak, to w takim razie Lubomirski byłby dobrym reprezentantem tego kierunku, za którym bardzo już naturalnie musiał prawie nastąpić sceptycyzm i materyalizm wieku XVIII. Jeżeli nie, to w każdym razie ciekawy jest, *jako rzadki rodzaj umysłu*; taka dążność filozoficzna i usposobienie sceptyczne, w Polsce należą do wyjątków. A jakkolwiek on był, to niezawodnie myślał i rozważał więcej niż ogromna większość ludzi jego czasu w naszym kraju».

Oceniając Lubomirskiego ogólnie, jako pisarza, prof. Tarnowski względną mu tylko przyznaje wartość, powiadając: «w ubożym XVII wieku, a w uboższym jeszcze początku XVIII, pisarz, który rzeczy rozumne mówi w formie niezłej, musi się liczyć do lepszych». Za najwłaściwsze mu pole uznawał «obserwacye psychologiczne, z życia towarzyskiego, nawet społecznego, czyli praktyczną, empiryczną filozofią». Dostrzegając na tem polu podobieństwo między nim a Andrzejem Maksymilianem Fredrą, świetnie wykazuje zachodzące między nimi różnice. «Fredro jest bystrzejszy, a co najmniej dużo świetniejszy, i bardziej lubi i łatwiej się zdobędzie na formułę, na definicyę, spostrzeżenie swoje nieraz bardzo szczęśliwie ujmie w aksyomat, w przysłowie. Lubomirski o to nie troszczy się wcale; nie o to mu chodzi, żeby z wielu spostrzeżeń wyciągnąć jako wniosek regułę, prawdę nową i powszechną i tę określać; ale o to, żeby znaną odkrytą lepiej zbadać, stwierdzić, poznać, objaśnić, siebie i drugich przekonać. Tamten szuka przedewszystkiem definicyi i formuły, ten — prawdy; stąd tamten często poprzestanie na dobrze brzmiącym paradoksie, ten ze swojej głowy nigdy prawie nic fałszywego nie wydobędzie; tamten bardzo logicznie napozór, przez syllogizmy, dochodzi z błędnego założenia do błędnego wniosku; ten napozór nie ma takiej ścisłości w rozumowaniu, ale naprawdę więcej logiki. Tamten jest świetniejszy i bystrzejszy; ten poważniejszy. Stąd też i sposób rozumowania czy pisania zupełnie różny. U Fredry ucinowy, aforystyczny, apodyktyczny; Lubomirski zastanawia się długo nad swoim założeniem, dyskutuje, argumentuje obszernie, siebie chce nauczyć i przekonać najpierwej, a drugich zawsze tylko przekonać, nie olśnić. — Jako statystów, równać ich nie można. Fredro traktuje wszystkie kwestye praktyczne, traktuje je (a przynajmniej zdaje mu się, że traktuje) praktycznie; Lubomirski nie wdaje się w żadne szczegóły, nawet wniosków nie stawia, tylko roztrząsa rzeczy najogólniej, i tylko wątpi, a nic nie radzi, zdaje

się, że nic nie chce. Dla pisarza politycznego nagana to największa, i Fredro, choć w pojęciach i wnioskach najczęściej błędzi, okazuje więcej pod tym względem zdolności i więcej w literaturze znaczy. Ale Lubomirski, który nie zakłada sobie za cel zmian lub reform w tej lub owej części prawa publicznego polskiego, może dlatego tylko wniosków nie stawia, że nie chce; a to znowu pewna, że w takie pojęcia dziwne i żądania dziwaczne, w takie twierdzenia, jak to np. u Fredry, że fortece są złe, bo je nieprzyjacieli może zdobyć, a skarb wtedy najlepszy, kiedy pusty, Lubomirski nie wpada nigdy. Jego Próżność i Prawda jest tylko krytyką, tylko negacją tego, co jest; ale gdyby był afirmacją stawił, to ta byłaby może trafniejszą, rozumniejszą niż u tamtego».

III.

Daleko tu odbieglśmy od tego bezwzględnego uwielbienia, z jakim się i dla charakteru i dla rozumu Salomona polskiego wyrażał Żaluski; mniej tu również uznania, a więcej krytyki, aniżeli u Brodzińskiego; ale pomimo to już Lubomirski pozyskał trwale miejsce na kartach dziejów piśmiennictwa naszego, już odtąd wiedzieć o nim musi każdy wykształcony tyle przynajmniej, ile pospolicie wiemy o Fredrze lub Kochowskim.

Ażeby ta wyborna charakterystyka, skreślona przez Tarnowskiego, była zupełna, trzeba w niej, mojem zdaniem, silniej uwydatnić dwa rysy: niepospolitą zdolność dyalektyczną i lekki dowcip w smaku francuskim, będący jakby zapowiedzią dowcipu Krasickiego.

O zdolności dyalektycznej świadczą wszystkie prozaiczne piśma Lubomirskiego, szczególnie zaś rzecz o *Marności rad*, jakoteż *Rozmowy Artaksesa i Ewandru*. Lubomirski, był to umysł niezmiernie obfity w argumenty, zbijające cudze twierdzenia, lubował się w przeciwieństwach, w zestawianiu mniemań wprost sobie wrogich, chętnie gromadził błyskotliwe, nieraz uludne dowodzenia, mające wykazać ułomność i kruchość pewnych opinii; zazwyczaj zdań przeciwnika nie przytaczał w całej ich mocy, ażeby tem świetniej wypadło jego nad nimi zwycięstwo; częstokroć dowodzeniom tym towarzyszył mniej lub więcej ukryty uśmiech ironiczny. Tak np. chcąc dowieść, że nauka przewrotna, nie kierowana cnotą, jest gorsza od nieukształconej, ale cnotliwej prostoty, między innymi takie przeprowadza rozumowanie o zakazie jedze-

nia owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego. «Wiedział Bóg, że nauka i umiejętność miała zaszkodzić człowiekowi, że póty cnoty trzymać się miał człowiek, póki by zbytniej umiejętności i subtelności nauk nie skosztował; ale wąż czyli dyabeł, że się był nazbyt przeuczyl, chciał i człowieka zarazić swoją nauką. Człowiek albowiem póki nie skosztował nauki, miał dosyć rozumu dla cnoty; dlatego poznał po prostu a roztropnie, że nie godziło się boskiego przeskoczyć rozkazania, głębszych nie szukał subtelności, tylko co należało, prostotą rozumną wykonać pragnął. Ale wąż nauką chciał narabiać, którą i człowieka od cnoty odwiódł i najpierwej chciał się pokazać *teologiem* i wszedł w dysputy z Ewą, pytając się naprzód i czyniąc kwestyą, dlaczego Bóg zakazał im nie jeść z tego a nie innego drzewa. Przez to pytanie: *cur* (dlaczego) poznać, że i być zbytnim racjonalistą nie jest zawsze dobrze. Bo w wielu rzeczach nie zawsze się godzi wiedzieć przyczyny. Potem uczynił się i *moralistą*, pokazując, że kto zna się na złym i dobrym, jest podobien samemu Bogu. Naostatek pokazał się i za *polityka* doskonałego i powiedział tę maksymę polityczną albo *arcanum imperii* albo *interesse status*, że miał Pan Bóg nie przypuścić nikogo do sekretu wiadomości złego i dobrego. I dlatego powiedział im, iż otworzą się oczy wasze, aby im był pokazał, że on sam przeniknął Pańską politykę, że to fortel polityczny w tym był, aby ludzie byli jako ślepyi i nie dochodzili tego, co tylko samemu Panu należało wiedzieć. Coś podobnego do statystów wieku terażniejszego, co zwykli mawiać, kiedy chcą zbuntować mniej świadomych: otwórzcie jeno oczy, panowie! nie dajcie sobie tej mgły na oczy zawodzić; jest tam coś w tym, nie darmo to ten albo ów uczynił. Temi właśnie i dyabeł w raj u szedł naukami, którei często a fałszywie zwykł teraz świat pospolicie chodzić i tę sobie do godności i cnoty drogę zakładać».

Czyż w tym całym wywodzie, obok uznania wyższości cnoty prostej nad nauką przewrotną, nie czuć w doborze argumentów, w owem kolejnem wystawianiu dyabła jako teologa, moralisty i polityka oraz w doborze wyrażeń — drwin ukrytych zarówno z przemądrzałych teologów, jak z obludnych moralistów i polityków? A przykładów takiego właśnie sposobu dowodzenia jest w piśmich Lubomirskiego niemało.

Dowcip lekki, różniący się bardzo znacznie od staropolskiej jowialności, nieraz subtelny, znaleźć można w *Rozmowach Artaksesa i Ewandra*, a szczególnie w poematach Lubomirskiego, który na

wzór zapewne Aryosta opowiadanie w każdej pieśni lubił rozpoczynać od uwag ogólnych, często satyrycznych. Ponieważ najłatwiej wykazać ten rodzaj dowcipu przez proste przytoczenie wierszy bez potrzeby ich objaśniania, wybieram oktawę, którejby i co do stylu i co do rymowania nie powstydzil się sam Krasicki:

Z krzywdy bliźniego bardziej niż z niedziele
Powstaje radość, i z niewinnej szyje;
Kto co zwojuje, albo wydrze śmieie,
Lub poniewolne wojska w polu zbije,
To ma za radość i święte wesele.
Wtenczas, jak w święto, w huczne bębny bije;
A kiedy społem biesiadnicy siedzą,
Bardziej bliźniego, aniż z bliźnim jedzą.

Z tym ostatnim wierszem, który świeżością i zwięzłością cełuje nad innemi, można zestawić podobne wyrażenie w *Rozmowach Artaksesa* o człowieku złośliwym (polityku): «drugi woli przyjaciela ukąsić niż siebie w język».

IV.

Prof. Aleksander Brückner w swojej *Historji literatury polskiej* (1901) po niemiecku napisanej, ochłódl wprawdzie nieco z dawniejszego swego zapалу dla Lubomirskiego, starał go się jednak na wyższym szczeblu hierarchii umysłowej postawić, aniżeli Tarnowski. Nazywa go najwszechstronniejszym i najukształceńszym polakiem XVII wieku, podnosi jego związek z oświatą europejską, daleką od «sarmackiej zarozumialości» i od «mniszej ograniczoności»: zaznacza jego odczytanie w Montaigne'u i Bakonie; mieni go poprzednikiem Roussa w potępieniu oddalenia się od stanu natury. Te wywody i dowody nie posiadają wielkiej siły przekonywającej.

Już sam Brückner musiał wyznać, że w pismach «Salomona polskiego» obok wytrawnego smaku i niepospolitej bystrości umysłu widać tu i owdzie (*stellenweise*) gruby zabobon (*krasser Aberglauben*) i alchemiczne dziwactwa (*alchemistischer Spuk*). To nie wszystko. Ów zachwalany związek z oświatą europejską był bardzo luźny i nie sięgał istoty rzeczy. Montaigne'a (pisanego z łacińska: *Montanus*) znał i przejął się jego sceptyczną dewizą: *que sais-je?* — ale ta znajomość i ta dewiza posłużyły głównie do wydoskonalenia owej zdolności dyalektycznej, z jaką wykazywał

zawodność środków, przedsiębranych do polepszenia stanu państwa i wogóle szczęścia ludzkiego, co stało się źródłem jego zrezygnowanego pesymizmu, który już w bardzo młodym wieku wyraził się zdaniem, iż szczęście widzieć należy w zupełnem wyrzuczeniu się szczęścia i w zespoleniu się z Bogiem.

Bakona znał także; ale cenil i przytaczał nie te jego dzieła, które Anglikowi zapewniły zaszczytne miejsce w dziejach filozofii, lecz te, które wobec tamtych musimy za podrzędne uważać. Oto słowa Lubomirskiego: «Bakonus, kanclerz angielskiego królestwa, pięknym i bardzo godnym stylem napisał dwie księdze; jednej dał imię: *Przestrogi moralne*, w której o rozlicznych rzeczach politycznych i moralnych, zwięzłym i dowcipnym sensem smacznie bardzo dyszkuruje; drugiej dał nazwisko: *Sapientia Antiquorum*, w której jest się czego nauczyć i naczytać». O znajomości metody indukcyjnej, o korzystaniu z «Nowego Organonu», lub z poglądu na znaczenie rozmaitych nauk, żaden ustęp pism Lubomirskiego nie świadczy. Cóż więc z tego, że Lubomirski «znał Bakona», kiedy z tego, co w nim jest najlepszem, co go czyni znakomitym inicjatorem nowego kierunku filozoficznego, zgoła nie skorzystał, lecz całkiem po średniowiecznemu wierzył w przeróżne baśnie o kamieniach, roślinach i zwierzętach. Czytał go on jako moralistę i mówcę, nie zaś jako filozofa. W jego mniemaniu wyższym nad Bakona był zapomniany dziś moralista hiszpański Don Diego de Saavedra (zm. 1648), autor stu Emblematów politycznych przedstawiających wzór władcy chrześcijańskiego (*Empresas politicas, idea de un principe cristiano*). Dzieło to wydane równocześnie w tłumaczeniu łacińskim 1640, znał Lubomirski dobrze i bardzo często na nie się powoływał. Według naszego autora «Saavedra Emblematy czyli wizerunki swoje, przy politycznej nauce, wysokim także a skromnym przecie i uczonym trybem nad innych światau podał, że go nikt jeszcze w tej profesyej nie zwyciężył».

Drugim pisarzem, z którego Lubomirski uczył się polityki i stylu, był historyk rzymski Tacyt, wielbiony przezeń prozą i wierszem. «Jest jego styl — mówi L. — nad wszystkie inne historyczne najwzięlejszy i tym najrzadszy, że wszystkie politycznych rządów kunszty i sztuczne postęпки różnych osób, nawet i przyrodzenia każdego własnym opisaniem, a krótkim i węzłowatym stylem wyraża, tak dalece, że każde jego słowo ma wielką energią, i choć czasem jest trudne do pojęcia, samo jednak od siebie

mówi i samo się wyraża; stąd idzie, że dla misterych w każdym słowie konceptów wdzięcznym i miłym jest w czytaniu każdemu, który argucyje, t. j. biegle i żywe w mowie terminy rad czyta. I ja przyznam się, że młodszym jeszcze będąc, gdym go najpierwszy raz czytał, tak mi się był spodobał, że mu na chwałę zaraz na jegoż księdze *sonet* taki napisał:

Ludzie i państwa sny wieku rzymskiego
Śmiertelnym prochem nieraz zagrzebione;
Umarle cnoty, a przecie wskrzeszone
Żywe czynią cię nam nieśmiertelnego.

Kto cię nie przyzna z nich za największego,
Gdy godnym piórem wieki ich skrócone
Laurem zwycięskim wieńce lat plecione
Od zapomnienia ratujesz późnego.

Ty z cesarzami równasz się rzymskimi,
Oni swych żyjąc, ty zmarłych strofujesz,
A żywych uczysz przykłady wielkimi.

I tak, choć cudze laury opisujesz,
Jednakże równasz się z nieśmiertelnymi,
Tymże swą głowę laurem koronujesz.

«Nad Tacyta tedy żaden jeszcze dowcipniejszym i krótszym stylem nie napisał historyej».

Zresztą bardzo powierzchowny rozdział o duszy czyli umyśle w *Rozmowach Artaksesa i Ewandra* (1694) wyraźnie pokazuje, że Salomonowi naszemu nie chodziło tak bardzo o psychologiczne, jak raczej o moralizatorskie zadanie. Rozdział ten dowodzi również, że z kwestyami filozofii sobie spółczesnej zgoła Lubomirski nie był obeznany; znajdziemy tu obfite cytaty z Pisma św., pisarzy greckich i rzymskich, ale nie znajdziemy najmniejszej wzmianki o Kartezyuszu, a cóż dopiero o Spinozie!

I w poezyi również nie szedł nasz autor z biegiem czasu. Zdaje się, że kresem jego wykształcenia literackiego była połowa XVII wieku. Największym dla niego nowożytnym poetą był Marini, a zwłaszcza jego poemat o Adonisie (z którego Andrzej Morsztyn wyjął swoją «Psyche»); po nim dopiero kładzie Tassa i Aryosta, który «także pięknie rzecz swoją i obficie poezją ozdobił». O poetach francuskich, o Kornelu, Rasyne, Molierze, a tem mniej o Kalderonie hiszpańskim, ani nawet wzmiankuje.

Wobec takich faktów, jakże można twierdzić, iż Lubomirski

utrzymywał łączność z europejskiem życiem duchowem? Byli przecież i u nas mężowie, co znacznie przed nim pisma Kartezjusza czytali i roztrząsali, gdy on zdaje się o nich wcale nie wiedzieć. Co do smaku literackiego, nie wyszedł nasz Salomon poza powszechnie już wtedy uznane u nas wzory włoskie, a Morsztynom ustępuje w znajomości dramatu francuskiego. Zaslugą jego niewątpliwą jest, iż pod koniec wieku XVII, kiedy proza niemal zupełnie zeszepecona była makaronizmami (z wyjątkiem dzieł naukowych), on nie tylko ten ohydny zwyczaj potępiał, ale sam pisał względnie czystą polszczyzną (nie najczystszej — *im reinsten Polnisch* — jak utrzymuje Brückner), rzadko ją przeplatając (podobnie jak Starowolski przed nim) *cytatami* łacińskimi.

A cóż powiedzieć o mniemaniu prof. Brücknera, jakoby Lubomirski w niektórych rzeczach wyprzedził swój czas? Za jedyny dowód tego arcyhazardownego twierdzenia mamy w jego dziele wskazaną pierwszą rozmowę Artaksesa z Ewandrem, gdzie jakoby nasz Salomon zajął już stanowisko Roussa i przeciwstawiając wiedzę prostocie, bolał nad «udoskonaleniem» człowieka, t. j. nad jego oddaleniem od stanu natury!... Ależ to urojenie tylko prof. Brücknera! Lubomirski, jak tytu przed nim moralistów, chciał tu jeno okazać, iż człowiek enotliwy, choć prosty, jest lepszy od uczonego a przewrotnego, i że zdrowy rozsądek bywa cenniejszy od mądrości książkowej. Nie myśli on potępiać nauki jako nauki — owszem w innych rozmowach zaleca ją mocno — utrzymuje tylko, że nauka, źle skierowana i użyta, jest szkodliwą. Występuje on przeciwko wykrętnym sofistom, nie zaś przeciw prawdziwym mędrcom.

Najlepiej to wykaże ustęp, który przytaczam: «Przez naukę pyszny zowie się wspaniałym, okrutny i tyran — do rządu sposobnym, pochlebca — wymownym i łagodnym i akomodującym się każdemu, rozrzutny — szczodrym, skąpy — oszczędnym, niestateczny — biegłym, płochy — obrotnym, obmowca — prawdziwym, zazdrościwy — sprawiedliwym, chytry — umiejętnym, uporny statecznym, i innych wiele podobnych przemian *wyuczony fałsz* odmaluje. Przeciwnym zaś sposobem przez subtelność i *zbyt dowcipną naukę*, cnota będzie poczytana za tępość i niedoskonałość dowcipu, sprawiedliwość za nieużytość, mężność za grubijaństwo, prostota roztropna za głupstwo, szczerłość za nieostrożność, dobroć za miękkość i łacność niesposobną, pobożność za hipokry-

zyę; i tak przez pomieszana nauki subtelność własnej swej wagi w złym i dobrym żadną miarą prawdy nie pokaże, ani dodaje».

*Dobrze używać rozumu i nauki — oto istotna myśl przewodnia tej pierwszej rozmowy, nie zaś Roussowski nawrót do stanu natury. «Nie to jest mądrość — mówi Lubomirski — siłę¹⁾ rzeczy, choć sobie i przeciwnych umieć i dociekać; mądrość, co się cniecie nie przyda, jest fałsz i maskara głupstwu tylko potrzebna. Prostota rozumna i rozsądna to prawdziwa mądrość; ani ten mądry, co siłę¹⁾ umie, ale ten, co *umie umieć*, cokolwiek umie, choć z przyrodzenia; tak, że *na mądrości zużywanie trzeba osobnej mądrości i miary*».*

Nie chcemy przeceniać doniosłości lektury Salomona polskiego, ani też głębi jego umysłu, który posiadał niewątpliwie nie małą subtelność i zwrotność, lecz tylko w dziedzinie życia praktycznego, w dziedzinie kwestyj moralnych i politycznych, lecz nie w zakresie zagadnień ściśle filozoficznych. Mieszanina pewnej lekkości w usposobieniu i skłonności do poważnej zadumy, mieszanina, która się przejawiała i w życiu (podobno niezbyt przykładnym) i w pismach, bystrość rozbiorecza połączona z wiarą silną w dziwne nierozwikłane tajnie materii i ducha, znamionowały Lubomirskiego zawsze. Jego zrezygnowany pesymizm, przejawiający się w młodzieńczych już latach, nie wykluczał bynajmniej zabaw i rozrywek, jednym słowem używania świata. Bardzo charakterystyczną jest rzeczą, iż z 13 rozmów Artaksesa z Ewandrem, jedną (nienajkrótszą) poświęcił usprawiedliwieniu «próżnowania czyli drobnych zabaw ludzi wielkich», a rozmowę tę poprzedził obrazkiem, w którym wystawił swoich poważnych statystów wybierających się na nocną hulankę. Ewander zaprasza Artaksesa «na pewne posiedzenie z damami w jednym wesolem miejscu». Artakses godzi się, bo «na waletę chciał się z nim dowoli nacieszyć». I oto «wsiedli z sobą do jednej karety, z kompanią dwóch dam i drugich dwóch kawalerów, i tam prosto nie bawiąc się obrócili, kędy ledwie nie całą noc strawili wesole na swobodnej zabawie, którą więc z francuska nazywamy *deboszem*, a po naszymu swywołą...» I nie dziwota, nasz Salomon mógł się powołać na Salomona hebrajskiego, którego *Kaznodzieję* tłumaczył, gdzie choć wszystko nazwano marnością, zalecano przecież wesole używanie życia.

¹⁾ Siłę = dużo, wiele

V.

Zaczynają się już ukazywać monograficzne opracowania, dotyczące działalności Salomona polskiego. W «Sprawozdaniu gimnazjum III-go w Krakowie» za rok szkolny 1901 pomieścił p. Stefan Morawiecki starannie nakreśloną rozprawkę p. t.: *Stanisław Herakliusz Lubomirski. Kilka kart z młodych lat oligarchy 1661—1667*. Treścią jej jest głównie udział syna w sprawie ojca Jerzego, z okoliczności głośnego rokoszu, oraz szczegółowy rozbiór pierwszego dziełka, jakie Stanisław Herakliusz napisał w r. 1666, choć go drukiem ogłosił znacznie później, bo dopiero w 22 lata potem p. t. *Adverbiorum moralium sive de Virtute et Fortuna libellus*. Książeczkę tę ocenia p. Morawiecki bardzo surowo; treść jej nazywa «błahą», a formę «slabą», «bardzo nieszczególną». Niepodobna się zgodzić na tak ogólnikowo sformułowaną krytykę. Prawda, że młodzieniec, który pisał to dziełko w 24-tym roku życia, nie miał pomysłów oryginalnych, że przyswoił sobie tylko mniemania stoików i starał się nadać im barwę chrześcijańską; ale jak nie można zwać nauki stoików błahą, tak też nie można utrzymywać, iżby jej opracowanie przez Lubomirskiego było bardzo słabem. Są w niem niewątpliwie miejsca licho wyrażone, ale są także ustępy świadczące o niemałym talencie literackim, o umiejętności władania tajemnicami stylu i wywoływaniem efektu. Dość tu będzie przywieść (w starodawnym przekładzie) wymowne określenie marności życia ludzkiego, określenie, żywo przypominające jeden z monologów Hamleta, choć mu nie brak odpowiedników w Biblii i w autorach starożytnych. Posłuchajmy tego głosu, zaraz na pierwszych kartach książki brzmiącego donośnie: «Pewny nam jest rodzenia się początek, pewna mizerya, pewna ułomność, pewna niemoc, pewna boleść, pewny koniec, pewna skazitelność, ale — niepewne życie, niepewna fortuna, niepewne zdrowie, niepewne dostatki, niepewna sława, niepewna osiadłość, niepewny przyjaciel, niepewne potomstwo, niepewna śmierci godzina, nadto niepewny i pogrzeb. Słowem jednym, na wyrażenie wszelkich mizeryj, próżności i przykrości, dosyć jest wymówić człowiek. Cóż tedy jest człowiek? Zwierzę mizerne, nieszczęśliwe, niespokojne, śmieci natury, niewolnik grzechu, skopuł fortuny, łódka tonienia pewna, a najpewniejszy obłów śmierci. A żywot-że co jest? Pokarm mizeryi ludzkiej, przepaścista bied i trosk jaskinia, nieugaszony pożądliwości płomień, dym, wiatr, powietrze, proch, cień,

nie cale». Sądzę, że nawet teraz, po dwustu kilkudziesięciu latach jeszcze niejedyn literat byłby rad, gdyby mu takie frazesy spłynęły z pod pióra, choć przecie pod względem siły wyrażenia staliśmy się wybrednymi.

Nietrafnem też wydaje mi się twierdzenie p. Morawieckiego, iżby Lubomirski nie wierzył «w istnienie jakiegokolwiek porządku i uczciwości *w świecie ducha*», boć przecie oparcie się na religii chrześcijańskiej, widniejące w całej jego spuściźnie piśmiennej, chroniło go od zwątpienia. Widział on nieuczciwość i nieład w życiu towarzyskiem, społecznym, politycznym, bolał i szydził z tego powodu, ale od tego daleko jeszcze do krańcowej rozpaczki.

Słuszniejszym natomiast nazwać trzeba wywód ponurego na świat poglądu, z powodu ciosów, jakie dotknęły jego ojca pod koniec życia. Lubomirski widział — powiada autor — «jak długo gwiazda szczęścia przyświecała jego dziadowi i ojcu, wierzył w cnotę swego rodzica, wierzył w jego sprawę i tej sprawie służył, aż nagle gwiazda szczęścia poczęła blednąć, odwróciło się koło fortuny i zwycięski marszałek wraz z synem ukorzyć się musiał przed majestatem królewskim. Ta igraszka fortuny kazała mu o niej myśleć i malować życie w czarnych kolorach. Mógł w rozmyślaniu znaleźć ducha pogodę i lekarstwo na rany, ręką losu zadane, ale przeciwnie to było rodzajowi jego umysłu, który z natury sceptyczny i zimny, pomimo wielkiej pozornej logiki, nie był dość konsekwentnym, nie wiele dbającym o zgodę serca i rozumu. Te wrodzone umysłu własności... nadały jego myślom ten dziwny, niby zdrowy, a przecież w gruncie rzeczy chory kierunek, a na pierwszym jego dziełku wycisnęły piętno zwątpienia i abnegacyi. Wychowany przytem w domu, gdzie tak często słowa czynom kłamały, gdzie zbrodnia stale od lat kilku gościła, stracił powoli ten prosty, ale zdrowy zmysł moralny, który bez filozofii umie żyć uczciwie i kochać szczerze prawdę. Natomiast wyrobił się w nim wielki zmysł praktyczny, owa *rozumna roztropność*, która nauczyła go z każdej okoliczności korzystać i wśród chwilowych niepowodzeń, a nawet klęsk rodzinnych, zachować *umysł pogodny* i pożądlivem poglądamy okiem ku *pałacom fortuny*, do bram których *złota nadzieja* chciwa bogactw i sławy serce wabiła».

Dodać jednak trzeba, że ta niezgoda między teorią a praktyką, między głoszonymi zasadami a postępkami nie była jaskrawą, nie razila przynajmniej oczu społecznych, którzy mar-

szalkowi w. k. przydomek Katona nadali i mądrość jego wysoko cenili. A częste powtarzanie Salomonowego «Marność nad marnościami i wszystko marność!» — nie mało się przyczyniało do rozpowszechnienia tej myśli, że był to umysł nadzwyczaj głęboki, choć w gruncie rzeczy dowodzić tylko mogło, że był niepowszedni.

Piotr Chmielowski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA AUGUSTA COMTE'A W PARYŻU.

Z doktryn filozoficznych, które powstały w XIX stuleciu, żadna może nie miała wpływu tak rozległego, tak wszechstronnego w oddziaływaniach swoich, tak kosmopolitycznego w najlepszym znaczeniu słowa, jak nauka Augusta Comte'a. Zrodzona we Francyi, rozlała się po całej Europie i Ameryce, a dziś liczy może więcej zwolenników wśród niejednego z ludów łacińskich obu półkul, niż we Francyi samej. Nawpół-naukowa, nawpół-religijna, wytworzyła ona dwa odłamy, z których każdy rozwija się niezależnie, ulegając coraz to dalszej ewolucyi. Zarówno filozofia pozytywna, jak i religia ludzkości, liczą w swoim gronie licznych zwolenników, z których jedni stoją na stanowisku nienaruszonej doktryny mistrza; inni starają się ją modyfikować i rozwijać stosownie do postępu myśli i wymagań czasu; a jeśli wśród odłamów pozytywizmu naukowego, niektóre, nawet bardzo blizkie do nauki mistrza, jak pozytywizm angielski w osobie p. H. Spencera, lub rosyjski przedstawiciel doktryny p. Roberti, zapierają się niejako swojej z nim łączności, to wśród zwolenników religii pozytywistycznej widzimy przeciwnie, chęć utrzymania tej łączności jednocześnie z dążeniami reformacyjnymi, które w krańcowej lewicy przybierają charakter kolektywizmu.

Można rozmaicie oceniać pojedyncze składniki nauki A. Comte'a; niepodobna wszakże zaprzeczyć potężnego, a w przeważnej większości wypadków dodatniego jej wpływu na rozwój umysłowości europejskiej i zachodniej wogóle, a jeśli zasadnicze jej myśli rzucone były już przez Saint-Simona, pod którego wpływem wyrabiał się umysł twórcy pozytywizmu, to jego żelaznej wytrwałości i konsekwencyi zawdzięcza świat ucywilizowany, że pozy-

tywizm ze szkicu ulotnego stał się czynem dziejowym, płodnym w tak liczne następstwa naukowe i społeczne.

Nie dziw więc, że dzień 18 maja r. b. zgromadził w Paryżu przedstawiciele bardzo wielu narodowości Europy i Ameryki. Nie dziw, że pomnik, którego odsłonięcie na dzień ten przypadalo, nosi napis: *par conscription internationale*. Powstał on istotnie ze składek zebranych po całym niemal świecie, wśród których Brazylia i Meksyk zajmują wybitne miejsce.

Comte urodził się 19 stycznia 1798 r.; pierwotnym też zamiarem komitetu było, aby w tym dniu już pomnik ujrzał światło dzienne. Rozmaite zwłoki spowodowały odłożenie tej uroczystości na lato 1900 r., kiedy wystawa ściągnęła do Paryża licznych przedstawiciele pozytywizmu z rozmaitych krajów. Zakład wszakże, któremu powierzone było wykonanie pomnika w marmurze, nie ukończył go na ten termin. Ograniczono się więc wówczas do uroczystego zgromadzenia komemoracyjnego, w którym wobec glinianego jego modelu, odbyły się przemówienia stosowne przedstawiciele rozmaitych narodowości¹⁾ i do bankietu, który zgromadził paręset osób.

Odsłonięcie odbyło się przy udziale reprezentanta rządu. Był nim p. André, minister wojny, któremu p. Waldek Rousseau powierzył zastępstwo, przez szczególne poczucie delikatności wybierając zwolennika doktryny. Deszcz padał z niewielkimi przerwami, zakłócając przebieg uroczystości. Mimo to spora gromada otaczała trybunę, na której zebrani byli goście, bliższy udział biorący w inauguracji. Pomnik mieści się na Place de la Sorbonne — małej uliczce zamkniętej z jednej strony frontem kościoła Sorbonny, jedyną częścią zachowaną z dawnego jej gmachu, z drugiej wychodzącej na bld. St. Michel, wprost ogrodu Luksemburskiego, ku któremu pomnik jest zwrócony. Miejsce więc jest i stosowne i dobrze wybrane pod względem estetycznym.

Marmurowy pomnik doskonale odbija białością swoją od czarnego tła kościoła Sorbonny. Składa się on z trzech postaci. Na wyniosłym cokolu mieści się biust twórcy pozytywizmu. Po prawej stronie postać kobieca z dzieckiem na jednym ręku, z gałęzią w drugim, symbolizuje zarazem i ludzkość łączącą ubiegłe po-

¹⁾ Jedno z nich bliżej nas obchodzące ukazało się w przekładzie polskim w «Krytyce» (1901 r.) p. t.: *Pozytywizm w Polsce*. Wszystkie przemówienia i opisanie obchodu znajduje się w «Revue Occidentale», novembre 1900.

kolenia z przyszłemi; po lewej stronie siedzi robotnik oparty o księgę i zamyślony nad nią, a narzędzia pracy spoczywają u jego stóp. Dwie więc te postacie odpowiadają stanowisku, które kobieta i proletaryusz zajmują w doktrynie, a symbolizują jednocześnie pracę i pokój odpowiednio do hasła: *ordre et progrès*. Drugie hasło: *vivre pour autrui*, wyraz wzniosłej zasady altruizmu i podstawa etyczna doktryny, wypisany jest pod popiersiem.

Całość jest pełna smaku i prostoty; daleka od wszelkiej sztuczności i afektacyi. Twórcą pomnika jest p. Injalbert. P. André podnosząc na bankiecie wieczornym toast na jego cześć, słusznie zaznaczył doskonałość, z jaką oddał w dziele swym zasadnicze myśli doktryny.

Przemówienia, niedługo trwające, zakończył piękny wiersz okolicznościowy, deklamowany przez p. Silvain, artystę dramatycznego, w chwili, gdy chmury zaczęły się przerzadzać, dając miejsce promieniowi słonecznemu, który błysnął na sam koniec tego pierwszego aktu uroczystości.

Drugi odbył się w sali Ogrodniczej na rue Grenelle. Było to uroczyste zgromadzenie publiczne pod prezydium p. Hektora Denis, profesora filozofii w Université Libre w Brukseli, rozpoczęte o wpół do trzeciej a trwające do wpół do siódmej wieczór.

Po odśpiewaniu przez chór Marsylianki i zagajeniu przez p. Denis, który mówiąc w imieniu Belgii, podniósł szczególniejsze zasługi p. De Greefa, twórcy pierwszej katedry socyologicznej w tym kraju, a obecnie rektora Université Nouvelle, wykonana została bardzo piękna scena liryczna pióra p. J. Canora (pseudonim) z muzyką p. P. Decourty. Główne role wykonane przez pierwszorzędnych artystów, są: myśliciel, poeta, kobieta, proletaryusz i t. d.

Po ukończeniu tej sztuki, która wywołała gorące oklaski dla artystów i autora, nastąpiły przemówienia przedstawicieli rozmaitych narodowości w ich porządku alfabetycznym, lub odczytanie mów nieobecnych. P. Harrison reprezentował angielską; p. Molenaar — niemiecką; p. Drtina — czeską; p. Simon — brazylijską; p. Milesi — włoską; p. Aragon — meksykańską; p. W. Kozłowski — polską; p. T. Braga — portugalską; p. Nyström — szwedzką; p. A. Riza — turecką. Mowy te przeplatały odpowiednio dobrane i doskonale wykonane ustępy muzyczne.

Bankiet wieczorny w tradycyjnem Café Voltaire na placu Odeonu zamknął ten dzień. Zgromadził on kilkaset osób i odbył

się znowuż pod prezydium p. Andre'go. Swobodnie improwizowane mowy, w których wypowiedziano nadzieje dotyczące przyszłości pozytywizmu lub wymieniano się wrażeniami uroczystości, nadały mu urok.

Przed paru miesiącami zaledwie Francya była świadkiem wielkiej uroczystości pamiątkowej poświęconej największemu z jej poetów Wiktorowi Hugonowi; teraz uczciła pamięć jednego z największych myślicieli. Ale Paryż, porwany wirem życia, nie długo będzie pamiętał o tej chwili. Wszystko pędzi dalej swoim torem, a nowy piękny pomnik przybywający do rzeszy niezliczonych innych, zostanie jedyną pamiątką dnia 18 maja. Zanim ten dzień zamkniemy, spróbujmy wszakże w kilku słowach scharakteryzować te trwałe ślady wyciśnięte na myśli wszechludzkiej, które symbolizuje skromny ów pomnik z białego marmuru.

Za wątek w tej ocenie obieramy znakomite przemówienie p. H. Denis, wygłoszone na posiedzeniu dnia 2 września 1900¹⁾.

W swoich *Opinions Philosophiques* wygłosił Saint-Simon myśl następującą: «Filozofowie XVIII stulecia stworzyli Encyklopedyą, w celu obalenia systematu teologicznego i feudalnego; filozofowie XIX wieku powinni utworzyć również Encyklopedyą w celu założenia systematu naukowego i przemysłowego». Te słowa mistrza wytknęły program działalności uczniowi jego, A. Comte'owi. Świadek ciężkiej kryzysu ideowej i moralnej, spowodowanej przez upadek dawnego porządku pod ciosami Rewolucyi, uczynił on ten wysiłek niezrównany, ku przemyśleniu nanowo całej wiedzy swego czasu, ku rozszerzeniu wiedzy pozytywnej do granic zjawisk dostępnych dla obserwacyi, ku syntezie jej, wyzwolonej ze wszelkich żywołów obcych, aby dać w ten sposób pogląd filozoficzny, któryby stanowił rękojmą jedności i pokoju dla umysłów, a zarazem posłużyć mógł za podstawę pewną dla skutecznego przeprowadzenia jak najszerszych przeobrażeń społecznych.

Rozumiał on, jak Saint-Simon, że odnowienie społeczne wymagało podwójnej pracy: teoretycznej i praktycznej. Lecz kiedy saint-symoniści usiłowali wykonać jednocześnie obie strony tego dzieła, Comte z niezachwianą wytrwałością oddał się jego części teoretycznej, przekonany, że dopiero po jej ukończeniu nastąpić może przeprowadzenie praktyczne znalezionych zasad. Miał on to przeświadczenie niezłomne, że rozkład społeczeństwa będzie nie-

¹⁾ Wydrukowane w «Revue Occidentale», 1 Novembre 1900.

unikniony, jeśli nie uda się wytworzyć systematu doktryn politycznych i moralnych, któryby znalazł uznanie we wszystkich klasach; a ponieważ same tylko prawdy wiedzy mają ten charakter, że zyskują zgodę powszechną, wykluczając opinie i mniemania osobiste, więc zjednoczenia tego szukał na drodze naukowej. W ten sposób powstała myśl wytworzenia umiejętności, któreby w sposób ścisły i naukowy, na wzór innych nauk doświadczalnych, obejmowała zjawiska i przeobrażenia życia społecznego. *Kurs filozofii pozytywnej* był tylko przygotowaniem do *Socjologii*, stanowiącej jego szczyt. Dziwnym zbiegiem okoliczności, przez te 16 lat, które pochłonęło Comte'owi wykończenie tego dzieła, saint-simonizm przebywał wszystkie fazy swojej ewolucji: pośpieszne wyrobienie doktryny, wielkiej pomimo wszystko, gorąca propaganda, próby urzeczywistnienia idealów, rozdziewki wewnętrzne, upadek i rozproszenie kościoła.

W tej niezrównanej energii i wytrwałości, w tym zaparciu się chwili bieżącej, dla dokonania dzieła przyszłości, głównym oparciem Comte'owi było głębokie uczucie miłości dla Ludzkości, z której następnie utworzył przedmiot kultu religijnego. Już w r. 1819 pisał do Valat'a: «Nie przywiązywałbym wcale znaczenia do prac naukowych, gdybym nie myślał *ustawicznie* o ich użyteczności dla gatunku».

Podstawą doktryny filozoficznej Comte'a jest, jak wiadomo, «prawo» trzech faz, przez które przechodzić ma myśl ludzka w rozwoju swoim: fazy *teologicznej*, *metafizycznej* i *pozytywnej*.

Już Turgot wypowiedział myśl zbliżoną do tej, a Burdin i Saint Simon usiłowali ją rozwinąć. Dopiero u Comte'a wszakże przybiera ona ten charakter powszechny i tę doniosłość, które czynią z niej kolumnę kręgową doktryny, według wyrażenia J. S. Mill'a. — Ale stroną tego prawa, na którą mniej dotąd zwracano uwagi, jest ta, że pełni ona w nauce Comte'a rolę, która w innych systematach przypada w udziale teorii poznania. To też na zarzut Maxa Müllera, że Comte stworzył systemat filozoficzny bez znajomości nauki Kanta, znajdujemy gotową odpowiedź w liście twórcy pozytywizmu do Eichthal'a: «Największym krokiem, jaki uczyniłem od czasów Kanta, jest odkrycie prawa trzech stanów». Możemy zgodzić się lub nie na to zestawienie, świadczy ono wszakże o zupełnej świadomości autora doktryny co do równoległego znaczenia prawa trzech stanów z teorią poznania. Słusznie więc p. Lévy-Bruhl odpowiada na zarzuty p. Renouvier, że

pozytywizm ma swoją odrębną teorią poznania. Teoria ta wszakże nie jest oparta na badaniu umysłu indywidualnego, jak u Kanta, lecz na *myśli zbiorowej* Ludzkości w jej rozwoju historycznym. I tu więc ujawnia się charakter społeczny całej doktryny.

Klasyfikacja umiejętności i Socjologia, pojęta jako fizyka społeczna, jako statyka i dynamika społeczeństwa, stanowią dwa dalsze wybitne momenta Kursu. Nie będziemy się nad nimi zatrzymywali, odsyłając czytelników do *Klasyfikacji umiejętności*, stanowiącej pierwszy tom naszej *Biblioteki samouków* co do oceny pierwszej; do cennej pracy naszego wybitnego socjologa p. B. Limanowskiego p. t.: *Socjologia A. Comte'a*, co do drugiej. Zaznaczymy tu tylko, w ślad za p. Denis, że klasyfikacją tę uprzedził niejako Condorcet w swoich znakomitych programach wykształcenia przedłożonych Konwencji Narodowej; że tą samą drogą postępował A. Humboldt, dając obraz przyrody w swoim słynnym *Kosmosie*. — Myśl socjologii rzucona przez Comte'a, jego próba urzeczywistnienia tej nauki, przyniosły obfite owoce. Nie będziemy tu wliczać mnogich imion pracowników na tem polu, ani śledzić modyfikacyj nauki Comte'a w tej dziedzinie.

Idea *Ludzkości* stanowi ogniwo łączące filozofią pozytywną z polityką pozytywną. W niej kondensuje się całe dzieło twórcze Comte'a. Wyrobiecie tej części doktryny, zajmuje drugą połowę jego życia. Przychodzi tu Comte do myśli, że nietylko wszystkie umiejętności są przygotowaniem do nauki o społeczeństwie, lecz że są one tylko częściami jedynej nauki o Ludzkości. Część tego dzieła nowego, w którym zakres twórczości został rozszerzony przez wciągnięcie do niego życia uczuciowego, przedstawiliśmy niedawno w piśmie naszym ¹⁾. Nie będziemy więc przypominali tu owego potężnego wzlotu duszy osobowej ku nieśmiertelności w zbiorowym bycie Ludzkości.

J. St. Mill powiedział, że Comte był pijany moralnością. Istotnie, powiada p. Denis, był on upojony ideą Ludzkości, a w tem tkwi największa jego sława; dlatego też zostanie w dziejach, jako jeden z największych ich przedstawicieli. Dzięki impulsowi danemu przez Comte'a, wiek XIX roztoczył olbrzymie dzieło nauki społecznej, która posłużyła za podstawę do polityki pozytywnej, odmiennej może od tej, jaką wystawił twórca pozytywizmu, która

¹⁾ *Religia Ludzkości* zeszyt II. r. b.

wszakże niezawodnie wchłonie w siebie liczne pierwiastki przy-
szłości zawarte w jego doktrynie. Może być, że wiekowi XX są-
dzono jest spełnić tę drugą interpretacją aforyzmu Alfreda
de Vigny'ego: «Czem jest wielkie życie? — Jest to myśl filozofa,
wykonana przez Ludzkość».

PRZYCZYNNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Attuicya (*ad - tueri* według analogii z *intuicyą* ob.). Wyraz stworzony przez S. S. Laurie (*Metaphysica nova et vetusta*, drugie wyd., 1901). Świadomość przedmiotu złożonego, jako istniejącego nazewnątrż nas, odniesionego do pewnego miejsca. Świadomość ta więc zawiera w sobie twierdzenie, że przedmiot *jest* (poza świadomością naszą). «Fakt ujęcia i odbicia, na wzór zwierciadła, przedmiotu złożonego, jako *istniejącego*, mam na myśli, gdy używam wyrazu attuicya». (l. c. str. 8).

Autentyczny (greck.) = wiarogodny (używa się co do dzieł filozoficznych).

Autokracya — (greckie: *αυτος* sam, *κρατειν* mieć władzę) — samowładztwo, władza niepochođna (jako atrybut woli boskiej w fil. religii).

Autonomia (*αυτο νομος* — być sobie prawem) - samorząd. Kant przypisuje autonomią rozumowi we wszystkich sprawach etyki; to znaczy, że rozum jest w niej najwyższowładny; prawa zaś, które przepisuje woli są powszechne i bezapelacyjne. Na tem polega wolność woli. *Heteronomicznemi* nazywa Kant prawa, które woli naszej narzuca bądź przyroda, bądź przymus naszych namiętności lub pragnień.

ANGLICY O WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

W głośnym kwartalniku angielskim «Quarterly Review» (T. I. r. b.) znajdujemy artykuł poświęcony *Sienkiewiczowi i współczesnym mu pisarzom* (*Sienkiewicz and his contemporaries*) nie noszący podpisu — co stanowi regułę tego pisma — ale pisany widocznie przez Anglika. Artykuł omawia *Trylogię* i *Quo vadis* Sienkiewicza; dwie powieści p. Przybyszewskiego (*Dzieci szatana* i *Homo sapiens*), *Komedyanckę* i *Ziemie obiecana* p. Reymonta, *Ludzi bezdomnych* p. Żeromskiego, *Na kresach lasów* i *W matni* p. Sieroszewskiego, a napisany jest w tonie pełnym sympatii dla Polaków.

Autor zaczyna od zaznaczenia, że we wszystkich niemal dziedzinach sztuki i wiedzy spotykają się imiona polskie, głośnie w całym świecie. Wytyka następnie poczytność powieści Sienkiewicza we wszystkich krajach, zwłaszcza zaś słowiańskich, oraz ich wpływ na rozpowszechnienie języka polskiego. Wyraża ubolewanie nad tem, że przekłady angielskie nie są tak dobre, jakby można było wymagać po arcydziełach tłumaczonych. Omija powieści psychologiczne (*Bez dogmatu* i *Rodzinę Połanieckich*), gdyż nie lubi tego rodzaju, w którym analiza czyni akcją ociążałą. Ubolewa autor nad tem, że *Trylogia*, którą uważa za najlepszy z utworów p. Sienkiewicza, nie może mieć tej popularności w Anglii, jaką ma wśród czytelników polskich, z powodu zupełnej nieznajomości dziejów polskich z okresów w nich potrąconych. Podnosi następnie zalety malownicze, bogactwo i różnorodność epizodów, tragizm i siłę opowiadania, bezstronność w malowaniu postaci nieprzyjajnych (jak Chmielnicki i Karol Gustaw, Radziwiłł), podziwia epickie postacie Podbiępięty, Zagłoby, Kmicica.

Ścisłe narodowy charakter tych utworów stanął na przeszkodzie ich popularności. Lecz skoro tylko obrał p. Sienkiewicz w *Quo vadis* temat bardziej ogólnie-ludzki, sława jego szybko się rozszerzyła po świecie. Autor nadmienia, że powieść ta dała powód do dwóch wprost przeciwnych opinii w literaturze angielskiej: jedni uważają ją za gorącą obronę chrześcijaństwa; drudzy za apoteozę świata starożytnego. Tłumaczy się to tem, że książka ta nie ma żadnej tendencji w tych kierunkach, każdy zaś wkłada w nią swoją własną. Jak w *Trylogii* nie dopuszcza Sienkiewicz, aby patriotyzm sprowadził go na manowce, tak w tym utworze nie daje się uwieść uczuciu religijnemu do tego stopnia, aby robić z książki propagandę chrześcijaństwa; ocenia je raczej z estetycznej niż z religijnej strony. To też najlepszymi postaciami po-

wieści są poganie jak Neron i Petroniusz, lub powtórzenia postaci z *Trylogii* (Ligia — zbliżona do Oleńki; Ursus — sobowtór Podbipięty). Sienkiewicz nie budzi w nas sympatyi do Nerona, lecz tłumaczy go nam przynajmniej, jako fenomen psychiczny. Natomiast Petroniusz, pomimo daltonizmu etycznego, który mu wynagradza po części poczucie dobrego smaku, jest stanowczo najsympatyczniejszą i najwybitniejszą postacią w powieści. Dyletantyzm (w znaczeniu dekadentckim) i wyrafinowanie Petroniusza pozwalają mu podziwiać zalety chrześcijaństwa, lecz stoją na przeszkodzie, aby stało się jego wiarą.

Autor wytyka także słabe strony utworów p. Sienkiewicza. Należą do nich: powtarzanie się tych samych charakterów w rozmaitych powieściach (gdyby autor był bliżej przestudował *Bez dogmatu*, dostrzegłby niezawodnie ściśle braterstwo dusz u Płoszowskiego i Petroniusza), niemniej jak fabuły: w pięciu powieściach powtarza się porwanie panny bądź przez człowieka, którego nie kocha, bądź przez takiego, z którym pomimo miłości nie chce się połączyć (Winicyusz). W kompozycji nie ma tej staranności, co w opracowaniu szczegółów; niekiedy nawet spotyka się nadmiar jaskrawości w opisanu okrucieństw.

Sienkiewicz będąc pierwszym powieściopisarzem polskim, nie jest wszakże jedynym, a dając charakterystykę innych, autor wybiera typowych przedstawicieli odmiennych od jego kierunków.

Modernizm, «jeśli można go nazwać szkołą», reprezentuje p. Przybyszewski, któremu przyznaje talent. Zasadniczą myślą jego twórczości jest «naga dusza» — pojęcie zapożyczone od Ola Hanson'a. Teorya ta polega, jak się zdaje na następującem: całość życia zwykłego duszy spoczywa na wrażeniach zewnętrznych oraz reakcyach, jakie na nie wywieramy; bywają wszakże chwile wyjątkowe, w których te wrażenia i ich oddziaływania, stanowiące niejako odzież duszy, znikają, dając miejsce zupełnie odmiennym, charakteryzującym nagą duszę. Takie chwile następują pod wpływem neurozy, zatrucia alkoholem lub morfina, zaburzeń płciowych i t. d. Stanowią one źródło natchnień. «Nie obchodzi to nas — powiada autor — czy p. Przybyszewski posługiwał się sam, w celu osiągnięcia tego stanu, tak podniosłego, środkami, które zaleca; zajmują nas jedynie jego książki».

Wymieniwszy tytuły ważniejszych jego powieści, autor zaznacza, że p. Przybyszewski jest głośno podnoszony przez jednych, surowo potępiany przez innych i daje proste tłumaczenie tego faktu: «Jego cynizm (obsenicy), ani namiętny, ani samochwalczy, ani upieprzony dowcipem, odpycha od niego jednych ze wstrętem, gdy przeciwnie dla innych stanowi wyrafinowany przysmak. Jest on zdechlakiem (morbid) i niezdrowym w tym samym stopniu, co pisarze francuzcy, niemieccy lub skandynawscy tegoż typu. Dla tych wszakże, dla których «pięknem jest zepsutość, a zepsutość pięknem», których pewnikiem, że gieniusz nie może być gieniuszem, jeśli nie jest zepsutym, p. Przybyszewski jest bożyszczem».

Pomijając rozbiór jego dzieł przechodzi autor do grupy, którą charakteryzuje jako naturalistów. P. Rejmont jest «malarzem przy pomocy słów». Píše przeważnie z wrażeń osobistych, stąd pewna surowa żywość w jego obrazach, która wszakże nie jest nieprzyjemną. Styl jego często naprężony i przeladowany, obfitość postaci psuje wrażenie całości. Góruje natomiast w opisach.

P. Żeromski, znany już z poprzednich nowel mniejszych, stał się gło-

śnym («famous») przez *Ludzi bezdomnych*. «Bywa często pełen goryczy, lecz zawsze poważny i szczerzy. Jak p. Sienkiewicz ma skłonność dostrzegania najlepszych stron w rzeczach, tak p. Żeromski skłonny jest dostrzegać najgorsze. Oburza się na sposób, w jaki wyższe klasy obchodzą się z niższymi i czuje, że ma w tem słusność. Jaskrawo przedstawia nędzę, a nawet wady ubogich: czyliż nie pochodzą z winy bogatych?... Takim też jest jego styl; silny aż do brutalności, surowy, prawie przechodzący w gwarę (*slang*), przypominający woń lachmanów ubóstwa, naśladowujący jego szorstkie głosy, czasem przykry, jak obrazy, na których się zatrzymuje. Z tem wszystkim dosadny, malowniczy i w pewnym rodzaju artystyczny». niesłusznie też zastosowano do niego bajkę Alfonsa Daudeta o roju pszczół, który, uprzykrzywszy sobie wonne łąki polecał szukać osobliwego miodu w stosach nawozu: «jesteśmy przekonani, że nie gonitwa za nowością, lecz litość i oburzenie spowodowały jego wybór». Nie mało jest takich, którzyby woleli, aby przedmiotu tego nie dotyczyć...; jako też i «moderniści», konserwatystów nich potępili ostatnie dzieło p. Żeromskiego, jako pozbawione wszelkiej wartości; inni, idąc w przeciwnym kierunku, podnieśli je jako nowe objawienie. Większość krytyków, zajmujących stanowisko pośrednie, zgadza się na to, że *Ludzie bezdomni* są książką bardzo niezwykłą. Opowiedziawszy dalej w kilku słowach wątek powieści, taki sąd o niej wydaje: «Książka ta nie robi zewnętrznego wrażenia jedności; utworzona jest z oddzielnych epizodów, których związek i stosunek wzajemny trudno daje się dostrzedz na pierwszy rzut oka. Staranne przestudyowanie jej wszakże wykazuje jedność, prawdziwą, chociaż ukrytą jedność charakteru, obrazu, tonu i kontrastów. Dykcja jest bardzo nierówna: niekiedy bez porównania lepsza niż w poprzednich pismach, niekiedy o wiele gorsza. Robi to wrażenie, jak gdyby książka była stworzona w porywie natchnienia i wydana bez żadnych poprawek. Lecz jeśli uważać mamy *Ludzi bezdomnych* raczej za książkę obietnic niż za arcydzieło skończone, obietnice przynajmniej są wielkie».

Przechodząc do p. Sieroszewskiego, zaczyna autor od uwagi, że «wadą wspólną większości pisarzy polskich jest przesada w kolorycie i spazmatyczna gwałtowność wzruszeń. Zdaje się, jakoby nie umieli odróżnić gwałtowności od siły; dążność więc ku naturalizmowi, zniechęcająca do wyrażania uczuć osobistych, byłaby dla nich korzystną, gdyby nie posuwała się dalej, jak tylko do doprowadzenia ich do miary właściwej». P. Sieroszewski, zdaniem autora trzyma się najściślej tej zasady. W pięciu nowelach przedstawił on w sposób spokojny rozczarowania marzyciela-kolektywisty i wygnańca, zmuszonego do walki o życie ze swymi «braćmi», dzikimi syberyjczykami, rabowanego i okradanego dopóty, aż zrozumiał świętość własności. Opisał ponure pustynie śnieżne i niezgłębione «tundry» tak potężnie, że czytelnik odczuwa tęsknotę i przynębienie, których sam autor, zdaje się, nie doświadcza, przedstawił bez żadnego objawu niesmaku lub sympatii życie i obyczaje barbarzyńskich plemion, które zna tak dobrze... Obserwacja uczonego łączy się u niego z natchnieniem artysty. Autor sądzi, że powieści jego nadałyby się do tłumaczenia wskutek obfitości materiału naukowo-obserwowanego.

NOWE KSIĄŻKI.

Biblioteka dla młodzieży. Wydawnictwo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. 16 tomików.

Pisząc w poprzednim zeszycie «Poglądu na świat» o wydawnictwach, podających znakomitsze dzieła literatury swojskiej i obcej z objaśnieniami, niezbędnymi dla należytego ich zrozumienia i oceny, popełniłem omyłkę, którą śpieszę copędzej sprostować.

Omyłka polegała na twierdzeniu, jakoby po upadku wydawnictwa podjętego przez prof. Piotra Paryłaka, nie było aż do ostatnich czasów próby wznowienia podobnych usiłowań. W rzeczywistości próba taka istniała, a została podjęta w r. 1891 przez Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. Wiedziałem o niej tylko bibliograficznie i tem się tłumaczy, że wiadomość ta z biegiem czasu zatarła się w mojej pamięci. Obecnie zaznajomiwszy się (dzięki uprzejmości Towarzystwa) z książkami w tem wydawnictwie ogłoszonymi, winienem podać o nich szczegółowszą wiadomość.

Każda książka w tej *Bibliotece dla młodzieży* ma na czele krótki życiorys autora; tekst opatrzony jest objaśniającymi przypiskami, zazwyczaj niezbyt licznymi. Niektóre tylko dzieła mają jeszcze przy końcu dodany pogląd estetyczno-psychologiczny na to, co czytelnik już poznał. W wyborze utworów starano się o urozmaicenie, nie poprzestając na samej poezyi, lecz uwzględniając prozę historyczną, a nawet pięknie pisane szkice przyrodnicze.

Tym sposobem ogłoszono 16 tomików. Z arcydzieł literatury obcej uwzględniono cztery, a mianowicie trzy Szekspira (*Juliusz Cezar*, *Koryolan*, *Makbet*) i jedno Kalderona (*Księżę Niezłomny* w przekładzie Słowackiego). Dwanaście tomików poświęcono literaturze ojczystej, ogłaszając utwory: Niemcewicza (*Powrót pośta*), Mickiewicza (*Złote myśli*), Goszczyńskiego (*Król Zamczyńska*, *Sobótki*), Szujskiego (dramat: *Wallas*); — Heidensteina (*Pamiętniki o wojnie moskiewskiej* w tłumaczeniu Jana Czubka), Jana Chryzostoma Paska (*Pamiętniki*), Kajetana Koźmiana (*Pamiętniki*), Szajnochy (*Dwie wojny*, *Mściciel*, *Krzyštof Opaliński*), Kazimierza Wodzickiego (*Jaskółka*); wreszcie zbiorowy tomik *Wyboru nowel i opowiadań* pióra 11-tu spółczesnych pisarzy naszych.

Ogólnie biorąc, wyborowi temu nie zarzucić nie można, nie jest on wprawdzie systematyczny, ale kto zna warunki pracy zbiorowej, zwłaszcza u nas, ten brakowi temu dziwić się nie będzie; każda z podanych przez Towarzystwo książek warta jest czytania zarówno przez młodzież jak i przez starszych. Co do życiorysów, poglądów i objaśnień, są one bardzo różnej wartości; zaletą ich jest jasność i treściwość, wadą — pewna oschłość wykładu; wyjątek tu stanowią głównie opracowanie *Powrotu pośta*, dokonane przez prof. Józefa Wójcika, które gdyby uzupełnionem zostało szczegółowszym rozbiorem układu i charakterów komedyi, mogłoby uczynić zadość najdalej idącym wymaganiom. Interesująco też został napisany przez prof. Henryka Kopię wstęp do *Wyboru nowel*.

Ze wszystkich 16 tu tomików najwięcej powodzenia miały dwa t. j. *Pamiętniki Paska*, które w r. 1900 musiano odbić ponownie, oraz *Pamiętniki o woj-*

nie moskiewskiej, obecnie w handlu wyczerpane. Inne rozchodziły się powoli; to też wydawnictwo w pierwszych dwu latach (1891, 1892) ruchliwe, później osłabło w swojej działalności; upływały nieraz całe lata, a żadna nowa książka nie zwiększała jego zasobów. Może jedną z przyczyn było podawanie arcydzieł w skróceniu (*Makbet*, *Koryolan*) ze względów t. zw. przyzwoitości obyczajowej. Mnie się zdaje, że *prawdziwe arcydzieła* nikogo zgorszyć nie mogą, kto je należycie rozumie; że zatem podawać je należy w całości, bo dzieła gorszące nigdy do arcydzieł policzone być nie mogą. Drugą przyczyną niezbyt wielkiego pokupu tych książek jest małe uwzględnienie dzieła poezyi, który zawsze miał i mieć będzie najwięcej czytelników, a pod względem kształcącym należy do najważniejszych. Wreszcie większe ożywienie wstępów przez mocniejsze charakterystyki pisarzy i ich dzieł, mogłoby się przyczynić do spotęgowania zajęcia dla wydawnictw Towarzystwa nauczycieli, czego szczerze im życzę.

P. Chmielowski.

C. Bouglé: *Les idées égalitaires. Etude sociologique*. Paris Alcan. p. 249.

Autor tej książki dał się już poznać poprzednio dziełkiem o *Nauce społecznej w Niemczech*, któremu poświęcimy niebawem dłuższy artykuł. W obecnem usiłuje odpowiedzieć na pytanie: dlaczego idea równości powstała i rozwinęła się tylko w cywilizacji zachodniej, a mianowicie na schyłku świata grecko-rzymskiego i na początku dziejów nowożytnych? — Odpowiada na nie na podstawie dedukcyi psychologicznej i indukcyi historycznej. Wynik jest ten, iż idea ta jest wytworem całej budowy społecznej cywilizacji zachodniej, której jest po części skutkiem, po części przyczyną. Nie wchodzi autor w rozbiór szczegółowy tego, jak dalece jest jednym, a w jakim stopniu drugą. Wykazuje natomiast, że idea ta nie jest wymysłem filozofów, i że nie dość jest zwalczać teorie Rousseau'a, aby znieść poczucie równości. Zniweczyć je można jedynie przekształcając doszczętnie całą budowę społeczeństw dzisiejszych, których jest organicznym wynikiem.

M. Wierzbński: *Akwarele angielskie*. Lwów, Tow. wydawn.

Szereg obrazków z życia warstw zamożniejszych lub średniozamożnych Anglii, pisanych ze znajomością tego życia, niekiedy z pewną werwą, ale bez głębszej treści. Pojawienie się tej książki mogłoby być usprawiedliwione chęcią zaznajomienia czytelnika polskiego z życiem pewnych sfer angielskich, gdyby nie odzwierciedlały tego życia zbyt powierzchownie, z zewnętrznej tylko strony i zatrzymując się przeważnie na płytkich jego objawach; gdyby wreszcie nie czyniła tego lepiej pierwsza lepsza powieść utalentowanego autora angielskiego.

A. Darowski: *Szkice historyczne*. Serya pierwsza, wydanie drugie. Warszawa, Paprocki, 1901. — Cena rs. 1:50.

Są to studia z wieku XVII, po części oparte na niewydanym materiale źródłowym, po części na drukowanych źródłach rosyjskich. Dotyczą one stosunków polsko-moskiewskich. — Pierwszy szkic p. t.: *W przededniu nawalnicy tureckiej* opowiada o poselstwie Węslawskiego do Moskwy w celu zawarcia sojuszu przeciwko Turcyi; opiera się na relacyi Węslawskiego oraz na

dyaryuszu J. A. Chreptowicza. *Rezydent na dworze polskim w XVII wieku* zawiera historię poselstwa pierwszego rezydenta moskiewskiego Wasyla Triapkina; spisane na podstawie rękopisu Świderskiego, znajdującego się w bibliotece Ossolińskich (Lwów) oraz drukowanych pamiętników rosyjskich. — *Intryga Salomonka* jest opisaniem próby przedsięwziętej przez Golicyna dla zachwiania reputacji Mazepy w Moskwie, w którym to celu posługiwał się czernicem Salomonem Grodzkim. *Misja dyplomatyczna w XVII wieku* jest opisem poselstwa moskiewskiego do Warszawy i polskiego do Moskwy, wysłanych celem odebrania przysięgi za pakta polanowskie. Opiera się na źródłach drukowanych.

Całość ma charakter przeważnie opowieściowy, bez oświetlenia pragmatycznego.

Z LITERATURY I BIBLIOGRAFII OBCEJ.

L. Weber: *Die religiöse Entwicklung der Menschheit im Spiegel der Weltliteratur*. (Gütersloh, C. Bertelsmann), 1901, str. 555. — Cena 6 m.

Jest to praca wspólna kilku autorów, mająca na celu, według słów L. Webera, wypełnić lukę, którą tworzy brak dzieł w duchu chrześcijańskim napisanych i zastąpić antychrześcijańskie dzieło podobnej treści Jana Scherra. W skład tej pracy wchodzi 44 artykułów, z których 7 dotyczy ery przedchrześcijańskiej. Większą część ich opracował sam Weber. Prace te są niekrytyczne i mają ściśle określony charakter religijny. To samo dotyczy artykułów innych autorów. Tendencja w nich góruje nad prawdą.

Emile Rodhe: *La nouvelle réforme de l'orthographe et de la syntaxe française*. (Luna Hj. Möller), 1901, str. 52.

Większą część broszury zajmuje przedruk rozporządzenia francuskiego ministerjum oświaty z dnia 31 lipca 1900 r., dotyczącego ortografii; ma więc znaczenie przedewszystkiem historyczne. Znaczenie aktualne posiada przedmowa autora (str. 3—10) i jego komentarz do tego przepisu (str. 38—52), gdzie jasno i stanowczo wykazuje słabe strony rozporządzenia ministeryalnego. Autor łączy z poprawnymi poglądami pedagogicznymi dokładną znajomość nowego systemu ortografii.

Alfred Kültmann: *Maine de Biran*. (Brema, Max Nössler), 1901, str. 196.

Przedmiot książki p. Kültmanna jest niezmiernie ciekawy, gdyż pomimo ważnego wpływu, jaki Maime de Biran wywarł na rozwój metafizyki i psychologii woli w XIX wieku, mało mamy o nim wiadomości. Jednakże autor wywiązał się z zadania w mało zadawalniający sposób Nagromadził dużo materiału do charakterystyki tego wybitnego filozofa, lecz tak źle opracował go, że zorientować się w jego książce trudno. Pomimo jednak tej wady, zasługą książki jest przygotowanie bogatego materiału do badań i poprawne określenie stanowiska Maine de Biran'a w historii psychologii.

H. J. Brunkes: *Ruskin et la Bible*. (Paris, Perrin et Cie), 1901, str. 269.

Autor tej starannie opracowanej książki wykazuje wpływ, jaki wywierała biblia na Ruskina od najmłodszych lat. Wpływ ten widoczny jest na każdej stronie jego utworów. Książka p. Brunkesa jest dobrym przyczynkiem do studyów nad estetą angielskim.

B. Litzmann: *Ibsens Dramen*. (Hamburg, Voss), 1901, str. 196. — Cena m. 3:50.

W odczytach mianych w r. 1892 autor wyrażał się zawsze nieprzychylnie o Ibsenie, nazywając go «niezrozumiałym, obcym przybyszem» w Niemczech, którego dzieła mogą mieć wartość wyłącznie tylko dla Norwegii. Z obecnie wydanej książki przekonujemy się, że p. Litzmann zmienił zupełnie swój pogląd na Ibsena. Uznaje go teraz za «największego europejskiego dramato-pisarza», przyznaje, iż pomimo pesymizmu jest Ibsen idealistą. Charakterystykę jego utworów bardzo trafną i obiektywną rozpoczyna od sztuk, które wywarły największe wrażenie i cieszą się najrozsławniejszą sławą. Na pierwszym zaś miejscu stawiono *Podpory społeczeństwa*.

KORRESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Czy *Myszeis* jest allegoryą? 1) Jakie jej znaczenie? 2) Jaki właściwie jest koniec dramatu *Laboremus*?

Odpowiedź. 1) *Że Myszeis* Krasickiego miała pierwotnie allegoryczno-satyryczne znaczenie, to nie może ulegać najmniejszej wątpliwości; i charakter poematu i świadectwa współczesnych utwierdzają nas w tem przekonaniu. Ale ponieważ współcześni Krasickiemu, prócz ogólnikowej wzmianki, nie dali nam klucza do zrozumienia owej allegoryi, nie umiano jej przez czas długi wyjaśnić szczegółowo. Dopiero Stanisław Gruszczyński r. 1863 w rozprawie p. t.: *O znaczeniu Myszeidy Ignacego Krasickiego* (Poznań), pierwszy pokusił się o rozwiązanie zagadki. Dowodził on, że *Myszeis* przedstawia stosunki Polski przed pierwszym podziałem (Konfederacya barska i po nim. Do końca pieśni IV-ej podaje poeta krytykę zdarzeń dziejo-

wych i osób, które przeważny w nich udział wzięły. Popiel, to Stanisław August, kapryśny, niestały, wciąż zmieniający swoich ulubieńców i kierunek swojej polityki; Mruczysław to Repnin, na którego król w końcu przeniósł swój afekt, występując przeciwko szczerom i myszom (magnatom i szlachcie), które zostawały w ciągłej ze sobą niezgodzie. Gryzomir, t. j. biskup kamieniecki Adam Krasieński, twórca Konfederacyi barskiej, żalośnym głosem zachęcał je do zgody, ale słowa jego obijały się o uszy bez żadnego skutku. Gryzomir musiał się starać o posiłki cudzoziemskie (we Francyi, w Austryi) i podjąć walkę przeciw faworyzowanym przez króla kotom z Mruczysławem na czele. Śmierć Popiela tłumaczył (mniej trafnie) Gruszczyński tem, że Krasicki przewidział detronizacyę Stanisława Augusta. Mnie prawdopodobniejszem się wydaje, że niebezpieczeństwo zgonu, na jakie wystawiony

mógł być król podczas porwania r. 1771 przez konfederatów barskich, dostateczną stanowiła podstawę takiego zakończenia w poemacie, w którym trzeba przecie było wiernie podanie o Popielu przedstawić. Pamiętać potrzeba, że Krasicki, ogłaszając swój utwór (1775), krążący dawniej w rękopiśmie, znajdował się już w innym stosunku do króla, aniżeli poprzednio, bo przeszedł pod panowanie pruskie, przez samą więc przyzwoitość musiał dla króla polskiego, któremu właśnie *Myszeidę* dedykował, zachować pewne względy, któremi się wcale nie krepował, pisząc swój poemacik, jako obrazek satyryczny. Musiał więc zatrzeć wiele miejsc zbyt wyraźnie przypominających znane osoby lub zdarzenia. Tem się między innymi tłumaczy ów rys pijactwa Popielowego, tak niezgodny z usposobieniem i zwyczajami Stanisława Augusta. Obecnie w *Myszeidzie* pozostały tylko ułamki pomysłu pierwotnego, nie zaś doskonale od początku do końca przeprowadzona i utrzymana allegorya. Wywody Gruszczyńskiego podzielił X. Chotkowski (1875 w rozprawie o *Myszeidzie*) i ja także (w *Studjach i szkicach* pisząc o Krasickim). Połowicznie tylko uznał je Stanisław Tarnowski w *Historji literatury polskiej* (t. III, str. 250, 251), a Aleksander Brückner w *Geschichte der polnischen Litteratur* (str. 230) uznając w *Myszeidzie* allegoryę, nie rozjaśnia jej, twierdząc, iż zanadto została zatarta, gdzieindziej zaś, w krytykach swoich odrzuca hipotezę Gruszczyńskiego, lecz nie stawia nowej na jej miejsce. Mojem zdaniem, dopóki nie znajdziemy lepszego, poprzestać winniśmy na wyjaśnieniu, jakie wyżej podałem.

2) Zakończenie dramatu Björnstjerne-Björnsona p. t.: *Laboremus* (t. j. Pracujmy!) jest wyzwoleniem artysty Langfreda od niszczycielskiego wpły-

wu czarodziejki zmysłowej Lidy, która wniosła rozstrój nie w jedną rodzinę i zatrula niejedno serce. Odtąd Langfred, nie odrazu wprawdzie, lecz powoli, stopniowo będzie się mógł zabrać do pracy twórczej, już nie pod hasłem rozpętania zmysłów, lecz pod hasłem obowiązku społecznego, którego spełnienie przyniesie zarazem sercu i umysłowi artysty spokój pożądanym.

P. Chmielowski.

Pytanie. Proszę o podanie mi możliwie zwiezłych rozbiorów *Fausta* Göttego, *Dziewicy Orleańskiej* i *Maryi Stuart* Schillera w języku niemieckim?

Odpowiedź. *Faust*. Kuno Fischer, Stuttgart. — *Dramata* Schillera Belermann, Schillers Drama, Berlin, Waidman. Prof. Creuzenach.

Pytanie. Proszę o wskazanie dzieł w języku polskim i rosyjskim, odpowiadających na pytanie *czem jest historia?*

Odpowiedź. W najbliższym związku z kwestyą tą stoi *Historyka* Lelewela. Wprost na nią odpowiada znakomita rozprawa Szillera: *Was heisst und zu welchem Zwecke studiert man Universalgeschichte?* rozwijająca myśl Kanta i do dziś dnia zachowująca wartość swoją. Również i rozprawa Kanta (w przekładzie polskim p. t.: *Pojęcie dziejów w zakresie kosmopolitycznym*) zasługuje ze wszech miar na polecenie. Z rzeczy najnowszych: Freytag *Ueber Rankes Geschichtsauffassung und eine zweckmässige Definition der Geschichte* w *Archiv für systemat. Philosophie* VI, 2, 3 (1900). — Blżej związane są z filozofią dziejów, lecz, o ile rozumiemy myśl pytania, nie obce mu są: Simmla *Zagadnienia filozofii dziejów* (polski przekład wyd. «Przeglądu Filozoficznego» opuszcza prasę) oraz Kariejewa *Osnownyje woprosy filozofii istorii* (najnowsze wydanie skondensowane w 1-ym tomie). W ostatnim znajdzie Pan także przegląd historyczny rozmaitych po-

glądów na zadanie dziejopisarstwa. Krótki rzut oka na niektóre systemata historyozoficzne zawiera H. Witkowskiej *Pogląd na rozwój dziejowy*. («Książki dla wszystkich». — Cena 10—15 kop.).

Pytanie. Proszę o wskazanie dzieł traktujących o kwestyi żydowskiej. Chciałbym przede wszystkim: 1) poznać psychologią żydów (twierdzą bowiem, jakoby była odmienna od innych ludów), ich życie duchowe, wartość moralną, ideały; 2) wyjaśnić sobie niechęć, jaką ogromna masa chrześcijan żydom okazuje; dowiedzieć się, o ile ta niechęć jest uzasadniona. 3) Chciałbym kategorycznie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy istotnie działalność żydów (z powodu, jak twierdzą niektórzy, braku ideałów a wyłączonego oddania się celom materialnym) jest szkodliwą; 4) czy rzeczywiście związek żydów wszelkich krajów jest silniejszy od tego, który łączy żydów danego kraju z ludnością, wśród której żyją; czy mogą być dobrymi obywatelami tego kraju?

Odpowiedź. Zmuszeni będąc odpowiedzieć na pytania tak doniosłe w warunkach nieprzyjaznych (a mianowicie w oddaleniu chwilowym od kraju i wszelkich źródeł informacji), nie chcąc zaś odkładać odpowiedzi do Nru powakacyjnego, prosimy traktować odpowiedź niniejszą, jako tymczasową. Jednocześnie odwołujemy się do wszystkich, których ta kwestya żywo obchodzi z prośbą o udział w jej wyjaśnieniu, bądź to przez nadsyłanie uwag swoich w formie listów i artykułów, bądź też szczególnie przez wskazanie dzieł, które według ich zdania traktują ją poważnie i przedmiotowo. Wszelka bowiem bibula o fanatycznie-partyjnym zabarwieniu antysemitycznym lub przeciwnym, musi być oczywiście wykluczona.

Tymczasowo więc ograniczamy się

do następujących uwag. Psychologią każdego narodu, która niezawodnie musi mieć cechy swoje odrębne, wyróżniające dany naród wśród innych, poznajemy najlepiej bądź przez znajomość jego życia duchowego, bądź przez jego czyny, bądź wreszcie przez studyowanie poszczególnych typów do niego należących. — Życie duchowe narodu odbija się przede wszystkim w jego utworach uczuciowych, a więc noszących piętno podmiotowe, indywidualne. Takimi są nade wszystko religia i poezya. Obie te strony życia narodu izraelskiego odsłania nam *Stary i nowy testament*, które radzimy studyować w wydaniach Towarzystwa Biblijnego, taniach i kompletnych. Składy jego znajdują się we wszystkich wielkich miastach (polski przekład obu testamentów w oprawie kop. 60). Życie historyczne, czynne, maluje szereg dzieł, traktujących o Wschodzie starożytnym lub specjalnie poświęconych historii tego narodu. Z tych wymienimy piękną wielotomową książkę Renana (*Histoire de juifs*), a po polsku Natansona *Historię żydów*. — Niema wątpliwości, iż zasadniczy charakter, o ile nie jest wynikiem rasowym, lecz kulturalnym, musiał uleść przeobrażeniom po utracie życia politycznego i rozproszeniu żydów wśród innych narodów. Ponieważ jednocześnie ustają i objawy twórczości zbiorowej (prócz mniej dostępnych źródeł twórczości religijnej — tu wymienić winniśmy przede wszystkim *Talmud*) zaznajomić się więc wypada z pojedynczymi typami, a w tym względzie nieocenionym źródłem są artystyczne ich odtworzenia, jakie znajdujemy w niezrównanych utworach p. Orzeszkowej (*Mejr Ezofowiec*, *Eli Makower*, *Silny Samson* i inne) lub w niedorównywających im pod względem talentu, lecz odznaczających się doskonałą znajomością sfer, które maluje, utworach

dramatycznych i powieściowych pana Feldmana¹⁾).

Co do drugiego pytania wskazujemy tymczasowo na wydaną w Krakowie broszurę p. t.: *Odezwa do żydów* pióra jednego z wybitniejszych literatów. Będąc sam izraelitą, autor nie uważa za właściwe wytykać błędów przeciwnej strony, pozostawiając to chrześcijanom, stara się natomiast wyjaśnić, co w niechęci względem żydów płynie z winy (historycznej) samych żydów. Broszura więc ta jest z tego względu jednostronną i wymaga uzupełnienia. Trzeci punkt, wymagający obszernego zestawienia literatury, odkładamy na później. Co do czwartego, powinniśmy przedewszystkiem zaznaczyć, że pierwsza forma pytania nie ma istotnego znaczenia dla odpowiedzi na drugą: łączność duchowa ze współplemiennikami obcych krajów, nie decyduje jeszcze, iżby żydzi byli złymi obywatelami swego. W tej więc ostatniej formie należy pytanie stawiać, jeśli ma ono mieć znaczenie praktyczne. Wszakże cudzoziemcy, mieszkający stale w pewnym kraju, mogą być bardzo użytecznymi obywatelami jego, nie tracąc cech narodowych, a widzimy jak często w dziejach rozmaitych narodów i dziś jeszcze (w Brazylii) rządy sprowadzają cudzo-

ziemców, bądź dla osadzenia na nieuprawnionych gruntach, bądź w celu rozpowszechnienia przemysłu. Przyczynkiem prawdziwie genialnym do odpowiedzi na to pytanie jest *Mendel Gdański* p. Konopnickiej; typ o tyle prawdziwy (poetycko), o ile piękny.

Pytanie. Czy *Zarys psychologii ogólnej* Richet'a ma wartość dla początkującego samouka?

Odpowiedź. Książka ta jest bardzo dobra i jasna. Stanowi dobry wstęp do studiów psychologicznych, lecz jest raczej fizyologią psychologiczną; poświęcona bowiem przeważnie fizyologicznym warunkom, towarzyszącym lub związanym z czynnościami psychicznymi. Można od niej zacząć, aby przejść później do Ziehena *Psychologii fizyologicznej*, która jest ścisłym podręcznikiem i bardzo dobrym przytem. Dla rozpoczęcia radzilibyśmy wszakże obszerniejsze dzieło Wundta *Odczyty o duszy ludzkiej i zwierzęcej*, prześlicznie napisane i łatwo się czytające, gdyż zawsze łatwiej zrozumieć wykład obszerniejszy niż zwięzły. Polski przekład jego jest wyczerpany i są pewne trudności w nabyciu; ale spotyka się ono u antykwaryuszów. Ogólne wiadomości wstępne czysto psychologiczne daje *Psychologia* Murreya; trudniejsza nieco jest Hüfdinga.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wny Ż. P. w Warszawie.* Karta Pańska zawieruszyla się była między korespondencyą administracyjną i dlatego odpowiedź tak spóźniona. Dla

Filozofii nowożytnej mamy dzieło R. Falkenberga w przekładzie W. M. Kozłowskiego, do którego niebawem ukaza się dodatki. *Dekameron* jest w pol-

¹⁾ Z tych daliśmy ocenę *Cudotwórcy* w jednym z poprzednich roczników.

skim przekładzie. Na resztę odpowie- my listownie.

— *Wny A. Ż. w Humanium.* Komitet dla uczczenia Konopnickiej utworzony jest w Krakowie i tam odbędzie się obchód we wrześniu. Na sprawę kupienia dla niej willi nie możemy inaczey zapatrywać się, jak z największą sympatją. — «Letejski» pochodzi od Lety rzeki zapomnienia w mytologii

greckiej. Pseudonimu odsłonić nie możemy.

— *Wny A. K. w Lipnikach.* Pseudonimu bez upoważnienia autora odsłaniać nie mamy prawa.

— *Wny J. J. w Bukareszcie.* Jedna z największych firm wydawniczych w zakresie inżynierii jest *Librairie polytechnique*, 16 rue de St. Pères. Paris.





Wyszło z pod prasy:

W. M. Kozłowski: **Klasyfikacja umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego.** Wydanie drugie, przerobione i znacznie rozszerzone. Stanowi I-szy tom „**BIBLIOTEKI SAMOUKÓW**“. — Cena ct. 50; kop. 40.

Opuściło prasę:

W. M. Kozłowski: **Z hasał umysłowości współczesnej. Szkice publicystyczne.**

TREŚĆ: Wykształcenie i oświata. — Czem jest pogląd na świat i na co potrzebny? — Inteligencya i wykształcenie. — Rola jednostki inteligentnej w społeczeństwie. — Czy mamy inteligencya? — Indywidualizm i jego granice. — Jednostka i społeczeństwo. — Źródła psychologiczne i związek wzajemny potęg dziejowych. — Postęp i wsteczność. — Tradycya i nowość. — Mrówcza praca czy wzlot ku wyżynom? — O dogmat. — Ruch etyczny wobec zagadnień socyologicznych współczesnych. — Słówko o kobiecie. — Apostołowie mierności. — Gieniusze bez teki. — Self-made men. — Mrok czy świt? — Epigonizm współczesny. — Epilog. — **Cena ztr. 1.30.**

 Zwracamy uwagę naszych Czytelników na rubrykę „Korespondencya z Czytelnikami“ i prosimy o odwoływanie się do Redakcyi z wszelkiego rodzaju trudnościami lub wątpliwościami, które napotkają na drodze wykształcenia własnego. 

TYGODNIK NAOKOŁO ŚWIATA

w półroczu bieżącym umieszcza ozdobione licznemi ilustracyami oryginalne prace podróżnicze:

Leopolda Janikowskiego: **Polska wyprawa do Afryki.**

Generała Pawła Chrzanowskiego: **Wpoprzek Ameryki.**

Zdzisława Dębickiego: **Listy z nad morza Białego i oceanu Lodo- watego.**

(Ob. str. 4-tą okładki).

Redaktor odpowiedzialny: Jan Dutkiewicz.

Wydawca: Wł. M. Kozłowski

HENRYK HEINE.

Z PODRÓŻY PO HARCU.

Prolog.

Jedwabnych pończoch cieniutka przędza.
Czarne tużurki, białe mankiety,
Miodowe słówka i pocałunki —
Serca im tylko braknie, niestety!

Tak, brak im serca, brak im miłości,
Żywej miłości ciepłego tchnienia —
Ach, jak mię gnębi ta ich obluda,
Milosnych żalów kłamiwe pienia.

Pójdę ja w góry, w góry wysokie,
Gdzie stoi chatka drużyna cicha,
Gdzie przelatują wietrzyki wolne,
Gdzie wolniej, szerzej pierś ma oddycha.

Pójdę ja w góry, w góry wysokie,
Gdzie ciemne jodły wznoszą swe szczyty,
Szemrzą strumienie, ptaki śpiewają,
I dumne chmury mkną przez błękity.

Żegnajcie, gładkie, świetne salony,
Świetni panowie, świetnych pań względy!
Pójdę ja w góry, i z gór wysokich
Z uśmiechem na was spoglądać będę.

Na Hardenbergu.

Rozszerz się, o serce moje!
Wstańcie dawne sny na nowo —
Pieśni szczęścia, lzy żalości,
Płynście w przestrzeń szafirową!

Pójdę błdzić w pośród jodeł,
Gdzie swawoli strumień żywy,
Gdzie jelenie dumne błdzą,
I drozd śpiewa pieszczotliwy.

Pójdę piąć się na gór zręby,
Na skaliste, hen, wyżyny,
Gdzie szarzejąc w mgłach porannych
Zamku wznoszą się ruiny.

Tam usiadę rozmarzony,
Wskrzeszę w myśli dawne czasy,
Świetne zgasłe pokolenia
I rycerskie ich zapasy.

Dziś, chwast kryje plac turniejów
Kędy walczył rycerz młody,
Co zwyciężał najmeźniejszych,
I wziął chlubny laur nagrody.

Na balkonie bluszcz się ściele —
Tu urocza dama stała,
Co zwyciężąc spojrzzeniami
Cudnych oczu ujrzmiała.

Ach, zwyciężką parę pożył
Zgon, kruszący miecz ze stali,
Ten ponury rycerz z kosą,
Co nas wszystkich w proch obali.

Górska idylla.

I.

W malej chatce na gór stoku,
Mieszka góral siwy, stary;
Tam zielona jodła szumi,
Księżyc srebrzy mgieł opary.

W chatce stoi fotel z drzewa
Fantazyjnie wyrzynany;
Jest to miejsce wybranego —
A ja — jestem ten wybrany.

Tuż, na stołku, dziewczę siedzi,
Rączki wsparło o me łono,
Oczy, jak dwie modre gwiazdy,
Usta, róż purpurą płoną.

Moje lica ogarniają
Boskie modrych gwiazd spojrzenia,
Na usteczkach palec kładnie —
To znak niemy ostrzeżenia.

O nie! Matka nas nie widzi —
Przędzie, patrząc w kołowrotek,
Ojciec cytrą się zabawia,
I śpiewaniem starych zwrotek.

Więc dziewczątko szepce dalej
Przytlumionym wciąż głosikiem,
I niejednej tajemnicy
Już zostałem powiernikiem:

— «Ciotka zmarła nam; od czasu»
«Jakeśmy ją w grób schowali,»
«Nie chodzimy do Goslaru,»
«Do strzeleckiej, pięknej sali.»

«Tu, na górskiej tej wyżynie,»
«Dni pędzimy wiecznie sami,»
«A zimową porą, całkiem»
«Zasypuje nas śniegami.»

«A ja jestem bojaźliwa!»
»Lękam się jak małe dziecię»
«Górskich duchów, co nocami»
«Broją, błędząc po tym świecie.»

Tu, zamilkła luba mała,
Własne ją strwożyły słowa,
Wystraszona, w obu rączkach
Buzię i oczęta chowa.

Jodła głośniej zaszumiała,
Skrzypci, furczy kolowrotek,
Cytra zaś wtóruje zcicha,
Prostym słowom dawnych zwrotek:

— «Nie bój się dziecino luba»
«Duchów złych tajemnej mocy,»
«Bo aniolki białe z nieba,»
«Strzegą ciebie w dzień i w nocy.»

II.

Jodła palcy zielonemi
Puka do nas w okno niskie;
Złoty księżyc, szpieg milczący,
Rzuca w izbę świetlne błyski.

Ojciec, matka, chrapiąc zcicha,
Już w sypialni śpią sąsiedniej;
Lecz nas dwojga sen nie morzy,
Więc gwarzymy sami jedni.

— «Więc ty modlisz się codziennie?»
«O, ja temu niezbyt wierzę!»
«Drganie twoich ust dowodzi,»
«Że upewniasz mię nieszczerze.»

«Zawsze jakiś strach mię chwyta»
«Gdy tak gorzko drżą ci usta — »
«Lecz gdy na mnie spojrzysz jasno,»
«Zaraz pierzcha trwoga pusta.»

«Wątpię jednak, czy ty wierzysz»
«W to, co wiarą jest prawdziwą,»
«W Boga Ojca, Syna, Ducha,»
«Czy ty wierzysz wiarą żywą?» —

— «Dziecię u matczynych kolan,»
«W pacholące moje lata,»
«Już wierzyłem w Boga Ojca»
«Wszechmocnego Stwórcę świata;»

«On tę piękną ziemię stworzył,»
«Na niej piękne ludzkie dzieci,»
«On księżycom, słońcom, gwiazdom,»
«Skreślił drogi we wszechświecie.»

«Później, z wiekiem, gdy myśl moja»
«Mogła już pojmować więcej,»
«W jedyne Boga Syna»
«Uwierzyłem najgoręcej — »

«W Syna, co nam przyniósł w darze»
«Skarb miłości nieprzebrany,»
«I w nagrodę był, jak zwykle,»
«Przez swój lud ukrzyżowany.»

«Dziś, gdym dojrzał, gdym świat zwiedził,»
«Zgłębił księgi, nowe, stare,»
«Bóg Duch Święty, trójjedyny,»
«Posiadł moją żywą wiarę.»

«On, największe czynił cuda»
«A dziś czyni większe jeszcze;»
«Zniósł tyranie możnych panów,»
«Starł niewoli twarde kleszcze;»

«On śmiertelne rany goi,»
«Dawne prawdy ze snu budzi,»
«Dowiodł tożsamości rodu»
«I szlachectwa wszystkich ludzi.»

«Wciąż złowrogie mgły rozprasza,»
«Stawia czoło zwątpień marze,»
«Co nam szczęście, miłość truje,»
«Zniechęceniem kryjąc twarze.»

«Święty Duch ma swych rycerzy,»
«Co spełniają jego wolę,»
«Dusze natchnął im odwagą,»
«Lśniąc herbami ciągną w pole;»

«W dłoniach skrzą im świetne miecze,»
«Ich sztandary w górę płyną!»
«Wszak rycerza podobnego»
«Ujrzyć chciałabyś, dziecino?»

«A więc na mnie spojrzysz zblizka,»
«Daj całusa, i patrz śmiało!»
«Jam Świętego Ducha rycerz,»
«Służę Jemu duszą całą!»

III.

Złoty miesiąc już zachodzi,
Jodła skryła go zielona,
I w izdebce naszej, również
Gaśnie lampa wypalona.

Lecz błękitne moje gwiazdy
Skrzą świetliście wprost mej twarzy,
Purpurowe usta płoną,
Lube dziewczę dalej gwarzy:

— «Małe, psotne krasnoludki»
«Kradną u nas chleb i sadło,»

«Przyjść wieczorem, wszystko całe,»
«A nazajutrz — już przepadło!»

«To śmietankę zliżą z mleka,»
«Nienakryte rzucają dzbanki,»
«A już wtedy kotka spija»
«Resztę mleka i śmietanki.»

«Kotka ta jest wiedźmą pewnie —»
«Noc czy słońce, ona bieży»
«Do siedliska górskich duchów,»
«Między gruzy starej wieży.»

«Stał tam niegdyś piękny zamek,»
«Pełen gwaru, brzęków stali,»
«W salach damy i rycerze»
«Z pochodniami wkrąg płasali.»

«Zamek ten wraz z mieszkańcami,»
«Zła zaklęła czarownica,»
«Dziś, w ruinach żyją sowy,»
«Wszędzie pustka smętnolica.»

«Lecz mawiała zmarła ciotka,»
«Że dość rzecz właściwe słowo,»
«W czas właściwy, o północy»
«Wśród tych ruin, a na nowo»

«Dźwigną się zwietrzałe gruzy,»
«Znowu świetny zamek stanie,»
«Znów wesóło tańczyć będą»
«Cni rycerze, piękne panie.»

«Kto to słówko rzekł — jest panem»
«Ludzi, zamku, całej włości,»
«Trąby, kotły zagrzmią, sławiąc»
«Moc tej młodej wielmożności.»

Tak na ustach jej różanych
Czarodziejskie baśnie kwitną,

A źrenice lazuruowe
Zorzą palą się błękitną.

Swawolnica, moje dłonie
Owinęła w pukle złote,
Każdy palec ma swe imię,
Pocałunek i pieśczętę.

Wkońcu milknie; izba cicha
Patrzy na mnie tak wesoło,
Zdaje mi się, że znam dawno
Stół i szafę, wszystko wkoło.

Przyjacielsko zegar gwarzy,
Cytra zcicha sama dzwoni,
A ja siedzę pogrążony
W mar bajecznych barwnej toni.

Otom, wśród zaklętych ruin,
Moc nadziemska mię przenika,
Z ust mych słówko czarodziejskie
Mimowoli się wymyka.

Patrz, dziecino, jasność pada!
Północ pierzcha wraz ponura,
Potok, jodły szemrzą głośniej,
Budzi się uśpiona góra.

Dźwięki cytry, gnomów pieśni,
Biją z szczelin górskiej skały,
I cud tryska z niej wiosenny,
Las kwiatowy, wybujały.

Pąki kwiecica bajecznego
Roztaczają się szeroko,
Wonne, barwne, rozszeptane,
Namiętnością tchną głęboką.

W kwietnych gąszczach, kraśne róże
Skrzą płomieniem swej purpury,

Jak filary kryształowe,
Lilie wznoszą się do góry.

Gwiazdy wielkie, niby słońca,
Tęsknie patrzą się zdaleka,
W niebotycznych lilij czasie,
Ich światłości płynie rzeka.

We mnie, w tobie, lube dziecię,
Też niezwykle zaszły zmiany.
Blask pochodni, jedwab, złoto,
W krąg objęły nas świetlany.

Ty, księżniczką jesteś cudną,
Chatka w zamek przemieniona,
W salach tańczą, śmiechy dzwonią
Wśród rycerzy i pań grona.

A ja, ja posiadam ciebie,
Jestem panem zamku, gości,
Kotły, trąby hold składają
Mej młodzieńczej wielmożności!

Przekład J. Stempkowskiej.



DWA ŚWIATY.

(Weyssenhof: *Sprawa Dołęgi*; Daniłowski: *Z minionych dni*).

W istocie są to dwa światy i dwa odmienne rodzaje twórczości, ale właśnie to, że stanowią rodzaj przeciwstawienia i że z pośród powieści społecznych ostatniej doby należą do najwybitniejszych, skłania mię do postawienia ich obok siebie. Powieść społeczna powinna odzwierciedlić, jeżeli nie całe społeczeństwo, to

przynajmniej pewną jego warstwę, z możliwą wyrazistością. Do takich powieści można zaliczyć *Sprawę Dołegi* Weyssehofa.

Przypuśćmy, że ktoś, nieznający zupełnie naszego społeczeństwa i chcący się z niem zapoznać za pomocą powieści współczesnej, przeczyta wymieniony utwór: będzie miał jak najdokładniejszy obraz naszej sfery arystokratycznej. Jest to obraz, odmalowany przez mistrza; wszystkie tony rozłożone są z rozwagą i zastanowieniem; nigdzie zbytecznej jaskrawości, nigdzie ręka malarza niezadrgała pod wpływem bolesnych uczuć ani wrażeń, lecz zawsze spokojna i pewna siebie rozdzielała światła i cienie z całym obiektywizmem prawdziwego artysty. Mówię: z obiektywizmem, ale nie z chłodem, bo są w utworze postaci, które autor obdarza wyraźną swoją sympatją, są znów takie, które traktuje z subtelną ironią, lecz ani sympatya ani niechęć nigdy nie unoszą go zbyt daleko; zawsze pozostaje człowiekiem wykwintnym, lubującym się w półcieniach i półświatłach, chcącym, aby go rozumiano w półsłowach. Mimo to plan utworu narysowany jest z nadzwyczajną jasnością, a chociaż niektóre ustępy zdradzają, że je napisał prawdziwy sztukmistrz, lubiący cyzelować piękne ornamenta, jednak nie zakłócają one bynajmniej klasycznej niemal prostoty głównych linii. Czytając tę powieść, ani na chwilę nie możemy się uwolnić od wrażenia, że jesteśmy w salonie, przez którego okna widać jednak roztaczające się szersze horyzonty, widać chaty, pola, całe mrowisko ludzi pracujących. Ale okna salonu z grubego szkła i jedwabne przy nich firanki tłumią zbyt natrętne odgłosy z zewnątrz, aby nie zagłuszyły rozmów, nie mających wspólnego z tem życiem, które tam w dali wre i kipi. Rozmowom tym i życiu temu, pozbawionemu wszelkiej głębszej treści, przypatruje się, oparty o marmur kominka, człowiek rozumny, który sięga wzrokiem po za ściany salonu, który wie, co dobre i piękne; a jednak on nie pójdzie tam, pomiędzy to mrowie czarne, pracujące, nie opuści tego salonu, bo pomimo wszystko przywykł do jego form wykwintnych, do jego atmosfery, stworzonej z półświatel i półcieni; więc został tu i słucha i patrzy, — tylko od czasu do czasu uśmiech na pół ironiczny, na pół smutny błądzi po jego ustach. Tym widzem jest sam autor, który tak trafnie i tak subtelnie umiał scharakteryzować całą płytkość swojego otoczenia.

W powieści społecznej, aby zorientować się w zjawiskach życiowych, autor musi stanąć na jakimś wyższym punkcie, skąd

obrzucić może wzrokiem całość, inaczej bowiem zatraci zupełnie poczucie perspektywy. Mimowoli nasuwa się tutaj porównanie między *Rodziną Połanieckich* a *Sprawą Dołęgi* — tam Sienkiewicz barwnie i z właściwą mu plastyką odtworzył warstwę szlachecko-burżuazyjną, ale nie odsłonił przed nami żadnych szerszych horyzontów, na tle których sfera owa mogłaby stanąć dopiero we właściwym oświetleniu. Natomiast w *Sprawie Dołęgi* autor roztoczył przed naszym okiem dalsze plany, które całą działalność warstwy arystokratycznej sprowadzają do właściwej miary. Gdyby nie to, może owa sprawa dróg i szos, około której, niby około osi, obraca się powieść, przedstawiłaby się nam w innym świetle, może owi panowie, wysłani w tej sprawie do Petersburga, urosłiby do rozmiarów prawdziwych wodzów i polityków? Lecz punkt wynioślejszy, z jakiego autor patrzy na owego Zbąskiego, zwanego «Karolem Wielkim», na Szafrança, na księcia Janusza Zbarazkiego i innych, zamienia ich na karłów, pozujących tylko na wielkość. laskawie im przyznana przez bardzo względne otoczenie.

Młody inżynier Dołęga, jedyny dzielny człowiek, który się zamieszał w tę gromadę pasożytów społecznych, doznaje gorzkiego zawodu, powierzwszy sprawę dróg bitych w ręce ludzi, nie mających pojęcia o żadnej rzeczywistej owocnej działalności społecznej. Odprawiają go oni z kwitkiem, osłaniając się przytem w płaszczy wielkich działaczy, którzy, przybywszy do stolicy, zaczęli traktować sprawę szos jako cząstkę zaledwie wielkich planów praktycznych tam powziętych, «a te plany bladły znowu wobec inauguracji nowych, trzeźwych stosunków, opartych na duchowym zjednoczeniu». Jednocześnie spada na Dołęgę inny cios. Księżniczka Halszka, córka starego księcia Zbarazkiego, którą Jan pokochał całym sercem, mając ją za coś lepszego i wyższego od całej sfery, donosi mu, że wychodzi za hrabiego Szafrança, najbogatszego człowieka w kraju, ale zero moralne. Dołęga przypłaca wszystkie te zawody ciężką chorobą, ale podnosi się z niej, aby znów z nową energią zabrać się do czynu. Zdobywa się nawet na tyle siły, aby nie przyjąć ofiary Halszki, która sama przynosi mu swe serce i rękę, obiecując zerwać z hr. Szafrancem. Czujemy, że jest to ostatni wyższy poryw w duszy młodej księżniczki, natury zresztą zdrowej, szlachetnej i silnej, ale już znacznie wypaczonej przez otoczenie. Rozstawszy się z Janem Dołęgą, zostanie ona hrabiną Szafrancową, będzie się stroiła, bawiła i flirtowała, zapomni zupełnie o pierwszym swoim i jedynie prawdzi-

wem uczuciu. W powieści jednak przedstawia się ona jako piękny i zdrowy typ dziewczyny, źle wychowanej wprawdzie, ale posiadającej szlachetne instynkta, których jeszcze otoczenie nie zdołało zupełnie zagłuszyć.

W bracie jej, księciu Andrzej, widzimy to samo borykanie się lepszych instynktów z lenistwem, bezmyślnością i płytkością, panującą wśród całej sfery i zwyradniającą ją powoli. Ani wpływ kolegi jego, Dolegi, ani nawet końcowy jego zwrot ku wyższym idealom, pod wrażeniem przeczytanego rękopisu, podnoszącego zasługi społeczne pradziada, nie daje nam żadnej rękojmi na przyszłość, gdyż czujemy, że w charakterze Andrzeja niema mocnych podstaw, na których możnaby coś zbudować. Bardzo trafnie porównał Dolega owe sfery do stojącej wody, której do niczego użyć niepodobna. Ale Andrzej usiłuje ich bronić, tłómacząc, że są jedynie przedstawicielkami estetyki życiowej.

— «Co mi estetyka! i jaka estetyka? — woła na to Dolega. — Poczucie i znajomość piękna? Tych widzę bardzo mało. A to, co nazywasz estetyką, jest zwykłym sybarytyzmem, przystrojeniem sobie życia ku największej wygodzie, bez aspiracyi społecznych, bez szczypty altruizmu, bez sensu dziejowego».

A na czem polega u księcia Andrzeja owa estetyka, zaraz zabaczmy.

Podobała mu się piękna i miła panna ze sfery mieszczańskiej, Marynia Helle, którą bałamucił w najniegodniejszy sposób. Jest ona milionerką, piękną i dobrze ułożoną, lecz oprócz walki z rodziną, odstrasza od niej Andrzeja — nie zgadlibyśmy co?

— «Nie razi mię — spowiada się przed Dolegą — skoro czuję do niej szalony pociąg i prawdziwą sympatyę. Jednak przyznam ci się: czasem — rzadko, powie coś takiego, albo wykona jakiś ruch pod rozwartym kątem — a ja notuję: takby tego nie powiedziała, nie zrobiła panna z mojego towarzystwa. I wtedy przechodzi mię lekki dreszcz bojaźni...»

— «Ale cóż to za słowa, co za objawy, czy ważne?» — spytał Dolega.

— «Gdzież tam, najdrobniejsze. Czasem, na przykład, zapyta mię o coś, co się tyczy Waru, albo rodziny, z jakąś słodyczą niby pokorną. Ja słodycz lubię, ale pokorę uważam za zbyteczną. Albo mówi o nas, jak o żelaznym wilku... A kiedyś znowu przy jakims żarcie mrugnęła tak, że mi przypomniała starego Hellego. Aż mi się zimno zrobiło!»

«Jan patrzył na Andrzeja, jak na chorego»

Dziwimy się tylko, jak taki dzielny Jan Dołęga, pomimo doświadczeń, jakie przeżył, wierzył jeszcze w przyszłość tej sfery i bronił jej wobec Hellego. Natomiast Helle zna całą jej wartość wybornie i trafnie ją scharakteryzował w rozmowie z Andrzejem. «Poszanowanie, moralna władza — wypływają nie z dziedzictwa dawnych zasług, ale z realnych zasług dla dobra żyjącego pokolenia... A panowie czy oglądacie się na społeczeństwo? Czy nie pracujecie (jeżeli kto tam u was pracuje) dla waszej wyłącznie kasty? Nie widzicie nawet, że kraj się rozrósł, że przybyły mu nowe siły, z którymi trzeba się liczyć i współdziałać, aby zyskać sobie potwierdzenie swoich stałych tytułów, — panowie nie znacie nawet kraju».

Andrzej patrzył na Hellego ze zgrozą. Jakto? ten Helle, którego ojciec jeszcze był przybyszem z Niemiec, odzywa się do prastarych synów tej ziemi «nie znacie kraju!?» Helle również przejrzał na wskrósł Zbążkiego, owego «Karola Wielkiego», który uważany był za wyrocznię w swej sferze. «Zbąski, mówił Helle, jest karykaturą dowódcy. Gdy niema prawdziwych, potrzeba kartonowych dowódców. A potrzeba ich dlatego, aby był obóz, bo wielu jest ludzi, którzy mają osobisty interes należenia do obozu, a nie pytają, w jakim celu się skupili, w jakim kierunku podążają. ...Tak panie, Zbąski jest karykaturą wodza, a wszyscy ci, którzy u nas uchodzą za arystokrację, są karykaturą arystokracji. Niech mi pan powie, jaką mają zasadę istnienia w społeczeństwie? Czem zasługują na przodujące stanowisko? Nie mieszają się do pracy społecznej, chyba w swoim wyłącznym interesie; takim się wstrętem odgradzają od innych klas ludności, że są obcy pośród swoich... przechodzą dobrowolnie w stan archeologicznego zabytku».

Nieporównanym jest Karol Zbąski, zarówno jak świetnym jest baron Kersten, kosmopolita, który, przechodząc przez brudne ulice Warszawy, woła patetycznie: «I ja to mam kochać? Boże, za czyje winy jam się tu urodził?»

Warstwa ta, jak nam ją autor przedstawił, wciąż bierze część za całość, to jest, że sprawę wyłącznie swojej kasty, uważa za sprawę kraju. Nic tak wybornie nie maluje zapatrywań się tych ludzi, jak list księcia Janusza Zbarazkiego, z Petersburga do żony pisany: «*Ou nous connaît ici, et notre rang nous y est accordé sans discussions.* Wogóle, wszyscy jesteśmy tego samego zdania, że pora trzeźwo się zastanowić nad naszymi stosunkami wzajemnymi...

Formy tych wszystkich, do których mieliśmy interesa, są wyborne. To już bardzo wiele — reszta przyjdzie, jestem tego przekonania. Naturalnie wymagać nie trzeba rzeczy niepodobnych» i t. d. i t. d.

Albo ta mowa Zbążkiego na obiedzie, danym przez księcia dla Zellera, wysokiego dygnitarza stołecznego, — ta mowa, której każdy wyraz zbierany był skrętnie «jak manna, która tylko w pewnych latach i w pewną pogodę dojrzewa». — I tak dalej, jak w kalejdoskopie, autor przesuwa przed nami figury takie, jak p. Norberta Zawiejskiego, namaszczonego patryarchalną powagą, z twarzą apostoła z epoki barokowej, jego syna, Hektora, księżny Hortenzyi Zbarazkiej, hrabiny Izy Hohensteg i innych, — widzimy te salony, w których kobiety kokietują młodzież, starsi zaś mężczyźni, zebrani w liczne grono, rozmawiają gorąco... o procesie Dreyfusa. Dołęga, któremu, pomimo lat trzydziestu, pozostała widocznie jeszcze spora doza naiwności, dziwił się, «jak mogą godzinami rozprawiać o sprawach francuskich ci sami, dla których każda wewnętrzna sprawa krajowa jest tak zwaną pilą». Ale my się temu wcale nie dziwimy.

Poglądy panów na sprawy ogólne odbijają się echem w oficynie, charakterystyczną pod tym względem jest rozmowa pomiędzy burgrabią Marsowiczem a lowczym Kordyuszem o nowych napisach na słupach, odgraniczających lasy warskie, którą pan Kordysz kończy taką dyplomatyczną sentencją: «Kiedy nam dobrze chcą zrobić, i my im ustąpmy w tem lub owem».

Po całej powieści rozsiane są takie trafne obserwacje i rysy, chwyczone na gorącym uczynku, a żadna satyra społeczna, w której dotychczas usiłowano napiętnować wady i zdrożności naszej arystokracji, nie mogła ich uwydatnić z taką dokładnością, jak w tem zwierciadle, podanem jej przez człowieka, pochodzącego z tejże samej sfery, a więc niemogącego podlegać zarzutowi, że malował to, czego nie znał. Tutaj malarzem był głęboki i subtelny znawca, który, jak Słowacki w «Grobie Agamemnona» — mówi, bo smutny...

Teraz przejdziemy do innej powieści, stanowiącej świat biegunowo przeciwny temu, jaki odzwierciedlał się w utworze Weyssenhofa. *Z minionych dni Daniłowskiego* odznacza się nieregularnym planem, nerwową, przerywaną akcją, stylem oryginalnym, który miejscami dochodzi aż do paradoksalności. Jeżeli *Sprawę Dołęgi* można porównać do obrazu jasno odbitego na

gładkiej, spokojnej powierzchni jeziora, to utwór Daniłowskiego wygląda jak odbicie drżące, poszarpane, chwilami niejasne, na wodzie wzburzonej i szybko płynącej. Sfera, przedstawiona w *Sprawie Dołęgi*, porównana była do wód stojących; tutaj natomiast widzimy rzekę, płynącą wartko, kapryśnie: niesie ona na swoim grzbiecie, to drzewo obalone, to kwiat jeszcze świeży, któremu przed chwilą podmyła korzenie. Jeśli zawijamy na chwilę wraz z bohaterami do jakiej spokojnej przystani, to niebawem straszny kataklizm zamaça jej ciszę i wtrząsa wszystko dokoła. Autor maluje trzy pokolenia ludzi, opętanych, rzecz można, przez miłość ideału. Pierwsze pokolenie, to doktor Postański, szlachetny entuzyasta, niepoprawny idealista, któremu zawody połamały skrzydła. Aby uchronić się od rozpacz, szuka on ucieczki w goryczy i sarkazmie. Drugie pokolenie stanowi Wiktor, uczeń Postańskiego, pokrewny mu ideałami, ale typ zupełnie inny, bardziej złożony, bardziej subtelny, ale też mniej jasno narysowany. Trzeci, to Ignasz, syn Wiktora, dziecko kilkoletnie, ale już dotknięte przez palec przeznaczenia, które kazało mu tak samo, jak ojcu, zginąć w poszukiwaniu mistycznego kwiatu paproci, mającego dać szczęście wszystkim ludziom. Wiktor, żona jego Marynia i syn obojga, Ignasz, stanowią trójkę, oplataną przez los tragiczny, jak węże oplatają grupę Laokoonu. Gdy Wiktor umiera w oddaleniu, wierny ideałom, które sobie postawił jako cel życia i dla których wszystko poświęcił, Marynia popadła po jego śmierci zrazu jakby w stan łagodnego oblędu, czy też katalepsyi moralnej. Budzi się wreszcie z tego odrętwienia pod wpływem myśli, że może obcować jeszcze z duchem męża, — próbuje nawet wywoływać go po nocach, lecz niebawem następuje gwałtowne wstrząśnienie, spowodowane napozór nader drobną okolicznością, ale które porwało ostatnie wiązadła, łączące Marynię z życiem. Nieszczęśliwa kobieta popelnia samobójstwo, a doktor Postański, domyślając się jej zamiaru, nie stawia mu żadnych przeszkód i tylko życzy jej w duchu, aby to się stało dobrze i prędko. Dziwny ten starzec sam jeden tylko w całym domu pojmuje wewnętrzne męki, jakie przechodzi ta kobieta, a innego dla niej lekarstwa szukać nie umie, czy nie chce. Ignasz, dziecko idealne, które odziedziczyło po rodzicach charakter zdolny do poświęceń, rozmarza się myślą o bajecznym kwiecie paproci, który może dać szczęście całemu otoczeniu, — idzie więc w nocy do lasu, aby szukać tego kwiatu i tonie w trzęsawisku. Tragiczne losy całej rodziny opowiedziane są stylem poszarpanym,

miejscami aż niejasnym (niejasność tu nie zawsze pochodzi z winy autora), ale dziwnie niekiedy przejmującym. Stanowi on zasadniczą różnicę ze stylem *Weysenhofa*; o ile tamten jest spokojny, kryształowo-jasny, o tyle ten jest nerwowy, zmienny jak fala i jak fala drgający od blasków i cieniów, które nad nią przepływają. Nic dziwnego, — inaczej mówi człowiek, czyniący spokojne refleksje i obserwacje nad życiem, inaczej ten, który cierpi nad tem, co widzi dokoła siebie i chwilami wije się z bólu. Podczas kiedy tamci ludzie przesuwają się lekko po samej powierzchni życia, zajęci tak ważnemi sprawami, jak wyścigi, partya tennisa lub małżeństwo którego z hrabiów lub książąt, — tutaj inni ludzie, parci przez ową «siłę fatalną», co to «zjadaczy chleba» w aniołów przerabia, porwani przez miłość dla ideału, zapominają o szczęściu własnem, aby zdobyć szczęście dla wielu. Jeżeli zakładają gniazdo rodzinne, to nad tem gniazdem już odrazu kracze czarny ptak trwogi i nieszczęścia. Postański mówi o Wiktorze: «To było jasne od początku... od pierwszego stopnia, że te schody prowadzą do piwnicy, a on sobie jeszcze gniazdko lepi i hoduje pisklęta!» Tak, miał słuszność, — kto chce iść ową posępną, ciernistą drogą, którą tylko z góry oświetlają przeblyski ideału, temu nie wolno lepić gniazda i piskląt hodować, bo gdy nocą odezwie się nagle głos przeznaczenia, ów głos, który wciąż woła w ciemności: «Idź dalej, idź dalej!», to cóż się stanie z opuszczonem gniazdem? Ale jeśli tym ludziom nie dano zakosztować zwykłego ziemskiego szczęścia, miewają oni chwile, w których, tak jak Wiktor, dochodzą «do takich dziwnych wzruszeń, jakich chyba może doświadczyć lekki, rozpięty wysoko obłok, gdy nawskróś przesiąka pierwszą różową strzałą zorzy poranku. Czując w sobie brzask dnia, który spotyka, zapomina, że czyha na niego wichur, mocen zedrzyć go, jak płachtę, z błękitów i łzami wbić w błoto ziemi». Gdyby myśl ta wypowiedziana była w formie poetyckiej, zająśniałaby jak klejnot i rzuciłaby swoje blaski na cały utwór; w powieści zaś może być z łatwością przeoczona przez czytelnika, chociaż w niej mieści się jej kwintesencya. Ow obłok, żaglujący w słońcu, a potem porwany przez wichur i łzami w błoto ziemi wdeptany, nie jest-że to historia tych istot ludzkich, których losy autor nam opowiedział? Gdy ginie Ignasz, ostatnia latorośl rodu idealistów, doktor Postański woła z goryczą: «Adam i Ewa mieli dwóch synów, Abla i Kaina, i tak się rozdzielił od początku ród ludzki... Niema komu wejrzyć na ofiarę... Nie spada jego twarz

(Kaina) — on tyje... Już nie on jest tułaczem i zbiegiem na ziemi, nie on... Ignas, mądre dziecko, zrozumiał... wolał odrazu na dno, na dno!...» Jako przeciwstawienie tym szlachetnym idealistom, autor maluje obok postacie takie, jak brat Wiktora, poczciwy niedołęga i żona jego, Belcia, zacna i dobra w gruncie kobieta, ale nie pojmująca, co to jest szybowanie w wyższych sferach.

Z pomiędzy głównych figur najjaśniej odcina się postać dr. Postańskiego, jako najbardziej jednolita; każde jej słowo, każdy ruch jest indywidualny i plastyczny. Mniej wypukłą jest postać Wiktora; autor wdaje się czasem w tak drobiazgową analizę jego stanów duchownych, że aż staje się przez to niejasnym. Marynia, pomimo katastrofy, która spada na nią, oraz tragicznego jej rozwiązania, nie budzi takiego współczucia, jakby powinna, może dlatego, że jest w niej jakiś dziwny zanik uczuć macierzyńskich, kochanka-żona pochłonęła w niej zupełnie matkę. Dziwne to, że kobieta, umiejąca z takim bohaterstwem wyrzec się szczęścia rodzinnego dla wyższych celów, nie umie po śmierci męża żyć jego ideałami i chować w nich dziecko.

Bardzo ciekawe jest zaznaczenie stosunku Wiktora do grupy ludzi, z którymi pracował wspólnie. «Wiktor w obcowaniu z interesującymi sferami, przekonał się bardzo szybko, że jedynie z wyżyn abstrakcyi mogą one uchodzić za jakąś historyczną kategorię, powołaną do zaszczytnej, idealnej misyi, a konkretnie jest to zbiorowisko ludzi dobrych i złych, z których jedni są zdolni upomnieć się o swoje dziedzictwo z Bogiem, drudzy mimo Boga... We własnym kościele uchodził za trochę nieprawowiernego. Doktrynerstwo zarzucało mu pewien «mistycyzm».

Pomimo sympatyj, którą powieść budzi bez zaprzeczenia przez duch szlachetny, wiejący z niej, niepodobna nie zaznaczyć niektórych dziwactw stylowych, które w niej się spotyka. Np. «Ilekróć wychynał z cieni krzewów jakiś chychotliwy, kształtujący się w oczach, rozczapierzony dziw...» (str. 251). «Cień płażał się po miejscach opuszczonych» (str. 67).

Niejasność stylu, widniejąca w niektórych okresach, pochodzi stąd, że autor zanadto się silił na oddanie stanów duszy najbardziej złożonych i niewyraźnych. Opisy natury są tu prawdziwie nastrojowe i różnią się od plastycznych opisów przyrody Weyssenhofa. Porównajmy tylko opis wiosny w *Sprawie Dołęgi* z opisem nocy świętojańskiej w *Minionych dniach*, a różnica między twórczością obu autorów najlepiej nam się uwydatni.

Powieść Daniłowskiego zdradza dużo duchowego pokrewieństwa z *Ludźmi bezdomnymi*, nawet uwydatniająca się miejscami stylu przypomina szorstkość stylu Żeromskiego. Postacie Daniłowskiego pochodzą z tej samej rodziny «bezdomnych», nie dziw też, że mają niektóre rysy rodzinne.

Marya Łopuszańska.

ZARYS LITERATURY SOCJOLOGICZNEJ.

Myśl filozoficzna Greków, porządkując i łącząc z sobą wszystkie spostrzegane zjawiska, wytworzyła dwa światy: fizyczny i moralny. Podział ten istniał już wcześniej w myśli ludzkiej, ale Grecy dali mu filozoficzną podstawę. W świecie fizycznym — podług nich — działały prawa przyrodzone; w świecie moralnym — wola ludzka. Życie społeczne i jego przejawy należały do świata moralnego. Pomiędzy Grekami też powstało ściślejsze obserwowanie zjawisk społecznych. Hekateus¹⁾ spisywał uważnie to, co widział i słyszał w swoich podróżach, a Herodota²⁾ nie bez słuszności powszechnie nazywają twórcą dziejopisarstwa, albowiem nie jest już on zwykłym kronikarzem, ale w swoim opowiadaniu łączy z sobą przyczynowo zachodzące wypadki.

Kiedy sofiści, wychodząc z tej zasady, że wola ludzka wszystko może zmieniać i urządzać po swojemu w społeczeństwie, zachwiali powagę istniejących podstaw społecznych, Sokrates stanął w obronie tych podstaw, utrzymując, że obowiązujące ustawy nie są jakimś dowolnym utworem woli ludzkiej, lecz są w pewnym względzie przejawem tych praw, które bogowie w sercach ludzkich zapisali.

Lecz dopiero uczeń jego, Plato³⁾, niezależność praw społecznych od dowolności ludzkiej wyniósł do teoretycznego znaczenia. Zbudował on idealne społeczeństwo, *Rzeczpospolitą*, jakim podług praw koniecznych, boskich, powinno być, gdyby ułomności natury ludzkiej nie przeszkadzały temu. W *Prawach* już bardziej rachował się on z temi ułomnościami i dlatego wzór spo-

¹⁾ Około 550 r. przed Chrystusem.

²⁾ Urodz. około 484 r. przed Chr.

³⁾ Ur. 439 + 348 przed Chr.

leczeństwa tam przedstawiony jest bliższy do rzeczywistości i w wielu szczegółach przypomina ustrój ateński. Plato zapowiedział był jeszcze trzeci wzór społeczeństwa, który miał się zbliżać najbardziej do tych warunków, jakie przedstawiała ówczesna rzeczywistość. Jak widzimy więc, metoda jego była wręcz przeciwna tej, jaką posługują się dzisiejsi socjologowie. Zgadzała się ona zupełnie z jego filozofią, która zalecała badać wszystko za pomocą samego tylko oderwanego abstrakcyjnego myślenia, odsuwając wszelkie świadectwa zmysłowe, jako dające przedstawienie rzeczy zmiennych i niepewnych. Jedynie prawdziwym — podług niego — jest świat idealny, świat idei; świat zaś widomy, zewnętrzny, zmysłowy przedstawia tylko pozory prawdy.

Podług Platona, społeczeństwo, jako wytwór zbiorowego stanu psychicznego ludzi, ma wiele podobieństwa do psychy ludzkiej. Trzem władzom psychicznym: rozumowi, uczuciu i woli, odpowiadają trzy stany w państwie: rządzący, obrońcy i żywicielski. Przewaga tej lub owej władzy stanowi o ustroju państwowym. Jeżeli przeważa rozum, to rządcy (arystokracja — w znaczeniu platońskim) nadają państwu charakter; jeżeli uczucie (męstwo) — to stan wojowniczy (tymokracja) i t. d. Urządzenia państwowe odpowiadają charakterom ludzkim, albowiem «nie powstają one z dębu lub ze skały, jeno z istniejących obyczajów w państwach»¹⁾. Charaktery dają się urabiać, odmieniać przez odpowiednie wychowanie, kształcenie, i dla tego ma ono ogromne znaczenie dla społeczeństwa.

Platona można nazwać początkodawcą nauki społecznej. Bada on warunki zadowolenia, zdrowia i trwałości ustroju społecznego. *Rzeczpospolitą* i *Prawa* można uważać za pierwszą próbę statyki społecznej; w trzeciej księdze *Praw* grecki myśliciel próbuje wyjaśnić, w jaki sposób powstawało i rozwijało się społeczeństwo, a więc znajdujemy tam pierwsze zaczątki dynamiki społecznej. Pierwszy on też sformułował pojęcie postępu.

Uczeń Platona, Arystoteles²⁾, poszedł w ślady swego mistrza i badania życia społecznego poprowadził tak rozległe i gruntownie, że *Polityka* jego nie tylko stała się mistrzynią na długi szereg wieków, ale dzisiaj nawet zdumiewa trafnością i głębokością swych pomysłów. August Comte mówi o tem dziele z wielkiem uznaniem,

¹⁾ *Rzeczpospolita*. ks. VII, rozdz. 2.

²⁾ Urodz. 384 † 322 przed Chr.

a Wojciech Schöffle w badaniu swoim form politycznych często powołuje się na tego myśliciela i idzie za jego wskazówkami.

Metoda Arystotelesa jest odmienną od platońskiej. Zdaniem jego, trzeba poznać to, co istnieje w rzeczywistości, a nie to, co być powinno; nie tworzyć samemu stosunków idealnych, ale opisać je takimi, jakimi są. Badać społeczeństwo należy w ten sam sposób, jak badamy inne żywe twory, i ono bowiem jest tworem żyjącym, jest dziełem przyrody.

Pojęcie społeczeństwa łączy się z pojęciem istoty ludzkiej nie tylko logicznie, ale wynika w sposób naturalny jedno z drugiego. Społeczeństwo jest to wielki człowiek, mający wiele członków i wiele zmysłów. Pierwiastkiem jego jest para ludzi, połączona z sobą w jedno ciało, małżeństwo, podstawę rodziny. Rozmnożone rodziny tworzą ród lub gminę (*demos*), rody tworzą państwo (w rozumieniu greków — jako wolne państwo narodowe).

Tak samo jak człowiek, jak wszelki żyjący twór, państwo rodzi się, wzrasta i umiera. Składa się ono z różnych organów, które, jakkolwiek nie stykają się z sobą, są jednak w ścisłej łączności z sobą i w zależności od całego ciała. To, co je łączy, ma naturę psychiczną.

Badanie ustaw i ustrojów politycznych stanowi najważniejszą część dzieła Arystotelesa. Uogólnienia i rozumowania swoje stara się opierać na faktach i często przytacza przykłady z istniejących ustaw w rozmaitych państwach. Miał on w tym przedmiocie napisać osobne dzieło; opisywał w niem wszystkie ustawy państwowe, które był zdołał zbadać, a miało być tam niemniej nad 158 państw opisanych. Dzieło to na nieszczęście zaginęło.

Wreszcie Arystoteles stara się przedstawić także państwo możliwie najlepsze, lecz posilkuje się w tem doświadczeniem, jakie można czerpać z tego, co już w tym względzie dokonano.

Wysoki pogląd filozoficzny i silne uczucie altruizmu panują w całym dziele Arystotelesa. *Sprawiedliwość* — powiada — to «pożytek społeczny, to interes powszechny»¹⁾. Wykreśla on państwu wzniosły cel i piękne zadanie²⁾.

Badania społeczne u Rzymian pod względem teoretycznym

¹⁾ Polit. III.

²⁾ Jest tłumaczenie polskie Sebastjana Petrycego (XVII. w.), zalecające się szczególnie pięknym klasycznym językiem, p. t. «*Polityki Arystotelesowej, t. j. rządu Rzeczypospolitej z dokładem ksiąg ośmioro*». Dokład zawiera objaśnienia i uzupełnienia.

nie posunęły się wiele. Gromadzili ważny w tym przedmiocie materiał tacy historycy, jak Juliusz Cezar i Tacyt, opisując ludy attyckie i germańskie, ale przede wszystkim juryści, wnikając w różnostronne stosunki życia społecznego. Z pomiędzy tych juryistów zasługuje na szczególną uwagę: Sextus Sulpicius Rufus, który nauce prawa dał podkład filozoficzny.

Szerzenie się chrześcijaństwa i gruntowanie się Kościoła katolickiego odwróciły uwagę od rzeczy ziemskich, a jeżeli i zwracano się ku nim, to nie tyle badano je rozumem, ile oceniano uczuciem. Kościół katolicki wszakże wytworzył najwyższe pojęcie społeczne, jakiego dawniej nie znano: *pojęcie ludzkości*.

Średniowieczni pisarze polityczni wypowiadali swoje poglądy, mniemania, życzenia, lecz badaczami naukowymi nie byli. Można to powiedzieć i o Tomasz z Aquino (*De rebus publicis et principum institutione*) i o Dantem (*De monarchia*) i o Janie Ostrorogu, a nawet i o Mikołaju Macchiavelli¹⁾, chociaż ten w swoich *Uwagach nad Liwiuszem* i w swoim dziele: *Il Principe* wchodzi już na drogę badawczą.

Zwrot umysłów ku badaniu wiedzy starożytnej, klasycznej podniósł na nowo znaczenie badań społecznych Platona i Arystotelesa. Powaga tego ostatniego w średnich wiekach była wprawdzie olbrzymia, niemal wyłączna, ale nie wnikano w ducha, w kierunek myśli tego badacza, jeno niewolniczo trzymano się słów jego. Można powiedzieć, że nie znano greckiego myśliciela, jeno łacińską jego szatę. Na gruncie tych badań klasycyzmu, otwierających nowszą dobę dziejów, wznosił się humanizm, kojarzący starożytną myśl filozoficzną z uczuciem przez chrześcijaństwo wypielegnowanem. Takim idealnym humanistą był Tomasz Morus, którego słynne dzieło: *De optimo reipublicae statu deque nova insula Utopia* — pojawiło się w 1516 r.

Tłómaczem politycznym ducha starożytnych pisarzy, a zwłaszcza prawodawstwa rzymskiego, był Bodin, którego dzieło (*De republica*)²⁾ miało w drugiej połowie XVI stulecia ogromną wziętość, szczególnie we Francyi i w Anglii. Jak sam powiada, nie miał on zamiaru tworzyć urojonej Rzeczypospolitej, jak to czynili Plato i Morus, ale postawił sobie za zadanie wskazać najlepsze

¹⁾ Ur. 1469 † 1527.

²⁾ Pojawiło się ono naprzód po francusku w 1577 r.; następnie Bodin sam je przetłómaczył na język łaciński (Bodin J. *De republica, Libri VI*, 1584).

prawidła polityczne, któreby najłatwiej można było wprowadzić w życie i któreby najbardziej odpowiadały charakterowi narodu. Stojąc na gruncie zasad Arystotelesowych, objaśniał je i rozwijał.

Głębszą myśl filozoficzną, ale o wiele mniejszy rozgłos miało dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego: *De republica emendanda*¹⁾, spółcześnie przetłumaczone dobrą polszczyzną *O poprawie Rzeczypospolitej*. Jako szczerzy republikanin, nie mógł on co do wziętości współzawodniczyć z Bodinem, który sprzyjał panującym podówczas na zachodzie Europy dążeniom monarchicznym. Dzieło swoje, odznaczające się wielkiem poczuciem sprawiedliwości, podzielił autor na pięć ksiąg: 1) o obyczajach, 2) o statucie czyli prawach, 3) o wojnie, 4) o szkole i 5) o kościele.

Wielkiem powodzeniem w całej Europie cieszyło się dzieło uczonego holendra, prześladowanego we własnej ojczyźnie, Hugona Grotiusa, p. t. *O prawie wojny i pokoju*²⁾. Posługując się metodą bakonowską, wznosił się on do uogólnień filozoficznych na prawodawstwo, rozróżniając w niem prawo przyrodzone (*jus naturae*) i prawo ludów (*jus gentium*). Starał się on w swoim dziele natchnąć władców wyższą myślą, że są oni ministrami, wyznaczonymi od Boga, ażeby rządili ludźmi, najbardziej umiłowanymi przez Niego stworzeniami. Mało jest znanem, chociaż zaszczytnie odznacza się podniosłością poglądów społecznych, dzieło Olizario wiusza *De publica hominum societate* (1651 r.), które napisał on, będąc profesorem prawa kanonicznego w Wilnie. Ważnem jest ono dla nas i z tego względu, że autor potępił poddaństwo włościan, jako przeciwne prawom przyrodzenia, sprawiedliwości i ustawom Boskim.

Tomasz Hobbes, wracając do hipotezy Arystotelesa, uczynił — można powiedzieć — pierwszą próbę zapatrywania się na życie państwowe ze stanowiska przyrodniczego. Ten wielki twór, Lewiatan, który nazywamy państwem, jest właściwie olbrzymim człowiekiem. Jakkolwiek początkiem jego jest umowa społeczna, to jednak w dalszem swem istnieniu warunki życia państwowego stają się koniecznemi, nikt nie może od nich się wyłamać, i bezwarunkowe poddanie się im wypływa z jego istoty. Swoje poglądy

¹⁾ Ukazało się ono w Krakowie; polski przekład Cypryana Bazylika wyszedł w 1577 r.

²⁾ *De jure belli ac pacis libri tres, in quibus jus naturae et gentium, item juris publici praecipua explicantur* (Paryż, 1613).

państwowe Hobbes wypowiedział w dziełach: *Leviathan* (po angielsku 1651 r.) i *De civitate* (1656 r.).

Krytyczny umysł Jana Locke'a, podniecony przez rewolucję angielską 1688 r., uderzył w same podstawy dotychczasowych zapatrywań się na rząd i państwo, i dzieło jego *O rządzie* (*Treatise on government*, 1669 r.) stało się źródłem poglądów nowoczesnego liberalizmu i bodźcem do krytycznego badania istniejących stosunków polityczno-społecznych. Kiedy poprzedni polityczni pisarze, a przede wszystkim Hobbes, utrzymywali, że przez umowę społeczną ludzie poddawali się prawu pozytywnemu, zrzekając się prawa przyrodzonego; Locke a następnie Sidney¹⁾ z całą energią rozwijali tę myśl, że prawo pozytywne powinno być zgodne z prawem przyrodzonym, nie powinno gwałcić tego prawa, inaczej przestaje być prawem, a staje się tylko gwałtem.

Wszyscy powyżsi pisarze, nie wyłączając nawet Locke'a i Sidney'a nadawali państwu pierwszorzędne znaczenie, niemal utożsamiając je z ludem, z narodem. Jan Jakób Rousseau²⁾, jakkolwiek jeszcze niewyraźnie i niedokładnie, wyróżnił je i ludowi, narodowi wyznaczył pierwsze, naczelne miejsce. I dla niego umowa społeczna była początkiem organizacji społecznej, ale kiedy u Hobbesa raz zawarta, traci następnie ona niemal całe znaczenie, u Rousseau'a jest, czyli raczej być powinna aktem nieustannie odnawianym. Wola ludu, wola narodu, słowem wola powszechna jest, czyli raczej być powinna, źródłem wszelkiego prawa pozytywnego i wszelkich ustaw. Tylko takie państwo, które opiera się na powszechnej woli, przedstawia istotne interesy narodu i wówczas tylko może się uważać za naród panujący, dzierżący najwyższe zwierzchnictwo, «Souverain».

I w ogólnym poglądzie na dzieje ludzkości widnokrąg umysłowy w XVIII stuleciu ogromnie się rozszerzył. Spostrzegano pewną prawidłowość w pozornie chaotycznym przebiegu wypadków dziejowych. W XVII jeszcze stuleciu Bossuet w *Discours sur l'histoire universelle* (1681 r.) usiłował być znaleźć nić przewodnią w powikłaniu kronikarskiem. Opatrzność Boska — podług jego poglądu — wybrała jeden naród, ażeby za jego pomocą przez zbudowanie Kościoła Chrystusowego doprowadzić wszystkie narody do połączenia w jedną całość. Pierwsze jednak filozoficzne uogól-

¹⁾ *Discourses concerning government* — Londyn. 1698

²⁾ Urodz. 1712 † 1778. *Du Contrat Social* wyszło w 1763 r.

nienie dziejów przedstawił Jan Baptysta Vico w dziele: *Zasady nowej nauki*¹⁾, które pojawiło się w Neapolu w r. 1725. Wy różnił on w przebiegu dziejowym trzy wieki: *wiek boski*, wiek dzieciństwa narodów, w którym nadawano postać boską wszystkim potęgom, w którym kapłani byli przewodnikami i władcami; *wiek heroiczny* — wiek bohaterów i siły; wreszcie *wiek ludzki* — wiek cywilizacji. Ludzkość, przeszedłszy te trzy wieki, znowu wraca do pierwszego, i odbywa się wciąż podobny kołowy obrót. Turgot wskazał umysłowość ludzką jako punkt ciężkości dziejowej. Rozwój myśli ludzkiej — to przewodnia nić. Prawa rozwoju onej są naturalne. W genialnym swoim dziele: *Histoire des progrès de l'esprit humain* (1750 r.) wykazał konieczność początkowego teologicznego pojmowania zjawisk przyrody i następne przeobrażanie się onego w metafizyczne. Wolter, zaprzeczając teologicznym poglądom Bossueta, nakreślił pierwszą — rzecz można — filozoficzną historię powszechną w dziele swoim: *Essai sur les mœurs et l'esprit des nations* (1754 r.). Niema jednego wybranego narodu. Natura ludzka jest jedna, ona to stwarza jedność w historii ludzkości. Na różnicę wpływają trzy główne czynniki: klimat, forma rządu i religia. Emanuel Kant przyszedł także do tego przekonania, że rozwój dziejowy odbywa się podług pewnego planu, jakby przyroda miała ukryty rozumny cel do wytworzenia najdoskonalszego ustroju pomiędzy ludźmi²⁾. Myśl prawidłowości i postępu w dziejach ludzkich znajdowała coraz więcej zwolenników. Szczególnie dwaj pisarze, Herder i Condorcet, przyczynili się wiele do upowszechnienia tej myśli i do głośnego i wszechstronniejszego ocenienia faktów dziejowych³⁾. Condorcet w znakomitem swoim dziele uwydatnił potężny wpływ wiedzy na postęp układu stosunków społecznych w życiu narodów.

W badaniach stosunków prawnych życia ludzkiego zaszła także gruntowna zmiana. Sprowadził ją Monteskiusz dziełem swoim: *O duchu praw* (*Esprit des Lois*, 1748⁴⁾, w którym wykazał, że zrozumienie ducha, istoty praw jest możliwe tylko przy dokła-

¹⁾ *Principi di una scienza nuova d'interno alla commune natura delle nationi.*

²⁾ *Idee zu einer allgemeinen Geschichte in weltbürgerlicher Absicht.* 1784.

³⁾ Dzieło Herdera było drukowane w Rydze od 1784 do 1791 r. p. t.: *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit.* (Pomysły do filozofii dziejów rodzaju ludzkiego. Wilno, 1838. Tłumaczenie Józefa Bychowca). Dzieło Condorcet'a: *Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain* (1794).

⁴⁾ Obszernie streszczał «Monitor» W. Bogusławskiego w r. 1767.

dnem zbadaniu strony obyczajowej narodu, a tę można należycie ocenić, jedynie biorąc pod uwagę wpływy, jakie wywiera ziemia na obyczaje ludzi różnaitością swej gleby, swego klimatu, swej konfiguracji. Pod wpływem jego poglądów Filangieri wprowadził naukę prawa na nowe tory i wznosił się do wysokich humanitarnych poglądów¹⁾. Mamy i w polskim języku samodzielną próbę objęcia całości życia prawnego narodu w dziele, napisanem w r. 1785 przez Hieronima Stroynowskiego p. t. *Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów*.

Do dokładniejszego rozumienia życia społecznego w różnorodnych jego objawach przyczyniły się także ogromnie badania ekonomiczne, które w drugiej połowie XVIII stulecia utworzyły samodzielną gałąź naukową. Prace Franciszka Quesnaya, Turgota, Dawida Hume'a, a przede wszystkim Adama Smitha, rzuciły wiele światła na podstawowe warunki istnienia społeczeństw. Malthus, mając tylko takich poprzedników, mógł sformułować prawo ludnościowe, które uważam za zasadnicze w statystyce społecznej.

Skutkiem znanego postępu badań biologicznych, już w drugiej połowie XVIII stulecia coraz częściej spotykamy się z twierdzeniem, że pomiędzy życiem społecznym i życiem jednostkowym człowieka istnieje zasadnicze podobieństwo, że życie gromadne zwierząt jest początkową formą życia społecznego. Zwraca na siebie szczególną uwagę w tym względzie dzieło p. t. *Sketches on the history of man* (1774) lorda Kaimesa czy Kames'a (Henryka Home).

Bogata literatura polityczna drugiej połowy XVIII stulecia, w której mamy i cenne dzieła Kollåtaja, Staszica, Adama Rzewuskiego; rozrost konkretnych nauk socjologicznych, ogromne postępy w dziedzinie wiedzy, wzmożenie się myśli filozoficznej, usiłującej objąć w jedną spójną całość wszystkie zjawiska przyrody i życia ludzkiego, — sprowadziły wielką rewolucję umysłową, która poprzedziła tę wielką rewolucję polityczno-społeczną, co zatrzęsa samymi podwalinami dotychczasowego ustroju państwowego. Wielka rewolucja miała i dla badań społecznych olbrzymie znaczenie. Była ona — jak trafnie zauważał Comte — wielkiem doświadczeniem w życiu ludzkości. Wskazała ona granicę

¹⁾ Dzieło jego: *La scienza de la legislazione* (Neapol, 1781—1788) zostało spolszczone przez Wincentego Rocha Karczewskiego p. t. *Nauka prawodawstwa* (W Warszawie, 1791—1793).

i miarę możliwości czynów ludzkich. Bez poprzedniego jej istnienia, nie mogłaby się rozwinąć tak potężnie *teorya ewolucyjna*. To silne pragnienie zbudowania społecznego ustroju na nowych podwalinach, jakie się w niej przejawilo, podniecilo w wysokim stopniu myśl ludzką. Pojawiają się brzemienne przyszłością pomysły Godwina, Staszica, Ad. Rzewuskiego, Fichtego, Ovena, ale przedewszystkiem ze stanowiska naukowego Henryka Saint-Simona. Schodząc z wyżyn utopijnych na bardziej praktyczne tory Jan Bogumił Fichte, nawskróś przejęty zasadami republikańskimi i demokratycznymi, nakreślił ideał przyszłego państwa ludowego ¹⁾).

Jakkolwiek zakres badań życia społecznego ogromnie się rozszerzył, jakkolwiek odbył się ważny postęp w konkretnych naukach socyologicznych, to jednak ogólnej nauki o życiu społecznem nie było. Najsilniej odczuł potrzebę utworzenia takiej nauki uczeń Henryka Saint-Simona, August Comte ²⁾). Wykonał on pierwszą bardzo ważną w tym względzie próbę, i z tego powodu słusznie mu się należy tytuł twórcy *socyologii*, a i sama ta nazwa od niego pochodzi. Arystoteles objął był także życie społeczne w jedną całość naukową, lecz ówczesny zasób wiadomości był mały, zjawiska życia społecznego nie były podzielone na dokładnie określone grupy, więc utworzoną przez niego całość można uważać za jajo, z którego poformowały się oddzielne członki, jako samodzielne umiejętności. Zamiast jednej nauki społecznej powstała cała gromada nauk społecznych. Zadaniem Comte'a było objąć je znowu w jedną ogólną, bardziej abstrakcyjną naukę. Z tego zadania nie wywiązał się całkowicie, pominął prawie zupełnie ekonomikę, mało uwzględnił tak zwane nauki o państwie, ale już przez to samo wiele zrobił, że określił, czem ma być ta nauka, że wskazał jej miejsce wśród innych umiejętności, że wykonał jej podział, przyjęty dzisiaj powszechnie, że podniósł wysokie znaczenie metody historycznej jako przeważnie z nią zespolonej i że położył pierwsze zręby tej nowozałożonej nauki.

Sformułowane przezeń prawo rozwoju myśli w pochodzie dziejowym przez trzy szczeble: teologiczny, metafizyczny i pozytywny, stało się, jak dotąd, najważniejszym w socyologii nabytkiem naukowym i — rzec można — zasadniczem prawem w dynamice

¹⁾ *Das geschlossene Handelsstaat*. 1800.

²⁾ Ur. 1798 † 1857.

społecznej. Comte, przyjąwszy znakomitą hipotezę Saint-Simona o przeobrażeniu się społeczeństw z militarnych w industrialne, nadał jej wyraźniejsze kształty, ale nie rozwinął jej całkowicie i nie doszedł do trzeciego szczebla: *socjalnego*. Trzeba jednak przyznać, że zbliżył się on bardziej ku temu szczeblowi od Herberta Spencera, który Saint-Simonowską hipotezę uczynił także podstawową w swej socjologii. Trzem szczeblom rozwoju myśli ludzkiej odpowiadałyby trzy szczeble przeobrażenia się społecznego: autorytaryzm teokratyczno-militarny, industrializm kapitalistyczno-liberalny i socjalizm demokratyczno-republikański.

Do upowszechnienia poglądów filozoficznych Comte'a najwięcej się przyczynili Emil Littré i Jan Stuart Mill. Littré stał na czele czasopisma «Revue de philosophie positive», wychodzącego od 1867 r., i w niem umieścił sporo artykułów w przedmiocie socjologii.

(Dok. nast.)

Bolesław Limanowski.

ZE ŚWIATA.

Z wypadków letnich miesięcy żaden nie wstrząsnął tak głęboko światem ucywilizowanym, jak klęska Martyniki, niedorównana w grozie swojej przez żadną z klęsk elementarnych, o jakich ludzkość pamięta.

Ktoś zauważył już, że mieszkamy na cienkiej skorupce bomby, naladowanej dynamitem. Od czasu do czasu skorupka fałduje się; następuje malutki częściowy wybuch, unoszący dziesiątki tysięcy ofiar. Takie jest wszakże panowanie nad nami wyobrażeń zmysłowych z ich naocznością, że nie mamy zupełnie jasnej świadomości swego położenia. Wątła skorupka wydaje nam się niezachwianą posadą; znaczne dla poczucia naszego odstępy czasu, które oddzielają częściowe wybuchy, każą zupełnie zapomnieć o tem, że mieszkamy na gorejącym wulkanie.

Tylko wtedy, gdy zgrozą przejmująca wieść przebiegnie świat, smutne myśli o losach cywilizacji ludzkiej przychodzą tym, którzy wogóle myślą. Są wskazówki w dziejach ziemi, że niejeden obszerny ląd już zanurzył się w głąb morską. Czy nie pochłonęła ona także niejednej pięknej i obiecującej a odrębnej jakiejś cywilizacji? A gdy po upływie przeciagu czasu, o którym

nasza słaba wyobraźnia nie może utworzyć sobie żadnego pojęcia, łądy te wzniosą się znów nad poziom morza, przyszły geolog za ledwie znajdzie tyle jej szczątków, aby poświadczyć, że żyły tam istoty myślące.

Bądź co bądź, łączność rodzaju ludzkiego, jaka dziś panuje, jeśli ma tę złą stronę, że przyczynia się do zniszczenia odrębnych i samodzielnych ognisk rozwoju cywilizacyjnego, zabezpiecza przynajmniej to, iż wytwory kulturalne, godne, aby żyły i rozwijały się, nie giną bez śladu dla ludzkości.

Smutna to wprawdzie pociecha! Jeśli porównamy okrucieństwo i rozległość spustoszeń, które sprawiły w ciągu krótkiego czasu barbarzyńskie hordy eurepejczyków i amerykańców w Chinach, w Afryce południowej, na Filipinach, to owa surowa, nie myśląca i nie czująca, a groźna w ogromie przejawów swoich przyroda wyda się nam łagodną piastunką. I jakże dziwnie wygląda wobec tego owe gorące współczucie, którem zadrgał chwilowo świat ucywilizowany dla trzydziestu tysięcy zwęglonych ofiar Martyniki? Chwilowe, powiadam, bo uwaga od tej klęski rychło się odwróciła ku wyścigom automobilów; a nie wiadomo, co większą przykrość przyczyniło poczciwym londyńczykom i przyjezdnym gościom: choroba króla, pozbawiająca ich widoku wspólniejszej szopki, czy śmierć okropna tyłu bliźnich.

Prawie sto pięćdziesiąt lat oddziela nas od najbliższej, a ogromem i raptownością klęski najbardziej zbliżonej do obecnej katastrofy.

1 listopada r. 1775, w dzień świąteczny, gdy kościoły i ulice napelnione były tłumami modlących się, o godzinie 9 zrana zachwiały się posady ziemi w Lizbonie, a w ciągu kwadransa całe miasto leżało pod gruzami, pokrywającemi około 30.000 trupów. Ci, co uszli gruzów i otwierających się przepaści, zginęli, chroniąc się na statki, które pochłonęły fale Tagu. Pożar i rabunek towarzyszyły klęsce, jak i na Martynice.

Katastrofa ta wywołała głośny poemat Voltaire'a p. t. *Poème sur le désastre de Lisbonne*, w którym bez trudu zwalczał płytki optymizm ówczesnej filozofii popularnej. Każę przyglądać się «tym szczątkom, tym popiołom, tym kobietom i dzieciom zdruzgotanym, tym rozrzuconym pomiędzy marmurami członkom, tym tysiącom, które skaleczone, pokrzwawione, pogrzebane pod swemi dachami, w największej grozie kończą oplakany żywot». Co powiedzą im na pociechę owi kapłani optymizmu? «Padajcie, umierajcie

spokojnie. Dla szczęścia świata domy wasze uległy zburzeniu; inne ręce odbudują wasze spalone pałace; inne pokolenia urodzą się w waszych zapadłych murach. Północ wzbogaci się przez wasze okropne straty. Wszelka wasza niedola jest dobrem w ogólnych prawach. Bóg patrzy na was temi samemi oczyma, co i na robactwo, którego w grobach waszych zostaniecie pastwą». Taka ma być pociecha owej filozofii? A pyta się ich:

*Etez vous assurés que la cause éternelle,
Qui fait tout, qui sait tout, qui créa tout par elle,
Ne pouvait nous jeter dans ces tristes climats
Sans former des volcans allumés sous nos pas?*

Wszystko to dziś jeszcze powtórzyć możemy, ale też i odpowiedź J. J. Rousseau'a na ów pesymizm Voltaire'a nie zostaje bez równoznacznika w ostatniej katastrofie: «Przyznaj, powiada on w liście do filozofa z Ferney, że to nie natura nagromadziła tam 20.000 kamienic o 5 do 7 piętrach i że gdyby mieszkańcy tego wielkiego miasta byli osiedli na szerszej przestrzeni i w lżejszych domach, katastrofa nie byłaby przybrała podobnych rozmiarów. Przy pierwszym trzęsieniu wszyscy byliby uszli o kilkanaście mil, a nazajutrz bylibyśmy ich widzieli zdrowych i wesółych, jak gdyby nic się nie było wydarzyło. Ale trzeba było pozostać, przebiegać walące się gmachy, narazić się na nowe trzęsienie, ponieważ to, co się zostawia, więcej warte, niż to, co zdołano unieść. Iluż nieszczęśliwych w tej katastrofie zginęło, ponieważ pragnęli zabrać to odzież, to papiery, to pieniądze».

Ten rys — udział fałszywej cywilizacyi w klęsce elementarnej — występuje jeszcze bardziej spotęgowany w katastrofie ostatniej. Nie samo tylko nagromadzenie mieszkań ludzkich u podnóża wulkanu staje się jej przyczyną.

Gazety przynioszą zgrozą przejmujące szczegóły o powstrzymaniu przejętej trwogą i gotowej ratować się ludności przez władze administracyjne. Prefekt występuje tu najsamprzód jako nieomylny augur i, polegając na wyroku zwołanej przez się komisji, zapewnia wszystkich, iż niema niebezpieczeństwa. Nie kończy się na tem wszakże zuchwałe roszczenie do wyrokowania nawet w rzeczach, dotyczących potęg elementarnych, owego przedstawiciela państwowości, czującego się w tej roli powołanym do rozważania opieki nad wszystkim i wszystkimi. Gazety donoszą, iż prefekt «zgromadził siłę zbrojną, aby przeszkodzić powszechnej

ucieczce». Widać z tego, że ludność wiedzona zdrowym instynktem, gotowa była szukać ratunku wobec zupełnie niewątpliwych, od kilku dni już objawiających się symptomatów grożącego wybuchu. Przeszkodził temu prefekt, który sam padł ofiarą swojej niemądrej gorliwości.

W imię czego tak postępował? Dla obrony «porządku». «Porządek» wymagał, aby mieszkańcy St.-Pierre zostawali w swoich domach i czekali na wyroki boskie, zamiast błąkać się po nocy wśród pól i szukać schronienia tam, gdzie nie byli zapisani w rejestrach ludności.

Gdy wszakże uprzytomnimy sobie warunki miejscowe, na całe to zajście spada cień jeszcze bardziej ponury, a bezmyślność reprezentanta opieki państwowej, roszczonego sobie wyłączne prawo do wyrokowania o tem, kiedy mieszkańcy mają lub nie ulegać uzasadnionej obawie, przybiera cechy jeszcze okrutniejsze. Oto przeważna część ludności miejskiej składała się z murzynów i wogóle z ludności ubogiej, zajętej przy plantacjach cukrowych oraz innych czynnościach, połączonych z przemysłem miejscowym. Rozproszenie się tej ludności spowodowałoby kilkodniową przerwę w «interesach», a co za tem idzie, doniosłe straty dla przedsiębiorców. Wiadomo zaś, że skoro ten czynnik wchodzi w grę, milknie wszelkie poczucie ludzkości. Czemże jest istotnie narażenie życia kilkunastu tysięcy biednych ludzi wobec możliwych strat milionowych? Czyim to więc narzędziem został ów niefortunny prefekt?

Czy może objawy zbliżającego się wybuchu nie były dosyć oczywiste? Ależ wszystkie szczegóły, jakie mamy z ostatnich dni przed klęską, tak dosłownie zgadzają się z owymi prognostykami wybuchów wulkanicznych, o których każdy z nas wie z podręczników geografii szkolnej, że trudno naprawdę wyobrazić sobie jakąkolwiek komisję, złożoną z ludzi inteligentnych, któraby, nie ulegając motywom obcym, nie dostrzegła grozy sytuacji.

Szczegóły zapożyczone z listów, wysłanych na dni parę przed katastrofą, świadczą niewątpliwie o tem, iż nie była dla mieszkańców St.-Pierre niespodziewaną. Oto np. list młodej osoby, która zginęła obok innych ofiar, pisany do jej kuzynki w Marsylii, a datowany z St.-Pierre 3 maja:

«Wiesz zapewne, że wulkan dymi od kilku dni. Były trzy wstrząśnienia ziemi. Nie były wszakże zbyt silne. W Prêcheur wszystkie grunta pokryte są grubą warstwą popiołu. Wewnątrz

mieszkań trudno oddychać z powodu przenikającego wszędzie deszczu popiołu. Od czasu do czasu dają się słyszeć potężne wybuchy i gęsty dym ukazuje się nad górą Pelée. Co będzie z nami?» 4 maja list otwarto i zrobiono przypisek: «Wulkan dymi coraz bardziej. Wołają mnie na ulicę, aby zobaczyć deszcz popiołu» — i szczyptę tego popiołu włożyła autorka do koperty.

Pamiętajmy, że wybuch, który zniszczył St.-Pierre, nastąpił dopiero 8 maja. Pięć dni zatem mieli mieszkańcy na zabezpieczenie się od klęski.

A oto znowu opowieść nauczyciela liceum z St.-Pierre z tegoż dnia, w liście do syna, mieszkającego we Francji.

Sobota, 3 maja 1902 r., godz. 5 m. 45 zrana.

«Wybuch góry Pelée jest w pełni; przez całą noc wulkan wyrzucał popioły na miasto, które wygląda obecnie tak, jakby było pokryte szarawym całunem; od czasu do czasu słychać głuche wybuchy. Od kilku dni już dawny wulkan wybuchami pary objawiał chęć odrodzenia się, lub też — jak twierdzą niektórzy, agonię swoją. Dawne jezioro wyschło; nowe natomiast utworzyło się i wre, jak metal roztopiony. Nic wszakże nie dorównywało widokowi wczorajszemu pod względem wrażenia, jakie wywierał.

«Udałem się do liceum o ósmej; góra nie była osłonięta żadnym obłokiem lub parą. W końcu lekcji mojej o godz. 9 dostrzegłem, iż uczniowie pokazują sobie palcem górę. Zbliżyłem się do nich. Trzy olbrzymie kule gęstego, szarawego dymu wydobyły się z krateru; wybuch trwał dalej, a wiatr odnosił tę parę ku kanałowi Dominiki.

«O południu wybuch ponowił się. O drugiej nastąpiło wyrzucanie kamieni bardzo widoczne. Wreszcie o 2-iej zrana matkę twoją i siostrę zbudził huk; psy nasze wyją. Ja sam, chociaż spałem mocno, miałem sny dziwne i czułem zapach siarki. Deszcz popiołu przenikał do wnętrza domów; meble są nim pokryte. Wychodzimy na bulwary.

Godz. 9 m. 45. Popiół oślepia nas; góra jest zupełnie niewidzialna, okrywa ją gęsta warstwa wyziewów. Cała okolica zapelniona jest niemi; czepiają się one drzew i spadają w postaci pyłku niedostrzegalnego. Idziemy dalej w celu odwiedzenia p. Sausinów.

«W pobliżu Jardin des Plantes matka i siostra nie mogą iść dalej. Idę dalej sam...

«Przychodzę do Saussinów; wszystko zamknięte. Pukam, otwierają mi i szybko zamykają drzwi za mną. Popiół pokrywa podłogę, meble, wciska się do szuflad. Dzielimy się wrażeniami. Noc była pełną trwogi: obawiano się zaduszenia. Wypijam filiżankę kawy i wychodzę z p. Saussine. Kapelusz mój pokryty jest warstwą popiołu na kilka milimetrów grubą; odzienie mam zupełnie szare...

«Wracam o siódmej, zmieniam odzienie i udaję się do liceum.

«Z klasy zaledwie można widzieć morze, tak gęste są wyziewy. Nos, uszy, usta zapełniają się popiołem. Woda w Goyavie zatrzymała się częściowo. Sąsiedzi moi z naprzeciwka wyjechali, uwożąc kosztowności. Pojechano na Dorange, aby lepiej oddychać. Złudzenie wszędzie to samo...

«Jak przejdzie noc następna?»

Listy te rzucają światło dosadne na stan umysłu osób, które za kilka dni olbrzymia fala rozpalonej lawy spopielić miała żywcem, o ile nie zadusily ich poprzednio trujące wyziewy wulkanu...

Z wypadków ostatnich miesiący pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na skromny, ale bardzo znamieny pod względem charakteru aspiracyj swoich III. Kongres Federacji Regionalistycznej, który miał miejsce w Paryżu 18 i 19 czerwca w Collège libre des sciences sociales.

Nie podajemy ani imion osób, składających komitet Federacji Regionalistycznej Francuskiej, ani tych, którzy przemawiali na ostatnim kongresie, iniona te bowiem mało objaśnia czytelników. Dla charakterystyki związku tego wystarczy powiedzieć, iż jest on wyrazem protestu przeciwko duchowi centralizacyjnemu, panującemu w życiu politycznym i społecznym Francji obecnej. Dążeniem jego jest odrodzenie indywidualnego, samodzielnego, tak bogatego niegdyś życia dawnych prowincyj, zniweczonego przez pokratkowanie Francji na departamenta i wytworzenie z nich sztucznych ośrodków administracyjnych. Jedność państwowa ma się opierać na harmonijnem spojeniu naturalnie wyróżniających się od siebie odrębnych dzielnic zamiast sztucznej niwelacji, prowadzącej do zabicia wszelkiego życia miejscowego. Zadania swoje pojmuje Federacja bardzo szeroko: obejmują one wszystkie zakresy, od estetyki otoczenia zewnętrznego, do odrodzenia życia ekonomicznego i politycznego. Poszanowanie naturalnych piękności

przyrody, ochrona ich od chciwości przemysłowców wchodzi do postulatów na równi z zasadą referendum (bezpośredniego głosowania ludu) i inicjatywy parlamentarnej, zniesieniem kosztownego i niedogodnego podziału na departamenta a powrotem do dzielnic naturalnych Francji przedrewolucyjnej. Oto są niektóre z tematów omawianych z zakresu regionalizmu ekonomicznego; dadzą one pojęcie o charakterze dążeń federacji: regionalne kasy kredytowe, federacja regionalna Izb handlowych; federacje regionalna związków współdzielczych; ugrupowania kooperacyjne regionalne, syndykaty komunalne, syndykaty inicjatywy, syndykaty regionalne eksploatacy i t. p.

Dążenie do powrotu ku dawnemu podziałowi nadaje aspiracjom tym pozór zewnętrzny konserwatyizmu. Wszakże nie wynika ta dążność ze ślepego przywiązania do starzyny, lecz ze świadomości, że podział dawny odpowiadał naturalnym wymaganiom terytoryalnym i etycznym; że przedstawiał wyraz tego historycznego procesu, który wytworzył Francję współczesną; że jego zniesienie było gwałtem, popełnionym nad życiem miejscowem i podcięło korzenie życia narodowego. To pokrewieństwo częściowe aspiracji przyszłości z formami dawniejszemi nie zadziwi nas, jeśli przypomnimy sobie ideje W. Morrisa w zakresie reform ekonomicznych, jego żądania powrotu do formy rzemieślniczej produkcji o odcieniu artystycznym, jaka zaczęła być kwitnąć na początku XV stulecia.

Kilka słów należy się jeszcze wypadkowi literackiemu. Jest nim ostatnia książka p. Herberta Spencera. Ostatnia nie w znaczeniu najnowszej, lecz takiej, po której żadna już nie nastąpi. Takie melancholijne wyznanie czytamy w końcu przedmowy autora, datowanej w Brighton, w marcu, 1905: «Tom, który obecnie wydaję, mogę z pewnością uważać za ostatnie swoje dzieło». Autor ma obecnie 82 lat i jest ostatnim żyjącym pisarzem wieku Wiktorji.

Książka ma za tytuł: *Facts and Comments*. Rozmyślenia w niej zawarte pełne są melancholii bardzo zrozumiałej wobec wieku autora.

«W ciągu lat ubiegłych, gdy przyglądałem się rozwijającym się na wiosnę pączkom, nieraz powstawała we mnie myśl: «Czy ujrzę jeszcze kiedy rozwijające się pączki? Czy rozbudzi mię o świecie śpiew skowronka? Dziwnym a odrażającym wydaje mi

się wniosek, że z przerwą świadomości w chwili śmierci ustaje także i wszelka wiedza o tem, żem istniał. Z ostatniem technieniem każdy przychodzi do tego stanu, jak gdyby nigdy nie żył... Co staje się ze świadomością, gdy kończy się ona? Możemy jedynie przypuszczać, iż jest ona wyspecjalizowaną i indywidualizowaną formą owej Nieskończonej i Wiecznej Energii, przekraczającej zarówno władzę naszego umysłu i naszej wyobraźni; oraz że po śmierci pierwiastki powracają do owej Nieskończonej Energii, z której wyszły».

Wiernym został autor aż do ostatniej chwili swojej doktrynce indywidualistycznej «laisser faire», którą nie waha się stosować i do wykształcenia elementarnego. «Wcześniej w życiu mojem stało się to doświadczeniem potocznem, należeć do mniejszości, niekiedy do mniejszości, złożonej z jednej osoby... Jak szkodliwym jest mieszanie się do podaży i popytu towarów, tak niemniej szkodliwym jest wtrącanie się do podaży i popytu uzdolnień... Wykształcenie sztucznie popychane, budząc w klasach robotniczych i rzemieślniczych ambicje do wyższych zawodów, prowadzi przez szereg zawodów i na manowce, niekiedy nawet do zbrodni... Społeczeństwo nie zyskuje, lecz traci skutek sztucznego wzrostu inteligencji bez względu na charakter.

Na dowód swego zdania wskazuje autor na złe (bądź co bądź przejściowe), które wynika z wpływu dzienników na masy, a którego wstrętne objawy dały się widzieć podczas ostatniej wojny: «Drzemiące instynkta barbarzyńskie rozbudzone zostały przez zdemoralizowaną prasę, która nie mogłaby była uczynić tyle złego, gdyby sztuczne rozpowszechnienie kultury intelektualnej nie było oddało mas pod jej wpływ. ...Podczas obecnej wojny mieliśmy niewątpliwe dowody, iż naród był stale oszukiwany przez fałszywe doniesienia... Gorączka wojownicza, która wybuchła obecnie i przyczynia ogromne szkody nie tylko na zewnątrz, lecz w stanie naszego społeczeństwa, wynikła z codziennego oddychania atmosferą kłamstw».

Powstaje dalej autor przeciwko przecenianiu intelektualizmu. «Umysł we właściwym znaczeniu jest równoznaczny ze świadomością. Wszystkie części świadomości są częściami umysłu. Uczucia są panami; rozum ich służy. Przecenianie inteligencji pociąga za sobą niedoceniecie życia emocjonalnego. Wszakże ze stanowiska przydatności do życia osobowego i społecznego jednostki o przeważających uczuciach altruistycznych są o wiele wyższe od tych,

które łączą z najwyższą zdolnością ujęcia i rozumowania, uczucia antyspołeczne, egoizm bez skrupulów oraz ignorowanie bliźnich». Takie przecenianie intelektualizmu prowadzi do admiracji wobec «transcendentnych zbrodniarzy», jak Napoleon, a wszakże społeczeństwo, złożone z ludzi o tak bystrym umyśle, jak Mefistofeles, może być zupełnie zepsute i odwrotnie może być szczęśliwym pomimo małej inteligencji swych członków, jeśli są pełni względów dla praw bliźnich i pełni czynnego współczucia wzajemnego.

«Nienawistnem mi jest, czytamy gdzieindziej, owo wyobrażenie o postępie społecznym, które za cel uważa wzrost ludności i bogactw, rozszerzenie handlu. Na miejscu znacznej ilości życia niższego typu, wolałbym widzieć o połowę mniej życia typu wyższego?... «Często bawiąc wśród gór Szkocyi, z przyjemnością myślałem, że stoki ich nigdy nie będą mogły być zorane. Tu przynajmniej przyroda zostanie na zawsze niepokonaną. W takich miejscach zapomina się na chwilę o prozaicznym wyglądzie cywilizacji».

Niemniej piękne i również dalekie od bezmyślnego pseudoindywidualizmu są sądy Spencera o fałszywym patriotyzmie (szowinizmie: «Okrzyk «Za krajem naszym, czy słusznie, czy wbrew słuszności!» jest dla mnie wstrętnym... Przyjęcie tego hasła świadczy, iż słuszność jest po przeciwnej stronie. Oczywiście znaczy to to samo, co: «precz ze słusznością, niech żyje nieprawda!»... Jeśli ludzie wynajmują się na to, aby zabijać innych ludzi, nie pytając o słuszność swojej sprawy, nic mnie nie obchodzi, jeśli będą sami zabici... Gdyby każdy żołnierz posługiwał się sądem własnym, wążąc zamiary, w jakich toczy się walka, jedyną możliwą wojną byłaby wojna dla obrony narodowej».

Piękne to i szlachetne słowa, z godną prawdziwego filozofa śmiałością wypowiedziane w chwili bezmyślnej furji szowinizmu podszytego nieprawą cheiwością, jaka panowała w Anglii przed kilku miesiącami. Zaszczytne to stanowisko — należeć do takiej mniejszości...

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

A — W logice oznaczają za pomocą liter A, E, I, O cztery formy sądów, które mają wpływ na figurę i rodzaj wnioskowań.

A — oznacza sąd powszechny twierdzący (wszystkie ciała są ciężkie); *E* — sąd powszechny przeczący (upiory nie istnieją); *F* — sąd szczegółowy twierdzący (niektóre metale są kruche); *O* — sąd szczegółowy przeczący (niektóre ciała są topliwe).

Abductio. W logice Arystotelesa nazywa się tak *wnioskowanie* (ob.), w którym przesłanka mniejsza jest mniej oczywistą niż wniosek; tak, iż uwaga odwraca się (*abducere*) od niego ku owej przesłance. Oto przykład przez niego podany: Wiedza może być przedmiotem nauczania; sprawiedliwość jest nauką; można więc nauczać sprawiedliwości.

Abulia (α — przeczące; βουλή wola) — chorobliwe osłabienie lub zanik woli.

Achilles — nazwa jednego z *argumentów Zenona* (ob.).

Afazyja — ob. *alalia*.

Adekwatny (*adaequare* — być równym) — Idea odpowiadająca zupełnie przedmiotowi. Wyraz ten ważną rolę pełni w filozofii Spinozy; przeciwstawia się tu poznanie adekwatne niejasnemu, nieadekwatnemu, jakim jest wszelkie poznanie doświadczałne, nie odsłaniające istoty rzeczy. Cechą poznania tego jest, że uważa poszczególne rzeczy za samodzielne byty; a więc bierze przedmioty uwarunkowane za bezwzględne. Przeciwnie poznanie adekwatne widzi w poszczególnych rzeczach tylko *modi* (ob.) *substantiae*; polega ono na poznaniu *Boga czyli przyrody*. Affekta są wynikiem nieadekwatnego poznania, cierpieniami duszy, w których zależną jest od wyobrażeń zewnętrznych. Poznanie adekwatne wyzwala duszę z tej zależności; dążenie ku niemu nazywa Spinoza *intelektualną miłością Boga*.

Agorafobia (ἀγορά — plac publiczny; φόβος — obawa) — chorobliwy stan umysłu objawiający się w obawie rozległych przestrzeni.

Agraphia (α — przeczenie; γράφειν — pisać) — utrata zdolności pisania, wynikająca bądź z utraty pamięci słów, bądź z niezdolności do skoordynowania ruchów. Może być częściową lub całkowitą. *Paragraphia* — stan chorobliwy, w którym chory, chcąc napisać jakiś wyraz, pisze inny.

Z LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Kwartalnik historyczny. Organ towarzystwa historycznego, założony przez Ksawerego Liskego, pod redakcją Aleksandra Semkowicza. Rocznik XV. We Lwowie, 1901, str. XX. + 618.

Ostatni rocznik starannie wydawanego «Kwartalnika historycznego» zawiera pięć rozpraw. Pierwszą z nich jest: «O studyach z zakresu historii zachodniej Europy w Rosyi» (str. 1—7), odczytana przez samego autora, prof. Mikołaja Kariejewa, we lwowskiem Towarzystwie historycznem dnia 18 stycznia 1901 roku. W referacie tym prof. Kariejew zaznajamia czytelnika z pracami rosyjskich historyków, którzy zajmowali się studjami nad glówniejszemi epokami i kwestyami z zakresu wieków średnich i nowszych historii zachodnio-europejskiej. Rzecz tę poprzedza autor wyjaśnieniem i dziejami nauczania i wykładów historii powszechnej w wyższych zakładach naukowych w Rosyi. Jest to kwestya tem ciekawsza, iż właśnie literatura historyczna Rosyi należy do tych nielicznych literatur, które bardziej od innych interesują się przeszłością narodów obcych. Przegląd tej mianowicie literatury historycznej rosyjskiej wskazuje, iż ze wszystkich krajów zachodnio-europejskich najbardziej zajmuje historyków rosyjskich Anglia i Francya, a następnie Włochy i Niemcy, i to w związku z zagadnieniami ogólnodziejowego znaczenia, jako to: feudalizm, katolicyzm, humanizm, reformacya, rewolucya francuska, oraz polityczne i socyalne dzieje XIX.

Pierwszymi w Rosyi historykami, którzy zajmowali się dziejami zachodnio-europejskich narodów, a więc historią powszechną, byli: T. N. Granowski, profesor uniwersytetu moskiewskiego od r. 1838 do r. 1885 i współczesny mu M. S. Kutorga, również na katedrze historii powszechnej w Petersburgu. Należeli oni do t. zw. «zapadników», a przeciwników poprzednio panującego w społeczeństwie rosyjskim kierunku, t. zw. słowianofilstwa. Pomimo, że Granowski był czynny w warunkach wielce niekorzystnych, zwłaszcza po roku 1848, kiedy reakcya w Rosyi doszła do punktu kulminacyjnego, tak, że nawet nie wolno mu było wykładać w uniwersytecie historii reformacji XVI. wieku, sam bowiem temat taki uważany był za niecenzuralny — wpływ jednak prac jego i wykładów był tak wielki, iż nadal on ogólny ton pracom nad historią nietylko w uniwersytecie moskiewskim, lecz nawet w całej Rosyi.

Stosunek zwolenników zachodu do «Europy» porównać można, zdaniem Kariejewa, ze stosunkiem humanistów XIV—XVI wieków do klasycznej staro-

żytności: U narodów zachodniej Europy niema i nie może być tego przeciwieństwa między kulturą rodzinną a powszechną, jaka istnieje w Rosyi, gdzie kultura ogólnie europejska przedostaje się sporadycznie dopiero od w. XVIII.

Następną rozprawą jest: «Upadek waluty w Polsce za Jana Kazimierza» (str. 18—44) pióra p. Adama Szelałowskiego. Jest to jeden rozdział z pracy tegoż autora p. t. *Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce*, która właśnie w osobnej książce świeżo się ukazała (Lwów, nakładem Tow. wydawn. 1902, str. XII + 317 z tabl. cen zboża). Dlatego też na tem miejscu omawiać jej nie będziemy ¹⁾.

Trzecia rozprawa: «W obronie społeczeństwa. Studium z dziejów Władysława Warneńczyka» (str. 185—213 i 317—349) dr. Antoniego Prochaski. W studium tem zajmuje się autor jednym z najdawniejszych aktów związkowych, zważywszy *Compositio Clenodiorum*. Wielce zagadkowy, tak ze względu na formę jak i treść swoją, akt ten, odnaleziony w formularzu, pochodzącym z kancelaryi królewskiej z pierwszej połowy XV stulecia, zawiera postanowienia, dążące ku obronie społeczeństwa z powodu zagrożonego spokoju publicznego. Postanowienia te obowiązują członków związku, który — zdaniem autora, mógł powstać w okresie rozkwitu husytyzmu za pierwszych lat panowania Władysława Warneńczyka, a wielce ciekawego z tego względu, iż jest jedynym ze znanych związków, w którym biorą udział starsi rodów, czyli herbów szlacheckich. Związkowi uchwalają trwać przy świętej wierze i bronić jej od wszelkich zakusów heretyckich, a duchowieństwa od wszelkich naga-bywań; — stać wiernie przy tronie, prawach, jurysdykcji królewskiej; — zapobiegać mordom, rabunkom i niepokojom... Zastrzegając solidarność związkowych, nadmienia się, iż ci, którzyby się splamili uczęszczaniem do miejsc nieodpowiednich, jak np. do karczem, uczestniczeniem w grach kazardownych, w fałszerstwie, złodziejstwie lub zbrodni — zostaną wykluczeni ze związku. P. Prochaska zajmuje się odsłonięciem z tego aktu związkowego otaczającej go dotychczas tajemniczości — nikt bowiem nie zbadał go dokładnie, — a następnie sprostowaniem wielu błędnych o nim zdań naszych historyków. Dr. Prochaska up. twierdzi, iż związek ten nie był skutkiem konfederacyi Spytka z Melsztyna z r. 1439 — jak powszechnie sądzono — powstał bowiem przed ową konfederacją, niewątpliwie w r. 1438. Profesorowie A. Lewicki i Oswald Balcer odnosili powstanie jego do r. 1442.

Czwarta rozprawa: «Lichwa w świetle ustawodawstwa synodalnego polskiego w wiekach średnich (str. 449—503) dr. Zbigniewa Pazdry. Autor postawił za cel zbadanie, jakie stanowisko zajęło wobec lichwy nasze partykularne ustawodawstwo kościelne, jak się rozwijało, czy szło zgodnie z ustawodawstwem powszechnem — a mianowicie w XIV, XV i pierwszych dziesięcioleci XVI w. Dla czasów bowiem wcześniejszych brak u nas przepisów dotyczących lichwy. Rzecz swą rozpoczyna więc od skreślenia rozwoju ustawodawstwa powszechnego, względnie lichwy na zachodzie. Ojcowie kościoła, powołując się na stary testament, występowali przeciwko pobieraniu procentu, którego pojęcie w najdawniejszych czasach zlewało się w jedno z pojęciem lichwy. Następnie na synodach pojawiać się poczęły przepisy, grożące karami za lichwę, lecz żywsza działalność partykularna przeciwko lichwie rozpoczęła

¹⁾ Książce tej poświęcić zamierzamy artykuł osobny. *Red.*

się dopiero po soborze w Vienne, 1311 r.) za papieża Klemensa V — i trwała przez cały wiek XIV i XV, aż do początku XVI. Polska nie pozostała pod tym względem w tyle i już niebawem po soborze warneńskim, bo w r. 1320, spotykamy pierwszą ustawę przeciw lichwie (*de usuris*), a mianowicie dyccezyjalną krakowską. Dzieje stosunków tych w Polsce dzieli autor na dwa okresy: pierwszy — od czasów soboru wienneńskiego do testamentu Trąby (1311—1420), kiedy postanowienia, dotyczące lichwy, były jeszcze co do liczby nieznaczne, co do treści — niewyczerpujące, a co do źródeł — wyłącznie dyccezyjalne. Przepis, dotyczący lichwy w statucie dyccezyjalnym krakowskim (Nankera) z r. 1420 głosił, iż na lichwiarzy spada ekskomunika, a statut Piotra Wysza z r. 1396, iż nietylko nie wolno grzebać lichwiarzy na cmentarzu i w innych poświęconych miejscach, lecz także nie wolno odprawiać żadnych ceremonij ani żałobnych nabożeństw za ich dusze.

Statut wieluńsko-kaliski Trąby z r. 1420 tworzy punkt zwrotny w rozwoju ustawodawstwa przeciw lichwie w Polsce i jest fundamentem, na którym stanął po raz pierwszy całokształt przepisów w tej sprawie, obowiązujących w całej Polsce. Na nim oparł się i z niego wypłynął cały następny okres do roku 1527, t. j. do ukazania się zbioru Laskiego, w którego części pierwszej powtórzono dekret Trąby, a w drugiej — nie dodano właściwie co do lichwy nic nowego. Okres ten, drugi, odznaczył się dość żywą działalnością ustawodawstwa synodalnego, wszystkie jednak, zjawiające się w tym czasie, przepisy miały swe źródło w statucie Trąby.

Nakoniec piątą, ostatnią rozprawą, jest: «Świeżo utworzone utwory poematne Z. Krasińskiego» (str. 504—523) pióra p. Tadeusza Pinięgo. W pierwszej części tej rozprawy znajdujemy rozbiór «Myśli pobożnych Z. Krasińskiego», na które złożyły się «Litania» i «Modlitwy» i następnie usiłowanie określenia czasu, w którym mogły być one napisane, również dla kogo były przeznaczone. Zdaniem p. Pinięgo «Modlitewnik» ten przeznaczony był dla Maryi Bóbr-Piotrowickiej, z którą łączyły poetę nader serdeczne stosunki. Za datę zaś powstania jego uważa autor najprawdopodobniej rok 1835 lub 1836, t. j. datę ukończenia drugiej części «Irydyona».

W drugiej części artykułu p. Pini zajmuje się fragmentami poematu «Wanda», ogłoszonymi w zeszycie lipcowym «Biblioteki Warszawskiej» z r. 1901. Zdaniem jego, czas napisania tych fragmentów ograniczyć potrzeba latami: 1834—1836. Mówiąc o samym temacie «Wandy» przytacza p. Pini sporo ciekawych szczegółów, a mianowicie, iż cudzoziemcy znacznie wcześniej od nas stosować poczęli podanie o Wandzie do utworów artystycznych. Już np. pod koniec pierwszej połowy XVII wieku była córka Krakusa bohaterką francuskiej tragedyi, napisanej przez niejakiego Gilleta, a w sto lat później, w roku 1747 przedstawiono w teatrze paryskim drugą tragedję pod tym samym tytułem: *Vande, regine de Pologne*, napisanej przez bardziej już znanego poetę Michała Linant. Z Francyi przeszedł temat ten do Niemiec. Dopiero zaś przekład niemieckiej tragedyi na język polski, dokonany w r. 1810, zachęcił Polaków do sięgnięcia po podanie o Wandzie i w tym samym już roku wyszła w Krakowie tragedia J. Dembowskiego p. t. «Wanda». Po nim korzystali z tego tematu Zdźarski, Fr. Weżyk, Euzebiusz Słowacki, i nakoniec Zygmunt Krasiński, który jednak, chcąc nadać dramatowi swemu znaczenie allegoryi, nie mógł się zbyt ściśle trzymać osnowy podania i zmienił ją dość znacznie.

P. Pini podnosi znakomitą charakterystykę postaci poematu Z. Krasińskiego, jasność pojęć, wyborne porównania i zwroty językowe. Jedynie postać napoly obłąkanego Ludgarda nie odpowiada, zdaniem autora, nastrojowi ogólnemu poematu i psuje wrażenie. W opowiadaniu o siostrze Rytygiera widzi on echa Eddy i Nibelungów.

Rozprawy te zajmują mniej niż trzecią część całego rocznika. Resztę miejsca poświęcono licznym i cennym recenzjom i sprawozdaniom książek treści historycznej i literackiej (nie belletrystycznej). Znajdujemy tu wybrane recenzje piór pp. Askenazego, Brücknera, Chmiela, Korzona, Nehringa i innych. W dziale bibliograficznym znajdujemy spis nowszych wydawnictw z zakresu historii wschodu starożytnego (dr. M. Schorra), Grecyi i Rzymu (dr. W. Hahna), historii średniowiecznej (dr. Z. Pazdry) i Nowej (S.); w dziale zaś: «Przegląd czasopism» (przez p. St. Zdziarskiego) — spis wszystkich ważniejszych artykułów z zakresu polskiej historii, literatury, archeologii, etnografii i t. d., zamieszczonych w różnych polskich i zagranicznych czasopismach, a również i spis recenzji na dzieła naukowe, drukowane w języku polskim. «Kronika» zaznajamia czytelnika z działalnością różnych towarzystw naukowych, notuje konkursy, rezultaty poszukiwań archiwalnych, przedsięwzięcia naukowe i t. p. Słowem rocznik *Kwartalnika historycznego*, omówiony przez nas, jak i wszystkie inne z lat poprzednich, tak pod względem ilości jak i doboru prac, recenzji i notatek — nie pozostawia nic do życzenia. Jest to nasze najlepsze naukowe, poważne czasopismo, nader cenne i niezbędne dla polskiej wiedzy historycznej. A jednak stoi ono nad przepaścią z powodu braku poparcia ze strony społeczeństwa polskiego. Ostatni rok wykazuje w kasie niedobór...

Obowiązkiem więc tego społeczeństwa jest poparcie jedynego u nas poważnego wydawnictwa historycznego. Gorąco też nawołujemy czytelników do wpisywania się na listę jego prenumeratorów.

Henryk Ułaszyn.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Przegląd polski rozwoju przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa“. Miesięcznik społeczno-ekonomiczny pod redakcją Z. Pietkiewicza. Nr. 1—4. Rozpoczynamy ten przegląd od nowego wydawnictwa, zapowiedzianego już prospettami w roku zeszłym. Żałujemy częściowego zbiegu tytułów z wychodzącym w Krakowie a nie wspólnego z tem sympatycznym wydawnictwem nie mającym organem stańczykowskim. Zeszyt I. ukazał się w kwietniu 1902. W artykule wstępnym *Budujemy podstawy* p. Z. Pietkiewicz nawołuje do rozumnego, a z myślą przewodnią ku dobru ogólnemu skierowaną wyzyskania naturalnych zasobów i bogactw kraju. P. Forszteter p. t. *Nowa krytyka ekonomii politycznej* omawia dziełko Gottla: *Der Wertgedanke, ein verhültes Dogma der Nationalökonomie*. *Kwestyę włościąską* omawia p. K. R. Żywicki, aby przyjąć do wniosku (w zeszycie 3), że własność drobna rozdrabnia się naturalnie, ale też i skupia się po części w rękę ludzi zręcznych, umiejących cudzą biedę wyzyskać. Pod tytułem *Eksperyment etnologiczny na wyspie Pitcairn* opisuje

p. W. Nałkowski losy drobnej kolonii o ludności mieszanej, która osiedliła się tam w r. 1789 na skutek buntu w zalodze okrętowej. *Pilekalnie litewskie* (przez pp. Krzywickiego i Szaulisa) są to dawne grody ochronne Litwy. Opis ich i mapki sytuacyjne podane są przez p. Szaulisa. Dział drugi p. t. *Z życia* omawia rozmaite kwestye i wypadki drobniejsze. W następujących zeszytach prócz dalszych ciągów wymienionych artykułów znajdujemy: *Oło ochronne* p. Z. Pietkiewicza; autor, rozważywszy dotychczasową teorię ich i praktykę, przychodzi do wniosku, że ich pomoc w pielegnowaniu gałęzi przemysłu jest raczej szkodliwą. «Nowy okres rozwoju ekonomicznego trzeba oprzeć nie na cłach ochronnych, lecz na podstawach reform i udoskonalień społecznych, na właściwej organizacji pracy i produkcji». P. Grabski omawia próby i projektu *Uprzemysłowienia Galicji*. P. Marchlewski rozważa *Plące robotnicze i położenie mas*, aby przejść do wniosku, że «dla przeciwdziałania ujemnym stronom rozwoju wielko-przemysłowego narody europejskie na lądzie stałym muszą szukać dróg i środków innych, niż te, jakie były stosowane i okazały się możliwne w Anglii». Nr. 3: p. Z. Pietkiewicz p. t. *Artele u nas* omawia wytworzony w r. 1891 «Związek roboczy giełdowy warszawski» oraz plany p. Lewitkiego, organizatora podobnych związków rolniczych w cesarstwie. P. Forszteter daje kilka *Uwag o teorii wartości Marxa*. Nr. 4: *Kapitały obce w przemyśle polskim* przez P. jest początkiem artykułu, omawiającego dzieło ekonomisty rosyjskiego (p. Brandta: *Kapitały obce i ich wpływ na rozwój ekonomiczny kraju*); p. J. B. Marchlewski daje szkic *Dziejów uwłaszczenia włościan w Poznańskiem*; p. Z. Pietkiewicz: *Antropologia i jej znaczenie u rozwoju społecznym*.

— „Biblioteka Warszawska“. Maj: P. B. Łoziński w artykule *Dwa upiory historyczne* omawia potworną działalność nikczemnych Benedeka i Breindla podlegaczy do rzezi galicyjskiej w r. 1845 na podstawie nowo ogłoszonej korespondencji (przez K. Friedjunga, który nie wstydzi się pisać apologii Benedeka) oraz innych źródeł. Br. Baufall: *Samorząd ziemski i towarzystwa rolnicze*, autor zestawia tow. rolnicze Królestwa z «ziemstwami» cesarstwa; przychodzi do wniosku, że tow. rolnicze tylko czasowo i do pewnego stopnia zastąpić mogą samorząd ziemski. P. H. Radziszewski szkicuje *Rozwój ekonomiczny Królestwa* od r. 1815 do 1830. P. Brücknera: *Na zaraniu literatury*. P. St. Kramsztyk: *Atom elektryczny*. — Czerwiec: Dwa artykuły poświęcone są p. M. Konopnickiej: p. H. Sienkiewicza i p. Galla, wyczerpująco omawiające jej *Twórczość poetycką* (koniec w zeszycie lipcowym). P. J. Chelmoński poświęca wspomnienie Wojciechowi Gersonowi; autor podnosi zasługi artystyczne i pedagogiczne nieodżałowanego artysty, którego pamięć nawet po śmierci nie daje spokoju małoludkom. P. A. Donimirski w artykule *O Ziemię* omawia ciężką walkę, jaką stacza lud polski w Prusach, a przychodzi do wniosku, że jak «nie doczekali się pogromu tej ludności Schönowie i Flottwellowie, nie doczekał się Bismarck ani Miquel, nie ujrzy go też i Bülow ani jego następcy». Pod tytułem *Filozofia rytmu* omawia p. Drogoszewski nową teorię rytmiki p. Mleccki (w dziele *Serce a heksametr*). — Lipiec: *Pamiętnik generała Jana Weysenhoffa*, zbyt krótki niestety, omawia wypadki, w których udział brał młody naówczas żołnierz: czasy sejmu czteroletniego, wojną z Rosją w 1772, rządy Targowiczan, rewolucję 1794 r. i jej upadek. Pod tytułem *Literatura polska* omawia p. Brückner dwa obszernie podręczniki pp. Chmielowskiego i Tarnow-

skiego. «Chmielowski łączy z historią pedagogię — stara się oświecać wszechstronnie; Tarnowski łączy z historią-estetyką politykę... więc walczy z *liberum veto* i *liberum conspiro*, akcentuje co chwila ściśle katolickie i bardzo konserwatywne zasady»... P. Wł. Bogusławski omawia p. t. *Dramat i opera* sztukę *W sieci* p. Kisielewskiego oraz *Liwię Kwintylią* p. Noskowskiego i *Manru* p. Paderewskiego. P. Nusbaum p. t. *Nowa teoria powstawania gatunków* omawia teorię de Vriesa.

— „Pamiętnik Literacki“. Zeszyt II. P. Windakiewicz kończy studjum o *Erotyku Kochanowskiego*. — P. Brückner p. t. *Znakomitsi pisarze XVII w.* daje studjum o Opalińskim. — P. J. Chrzanowski kończy studjum o *Satyrach Naruszewicza*. — Liczne notatki i sprawozdania zamykają całość.

— „Revue Occidentale“, maj. Zawiera artykuły: *La panaméricanisme* par T. Garcia. — *La crise morale et le positivisme* par p. Grimanelli. — *Un chapitre de l'histoire du positivisme* par A. Ritti. — *Matérialisme et irreligion* par Fr. Harrison. — Variétés. — Nécrologie.

— „Krytyka“. Lipiec i Sierpień. Podnieść należy ciągnący się w dwóch tych zeszytach artykuł p. Chmielowskiego o książce p. Feldmanna: *Literatura polska z ostatnich lat dwudziestu*. «Wzywając mię do napisania oceny książki świeżo przez siebie ogłoszonej, p. Feldman zastrzegł z góry, iżbym na razie zapomniał, że on jest redaktorem «Krytyki». Kto zna charakter p. Chmielowskiego nie wątpi ani na chwilę, że tylko pod tym warunkiem zgodziłby się pisać i że «oświadczenia tego nie wziął za czczy frazes, lecz za rzetelne wymaganie autora, pragnącego słyszeć bezstronne o swej pracy zdanie». Jakoż pochwalivszy to, co na pochwałę zasługiwało, nie zataił znakomity znawca literatury naszej wad i błędów książki. Nie miejsce tu nad nimi się zatrzymywać; grzechem byłoby wszakże pominąć niektóre myśli, stanowiące niejako ogólną ocenę wrażenia, jakie najnowsze produkcye, nie zawsze ze słusnością do literatury zaliczane, robią na człowieka, który przez długie lata smak kształcił na najlepszych wzorach, a przez rozległą znajomość utworów rozmaitej doby ma niezrównane pole do porównań.

«P. F. z radością zaznacza, że w r. 1901 wyszło nie mniej jak około 30 tomów nowych poezyj i że przeważna ich część «posiada kunszt słowa w mierze, właściwej przed laty tylko wirtuozom». Mnie ten, istotnie znamienny, objaw nie przejmuje bynajmniej weselem, zwłaszcza, gdy zważymy, iż sam p. F. główny nacisk kładzie na kunsztowność formy, nie zaś na doniosłość treści. Jestem wielbicielem poezyi, ale poezyi prawdziwej; sztuczki o wytwornej formie, cacka artystyczne cenię według ich wartości w obrobie materiału językowego, ale mnie one nie oszalamiają, ani też w zachwyt nie wprawiają...

«Ze smutkiem i boleścią przychodzi patrzeć na młodzież, porzucającą gimnazyja, zaniedbującą wykształcenia, jak tylko spostrzeże w sobie zdolność zawiązywania wierszom ogonków, zdolność wychwalaną i wynoszoną pod niebiosa przez nierozsądne matki i ciotki. Ileż sam osobiście widziałem zmarnowanych istot wskutek upojenia się pierwszymi pochwałami za wiersze, w których myśli było niewiele, lecz forma kunsztowna! Można by wprawdzie po-

wiedzieć, że takie istoty i w każdym innym zawodzie zmarniałyby bez żadnego dla społeczeństwa pożytku; ale potrzeba pamiętać o tem, że usilne rozpowszechnianie wzdargy dla nauki mnoży szeregi takich jednostek, wytwarza zarozumiałych głupców, wynoszących się ponad mędrców największych dlatego tylko, że potrafią napisać cały szereg dźwięcznych (lecz próżnych treści) tercyn, lub tworzyć pieśni miłosne, podobne do litanij lub lamentacyj.

•Zbyteczną też jest rzeczą rozdmuchiwać płomień indywidualizmu. Mieśliśmy go zawsze i mamy aż zanadto — przy braku prawdziwie silnych i wytrwałych charakterów. Jak wolności nie umieliśmy zachować w korbach prawa i przemieniliśmy ją na zgonną, do zatury wiodącą swawolę; tak indywidualizm nasz wyrodził się w prywatę, twierdzącą, że dobro i szczęście Rzpltej polega na dobru i szczęściu danej jednostki. Opaliński, czy Radziejowski, Lubomirski czy Radziwiłł, Potocki czy Rzewuski, mówili dumnie każdy za siebie: ja jestem Rzpltą, do mnie wszystko odnosić się, około mnie wszystko kręcić się winno; tak jak modernistyczny indywidualista, wspiąwszy się do «absolutu», woła buźnie: ja jestem wszechświat, mógłbym go zburzyć i stworzyć nowy, ale mi się nie chce, bo to byłoby dowodem, że wątpię o swojej wszechpotędze!

•Wybryki współczesnego indywidualizmu — to tylko nowe omówienie «walki o byt», prowadzące do kultu dla siebie... «Tak też twierdziła doktryna egoizmu materyalistycznego w XVIII w. Pod pozorem zbijania tej doktryny i głoszenia zasad idealizmu wrócono właściwie do niej, przyklepiwszy jej tylko nową etykietkę... Nie było podobno bezczelniejszego samolubstwa, któreby się tak zuchwale podszywało pod wielki sztandar uduchowienia».

•Najmniej wszakże uzasadnione są pretensye do oryginalności tej części naszej literatury, podnoszonej przez p. Feldmana. «Ani impresyonizm, ani symbolizm, ani dekadentyzm, ani modernizm nie powstał samorzutnie na ziemi naszej, nie wykwitł w sposób naturalny z naszych stosunków, z naszych potrzeb, z naszych dążeń, lecz został przyniesiony z zewnątrz, zaszczerpiony z pośpiechem, charakteryzującym ludzi dbałych o najnowszą modę, o pokazanie, że nie jesteśmy pół-azyatami, że i my potrafimy wielbić prerafaelitów, wibrystów, pointylistów, japończyków; że i my możemy się walać po szynkowniach, jak Verlaine; że i my smakujemy we włóczęgowskim życiu, jak Rimbaud; że i my potrafimy zrozumieć najnniej zrozumiałe nastroje Maeterlincka; że i my potrafimy lepić symbole, mogące mieć tysiąc znaczeń, a w gruncie nie mających żadnego zgoła; że i my zdołamy głosić hasła jednego jedynego obowiązku względem siebie; że i my możemy stać się mizogynami i nigdy do kobiety nie zbliżać się bez bicia; że i my, jeśli tylko tak się nam będzie podobało, wzmówimy w siebie, iż opanowała nas niezdołność odczuwania szczęścia... Jeżeli się mówi, że pozytywizm był u nas plonką obcą, na naszym gruncie rozrósć się nie mogącą, to ileż bardziej trącą obczyzną impresjonistyczne, symboliczne i modernistyczne liryki, dramata i opowiadania».

«...Jak po balladach i sonetach Mickiewicza pojawiły się całe roje niedorzeczności balladowych i sonetowych; tak też po pierwszych nastrojowych poezjach, lubo nie obudziły one ani odrobiny takiego zajęcia, jak pierwsze utwory Adama, zarzucono już nas wywnętrzeniami nastrojowemi do tego stopnia, że gdy się ujrzy drukowany nowy nastrój, to mimowoli odczuwa się przesyć i zniechęcenie».

Czytelnicy nie wezmą nam za złe tych przydługich cytata. Są to myśli zbyt doniosłe, zbyt aktualne, zbyt potrzebne, aby ich nie powtarzać jak najczęściej. O ileż rażącem wyda się każdemu, że obok takiego artykułu, jak p. Chmielowskiego, spotykamy w tych samych zeszytach pod nazwą *Satyry (!?) literackiej* brutalne wymyślanie, skierowane na pisarzy i artystów, wymienionych po imieniu, a pisane jakimś okropnym żargonem ¹⁾. Taki proceder, godny świstków brukowych, nigdy jeszcze nie był praktykowany w naszych pismach literackich. Zaprobowała go dawniejsza «Krytyka», za co wpadła w pogardę u wszystkich ludzi szanujących siebie. Czyż nowa redakcyja nie czuje niebezpieczeństwa odnawiania tej tradycyi? Żałujemy, że nie możemy zatrzymać się nad artykułem wstępnym sierpniowego zeszytu p. t.: *Rzecz o demokracji narodowej*.

NOWE KSIĄŻKI.

— Tadeusz Pini. *Nasza współczesna poezya*. Szkice popularne. I. Lwów Tow. wydawnicze, 1902, str. 136.

Niewielki ten tomik obejmuje następujące szkice; *Miłość ojczyzny w poezjach Asnyka*, *Lud w poezjach Konopnickiej*, *Obrazki miejskie W. Gomulickiego*, *Polonia irredenta Niemojewskiego*, *Tatry Fr. Nowickiego*. Z tych tytułów już widać, że metodą, którą się kierował autor, było: wybranie jednego jakiegoś momentu w twórczości każdego z poetów i charakteryzowanie jej z tego stanowiska. Takie traktowanie, zwłaszcza w stosunku do postaci większych i wielostronnych ma tę zaletę, że zamiast powtarzania ogólników i pobieżnej charakterystyki ogólnej, nieocenionej w krótkim szkicu, pozwala autorowi wnikać głębiej w jeden zakątek twórczości, późniejszemu zaś syntetykowi całej działalności poety przygotowuje materiał do syntezy.

Momenta są trafnie wybrane, a zestawione w całości dają obraz jednolity i pełen treści. Za podmałowanie do niego służy trafna charakterystyka tła ogólnego ideowego, na którym twórczość wymienionych postaci rozwijała się; a następstwo ich po sobie nawiązuje nić snującą się od pokolenia, które widziało i przeżyło koniec romantyzmu w poezyi i w życiu historycznym, do najmłodszego, dziś czynnego. Nie sięga on oczywiście zbyt głęboko w te czynności, na co już krótka i lekka forma nie pozwala. Sądy wszakże autora są wogóle poprawne, stanowisko sympatyczne. Za przykład przytoczymy ocenę cyklu p. Niemojewskiego. Zaznaczywszy, że pod względem formy nie jest doskonałym i grzeszy jednostajnością, tak konkluduje autor: «A jednak cykl Niemojewskiego posiada znaczenie trwalsze i większe, niż cacka całego szeregu naszych «mistrzów formy», pokrywające pięknie brzmiącemi słowy bezdenną próżnię uczucia i myśli. Niemojewski otworzył przed nami zupełnie

¹⁾ Oto parę przykładów: «Champion grafomanów p. J. Nowiński»; «nie potrzebował ogłupieć p. Kossak»; o Styce znajdujemy zupełnie nie literackie opowiadanie, którego nie odważamy się powtórzyć; za to dla p. Jasińskiego ma wyraźną sympatyę, *Similia similibus gaudent*.

nowy, nieznany dotychczas w poezyi świat wrażeń, oświecił silnem gorącym uczuciem całą olbrzymią warstwę społeczeństwa naszego, której dotychczas nikt nie umiał, czy nie chciał dojrzeć; pokazał jej cierpienia i dążeń, pokazał nam w nich braci nietylko z rodu i imienia, ale z przekonania i ideałów, zbliżył nas do nich, a przez to zbliżenie podniósł nas samych, uszlachetnił». Szkic o p. Konopnickiej nadaje cechę aktualności tej książeczce. Pragnęlibyśmy, aby był czytany w Galicyi, gdzie, podobno, członkowie komitetu jubileuszowego zapytują, co napisała nasza największa poetka doby bieżącej.

Książki dla wszystkich. Do seryi wydawnictw pod tym tytułem objętych przybyły następujące tomiki: Dubois *Wpływ umysłu na ciało*, J. Wabnera *Nauczycielstwo i pedagogia*, St. Brzozowskiego *Co jest filozofia i co o niej wiedzieć należy* (cz. I. do Kanta, cz. II. od Kanta), Catulle Mendès'a *Ryszard Wagner i jego dramata muzyczne*, Lang'a *Wierzeni dzikich ludów*. Do tomików tych w jeszcze większym stopniu zastosować wypada uczyniony już przez nas zarzut braku planu ogólnego i krytycyzmu w wyborze. Kompilacye zaś bardzo treściwe (dotyczy to filozofii i mitologii) przestają być popularnemi. Prócz tego ukazały się: M. Egidy *Wychowanie dzisiejsze*, Oltuszewski *Zboczenia mowy*, F. Hösick *Julian Klaczko*, S. Barszczewski *Polacy w Ameryce*.

F. A. Hora. *Kapesni słownik czesko-polski*. (*Słownik czesko-polski kieszonkowy*). Praha 1900. Nakładem własnym str. 960.

Z dedykacją «Wzajemności czesko-polskiej» ukazał się wreszcie ten od dawna, a z upragnieniem przez ludzi myśli obu narodów bratnich oczekiwany pośrednik. Miejmy nadzieję, że zbliży je jeszcze bardziej i ściślej zadzierzgnie sympatyczne węzły, łączące obie literatury. «Pobudzony będąc przez prasę czeską i polską, która przyjaźnie przyjęła mój *Słownik polsko-czeski* w r. 1890 wydany, a pobudzany przez życzliwych przyjaciół polaków, którzy żywią zajęcie niepowszednie dla piśmiennictwa naszego, podjąłem się kilkoletniej pracy której owoce ofiaruję obecnie przyjaciołom wzajemności obu narodów bratnich. Największym dla mnie będzie zadowoleniem, jeśli praca ma stanie się użytecznym kamykiem w moście, łączącym oba narody».

Niemiała to a niewdzięczna praca! To też tem bardziej na wdzięczność naszą i na poparcie zasługuje, że tyleż należy do naszej literatury, co i do czeskiej. Autor korzystał z całego szeregu dzieł pomnikowych dla języka polskiego, jak *Słowniki* Lindego, Rykaczewskiego i inne. Pisownią zapożyczył z *Gramatyki* p. Kryńskiego. Wyraża wdzięczność szeregowi pracowników naszych z p. Karłowiczem na czele, którzy mu byli w pracy pomocni.

Dzieło objętością przewyższa znacznie *Słownik polsko-czeski*. Cena na tak znaczną objętość, wynosząca 9 koron (niecałe 4 rs.), jest więcej, niż przystępna. Miejmy nadzieję, że rozpowszechni się ten słownik wśród naszych czytelników, a zachęci do bliższego poznania literatury czeskiej i ułatwi je.

Encyklopedia nauk społecznych, Warszawa, wyd. red. «Głosu», Zeszyt I, (Abolicyonizm—Akcyza), str. 48.

Wydawnictwo to zawrzeć ma ekonomię społeczną, socyologię, statystykę, higienę, pedagogikę społeczną. Kierunek redakcyjny objął komitet, złożony

z grona osób pracujących na polu nauk społecznych. Całość stanowić będzie około 100 arkuszy druku w 4 tomach. Z artykułów umieszczonych w tym I. zeszycie wymienimy: *Agrarna kwestya* obszernie opracowana przez p. Krzywickiego; *Akcyjne towarzystwa* przez p. Kempnera; *Akcyza* i t. d.

Bardzo potrzebne to wydawnictwo przez wybór sił, jakie w nim biorą udział, obiecuje zadość uczynić wymaganiom, jakie pracy podobnej postawić można. Będzie zarazem pierwszym tego rodzaju dziełem polskiem. Polecamy je gorąco naszym czytelnikom.

KORRESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Czy dla poznania literatury polskiej koniecznie potrzeba po przeczytaniu jakiegokolwiek utworu przeczytać krytykę, czy też samemu starać się krytykować utwór ze strony języka, poglądów autora, psychologii osób i t. d.

Odpowiedź. Kwestya ta roztrząsa się w *Co i jak czytać* (str. 101—104 nowego wydania). Przytaczamy stamtąd parę ustępów:

•Przypuszczenie, iż sami potrafimy zupełnie ocenić i zrozumieć dzieło, świadczy więcej o zarozumiałości, niż o zrozumieniu rzeczy. Krytyk, nie dając nic prócz tego, co mógłby wyciągnąć z dzieła przeciętny czytelnik, najlepiej zrobi, jeśli oszczędzi sobie pracy pisania.

•Przewaga krytyka nad czytelnikiem polega przedewszystkiem na tem, że pierwszy studjuje utwór, drugi tylko go czyta. Jest to taka różnica, jaka istnieje między turystą, który zwiedzał miasto, a stałym jego mieszkańcem, znającym na pamięć wszystkie ulice i uliczki.

•Powtóre krytyk (mowa tu oczywiście o prawdziwym krytyku) przystępuje do rzeczy z rozległą znajomością stosunków historycznych, biograficznych, psychologicznych i społecznych. Ma on słowem dokładną zna-

jomość tła, na którym powstał utwór; rozumie jego związek z chwilą dziejową, z idejami przewodniemi wieku; posiada przytem głębsze pojmowanie wzajemnych oddziaływań tych stosunków, które mu pozwala dostrzedz nie-pochwytnie dla innych wpływy.

•Ale co stanowi istotną cechę dobrego krytyka, to wysokie poczucie estetyczne, takt psychologiczny i ta intuicyja piękna i prawdy, których rzadkie połączenie jest przyczyną, że wielkich krytyków w każdej literaturze jest zawsze mniej, niż wielkich poetów.

•Wszystko to razem sprawia, że dobra krytyka staje się dla czytelnika najczęściej tem, czem nowa teorya naukowa dla badacza: rzuca zupełnie nowe i jasne światło na przeczytany, a chociażby nawet i sumiennie przestudyowany utwór. To też bywa niekiedy, że krytycy robią prawdziwe odkrycia w dziełach, które już tysiące przed nimi czytały.

•Nie bezwarunkowo też poprawnem jest mniemanie, jakoby krytykę należało czytać dopiero po przeczytaniu samego dzieła.

•Pożądanem jest wprawdzie, ażeby szereg utworów poetyckich był przeczytany bez poprzedniej znajomości ich krytyki: stosuje się to zwłaszcza do dzieł, które sam czytający poddać

ma własnym studyom... Najczęściej ciwnie korzystnem, poznanie krytyki zaś nie będzie szkodliwym, ale przed pierwszym czytaniem utworu».

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

- W. Weychertówna: *Krótki zarys piśmiennictwa polskiego*. Warsz., 1902, str. 150.
- St. Schneider: *Reforma Wilamowitza w nauczaniu greczyzny*. Lwów, 1902, (odb. z «Muzeum»), str. 14.
- *Nowe poglądy na cywilizację grecką* (odb. z «Muzeum»), Lwów, 1902, str. 24.
- Guillame de Greef: *Le transformisme social*. 2 édition. Paris, Alcan. 1902, str. 520, fr. 7-50.
- Les lois sociologiques*. 2 ed. Paris Alcan.
- Memoire au sujet de l'affaire de l'Humanité Nouvelle*. (A. Hamon contre Schlicher frères). Paris, 1901, str. 78.
- Le scoperte di Otto von Schrön*. Da una lettera scritta al prof. G. B. Milesi. Bologna, 1901, (odbitka z «Rivista di Filosofia»), str. 26.
- G. B. Milesi: *La Riforma Positiva del Governo parlamentare*. Roma, 1900, str. 530.
- Politica positiva*. — Prima grande Riforma. Conferenza tenuta a Roma. Roma, 1902, str. 19.
- Biologia Minerale*. Lettera del prof. Otto von Schrön al prof. G. B. Milesi. Bologna, 1901, (odbitka z «Rivista di Filosofia»), str. 10.
- Wilhelm Feldmann: *Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu*. 2 tomy. Lwów, Altenberg, 1902, str. 240 i 348, kor. 7.
- J. Baudouin de Courtenay: *Referaty w Tow. przyrodników im. Kopernika* (O dwojeniu się wrażeń; o złudzeniach), str. 16.
- H. Gierszyński: *Maurycy Mochmacki*. Krótki rys biograf.-histor. Paryż, 1901, str. 19.
- E. Biernacki: *Pro domo mea* (Kartki z dziejów nauki polskiej). Warszawa, 1902, (odbitka z «Głosu»), str. 56.
- J. Dallemage: *Zbrodnia w świetle teoryj współczesnych*; przekł. Z. Poznański. Lwów, «Wiedza i Życie», 1902, str. 202.
- K. Woerman: *Czego nas uczą dzieje sztuki?* przekł. J. Kasprowicza z przedmową A. Boloż-Antoniewicza. Lwów, «Wiedza i Życie», 1902, str. 202.
- M. Stefanowska: *Deshydratation du protoplasme vivant par l'éther, le chloroform et l'alcohol*. Bruxelles, str. 15 i tabl.
- Troisième Congrès d'Enseignement Supérieur tenn. à Paris du 30 juillet au 4 août 1900*, publié par Fr. Picavet. Paris, 1902, str. 590.
- H. Struve: *Znaczenie filozofii w życiu umysłowem narodu*. Wykład publiczny miany w Krakowie. Warsz., 1902, str. 28, kop. 35.
- S. Krzemieniewski: *Wpływ soli mineralnych na przebieg oddychania niektórych roślin*. Kraków, Akad. Um., 1902, str. i tabl.
- J. Trzebiński: *Ueber den Einfluss verschiedener Reife auf das Wachstum von Phycomyces Nitens*. Cracovie, 1902, str. 18.
- A. Szyc: *Nauczyciel wobec dzisiejszych wymagań higieny*, (odbitka ze «Zdrowia»), 1902, str. 14.
- Elisée Reclus: *L'enseignement de la Géographie* (Globes, Disques globulaires et Reliefs). Bruxelles, 1901, p. 10.

NEKROLOGIA.

Doniosłą stratę poniosła literatura nasza w osobie **Adolfa Dygasińskiego**, czynnego na wielu polach, a zawsze przejętego zasadami humanizmu i po-
stępu. Ostatni utwór jego p. t. *Gody życia*, już po śmierci autora ukazał się w oddzielnem wydaniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wny Ś. w Kijowie*. «Krytyka» nie ma debitu w państwie rosyjskiem. — *Wna P-ka w Warszawie*. Odpowiedź na pytanie Sz. Pani zmuszeni jesteśmy odłożyć do następnego zeszytu.

POKWITOWANIE.

Na dar jubileuszowy dla p. M. Kozłowskiej odebraliśmy rs. czterdzieści od p. M. Gruszeckiej z Kijowa.



Wyszło z pod prasy:

W. M. Kozłowski: **Klasyfikacya umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego.** Wydanie drugie, przerobione i znacznie rozszerzone. Stanowi I-szy tom „**BIBLIOTEKI SAMOUKÓW**“. — Cena ct. 50; kop. 40.

Opuściło prasę:

W. M. Kozłowski: **Z hasel umysłowości współczesnej. Szkice publicystyczne.**

TREŚĆ: Wykształcenie i oświata. — Czem jest pogląd na świat i na co potrzebny? — Inteligencya i wykształcenie. — Rola jednostki inteligentnej w społeczeństwie. — Czy mamy inteligencyą? — Indywidualizm i jego granice. — Jednostka i społeczeństwo. — Źródła psychologiczne i związek wzajemny potęg dziejowych. — Postęp i wsteczność. — Tradycya i nowość. — Mrówcza praca czy wzlot ku wyżynom? — O dogmat. — Ruch etyczny wobec zagadnień socyologicznych współczesnych. — Słówko o kobiecie. — Apostołowie mierności. — Gieniusze bez teki. — Self-made men. — Mrok czy świt? — Epigonizm współczesny. — Epilog. — **Cena zfr. 1.30.**

 Zwracamy uwagę naszych Czytelników na rubrykę „Korespondencya z Czytelnikami“ i prosimy o odwoływanie się do Redakcyi z wszelkiego rodzaju trudnościami lub wątpliwościami, które napotkają na drodze wykształcenia własnego. 

Redaktor odpowiedzialny: Jan Dutkiewicz.

Wydawca: Wł. M. Kozłowski

ESTETYCYZM WSPÓŁCZESNY.

Jedną z największych zdobyczy ideowych prądu myśli, który rozpoczął panowanie swoje w społeczeństwie naszym przed trzydziestu laty, była zasada poddania życia pod przepisy wiedzy. Ścisłe zbliżenie wiedzy z życiem, uczynienie jej praktyczną, poddanie życia pod jej przepisy — takie było hasło wygłoszone przez Bacon'a na początku dziejów nowożytnych, podniesione przez Comte'a w XIX wieku, a stanowiące najistotniejszą podstawę tego, co u nas obejmowano pod nazwą ogólną pozytywizmu.

Wiedza jest ujęciem świata ze stanowiska rozumu; jest usiłowaniem pojęcia, t. j. racjonalizacji teoretycznej wszechrzeczy. Gdy stawiamy wymaganie, aby stała się przewodniczką w życiu, nie żądamy nic innego, jak tylko poddania życia i jego przejawów pod panowanie rozumu; wymagamy racjonalizacji zakresu praktycznego. Lecz o jakiż tu rozum idzie? Nie o ten potoczny «zdrowy rozsądek», który według wyrażenia jednego z filozofów «polyka wielbłądy a nie przepuszcza ukąszenia komarowi»; nie o ten, który we wnioskowaniach opiera się na ograniczonym doświadczeniu wczorajszym, a w przewidywaniu nie sięga do dnia jutrzejszego, który za normę uważa usposobienie indywidualne lub interes osobisty. Panowanie wiedzy — to znaczy rządy rozumu systematycznie operującego przy pomocy metodycznych zasobów logiki; krytycznie badającego założenia i przesłanki; opierającego się na doświadczeniu pokoleń ubiegłych, na twórczej pracy geniuszów.

Od rządów tych, od panowania w życiu takiego zbiorowego i metodycznego rozumu ludzkości zaczyna się cywilizacja właściwa, a jeśli Grecyą powszechnie uważamy za kolebkę cywili-

zacyi współczesnej, to dlatego głównie, że ona pierwsza usiłowała poddać pod prawa rozumu bieg gwiazd na równi z ustrojem politycznym, życie ludzkie na równi z pojmowaniem świata.

Wszakże już człowiek pierwotny, dobywający ognia przez tarcie dwóch kawałków drzewa, stosuje, nie umiejąc go sformułować jeszcze, to samo prawo przemiany energii, które w rękach inżyniera współczesnego staje się podstawą do obliczenia wydajności maszyny parowej.

Wprawdzie już w rozwoju tej myśli starogreckiej nastąpiła chwila, w której zrozumiano, że ostateczna pobudka wszelkiego postępowania tkwi gdzieś poza władzą rozumowania, snującą wnioski tylko z *danych* przesłanek. Kiedy sofiści, zapomocą czczych rozumkowań, robili czarne białem, a białe czarnem, Sokrates, jakkolwiek racjonalista w metodzie, odwoływał się nie raz w zagadnieniach życia praktycznego do głosu swego «dajmona», t. j. uczucia i sumienia. I racjonalizm XVIII stulecia, który tak słusznie nosi miano oświaty, nie negował tych innych źródeł pobudek postępowania, stwarzając obok ściśle mechanicznego poglądu na świat i egoistycznej doktryny ekonomicznej «teorią uczuć moralnych» Ad. Smith'a; «rozkaźnik bezwarunkowy» Kanta; «wyznanie wiary wikaryusza sabaudzkiego» Rousseau'a i «filozofią uczucia» Jacobiego.

Ale te ciemne źródła, z których płyną pobudki i chęci ludzkie, nie były w dobach oświaty zarówno greckiej jak i nowożytnej podniesione do godności źródeł poznania, jak w ciemnych i zaborzonych średnich wiekach. Granice właściwego zastosowania rozumu i uczuciowej strony duszy były poprawnie zakresłone i przestrzegane. Jeśli bowiem uznano, że z uczuciowej natury naszej płyną pobudki do czynów, to w ocenie krytycznej tych pobudek i wynikających z nich celów, niemniej jak w wytknięciu drogi postępowania do celów krytycznie aprobowanych, najwyższowładztwo bezwzględne przyznano rozumowi.

Dzięki owemu uznaniu obu stron naszej duchowej istoty, a jeszcze bardziej dzięki ściślemu rozgraniczeniu ich właściwych zakresów działania, doby oświaty, zarówno w starożytności jak i w ostatnich stuleciach, były tak płodne dla postępu ludzkości.

Jeśli wszakże w wielkiej symfonii myśli wszechludzkiej pojedyncze motywa przeplatały się tak, iż przeciwności, ograniczając się wzajemnie, tworzyły harmonijną całość, to w poszczególnych społeczeństwach lub ich warstwach przeważały to jedno, to

drugie. Przeważnie rozumowy charakter końca XVIII wieku wytwarza reakcją uczuciową w formie romantyzmu. W społeczeństwie naszym, gdzie bruzdy przez racjonalizm wyorane, nie były zbyt głębokie, gdzie charakter uczuciowy narodu i specjalne warunki historyczne sprzyjały temu, reakcja romantyczna była bardzo potężna i trwała długo. Przyczynił się do tego głównie podniosły ton i doniosłość dziejowa poezji naszej romantycznej, która stała się wyrazicielką ideałów całego społeczeństwa.

Po dobie romantyzmu przyszedł pozytywizm z hasłem kultu dla wiedzy i bezwzględnej jej panowania. Pozytywizm nasz mniej niż racjonalizm wieku oświaty uwzględniał granice zastosowania i udział rozumu i uczucia w wytwarzaniu dzieła ducha ludzkiego i pod tym względem był jednostronnym. Chciano, aby wiedza nie tylko wytykała drogę czynu, ale dawała także i hasła do niego. Doniosłą wszakże była owa zamiana panowania poezji i uczucia, które cechowało dobę romantyzmu, na nowe rządy — wiedzy. Naturalną też konsekwencją dalszego rozwoju byłoby przywrócenie praw uczuciu w należyтым zakresie, a w ten sposób i równowagi obu władz w wytworzeniu nowego poglądu na świat. W życiu historycznym wszakże rzadko odbywa się ewolucja według zasad konsekwencji logicznej. Po przeciągnięciu łuku w jedną stronę, następuje zwykle wyprężenie w przeciwną; reakcja również jednostronna, jak była akcja.

Po panowaniu więc haseł naukowo-rozumowych, można byłoby według analogii historycznych spodziewać się reakcji na korzyść uczucia. Wszakże u nas, zarówno jak i gdzieindziej, a może w większym jeszcze stopniu, daje się dostrzedz dziwne zjawisko. Występują zewnętrzne formy uczuciowości bez jej rzetelnego podkładu.

Rzekłbyś, że dzieje usiłują zachować prawidłowość w następstwie faz rozwojowych, a gdy warunki historyczne nie sprzyjają potężnemu wzlotowi uczuciowemu, zamiast płodnej twórczości z uczucia płynącej, wytwarza się cały szereg dzieł hibrydycznych naśladowujących jego formy zewnętrzne.

Taki wzlot miał miejsce w końcu XVIII wieku, a źródłem jego dziejowem było wystąpienie nowych warstw ludności na widownią życia publicznego, przeobrażenie instytucyj polityczno-społecznych w duchu tych nowych wymagań. Gdzie owa podniesiona potęga uczucia nie znalazła ujścia w czynie dziejowym, tam wylała się w twórczości szeregu gieniuszów, przybierając formy

estetyczne, bo twórczość poetycka jest utajoną formą akcyi dziejowej, niedoszłym do czynu heroizmem ¹⁾. Tak było w Niemczech. Z dwoma gieniuszami wszechświatowymi na czele, związanymi węzłami osobistej przyjaźni i wzajemnego twórczego oddziaływania, z całą plejadą duchów pomniejszych, wytworzyły Niemcy ówczesne ową kulturę estetyczną, tak znamienne a tak płodnie oddziaływającą na inne narody.

Dosyć jest przewertować korespondencyą tych dwóch gieniuszów; dosyć jest wczytać się w filozoficzne rozprawy Schillera i w jego poezye, aby widzieć, iż kult piękna i sztuki był dla nich istotną podstawą poglądu na świat. Uwydatnia się to, zwłaszcza w takich *Listach o wychowaniu estetycznem* i w *Artystach*, zaś w *Królestwie cieniów* ²⁾ myśl jego wznosi się do religijnej godności odkupienia estetycznego.

Takie przejęcie się ideałami sztuki i utworzenie z niej podstawy całego poglądu na świat, możliwe było tylko przy głębokiej wierze w jej odradzający i kształcący wpływ na ludzkość, wierze tryskającej z pomienionych dzieł, a znajdującej podstawę swoją w głębokim i szczerem uczuciu — miłości dla ludzi.

Jakże mizernie przedstawia się w porównaniu z tą wielką dobą estetyki pseudoestetyzm dzisiejszy! Wiary w sztukę i w jej powołanie nie znajdujemy wśród tych, którzy się zaliczają do jego przedstawicieli. Przeciwnie, parodyując hasło «sztuka dla ludzkości» w haselko «sztuki dla sztuki», zaprzeczają wyraźnie związek jej z życiem dziejowym, obopólnym płodnym wpływom ich wzajemnym; wykluczają z jej zakresu wielkie motywa. Zamiast ideałów płynących z głębokiego uczucia, powodują się płytkimi nastrojami, t. j. chwilowem usposobieniem nie sięgającym głęboko w rdzeń ducha. Zamiast uczuć wyższych, podniosłych, czysto ludzkich, lubują się w maluczkich instynktach; zamiast pięknej treści, naturalnie wytwarzającej piękną formę, zajmują się sztuczkami rymowania; zamiast akcentów namiętności, gwałcącej symetryą formy, znajdujemy u nich udane zaniedbanie, sprawiające wrażenie niedołęznego rozczochrania; zamiast uczucia łamiącego się z myślą — brak jednego i drugiego.

¹⁾ Ob. dla rozwinięcia tego założenia: *Munfred, hr. Henryk i Płoszowski* przez W. M. Kozłowskiego.

²⁾ Pierwsze w przekładzie polskim, wyd. «Bibl. warsz.» 1843 r. co do dwóch pozostałych ob. *Filozofia Schillera i wiersz Artysty* przez W. M. Kozłowskiego i jegoż *Królestwo ideałów i odkupienie estetyczne*.

W dobie upadku kultury greckiej, kiedy ogół utracił smak i poczucie piękna, można było dostrzedz dziwne zjawisko: na miejscu pięknych, artystycznie wykończonych waz, ozdobionych doskonale z natury modelowanymi rysunkami, poczęto wyrabiać wazy «archaizujące», naśladujące niedołęstwo najdawniejszych prób sztuki ceramicznej ozdobnej¹⁾. Coś podobnego daje się dziś dojrzeć w sztukach plastycznych, a po części i w poezyi. Wyo-brażają sobie, że potrafią odtworzyć naiwną szczerłość uczucia pierwotnych okresów sztuki, naśladując jej nieudolne formy i rysunek kreskowy, brak symetrii, powykrzywiane kształty. Zapominają, że takie małpowanie zewnętrznych cech bez duszy utworu, która tkwi w szczerem uczuciu i podrobić się nie da, może tylko odrażające sprawić wrażenie, bo nie tylko niedołęstwem techniki, ale razi nieszczerością i fałszem, jak zwiędłe lica pokryte malowanym rumieńcem.

Taki fałsz, taki rozdźwięk panuje dziś we wszystkich gałęziach sztuki, pretendującej do nazwy «modernizmu», zaczynając od architektury, dającej niesmaczne «potpourri» różnowiecznych klócających się z sobą stylów i rzeźby, udającej jakieś niedołęstwo i niewykończenie, jak ostatnie próby Rodin'a, a kończąc na utworach muzycznych, w których niezwykle kombinacje tonów i rytmu zastępują szczerłość ekspresyi melodyjnej lub poważny rozwój idei harmonijnej.

Takie doby upadku smaku powtarzały się w dziejach niejednokrotnie, a że sprowadzają one złe nie tylko krótkotrwałe i przemijające, świadczy o tem większa część kościołów w Warszawie. Znamienną cechą bowiem tych okresów niedołęstwa twórczego jest panowanie mody a chęć wprowadzenia nowości na miejsce pięknych i poważnych zabytków dawniejszych. Pod wpływem takiej to mody dawne gmachy gotyckie i renesansowe ustępowały miejsce tym brzydkim utworom barokowym i rokokowym, którym przyglądać się musi od paru stuleci ogół, zatracając zupełnie poczucie piękna plastycznego. I dziś podobny okres barbarzyństwa powraca. Mamy w Krakowie już dwa stare, a bardzo cenne pod względem estetycznym kościoły (św. Krzyża i Franciszkański) zeszpecone okropnymi malowaniami w stylu dziś mo-

¹⁾ Jedną z waz takich mieliśmy sposobność oglądać w bogactwem a niezmiernie cennym zbiorze sztuki stosowanej w Goluchowie, zbiorze tak mało u nas znanym.

dnym, a wielce prawdopodobnem jest, że i katedra na Wawelu nie uniknie całkowicie tego losu. Kto wie, jak kosztowne są podobne odnawiania, nie może ludzić się nadzieją, aby po rychłem minięciu mody nowe, lepsze malowania zastąpiły obecne. Cały szereg pokoleń zamiast kształcić smak na utworach pięknych, będzie go deprawował oglądaniem niesmacznych dziwolągów. A cóż dopiero mówić o gmachach wzniesionych w tym stylu, jak np. potworny przybytek Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie, przypominający zewnętrznym wyglądem stajnię? Te będą stały jeszcze dłużej, obrażając poczucie przechodniów i psując smak dorastających pokoleń.

Taka deprawacya estetyczna daje się dostrzedz obecnie już wśród młodzieży naszej. Że młodzież ulega tak łatwo temu zepsuciu smaku, tłumaczy się to bardzo naturalnie. Najsamprzód młodzież wogóle skłonna jest mieszać modę z postępem wskutek tego, że brak doświadczenia osobistego i znajomości dziejów nie pozwala jej dostrzedz zmienności i kołowania mody, a wyróżnić od tego trwałą i powolny rozwój postępu dziejowego. Dalej młodzież ta nie ma dostatecznych punktów oparcia dla sądu w porównaniu. Z natury rzeczy rzuca się do książek i utworów najnowszych, tych, które wszędzie będąc wystawione, same się proszą na uwagę. Oczytanie zaś lub znajomość utworów artystycznych dawniejszych okresów ma jeszcze zbyt niedostateczne — a właśnie jednostronność rozumowa okresu poprzedniego nie mało się do tej niedostateczności przyczyniła — aby przez porównanie z nimi wytworzyć sobie sąd poprawny i uzasadniony. To jedyne, co zna, skłonna jest uważać za najlepsze. Niemalą tu rolę odgrywa także i fałszywy wstyd. Obawa zasłużenia na opinią zafacna, nie dość estetycznie rozwiniętego osobnika, każe młodzieńcowi udawać zachwyt wobec rzeczy, która go pozostawia, co najmniej, obojętnym. Jeśli przyjrzymy się sądom o tak zwanych «nowych kierunkach» sztuki ze stanowiska osób je wydających, dostrzeżemy, że najwięcej zachwytów wygłaszają jednostki najmniej wrażliwe pod względem estetycznym, t. j. zachwyty te (i to nie tylko u młodzieży) spowodowane są przeważnie ostatnią pobudką.

Nie byloby w tem jeszcze nic złego, gdyby dawne otoczenie pokoju studenckiego utworzone z kościotrupów, zbiorów przyrodniczych i poważnych ksiąg naukowych, zastąpiły, jak to dziś niekiedy widzimy, reprodukcyje arcydzieł sztuki i rozprawy estetyczne również poważne. Na kulcie piękna i sztuki, na jej filozozo-

ficznej i filozoficznie-dziejowej ocenie można oprzeć niemniej poważny i płodny dla życia pogląd na świat, jak i na wiedzy i jej teoriach, a za przykład nieprześcigniony pod tym względem służyć będzie doba Lessinga, Göthego i Schillera w Niemczech. Ale osiągnąć ten wynik można tylko wtedy, gdy sztuka traktowana jest szczerze i poważnie, w jej związku z postępem ludzkości i jej rolą socyologiczną¹⁾; zamiłowanie do niej powinno wypływać z szczerego i prawdziwego odczucia jej utworów, a za podstawę ogólną mieć miłość dla ludzkości, bo ona to jest źródłem i celem sztuki. Jak bowiem sztuka jest wytworem zbiorowym ludzkości, tak też jej potrzebom i celom służy.

Jeśli nas razi estetycyzm modny dzisiejszy, to dlatego, że nie jest prawdziwym kultem piękna, lecz pseudoestetyką; że nie jest szczerym, z wewnętrznego poczucia płynącym, lecz napływowym; że nie do podniesienia, lecz do obniżenia godności sztuki zmierza; że nie jest wreszcie poważnie traktowany, jako podstawa poglądów życiowych, lecz najczęściej służy za podnózek drobnym ambicyjkom, chęci wywyższenia się i rozgłosu, łatwiej oczywiście zdobywającego się wiązką rymów, niż poważną pracą naukową; że służy wreszcie osłoną zbyt przejrzystą dla niepomiernych apetytów i kultu siebie samego.

A obok tego za warunek postawić powinniśmy, aby zdobycz doniosła ubiegłego okresu, ów postulat poddania życia pod przepisy wiedzy, nie została zmarnowana. Sztuka może być kuźnicą idealów, pobudek i celów, ale wiedza zawsze zostanie prawodawczynią w wyborze dróg i środków ku ich osiągnięciu. Tu wypada nam potraścić o cechę łączącą się z pseudoestetycyzmem dzisiejszym, a również jak on znamienne dla dób schyłkowych²⁾; jest to skłonność ku mistycyzmowi. Jak pseudoestetycyzm jest rozumowanym surogatem prawdziwej, z poczucia piękna płynącej sztuki, tak mistycyzm zastępuje prawdziwą, z głębi uczucia płynącą wiarę religijną. Jeśli estetycyzm staje tylko w pozornej sprzeczności z wiedzą, dającej się usunąć przez właściwe rozgraniczenie zakresów, to mistycyzm jest nieprzejednanie z nią sprzeczny, pretenduje bowiem do poznania płynącego z innych źródeł,

¹⁾ Co do tego punktu ob. *Sztuka jako czynnik dziejowy i społeczny w Sztukach filozoficznych* W. M. Kozłowskiego.

²⁾ Por. pod tym względem mistrzowską postać Petroniusza w *Quo vadis?*

niż naturalne, a jedyne przez wiedzę uznane; poznanie przez to i w treści klóącego się z wynikami wiedzy. Staje się więc źródłem zabobonu, opartego na objawieniu wewnętrznem, przyczem za to objawienie uważane są ciemne głosy instynktów, objawów atawizmu, niestłumionych jeszcze przez cywilizacyą, lub chorobliwe znamiona zwyrodnienia i obłądu. Takie źródła poznania uznawane były w ciemnych okresach średniowiecza, gdy głos wiedzy zamilkł chwilowo; w ich obronie podnosiły się i podnoszą do dziś dnia wściekle napaści na pozytywizm i na wiedzę, płynące z ciemnych zakątków życia zabobonnego dzisiejszego, przechowujących żywcem tradycyą średniowieczną; do nich też widoczne zamilowanie okazuje i «modernizm» współczesny ze swoim «satanizmem».

Taki powrót od światła do ciemnoty, od prawd wiedzy do urojeń chorych mózgów, od ideałów oświaty do zabobonów najsmutniejszych wieków, musi bezwarunkowo potępić każdy człowiek myślący.

HENRYK HEINE.

Z PODRÓŻY PO HARCU.

(Dokończenie).

Pasterz.

Królem jest chłopię pastusze,
Za tron ma wzgórze zielone,
Skroń jego słońce złociste,
Zdobi w swych blasków koronę.

U nóg mu kładną się owce,
Kornych pochlebców gromada;
Cieleća, gwardya przyboczna,
Poważnie kroczą wśród stada.

Bawią go dworscy aktorzy,
Kozłátka pełne wesela;
A fletnie ptasząt, krów dzwonki,
Brzmia jak przydworna kapela.

Z nią w jeden akord się zlewa
Szum jodeł, szmery siklawy,
Z tą falą dźwięków, na króla
Cicho sen splywa łaskawy.

A wtedy, rządy sprawuje
Pies, co jest króla ministrem,
Warczy i szczeka, wokoło
Okiem rozgląda się bystrem.

Król senny, wzdycha i szepce:
— «O, jakże ciężką korona!
«Czemuż nie mogę być w domu,
«Gdzie ma królowa stęskniona!»

«Jej ukochane objęcia
«Tak miękko tulą mi skronie,
«Niezmierne moje królestwo,
«To cudnych oczu jej tonie».

Na Brokenie.

Już na wschodzie słońce błyska,
Coraz jaśniej lśni przestworze;
Gór wierzchołki naokoło
Mlecznych mgieł opływa morze.

Ach, mieć buty stumilowe!...
Z ich pomocą mknąć jak strzała
Do samotnej, górskiej chaty
Kędy mieszka luba mała.

Nad łóżeczkiem, gdzie śpi słodko,
Cicho uniosłbym zasłonę,
Cicho czoło jej całował,
I rubiny ust czerwone.

Do białoróżowych uszek
Szeptalbym jej pieszczotliwie:

— «Śnij, że wiecznie będziem razem,
«I że się kochamy tkliwie!»

Ilza.

Jam Ilza, Ilza księżniczka —
Ilzensztein moje siedlisko;
Pójdź ze mną w szczęścia krainę,
Pójdź na me górskie siedlisko.

Skroń twą znękaną orzeźwią
Moich ożywczych wód fale,
Wszystkie twe troski utoną
W ich przezroczystym kryształe.

W moich łabędzich ramionach,
Na śnieżnobiałem mem łonie,
Cudownych podań i baśni
Barwne ogarną cię tonie.

Będę cię tulić, całować,
W upojeń wzniosę cię światy,
Tak, jak cesarza Henryka,
Co przed dawnymi zmarł laty.

Zmarli — do zmarłych niech idą!
Żywi — do żywych należą...
W mej piersi, żywe drga serce,
Jestem kwitnącą i świeżą.

Wnijdz do mojego zamczyska!
Tam kryształowe skrzą sale,
W nich damy, giermki, rycerze,
Tańczą przybrani wspaniale.

Szeleszczą treny jedwabne,
Stalowe dzwonią ostrogi,
Gnomy w litaury tam biją,
I w melodyjne dmą rogi.

Ja zaś cię wezmę w ramiona,
Tak jak cesarza Henryka —
Bywało — trąba zajęczy,
Uszy mu dłoń ma zamyka...

Przekł. J. Stępkowskiej.

ZARYS LITERATURY SOCYOLOGICZNEJ.

(Dokończenie).

Wpływ Comte'a, bezpośredni czy pośredni, był olbrzymi. Widoczny jest na znakomitym historyku Henryku Tomaszu Buckle'u; uległ mu Herbert Spencer, chociaż zaprzeczał temu; a nawet na Karolu Marksie daje się on spostrześć. Proces eliminacyjny i koncentracyjny, który Comte tak znakomicie nakreślił w rozwoju myślenia teologicznego, proces — że tak powiem — wywłaszczenia fetyszów przez bogów i następnie bogów przez jedynego Boga, łatwiej mógł przyprowadzić Marksa do wniosku o eliminacyjnym i koncentracyjnym wywłaszczeniu w dziedzinie zjawisk ekonomicznych, aniżeli filozofia heglowska. Całe pierwsze pokolenie socyologów znajdowało się pod silnym jego wpływem. Dzisiaj jeszcze ma on gorących, często bezwzględnych nawet zwolenników. Takimi są po części w Hiszpanii Adolf Posada, we Włoszech Schiattarella ¹⁾, w Belgii Wilhelm Degreeff. Mówię o zwolennikach socyologii, znajdującej się w *Cours de philosophie positive*, chociaż i osobno wydana w późniejszym czasie socyologia, która jest raczej obrazem osobistych poglądów autora, aniżeli wynikiem badań naukowych, ma wiernych uczniów i gorących wielbicieli.

Jeden ze współczesnych Comte'owi zwolenników ruchu saint-simonistycznego, Adolf Quetelet, przez zastosowanie rachunku do badań życia społecznego, przez udoskonalenie metody statystycznej, dał bardzo ważne pomocnicze w badaniach socyologicznych. Przyjąwszy od Comte'a podział nauki społecznej na

¹⁾ W duchu *Polityki pozytywnej* Comte'a rozwija działalność G. B. Milesi, profesor w Rzymie: *La Riforma positiva del governo parlamentare*, Roma 1900; *Politica positiva — prima grande Riforma*, Roma 1902. O tych pracach damy obszerniejsze sprawozdanie. *Przyp. Red.*

statykę i dynamikę, wiele zrobił dla statyki, wskazując drogę i sposób ocenienia stosunków ludnościowych ¹⁾.

Znakomity ekonomista, publicysta, myśliciel angielski, Jan Stuart Mill, bardziej niż poprzedni i współcześni mu ekonomiści uwydatnił podstawowe znaczenie zjawisk ekonomicznych w życiu społecznym. Opierając się przeważnie na jego wywodach, Doktor medycyny (Drysdale) w *Zasadach Nauki Społecznej* ²⁾ wykazał konsekwentną próbę oparcia statyki społecznej na prawie ludnościowym Malthusa. Karol Marks, wykazawszy wielkie znaczenie zjawisk ekonomicznych w dynamice społecznej, usiłował był nawet uzależnić ją od nich całkowicie.

Znakomita biologiczna teoria Karola Darwina oddziałała także silnie i na pracowników w dziedzinie socyologicznej. Do ważniejszych prac, zastosowujących tę teorię do życia społecznego, należy Waltera Bagehota p. t. *Physics and Politics* ³⁾. Porwany świetnym rozwojem nauk biologicznych, spowodowanym w znacznej części przez teorię Darwina, Paweł v. Lilienfeld, uznał społeczeństwo za realny, przyrodniczy organizm a w dziele swoim *Gedanken über die Socialwissenschaft der Zukunft* ⁴⁾ poparł to z wielką konsekwencją i obfitością dowodów, chociaż jednostronnie. Dla niego samo życie społeczne przestaje być wyższym szczeblem, odznaczającym się większą komplikacją, od życia pojedynczych organizmów, jeno odwzorowaniem tego samego życia tylko w odmiennych warunkach. Socyologia u niego prawie się zlewa z organologią.

Lilienfeld czerpał swoje dowody nie tylko z nauk przyrodniczych, ale i z etnologii, w której w tym czasie pojawił się cały szereg nader cennych badań początkowych form i przemian życia społecznego. Tylor, Lubbock, M. Lennan, Morgan, Henryk Maine, Giraud-Teulon, Bachofen, Bastian, Lippert, Post i inni rzucili wiele światła na życie pierwotnych społeczeństw. Karol Rodbertus Jagetzov, Emil Lavelay, Wilhelm Roscher, a za nim cała szkoła historyczna ekonomi-

¹⁾ Dzieło jego: *Sur l'homme et le développement de ses facultés, ou essai de physique sociale* (1835) i *Du système social et des lois qui le régissent* (1848), spisany p. t. *Układ społeczny i jego prawa*.

²⁾ Polski przekład w Genewie, 1880.

³⁾ W polskim przekład: *O początku narodów, myśli o wpływie doboru naturalnego i dziedziczności na rozwój społeczności politycznej*.

⁴⁾ Pierwszy tom wyszedł w Mitawie w 1873 r.

stów, ze Schmollerem na czele, wykazali, że warunki ekonomiczne są zmienne, i sprowadzili gruntowny przewrót w poglądach na własność indywidualną i kolektywną. W dziedzinie stosunków prawnych zachodzącą zmienność uwydatnili Ferdynand Lassalle i Hering. Fryderyk Kolb¹⁾ a następnie Fryderyk Hellwald²⁾ usiłowali przedstawić całkowity obraz rozwoju kultury ludzkiej. Buckle wykazał ogromną potęgę czynnika umysłowego w dziejowym rozwoju ludzkości, odsądając jednak niemal od wszelkiego wpływu czynnik moralny. Uzależnił on cały postęp od rozwoju umysłowości; moralność — zdaniem jego — w zasadniczych swych pojęciach pozostała niezmienną. Irlandczyk Lecky w *Historji racjonalizmu w Europie*³⁾ przekonał jednak, że i w moralności odbywała się ewolucja postępową, i że pod wpływem rosnącej wiedzy zachodziła zmiana w poglądach religijnych, a wiara stawała się rozumniejszą i szlachetniejszą. Draper za nadto już śmiało przeniósł pogląd przyrodniczy, organiczny do historii narodów⁴⁾.

Skutkiem znacznego postępu wszystkich nauk konkretnych socyologicznych, został obficie nagromadzony i dokładniej opracowany materiał do nowej budowy, a podjęto się jej prawie równocześnie dwóch znanych już w nauce pracowników: Herbert Spencer i Wojciech Schäffle.

Herbert Spencer (urodz. 1820 r.) zajmował się zagadnieniami socyologicznymi jeszcze w piątym dziesiątku minionego stulecia, ale do wzniesienia gmachu całkowitej socjologii⁵⁾ przystąpił dopiero po napisaniu trzech kapitalnych dzieł: *Ogólnej filozofii (Pierwsze Zasady)*, *Biologii* i *Psychologii*. To biologiczno-psychologiczne — że tak powiem — przygotowanie znakomicie się uwydatniło w dwóch najważniejszych twierdzeniach: 1) że społeczeństwo jest organizmem; 2) że antropomorficzna religia jest wynikiem niedokładnego rozumowania, które sny i rozmaite zlu-

¹⁾ *Culturgeschichte der Menschheit*, pierwsze wydanie 1843.

²⁾ *Culturgeschichte in ihrer Entwicklung bis zur Gegenwart*, pierwsze wydanie 1875.

³⁾ *History of the Rise and Influence of the Spirit of Rationalism in Europe* 1865.

⁴⁾ *History of the intellectual development in Europe*, 1862 — spolszczona przez Tad. Korzona.

⁵⁾ *Principles of sociology* — pierwszy tom wyszedł w 1876 r. Dzieło to zostało spolszczone przez J. K. Potockiego.

dzenia łączyły ze zjawiskiem śmierci, choroby i t. d. Jakkolwiek już Comte zaznaczał, że zjawiska społeczne są tylko dalszem skomplikowaniem zjawisk chemicznych, fizycznych i t. d., to jednak Spencer uwidoczniał ten rozwój komplikacyjny i dowodnie wykazał, że zjawiska społeczne, jak i wszystkie inne, ulegają tym samym ogólnym prawom.

Socjologia Spencera jednak nie jest syntezą wszystkich nauk konkretnych socjologicznych. Pomiął on prawie zupełnie statystykę i ekonomikę. Statyka jego socjologiczna jest bardzo niedostateczna, a w dynamice część ogólna jest mało rozwinięta.

Dzieło Wojciecha Schöfflego: *Budowa i życie ciała społecznego*¹⁾ najwięcej się zbliżyło do całokształtu socjologicznego. Wcielił on umiejętnie do nauki społecznej ekonomikę, a idąc za badaczami niemieckimi, przedstawił także i syntezę nauk państwowych. Mniej oryginalny, więcej eklektyczny umysł Schöfflego dopomógł mu w tem bardzo. W jego socjologii konkretność przeważa nad abstrakcyjnością, a najmniej rozwiniętą częścią jest socjologia ogólna.

Dzieła te zapewniły ostatecznie socjologii stanowisko naukowe i uznanie jej przez dyplomowaną naukę. Zaprzestano przeczyć socjologii prawa do niepodległego bytu; rzucono się tłumnie do badania jej, a często nadużywano nawet tej nazwy, osłaniając nią uogólnienie oddzielnych konkretnych nauk socjologicznych albo rozprawy z dziedziny polityki, t. j. stosowanej nauki społecznej.

Dla wielu etnologia stała się jedyną podstawą socjologii. Taką jest socjologia Karola Letourneau²⁾. Liczne jego późniejsze monograficzne badania nad rozwojem własności, sprawiedliwości, literatury i t. d. przedstawiają obfity materiał etnologiczny dla badacza socjologa, chociaż nie zawsze krytycznie i ostrożnie nagromadzony. Donioślejsze znaczenie ma dzieło Gustawa Le Bon'a o rozwoju społeczeństw ludzkich³⁾; łączy ono socjologię z całością wiedzy o świecie, ziemi i żyjących stworzeniach i opiera ją na etnologii, paleontologii i historii kultury. Znakomite uogólnienie etnologii, wykonane przez Bastiana w jego *Zasadach*⁴⁾ stawia je

¹⁾ *Bau und Leben des Sozialkörpers*. Tom I. wyszedł w 1878 r.

²⁾ *La sociologie d'après l'ethnographie*. (Paris, 1880).

³⁾ *L'homme et les sociétés, leurs origines et leur histoire*. (Paris, 1881).

⁴⁾ *Grundzüge der Ethnologie*, 1884.

w rzędzie powyższych dzieł. Najcenniejszą jednak pracą w tym kierunku jest dzieło Lewisa H. Morgana o pierwotnem społeczeństwie, które na podstawie spostrzeżeń etnologicznych, usiłuje odtworzyć stopniowy i postępowy rozwój społeczeństwa ¹⁾.

Antropologiczne badania nad różnicami szczepowemi pomiędzy ludźmi dały podstawę do twierdzenia, że jedne szczepy są wyższe a drugie niższe, że jedne szczepy są od samej przyrody uprzywilejowane do panowania, drugie zaś przeznaczone do ulegania. Szczególnie Lapouge, profesor uniwersytetu w Montpellier, rozwijał tę teorię do skrajności. Zdaniem jego, tym uprzywilejowanym szczepem są aryjczycy, których w mieszaninie pokrzyżowań dzisiejszych wyróżnia długogłowość, jasne (blond) włosy, niebieskie oczy i wzrost wysoki. Teoria ta uzyskała pewną liczbę zwolenników i wśród teoretyków życia społecznego, umożliwiając im obronę istniejącego obecnie porządku. Takim reakcyjnym obrońcą jest przedewszystkiem Ammon ²⁾. Dzieło Samtera: *Nauka społeczna (Sociallehre)*, zbudowane przeważnie na antropologii, jest raczej antropologią socyologiczną, aniżeli socyologią.

Ludwik Gumplowicz, aczkolwiek wychodzi także z punktu antropologicznego, to jednak zajmuje samoistne i odrębne od innych antropologo-socyologów stanowisko ³⁾. Przyjmuje on wielopochodność rodzaju ludzkiego i widzi bodziec rozwoju społecznego w stykaniu się, ścieraniu i walce gromad różnoplemiennych. Jedna gromada podbijała drugą w celu użytkowania z jej pracy. Właściwie podbój i wyzysk w coraz bardziej złagodzonych kształtach stanowią — zdaniem Gumplowicza — oś rozwoju życia społecznego i zasadnicze prawo socyologii. Gromada tą drogą przekształcała się w naród-państwo (autor nie przeprowadza granicy pomiędzy jednym i drugim), które ma swój początek, rozkwit i upadek. O postępie można tylko mówić, mając na oku oddzielne gromady, ale postęp ludzkości jest naszym urojeniem. Pomimo konsekwentnego wykładu, autor nieraz wpada sam z sobą w sprzeczności; zwłaszcza to można powiedzieć o końcowym ustępie, kiedy

¹⁾ *Ancient Society*. New-York, 1877. Spolszczone p. t. *Spółeczeństwo pierwotne* (Warszawa, 1887).

²⁾ *Die Gesellschaftsordnung und ihre natürlichen Grundlagen*, 1895.

³⁾ *System socyologii*, Warszawa. Bez oznaczenia roku, ale książka wyszła w 1887 r. Francuskie opracowanie tego systemu wyszło w 1898 r. p. t. *Socologie et Politique* (Paris).

mówi o sprawiedliwości. Przeciwnikiem jest teorii organizmu społecznego i kolektywizmu.

Historia, stając się coraz bardziej różnostronną i kolektywną, w tem znaczeniu, że nie działalność oddzielnych jednostek, lecz życie i rozwój społeczeństw ludzkich stały się treścią jej opowieści, dla niektórych badaczy życia społecznego podniosła się do znaczenia nie tylko głównej, ale niemal jedynej podstawy socjologii. Barth jest tego przekonania, że uogólniona historia, czyli filozofia historii jest właściwą socjologią¹⁾.

Amerykańscy socjologowie, Patten, Small, Mackensie, Lester Ward, Franklin Giddings, uwydatnili wielkie znaczenie psychologii dla socjologii. Zdaniem ich, które znalazło uznanie i u badaczy europejskich, psychologia dla wyjaśnienia zjawisk społecznych jest tem, czem cynematyka (mechanika) dla zjawisk świata fizycznego. Simon Patten napisał całą rozprawę o stosunku psychologii do socjologii. Podług Warda najważniejszymi czynnikami są psychiczne, i samo społeczeństwo jest właściwie organizmem psychicznym. Giddings wykazuje także ścisły związek pomiędzy psychologią a socjologią, — pomimo to obie te nauki są samoistne. Psychologia — powiada Giddings — jest nauką o asocjacyach idei; socjologia — o asocjacyach umysłów.

Z amerykańskich socjologów najwięcej oryginalnym jest Lester F. Ward²⁾. Siły psychiczne, będące przedmiotem socjologii, są właściwie odmianą tylko jednej: *chęci* (woli), która dąży do *zadowolenia* (szczęścia). Można je podzielić na istotne i nieistotne, czyli wtórne. Istotne znowu można podzielić na ochronne, czyli zachowawcze i rozrodcze. Do pierwszych należą: dążenie do zadowolenia, przyjemności i unikanie bólu, przykrości. Do drugich żądze płciowe i uczucia rodzinne. Czynniki wtórnymi są: estetyczne, wzruszeniowe (współuczuciowe, moralne, religijne) i umysłowe. Czynniki istotne służą do zachowania i utrwalenia porządku społecznego; wtórne zaś są czynnikami postępowemi. Społeczeństwo uświadomione może proces naturalny rozwoju zamienić w teleologiczny postęp.

Socjologowie amerykańscy stoją na gruncie comte'owskim.

¹⁾ P. Barth: *Die Philosophie der Geschichte als Soziologie*. Leipzig. 1897.

²⁾ *Dynamic Sociology*. 1883. — *The psychic factors of Civilization*. 1893. — *Outlines of Sociology*. New-York, 1898. (Pierwsze z tych dzieł przełożone zostało na język polski przez ś. p. J. K. Potockiego. Przekład oczekuje dotąd na wydawcę. Gorąco go polecamy naszym nakładcom. *Red.*)

Najwięcej się zbliżyli do pojmowania socyologii jako uogólnienia, syntezy nauk społecznych Franklin Giddings i Albion Small. Zasady socyologii — Giddingsa¹⁾ — to w pewnej mierze wzór, czem ma być Ogólna Socyologia. Small, naczelny profesor socyologii w uniwersytecie w Chicago, napisał dobry podręcznik tej nauki dla studyujących, który rozpada się na 5 ksiąg: 1) Początek i cel socyologii, 2) Historia naturalna społeczeństwa, 3) Anatomia społeczna, 4) Fیزیologia i patologia społeczna, 5) Psychologia społeczna. Small uważa ten podręcznik jako wstęp do socyologii, gdyż — zdaniem jego — właściwą socyologią jest tylko Ogólna Socyologia, czyli — jak on powiada — filozofia dobrobytu ludzi.

Wyznawcą czystego comtyzmu jest pracowity socyolog belgijski, Wilhelm De Greef, profesor na *Université Nouvelle* w Brukseli. Ważniejszymi jego dziełami są *Prawa Socyologiczne* i *Przeobrażanie się społeczne*²⁾. Należy się tu zrobić uwagę, że w miarę wzrostu literatury socyologicznej i liczby pracowników w onej, powaga naukowa Comte'a zdobywała coraz powszechniejsze uznanie, nawet w ojczystym jego kraju, Francji, gdzie najdłużej ją lekceważono.

Pod sztandarem abstrakcyjnego comtyzmu, Jerzy Simmel i Emil Durkheim³⁾, utalentowani młodszy socyologowie, wbrew zwiększającej się konkretności badań socyologicznych, a będącej skutkiem rozpowszechniającego się przekonania, że socyologia jest syntezą pojedynczych nauk społecznych, usiłują zatrzymać ją na tem stanowisku abstrakcyi, na jakim postawił ją był Comte. Odnaczając się subtelnym analitycznym umysłem, odróżniają oni w różnorodnych zjawiskach życia społecznego właściwy wpływ samego społeczeństwa, pochodzący z wzajemnych stosunków pomiędzy jego członkami i z działania całości na oddzielne jednostki.

Socyologowie, za wskazaniem Comte'a, posługują się metodą indukcyjną. Dwaj atoli wybitni socyologowie francuzcy, Alfred Fouillé i Gabryel Tarde oparli swoje wywody na metodzie

¹⁾ Zostały przetłómaczone na język francuski: *Principes de Sociologie* par Franklin H. Giddings — traduit par Comtes de Lestrade. Paris. 1897.

²⁾ *Les lois sociologiques*. Paris. 1893. Podalem sprawozdanie w warszawskim «Przeglądzie Tygodniowym» z tegoż roku. *Le Transformisme social*. 1895. (O tych dwóch pracach oraz o działalności naukowej i pedagogicznej ich autora damy niebawem obszerniejsze sprawozdanie. *Red.*)

³⁾ Z. Durkheim: *La division du travail social*, 1893. *Les Règles de la méthode sociologique*, 1894.

dedukcyjnej. Pierwszy wszakże, dla którego punktem wyjścia są idee siły (*idées forces*), jest raczej filozofem, aniżeli socyologiem. Punkt wyjścia Gabryela Tarde'a jest podobny do punktu wyjścia Fouillego: nazywa on pierwotne siły monadami i widzi w procesie rozwojowym nieustanne powtarzanie się, naśladownictwo¹⁾).

W pobieżnym tym zarysie literatury socyologicznej chodziło może głównie o zaznaczenie różnych kierunków na polu badań tej umiejętności, aniżeli o wyliczenie pracowników, których liczba jest wielka i codziennie wzrasta. Każdy prawie naród szczyci się uczonemi w tym dziale. Hiszpanie z chlubą wymieniają Adolfa Posadę (Adolfo Posada), Manuela Salles z Ferré, Azcarate; we Włoszech zdobyli uznanie Henryk Ferri, Achilles Loria, Asturaro i t. d. Oprócz wymienionych już francuskich pisarzy, zajęli wybitne w tej nauce stanowisko: Juliusz Pioger, Jan Izoulet, René Worms²⁾. Nie wspominam tu socjalistycznych pisarzy, chociaż niemało się oni przyczynili do dokładniejszego zrozumienia wielu zjawisk społecznych. Pomiędzy badaczami na ściśle naukowym polu wypada jeszcze wyróżnić: Karola Kautsky'ego, L. Steina, Massaryka, Benjamina Kida, Karejewa, Nowikowa, Kowalewskiego.

I polska literatura socyologiczna ma sporą liczbę pracowników. Nazwisko Gumpłowicza stało się znane w całej naukowej literaturze europejskiej. Lotar Dargun jest więcej znany ze swych prac niemieckich. Bardzo wiele się przyczynił do upowszechnienia wiadomości socyologicznych w Polsce J. K. Potocki, jako tłumacz i jako oryginalny pisarz. Stanisław Krusiński, Ludwik Krzywicki, Aleksander Świętochowski, Michał Żmigrodzki, Gross, Schiff, Kazimierz Krauz, Edward Abramowski, Zygmunt Balicki, Ludwik Kuleczycki, Kaz. Gorzycki uprawiali i uprawiają niwę socyologiczną. W rocznikach z ostatnich lat «Ateneum», «Głosu», «Prawdy», «Przeglądu Tygodniowego», «Przeglądu Filozoficznego» (Warszawa), «Przeglądu Społecznego», «Tygodnia» (Lwów), «Krytyki» (Kraków) znajdują się dobrze opracowane sprawozdania i cenne artykuły, tłumaczone i oryginalne, w przedmiocie socyologii.

Upowszechniające się przekonanie o wielkiem znaczeniu socyologii otwierało jej bramę do przybytków naukowych. Ile wiem,

1) *Les lois de l'imitation, étude sociologique*, 1890. *La logique sociale*, 1895

2) *Organisme et Société*.

pierwszą katedrę socjologii utworzono na wydziale literackim w Bordeaux w 1887 r. Zajął ją Emil Durkheim. W 1892 r. na uniwersytecie w Chicago utworzono osobny wydział socjologiczny „*Department of sociology*“. Naczelnym profesorem został Small. W następnych latach zaczęto wykładać socjologię w Brukseli (De Greef), w Montpellier (Lapouge, później Marcel Bernes), w Paryżu (Izoulet), w Lyonie (Bertrand), w Sewili (Manuel Sales z Ferré), w Utrechcie (Steinmetz), w Berlinie (Jerzy Simmel), w Bernie szwajcarskiem (Ludwik Stein), w Madrycie i t. d. W 1895 r. założono w Hartford (Connecticut w Stanach Zjednoczonych) kollegium socjologiczne z kursem trzechletnim dla obojej płci.

Wzrastając liczbą pracowników w dziedzinie socjologicznej i powiększające się zainteresowanie tą młodą nauką zachęciły do zakładania specjalnych czasopism w tym przedmiocie. René Worms zaczął wydawać od 1893 r. w Paryżu «*Revue Internationale de Sociologie*». Następnie Durkheim zaczął wydawać rocznik «*L'année sociologique*», zdający sprawę niemal ze wszystkich ważniejszych dzieł socjologicznych w francuskim, angielskim, niemieckim i włoskim języku. W półtora roku po założeniu paryskiego «*Przeglądu*», zaczęło wychodzić we Włoszech czasopismo p. t. «*Rivista di sociologia*». W Chicago pojawił się «*The American Journal of Sociology*» pod redakcją Smalla. Oprócz tych specjalnych pism, czasopisma naukowe, poświęcone naukom społecznym, jak np. niemieckie «*Zeitschrift für Litteratur und Geschichte der Staatswissenschaften*», włoskie «*Rivista internazionale di scienze sociali e discipline ausiliare*» i inne zawierają liczne a użyteczne dla badacza socjologa rozprawy.

Do wzrostu literatury socjologicznej i do nadania samej socjologii większej powagi w dyplomowanych sferach naukowych nie mało się przyczynia Instytut międzynarodowy, założony przez Reného Wormsa w Paryżu w 1893 r. W następnym roku odbył się z jego ramienia kongres międzynarodowy pod prezydencją Johna Lubbocka ¹⁾.

¹⁾ Kazimierz Krauz umieścił w warszawskim «*Przeglądzie Filozoficznym*» (1898 r. Zeszyt IV) szczegółowe sprawozdanie z pięcioletniej czynności tego instytutu.

Bolesław Limanowski.

DOGMATYKA EGOIZMU NA POLU MIĘDZYNARODOWEM.

(Z. Balicki: *Egoizm narodowy wobec etyki*, Lwów, 1902).

Przed paru dziesiątkami lat było zwyczajem u nas i za granicą traktować zagadnienia filozoficzne jako takie, do których każdy może przystępować ze «zdrwym rozumem», bez specjalnego przygotowania i metodycznego wyrobienia. Każdy musi zapewne w jakiśkolwiek sposób rozwiązywać dla własnego użytku rozmaite zagadnienia świata i życia, o ile mu się nasuwają, a nie zawsze może posługiwać się w tych wypadkach całym zasobem wiedzy przez poprzedników zdobytej. Wszakże jeśli ktoś bierze pióro do ręki, a więc nie tylko dla własnego użytku, lecz dla pouczenia innych usiłuje rozwiązać podobne zagadnienia, możemy żądać słusznie, aby wiedział przynajmniej o głównych zdobyczach wiedzy dotychczasowej w dziedzinie, w której chce być nowatorem.

Nowatorem p. Balicki naprawdę zresztą nie jest. Cała jego broszura jest odnowieniem dawno przebrzmiałego kierunku etycznego, znanego w dziejach myśli pod nazwą *dogmatyki egoizmu*, który jest tylko społecznym rozszerzeniem ekonomicznej doktryny manchesteryzmu czyli nauki «laisser faire», również dawno potępionej przez poważną wiedzę, nawet w tym specjalnym zakresie. Od *Bajki o pszczołach* Mandeville'a w XVII stuleciu do teorii Malthusa w końcu XVIII wieku kwitła owa dogmatyka egoizmu, jako doktryna względnie oryginalna¹⁾, a później jako przeżytek pokutowała w popularnych pisenkach, sącząc się kropelkami z dobrych zresztą co do intencji, chociaż niezawsze celowych pism Smiles'a i krystalizowała się w sztywnym umyśle Spencera, tego wielkiego dyletanta empiryzmu, który pozostał jej wiernym i w ostatniej swej książce²⁾.

Z tych to źródeł przenikła ona do wielu umysłów naszych, w ciągu doby pracy organicznej, a w niektórych została dotychczas niekrytycznie przechowana. Z takim to leciutkim balastem erudycyi przystępuje p. Balicki do swego przedmiotu, a odbiciem

¹⁾ Mówimy względnie, bo i tu była reminiscencyą sofistów starogreckich.

²⁾ Ob. «Pogląd na świat» Nr 6, str. 273.

tych reminiscencyj lektury młodzieńczej jest jego rozprawka, w której wywody owej płytkiej dogmatyki egoizmu, próbuje zastosować i do stosunków międzynarodowych.

Któż nie przypomina sobie owej dziecinnej argumentacji moralizujących powiastek i książek popularnych angielskich, gdzie to dowodzi się, jako dając grosz ubogiemu, demoralizuje się siebie, jego samego, a wreszcie podważają się podstawy życia społecznego. Toż samo znajdujemy przystosowane do okoliczności u p. B.

«Altruizm bezwzględny — powiada on (str. 8) — przyjęty jako powszechny nakaz moralny, wytwarza położenie w najwyższym stopniu niemoralne: każdy myśli o innych, inni zaś myślą o nim». — Zdaje się, że tak naiwnie nikt, prócz autora, altruizmu nie pojmował. Na poparcie wszakże tego, że altruizm demoralizuje tych, dla których stanowi zasadę etyczną (str. 10), że wyklucza wszelką celowość życia (tamże), że prowadzi do arystokracji duchowej (str. 11), przytacza on młodzieńca, który otrzymawszy pieniądze na wpis od rodziców, oddaje je koledze potrzebującemu. «Czyn jego, czytamy u p. B. (str. 11), *tak bezmyślnie stawiany przez panującą u nas opinię na piedestał etyczny* (kursyw nasz) może się okazać i to właśnie w warunkach zwykłych, przeciętnych potrójnie niemoralnym. Przyczyni się on do zdeprawowania kolegi, ucząc go co najmniej liczyć na nieprzewidzianą pomoc, a być może rozwijając w nim pierwsze instynkty pasorzytnictwa; dającemu pokrzyżuje plan dalszej pracy, utrwali w nim wadę niewykonywania podjętych obowiązków,... nakoniec oddając cudze pieniądze na inny cel, niż były przeznaczone, nasz altruista popelnia swego rodzaju sprzeniewierzenie na szkodę rodziców».

Czytelnik łatwo pozna w tej sofistycznej argumentacji moralizującą bajkę o groszu, ulubiony temat przedawnionej dogmatyki egoizmu, o tyleż naiwną o ile bezczelną.

Nie potrzebujemy wchodzić w szczegóły dalszych rozumowań autora. Dzieli on egoizm i altruizm na «zmysłowy» i «samowiedny» (!? — chyba «świadomy»?); przytem okazuje się, że «egoizm samowiedny», który autor podnosi, ma «wszystkie zewnętrzne znamiona altruizmu», tak przez niego pognębitego. Poczóż więc było wywracać pod jedną nazwą to, co się wychwała pod drugą? Dalej wskutek zupełnie już niezrozumiałego koziolka logicznego przeciwstawność owa przeobraża się na różnicę pomiędzy «etyką ideału osobistego» a «etyką idei zbiorowej». W końcu

miesza autor w jedno etykę idealów i etykę nakazu (a więc stary zakon i chrześcijaństwo; Kanta i Schillera), a polemizując z jedną, opiera argumenta na drugiej.

Jeśli autor wykazuje taką nieznajomość prądów i takie pomieszanie pojęć, takie hołdowanie najmniej uzasadnionym przesądom popularnych doktrynek mieszczańskich, w zakresach dawno już krytycznie opracowanych, ukłasyfikowanych i przetrawionych przez literaturę naukową, to czegoż się można spodziewać po zastosowaniach do szerokiej i bardziej skomplikowanej dziedziny stosunków międzynarodowych? Znajdujemy tu istotnie obronę hasłek ciasnego szowinizmu i z konkurencyjnych pobudek, wynikających antagonizmów, cechujących wogóle nawpół kulturalne, dorabiające się warstwy współczesnych społeczeństw. Cokolwiek przekracza ciasny zakres ich gromadki, kasty, klasy, jest im nieważne i niezrozumiałe. Jakoż p. Baliński żąda, «aby każdy solidaryzował się z grupą społeczną, do której dobrowolnie należy i pełnił obowiązki swego stanu, swego powołania, swej przynależności duchowej» (str. 33). Co jest poza obrębem tego «stanu» lub «powołania», nie należy wobec tego do jednostki, a nie tylko nie powinna się tem zajmować, ale zgodnie z ową formułką pierwotną dogmatyki egoizmu: *homo homini lupus*, wrogo się jej przeciwstawiać. Wszystko ludzkie, szerokie, humanitarne zostaje dla niej zamknięte.

Takie to przesady i maksymki płytko mieszczańskie, z którymi ciężko walczy literatura oświecona wszystkich narodów, uzasadnić stara się autor zapomocą nowego szeregu koziółków myślowych, w których logika ustępuje miejsce zapamiętałości dla pewnych niemiłych gromad, przenoszonych i na ich doktryny. To też czytamy np. na str. 35: «Kosmopolityzm polityczny nigdy właściwie szczerym nie jest: kryje on za sobą bądź wynorodowienie, maskowane płaszczykiem międzynarodowej solidarności, bądź, jak u żydów, wyłączenie przywiązanie do swego szczepu, maskowane płaszczykiem ogólnoludzkiego humanizmu; w obu wypadkach ma wyłącznie na celu zrzucenie z siebie wszelkich obowiązków względem narodu, do którego się należy lub należeć powinno». A nieco dalej: «Filantropia kosmopolityczna, obojętna na to komu daje, jeżeli nie jest bezużytecznym naśladownictwem, jest zawsze ukrytym sobkostwem». Nie potrzebujemy polemizować z temi zdaniem; ich źródłem bowiem nie jest rozumowanie, lecz rozdrażnienie, a na to logika nie pomoże.

Ale oto próbka niby przedmiotowego określenia: «Altruizm tak potępiony przez autora!) wobec swego narodu i przejęcie się jego egoizmem, składają się łącznie na uczucie patryotyzmu» (str. 37). Dotąd zawsze widzieliśmy w dziejach, że patryotycznymi nazywały się stronnictwa, które łączyły miłość własnego narodu z uczuciem sprawiedliwości dla innych i z przejęciem się ideałami postępu ogólnie-ludzkiego. Domieszka «egoizmu narodowego», t. j. ciasnoty i zapamiętałości, kazi uczucie przywiązania do swego narodu i obniża je z roli patryotyzmu do jego niesmacznych surrogatów: chelpliwego szowinizmu i pieniącego się z zawiści haka-tyzmu.

Powiedzieliśmy, że p. Balicki nie jest nowatorem w swoim zakresie. Istotnie to wszystko, co usiłuje obronić, jest oddawna za-śniedziałym przesądem nawpół ciemnych mas, płynącym z tej ko-palni instynktów brutalnych, na której spoczywa nienawiść mię-dzy narodami i szczepami, nietolerancya religijna, antagonizm klas i stanów, militarizm współczesny i papuzie pióra predomi-nancyi wojowniczej. Wszystko to są rzeczy, z którymi od paru stuleci walczy oświecona myśl ludzkości w imię ideałów zbliże-nia, tolerancyi, braterstwa. Walczyć będzie zapewne jeszcze długo, ale ufajmy, iż skutecznie. I społeczeństwo nasze, narówni z innemi europejskimi, przejmując się coraz bardziej tymi ideałami, idzie za tą światłą myślą ludzkości, a nie zatrzymują go na tej drodze wo-jownicze wywijanie pręcikami i piąstkami naszych domorosłych bismarczków i maltusików.

NOWE POGLĄDY NA POWSTAWANIE GATUNKÓW.

(TEORYA MUTACYJNA DE VRIES'A).

Epokowe prace Linneusza nad systematyką skierowały na długi czas siły wszystkich przyrodników wyłącznie ku tej dziedzinie wiedzy. Z wielkim zapalem zakładano ogrody botaniczne i muzea, opisywano i klasyfikowano coraz to nowe rośliny i zwierzęta, których obficie dostarczały ekspedycje, przedsiębrane we wszystkie części świata. Lecz z natury rzeczy materiał opisowy musiał się powoli wyczerpywać i wkrótce nadszedł czas, gdy wszystkie prawie gatunki nie tylko Europy, ale i innych czę-

ści świata zostały opisane i skatalogowane. Zwrócono się wtedy do dokładniejszego poznania gatunków Linneuszowskich, a przede wszystkim do t. zw. *varietates minores* (odmian pomniejszych) wzgardzonych przez szwedzkiego przyrodnika. I cóż się wtedy okazało? Oto, że one prawdziwe Linneuszowe gatunki (*bona species*) nie są ostatecznymi jednostkami układu systematycznego, że większość z nich daje się rozłożyć na znaczną liczbę odrębnych postaci, mało wprawdzie różniących się między sobą, lecz podobnie jak Linneuszowskie gatunki, przekazujących swe cechy potomstwu w całej czystości. Nowo wykryte grupy te znajdują się zatem w takim stosunku do gatunków w pojęciu Linneusza, jak owe gatunki do rodzajów. Nie Linneuszowskie zatem gatunki, lecz owe nowo wykryte grupy stanowią ostateczne jednostki układu, czyli prawdziwe gatunki. Nauka zyskała w ten sposób fakt wielce doniosły, że równie dobrze mogą odziedziczać się i zachowywać swą stałość, cechy mało wyraźne, wymagające dla swego rozpoznania niekiedy studyów specjalnych, jak i cechy łatwo wpadające w oczy, któremi posługiwał się Linneusz przy ustawieniu gatunków. Z drugiej strony cechy nawet bardzo wyraźne mogą ulegać znacznej zmienności, a zatem dla charakterystyki gatunku mogą okazać bez wartości. Widzimy to dobrze na roślinach uprawnych. Dzika marchew np. już po 5-ciu pokoleniach przeobraża się w hodowli w odmianę jadalną o grubym mięsistym korzeniu. I odwrotnie, marchew uprawna pozostawiona samej sobie dziczeje, t. j. traci swe pożyteczne dla człowieka cechy. To samo dzieje się w naturze. Gatunki o bardzo szerokiem rozpowszechnieniu geograficznem wskutek różnorodności warunków, w jakich żyją, ulegają tak licznym wahaniom w swych najbardziej częstokroć wybitnych cechach, że o zużytkowaniu ich do scharakteryzowania gatunku mowy być nie może.

Krótko mówiąc, wszystkie cechy, któremi różni się jeden gatunek od drugiego, można podzielić na dwie kategorie: cechy

¹⁾ Tak np. ustanowiony przez Linneusza gatunek rośliny *Draba verna* głodek wiosenny obejmuje 200 zupełnie samodzielnych grup systematycznych niższego rzędu czyli podgatunków, jak to wykazały badania Jordana, Thuret'a, de Bary'ego i wielu innych. To samo odnosi się do Linneuszowskich gatunków: *Viola tricolor* (bratek), *Hieracium Pilosella* (jastrzębiec kosmatek), *Euphrasia officinalis* (światlik) i bardzo wiele innych, roślinnych i zwierzęcych gatunków przez późniejszych systematyków rozdrobionych na znaczną ilość drobniejszych podziałów.

stałe, czyli organizacyjne, nieulegające lub przynajmniej bardzo trudno ulegające zmianie pod wpływem warunków zewnętrznych lub zmienności indywidualnej i cechy przystosowawcze, będące wynikiem oddziaływania warunków zewnętrznych na organizm. Dla cech pierwszego rodzaju stałość, dla drugiego — zmienność, stanowi jedyne charakterystyczne piętno. Naturalnie, że dla systematyka mają znaczenie tylko cechy pierwszej kategorii, t. j. organizacyjne, chociaż, jak już wyżej zaznaczyliśmy, mogą one w porównaniu z cechami przystosowawczymi odznaczać się bardzo małą wyrazistością.

Któż przeglądając np. zbiory entomologiczne, nie był zdziwiony ową mnogością zupełnie jednakowo dla profana wyglądających czarnych lub szarych muszek albo żuczków? A jednak systematyk zalicza je na zasadzie rozpoznanych przez siebie cech organizacyjnych do rozmaitych gatunków rodzajów, a może nawet do odrębnych rodzin.

Podobne wypadki zdarzają się i wśród roślin. Podobnie do siebie wyglądają np. na pierwszy rzut oka pędy skrzypu (*Equisetum*), efedry (*Ephedra*) lub rzewni (*Casuarina*), tak że nieświadomy rzeczy gotów je wziąć za bardzo bliskie gatunki roślin. A tymczasem zbadanie organów rozrodczych i budowy anatomicznej, wykaże nam natychmiast, że mamy przed sobą przedstawicieli trzech odmiennych typów roślinnych, albowiem skrzyp należy do roślin zarodnikowych, efedra do nagozalażkowych, rzewnia zaś do okrytozalażkowych. Tu cechy przystosowawcze podobne zasłoniły sobą istotne różnice budowy. Napotykamy równie często i wypadek odwrotny, kiedy dwa bliskie gatunki organizmów, żyjąc w warunkach zupełnie odrębnych, otrzymują tak wyraziste cechy przystosowawcze, że na pierwszy rzut oka jesteśmy skłonni zaliczyć je do zupełnie odmiennych typów i dopiero dokładne zbadanie budowy wewnętrznej lub historii rozwoju, wykazuje ich bliskie pokrewieństwo. Nie znający zasad klasyfikacji botanicznej, nigdyby nie przypuścił, aby można było nasze zielne drobne gatunki wilczomleczów pomieścić nie tylko do jednej rodziny ale i do jednego rodzaju z podzwrotnikowymi gatunkami *Euphorbia* o soczystych, słupowatych, bezlistnych, wielkich pędach.

Owo równoległe występowanie w każdym organizmie cech organizacyjnych i przystosowawczych nie tylko utrudnia dokładne rozgraniczenie gatunków, ale w wysokim stopniu komplikuje samą kwestię powstawania nowych postaci organizmów. Znaczna pla-

styczność organizacji zwierzęcej i roślinnej, ujawniająca się w zmienności jej pod wpływem hodowli, zawsze nasuwała myśl, że podobnie jak hodowca stwarza nowe odmiany, tak i w naturze mogą powstawać one, dzięki rozmaitym czynnikom. Lecz jakież są te czynniki? Gdzie mają one swój początek? Czy źródło ich kryje się w samym organizmie, t. j. w zdolności jego do oddziaływania w pewien swoisty sposób na wpływy zewnętrzne? Czy decydujący wpływ na charakter nowo powstających ceñ przypisać należy raczej warunków otoczenia? A jeżeli większą rolę nadamy warunkom otoczenia, to czy działanie ich obejmuje wogóle wszystkie cechy organizmu, czy też jedynie cechy przystosowawcze?

Oto pytania, które należało rozwiązać, aby wyjaśnić proces powstawania nowych gatunków. Dalecy jeszcze jesteśmy od stanowczej odpowiedzi na te pytania, a różnaitość poglądów do dziś dnia panująca między biologami, najlepiej o tem świadczy. Gdy jedni razem z Lamarkiem i Nägelim główne znaczenie w rozwoju organizmów przypisują swoistej budowie ich wewnętrznej, drudzy w ślad za Darwinem decydujący wpływ skłonni są raczej przypisać warunkom zewnętrznym, których każdy organizm jest niejako dokładnem odbiciem.

Znane są powszechnie zasługi Darwina dla całej wiedzy biologicznej. Wygłaszana już w starożytności zasadę ewolucyi czyli rozwoju wyższych organizmów z niższych ugruntował on niezbitcie zapomocą zebranego przez siebie olbrzymiego materiału faktycznego. W ten sposób wypowiedana dawniej jako hipoteza, zasada pokrewieństwa wzajemnego organizmów stała się podstawą badań naukowych. Powszechnem dziś stało się zapatrywanie, iż wszystkie organizmy, roślinne i zwierzęce, żyjące i wymarłe przedstawiają jedną olbrzymią rodzinę istot, połączonych węzłami bliższego lub dalszego pokrewieństwa.

Zasada ewolucyi bez względu, czy przyjmiemy jeden wspólny początek dla roślin i zwierząt, czy też, jak chcą niektórzy, kilka pni pierwotnych, z których rozwinął się świat roślinny i zwierzęcy, stanowi obecnie trwałą, niewzruszoną dobytek nauki, a zarazem niczem nie zastąpioną ideę przewodnią wszelkich badań biologicznych. Teorya ewolucyi stosuje się do wszystkich gałęzi nauk biologicznych; do studyów morfologicznych nad żyjącymi i kopalnemi organizmami, jak i do historii kolejnego występowania różnych grup na kuli ziemskiej, do historii indywidualnego

rozwoju roślin i zwierząt, niemniej jak do geograficznego ich rozmieszczenia w epoce obecnej.

Słabsza wszakże jest ta część teorii Darwina, która usiłuje wyjaśnić sam proces powstawania nowych postaci. Gdy Lamarek tłumaczy powstawanie cech przystosowawczych przez używanie lub nieużywanie pewnych organów, Darwin sprobował odnaleźć czynniki powodujące powstawanie wszystkich cech wogóle. Za najważniejszy czynnik w tym względzie uważa on, jak wiadomo, walkę o byt, oraz dobór przyrodniczy, będący koniecznem następstwem tej ostatniej. Każdy osobnik — powiada Darwin — przynosi z sobą na świat pewne indywidualne cechy, zazwyczaj bardzo drobne, mało wyraźne. Dobór przyrodniczy usuwa osobniki z cechami szkodliwemi, a zapewnia zwycięstwo w zapasach życiowych osobnikom o cechach pożytecznych. Cechy te zostaną przekazane potomności, a w każdym nowem pokoleniu będą się utrwalaly i wzmacniały, dopóki nie staną się tak wyraźne, że osobniki te wytworzą nowy gatunek. Z biegiem czasu różnice te mogą przybrać cechy rodzaju, rodziny i wyższych skupień systematycznych.

A tymczasem właśnie powstawanie cech czysto organizacyjnych wyłącznie drogą doboru spotyka się z zarzutami wielu bardzo badaczy obecnych. Nie można bowiem wytłumaczyć, w jaki sposób dobór przyrodniczy mógł wywołać powstanie głównych typów roślinnych i zwierzęcych, dlaczego organizmy pomimo najróżnorodniejszych przystosowań zawsze zachowują w całej czystości swój typ systematyczny, dlaczego organizmy żyjące wśród jednakowych zupełnie warunków, okazują przystosowania według odmiennych dla poszczególnych grup właściwych wzorów. Pomimo przystosowań nadającym florze np. podwodnej lub górskiej wybitnie charakterystyczne piętno, znajdujemy w niej przedstawicieli najrozmaitszych roślin i klas, zachowujących stale swe cechy systematyczne. Przystosowania do poruszania się w powietrzu czyli skrzydła, posiadają w zasadzie tę samą budowę u owadów, ptaków i nietoperzy. Mimo to zasadniczy plan organizacyjny w każdym z tych wypadków nie uległ żadnej zmianie. Nie potrafi nam dobór przyrodniczy wytłumaczyć, dlaczego jedne rośliny bronią się przed nadmiernem parowaniem wody z ich tkanek za pomocą gęstego włosianego kutneru, który się rozwija na powierzchni ich liści i pędów, inne zaś rośliny nie posiadają ani jednego włoska, ale za to rozwijają w liściach swych gruby na-

skórek, utrudniający parowanie wody, a znajdziemy łatwo i takie gatunki roślin, które pod cienką, włosków pozbawioną skórką, gromadzą w specjalnych tkankach wodę zapasową. Dlaczego np. wśród morskich zwierząt tylko szkarłupnie (*Echinodermata*) posiadają tak oryginalnie zbudowane narządy ruchowe w postaci całego układu naczyń wodnych i nówek przyczepnych? Dlaczego u stawonogich (*Arthropoda*) napotykamy wyłącznie szkielet zewnętrzny, utworzony z chityny, gdy tymczasem u kręgowców występuje na pierwszy plan szkielet kostny, względnie chrząstkowy? Dlaczego u kręgowców nigdy nie napotykamy chityny? Pytań podobnych zarówno zoolog jak i botanik może postawić bez liku i wobec nich teoria doboru przyrodniczego okazuje się zupełnie bezsilną. To też w ostatnich czasach w gronie biologów coraz bardziej daje się odczuwać zwrot ku poglądom Lamarecka i Nägele'go¹⁾. Coraz silniej toruje sobie drogę przeświadczenie, że rozwój świata organicznego w pierwszym rzędzie zależy od swojej budowy, nieznaną zresztą nam zupełnie, samych organizmów, a warunki zewnętrzne mają tu drugorzędne znaczenie, podobnie jak przebieg reakcyi chemicznej zależy przedewszystkiem od składu chemicznego związków, choć nikt nie będzie zaprzeczać tu wpływu temperatury, światła i t. d. Musimy zatem przyznać, że dobór przyrodniczy może co najwyżej modyfikować sam kierunek rozwoju organizmów, usuwając prędzej czy później osobniki mniej dostosowane do otoczenia; same zaś procesa rozwojowe oraz ich kierunek są wogóle wynikiem działania specyficznych sił, którym za materyjalne podścielisko służy protoplazma żyjąca.

(Dok. nast.).

Józef Trzebiński.

PRZYCZYNNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Agregacya — skupienie przedmiotów nie mających istotnego, wewnętrznego związku (całość przypadkowa, np. stos kamieni).

Aideizm — stan umysłu, w którym pozbawiony on jest wszelkich myśli.

Amnesia (α — przeczenie; $\mu\eta\tilde{\nu}\sigma$ — pamięć) — zatra

¹⁾ Porów. poglądy Warminga, Goebela, Wettsteina, Neuslova.

mięci częściowa lub zupełna. Charakterystyczną jest dla stanów sonambulizmu, katalepsji, powodując rozdzielenie osobowości.

A pari — podobnież; rozumowanie *a pari* jest wnioskiem na podstawie podobieństwa.

Alalia (α — przeczenie; $\lambda\alpha\lambda\acute{\iota}\alpha$ — słowo) znaczy toż samo, co *afazya* chorobliwe zaburzenie mowy.

Anestezya (α — przeczenie; $\alpha\iota\sigma\theta\eta\sigma\iota\varsigma$ — czułość) — utrata czułości, częściowa lub całkowita.

Analgezya — utrata czułości na ból.

Antropocentryzm — odniesienie wszystkiego do człowieka; uczynienie z niego środkowej postaci we wszechświecie.

Argument Anzelma — dowód istnienia Boga, opierający się na rozumowaniu, że istota największa, jaka może być pomyślana, jest myślą konieczną, której musi odpowiadać rzeczywistość. Gdyby bowiem istniała tylko w myśli, można byłoby pomyśleć jeszcze większą w rzeczywistości, cecha bowiem rzeczywistego istnienia dodaje coś do pomyślanej wielkości.

Aseitas — wyraz scholastyczny, pochodzący od wyrażenia *a se*; oznacza istnienie przez się, wynikające bezpośrednio z istoty przedmiotu, konieczne (jak istnienie Boga, który jest własną przyczyną — *causa sui*).

Atawizm (*atavus* — dziad) — powtarzanie się dziedziczne cech, których nie posiadał przodek najbliższy, lecz tylko dalsi. Jest to więc dziedziczność, przeskakująca przez kilka lub więcej pokoleń.

Ataxia (α — przeczenie; $\tau\acute{\alpha}\xi\iota\varsigma$ — porządek) — zakłócenie chorobliwe ruchów; niezdolność do ich skoordynowania.

Automatyzm ($\alpha\upsilon\tau\acute{o}\mu\alpha\tau\omicron\nu$ — to co samo się porusza). W psychologii nazywamy automatycznymi wogóle te ruchy, które odbywają się bez udziału woli; fizjologia rozróżnia w nich dwie gromady: *odruchami* są ruchy nieświadome, spowodowane przez bodziec zewnętrzny (zmysłowy); *automatycznymi* — takie, w których podrażnienie pochodzi od wpływów działających wewnątrz organizmu (np. ruchy oddechowe spowodowane są przez działanie na rdzeń przedłużoną zawartych w krwi produktów utlenienia organizmu). — Różnica pomiędzy posągiem automatycznym a istotą żywą, polega, według Paley'a, na tem, że w pierwszym możemy śledzić nawskróś mechanizm ruchów, w drugiej zaś tylko do pewnej granicy, poza którą nie poddaje się naszej analizie, czy to dla niezwyklej subtelności swojej, czy może dlatego, że ustępuje miejsce innemu urządzeniu. Leibniz nazywa duszę ludzką *spiri-*

tuale quoddam automaton, mając na myśli, że sama wprawia siebie w czynność przez pożądaną swoje. U Arystotelesa wyraz ten jest równoznaczny z przypadkiem, t. j. oznacza czynność przyrody niezgodną z jej celem (nie doprowadzającą do niego lub go przekraczającą).

Autoteista (αὐτός — sam; θεός — bóg). «Autoteistami są ci, którzy nie uznają żadnych innych istot prócz siebie». (Lacoudre *Institut Philosoph.* II, 120). Ob. *Solipsyzm*.

Axiomat ob. *pewnik*.

Barbara
Baroco
Baralipton } ob. figury wnioskowania.

Bathybius (βαθύς — dno; βίος — życie) tak nazwał Huxley masy, które uważał za protoplazmatyczne, znajdujące się na dnie morza na bardzo znacznych głębokościach; Haeckel upatrywał w nich najniższy objaw życia. Według badań nowszych mają to być tylko osady mineralne.

Biologia (βίος — życie, λόγος — nauka) — w najszerszym znaczeniu — nauka rozumowana o życiu, a więc obejmuje *fizyologią* i *morfologią*; w znaczeniu najbardziej przyjętem w wiedzy — nauka o oddziaływaniu warunków zewnętrznych na istoty żywe i zachodzących w ostatnich zmianach pod wpływem tych warunków, *Darwinizm* (ob.) jest doktryną biologiczną, *witalizm* (ob.) fizyologiczną.

Biranizm — filozofia Maine de Biran'a. Jest to *spirytualizm* (ob.) opierający się wszakże nie na rozumowaniu, lecz na fakcie pierwotnym świadomości, którym jest wysiłek mięśniowy. Dusza poznaje siebie jako wola, jako siła, ścierająca się z innymi siłami.

Bokardo ob. *figury wnioskowania*.

Bożyrko (u Trentowskiego) — pierwiastek, z którego Bóg tworzy świat (ob. *chaos*).

WYKSZTAŁCENIA POCZĄTKOWE W KRÓLESTWIE POLSKIM.

(Falborg i Czarnołuuskij: *Pierwonaczalnoje obrazowanie w Rosyi*).

Jedną z palących kwestyi dla naszego społeczeństwa jest kwestya wykształcenia początkowego. W życiu każdego kulturalnego narodu jest ono czynnikiem tak niezbędnym, jak niezbędnem jest odżywianie się i inne funkcyje fizyologiczne w życiu jednostki. Tymczasem niski wskaźnik wykształcenia początkowego w Królestwie, wynoszący zaledwie 2·89, mniejszy nawet niż przeciętny (2·93) wskaźnik tegoż dla całej Rosyi, uwidocznia bardzo wymownie, jak biedni jesteśmy duchowo, jak niedostatecznie zaspakajana jest ta elementarna funkcyja społeczna. Bardziej jeszcze smutnego wyrazu nabiera uposledzenie nasze przy porównaniu stanu wykształcenia początkowego u nas ze stanem tegoż za granicą, gdzie np. dla Stanów Zjednoczonych wskaźnik wykształcenia początkowego przekracza liczbę 21.

Blížszemu rozejrzeniu się w ogromnych lukach naszego szkolnictwa początkowego stawał dotychczas na przeszkodzie wielki brak odpowiednich statystycznych danych. W ostatnich dopiero czasach ukazało się kilka prac poświęconych powyższemu przedmiotowi. Ministeryum oświaty wydało kilka statystycznych roczników w tej kwestyi. Najjaśniejsze atoli światło rzuciła na nią olbrzymia zbiorowa praca rozpoczęta przez wielce zasłużony na polu oświaty ludowej w Cesarstwie Komitet nauki elementarnej («Komitet Gramotnosti») Po rozwiązaniu jego, pracę tę podjęło «Wolne Towarzystwo ekonomiczne» w Petersburgu i pomyślnie ją ukończyło. Dzięki szerokiej ofiarności społecznej ukazały się już pierwsze dwa tomy jej, wydane pod redakcyą profesorów Falborga i Czarnołuuskiego p. t.: *Wykształcenie początkowe w Rosyi*. Mieści się w nich kilkaset tablic statystycznych obejmujących niższe szkoły wszystkich ministeryów i rządów, szkoły prywatne trzeciego rzędu, a zawierających także dane, dotyczące ilości szkół, nauczycieli i uczniów. Pracy powyższej zawdzięczamy wiele szczegółów dosadnie ilustrujących stosunki w Królestwie.

Najbardziej ciekawą jest część historyczna wspomnianej pracy, przed-

stawiająca rozklasyfikowanie początkowych zakładów naukowych w porządku chronologicznym, według daty założenia szkoły za okres prawie 40-letni, bo poczynając od 1856 r. do 1893 włącznie. Okazuje się z niej, że w połowie XIX wieku posiadaliśmy 996 szkół początkowych dla zaspokojenia potrzeb duchowych 47 milionowej ludności Królestwa, czyli jedną szkołę na 4700 obywateli kraju. Na schyłku zaś XIX wieku dla prawie 9-milionowego Królestwa liczone u nas wprawdzie 3495 szkół początkowych, ale tylko z 205.709 uczniami, t. j. na jedną szkołę przypadało zaledwie 61 uczniów, kiedy w Belgii na jedną szkołę wypada 111 uczniów, w Holandyi 150, w Austrii 154², a w Anglii i Walii 299 w tymże czasie. A cóż dopiero, gdybyśmy porównali stan naszego szkolnictwa początkowego z r. 1894 ze stanem tegoż w r. 1895. Szwajcaryja, licząca wówczas tylko 3 miliony ludności, posyłała do szkół 600.000 swych dzieci. Sądząc według danych opublikowanych przez Ministerjum oświaty w r. 1898, a dotyczących stanu wykształcenia początkowego za rok 1896, w okresie dwuletnim 1894—96, stan ten nie doznał u nas jakiegokolwiek bądź polepszenia.

Jeśli wydzielimy szkoły początkowe w osobną grupę i ułożymy je według rodzajów w porządku chronologicznym, otrzymamy bardzo ciekawy obraz rozwoju potrzeb duchowych narodu, a na nim łatwo odczytać możemy wierne odbicie wszelkich wpływów społecznych, jakim w tym czasie ulega społeczeństwo nasze. Wykształcenie początkowe w Królestwie ulega prawom z r. 1862 i 1864. Widzimy tu, jak dobre były chęci b. Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego, jak rozumiała obowiązki swe względem kraju, i w jak wzorowym porządku zostawiła sprawę oświaty, przechodząc pod władzę centralną petersburskiego Ministerjum Oświaty. Dalej po bliższem rozejrzeniu się uderza nas przedewszystkiem nierównomierny nad wyraz rozwój szkółek początkowych u nas. Zamiast stopniowego zwiększania ilości szkół odpowiednio do wzrostu ludności kraju i rozwoju ekonomicznego, widzimy na razie w pierwszym dziesięcioleciu raptowne skoki do góry, a potem również raptowną zniżkę do tego stopnia, że kiedy w r. 1869 wskaźnik wykształcenia początkowego wynosił u nas 2·7, w ćwierć wieku potem w r. 1894 podniósł się tylko do 2·89. Co się tyczy ilości szkół, to kiedy w okresie 1864—73 założono 1505 szkół początkowych, — w dwudziestoleciu 1874—93 otwarto zaledwie 880, t. j. prawie połowę tego, choć w czasie dwa razy dłuższym. Jakaż była przyczyna tej różnicy? Autorowie dają następujące tłumaczenie. Pierwsze dziesięciolecie było okresem wielkich nadziei, wielkich planów i wielkich reform społecznych, że wspomnimy jedną najważniejszą — uwłaszczenie włościan. Dzięki temu wykształcenie początkowe było popularne i doznawało szerokiej opieki w całym społeczeństwie, a nawet w sferach miarodajnych. Złym gieniuszem wykształcenia początkowego została dopiero nieszczęsna wojna prusko-francuska. Zapoczątkowała ona «zbrojny pokój» w Europie; spowodowała potworny rozwój militarystyki na całym świecie i przyczyniła się do utworzenia powszechnej obowiązkowej służby wojskowej w państwie. Wydatki na cele wojskowe wzrosły otąd niepomierne, powodując odpowiednie oszczędzenie w budżecie oświaty: stąd upadek w rozwoju szkolnictwa w całym państwie. Militarystyka bowiem wszędzie i zawsze jest nienawistnym wrogiem oświaty. W tymże czasie wydano dwa prawa dotyczące się specjalnie wykształcenia początkowego w Królestwie. Prawem z r. 1871 wprowadzono w szkół-

kach naukę czytania i pisania po rosyjsku, a w r. 1873 wydano oddzielną instrukcję dla nauczycieli szkół początkowych okręgu warszawskiego.

Dziesięciolecie od r. 1884 do 1893 cechuje gen.-gubernatora Hurki i kuratora Apuchtina. Za ich inicjatywą wydano specjalne prawa o organizacji wykształcenia początkowego w Królestwie. Odpowiednio do tego w tablicy statystycznej widzimy w owym czasie wzrost rozwoju szkółek synodalnych (podówczas założono ich 91 z ogólnej ilości 92 otwartych w całym 40-leciu), rządowych jednoklasowych (57 z ogólnej ilości 85), profesyjnych i konfesyonalnych; natomiast znaczny upadek następuje w rozwoju szkółek ludowych i miejskich. Wogóle Ministerjum Oświaty od chwili zarządu hr. Deljanowa nie tylko nie powiększało ilości szkół ludowych, lecz przeciwnie tamowało ich rozwój. W Królestwie było w r. 1880 2249 szkół ludowych; do r. 1894 ilość ta podniosła się tylko na 2569. Ilość zaś szkół prywatnych niereligijnych wskutek ograniczenia inicjatywy prywatnej spadła bardzo znacznie.

Kwestya wykształcenia zawodowego, początkowego u nas, jak i wszędzie zresztą, ściśle związana jest z rozwojem przemysłu i handlu. W ostatnim 20-leciu Królestwo przekształciło się na społeczeństwo przemysłowe. Wyolbrzymiały drobne dawniej miasta, jak Łódź, Częstochowa; zaludniły się małe osady, jak Dąbrowa, Sosnowice, Żyrardów; wyodrębniła się z pośród całej ludności nowa klasa społeczna, żyjąca jedynie z prac rąk własnych i zaludniająca odległe i brudne dzielnice miast. Zmiany powyższe nie pozostały bez wpływu na ówczesny rozwój szkolnictwa początkowego. Znaczny wzrost ilości szkół zawodowych elementarnych w dziesięcioleciu 1884—93 jest widocznym wyrazem tego wpływu: powstały bowiem wtedy 34 szkoły z ogólnej ilości 55 założonych w ciągu całego 40-lecia. Pomimo to przemysł nasz nie stanął jeszcze na wysokości swego kulturalnego zadania (z 34 szkółek fabrycznych fabryki łożą na 29), szczególnie zaś, jeśli weźmiemy pod uwagę stosunki zagraniczne w tym względzie, gdzie każda poważna firma fabryczna czy handlowa, w rzetelnym poczuciu obywatelskiem i we własnym interesie, nie szczędzi kosztów na rozpowszechnianie wykształcenia fachowego. W ostatnich wprawdzie czasach (1896—1902) założono dzięki inicjatywie prywatnej kilkadziesiąt szkół handlowych i technicznych, ale są to szkoły dostępne przeważnie dla średnio-zamożnego mieszczaństwa, gdyż same wpisy wynoszą w nich zwykle około 100 rb. rocznie.

Co się tyczy szkół początkowych miejskich, to rozwój ich w ostatnich czasach wykazuje znaczne obniżenie, pomimo równoczesnego szybkiego wzrostu ludności miejskiej u nas. Kiedy bowiem w 10-leciu r. 1864—1873 założono w Królestwie 66 początkowych szkółek miejskich, w okresie r. 1884—1893 przy nadzwyczaj szybkim wzroście zaludnienia miast, utworzono tylko 50 szkółek, a najnowsze czasy nie świadczą o polepszeniu w tym względzie.

Pewnemu zaniedbaniu uległ również rozwój szkółek wiejskich w 10-leciu r. 1884—1893, kiedy założono zaledwie 141 szkółkę. Brak ich atoli usiłowano zastąpić przez otwieranie odpowiednich szkółek jednoklasowych świeckich rządowych. Impuls dany przez rząd w tym kierunku był tak silny, że z ogólnej ilości powstałych w Królestwie w ciągu 40-lecia 85 szkół tej kategorii, w 10-leciu 1884-93 otwarto 57, a w latach następnych ruch w tym kierunku wciąż postępuje.

Ciekawe są nadto wywody, jakie nasuwa porównywanie ułożonych we-

dług gubernij tablic, przedstawiających ilość szkół, nauczycieli, uczniów i tych wreszcie, co ukończyli szkoły początkowe. Przedewszystkiem uderza nierówność w rozniaych guberniach. Taka np. gubernia Siedlecka posiadała w r. 1894 322 szkoły początkowe, tymczasem jednakowa z nią pod względem ludności gubernia Kielecka tylko 300, a przewyższająca ją ilością mieszkańców gubernia Radomska zaledwie 165.

Różnica pomiędzy wsią a miastem zaznacza się nader wyraźnie na ilości kończących szkoły początkowe. Mieszczanin silniej wogóle odczuwa potrzebę oświaty. chętniej garnie się do szkół i dba o ich ukończenie. To też z ogólnej ilości 205.709 uczęszczających do szkół początkowych Królestwa w styczniu 1894 r. obywatele miejscy dostarczyli 43.065 uczniów czyli 20·9%, a wśród nich ci, co ukończyli szkołę, stanowili 5·5%, kiedy dla wiejskiej młodzieży szkolnej procent kończących wynosił zaledwie 3·6%. Przyczyny tego szukać należy po części w nędznych warunkach materyalnych naszej ludności wiejskiej, wśród której sama ilość bezrolnych dochodzi do dwóch blisko milionów. Dodać do tego należy znaczne rozdrobnienie własności włościańskiej, niskie zarobki, słaby stopień rozwoju przemysłu włościańskiego i t. d. Wszystko to zniewala do wczesnego wyzyskiwania wszystkich sił swej licznej zazwyczaj rodziny, a to znów staje się nieprzebytą przeszkodą dla wielu z nich do ukończenia nawet szkółki ludowej.

Też same ciężkie warunki ekonomiczne nie pozwalają naszej klasie miejskiej robotniczej na korzystanie z owoców oświaty. Miasta znajdujące się w okręgach o charakterze wybitnie przemysłowym, dostarczają mniej kończących szkoły początkowe, niż miasta w guberniach o charakterze rolniczym. I ten wpływ wyraźnie zaznacza się w tablicach. Kiedy bowiem kończących szkoły początkowe miejskie w gub. Suwalskiej jest 9·2%, w gub. Kaliskiej 8·9%, w gub. Lubelskiej 6·6%, to kończących szkoły miejskie początkowe w okręgach przemysłowych w gub. Warszawskiej 5·9%, w gub. Piotrkowskiej 4·2%, a w gub. Radomskiej zaledwie 3·1%.

T. Podlaski.

NOWE KSIĄŻKI.

Kazimierz Twardowski: *Zasadnicze pojęcie dydaktyki i logiki*, do użytku w seminaryach nauczycielskich i w nauce prywatnej. Lwów, 1901. Nakładem Towarzystwa pedagogicznego, str. 224 i XVI.

Książka ta zgodnie z tytułem zawiera bardzo jasny i treściwy wykład ogólnych zasad nauczania w szkole ludowej, połączony z wyjaśnieniem najważniejszych pojęć logiki, służących za podstawę naukową wszelkim przepisom dydaktycznym; zarówno też w całości jak i w szczegółach opracowania jest ściśle przystosowany do tego celu. Chcąc należycie zdać sobie sprawę z jej wartości, trzeba pamiętać, że podręcznik taki przy całej jednolitości wykładu, musi obejmować przedmioty bardzo różnorodne i spełniać jednocześnie trzy zadania, trudne nieraz do pogodzenia: zadanie naukowe, informacyjne i wychowawcze. Autor bowiem musiał: 1) dać przyszłym nauczycielom zasób wiadomości z dziedziny logiki i dydaktyki, stanowiący część najważniejszą

ich wykształcenia fachowego, a łącząc elementarność z gruntownością, przedstawić kwestyę każdą zgodnie z nowszymi wynikami wiedzy, aby stać na poziomie dzisiejszego jej postępu; 2) wyjaśnić im warunki ich przyszłej pracy przez obznajomienie z organizacją szkolnictwa w Galicyi i obowiązującymi ustawami; informacje te musiał z jednej strony dawać w sposób bardzo przedmiotowy, gdyż wszelka krytyka istniejących urządzeń była już skutkiem samego przeznaczenia książki wykluczona; z drugiej — ogólnikowe wskazówki ustaw i rozporządzeń rozwinać w szczegółach w ten sposób, iżby nauczyciel widział dowodnie, jak wiele może uczynić w granicach zakresłonych ustawą, jeżeli nie poprzestaje na bezmyślnem spełnieniu litery prawa, lecz przenika myśl jego właściwą; 3) trzeba było zawsze pamiętać, że nie sama wiedza, nie rutyna, nie znajomość ustaw i rozporządzeń tworzy nauczyciela w wysokiem znaczeniu tego słowa, ale charakter, mogący służyć za wzór młodzieży, ale miłość ku działwie i znajomość jej natury, ale zamiłowanie swego zawodu i przeświadczenie o jego doniosłości społecznej, ale ciągłe dążenie do postępu, praca nad własnem kształceniem ogólnem i zawodowem.

Że książka prof. Twardowskiego stoi na właściwej wyżynie, o tem świadczy starannie opracowany wykład logiki, gdzie autor rozjaśnia wiele pojęć, przedstawianych zwykle w dziełach pedagogicznych w sposób niedokładny i balamutny; a także wykład zasad nauczania, w którym niektóre zwłaszcza rozdziały odznaczają się głębokiem wniknięciem we wszystkie szczegóły praktyki szkolnej, że przytoczymy tylko dla przykładu rozdział «o tak zwanej formie deiktycznej czyli o uznysłowieniu nauki», albo rozdział o pytaniach i sposobie ich stawiania. Sumiennosc i dokładność informacji podziwiamy w części III p. t.: *O szkole*, a z tym podziwem niekiedy łączy się nawet żal pewien, że autor nie pokusił się tu, jakby to prawdopodobnie wielu na jego miejscu uczyniło, o szerokie rozwinięcie swych osobistych poglądów, o zakreślenie ideału szkoły ludowej, może niedoścignego w dzisiejszych warunkach i nie istniejącego w żadnym kraju na świecie. Książka zyskałaby przez to rozdział ciekawy, czyniący ją poczytną; ale straciłaby dużo ze swego zastosowania praktycznego, a tem samem ze swego wpływu, który może wyrzucić na codzienną praktykę szkoły, gdy uwzględni na każdym kroku jej warunki miejscowe. Co jednak stanowi największą zasługę autora w naszych oczach i niezawodnie w oczach wszystkich ludzi dobrej woli, którym sprawa podniesienia umysłowego poziomu nauczycieli leży na sercu, to duch, który ją przenika i dyktuje autorowi uwagi, będące prawdziwie dobrem ziarnem w kształceniu kandydatów do zawodu nauczycielskiego. Dowody tego ducha spotykamy we wszystkich rozdziałach książki; zwrócimy tu tylko uwagę na takie np. słowa: «Wszelka wiedza, posiadania wiadomości choćby najliczniejszych i najróżnorodniejszych jest pozbawionym wartości, martwym kapitałem, jeżeli się z nią nie łączy umiejętnosc samodzielnego i trafnego jej zastosowania. Nie wystarcza człowiekowi wiedzieć, «musi też umieć korzystać z tego, co wie», albo znamienne wyrazy ze świetnego rozdziału o skuteczności nauki: «Jeżeli uczniowie po ukończeniu szkoły są obojętni względem rzeczy, które podczas nauki poznali; jeżeli może nawet nabrali wstrętu do książki i do wszystkiego, co im przypomina szkołę; jeżeli zamiast korzystać z możności dalszego kształcenia się przez czytanie i t. p., unikają

wszelkich sposobności do wzbogacenia wiedzy, — wtedy nauka szkolna nie spełniła swego zadania». Przedewszystkiem jednak cała ostatnia, czyli V część książki p. t.: *Działalność wychowawcza szkoły ludowej* jest najlepszym wyrazem tego ducha, który powinien przenikać nauczycieli początkowych, a który nie może być dla nas obojętnym, bo w rękach nauczycieli ludowych, jak słusznie mówi autor «spoczywa całe wykształcenie większości mieszkańców kraju».

To przekonanie zapewne było też i prof. Twardowskiego pobudką do napisania dziełka, za które należy mu się prawdziwa wdzięczność. Nie wątpimy też, że zostanie ono niezwłocznie wprowadzone, jako podręcznik, do seminariów nauczycielskich, a radzi też byłibyśmy je widzieć w rękach tych nauczycieli, którym los nie dozwolił w swoim czasie otrzymać specjalnego wykształcenia zawodowego i w rękach wszystkich ludzi wykształconych, pragnących się obznajomić z zasadniczymi pojęciami logiki lub dydaktyki.

A.

A. W. Saenger: *John Ruskin, jego życie i działalność*. Warszawa. Drukarnia «Przeglądu Tygod.», 1902, str. 130.

Od kilku już lat daje się u nas zauważyć żywsze zainteresowanie się Ruskinem, jako estetykiem, dążącym do upiększenia i umoralnienia dzisiejszych form życia społecznego i prywatnego. Od czasu do czasu ukazują się w druku przekłady niektórych, nie zawsze najlepszych dzieł jego, biografie i charakterystyki, jak np. świetna lecz bezładna apologia *de la Sizeranne'a* w pięknym przekładzie A. Potockiego. Żadna jednak z tych książek nie daje czytelnikowi wyraźnego pojęcia o całokształcie poglądów i działalności genialnego estetyka. Dziełko Saengera uzupełnia ten brak lepiej od innych przyswojonych naszej literaturze przekładów tego rodzaju. Przedstawia nam ono kolejno ani zbyt krytycznie, ani też zbyt apologistycznie, może za pobieżnie trochę, naprzód postać samego Ruskina, następnie jego teorie estetyczne i etyczno-społeczne oraz próby wprowadzania ich w życie, czynione przezeń, z zaznaczeniem wpływów, jakie te prądy i ich twórca wywarły na społeczeństwo angielskie. Wadą, płynącą zresztą z winy tłumacza, są tak ozdobne wyrażenia, jak: «nawyczki» (przyzwyczajenia), «znachodzi się» i kilka-ności innych językowych perełek w tymże stylu.

Podkreślić w dziele tem należy tę stronę, którą wyróżnia się od innych przedstawiających Ruskina, wyłącznie jako estetyka, a pomijających tę okoliczność, że estetyka jego ściśle wiązała się z zagadnieniami społecznymi i służyła za punkt wyjścia do ich postawienia i rozwiązania. Pod tym względem zbliża się ona do rozdziału o Ruskinie w *Humanistach nowoczesnych* Richardsona, książce przyswojonej również naszej literaturze. J. S.

H. Ułaszyn: *O Janie Potockim i literaturze Kaukazu*. Notatka krytyczno-polemiczna. Warszawa, 1902.

Niedawno rozmawiając z jednym wykształconym gruzinem, słyszeliśmy od niego wiele pochwał dla prac J. Potockiego o literaturze gruzińskiej. Z zajęciem więc wzięliśmy w rękę broszurę, której tytuł podaliśmy, w nadziei dowiedzenia się czegoś więcej o osobie autora i jego dziełach. Doznaliśmy wszakże zupełnego zawodu pod tym względem; zamiast bowiem powiedzieć nam coś o tem, co tytuł obiecuje, autor na 50 str. swojej broszury pole-

mizuje z p. Gomulickim, wykazując z wielką erudycją i z gorliwością godną lepszej sprawy, że Jan Potocki nie był wcale tak ignorowany przez nasze literaturę, jak zdaje się p. Gomulickiemu. Zapewne i to coś warte. Ale czy należało z tego polemicznego artykułu robić osobną odbitkę i to pod tak zawodnym tytułem?

G. Rivière: *L'age de la pierre*. Avec 26 figures et 4 planches. Paris, Schleicher frères, 1902 («Bibliothèque d'histoire et de géographie universelle») str. 184. — Cena fr. 2.

Autor w formie popularnej, a w sposób zajmujący i barwny przedstawia historją i całą kulturę okresu kamiennego. Zaczyna więc w pierwszym rozdziale od ogólnej charakterystyki okresu trzeciorzędowego, zaznajamia czytelnika ze śladami człowieka, odkrytymi w tym okresie, oraz z wątpliwościami jakie wywołały. Przechodzi następnie do okresu czwartorzędowego; przebiegłszy w krótkości najważniejsze odkrycia, które ustaliły niezawodnie istnienie człowieka w okresie czwartorzędowym, daje ogólną charakterystykę czterech dób, na które dzieli się historia człowieka w tym okresie: magdaleneńskiej, solutreńskiej, monsterieńskiej i chelleńskiej pod względem klimatu, charakteru geologicznego, fauny i charakteru kultury. Przechodzi następnie do szczegółowego opisu każdej z tych dób pod względem kultury i warunków życia w niej człowieka. Poświęciwszy osobny rozdział sztuce magdaleneńskiej, przechodzi autor do okresu obecnego; opisuje czas przejściowy, dobę neolityczną z jej wodnemi budowlami, kultem umarłych, budowlami megalitycznemi i trepanacyami. Liczne ilustracye dają pojęcie o narzędziach i utworach sztuki owych zamierzchłych okresów, a kilka reprodukcji znakomitych obrazów z życia człowieka pierwotnego: Cormona i Jamin'a dają barwną jego ilustracyą.

H. Mager: *Le Monde polynésien*. Paris, Schleicher frères, 1902. («Biblioth. d'hist. et de géogr. contemp.»), str. 250. — Cena fr. 2.

Autorem tego dziełka, należącego do tej samej seryi, co i poprzedzające jest podróżnik, który nie mało zwiedził świata, a opisuje przeważnie to, co widział. Nie ogranicza się wszakże do opisu. Usiłuje on rozwiązać szereg zagadnień, które wywołało istnienie Polinezyi. Tak zwalcza on hipotezę wielkiego ładu na oceanie Spokojnym, którego zatopienie miało pozostawić tylko szczupłą garść wysepek. Usiłuje natomiast udowodnić, że wyspy te powstały wskutek działania ognia podziemnego, praca zaś koralów wykończyła ich konfiguracyą. Co do ludności polinezyjskiej, uważa ją za pokrewną z melanezyjczykami, oraz z malgachami, a wszystkie trzy wywodzi z Azji. Usiłuje dotrzeć do źródeł tych plemion, które osiedliły się na wyspach Wielkanocnych i wyrzeźbiły olbrzymie, dwudziestometrowe posągi, stanowiące zagadkę od czasu ich odkrycia. — Czarowny opis wysp Taiti, przytułku marzeń i sie-lanki, które nęciły pióro Byrona; obyczaje wysp oceanu Spokojnego; tatuowanie, ofiary i uczty ludzkie; przeciwstawność uczuć prostych tej cywilizacyi pierwotnej z naszą sztuczną uzupełniają całość. Autor potrąca także i o praktyczne kwestye polityki kolonialnej. Liczne rysunki i mapy stanowią ważny przyczynek do plastyeczności opisu.

Gustaw Zieliński: *Poezycy*. Z życiorysem poety przez p. Chmielowskiego. Toruń, Wyd. Rodziny, 1901, T. II, str. 406.

Mamy obecnie przed sobą drugi tom owego wydania dzieł G. Zielińskiego, o którego tomie pierwszym daliśmy wzmiankę w swoim czasie ¹⁾. Jeśli główny interes pierwszego tomu koncentrował się na życiorysie poety, to w drugim mamy znowuż najważniejsze utwory jego, a wśród nich niemało takich, które ukazują się po raz pierwszy. Znajdujemy więc tu następujące utwory: *Jana z Kępy* (urywek legendy z czasów krzyżackich), *Giermek* (epizod), *Samobijca* (poemat), *Stepy* (poemat w 4-ch częściach z wstępem), *Kirgiz*, *Koń beduina* (powieść wschodnia), *Antar* (obrazek wschodni), *Pokusy* (fantazya), *Czarnoksiężnik Twardowski* (ustępy z dramatu), wreszcie *Wiersze różne* przełożone z obcych autorów, pomiędzy którymi znajdujemy kilka dobrych przekładów z Schillera.

Wdzięczność należy się rodzinie, która przez pietyzm dla poety odślania tyle ukrytych, cennych utworów poetyckich.

Gustaw Zieliński znany jest szerszemu ogółowi prawie wyłącznie jako autor *Kirgiza*. Mało znane są nawet, raz tylko dotąd, o ile wiemy wydane ustępy z *Pana Twardowskiego*, tej niezgłębionej i prawie niezużytkowanej kopalni poetyckiej, należą do rzeczy mało znanych. Ciekawym jest znajdujący się w obecnym tomie plan I aktu libreta Twardowskiego, które autor miał pisać do muzyki Moniuszki. Nie możemy odżałować, że projekt ten nie przyszedł do skutku, sądzymy bowiem, że nikt tak, jak Moniuszko nie potrafiłby odziać w szatę muzyczną podania o czarnoksiężniku, a i urywki Zielińskiego wskazują na zamiar poważniejszego sposobu traktowania przedmiotu.

William Morris: *Wieści z nikąd, czyli epoka spoczynku*, przekł. W. Szukiewicz, Lwów, Altenberg, 1902.

Czytelnicy nasi zbyt dobrze znają prześliczną utopią znakomitego poety i działacza społecznego angielskiego. Daliśmy jej szczegółowy rozbiór w szkicu o autorze jej ²⁾; mieliśmy też sposobność powracać do niej i później. Cieszymy się, że donieść możemy obecnie o dobrym z oryginału dokonany i kompletnym przekładzie tej cennej książki, który gorąco polecamy naszym czytelnikom. Należy podkreślić te cechy przekładu wobec tego, że równocześnie ukazał się inny, który, o ile się zdaje, zalet tych nie posiada. Bądź co bądź cieszyć się należy, że przyswajają się obok wielu nie zasługujących na to, rzeczy tak wartościowe, a ukazują się w dobrych i ścisłych przekładach. Wydanie staranne; cena przystępna.

Axel Garde: *Henryk Ibsen*. Wykład zasadniczej idei, zawartej w dramatach Ibsena. Przekład A. Langego, Lwów, 1901, str. 79.

Zasadniczą myślą etyczną Ibsena, przewijającą się przez całą jego twórczość, jest według autora następująca: «Bądź samym sobą!» Albo innymi słowy: «bądź osobiście prawdziwy, na tem zadanie swego życia załóż, aby znaleźć w sobie punkt twojej duszy, który cię robi człowiekiem, nie zaś kółkiem bezmyślnym w maszynie».

¹⁾ Ob. «Pogląd na świat» za r. b. Nr 2, str. 86.

²⁾ «Pogląd na świat», 1900, Nr 10.

Autor stara się wykazać, jak myśl ta przewija się we wszystkich dramatach Ibsena. przebiega ich treść i wykazuje związek wzajemny.

Nie należymy do wielbicieli Ibsena: jest on dla nas zbyt mało poeta, zbyt wiele rezonerem; możnaby to było darować, gdyby był myślicielem, ale myślicielem on nie jest; nie jest twórczym w dziedzinie myśli, jako umysł refleksyjny lubuje się w stawianiu zagadnień i ich rozwiązywaniu przy pomocy postaci poetyckich, które w sztywności swojej, przy braku akcji i przewadze refleksyi w całości, nie przyczyniają się do ożywienia suchych problemów. Wszakże wobec mody obecnej na Ibsena, miejmy nadzieję, że książeczka ta przyczyni się przynajmniej do rozumniejszego jego traktowania.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Biblioteka Warszawska“, sierpień. Józef Tretiak *Nieznane fragmenty i waryanty Beniowskiego*. Autor śledzi przemiany, którym ulegał Beniowski pod wpływem zmian w poglądach Słowackiego, zwłaszcza zaś przejęcia się towianizmem. Wykazuje jak wyidealizowuje on postać głównej bohaterki. — *List Józefa Sędzimiry do gen. Winc. Krasińskiego*, konfederata barskiego, dotyczący wyprawy Beniowskiego z Kameczatki, a opisujący w krótkich słowach wędrówkę autora i całą wyprawę, jest bardzo ciekawym dokumentem historycznym. — Kazimierz Kaszewski *Szacunek dla dziecka*. Autor podnosi doniosłość obowiązku rodziców względem dziecka i prawo społeczeństwa do wglądu w to, aby dzieci były dobrze wychowane pod względem fizycznym, intelektualnym i moralnym. — P. Suszczyńska daje nową powieść w listach p. t.: *Mefisto*. — Dalszy ciąg *Pamiętników Jana Weyssenhoffa* opisuje przeważnie lata 1806—1807. — P. Galle kończy studjum o *Twórczości Maryi Konopnickiej w ciągu 25 lat*, omawiając nowele i *Pana Balcera*. — *Pogadanka artystyczna* przez p. K. Broniewskiego. — *Rozmaitość, Sprawozdania i Kronika miesięczna* zamykają zeszyt.

-- „Przegląd Filozoficzny“. Zeszyt II zawiera: J. Kodis *Rzeczywistość i jej pojęcie naukowe*. — E. Abramowski *Dusza i ciało*. — W. M. Kozłowski *Postulata logiczne wiedzy*. — K. Kranz *Pojęcie przeciwieństwa u Tarda*. — Przegląd nauk poszczególnych.

— „Przegląd polski rozwoju przemysłu“. Nr 5, sierpień. Z. Pietkiewicz *Kapitały obce w przemyśle polskim*. Autor kończąc studjum to, przychodzi do wniosku, że obce kapitały przyczyniły się do rozbudzenia energii i do wyrobienia zdolności w danym zakresie. — L. Krzywicki *Typy zawodowe*. Autor usiłuje na podstawie pewnego wzoru wytworzyć teorię rozkładu uzdolnień w społeczeństwie. — M. Szarota *Dziesięć lat rozwoju ekonomicznego* na podstawie dzieła Edmunda Théry'ego: *«Histoire économique de l'Angleterre, de l'Allemagne, des Etats-Unis et de la France 1890 1900»* charakteryzuje postęp przemysłu w tych czterech krajach. — Helena Landau-Gunplowicz *Kapitalizm współcze-*

sny, jest to streszczenie dzieła Sombarta: «*Der moderne Kapitalismus*». Dział z *Życia* omawia niektóre kwestye bieżące i praktyczne.

— „*Revue Occidentale*“. Nr 5, septembre. Bignon *L'éducation familiale* — Caucaon *L'évolution du culte des morts*. — Grimanelli *La crise morale et le positivisme*. — Teofile Garcia *Le monroïsme, l'arbitrage; l'unité dans la variété*. — Bulletin de Belgique: *Le positivisme au Congrès national des Libres penseurs belges*. — Variétés.

— „*Krytyka*“, wrzesień. L. Kulczycki p. t.: *Jeszcze o nacyonalizmie*, odpowiada na zarzuty, które wywołał pierwszy jego artykuł p. t.: *Patryotyzm a nacyonalizm*. — L. Winiarski omawia na podstawie nowszych źródeł *Darwinizm a nauki społeczne*. — L. Belmont mówi o *Najnowszej literaturze rosyjskiej* na podstawie tomu p. Salnikowa, obejmującego antologię poetów rosyjskich (*Russkije poety*).

— „*North-American Review*“, sierpień. P. de Soisson poświęca artykuł ocenie działalności literackiej *Henryka Sienkiewicza*. Artykuł na ogół jest bardzo pochlebny, chociaż nie wszystkie zdania autora podzielić możemy, a często sądy są francusko-powierzchowne. Tak np. mówiąc o nowelkach, które wogóle przez krytykę naszą uważane są za arcydzieła, powiada autor, iż «usprawiedliwiały przypuszczenie, jako ich autor zostać może monotonnym manierystą» i że «trochę więcej tego (t. j. pomieszania realizmu z sentymentalizmem) spowodowałoby afektacją i zmanierowanie w stylu i pomysłach». Dopiero *Niewola tatarska* ma stanowić przełom, prowadzący p. Sienkiewicza na nowe tory. O *Ogniem i mieczem* powiada autor: «W tej powieści Sienkiewicz stworzył typ narodowych bohaterów i rycerzy, bez których żadna literatura nie może być kompletną (jak gdyby ich nie było przedtem w naszej!). Czarniecki, Żółkiewski i Jan Sobieski, ostatni z rycerzy europejskich przedstawiają o wiele większe podobieństwo do Godefryda i św. Ludwika niż do współczesnych: Turenne'a, Kondeusza lub Malborough. A gdybyśmy chcieli w całej Europie poszukiwać ludzi walczących z tak podniosłymi uczuciami, jak owi rycerze polscy, znaleźlibyśmy ich chyba tylko w poezyi». W Zagłobie stworzył p. Sienkiewicz charakter stojący na równi z Falstaffem i Sancho-Pansem. Do pierwszego zbliża go jego teńhórzostwo, dowcipy i samochwalstwo; do drugiego — przebiegłość. Autor twierdzi, jakoby czytanie powieści ujawniało, iż jej autor sięgał nie tylko do źródeł drukowanych, ale i do rękopisów (nie wiemy, jak to może być widocznem z powieści?) «Czego wszakże nie mógł znaleźć w książkach... to tajemnicy, jak napisać powieść, nie fałszując dziejów, jak napisać szereg scen epickich, a jednocześnie pozostać wiernym historyi, nigdy nie odmiennając faktów». Porównanie z dwoma wielkimi powieściopisarzami historycznymi wypada na korzyść p. Sienkiewicza: «Walter Scott, pierwszy i może największy mistrz w powieści doskonale pochwycił umiał charakter epoki, lecz często odstępował od prawdy, usiłując upiększyć ją. Aleks. Dumas raczej igra z historyą niż ją odczuwa; jest on poufały i odtworza raczej skandaliczną i plotkarską jej stronę niż poważną». Przepelnienie charakterami drugorzędnymi zbliża *Potop* do powieści Waltera Scott'a, lecz obu one nadają wiele życia powieści, a często są wysoce zajmujące. *Po-*

top mniej wysoko ceni autor francuski niż *Ogniem i mieczem*, a jeszcze słabszy ma być *Pan Wołodyjowski*. Wogóle zaś powieści te są bardziej zbliżone do epepei niż do powieści właściwej i autor wykrywa wpływ Homera w opisie bitw i użyciu przymiotników. — *Bez Dogmatu* nie jest należycie ocenione przez autora; dostrzega on wszakże całą oryginalność p. Sienkiewicza w porównaniu z *Disciple* p. Bourget'a do którego tę powieść zbliżono. «*Disciple* — powiada on — jest powieścią bardzo głęboką, a przedmowa do niej może najlepszą rzeczą, jaką p. Bourget napisał. Zbudowana jest również w mistrzowski sposób, a pod tym względem jest wyższą od powieści p. Sienkiewicza. Lecz bohaterowie obu są biegunami przeciwnymi. Płoszowskiemu brak woli; waha się on ustawicznie, nie wiedząc co myśli, czuje lub czego pragnie.

«Greloux wie doskonale czego pragnie, a wola jego tak jest uporczywą i nieublaganą, iż popełnia zbrodnię, aby jej zadość uczynić. Płoszowski ustawicznie wątpi i wciąż powtarza: «nie wiem». Greloux ślepo wierzy we wszystko co uważa za prawdę. Płoszowski jest do niczego niezdatny, lecz nie jest ani zły, ani przewrotny, ani niski; serce jego nie jest twarde, sumienie jego nie śpi całkowicie, a egoizm jego ma pewne granice. Greloux przeciwnie, jest tak energiczny, że zdolny do każdej rzeczy, ale przede wszystkim do najgorszych. Płoszowski żałuje niekiedy swoich czynów; jest więc zdolny do poprawy; Greloux zawsze jest dumny z tego, co zrobił». — Najwięcej autorowi podoba się *Rodzina Połanieckich* (w angielskim tłumaczeniu: *Childern of the Soil*). Widzi w niej przedstawienie tego, co stanowi według autora wadę naszych czasów: pozę i fałsz, a przeciwstawienie mu prawdy i szczerości. «*Rodzina Połanieckich* zdaje się, jakoby była jednym kazaniem o dobrej wierze, podstawie wszystkiego, co stanowi wartość ludzi, podstawie wszelkiej sprawiedliwości i trwałości w stosunkach; o owej dobrej wierze, której brak jest wielkiem złem moralnem jednostek, rodzin i narodów».

W *Quo vadis* podnosi mistrzowską postać Petroniusza. Ocena tej powieści ze strony ideowej wprost przeciwna tej, którą wytykał angielski autor z «*Quarterly Review*»¹⁾, podnoszący artystyczną jej przedmiotowość. «Sienkiewicz chciał wykazać — pisze p. de Soisson — jak prawda boska, ponieważ jest jedyną prawdą, zwyciężyła potęgę pogańską, i że zdobycz ta była wykonana przez środki nadprzyrodzone».

Takie narzucanie naszemu autorowi tendencji, której niezawodnie nie miał, niemniej jak i sądy o innych powieściach, świadczą zbyt wyraźnie o konserwatywnych tendencjach autora i o inspirowaniu się konserwatywną krytyką polską. *Krzyżaków* wysoko podnosi jako epicką walkę słowian i Niemców, nie zatrzymując się na niej.

«Hipolit Taine, konkluduje autor, powiedziałby o Sienkiewiczu, że odkrył i przewędrował wszystkie drogi myśli współczesnej, przebył wszystkie kraje dawne i nowe, poznał cywilizacje starożytne i nowożytne, zbadal ludy, jak żyją w swoich krajach i domach... Sienkiewicz jest pisarzem nowożytnym w zupełnym i wysokim znaczeniu słowa».

— „*La Revue*“. W zeszycie datowanym 15 lipca, znajdujemy studjum p. Chéret o *Bolesławie Prusie*, oraz początek przekładu jego *Szpiega*, który

¹⁾ «Pogląd na świat», zeszyt V, str. 230

kończy się w zeszyty z dnia 1 września. Autor francuski podnosi bardzo zalety Prusa, uważa go za wielkiego pisarza; dziwi go użyte przez naszych krytyków porównanie Prusa do Dickensa: Prus jego zdaniem stoi wyżej od autora angielskiego. Zbliża go z Mickiewiczem i twierdzi, że nikt po wielkim wieszczu nie oddał tak wiernie duszy narodowej jak Prus. Przebiega autor szereg dzieł Prusa, zatrzymując się dłużej na *Lalec*, podnosząc w niej sympatyczną a charakterystyczną dla całego pokolenia postać Rzeckiego.

— Ostatnimi czasy — konkluduje autor — w literaturze polskiej objawiły się nowe dążności, kierujące usiłowania wyłącznie na formę. Wszakże utworom tym nie rokuje trwałości, gdyż wszelka forma jest zmienna i efermeryczna. Tylko dzieła, które dają w nowych formach nieskończone odmiany wiecznej walki, odbywającej się w sercach ludzkich i w sercach narodów wielkich pomiędzy namiętnem pragnieniem szczęścia, a degradującymi warunkami nieprzyjaznego losu, tylko takie dzieła nie boją się czasu. Takimi są dzieła Mickiewicza i Prusa.

Z LITERATURY I BIBLIOGRAFII OBCEJ.

Wilhelm Dilger: *Die Erlösung des Menschen nach Hinduismus und Christenthum*. (Dzieło nagrodzone na saskim konkursie misyjnym). Bazylea, Księgarnia misyjna, 1902, str. 464. — Cena 8 m.

Dzieło to ma za cel przedstawić religijne i filozoficzne pojęcia Indów na podstawie Wedy, Upaniszady, Wedanty i innych pism religijnych oraz wykazać pokrewieństwa i różnice z wierzeniami chrześcijańskimi. Pojęcie zbawienia człowieka stanowi tu punkt ciężkości. Na początku traktowana jest wiara w bogów, pojęcie świata i złego, jako wstęp do zbawienia, dalej tłumaczy autor samo pojęcie zbawienia i wskazuje drogi, jakie ku niemu prowadzą. Każdy rozdział zapelniony jest cytatami i wyciągami z licznych dzieł, któremi się autor posługiwał. Na końcu każdego rozdziału są przeciwstawione odnośne pojęcia chrześcijańskie. Dzieło odznacza się przedmiotowością.

Wilhelm Wundt: *Gustav Theodor Fechner*. (Lipsk, Wilhelm Engelmann) 1901, str. 92. — Cena 2 m.

Główną uwagę zwraca Wundt na pojęcie Boga u Fechnera. Dalej idzie godna uwagi krytyka związku, w jakim stoją tak zwane zewnętrzne i wewnętrzne strony psychofizyki Fechnera, nakoniec omawia i ocenia metafizykę Fechnera. Przy sposobności można zaznaczyć, że wyszły w drugim wydaniu: *Büchlein vom Leben nach dem Tode* Fechnera i jego biografia w *Klasykach filozofii* Frommanna.

Moltke in seinen Briefen. Z biografią i charakterystyką generała. (Berlin, E. S. Milder et Sohn), 1902, str. 277. — Cena 5 m.

Listy te doskonale oddają charakter wodza. Ułożone są w porządku chronologicznym. A więc naprzód jako młody nadporucznik opisuje swoje wrażenia z pobytu w Polsce i Belgii w r. 1830. Dalej idą wspomnienia ze służby

w tureckim sztabie generalnym w r. 1833. Z tego roku datują się jego listy traktujące o «kwestvi zachodnich granic». Mamy tu i listy, opisujące Włochy, Hiszpanię i Anglię. Dalej następują listy z Rosyi i z Paryża, gdzie wyowiada swe zapatrywania na wojnę 1870 r.

A. Kalthoff: *Die Philosophie der Griechen auf kulturgeschichtlicher Grundlage dargestellt*. (Berlin, C. A. Schwetsche et Sohn), 1901, str. 153. — Cena 2 m.

W szeregu starannie obrobionych szkiców rozwija autor filozofię grecką, począwszy od Thalesa, a kończąc na filozofach z pierwszych czasów chrześcijaństwa tak przesiąkniętych ideami filozofii greckiej. Główny nacisk kładzie autor na warunki kulturalne, polityczne i społeczne.

Wilhelm Wundt: *Völkerpsychologie*. T. I. *Die Sprache*. (Lipsk, W. Engelmann), 1900/1, str. 644. — Cena 14 m.

W r. 1880 wkrótce po wyjściu Fechnera *Elemente der Psychologie*, dwaj uczniowie: Herbart, Lazarus i Steinthal, założyli pismo, poświęcone specjalnie psychologii ludów, podnosząc znaczenie jej zarówno dla etnologii, jak i dla samej psychologii. Już wtedy Wundt zajął stanowisko przeciwne. W obecnym dziele dowodzi on, że naród złożony z jednostek o charakterach i usposobieniach najróżnorodniejszych, nie może dać jednolitego typu psychologicznego. Psychologia ludów może się zajmować wyłącznie tylko tem, co jednakowe u całego narodu: mową, wiarą i obyczajami. Nie zaprzecza oczywiście, że te trzy dziedziny są niezmiernie ciekawe dla psychologa; że rzucają światło także i na psychologię jednostki. Pierwsza część jego *Völkerpsychologie* zajmuje się mową. Dzieli się na 9 rozdziałów. Traktuje w nich o odruchach wrażeniowych, do których należy mowa, o dźwiękach pierwotnych, o przemianie dźwięków, o powstawaniu słów, o formach słów, o budowaniu zdań, w końcu roztrząsa ważne zagadnienie początku mowy.

C. Schieler: *Giordano Bruno der Dichter-philosoph und Märtyrer der Geistesfreiheit*. (Frankfurt; Neuer Frankfurter Verlag), str. 64. — Cena 75 pf.

Małe to dziełko wyszło w 300 rocznicę śmierci męczennika myśli. Autor nie przedstawiając dokładnie systemu Bruna, w pierwszym rozdziale traktuje o oryginalności jego poglądów i o wpływie, jaki wywarł na Spinozę i Leibniza, w drugim rozdziale daje czytelnikowi obraz życia i śmierci jego.

Erich Lahse: *Schleiermachers Lehre von der Volksschule im Zusammenhang mit seiner Philosophie*. (Lipsk, J. Klinkhardt), 1901, str. 87. — Cena 2 m.

Dziełko to przedstawia jasno i treściwie poglądy Schleiermachersa na szkołę, opierając je i konsekwentnie wyprowadzając z całego systemu filozoficznego filozofa-teologa.

Ossip Lourie: *La philosophie russe contemporaine*. (Paris, B. Alcan), 1902, str. 276.

Autor dzieli swoją pracę na trzy części. W pierwszej mówi o filozofach rosyjskich, w drugiej o psychologach, w ostatniej o socyologach. Między filozofami pierwsze miejsce daje niedawno zmarłemu Sołowiewowi i w obszernym rozdziale opisuje jego teistyczno-mistyczne poglądy. Drugie miejsce udziela

materyaliście i pozytywiście Grotowi; za nim idzie sceptyk Preobrażenski. W drugiej części osobny rozdział poświęca psychologii ludu rosyjskiego, opierając się na szkicach Sikorskiego. Część trzecia obejmuje prócz socyologów także wybitniejszych krytyków i beletrystów, jak Pisarewa, Bielińskiego, Gonczarowa, Gribojedowa i innych. Książka ta, pomimo braków (jak np. pominięcie dziedziny logiki i metafizyki), budzi pewne zainteresowanie.

Cornelius Gurlitt: *Geschichte der Kunst*. 2 tomy. (Stuttgart Arn. Bergströsser), 1902, str. 696 i 792. — Cena 44 m.

Autor stara się przedstawić historią sztuki, nie jako zmianę form, lecz również jako wynik rozwoju duchowego ludów. Dlatego to w swoim dziele nie zapomina wspomnieć o filozofach i uczonych, którzy swą nauką sprowadzali przewroty w dziedzinie sztuki. Będąc architektem, największą uwagę zwraca na budownictwo i rzeźbę, inne dziedziny wszakże nie są zaniedbane. Wszystkie epoki są traktowane jasno, zrozumiale i szeroko. Ilustracje nader staranne.

Volckelt Johannes: *Arthur Schopenhauer*. (Stuttgart, Frommann), 1900. Cena 4 m.

Charakterystyka Schopenhauera, ani zbyt podnosząca filozofa tego, ani zanadto potępiająca. Schopenhauer występuje tu w pełni rozwoju swych myśli. Dzieło to jest niezawodnie najlepszym z biografij Schopenhauera; przeżyjsza ono podobną pracę Kuno Fischera.

Tullo Massarani: *Storia e Fisiologia dell' Arte di Ridere*, Vol. I. *L'Antiquita e il Medio Evo*. (Medyolan U. Hoepli), 1900, str. 408. — Cena 4·50 liwrow.

Autor przesuwając przed naszymi oczyma całą komiczną literaturę od chwili jej powstania. Tom I. zawiera literaturę komiczną starożytną (Chin, Judei, Egiptu, świata klasycznego) i wieków średnich. Dwa następne tomy obejmują renesans i czasy najnowsze.

Paul Natorp: *Pädagogische Psychologie*. (Marburg, M. G. Elwert), 1901, str. 19. — Cena 40pf.

Myślą przewodnią tej książeczki jest, że wychowawca powinien dbać przede wszystkim o wyrobienie samodzielności w dziecku, bacząc tylko, aby ta samodzielność nie wstąpiła na fałszywe tory.

Eduard Hellen: *Goethes-Briefe*, (Stuttgart, J. Cottz Nachf), 1901, str. 314. Cena 1 m.

Philipp Stein: *Goethes-Briefe*, (Berlin, O. Elsner), 1902, str. 304. — Cena 3 m.

Jednocześnie ukazały się pierwsze tomy obydwu autorów. Obejmują one prawie te same listy, służyć jednak mogą za dopełnienie jeden drugiego, gdyż podczas kiedy Hellen wybiera listy i ustępy odtwarzające najlepiej biografie poety i przedstawiające proces powstawania dzieł, Stein wybiera takie, które malują różne stany duszy poety, jego charakter i poetyczne porywy.

Francisque Vial: *L'Enseignement secondaire et la Démocratie*, (Paris, A. Colin), 1902, str. 328.

Autor rozróżnia pedagogię utylitarną, od liberalnej, dążącej do czystej, abstrakcyjnej wiedzy. Tylko ta druga wydaje mu się prawdziwą, zdolną stworzyć wolne duchy. Jego system wychowawczy, ma uczynić człowieka wolnym i dla wolności zapalonym.

Ernst Sametz: *Familienfeste der Griechen und Römer*. (Berlin, Reimer), 1901, str. 128. — Cena 3 m.

Przedmiotem książki są liczne ceremonie przy ślubach, urodzinach, adopcjach uprowadzaniu i uwalnianiu niewolników i t. d. Autor posługuje się bogatym materiałem etnograficznym i folklorystycznym. Przeprowadza ciekawe paralele między ceremoniami świata klasycznego a takimiż ceremoniami u plemion słowiańskich, fińskich i indyjskich. Wykazuje również na podstawie pracowitych badań pozostałości z tych dawnych obrzędów w obrzędach naszych czasów.

Reiset: *La guerre de Crimée et la cour de Napoléon III*. (Paryż, Plon), 1902, str. 453. — Cena 7-50 fr.

Książka poświęcona jest przeważnie anegdotom z dworów: paryskiego, petersburskiego i turyńskiego. Wiele stron poświęca autor dworskim intrygom miłosnym, poza tem jednak podaje kilka interesujących szczegółów politycznych, szkoda tylko, że traktuje je dość pobieżnie. Autor przebył kilka lat w Petersburgu, jako zastępca ambasadora, zna więc dobrze stosunki ówczesne rosyjskie. Najlepiej jednak maluje dwór turyński, rzucając dużo światła na postać Wiktora Emanuela.

Reiset: *Les Débuts de l'Indépendance Italienne*. (Paryż, Plon), 1901, str. 479. — Cena 7-50 fr.

Autor, skuzynowany z dworem Ludwika-Filipa, był przydany mając lat 19 do poselstwa francuskiego w Turynie i podczas swego kilkoletniego tam pobytu zapisywał każdodziennie swe wrażenia, oraz robił odpisy wszystkich aktów. Czyni to pracę jego bardzo ciekawą. W opowiadaniach swoich zwraca więcej uwagę na stronę anegdotyczną, podając masę ciekawych szczegółów z domowego życia Wiktora-Emanuela, Cavoura i innych, które rzucają wiele światła na życie polityczne i charakter tych osób.

Wyszło drugie poprawne wydanie Georg von der Gabelentz'a: *Die Sprachwissenschaft*. (Lipsk, Chr. Herm. Tauchnitz), 1901, str. 520. — Cena 15 m.

Alfred Hillebrandt: *Altindien und die Kultur des Ostens*. (Wrocław, M. & H. Marcus), 1901, str. 35. — Cena 1 m.

Wychodząc z założenia, że «sanskryt był greką i łaciną Wschodu», autor w szeregu obrazów przebiega rozwój Jawy, Sumatry, Chin, Indo-Chin i wykazuje wpływ ducha indyjskiego na rozwój tych społeczeństw. Dłuższą uwagę poświęca Azji środkowej. Twierdzenia swoje udawadnia i wyjaśnia licznymi wykopaliskami, manuskryptami, budowlami i t. d.

Wyszło w czwartym wydaniu Ludwika Friedlaender'a: *Darstellung aus der Sittengeschichte Roms*. 2 tomy. (Lipsk, S. Hirscl, 1901, str. 473 i 653. — Cena 20 m.

Dzieło to zyskało sobie największe uznanie i liczy się do najpopularniejszych w tym rodzaju.

Vladimir Sauroa: *Moskowskije cari i wizantijskije wazilewsy*. (Charków, w drukarni M. Silberbega), 1901, str. 400.

W pierwszym rozdziale przedstawia autor charakterystykę Zofii Paleolog i jej wpływ na urzędzenia społeczne i polityczne Państwa Moskiewskiego. Dalej w szeregu rozdziałów opowiada autor o stosunku dworu do Kościoła i przedstawia nam liczne ceremonie dworskie i kościelne, jakimi były i jak się pod wpływem Byzancyum zmieniły. Na zakończenie udowadnia prawo przyjęcia tytułu cara i podaje historję tego tytułu.

G. Dwelshawers: *Henrik Ibsen et le Pessimisme*. (Bruksella, wydawnictwo «Wolnej Myśli»), 1901, str. 28.

Autor znajduje u Ibsena głęboki, rozpaczliwy pesymizm. Bohaterowie jego rwą się na wyżyny, ale między duszą ludzką a ideałem jest taka różnica, że ideał pozostaje wiecznie niedoścignionym. Im zaś wyższy był wzlot, tem haniebniejszy upadek. Poglądem na świat Ibsen jest beznadziejny nihilizm.

Eine kleine Hütte. Pogląd na świat Kamo No Chomel'a, przetł. na język niem. przez Dra Daiji Itchikawa. (Berlin, C. A. Schwetscke & Sohn), 1902, str. 45. — Cena 1 m.

Autor znużony życiem usuwa się w góry niedaleko Kioto i znajduje ukojenie w buddyzmie. Przedstawienie zasad buddyzmu zajmuje znaczną część broszury.

Auguste Molinier: *Les sources de l'histoire de France I. Epoque primitive, Mérovingiens et Carolingiens*.

A. Gardner: *Studies in John the Scott (Erigena)*. (Londyn, Henry Trowde) 1900, str. 145. — Cena 2 sh.

Książka ta stanowi dobry wstęp dla studyów nad filozofem średnio-wiecznym. Autor odzyna się o Scocie z wielkim zapalem. W sposób jasny i treściwy podaje zasadnicze jego myśli o nieznanym Bogu, stanowisko wobec sporu o przeznaczeniu, o grzechu, inkarnacy i końcu świata. Przedstawia poglądy Scota na czas, przestrzeń, myśl i czucie. W końcu mówi o wpływie, jaki wywarł na swych następców.

Rudolf Haym: *Aus meinem Leben*. (Berlin, R. Gaertner), 1902, str. 303, Cena 4 m.

Książka ta jest ciekawym przyczynkiem nie tylko do historii tego pisarza, lecz również do historii lat od 1840 do 1866 r. Haym był pierwszym liberalnym publicystą. Mówi tu o działalności swej w parlamencie frankfurckim, o czasach reakcyi i o pracy Treitschke'go na polu publicystycznym. Książka

pełna ciekawych szczegółów; wśród nich słabe strony jego partyi nie są pominięte.

Maurice Albert: *Les théâtres de la foire*. (Paryż, Hachette et Cie) 1900, str. 380. — Cena 3-50 fr.

Jest to historia rozwoju teatrów jarmarcznych we Francyi od pierwszej chwili ich powstania aż do czasu, kiedy po wielu prześladowaniach ze strony rządu, na kilkadziesiąt lat przed rewolucją polityczną, nastąpiła rewolucya myśli, która uprawiała istnienie tych teatrów, jako dzisiejszej komedyi francuskiej i opery komicznej.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

William Morris: *Wieści z nikąd czyli epoka spoczynku*. Kilka rozdziałów utopijnego romansu. Przekład W. Szukiewicza. Lwów, Altenberg, 1902, str. 355.

G. Zieliński: *Poezye*. T. II, Toruń. Nakł. rodziny, 1901.

St. Serkowski: *O badaniu przez lekarzy produktów spożywczych, dostarczanych do szpitali*. Łódź, 1902 (odbitka z czasopisma lekarskiego), str. 47.

L. Kulczycki: *Anarchizm współczesny*. Lwów. Polsk. Tow. Nakł., 1902, str. 328.

J. Sten: *Dusze współczesne*. Wrażenia literackie. Lwów. Tow. Nakł. Pol., 1902, str. 185.

H. Mager: *Le monde polymésien*. Paris, Schleicher frères, 1902, str. 250. Cena 2 fr.

M. Vandervelde: *Kolektywizm i rozwój przemysłu*. Lwów. Tow. Nakł. Pol., str. 258.

Axel Garde: *Henryk Ibsen*. Wykład idei zawartej w dramatach jego. Przełożył A. Lange. Lwów. Tow. Nakł. Pol., 1901.

Fr. Rawita-Gawroński: *Rok 1863 na Rusi. Ruś Czerwona i Wschód*. Lwów, Altenberg, 1902.

L. Couturat: *Sur la langue internationale*. (Odbitka z «Revue des questions scientifiques», str. 11.

M. Straszewski: *Propedeutyka filozoficzna w naszych gimnazyach*. Kraków, 1902, str. 57.

— *Potrzeby Jagiellońskiej Wszechnicy*. Kraków, 1902, str. 27.

Jan Kochanowski: *Odprawa posłów greckich*. Opracował dla użytku szkolnego K. Zimmermann («Bibl. Arcydz. polsk. i obcych pisarzy»). F. West w Brodach, str. 60.

M. Stefanowska: *Co się dzieje w ulach? Życie i obyczaje pszczoły*. Warszawa, 1898, str. 82.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— P. X. X. w Warszawie. Co do 1-go punktu, to najlepszem dziełem jest istotnie Rudolfa Mayera *Kulturkampf des vierten Standes*. Jest ono bardzo obszerne (2 duże tomy) i wyczerpu-

jące do czasu wydania. Od tego czasu wszakże ubiegło około 20 lat, które wymagają uzupełnień z innych źródeł. W tym względzie przedewszystkiem polecić należy S. Webb'a *Histo-*

rya stowarzyszeń zawodowych w Anglii, tomów 2 (przekł. polski, wyd. Br. Natanson). — Mermeix *La France socialiste* daje obraz rozmaitych frakcyj w tym odłamie ruchu. Najnowsze rzeczy rozproszone są w artykułach. — 2) Dobrze jest dla dawniejszych okresów Brentano *Arbeitergilden der Gegenwart* (1870) (Historia trade-unionizmu). Przekładu ros. dzieła Bernsteina, o którym Pan wspomina, nie znamy. — Podręcznik krótki *Historji powszechnej* Freemana, odpowiadający stawianym wy-

maganiom wyjdzie niebawem jako 2-gi tom „Biblioteki Samouków”.

— *WP. J. Ł. w Ufie*. Zeszyty 4 i 5 wysyłamy. Niedoszły zapewne wskutek niedokładnie podanego adresu. Trzeba zawsze dawać ulicę i dom. O cenie gramatyki Poplińskiego najlepiej poinformują księgarnie (w Warszawie). Nie wiemy o jakie seminaryja chodzi Panu: nauczycielskie, czy kościelne? Najlepiej jest udać się do jednego z tych zakładów z prośbą o objaśnienia.



Wyszło z pod prasy:

W. M. Kozłowski: **Klasyfikacja umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego**. Wydanie drugie, przerobione i znacznie rozszerzone. Stanowi I-szy tom „**BIBLIOTEKI SAMOUKÓW**”. — Cena ct. 50; kop. 40.

BIURO NAUCZYCIELSKIE H. DE TEISSEYRE

Kraków, ul. św. Jana 1.



poleca:

profesorów prywatnych, nauczycieli, nauczycielki, guwernantki, fröblanki i bony różnych narodowości.

Opuściło prasę:

W. M. Kozłowski: **Z hasła umysłowości współczesnej. Szkice publicystyczne.**

TREŚĆ: Wykształcenie i oświata. — Czemu jest pogląd na świat i na co potrzebny? — Inteligencja i wykształcenie. — Rola jednostki inteligentnej w społeczeństwie. — Czy mamy inteligencją? — Indywidualizm i jego granice. — Jednostka i społeczeństwo. — Źródła psychologiczne i związek wzajemny potęg dziejowych. — Postęp i wsteczność. — Tradycja i nowość. — Mrówcza praca czy wzlot ku wyżynom? — O dogmat. — Ruch etyczny wobec zagadnień socjologicznych współczesnych. — Słówko o kobiecie. — Apostołowie mierności. — Gieniusze bez teki. — Self-made men. — Mrok czy świt? — Epigonizm współczesny. — Epilog. — **Cena ztr. 1.30.**

 Zwracamy uwagę naszych Czytelników na rubrykę „Korespondencja z Czytelnikami” i prosimy o odwoływanie się do Redakcyi z wszelkiego rodzaju trudnościami lub wątpliwościami, które napotkają na drodze wykształcenia własnego. 

Redaktor odpowiedzialny: Jan Dutkiewicz.

Wydawca: Wł. M. Kozłowski.

E C H A.

I.

Płynie przede mną
W dal martwą, ciemną,
I cicho zwie:
Pójdź, na mem łonie,
Ból twój utonie
W grobowym śnie.

Z lez ci na wieki
Otrze powieki
Ma zimna dłoń...
Ach, lećmy w ciszę,
Tam ukolyszę
I twoją skroń.

II.

Słyszysz?... W oddali potężne echa
Drżą klęsk rozpaczą...
Czemuż nam szczęścia raj się uśmiecha,
Serca nie płaczą?

Czemuż świat cały, choć przepojony
Bólem i łzami,
W mgłach promienistych świetlnej osłony
Skrzy dziś przed nami.

Czemu nas dwoje, objęła fala
Upojeń cicha,
Gdy w ludzkich duszach ból się przewala,
I żalność wzdycha?..

Czemu dla wszystkich, co cierpią w pyłe
Słońce nie wstało?..
Czemu, ach, czemu bierzemy tyle,
Dając tak mało?..

III.

Ja nie chcę wierzyć, że serce twoje,
Co tak gorąco uderza,
Zatrzyma kiedyś śmierć, groźna pani
Z obcego żywym wybrzeża.

Ja nie chcę wierzyć, że ona zmrozi
Płomień twej myśli i duszy,
Że łzy i radość znikną dla ciebie,
Że niczyj ból cię nie wzruszy.

Że twe jedyne, najmiłsze oczy
Mogą zagasnąć na wieki,
I że bezemnie odejdiesz cichy,
W przestwór nieznany, daleki...

IV.

Znowu wiosenny błysnął kwiat,
Pękają liście,
Skowronek mknie w błękitów świat,
Nuąc srebrzyście.

Świecą z pomiędzy młodych traw
Fijołków oczy,
Ze śpiewnym szmerem jasny staw
Fale swe toczy.

Wieczorem, cały przestwór drga
Rozgwarem wiosny,
I nawet senna idzie mgła
W taniec radosny.

Czuję, jak łono żyznych ról
Wzdycha i płonie,
Jak tęsknie patrzy bezkres pól
W niebieskie tonie.

Zgińcie, wy cienie smętnych mar,
Puśćcie mą duszę!
Nade mną buja wiosny czar,
W snów zawierusze...

Niechaj mi słońca kirów pleśń
Dziś nie zasłania,
Bo znowu slysze cudną pieśń —
Pieśń zmartwychwstania.

Bo kocham znów słoneczny kraj,
Różane zorze,
Kocham słowiki, szumny gaj,
Błękitów morze.

Każdą spotkaną kocham twarz,
Bzy i powoje...
Zbudzone serce, śpiewaj, marz,
Rzuć niepokoje!

L.

JUBILEUSZ MARYI KONOPNICKIEJ.

Kraków tylko co był świadkiem wielkiego święta poezji narodowej. Był to hold złożony największej z obecnie żyjących poetów naszych. Było to święto pieśni i pieśniarki, a zarazem tej idei, której pieśń poetki naszej służyła.

Chwila to znamienna, chwila pamiątkowa w dziejach myśli naszej. Światło chwilowo wznieconej pochodni jaskrawo błysnęło w starych i szarych murach krakowskich, a ciemności jego nie ogarnęły. Ponure cienie kapturów i tog nie przykryły tych blasków, a żywiły ciemności czuły, że nie wypada im się mieszać do czci dla tej, którą jako kacerkę i demagoga plectnowali, nie śmieli wszakże protestować. Więc jak nietoperze przed blaskiem słońca ukryli się w szczelinach.

Urzędowa nauka i sztuka krakowska trzymały się zdala od uczty duchowej, której nastrój zbyt silny był, aby zmurszałe te czasy wytrzymać mogły taki napój. «Profesorów literatury» nie widzieliśmy w żadnym z momentów obchodu. Ale za to pełno było w sali Sokoła siermiąg chłopskich i widzieliśmy lzy płynące z oczu tych ludzi na niepodkrecone i nieufryzowane wąsy.

Milczkiem wręczyli delegaci Uniwersytetu i Akademii swoje urzędownie napisane adresa, a pokryło je milczenie publiczności. Ale za to gorącymi oklaskami witano liczne holdy swojskie z daleka nieraz przynoszone, również jak przemówienie p. Maternowej w imieniu niewiast czeskich.

Już na kolei tłum osób, zwłaszcza młodzieży szkolnej powitał p. Konopnicką huczными wiewatami. Teatr miejski pierwszy ją gościł w dzień przyjazdu. Dwie sztuki umiejętnie wykrojone z jej nowel («Miłosierdzie gminne» i «Głupi Franek») oraz trafnie dobrana deklamacja jej utworów stanowiły repertuar. A gdy poetka w towarzystwie dwóch córek i syna ukazała się w gustownie

wieńcami i zielenią ozdobionej łoży, okrzyki i oklaski zaznaczyły entuzjazm przepelniającej teatr publiczności.

Po teatrze raut — na których serdecznemi słowy podziękowała jubilatka stowarzyszeniom kobiecym za przyjęcie okazane. A nazajutrz 19-go główna uroczystość w sali Sokoła — wręczenie darów.

Tłumno tam było i gorąco — gorąco nietylko w powietrzu, ale i w sercach obecnych. Sala gustownie ozdobiona emblematami wiejskimi, oczekiwała przepelniona różnorodnym tłumem na jubilatkę, którą przywitał piękny polonez p. Żeleńskiego pod jego dyrekcją wykonany; później nastąpiła kantata przez p. Galla. Przemówienia zagał p. Bartoszewicz w imieniu komitetu organizującego uroczystość, trafnie podnosząc zasługi poetki i jej tytuły do wdzięczności narodu. Potem poszły niezliczone dary z rozmaitych stron blizkich i dalekich, wręczane przeważnie w milczeniu, niekiedy z krótkim przemówieniem. Prezentacya delegacyj z darami zajęła przeszło godzinę czasu.

Odpowiedziała p. Konopnicka słowami piękniemi a pełnemi uczucia szczerego i myśli głębokiej:

«Patrzę w pracę mego życia — mówiła jubilatka — patrzę w odpłatę, jaką mi niesiecie i czuję się zawstydzoną, bo mi tu nadpłacono sto- i tyciąckrotnie; bo praca była uboga i drobna — odpłata była wielka i królewska; bo praca była na miarę jednej duszy ludzkiej — odpłata była na miarę wielkiej zbiorowej duszy narodu... Pieśni moja była stłumiona, często i niedośpiewana — ale wyście sobie ją dośpiewali w duszy».

Na zakończenie chór z towarzyszeniem orkiestry wykonał ośm pieśni dziecińczych p. Konopnickiej z muzyką p. Noskowskiego.

. Rozrzewnieni wychodzili tysięczni świadkowie tej uroczystości, a nastrój ten spotęgowała jeszcze uczta wieczorna, która zgromadziła 150 osób. Wśród epizodów tej uczty były niektóre prawdziwie wzruszające, a odpowiedziała na wszystkie przemówienia jubilatka wierszem zaimprovizowanym.

Ten hold powszechny złożony poetce świadczy o tem, że twórczość jej nie była tylko melodyjnym brzękiem «lir, co serc próchnem świecą». A jeśli, pomimo całej czci dla mistrzostwa słowa, dla niesłychanej siły obrazów głębi uczuć i myśli, nie odważymy się postawić jej, jako mistrzyni pieśni, obok wielkiego wieszczka, zostającego zawsze niedorównanym, to wszakże pod tym względem poezjom jej przyznać winniśmy równoległe znaczenie

z utworami Mickiewicza: odbijają one najbardziej bolesne zagadnienia naszej doby, jak tamte ujęły zagadnienia pokolenia naszych dziadów. Na tem polega prawdziwa wielkość poety; na tem uznanie powszechne ze strony tych, co łakną światła i postępu, niechęć i zawiść kapłanów ciemnoty. A wśród szarzyzny dzisiejszej twórczości stoi autorka nasza jak olbrzym, wznosząc rękę swoją jako drogowskaz przyszłości: wyciąga ją do jakiegoś wielkiego ducha, jej równego, który przyjsć ma dopiero, a którego pieśnią nie lży, lecz radość tryumfu będzie.

ROZMIARY SPOŁECZEŃSTWA I ICH REGULOWANIE.

Niejednokrotnie już robiono spostrzeżenie, że nie ma prawd naukowych bezwzględnie nieprzyjaznych człowiekowi w jego aspiracjach ku doskonałości, szczęściu, postępowi; że te, które pozornie stoją w najjaskrawszem przeciwieństwie z najdroższymi marzeniami i pragnieniami ludzkości, mogą stać się ich podporą. Wszystko zależy od tego, na jaki spadną umysł: czy na taki, który rad w nich prędzej widzieć środek do tłumienia owych aspiracji, czyli odwrotnie, na pełny miłości dla ludzi i chęci służenia ludzkości.

Tak też było z zasadą wzrostu ludności, wygłoszoną przez Malthusa. Znane spostrzeżenie nad dążnością do bezgranicznego rozmnażania się wszelkich istot organicznych, o ile nie napotyka ją przeszkód ku temu, posłużyło w rękach tego pisarza za argument przeciwko dążeniom do podniesienia całej ludzkości na wyższą stopę godności i etyki, przeciwko ujawniającym się w literaturze końca XVIII wieku, zwłaszcza zaś w pismach Condorceta i Godwina, aspiracyom ku polepszeniu dobrobytu materialnego i moralnego klas uboższych. Stosownie do tego przybrało ono charakter «prawa» (aspiracye czysto praktyczne, a zwłaszcza reakcyjne, chętnie lubią się ukrywać pod szatą «praw przyrodniczych», imponujących mniej świadomemu ogółowi swoją pozorną bezapelacyjnością), głoszącego, że «przyrost ludności ma dążność do wzrastania szybszego, niż wzrost środków, czyniących zadość jej potrzebom, przedewszystkiem zaś środków wyżywienia».

Wiele rozpraw krytycznych poświęcono owemu, tak zwanemu «prawu Malthusa», a ekonomiści i statystycy udowodnili, że nie tylko dziś, ale i w najbliższej przyszłości stosunek rzeczywistego przyrostu obu uwzględnionych przez Malthusa czynników nie odpowiada i nie będzie odpowiadał jego przypuszczalnemu prawu, że przyczyny powodujące ubóstwo mas, są zgoła odmienne od przeludnienia; że źródłem ich są warunki społeczne, nie zaś przyrodnicze.

Wszystkie te wywody atoli, jakkolwiek poprawne, nie dotyczą rdzenia argumentacji Malthusa, którą można streścić mniej więcej w takich słowach: «Chcecie uszczęśliwić ludzkość przez podniesienie dobrobytu wszystkich klas; przez danie im ludzkich środków egzystencji; przez usunięcie nędzy i głodu, chorób i przedwczesnej śmierci, wojen i zaraz? Ale czyż nie widzicie, że środki są regulatorami, które powstrzymują nadmierny przyrost ludności, że skoro tylko je usuniemy, ludzkość pocznie rozmnażać się z taką szybkością, iż wkrótce wszyscy będą zmuszeni umrzeć z głodu, gdyż ziemia nie będzie w stanie wyżywić ich?»

Tego zarzutu nie usuwa oczywiście odpowiedź, oparta na danych statystycznych, a dowodząca, że przy *obecnym* stanie przyrostu ludności, niebezpieczeństwo takie nie zagraża ani dziś żyjącemu, ani kilku najbliższym pokoleniom. Bo w obecnym stanie funkcjonują właśnie czynniki regulacyjne, na które wskazywał Malthus. Nie dotyczy też rdzenia kwestyi inny argument, oparty na słusznem skądinąd twierdzeniu, że zmiana stosunków społecznych, usuwająca owe czynniki, obfitem żniwem śmierci powolnej lub raptownej powstrzymujące przyrost ludności, przyczyni się w niezmiernym stopniu do spotęgowania produkcji wszelkich zasobów, a w tej liczbie i spożywczych. Wszelkie bowiem spotęgowanie zasobów, zwłaszcza zaś pożywienia, ma swoje granice zakresłone chociażby obszarem łądów. A chociaż nie można dziś przewidzieć, do jakiego stopnia udoskonalenie kultury może podwyższyć wydajność plodów ziemskich, to pewna granica nasuwa się i tu, jako wymaganie logiczne zupełnie nieuniknione.

Przeciwnie, przyrost ludności i wogóle wszelkich istot żywych, przedstawia się teoretycznie jako bezgraniczny, a zarówno obserwacje przyrodnicze, jak i badania statystyczne, wykazują zgodnie, że skoro tylko przeszkody zostają usunięte, przyrost ten przybiera rozmiary groźne.

Wiadomo, że dzieło Malthusa nasunęło Darwinowi myśl osnu-

cia teorii rozwoju form organicznych na zasadzie walki o byt, a zasługą jego jest gruntowne zbadanie tego objawu w przyrodzie. Każda roślinka zapuszczająca korzenie w glebę i obejmująca na własność wyłączną pewną jej powierzchnię; każde zwierze trawożerne, pożerające pewną ilość wytworów roślinnych, stacza walkę taką z podobnemiż istotami, odbierając im ów środek żywienia się, a w ten sposób dzieje się, iż tylko drobna część z niezliczonych zarodków życia dochodzi do rozwoju prawidłowego.

«Nie ma wyjątku z prawidła, czytamy w *Pochodzeniu Gatunków*, że każda istota organiczna rozmnaża się naturalnie tak szybko, iż cała ziemia niebawem zostałaby pokryta przez potomków jednej tylko pary, gdyby nie ulegały zniszczeniu... Linneusz obliczył, że gdyby roślina jednoroczna wydawała tylko po dwa nasiona — a nie ma roślin tak mało produkcyjnych — a każda z wyrastających z tych nasion roślinek, wydała w następnym roku po dwa nasiona i t. d., to w ciągu 20 lat wytworzyłyby się milion roślin (żyjących).

«Słoń uznany jest za najpowolniej rozmnażające się ze wszystkich znanych zwierząt; zadałem sobie pracę obliczenia przypuszczalnego minimalnego jego przyrostu. Jeśli przyjmiemy, że zaczyna się mnożyć, gdy osiągnie 30 lat, a przestaje mając lat 90, oraz, że w ciągu tego czasu wyda tylko trzy pary młodych, pozostaniemy poniżej granicy jego rzeczywistej płodności. Przypuszczenie takie prowadzi wszakże do wniosku, że po upływie pięciu stuleci, będzie 15,000.000 żyjących słońów. Mamy wszakże lepsze dowody niż teoretyczne obliczenie; są nimi liczne fakta zdumiewającego bystrością rozmnożenia rozmaitych zwierząt w stanie natury, skoro tylko warunki sprzyjały w ciągu dwóch lub trzech następujących po sobie lat. Bardziej jeszcze uderzającym jest przykład naszych zwierząt domowych, zdziczałych w rozmaitych częściach świata. Przyrost powoli rozmnażającego się bydła i koni w Ameryce Południowej i w Australii byłby nieprawdopodobnym, gdyby nie był autentycznie wiadomy. Toż samo dotyczy roślin... W stanie natury prawie każda roślina wydaje nasiona, a wśród zwierząt bardzo niewiele takich, które nie wydają potomności co roku. Możemy więc śmiało twierdzić, że wszystkie rośliny i zwierzęta dążą do rozmnażania się w stosunku geometrycznym, oraz że każde z nich rychłoby zapełniło wszystkie miejsca, w których może egzystować, oraz że ta dążność do rozmnażania musi być

w rzeczywistości wstrzymywaną w pewnym okresie życia tych organizmów przez ich zniszczenie».

Jednym z najbardziej rażących przykładów jest rozmnożenie królików w Australii. Pewna ilość par królików była w swoim czasie przywieziona i puszczona tam na wolność. Kraj był mało zaludniony, więc człowiek nie zabijał ich w większej liczbie. Naturalnych nieprzyjaciół, jakimi są sowy i inne ptaki drapieżne, żywiące się młodymi królikami, nie było w Australii. Warunki zaś pożywienia były nader przyjazne. Wynikiem było tak niesłychane rozmnożenie królików w niektórych okręgach, iż stały się plagą rolników, a wszystkie wysiłki ku obronie od nich roślin gospodarskich, okazywały się daremne.

Nie mamy żadnych danych, aby sądzić o szybkości rozmnożenia się ludzi w warunkach zupełnie przyjaznych. Za punkt wyjścia do obliczeń dla Malthusa posłużyły, jak wiadomo, dane, dotyczące Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie ludność podwajała się przeciętnie co 25 lat. Liczba ta nie wyraża wszakże jeszcze maximum przyrostu ludności. W niektórych okręgach wyłącznie rolniczych, gdzie nieznane były niezdrowe rodzaje pracy, a obyczaje były czyste, zdwojenie następowało już po upływie 15 lat. «Jest to bardzo niedostateczną oceną zdolności do rozmnożenia, powiada J. S. Mill, jeśli przyjmiemy, że w dobrych warunkach higienicznych, każde nastęпно pokolenie stanowi podwójną liczbę poprzedzającego».

Wobec tych faktów i wywodów teoretycznych, nie ulegających żadnej wątpliwości, zarzut Malthusa przeciwko wszelkim próbom podniesienia dobrobytu mas, jako usuwającym «naturalną» regulacją przyrostu ludności, grożącego najsurowszemi formami walki o byt i głodową śmiercią wszystkich w niedalekiej przyszłości, zostaje w całej sile. Też same fakta wszakże, uderzając w umysły szlachetniejsze wykrzesaly z nich zgola odmienne wywody; a tak stało się, iż to, co w ręku Malthusa było argumentem przeciwko dążnościom ku polepszeniu losu ludzkiego, dla *neo maltuzyan* stało się przeciwnie filarem, na którym owo polepszenie oprzeć usiłowali.

Zajęli oni to stanowisko poprawne względem tak zwanych «praw przyrody», jakie już niejednokrotnie wytykaliśmy dla woli i świadomości ludzkiej¹⁾, a które nie polega na biernem poddaniu

¹⁾ Ob. zwł. «Oświata i wiedza przyrodnicza» w *Szkicach filozoficznych* autora.

się pozornej konieczności wobec dogmatycznie przyjętego prawa, lecz na nadaniu warunkom życiowym takiego zwrotu, iżby prawo obróciło się na naszą korzyść, stało się narzędziem naszych pożądań.

Skoro pomiędzy ulepszeniem warunków bytu a grożącym niebezpieczeństwem przeludnienia, istnieje nieprzejednane przeciwieństwo, które zażęgnywa dziś «naturalna» regulacja drogą szeregu klęsk spadających na ludzkość, to czy nie da się ona zastąpić przez *rozumną* regulacją, osiągającą ten sam skutek w sposób mniej okrutny, a zgodny z wolą ludzką?

Takie pytanie postawili sobie myśliciele, którym na sercu leżało przede wszystkim dobro ludzkości, a którzy w faktach i prawach przyrodniczych szukali środków urzeczywistnienia tego dobra, nie zaś osłony dla popędów reakcyjnych. A odpowiedzią na nie była *nauka neomaltuzyjanizmu* bardzo niewłaściwie tak nazwana, gdyż jednostki do tej szkoły należące, mają wprost przeciwnie Malthusowi dążności, chociaż opierają się na faktach wytkniętych przez niego, a stwierdzonych przez innych.

Praktyka sztucznego regulowania rozmiarów społeczeństwa jest zresztą dawniejszą od dziejów pisanych. Spotykamy ją u ludów znajdujących się na stopie życia przedhistorycznej, a chociaż często przybiera ona tu, a nawet w czasach historycznych (jak w Grecyi starożytnej), formę barbarzyńską dzieciobójstwa; wszakże obok tego u wielu plemion Australii widzimy użycie rozmaitych środków, zapobiegających zapłodnieniu. Myśl o tej regulacji stanowi troskę filozofów: zarówno Plato, jak i Arystoteles proponują rozmaite środki prawne (późne małżeństwa, zabijanie słabowitych dzieci i t. p.), w celu zapobieżenia zbytniemu przyrostowi ludności.

Bardzo wczesnie wszakże obok względów na dobro społeczeństwa, powodujących troskę o utrzymanie jego rozmiarów w pewnych granicach występują inne, w których jednostki składające społeczeństwo nie są uważane jako cel dla siebie samych (jak tego wymaga zasada etyczna Kanta), lecz jako środek dla innych celów. Takimi względami są przede wszystkim wojskowość i pewne wyobrażenia religijne. Przy wojskowej organizacji społeczeństwa wytwarza się dbałość o jak największą ilość żołnierza. Stąd widzimy, że w wojskowo-zorganizowanej gminie rzymskiej bardzo wczesnie ukazują się surowe prawa przeciwko kobietom, uchylającym się od obowiązku dostarczania żywego materiału wojen-

nego; tacy zaś wodzowie-prawodawcy opanowani manią zaborczą, jak Cezar lub Napoleon, wydają szereg przepisów i premij, zmierzających ku powiększeniu liczby dzieci w rodzinach.

W okresie chrześcijańskim pogląd na przyrost ludności, regulował się niektórymi orzeczeniami Pisma św., zwłaszcza zaś nakazem mnożenia się, który Bóg daje Adamowi. Stąd wszelkie usiłowania ku zmniejszeniu płodności, zostają surowo potępiane przez spowiedników, a niechęć względem środków ku temu celowi zmierzających, trwa dotąd w całej sile w krajach katolickich, gdy przeciwnie duchowieństwo protestanckie i anglikańskie zajmuje w tej kwestyi bądź to obojętne stanowisko, bądź przyjazne środkiem zapobiegawczym ¹⁾.

W miarę, jak społeczeństwa przybierają charakter przemysłowy nowy motyw wchodzi w grę jako czynnik wytwarzający nieprzychylność względem środków zmniejszających płodność. Mniejszy przyrost ludności powoduje zmniejszenie współzawodnictwa wśród klasy robotniczej, a przez to podwyższenie płacy zarobkowej. To też daje się widzieć, że gdy filantropowie stają w obronie zmniejszenia płodności tej klasy, przemysłowcy niechętnym okiem widzą zmierzające ku temu wysiłki. Zdaje się wszakże, że największym przeciwnikiem racjonalnego regulowania przyrostu ludności jest niczem nieuzasadnione uprzedzenie, przesąd bezmyślny, oparty na niechęci do wszystkiego co nowe i nieutarte, jak to pokaże się za chwilę z walki, którą staczać musieli neomaltuzyjanie w Anglii.

Przesąd ten dzielają zresztą i ludzie nauki. Niedawno mieliśmy sposobność słyszeć, jak p. Leroy Baulieu, który poświęcił kurs w Collège de France kwestyi tak powszechnie przez statystów francuskich za nagłą uważanej słabego przyrostu jej ludności, ubolewał z katedry nad tem, że maksymalne premie, jakie może państwo przyrzec ojcom licznych rodzin, nie w stanie są

¹⁾ Tak pastor angielski Tuckwell przedsięwziął w r. 1892 umyślną podróż po Francji w celu zbadania tej kwestyi. Wszędzie po wsiach znalazł on bardzo ograniczoną liczbę dzieci, a równoległe z tem wysoki stopień dobrobytu, który mu wytłumaczył łatwość, z jaką przed dwudziestu laty Francya mogła spłacić pięciomilionową kontrybucyą. W niektórych departamentach, jak Bretania, gdzie, wskutek potężnego wpływu duchowieństwa, środki zapobiegawcze nie są w użyciu, panuje bez porównania większa płodność, a równoległe i wielkie ubóstwo. (Ob. «Contemporary Review», styczeń, 1892, *Village Life in France*).

zrównoważyć kosztów utrzymania takich rodzin, a więc nie mogą być pobudką do zwiększenia ilości dzieci. Nie przyszło temu statystycie na myśl zastanowić się poważnie nad kwestyą, czy istotnie zwiększenie przyrostu ludności leży w interesie ludności francuskiej? Gdyby był na miejscu zbadał rzeczy, jak to uczynił cytowany wyżej pastor angielski, byłby może przyszedł do wniosku, że jedną z głównych przyczyn pierwszorzędного stanowiska, jakie zajmuje Francya wśród narodów Europy, jest prawie stacjonarny stan jej ludności i wynikający stąd względnie równomierny dobrobyt przeważnej masy ludności.

Bo też pomimo wszelkich przeszkód, interes zbyt poważny skłaniał ludność w krajach rolniczych do uciekania się ku środkom zapobiegającym zbyt licznemu narodzeniu dzieci, których przeciętnie każda rodzina usiłuje nie mieć więcej jak dwoje. Taki uregulowany przyrost ludności panuje obecnie prócz Francyi, cytowanej zwykle jako przykład klasyczny także, w Holandyi, Szwecyi, Norwegii, oraz w znacznej części Szwajcaryi, sprowadzając w tych krajach pewną przeciętną stopę dobrobytu. Również powszechnym jest zwyczaj ten w Siedmiogrodzie, powodując tu względny dobrobyt, pomimo surowego klimatu górskiego i nieprzyjaznej gleby.

Przykład tych krajów, zwłaszcza zaś Francyi, łącznie z wyżej przytoczonymi wywodami teoretycznymi, zachęcił szereg filantropów angielskich do próby wprowadzenia systemu tego w społeczeństwie przemysłowym, jakim jest Anglia. Przyczynili się oni i do tego, iżby kwestyą tę, dotąd w ciszy załatwianą drogą indywidualnych usiłowań z osobistych płynących pobudek, a przy pomocy środków bardzo niedoskonałych, często dla zdrowia szkodliwych, wepchnąć na tor publicznej dyskusyi, podnieść jej doniosłość społeczną i rzucić na nią światło nauki lekarskiej.

Już w r. 1822 pisarz angielski Francis Place¹⁾ wytknął niemożliwość wskazanego przez Malthusa środka, polegającego na przepisaniu bezżennego stanu i wyrzeczeniu się rodzinnego życia uboższej klasie ludności, czyli jak to zwano (chyba dla ironii!) «powściągliwości moralnej» (*moral restraint*), wskazując zarazem na sposoby zapobiegawcze, praktykowane we Francyi. Ideje Place'a wywarły wpływ na słynnego filantropa i socjalistę Roberta

¹⁾ W dziele p. t.: *Illustration and proof of the principle of population*, Londyn, 1822.

Owen'a, który zalecał je członkom swojej kolonii w New-Lanark. Syn zaś jego R. D. Owen bronił tych samych zasad w piśmie p. t.: *Moral Physiology* ¹⁾. Zwolennikiem tej nauki został również słynny filozof i ekonomista J. St. Mill.

Nie będziemy wyliczali tu wszystkich pisarzy w tym kierunku, nadmienić wszakże winniśmy o bardzo popularnej w swoim czasie książce, wydanej pod pseudonimem «Doktora Medycyny», a przetłumaczonej na wszystkie niemal języki europejskie, w tej liczbie i na polski p. t.: *Zasady nauki społecznej czyli religia fizyczna, seksualna i naturalna* ²⁾.

Szczególnego rozgłosu wszakże nabrały idee neomaltuzyjańskie w siódmym lat dziesiątku, a niebawem szereg stowarzyszeń utworzył się dla ich szerzenia. Powodem do tego była następująca okoliczność.

W r. 1833 lekarz bostoński Knowlton wydał dziełko p. t.: *Owoce filozofii*, w którym zalecał ograniczenie liczby dzieci i podawał środki zapobiegające zapłodnieniu. Pisemko to było wielokrotnie przedrukowywane w Anglii w ciągu 40 lat, nie budząc najmniejszej opozycji z czyjejkolwiek bądź strony. W r. 1876 wytoczono przeciwko jego wydawcy, księgarzowi Watts'owi, prywatną skargę o obrazę moralności. Ponieważ Watts, chcąc uniknąć kosztów i kłopotów, uznał się za winnego, sprawa więc nie była zasadniczo przez sąd roztrząsana. Chcąc wywołać rozprawę taką, Karol Bradlaugh i p. Annie Besant wydali powtórnie to dziełko i sprzedawali je publicznie. Sprawa stanęła przed sądem najwyższym i dała wydawcom możliwość wystąpienia publicznego w obronie doktryny neomaltuzyjańskiej. Sąd przysięgłych uwolnił głośnych filantropów od wszelkiej odpowiedzialności, uznając, iż pobudki ich były zupełnie czyste. Wszakże sprawa była oddana pod kasacyą wskutek pewnych nieformalności. Bradlaugh i p. Besant skazani zostali na 6 miesięcy więzienia i karę 200 funtów sterlingów każde.

Tym poświęceniem własnem osiągnęli oboje niesłychanego rozszerzenia doktryny, za którą obstawali. Podczas procesu bowiem sprzedano blisko 100,000 egzemplarzy zaskarżonej broszury, zanim została zakazaną. Później wszakże wydała p. Besant bro-

¹⁾ Londyn, 1832.

²⁾ *The elements of social science or physical sexual and natural religion*, by a doctor of medicine. Londyn. 1854. Autorem jest Drysdale. Przekład polski wydany w Zurichu.

szurę podobnej treści p. t.: *Prawo wzrostu ludności, jego następstwa i wpływ na postępowanie i moralność ludzką*, która również uległa prześladowaniu¹⁾. Rozgłos tej sprawy, do którego nie mało się przyczyniło także wystąpienie lorda najwyższego sędziego w obronie neomaltuzyanizmu, spowodował, że w następnym już roku (1877) zawiązał się «Związek Maltuzyański» (*Malthusian League*), mający na celu szerzenie słowem i drukiem pożytecznych tych wiadomości, a także przeobrażenie prawodawstwa w duchu, któryby uniemożliwiał prawne przeszkody ich rozszerzeniu. Od r. 1879 Związek zaczął wydawać miesięcznik p. t.: «The Malthusian» z następującym epigrafem: «Istocie rozumnej przeszkody zapobiegawcze muszą się wydać również rozsądnymi, jak te, które płyną z ubóstwa i przedwczesnej śmierci» (Malthus).

Zasady przyjęte przez Związek są następujące:

1) Ludność ma dążność do wzrastania powyżej granic możliwego utrzymania się.

2) Przeszkody przeciwdziałające tej dążności są dwojakie: pozytywne, t. j. niszczące życie, oraz zapobiegawcze, t. j. ograniczające ilość narodzin.

3) Przeszkodami pozytywnymi są: śmiertelność dzieci, głód, wojny i dzieciobójstwo.

4) Przeszkodami zapobiegawczymi: ograniczenie potomstwa przez życie bezżenne lub przez środki zapobiegające zapłodnieniu przy pożyciu małżeńskim.

5) Stan bezżenny, który zaleca Malthus, powoduje liczne występki seksualne i choroby. Natomiast wczesne zawarcie związków małżeńskich sprzyja czystości obyczajów, życiu domowemu, szczęściu społecznemu i zdrowiu jednostek. Jest to wszakże ciężkim występkiem wobec społeczeństwa ze strony obojga małżonków mieć więcej dzieci, niż mogą wyżywić, odziać i wychować przyzwolicie.

6) Przeludnienie jest największym źródłem ubóstwa, nieuctwa, zbrodni i chorób.

7) Jawna i wyczerpująca dyskusja nad kwestią ludnościową jest rzeczą żywotnej doniosłości dla społeczeństwa i dyskusye te powinny być wolne od prześladowań.

¹⁾ *The law of population etc.* Londyn 1878; później wydała *Physiology of home* (1883) i *Marriage* (1884). Dziś w Londynie nie można nigdzie znaleźć tych druków w handlu. Egzemplarz broszury *Law of Population* mamy z Ameryki Chicago) z napisem «trzydziesty piąty tysiąc».

Prezesem związku został Karol R. Drysdale ¹⁾.

W r. 1882 utworzył się podobny związek w Holandyi («Nieuw-Malthusiaansche Bond»), a propaganda tych zasad zaczęła się szerzyć i w innych krajach.

Można rozróżnić trzy odcienie wśród neo-maltuzyan.

Krańcowi przypisują wszystkie klęski społeczne i ekonomiczne samemu tylko przeludnieniu, a ratunek społeczeństwa widzą jedynie w środkach zapobiegających zapłodnieniu. Do takich należą właściwi neo-maltuzyanie angielscy.

Drugą gromadę stanowią ci, którzy nacisk kładą na przeobrażenie warunków społecznych; wszakże za niezbędny czynnik temu przeobrażeniu towarzyszący lub nawet poprzedzający je uważają przewrót w istniejących obecnie stosunkach ludnościowych przez powszechne użycie środków zapobiegawczych. Do takich należy ekonomista niemiecki K. Kautsky ²⁾, którego sądy opierają się na ścisłym rozważaniu czynników ekonomicznych i przyrodniczych, a pozbawione są jednostronności zelantów. «Przejdźcie do wyższych form uspołecznienia — powiada on — może tylko czasowo usunąć niebezpieczeństwo przeludnienia, a nawet niebezpieczeństwo to stanie się tem bardziej naglącem, im więcej dobrobytu i szczęścia osiągnie się w ten sposób». «Niewątpliwie, iż przy dzisiejszym stanie wiedzy środki zapobiegające zapłodnieniu, stanowią mniejsze zło, niż inne zjawiska, które pociąga za sobą przeludnienie, a któremi są objawy najsurowszej walki o byt. Jest więc nakazem moralnym przyjęcie tych środków; są one bowiem moralniejsze niż głód i zarazy, wojny i zabójstwa, choroby zakaźne i prostytutcy».

Wreszcie umiarkowany kierunek reprezentują ci, którzy w środkach zapobiegających zapłodnieniu widzą tylko sposób złagodzenia niektórych krzywd społecznych, pośrednio zależnych od przeludnienia. Do takich należał J. St. Mill; należy tu także Montegazza, znany u nas z przekładów niektórych dzieł jego; z niemieckich pisarzy Zacharias.

Przechodząc do oceny ogólnej tego ruchu tak mało jeszcze

¹⁾ Autor przytoczonej wyżej rozprawy o *Nauce społecznej*, wydał także *The population question according to Malthus and Mill*. Londyn, 1873.

²⁾ Z książką jego p. t. *Der Einfluss des Volksvermehrung auf den Fortschritt der Gesellschaft*, mamy nadzieję niebawem bliżej zapoznać naszych czytelników w formie przekładu lub przeróbki odpowiedniej.

u nas znanego, możemy zreasumować ją w następujących zdaniach:

Nadmieniliśmy już wyżej, że złe społeczne obecne, budzące szereg zagadnień praktycznych, zwykle ujmowanych pod nazwą zbiorową kwestyi społecznej, w jej dwóch głównych odłamach, kwestyi ubóstwa mas i podniesienia położenia kobiety, płynie z dwojakiego rodzaju przyczyn: wadliwych urządzeń społecznych oraz przyczyn naturalnych. Ogólną zasadą usunięcia pierwszych jest przeprowadzenie odpowiednich reform racjonalnych, dające się osiągnąć drogą prawodawczą; drugich — rozumne zużytkowanie wykrytych przez wiedzę praw przyrody na korzyść człowieka.

Pomiędzy obu wymienionymi rodzajami przyczyn zlego i środkami ku ich usunięciu, istnieje taka zależność, że wszelkie próby polepszenia urządzeń społecznych, prowadzące do podniesienia dobrobytu ogólnego, muszą spotęgować złe skutki przyczyn naturalnych (dążności do bezgranicznego rozmnażania się, a więc do przedludnienia, nie «względego», jakie dziś istnieje, lecz bezwzględnego), a w ten sposób udaremnione zostaną wszelkie reformy czysto społecznej natury, o ile jednocześnie regulowanie rozmiarów społeczeństwa nie stanie się praktyką powszechną i nakazem obyczajności.

Środki zalecane przez neo-maltuzyan¹⁾ należą do tych, które zdobycze fizjologii i wynalazki higieniczne wskazują jako najracjonalniejsze dla usunięcia przyczyn naturalnych wielu bolesnych stron społeczeństwa obecnego; przedewszystkiem zaś fizycznego i moralnego wycieńczenia kobiet przez nadmierne pociągłości i śmiertelności dzieci, a do złagodzenia w znacznym stopniu ubóstwa i prostytucyi.

Środki te, jako wymagające jedynie inicjatywy prywatnej, a okazujące natychmiast skutki swoje na polepszeniu dobrobytu, zdrowia i szczęścia rodziny, dają się łatwo przeprowadzić; wynikami zaś swymi widocznymi zachęcają do naśladownictwa, kiedy wszelkie reformy zasadnicze są rzeczą wymagającą czasu i walki, wskutek starcia się rozmaitych interesów, wskutek niewiary w nie ogółu, niechętnie porzucającego stare przesady i zwyczaje dla prób nowych, a wydających się przeto niepewnymi. Nawyknięcia

¹⁾ Nie wchodzi w zakres nasz obecny, wyliczanie tych środków; ktoby chciał się z nimi zapoznać bliżej, odsyłamy go do przytoczonych wyżej rozpraw. Z najnowszych zaś polecić możemy: H. Schröder *Die Vorbeugung der Empfängniss aus Ehenoth*, Max Spohr, Lipsk. Wyd. 8-me, 1901. — Cena 2 marki.

więc i obyczajność neo-maltuzyańska, powinny w naturalnym biegu rzeczy poprzedzać takie reformy, a widzieliśmy już, że pierwszeństwo owo jest również i wymagalnikiem racjonalnym.

Ktokolwiek zwiedzał ubogie dzielnice miast naszych; kto widział te gromady brudnych, zaniedbanych, wiecznie głodnych, często chorych i pokaleczonych dzieci, snujące się po ulicach, zapelniające chodniki, pozostawione bez dozoru — bo i ojciec i matka i starsze rodzeństwo zajęte jest przez cały dzień ciężką pracą; kto wchodził do suteryn zamieszkałych przez stróżów i inną ubogą ludność miast wielkich, a widział tam owe rodziny, liczące po sześcioro, ośmioro lub dziesięcioro dzieci, gnieźdzące się w jednym ciasnym, wilgotnym, nawpół ciemnym pokoju; kto przyglądał się tym dzieciom zaledwie okrytym łachmanami, brudnym, z powykrzywianymi nogami, z wyrazem przedwczesnej starości na bladej, wychudzonej twarzy; kto słyszał utyskiwania kobiet, narzekających, że całe życie ich upływa bądź na noszeniu dziecka w łonie, bądź na jego karmieniu piersią, że nigdy prawie nie bywają w stanie normalnym, pozwalającym oddać się pracy lub wychowaniu tych dzieci, które już mają, gdyż ustawicznie muszą mieć nowe; kto ze zgrozą widział po wsiach zobojętnienie matek na śmierć małych dzieci lub nawet radość z jej powodu; niekiedy dobrowolną pomoc naturze w tym względzie przez systematyczne zagładzanie lub pojenie makiem; kto słyszał utyskiwania ojców na kosztą chrzcin, za którymi rychło następują jeszcze większe może kosztą pogrzebów ¹⁾; kto uprzytomni sobie od czasu do czasu ujawniane przez sądy kryminalne «fabryki aniołków» — ten łatwo zrozumie, jaką straszną klęską w społeczeństwie naszym jest nadmiar urodzeń. A wszakże tak łatwą jest do usunięcia drogą rozpowszechnienia racjonalnych wiadomości!

Tymczasem właśnie nieuctwo połączone z pruderyą skupia szczególny mrok na ten punkt tak doniosły. Nasze klasy inteligentne, t. j. te, które będąc lepiej uposażone, mogłyby wychować dzieci obdarzone i lepszymi zasobami dziedzicznymi i cechami nabytymi przez dobre warunki i racjonalne wychowanie, często uprawiają praktykę neo-maltuzyańską tak dalece, że wcale wy-

¹⁾ Widziałem włościanina, który skarżył się na to, że zrujnowany został doszczętnie przez kosztą *ośmnastu* (!) pogrzebów dzieci swoich. Niech czytelnik wyobrazi sobie, jak oddziałać musiały te warunki na zdrowie matki!

rzekają się tej potrzeby duchowej. A obok tego nie tylko nic nie czyni się dla uświadomienia w tym kierunku ludności uboższej, która najwięcej tego potrzebuje, lecz pruderya posuwa się tak daleko, że niedawno mieliśmy sposobność czytać w pewnym nibyto postępowym dzienniku wyrazy oburzenia z powodu sprzedaży publicznej we Lwowie t. zw. «artykułów francuskich». Ależ środki neo-maltuzyańskie wystawiają się publicznie w wielu sklepach londyńskich i te wystawy są może lepszą drogą do rozpowszechnienia wiadomości, niż wszelkie broszury i odczyty. A jakież to kolosalnej ignorancyi dowody składa dziennikarz, który bierze je wyłącznie ze strony lekkomyślnie-rozpustnej; który się nie domyśla nawet, że poza tą, znaną każdemu żakowi stroną, ukrywa się inna, tająca głębokie zagadnienie społeczne, lekarstwo na ogromną klęskę, nie dostrzeganą jedynie dlatego, że patrząc, nie myślimy.

Zarzuty przeciwko neo-maltuzyanizmowi można ściągnąć do trzech. Pierwszym jest *etyczny*, upatrujący niemoralność w sztucznym zapobieganiu płodności. Zarzut ten najczęściej opiera się na ignorancyi; wynika mianowicie z pomieszania środków zapobiegawczych (zalecanych przez neo-maltuzyanizm) z pozytywnymi, t. j. represyjnymi, potępianymi przez doktrynę. W rzeczywistości, o ile wstrętną jest dla uczucia moralnego wszelka myśl o zniszczeniu, chociażby w najwcześniejszym zarodku, poczętego już życia, co też stanowi przedmiot surowej kary w kodeksie kryminalnym, o tyleż obojętnem ze stanowiska moralnego jest zapobieżenie powstaniu takich zawiązków, a staje się ono czynem moralnym, skoro z góry przewidzieć można, iż życie w ten sposób powstające, przeznaczone jest na przedwczesną zagładę lub spalenie.

Zapobieganie bowiem zapomocą środków neo-maltuzyańskich jest równoznaczne ze stanem bezzennym; w obu wypadkach możliwość nie dopuszcza się do zrealizowania, z tą tylko różnicą, że stan bezzenny prowadzi do ruiny zdrowia fizycznego i moralnego, oraz do szeregu wad przeciwnych obyczajności.

Tu potrącamy już o drugi zarzut *hygieniczny*. Przeciwnicy neo-maltuzyanizmu zarzucają, iż środki zapobiegawcze są niekiedy szkodliwe dla zdrowia. Słusznem to jest w stosunku do niektórych sposobów, a dotyczy zwłaszcza tych, które są najbardziej rozpowszechnione, bo same się niejako nasuwają i używane są przez ogół, nie mający pojęcia o neo-maltuzyanizmie, jak np. włościanie

we Francyi. Hygiena zapobiegawcza czyni wszakże szybkie postępy i dziś już mamy do rozporządzenia cały szereg środków łatwych do użycia, niedrogich, a nie powodujących, jak się zdaje, żadnej ujemy dla zdrowia. Gdyby zresztą nawet dały się dostrzedz od czasu do czasu ujemne skutki, to nie dorównywają one w przybliżeniu nawet tej ruiny fizycznej, jaką wywołuje w organizmie kobiecym ciągle powtarzająca się ciąża i pociąg, a w męzkim tak zwana «powściągliwość moralna».

Wreszcie zarzutem natury *statystycznej* nazwać można rozważanie, płynące z przestarzałych już pojęć o dobrobycie i potędze narodów, a upatrujących je w liczebnej przewadze. Mieliliśmy już sposobność zaznaczyć, że zapatrywanie takie jest zgoła błędne; uważa bowiem jednostki składające naród nie za osoby, będące dla siebie celem, lecz za narzędzia do innych celów (jako materyał na żołnierzy, robotników, płatników podatków, konsumentów i t. p.). Pomijając wszakże tę stronę kwestyi, pomijając również i tę okoliczność, że o potęgę narodu nie stanowi ilość, lecz jakość jego obywateli, a stając chwilowo na stanowisku tych, którzy zmniejszenie przyrostu ludności uważają za klęskę narodową, zaznaczyć winniśmy, że jakkolwiek w przyszłości, przy ulepszonych warunkach życia społecznego, neo-maltuzyanizm musi stać się narzędziem systematycznego regulowania przyrostu ludności dla zapobieżenia klęskom przeludnienia; dziś wszakże praktykowany jako środek ulżenia prywatnym warunkom bytu, za ledwie przyczyni się do zapobieżenia temu nadmiarowi urodzeń, które śmierć przedwczesna i bez tego zmiata; że więc wpłynie w bardzo małym stopniu, lub wcale nie wpłynie na zmniejszenie przyrostu ludności.

NOWE POGLĄDY NA POWSTAWANIE GATUNKÓW.

(TEORYA MUTACYJNA DE VRIES'A).

(Dokończenie).

Niektórzy biologowie, jak Kerner i Weisman w rozmnażaniu płciowem, polegającym, jak wiemy, na zmieszaniu dwóch rodzajów protoplazmy: męskiej i żeńskiej, widzą bardzo ważny czynnik powstawania nowych postaci organicznych. Istotnie, dziecko nie jest identyczne ani z ojcem, ani z matką, a przedstawia do

pewnego stopnia typ zupełnie odmienny. Powszechnie zaś wiadomo, że przez hybrydację, t. j. krzyżowanie osobników różnych odmian lub gatunków, możemy otrzymać nowe postacie, jak to wskazują doświadczenia hodowców. Lecz co do pierwszego brak dotąd dowodów niezbitych na korzyść przypuszczenia, że rozmnażanie płciowe należy uważać za źródło zmienności, nie zaś raczej, jak chcą niektórzy, za proces, którego zadaniem jest wyrównanie w potomstwie zbyt wielkich różnic objawiających się u rodziców. Zresztą rozmnażanie płciowe u wielu niższych organizmów niema wcale miejsca, u innych znowu występuje niestale. Co się zaś tyczy procesów hybrydacji, to po pierwsze, mieszańce, jak wiadomo, odznaczają się bezpłodnością, lub też stopniowo, jak to wskazują badania Mendela i Corrensa, powracają do postaci pierwotnych. A więc hybrydacja, podobnie jak zбочenia indywidualne, tylko w niewielu wypadkach może dać początek nowym odmianom lub gatunkom.

Słowem, oba te czynniki, chociaż bez wątpienia mają pewien udział w wytwarzaniu nowych postaci, nie wystarczają żadną miarą do wytłumaczenia wielkiej zagadki powstania całego świata organicznego.

W najnowszych czasach zwrócono baczną uwagę¹⁾ na t. zw. *mutacje* czyli sprawy heterogenetyczne, jako na jeden z czynników, mogących nam do pewnego stopnia wyświetlić całą sprawę powstawania gatunków. Zjawisko mutacji znane oddawna hodowcom, dla których przedstawiało szczęśliwą sposobność otrzymania nowych odmian, polega na nagłym pojawianiu się wśród zupełnie jednakowego potomstwa, u niektórych osobników cech nowych. Mamy tu zatem nowy rodzaj zбочeń indywidualnych, różniących się od zбочeń zwykłych tem, że występują odrazu bardzo wybitnie. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie, że osobnik, który przyniósł na świat takie cechy mutacyjne, może przekazać je w całej pełni swemu potomstwu, słowem, że cechy te będą odziedziczać się stale w pokoleniach następnych, to otrzymamy odrazu bez wszelkich form przejściowych gotową odmianę lub nawet gatunek. Naturalnie musimy przyjąć, że nowe cechy te będą dla osobników korzystne w zapasach życiowych. Wytworzony w ten sposób nowy gatunek może również drogą zmienności samorzutnej dać początek nowym postaciom, jeszcze bardziej różniącym się od pierwo-

¹⁾ Kerner, Korczinskij, Delage, a poprzednio już Kölliker.

tnego typu. W ten sposób każdy okres mutacyjny zwiększy liczbę gatunków, przyczem gatunki te powstają odrazu. Jeżeli zaś przyjmujemy, że okresy mutacyjne w rodowym rozwoju organizmów trafiają się wogóle bardzo rzadko, że jeden okres mutacyjny od drugiego przedzielają tysiące lat, w ciągu których gatunek ulegać będzie jedynie zбочeniom indywidualnym oraz wpływom otoczenia, łatwo będziemy mogli pogodzić sam fakt postępu organizmów z niewzruszoną do pewnego stopnia stałością ich cech.

Do najnowszych czasów teoria ta mogła zwać się co najwyżej prawdopodobnem przypuszczeniem, albowiem brakowało jej faktycznych podstaw. Nikt nie obserwował bezpośrednio powstawania nowych postaci drogą mutacyi; wskazówki zaś odnośne hodowców zbyt były bałamutne, zbyt często podyktowane przez reklamę, by można im było przypisywać znaczenie naukowe. To też natrafić na gatunek roślin lub zwierząt, znajdujący się w stadium mutacyi, t. j. nagłego wytwarzania nowych gatunków, znaczyło dać całej teorii podstawę opierającą się na bezpośredniej obserwacyi. Zadanie to rozwiązał szczęśliwie w zastosowaniu do państwa roślinnego Hugo de Vries¹⁾, profesor botaniki na uniwersytecie w Amsterdamie. Po długich i bezowocnych próbach nad rozmaitymi gatunkami roślin, udało mu się w końcu znaleźć gatunek znajdujący się w stadium mutacyi. Jest nim *Wiesiołek Lamarka* (*Oenothera Lamarckiana*) — roślina dwuletnia, dosięgająca wysokości człowieka, o liściach lancetowatych, kwiatach żółtych, w kłos okazały zebranych.

Gatunek ten, rosnący dziko w okolicy Amsterdamu, posiada zadziwiającą skłonność wytwarzania coraz to nowych postaci. Wśród znacznej ilości zupełnie jednakowych osobników, można było, czy to w stanie dzikim, czy w hodowli napotkać zawsze pewną liczbę okazów, wyróżniających się jakąś cechą niezwykłą, np. postacią liści, wielkim lub drobnym wzrostem, większymi kwiatami i t. p. Niektóre z tych nowych postaci przychodziły na świat tak źle przystosowane do walki o byt, że tylko przy troskliwem pielęgnowaniu można było doprowadzić je do wydawania nasion; inne znowu odrazu bez żadnej opieki rosły i mnożyły się pomyśl-

¹⁾ H. de Vries: *Mutationstheorie; Versuche und Beobachtungen über die Entstehung von Arten im Pflanzenreich* 1 tom., *Entstehung der Arten durch Mutation*, Lipsk, 1901 (w roku przyszłym ukazać się ma tom 2-gi traktujący o hybridacyi). — Ob. także jegoż: *Mutationen und Mutationsperioden, Ein Vortrag*, Lipsk, 1901.

nie. W każdym następnym pokoleniu otrzymywał de Vries pewną ilość nowych osobników, bądź to zupełnie dotąd niewidzianych, bądź też napotykanych już w latach poprzednich. Liczba ich jednak zawsze była nieznaczna w porównaniu z liczbą osobników przeciętnego typu. Tak po wysianiu 15.000 ziarn otrzymał de Vries w r. 1889 tylko 5 osobników nowego gatunku, nazwanego przez niego z powodu swych szerokich liści (*Oen. lata*) i tyleż osobników wyróżniających się bardzo niskim wzrostem, (*Oen. nanella*). Pozostałe okazy nie różniły się od gatunku macierzystego. Następne pokolenie wydało w r. 1891 na 10.000 wysianych nasion tylko 6 odmiennych okazów, z których trzy należały do poprzednio otrzymanego gatunku, *Oen. lata*, dwa do *Oen. nanella*, a tylko jeden przedstawiał nową postać, wyróżniającą się prócz innych oznak jeszcze czerwonawym ubarwieniem nerwów liściowych (*Oen. rubrinervis*). W r. 1895 z wysianych 14.000 nasion macierzystego gatunku otrzymał de Vries prócz odmian znanych z poprzednich doświadczeń jeszcze trzy nowe postacie: *Oen. albida* (15 okazów), *Oen. oblonga* (176 egzemplarzy) i *Oen. scintillana* jeden okaz. Od tego czasu, pomimo corocznego wysiewania *Oen. Lamarckiana* w ilości wielu tysięcy ziarn, nowe gatunki, prócz znanych już z lat poprzednich, nie pojawiały się wcale. Poprzednio zaś otrzymane ukazywały się niekiedy w znacznej liczbie okazów. Tak w r. 1896 *Oen. lata* zjawiała się w liczbie 142, *Oen. oblonga* w liczbie 135 okazów. Nowo otrzymane gatunki wesołką wyróżniają się przede wszystkim stałością swych cech. Po zabezpieczeniu ich od wzajemnego krzyżowania, gatunki te wydają potomstwo zupełnie do siebie podobne w najdrobniejszych szczegółach. Tak nasiona *Oen. lata* obok gatunku macierzystego, *Oen. Lamarckiana*, wydawały zawsze pewną ilość osobników tegoż gatunku (*Oen. lata*), to samo odnosi się do potomstwa *Oen. gigas*, *rubrinervis* etc. Mamy tu zatem do czynienia z prawdziwymi gatunkami, które, o ile warunki zewnętrzne sprzyjać będą ich mnożeniu się, wzbogacą z czasem naszą florę europejską.

Musimy tutaj zaznaczyć bardzo ważny fakt, że nie wszystkie powstałe gatunki z *Oen. Lamarckiana* wyróżniają się wybitnymi cechami. Niektóre z nich rzeczywiście posiadają cechy rzucające się w oczy; można je porównać zatem z łatwymi do rozpoznania gatunkami Linneusza. U innych różnice występują dość słabo i potrzeba ścisłego badania, aby je dostrzedz. Przypominają więc drobne gatunki, wykryte przez Jordana i innych botaników w obrę-

bie gatunków linneuszowskich, o czem wspominaliśmy poprzednio. Słowem w doświadczeniach de Vriesa mamy to, czego zawsze domagali się, chociaż bezskutecznie, przeciwnicy teorii zmienności od jej zwolenników. Mamy uchwycony na gorącym uczynku proces tworzenia się nowych gatunków. Widzimy nagle zjawienie się postaci nowych obok postaci macierzystych. Natura, jakby znudzona jednostajnością pokoleń, próbuje sił swoich w nowym kierunku, powołując do życia odmienne postacie. Nowe gatunki zjawiają się odrazu gotowe, opatrzone nowemi, przekazywanemi z pokolenia na pokolenie, cechami. W ten więc sposób zwiększa się odrazu różnaitość żyjących postaci. Los nowo powstających gatunków, zależy od korzyści lub szkody, jaką im mogą przynieść w walce o byt nowe cechy. Jeżeli są korzystne, wówczas nowy gatunek szybko wypiera macierzysty z jego stanowisk, zagarniając coraz szersze obszary pod swe panowanie. Staje się on wówczas stałym nabytkiem flory, a drogą mutacyi może z czasem dać znowu początek innym gatunkom. Jeżeli zaś nowe cechy okazują się zgubnemi, wówczas nowy gatunek ginie szybko i bezpowrotnie.

Jeżeli cechy nowe zbyt są mało wybitne, aby mogły odrazu zaważyć na szali walki o byt, wówczas albo nowy gatunek przystosowuje się powoli do warunków, przez co wzrasta podobieństwo jego do gatunku pierwotnego i mnoży się liczba gatunków trudnych do ujęcia; lub też zamiera on powoli. Zamieranie to może trwać przez całe stulecia lub tysiącelecia, dopóki ostatnie niedobitki nie znikną z powierzchni ziemi. Lecz może się zdarzyć, że w przeznaczonym na zagładę gatunku, znowu świeże obudzi się życie, że wstąpi on w stadyum mutacyi. Wśród pierwotnych typów zjawiają się wtedy inne, nowe, a obdarzone korzystniejszymi cechami, a zadaniem ich będzie przechować życie gatunku, chociaż w nieco zmienionej formie.

Tak więc na zasadzie doświadczeń z *Oen. Lamarckianu* możemy wnosić, że powstawanie nowych gatunków odbywa się w naturze nie zawsze drogą powolnych przemian, lecz powstają one niekiedy, nagle «wybuchowo», jak się malowniczo wyraża de Vries. Jednolity dotąd gatunek rozpada się wtedy na wielką liczbę nowych, które, o ile okażą się przystosowanymi do warunków zewnętrznych, zwiększą różnorodność postaci. Różnorodność ta będzie wzrastać z każdym okresem mutacyi. W ten więc sposób, jeżeli wystawimy sobie, że od czasu, gdy życie zarodziło się na

kuli ziemskiej, mutacje powtarzały się w pewnych odstępach czasu, możemy łatwo wytłumaczyć całą różnorodność teraźniejszych i wymarłych istot.

Zrozumiemy wtedy również przy nagłym powstawaniu nowych postaci brak zupełny ogniów przejściowych między gatunkami, oraz względną stałość ich cech w obrębie dwóch bezpośrednio następujących po sobie okresów mutacyjnych.

Przyjmując wybuchowe powstawanie gatunków, nie wyłączamy wcale działania doboru przyrodniczego; ograniczamy jedynie znaczenie jego do granic właściwych. Dobór przyrodniczy będzie tu pełnił rolę jedynie czynnika decydującego o utrzymaniu się w walce o byt gatunków z pośród wielu, zbudzonych do życia przez procesy mutacyjne.

Prawdziwa zaś przyczyna powstawania gatunków tkwić będzie nie w warunkach zewnętrznych, lecz w samych organizmach, w ich protoplazmie twórczej, która nie tylko utrzymuje ciągłość życia w nierozzerwalnym łańcuch pokoleń za pomocą procesów rozrodczych, lecz która sama od czasu do czasu rozpromienia się nagle w nowe blaski twórczości, wytwarzając nowe postacie.

Z wielkim prawdopodobieństwem przypuścić możemy, że procesy heterogenetyczne odbywają się stale w kierunku postępu ogarniającego wraz z człowiekiem całą przyrodę ustrojową. Postęp jest prawem rozwoju! Wprawdzie w naturze nie brak przykładów zaniku organów, zarówno u roślin, jak i u zwierząt. W porównaniu z całością świata organicznego, są to jednak znikająco drobne wyjątki. Przytem prawie zawsze możemy dowieść, że objawy uwstecznienia następują nie wskutek procesów twórczych, lecz z powodu warunków zewnętrznych, czyniących dany organ lub właściwość zbyteczną.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach teoria de Vries'a. Oczywiście, że przyjmując mutację, jako główny czynnik powstawania gatunków, nie utrzymuje on, jakoby inne czynniki (dobór przyrodniczy, hybrydacja) nie miały żadnego znaczenia. W każdym razie procesy mutacyjne w rozwoju świata organicznego mają, według de Vries'a, pierwszorzędne znaczenie.

Winniśmy jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na jedną okoliczność, przemawiającą na korzyść teorii de Vries'a. Oto przyjmując, według Darwina, powstawanie cech gatunkowych przez nagromadzanie się w ciągu wielu pokoleń początkowo bardzo nieznacznych różnic indywidualnych, przyznać musimy, że potęgo-

wanie to powinno odbywać się z niesłychaną powolnością, przechodzącą wszelkie nasze pojęcia, skoro całe tysiącolecia nie wystarczają na wywołanie w organizmie zmian, chociażby tylko przez mikroskop dostrzegalnych. Przynajmniej szczątki wielu roślin tak doskonale zachowały się w grobowcach egipskich, że można było studyować nie tylko ich postać zewnętrzną, ale nawet budowę anatomiczną, zaś badanie takie nie zdołało wykryć jakiegokolwiek różnicy w budowie między staroegipską a teraźniejszą florą. Jeżeli zatem rozwój organizmów od czasu powstania życia miałyby odbywać się tak powoli, to nie tylko milionów, ale miliardów lat nie starczyłoby dla wytworzenia wyższych organizmów z niższych. A tymczasem wszystkie dane geologów i fizyków zgadzają się na to, że okres czasu, jaki upłynął od ustalenia się skorupy ziemskiej aż do naszych dni, może być z pewnem przybliżeniem oznaczony, jako wynoszący kilka dziesiątków milionów lat. Podobnej sprzeczności z wynikami fizyki i geologii unikniemy, skoro przypuścimy, że rozwój świata organicznego nie był ciągłym, ale odbywał się jakby skokami, czyli inaczej, że okresy energicznego tworzenia się nowych gatunków, poprzedzielane były okresami spoczynku.

W każdym okresie mutacyi dany gatunek zbliżał się coraz bardziej do obecnego stanu. Innemi słowy każdy okres mutacyi był dla niego krokiem na drodze postępu. Jeżeli więc przypuścimy, że przeciętnie na każdy okres mutacyi przypada wytworzenie się jednej właściwości, to możemy powiedzieć, że ilość wszystkich wogóle właściwości, cechująca dany gatunek, odpowiadać będzie ilości okresów mutacyjnych, jakie przebył on na drodze ewolucyi od najniższych jednokomorkowców do obecnego stanu; gdybyśmy więc wiedzieli, ile właściwości posiada dany gatunek, moglibyśmy przez to samo powiedzieć, ile etapów przejściowych zawiera historia jego rozwoju. Lecz jak obliczyć ilość właściwości, charakteryzujących jakiegokolwiek gatunek rośliny kwiatowej? Zadanie wydaje się zupełnie niemożliwem do rozwiązania wobec olbrzymiej ilości gatunków roślin i ich cech. Wszakże ogromne te liczby ulegają znacznemu ograniczeniu, musimy bowiem pamiętać, że różnice pomiędzy gatunkami polegają nie tylko na cechach odmiennych, ale i na rozmaitem połączeniu cech wspólnych całym grupom roślin. Jedne i te same cechy bowiem, n. p. suche i soczyste owoce, ułożenie kwiatów w postaci baldaszka lub koszyczka, wąsy, wijące się pędy, napotyamy jednocześnie w najrozmaitszych ga-

tunkach roślin. Nie potrzebujemy dalej przypuszczać, aby każda cecha potrzebowała dla swego wytworzenia osobnego okresu mutacyjnego, a nawet obserwacye de Vries'a nad mutacją *Oen. Lamarchiana* przeczą temu stanowczo. Istotnie nowe gatunki wieśiolka np. *Oen. lata*, *Oen. nanella*, otrzymane z *Oen. Lamarchiana*, różnią się od niego niejedną cechą, lecz całym ich szeregiem. Każdy więc okres mutacyi daje początek całym grupom cech. Taki zbiór cech, często nie nowych, lecz ugrupowanych odmiennie, musi stanowić nierozdzieloną całość, skoro we wszystkich pokoleniach danego gatunku występuje bez żadnej zmiany. Nasze cechy systematyczne, to tylko składowe elementy takiej całości, którą nazwiemy właściwością gatunkową. Bliższe określenie tej właściwości przez zbadanie praw, według których one powstają z cech, dostępnych naszej obserwacy, będzie zadaniem przyszłej morfologii. Obecnie możemy tylko zaznaczyć, że właściwości te stanowią istotę gatunku, i że liczba ich będzie bez porównania mniejszą od cech właściwych danemu gatunkowi. Nie oddalając się zbyt od prawdy, możemy liczbę właściwości każdego gatunku szacować na kilka tysięcy. Naturalnie, że gatunki niższych roślin i zwierząt mają ich mniej.

Zobaczmy teraz, czy za pomocą danych zaczerpniętych z innych źródeł, co do czasu trwania życia na ziemi, nie uda nam się nieco dokładniej oznaczyć ilość właściwości jakiegokolwiek wyższego gatunku. Liczba ta, jak wiemy, odpowiada ilości okresów mutacyjnych, które przebył dany gatunek w ciągu swego rozwoju. Oznaczmy ją przez L , przeciąg zaś czasu między dwoma następującymi po sobie okresami mutacyi przez M . Oczywiście, że iloczyn $L \times M$, przedstawiać będzie czas trwania wogóle życia na ziemi, czyli t. zw. czas biochroniczny (B). Mamy zatem zrównanie: $L \times M = B$. Jest to wszakże zrównanie o 3-ch niewiadomych. Ale spróbujemy choć w przybliżeniu je oznaczyć. Co do czasu biochronicznego, to przybliżoną jego wartość dają obliczenia fizyków i geologów. Tak Jerzy Darwin dochodzi do wniosku, że od czasu oddzielenia się księżycy od ziemi, musiało upłynąć co najmniej 50 milionów lat. Naturalnie, że ustalenie się skorupy ziemskiej nastąpiło znacznie później. Rzeczywisty wiek jej Jerzy Darwin, na zasadzie podnoszenia się temperatury w miarę zagłębiania się w ziemi, szacuje na 40 milionów lat. Dubois zaś, grubość najstarszych pokładów wapna, utworzonych ze skorupki otwornic oblicza co najwyżej na 36 milionów lat. Z drugiej strony

lord Kelwin, z uwzględnieniem wszelkich ostrożności, oblicza czas biochroniczny na 24 miliony lat. Widzimy, że liczby te wypro-
wadzone różnemi drogami są dosyć zgodne. Przyjmując liczbę
Kelwina, otrzymamy: $L \times M = 24,000.000$ lat.

Spróbujmy teraz znaleźć przybliżoną wartość M . Już wspo-
minaliśmy poprzednio, że pozostałości roślin, znalezionych w pira-
midach egipskich, uczą nas, jako flora tamtejsza w ciągu co naj-
mniej 4.000 lat nie uległa zmianie. Do podobnego wniosku prowa-
dzą nasiona i owoce, znalezione w budowlach nawodnych Szwaj-
caryi, wizerunki roślin na monetach starogreckich i rzymskich,
oraz rzadkość grup bogatych w drobne gatunki w porównaniu
ze zwykłym typem europejskiej flory. A zatem możemy, zgodnie
z naszym doświadczeniem, przypuścić, że co najmniej w ciągu
4.000 lat nasza flora żadnej nie uległa zmianie, czyli, że wartość M
co najmniej tyleż lat wynosi. Mamy więc $L \times 4.000 = 24$ milion.
czyli $L = 24$ milion./4.000 = 6.000.

Okolo 6.000 mutacyi przeciętnie więc przebyć musiał każdy
wyższy gatunek, zanim doszedł do obecnego stopnia rozwoju. Na-
turalnie wszystkie te liczby przedstawiają tylko grube przybliże-
nie, na jakie stać obecnie. Mogą one stanowić jednak podstawę
dla przyszłych podobnych obliczeń, a zarazem wskazują, że tego
rodzaju pytania nie znajdują się poza granicami wiedzy, i że
z postępem jej coraz bliżsi będziemy ich rozwiązania.

Józef Trzebiński.

ETYKA W STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH.

Mieliśmy sposobność wytknąć w ostatnim zeszycie pisma
naszego pewien objaw powrotu do ciemnych instynktów sobko-
stwa i ciasnoty poglądów cechujących przeważnie minione już
przez ludzkość w jej szczytowych warstwach fazy rozwoju; apo-
logią tych instynktów i poglądów, pokutujących jeszcze w duszach
nawpół kulturalnych lub całkiem niekulturalnych. Obecnie pra-
gnęlibyśmy zaznajomić czytelników naszych z kilku objawami
zupełnie przeciwnemi, objawami coraz to mnożącemi się wśród
myślących warstw narodów, należących do zachodniej cywiliza-
cyi, tak dalece, iż zdaje się, niebawem nadadzą piętno wybitne
całemu okresowi rozwoju, rozpoczynającego się u wnijscia do

XX stulecia. Kierunek ten można scharakteryzować jako dążenie do *umoralnienia stosunków międzynarodowych*.

Idea ta ma dwa źródła. Jedno idealne — jest nim tkwiące odwiecznie w duchu ludzkim dążenie do wytworzenia lepszych, bardziej ludzkich stosunków życia wspólnego łącznie, z naturalnym pragnieniem, rozszerzenia tych stosunków na coraz to szersze koła, pragnieniem, którego znamiennym wyrazem była idea kosmopolityczna, zawarta w chrześcijaństwie, a obejmująca wszystkich ludzi, jak o braci i bliźnich. Drugim źródłem jest potrzeba realna, coraz bardziej nagląca — wyzwolenia z klęski, jaką jest ciężar niezmierny militaryzmu, coraz to rosnący, a przygniatający życie ekonomiczne i moralne narodów, chłonący jak olbrzymi pasożyt najlepsze ich soki.

Każda wielka reforma w dziejach ludzkości wynika zwykle ze współdziałania dwóch czynników: idealnego dążenia i realnej potrzeby. Pierwsze, dopóki nie ma punktu oparcia w ostatniej, unosi się w obłocznych wyżynach, porywa za sobą lepsze jednostki, staje się ich bólem i tęsknotą, rodzi bohaterów, wytwarza utopie, lecz nie może poruszyć ciężkiej, bezwładnej rzeczywistości. Przeciwnie, potrzeby realne zaczynają od bojaźliwych, niepewnych prób myśli, czy nie dałoby się coś naprawić w stających się już naprawdę nieznośnymi stosunkach. Próby te są przyziemne, pozbawione polotu i idei ogólnej; idą po omacku, jak symptomatyczne leczenie pierwotnej medycyny, nie rozumiejącej jeszcze istoty choroby. Ale oto następuje chwila, gdy pomiędzy obu czynnikami zaczyna się zbliżenie: idealne popędy zaczynają coraz bardziej schodzić z obłoków, aby przyjrzeć się temu, co się dzieje na ziemi; a ci co się dotąd naśmiewali z utopistów i marzycieli, zaczynają czuć, że te marzenia mają jakieś pokrewieństwo z ich troską i bólem. Zaczyna się stopniowo porozumienie, a gdy dochodzi do niego, ideał, z obciętemi wprawdzie znacznie skrzydłami, znajduje urzeczywistnienie na ziemi.

Marzycielami w kierunku, o którym mowa, były wielkie duchy twórcze, a utopią ich — *wieczny pokój wśród narodów*. Ideałowi temu hołdowali mocarze, jak Jerzy Podibradzki, król czeski i Henryk IV, król francuski; myśliciele, jak Kant i Rousseau, pisarze, jak Bernardin de St. Pierre.

W wieku XIX konsekwentnie przeprowadzała myśl tę *szkoła pozytywistów*, wychodząc z założenia, że *narody są osobnikami ludzkości*. Nikt też może nie akcentował tak wyraźnie idei sprawiedli-

wości w stosunkach międzynarodowych, nikt tak śmiało nie występował z protestacyami w imię tej zasady wobec szowinizmu ciemnych mas i przesądów własnej narodowości, jak pozytywiści angielscy, podczas niesprawiedliwej wojny w Afryce południowej.

Zapatrywanie się na narody, jako na osobniki w wielkiej rodzinie ludzkości, pociąga za sobą myśl, którą znajdujemy naszkicowaną wprawdzie dosyć pobieżnie w rozprawce p. t.: *La Pologne et la paix générale* przez J. d'Outremer. Autor jej przeprowadza analogią między rozwojem prawa politycznego a prawa międzynarodowego, wykazując, że drugie przechodzi przez te same fazy rozwojowe, co i pierwsze, tylko osiąga je znacznie później. Bezgraniczna samowola ustępuje w stosunkach międzynarodowych stopniowo miejsce pewnym zasadom kierowniczym. W wiekach dawniejszych zasadą tą staje się «równowaga europejska»; w XIX wieku zaczyna przeważać zasada narodowości. Wszak niema jeszcze stu lat od czasu, kiedy żaden statek handlowy na otwartem morzu nie był bezpieczny! Ale dalszy rozwój obecnie czynnej zasady musi doprowadzić do uznania równych praw wszystkich narodowości, niezależnie od ich potęgi, bogactwa, liczby lub stopnia kultury, jak to się dzieje w stosunku do pojedynczych obywateli jednego państwa. Z drugiej strony rozszerzenie zasady dzisiejszego prawa publicznego, według której jednostka wolna jest sama obierać sobie miejsce zamieszkania i ojczyznę, stać się może miernikiem przy ocenie granic narodowości, zgodnie z tą zasadą, że o należności do pewnej narodowości nie stanowi żadna z cech zewnętrznych, lecz przedewszystkiem świadomość i wola osobnika ¹⁾.

Jednym z objawów wymienionego prądu idealistycznego jest także stowarzyszenie *Union patriotique de France pour la pacification de l'Europe et le désarmement*, założonego pod hasłem pozytywistycznym «Ordre et progrès».

Bardzo znamienne jest określenie patryotyzmu, stanowiące pierwszy punkt zasad tego związku:

«Prawdziwy patryotyzm polega na utrzymaniu naszego kraju i na usiłowaniach ku jego postępowi, *bez szkody dla dobrobytu ogólnego rodzaju ludzkiego, a przy rozwoju stosunków przyjaznych i pokojowych z innymi narodami.*

¹⁾ Ob. Nowikow: *Co to jest narodowość?* (rozbiór w «Poglądzie na świat», Nr. 11—12, r. 1900).

Podkreśliliśmy ten moment doniosły w określeniu patryotyzmu, który, jak już zaznaczyliśmy w poprzednim artykule ¹⁾, wyróżnia go od szowinizmu. W uwadze do tej zasady czytamy: «Prawdziwym więc pożądanym patryotyzmu współczesnego nie może być powiększenie swego kraju, lecz jedynie jego udoskonalenie ze stanowiska materialnego, zarówno jak intelektualnego, estetycznego i moralnego. Punkt drugi, dotyczący «bezpieczeństwa narodowego», tak jest sformułowany: «Bezpieczeństwo każdej narodowości powinno być oparte na stanowczym unikaniu wszelkiej polityki napastniczej lub drażniącej w stosunku do innych mocarstw, nie zaś na ustawicznym wzroście uzbrojeń, który może być uważany za prowokacją». Punkt trzeci, oraz następujące mają związek z grozą przejmującymi wypadkami ostatniego najeżdżu Europy na Chiny: «Żadna narodowość nie powinna czynić zamachu na niepodległość innych, ani dotykać ich posiadłości, ani mieszać się w ich politykę wewnętrzną w celach propagandy religijnej, badań naukowych, rozszerzenia handlu lub dla jakichkolwiek innych powodów». Punkt czwarty: «Ci, którzy dają pożyczki obcym rządów, powinni to czynić na własną odpowiedzialność» i t. d.

W odczycie swoim *Sur le vrai patriotisme de demain* p. Edger, sekretarz związku, wykazuje, ile każdy naród, a w jeszcze większym stopniu, każda jednostka zawdzięcza Ludzkości (pojętej w znaczeniu comte'owskim); następnie zaś tak przemawia: «często wyobrażają sobie, jakoby pojęcie Ludzkości, będąc wyższe od pojęcia ojczyzny, przez to samo już miało burzyć patryotyzm. Jest to błąd równy temu, jakim byłoby przypuszczenie, iż ojczyzna musi zburzyć rodzinę, dlatego, że jest wyższą od niej. Jedyнным warunkiem niezbędnym dla ich istnienia wzajemnego jest zachowanie ich nieuniknionego podporządkowania hierarchicznego. Jak bowiem istnienie normalne rodziny wymaga poddania się każdego z jej członków interesowi ogólnemu tej najelementarniejszej gromady, tak interes własny każdej rodziny powinien się poddawać ogólniejszym i podnioślejszym interesom ojczyzny. Tak wreszcie interes ojczyzny powinien podporządkować się pod istotę najwyższą, której stanowi część. Rodzina i ojczyzna stają się w ten sposób pełnomocnikami Ludzkości; przez ich bowiem pośrednictwo otrzymujemy cywilizację, oraz inne dobrodziejstwa, które zawdzięczamy Wielkiej Istocie (Ludzkości)» (str. 8—9). «Nie należy

¹⁾ «Pogląd na świat» za wrzesień, str. 311.

przedewszystkiem — czytamy dalej — mieszać uprawnionej miłości dla ojczyzny z egoizmem narodowym, który jest jej przeciwnością» (str. 9). «Egoizm narodowy, zwany także szowinizmem, prowadzi prawie zawsze do uczuć dzikich i ślepych, których konsekwencją naturalną jest rzeź powszechna, gdy przeciwnie prawdziwy patriotyzm prowadzi z konieczności do pokoju i zgody» (str. 14).

Te kilka myśli charakteryzują dostatecznie szlachetne dążenia Związku, będące dziś dążeniami wogóle wszystkich postępowych żywiolów w rozmaitych narodowościach.

Objawem bardzo już daleko posuniętego idealizmu jest od czasu do czasu ukazujące się drobne pisemko angielskie p. t.: *Suggestions, an Occasional Advertiser*, wydawane przez p. Arthura St. John'a. Zasadniczą myślą jego jest ta, że ludzie czynią wiele złego przez to, że sprzedają i kupują wszystko. Podstawą wymiany usług powinno być ich ofiarowanie «z dobrą wolą i wzajemnem zaufaniem» (*in good will and mutual confidence*). Wydawcy stosują tę metodę do swego wydawnictwa, rozsyłając je bezpłatnie. Zasadę tę stosują i do spraw międzynarodowych. Tak w Nrze 2 czytamy z powodu pokoju z boerami: «Tymczasem biedni boerowie złożyli broń i uznali lub twierdzą, iż uznali króla Edwarda za prawnego pana swego. I to się nazywa zawarciem pokoju! Jak gdyby pokój mógł zostać skutkiem przymusu lub gwałtu. Z pewnością pokój nie może być zabezpieczony, dopóki ludzie nie porzucą chęci narzucania woli swojej jedni drugim, oraz myśli, jakoby mogli osiągnąć jakąś korzyść własną kosztem czyimś. Gdy wszyscy pracować będziemy, pomagając sobie wzajemnie i zapobiegając potrzebom, gdy wszyscy zajęci będziemy użytecznie i usiłowania skierujemy ku dobru ogólnemu, wtedy dopiero będzie pokój»¹⁾).

Do objawów z bardziej realistycznego stanowiska wychodzących, często nieśmiałych, a liczących się z rzeczywistością, należą liczne stowarzyszenia i ligi pokojowe, związki międzyparlamentarne i t. d. Przybył do nich świeżo nowy pod nazwą *The International Union*, założony w Londynie w r. 1900. Jakkolwiek stoi on w wielu względach na *status quo* (tak np. przyjmują się do związku tylko te grupy narodowe, które mają reprezentacją

¹⁾ Zestawić to należy ze *Szkicami z nikąd* W. Morris'a, które autor ich słusznie nazwał obrazem «okresu spoczynku i pokoju».

dyplomatyczną (art. IV), a wyjątek robi się jedynie dla Norwegii i Węgier, z których pierwsza ma wspólną ze Szwecją, druga z Austrią reprezentacją); wszelako usiłuje, jak wygłasza I artykuł, «zapewnić panowanie prawdy i obronę prawa w kwestiach międzynarodowych», a w ten sposób «przyczynić się do stopniowego przeniknięcia i przewagi zasad moralności do polityki rządów». W odezwie zaś jego czytamy:

«Pokój i postęp społeczeństwa ludzkiego, oraz dobrobyt ogółu ludzkości zagrożony jest przez obecnie panującą dążność do aroganckiego lub nieumiarkowanego akcentowania interesów narodów lub rządów».

«Jako środek przeciwdziałania temu, niezbędne jest stanowcze akcentowanie wyższości interesów wspólnych całemu Ogółowi Międzynarodowemu».

Mówimy tylko o najświeższych objawach myśli i czynu w tym kierunku, bo gdybyśmy chcieli uwzględnić te, które istnieją oddawna, należałoby zaszczytne miejsce wśród nich dać instytucji *Sądu Polubownego Międzynarodowego*. Instytucja ta przyniosła nie mało owoców, zażegnała nie mało waśni międzynarodowych, a jednym z ostatnich objawów jej czynności jest załatwienie sprawy Morskiego Oka. Dalej należałoby nadmienić i «Stowarzyszenie dla poparcia sądów polubownych i pokoju» («Union for the arbitration and peace»), pracujące nad tem, aby rozwiązanie wszelkich zatargów międzynarodowych oddać w ręce sądów polubownych

Wszystkie te, coraz to mnożące się objawy, do których dołączyć wypada i zapis Nobla, oraz założenie czasopism, jak *L'Européen*, mających na celu szerzenie idei sprawiedliwości i obronę mniejszych narodowości, świadczą dostatecznie, w jakim kierunku kroczy myśl postępową współczesna. Jest więc zadaniem wysoce niewdzięcznym, a nie wróżącym nawet wielkiego powodzenia, odnawianie przestarzałych przesądów, budzenie egoizmu i nienawiści, pomieszanie pojęć patriotyzmu z szowinizmem, nadawanie aktualności tym smutnym kartom w dziejach ludzkości, nad którymi należałoby jak najprędzej zarzucić welon zapomnienia.

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Badanie — czynność zdążająca do wykrycia prawdy. «Łącznikiem pomiędzy poczuciem niewiadomości, jako punktem wyjścia samodzielnego poznania rzeczy, a zbliżeniem się do urzeczywistnienia ideału prawdy — jest *badanie*, dające się najkrócej określić, jako szukanie odpowiedzi na dręczące umysł *pytania*» (H. Struve *Wstęp*). — Hoene Wroński nazywa czynność pytającą, stanowiącą punkt wyjścia każdego badania, *la faculté du pourquoi*. «Prudens quaestio quasi dimidium scientiae» (Bacon).

Badawcza dążność umysłu jest «chęcią możliwie gruntownego wnिकięcia w składniki filozoficznych poglądów na świat, w ich zasady i przyczyny». Jest to «uzdolnienie *krytyczne*, ponieważ wyraża się w działalności rozbiorowej umysłu, nie poprzestaje na bezpośrednich danych tradycyjnego lub sztucznie wytworzonego poglądu na rzeczy, lecz domaga się usprawiedliwienia wszelkich poglądów na podstawie odpowiednio uzasadnionych dowodów» (H. Struve *Wstęp*).

Bezwładność (*inertia*) własność każdego ciała pozostawiania w tym stanie spoczynku lub ruchu, jaki mu nadany został. Inniemi słowy, żadne ciało nie może samo z siebie (bez udziału siły zewnętrznej) zmienić swego stanu. Wskutek bezwładności ciało opiera się zarówno nadaniu mu ruchu, jak i odjęciu istniejącego, a stopień tego oporu stanowi miarę zawartej w niem ilości materii. Takie oddzielenie strony czynnej od biernej w zjawisku (siły od materii) było niezbędnym momentem dla założenia podstaw mechaniki ruchu (dynamiki). Uczynił je Galileusz, twórca mechaniki nowożytnej. Myśl ta była już wszakże zawarta w pojęciu atomu (ob.) Demokryta, jako szczytowy punkt obezduchowienia materii, przeprowadzonego w pierwszych wiekach filozofii hellemńskiej.

Biofory (od βίος — życie) tak nazwał Weismann najmniejsze składniki życiowe plazmy (rodzaj atomów życiowych), które mają objawiać już wszystkie czynności zasadnicze życia: asymilacją, przemianę materii, dzielenie się. Skupienia biofor tworzą *determinanty*, z tych powstają *idy* i *idanty*, które mają być identyczne z obserwowanymi już przez mikroskop *mikrozomatami*.

Biogenetyczne prawo tak nazywa Haeckel prawo, według któ-

rego organizm w rozwoju swoim osobnikowym (*embryologicznym*) powtarza w skróceniu fazy, przez które przechodzili jego przodkowie, zanim w rozwoju *filogenetycznym* (rodowodzie) osiągnęli ten stopień, jaki obecnie przedstawia ów organizm. Tak np. zarodek człowieka w pewnych fazach ma skrzele, które następnie znikają, i w ogóle podobnym jest do wielu zwierząt niższych. Prawo to więc ustanawia jedność pomiędzy *ontogenią* (rozwojem indywidualnym), a *filogenią* (rozwojem rodowym). — Serres pierwszy zwrócił uwagę na tę zgodność embriologii z anatomią porównawczą.

Bóg — Istota najwyższa, najdoskonalsza, przyczyna wszystkich innych, sama nie mająca przyczyny i wieczna, rozum najdoskonalszy. — Pojęcie filozoficzne Boga różni się od religijnego tem, iż nie pojmuje go filozofia jako istotę osobową, na podobieństwo ludzkie pomyślaną. W ogóle zaś w filozofii istnieje dążność do pojmowania Boga, jako istoty bytującej w świecie (*immanentnej*), nie zaś pozaświatowej (*transcendentnej*). Plato nazywa Bogiem najwyższą z idei — Dobro. — Dla Arystotelesa bóstwo jest formą bez materji, pierwszą dźwignią ruchu, nie wprawianą w ruch, lecz wszystko wprawiającą. Neoplatonicy pojmują świat, jako wypływ (*emanacyą*) Boga. Dla stoików Bóg jest duszą wszechświatową (oddechem świata — *Pneuma*). W filozofii judeo-aleksandryjskiej Bóg jest pozaświatowy, a styka się z materją przez pośrednictwo sił (aniołowie judaizmu). Ten pogląd legł w osnowie chrześcijańskiego. U Kartezjusza Bóg staje się pośrednikiem między duszą a ciałem; Malebranche nazywa go «miejscem duchów». Spinoza pojmuje go jako świadomość, czyli duchową stronę wszechświata (*panteizm* [ob.], *Deus sive Natura*). Rzec można, iż tu osiąga się szczytowy punkt w filozoficznym pojmowaniu Boga. U Leibniza Bóg jest najwyższą monadą. Dla Kanta — jednym z «idealów rozumu». Fichte nazywa Bogiem moralny porządek świata (*Ordo ordinans*). Schleiermacher, zgodnie ze Spinozą i Schellingiem nazywa Bogiem tożsamość myśli i bytu.

Boski świat (Trentowski) jest *kogarzeniem* (ob.) przeciwieństw: świata *realnego* (któremu hołdował przeważnie szczep romański), oraz *idealnego* (przedmiot zajęcia szczepu germańskiego). Miała go odsłonić filozofia polska i w ogóle słowiańska. W średnich wiekach Bóg był pozaświatowy, był przedmiotem wiary; Spinoza przeprowadził go w świat, a filozofia nowożytna uczyniła zeń czystą myśl, ideę, utwór umysłowy. Feuerbach przeprowadził go w istotę człowieczeństwa. Według Trentowskiego *Bóg jest za swia-*

tem (jako jego stwórca), w *świecie* (jako wieczne słowo boże) i w *pierśiach człowieka* (jako technienie boże, czyniące człowieka podobieństwem bożem). Organem poznania świata boskiego jest *mysł* (ob.).

Bożyszcza ob. *idola*.

Bożo - obrazowość (Trentowski). Z trzech faz rozwoju dyalektycznego ducha osobowego: *osobistości*, *bożo-obrazowości* i *jaźniowości*, środkowej odpowiada etyka.

Bożostan — tak nazywa Trentowski drugie wyższe kojarzenie bytu (twierdzenie) i nicstwa (przeczenie) — pierwszym jest *żywostan* (ob.). «Ontologiczny byt przetwarza się w kosmologiczny jaw, ten zaś w pneumatologiczną prawdę. Pierwostan przedzierzga się w żywostan, a ten w bożostan. Przedświat staje się światem, a ten pozaświatem» (*Panteon* II, 307). «Ponieważ boskość jest wszędzie ostateczną podwaliną, przeto bożostan jest ostatnią kategorią prawdy» (*Mysłini*, str. 159). — Naukami żywostanu czyli biotyicznymi w jego klasyfikacji (w *Chowannie*) są: pedagogika, administracja, polityka, strategia; *bożostanu* czyli historycznymi: propedeutyka historyczna, historia, historyografia. — W *Panteonie* historia (z temi podziałami) stanowi trzecią część *humanistyki* (ob.).

Braidyzm toż samo co hypnotyzm. Pochodzi ta nazwa od doktora Braid, który usypiał pacjentów, każąc im przyglądać się przedmiotom świecącym i opisał szereg objawów hypnotycznych. Dzieło jego *Neurypnologia* ukazało się w r. 1843.

Buddyzm systemat religijno-etyczny założony w VI wieku przed Chr. przez Sakia-Muni'ego czyli Buddę (oświecony, mędrzec). Istotą doktryny jest twierdzenie, że źródłem złego jest *wola do życia* (tanhà), objawiająca się we wszechświecie i nadająca mu charakter nierozumu, błędu, cierpienia, uludnej znikomości (samsaro). Zbawieniem i celem mędrca jest *nirwana*, stan wygaśnięcia wszelkich namiętności i dążeń, obojętności umysłu i serca. «Mędrzec zatapia się w nirwanę, w wieczny spokój, nie pragnie nawet szczęśliwości niebios; większość zaś ludzi bezmyślnie błądzi nad brzegami nirwany». — Buddyzm posłużył za pierwowzór do współczesnego *pesymizmu* (ob.).

Byt — to co istnieje, jako przeciwstawne temu, co się myśli, lub też najogólniejsze pojęcie, obejmujące wszystko rzeczywiste. U filozofów starożytnych przed Sokratesem byt znaczy toż samo co *pełnia* (która była pojęta cielesnie-duchowo — *πλέον*); niebyt — to próżnia (przestrzeń). Eleaci twierdzili, że tylko byt istnieje, wszelka zaś zmiana jest pozorem. Przeciwnie, Heraklites mówił, że nic trwa-

łego niema, są tylko zjawiska («wszystko płynie»). Atomiści po-przegradzali pełnię (byt) próżnią (niebytem) i wyrugowali stany wewnętrzne (psychizm), a w ten sposób otrzymali *atomy* (ob.). U Platona tylko *ideje* (ob.) są bytem, widome rzeczy — złudzeniem. U nowszych idealistów — bytem jest duch poznający, świat cały — jego wyobrażeniem (ob. *monada*). U Kanta bytem jest *rzecz w sobie* (*noumenon* ob.). Materyalizm widzi byt tylko w materii (rozdrobionej, jak u atomistów starożytnych lub ciągłej), fenomenizm zbliża się do poglądu Heraklitesa, przyznając rzeczywistość tylko zjawiskom (ob.). «Najogólniejszem pojęciem umysłu ludzkiego, obejmującym wszystkie najróżnorodniejsze *przedmioty* wiedzy, całą przedmiotowość (ob.) czyli objaktywną realność, jest *byt*. Wszelka wiedza dotyczy w ten lub inny sposób bytu, ma za przedmiot tę lub ową stronę jego, tę lub ową własność, ten lub ów objaw jego, t. j. wszelki przedmiot wiedzy jest bytem, rozpatrywanym pod tym lub owym względem» (M. Struve, *Wstęp*).

Całka (w matematyce) — suma nieskończenie małych wielkości (przyrostów) połączonych z sobą w sposób ciągły (ob. *ciągłość*).

Całkowanie = *integracja*. W matematyce — czynność, przez którą otrzymuje się suma nieskończenie małych, a sposobem *ciągłym* (ob.) jedne w drugie przechodzących *różniczek* (ob.). W filozofii Spencera *całkowanie* jest obok *różniczkowania* momentem rozwoju czyli postępu, który polega na różniczkowaniu pierwotnej, nieokreślonej jednorodności, oraz na późniejszym jej całkowaniu, czyli na rozkładzie (wytworzeniu różnorodności) i skupieniu skutkiem, którego powstają w końcu najwyższe formy życia.

NOWE KSIĄŻKI.

Karol Woerman: *Czego nas uczą dzieje sztuki?* Przekład Jana Kasprowicza z przedmową Prof. Dra Bołoz-Antoniewicza. Wydawnictwo «Wiedza i życie». Lwów, Nakład Altenberga, 1902, str. 202.

W dziele swem, autor zajmuje się wyłącznie tylko malarstwem, jako sztuką, stanowiącą według słów jego, sztukę terażniejszości, a przytem najwyraźniej ze wszystkich sztuk plastycznych, odzwierciedlającą najsubtelniejsze przemiany historyczne, dzięki temu, iż posiada najrozleglejsze pole przedstawiania zjawisk, a także najróżnorodniejsze potrzebne do tego środki. Na podstawie przykładów zaczerpniętych z dziejów sztuki, wyjaśnia autor, w czem kryje się i na czem się opiera prawdziwa wartość wieczystych, wzorowych arcydzieł, bez względu na temat i sposób wykonania. Polega ona na promieniującym z nich rodzimym i współczesnym pierwiastku, oraz na niepochwytnem, a jednak nieśmiertelnem piętnie samoistnego, twórczego ducha. Wszyscy nieśmiertelni mistrze byli jak najściślej zrośnięci z duchem swego narodu i swego czasu, a przytem posiadali wybitną indywidualność duchową, nadającą ich pracom im tylko właściwą odrębność. Mają oni swój własny sposób pojmowania i są zawsze samymi sobą, czy w dziełach ich przeważa natura, czy też wyobraźnia. Wielcy, samodzielni artyści, bez względu na zewnętrzne wpływy i modne prądy, pozostawali zawsze wiernymi synami swej ojczyzny i epoki, i dlatego to są uznawani za wielkich przez potomność. Mengs i Dawid np. gwiazdy kierunku modnego w końcu XVIII wieku ślepo naśladowniczego, klasycystycznego, poszli dziś w zapomnienie, gdy Watteau zawsze nęci i przykuwa do siebie, będąc w swej sztuce mistrzowskim wyrazicielem życia oraz ducha współczesnej mu epoki. «Natomiast, robi uwagę autor, nie daliśmy nigdy temu wiary, gdybyśmy nie widzieli tego od czasu do czasu na wystawach, że u schyłku XIX wieku, w chwili, gdy ulice miast tętnią od kroków potężnych tłumów robotniczych, mogą istnieć utalentowani artyści, z całą zapalczywą powagą zasiadający do malowania obrazów, w którychby jak najwierniej, pod względem treści i formy odżyła na nowo epoka Watteau. Jest to służyć jakiemś archaizującemu kaprysowi, albo czynić zadość bezwładnym obstalunkom mody i z otwartemi oczyma zrzekać się samodzielności

artystycznej, a tem samem trwania w dziejach sztuki». — Znaczną część książki p. Woerman poświęca współczesnej sztuce niemieckiej i jej wybitniejszym przedstawicielom; zaznaczywszy dwa odmienne, równoległe obok siebie idące kierunki: naturalistyczny i fantastyczny, na czele pierwszego stawia Adolfa Menzla, na czele zaś drugiego — Arnolda Boecklina; za mistrza sztuki rylcowej uważa Maxa Klingera.

Wogóle, przyznając młodym artystom niemieckim samoistność i oryginalność, wyraża zdanie, że sztuka niemiecka ostatnich lat dziesięciu będzie uważana przez potomność za sztukę epoki przejściowej, gdyż pomimo świeżości i różnorodności nowych prądów, wydała ona zbyt mało dzieł zupełnie wykończonych i wszechstronnie dojrzałych. — «Wielką zasługą książki Woermana, mówi w swej przedmowie Prof. Boloż-Antoniewicz, jest ta, że autor stał się w niej (choć ograniczając się tylko do sztuki niemieckiej) wymownym rzecznikiem sztuki współczesnej, gdyż jej poznanie u pojedynczych narodów daje co najmniej równe korzyści, równie jasny obraz najrozmaitszych prądów i instynktów, jak znajomość współczesnej literatury «pięknej», znajomość tak rozpowszechniona, a nieraz w sądach tak pobłażliwa. Powiem więcej: dziś znowu nastały czasy, kiedy myśl tworzy swobodniej, niezależniej, śmieiej w malarstwie i rzeźbie, niż w poezyi i muzyce. Poznawanie sztuki współczesnej jest więc jednym z pierwszych postulatów głębszego wykształcenia. Sądziłbym nawet, że gdzie nie chodzi specjalnie o naukowe objęcie całokształtu sztuki w jej dziejowym rozwoju, ale o poznanie jej duchowych i psychicznych walorów, wszelkie studia artystyczne powinny się zaczynać od sztuki współczesnej». — Co do zalet przekładu, świadczy o nich najlepiej samo nazwisko tłumacza. Dla literatury naszej, dość ubogiej w oryginalne i tłumaczone dzieła, traktujące o sztuce, przyswojenie książki Woermana jest cennym i pożytecznym nabytkiem.

J. S.

H. Struve: *Wstęp krytyczny do filozofii czyli rozbiór zasadniczych pojęć o filozofii*. (Wydanie trzecie). Warszawa, 1903, nakładem autora, str. 780. — Cena 3 rs.

Szybkie ukazanie się tego trzeciego wydania po drugim (w r. 1898) świadczy o tem, że użyteczne i gruntowne to dzieło nie leżało odłogiem. Autor poświęca nowe wydanie «Młodszym miłośnikom nauki krytycznej», a w tej dedykacji streszcza się zasadnicza myśl całej, blisko 40-letniej pracy autora na polu pedagogiczno-filozoficznym: miłość dla młodzieży i chęć wpojenia jej zasad i metody myślenia krytycznego zarówno przeciwnego dogmatikom negacyjnym, jak i ślepej wierze w tradycje. To też czytamy we wstępie do tego wydania: «Za jeden zaś z głównych środków pomocniczych w kierunku rozbudzenia studyów filozoficznych, poczytując zdemaskowanie owego powierzchownego dyletantyzmu filozoficznego, który swą niechęć do poważnej, prawdziwie krytycznej pracy myśli zasłania tak często wygodną uległością dla negacyjnych prądów czasu bez ich przedmiotowego rozbioru. Tymczasem dopiero taki przedmiotowy rozbiór owych prądów, jak i w ogóle wszelkich dążności umysłu ludzkiego, może nas doprowadzić do krytycznej oceny ich istotnego znaczenia i wyzwolić nas z więzów jednostronnego subiektywizmu, przyjmującego ślepo, na wiarę te lub owe popularne poglądy».

Nowe wydanie urosło o 30 stron w stosunku do poprzedniego przez

uwzględnienie nowych książek i myśli z literatury swojej i obcej; bogactwo bowiem wskazówek bibliograficznych, czerpanych przez autora przeważnie z bogatej skarbnicy Muzeum Brytańskiego, niemniej jak z pilnego śledzenia za każdym nowym zjawiskiem w literaturze krajowej, stanowi jedną z najcenniejszych zalet tej książki. Pod względem planu i wykonania jest ona również jedyną w literaturze powszechnej. Chociaż bowiem liczne «wstępy», zaczynając od paulsenowskiego, a kończąc na świeżo przez p. Wundta wydanym (obecnie pod prasą w przekładzie polskim), ukazały się po niemiecku w ciągu ostatnich lat kilku, to żaden z nich nie jest tak szeroko i wy-czerpująco pomyślany, żaden nie uwzględnia tak wszechstronnie i obszernie stosunku filozofii do rozmaitych zakresów życia jednostkowego i ogólnego jak ten, o którym mowa. Na tem też polega szczególna doniosłość jego dla wykształcenia ogólnego.

W. M. K.

Dr Ludomir German: *Przegląd dziejów literatury powszechnej*. Tom I. Starożytność (Lwów, 1901, str. 248). — Tom II. Wieki średnie (tamże, 1902, str. 173). Nakładem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Równoległe z obszernymi opracowaniami Dziejów literatury powszechnej, które albo raptownie zostały urwane, albo też znajdują się dopiero w samych początkach, ukazują się krótkie zbiory, zaznajamiające z najglówniejszymi przynajmniej objawami twórczości wszechludzkiej. Niektórzy patrzą z góry na zbiory podobne, jako nie odpowiadające wymaganiom «ściślej nauki». Nie podzielam tego mniemania; w zasadzie bowiem uważam prace takie za środek przygotowawczy do lepszego dokładniejszego poznania piękna w kształtach słowa. A nadto są przecież ludzie, nie mogący poświęcać zbyt dużo czasu na studia szczegółowe literatury powszechnej, a pragnący mieć o jej rozwoju choć jakie takie ogólne pojęcie. Kiedy się zważy, jak mało u nas są czytane wielotomowe dzieła, choćby nawet tyczyły się historii Polski; to się raczej cieszyć należy z pojawiania się zwięzłych kompendyów niż je wydrwiwać.

Idzie głównie o samo ich wykonanie, t. j. o układ i wykład, o wybór tego, co jest naprawdę znakomitem i godnym poznania, oraz o umiejętne zaznajomienie z tak wybranymi przedmiotami. Czy książka p. Germana, powyżej z tytułu przywiedziona, czyni zadość tym wymaganiom? Biorąc rzecz ogólnie, nie można się wahać z odpowiedzią twierdzącą. Autor zna wyniki badań krytycznych najnowszych, a chociaż niezawsze za nimi idzie, hołdując tradycyjnemu sposobowi przedstawiania jakiejś sprawy literackiej, nie czyni tego zbyt często i nie odbiera swej książce cechy współczesności. Wyboru dzieł, nad którymi utrzymuje się dłużej, dokonywa trafnie; tylko czasami niepotrzebnie szafuje nazwiskami pisarzy podrzędnych, których w tak krótkim podręczniku śmiało można było pominąć. Nie dotrzymał wprawdzie obietnicy złożonej w przedmowie, że «zwięzłej poda obraz tych epok i tych gałęzi literatury, które obejmuje zwykle plan naukowy»; ale tem lepiej, bo czytelnicy zyskali na tem obszerny i z widocznym zamilowaniem przeprowadzony rozbiór dramatu greckiego. Mówi bardzo jasno, przystępnie, w górnolotne frazesy się nie wdaje; szkoda tylko, że za często popada w zaniedbanie stylistyczne, czasami aż rażące. Mniej jest szczęśliwym w uogólnieniach, mianowicie we «Wstępie», gdzie trzeba było podać określenie poezji i jej za-

kresu. «Podniosłość treści — czytamy tu — i niezwykłość formy, oto dwie główne cechy tych utworów ducha ludzkiego, na których wycisnęła swe piętno wyobraźnia, nazywamy je poezją». Określenie to bardzo zdawkowe. Każdy czytelnik, doszedłszy w książce p. Germana do ustępu wystawiającego piękność piosnek Anakreonta, zapytać go może, gdzie on tu dojrzał «podniosłość treści»; a potem przy każdym liryku lekkim, światowym ponawiać będzie to samo pytanie i nie znajdzie na nie odpowiedzi w definicyi poezyi, podanej przez autora. Podobnież trudno chyba przyjdzie p. Germanowi usprawiedliwić przy wykładzie najnowszego np zwrotu poezyi, twierdzenie wypowiedziane we «Wstępie», jakoby używanie «symbolów» znamionowało głównie epokę dawniejszą rozwoju poezyi, gdy później ono «ustaje lub ogranicza się znacznie». Lepiej podobno było zaznaczyć wielką różnorodność objawów ducha, posługującego się najrozmaitszemi środkami idealistycznymi i realistycznymi, symbolicznymi i jednostkowymi, by wyrazić swe pojęcia, wrażenia, uczucia, pomysły.

Wiadomą zresztą jest rzeczą, iż uogólnienia, określenia należą do czynności umysłowych najtrudniejszych, jeżeli mają uczynić zadość ścisłości praw logicznych. Nie bądźmy więc zbyt surowi w ich ocenie. Zastanówmy się trochę nad szczegółami w książce p. Germana.

Starożytność obrobił autor w sześciu rozdziałach, najwięcej miejsca poświęcając oczywiście Grecyi, zwłaszcza zaś liryce i dramatowi, gdy epos trochę zanadto krótko traktował. W «Rzucie oka na literaturę narodów najodleglejszych», przy Indyach stosunkowo najdłużej się zatrzymał: wobec jednak dzisiejszego zainteresowania się tym przedmiotem, nie można poczytać za całkiem zadawalające to, co tu znajdujemy. Przytem jakaś dziwna nieuwaga każała autorowi dźwięk sanskrycki, wyrażony w dziełach naukowych przez *c* z ogonkiem (*ç*) oddać przez *k*: Akwiny, Dakarata (zamiast Aswiny, Dasarata). Podobno ów dźwięk odpowiada polskiemu *ś* (a może: *ś*?). Taki szczegół podkopuje wiarę w trafności transkrypcyi innych, jeszcze mniej znanych nazw.

W opowiadaniu o literaturach średniowiecznych razi umieszczenie Macphersonowego Ossyana oraz Krółodworskiego rękopismu w epokach odległych, jakby to były autentyczne ich zabytki. Pan German zna i przytacza wyniki badań krytycznych, które wykazały, że owe utwory wcale nie są autentycznymi; mimo to przytacza z nich wyjątki, jako niby świadectwa twórczości czasów zamierzchłych. I dlaczego tak robi? Co do Ossyana dlatego, że Macpherson «tło cywilizacyjne wziął niewątpliwie z starodawnych podań, żyjących w *rękach* (!!) ludu, że wiadomości o czynach i zdarzeniach są niewątpliwie autentyczne, a nareszcie, że pod powłoką nowoczesnego nastroju łatwo znaleźć można ów głęboki smutek, owo bezgraniczne uwielbianie święniejszej przeszłości, które zamierający naród zamknął w swych pismach». Ależ na inocy podobnego rozumowania możnaby utwór Wiktora Scheffla p. t.: *Ekkehard*, napisany w połowie XIX wieku przenieść do wieku X-go, który się w nim tak znakomicie odzwierciedla, gdyż powieść ta ma tło cywilizacyjne, wzięte z dokumentów, wiadomości o zdarzeniach w niej zawarte są autentyczne, a pod powłoką nowoczesnego nastroju odnajdujemy znamienne cechy ludu i stosunków z czasu, kiedy powstała pieśń o Walterze z Akwitanii..

Co do «Krółodworskiego rękopismu», rozumowanie p. G. jest jeszcze krucho i niewłaściwsze. «Jakkolwiek zdaje się — mówi on — że Hanka, za-

chęcony odkryciem Słowa o pułku Igora u rusinów, zapragnął stworzyć i dla swego narodu taki zabytek, a brał nieogłędnie całe zdania i zwroty z ruskiego poematu; jednak zaprzeczyć nie można, że te *zabytki* odwiecznej przeszłości czeskiego narodu, pomniki starej sławy, długich walk, krwawych zapasów i *ślady* rodzimej cywilizacji ożywiły samopoczucie narodu i powołały go do nowego życia — oczywiście w wieku XIX. To argumentowanie przemawiałoby (po wykreśleniu «zabytków» i «śladów», jako niestosownych wobec falsyfikatu) za tem, żeby «Króloworski rękopism» pomieścić właśnie w stuleciu XIX, dla wykazania wpływu, jaki wywarł na ożywienie «samopoczucia narodu».

Przedstawienie literatury średniowiecznej dwie ma wady główne: nie daje poznać ducha filozofii scholastycznej, chociaż robi ku temu przygotowania w obrazku cywilizacji arabów hiszpańskich, i nie obejmuje twórczości Dantego. Pierwszy brak nie dozwolił autorowi wystawić należycie zwrotu allegorycznego w poezji średniowiecznej, a drugi sprawił, że książka jego wygląda, jak gmach bez kopuły.

Dante był niewątpliwie «zwiastunem» nowej humanitarnej doby rozwoju, lecz przedewszystkiem jest najdoskonalszym przedstawicielem średniowiecza; miejsce więc jego właściwe nie na progu okresu nowego, lecz na szczycie dawnego.

Nie można niestety twierdzić, żeby książka p. G. odznaczała się poprawnością wydania; błędy spotykają się nawet w nazwiskach i tytułach — więc tam, gdzie ich zgola być nie powinno. P. Chmielowski.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— „Biblioteka Warszawska“, październik. *Dwugłos* p. Elizy Orzeszkowej i p. J. Romskiego. Świetny i barwny język, prześliczny opis puszczy Białowieskiej oraz prawda psychologiczna i głębsza tendencja, cechująca wszystkie utwory Orzeszkowej, stawiają szkic ten w rzędzie jej najlepszych dzieł ostatniej doby. Dalszy ciąg *Pamiętnika generała Weyssenhofa* zawiera między innymi szczegółami opis bitwy pod Grochowem, kapitulacji Krakowa i podstępnego wydania miasta przez austriaków rosyjanom. Pamiętnik swój kończy autor rzutem oka na ówczesny pogląd polaków na sprawę Francji i stanowisko Napoleona, jako sprzymierzeńca Polski; p. J. Kallenbach daje garść *Wspomnień o Mickiewiczu* z jego lat dzieciennych życia w Nowogródku; p. Rakowski w rozpoczętej pracy o *Wychodźstwie polskiem do Niemiec* dzieli emigrantów na kilka odrębnych typów: 1) typ robotnika stale mieszkającego w Niemczech, zatrudnionego w przemyśle, 2) typ rzemieślnika, zaludniającego przeważnie wielkie miasta oraz służby żeńskiej, wychodzącej na zarobek do Niemiec; 3) typ robotnika rolnego, sezonowego t. zw. obieżysasów, którzy gromadami wychodzą do Niemiec na roboty wiosenne i letnie, późną jesienią dopiero wracając do kraju. Dzieje wychodźców, których liczba zwiększa się ciągle skutkiem wzrostu przemysłu i militarizmu w Niemczech, powodującego

znaczniejsze od lat 30 zapotrzebowanie robotnika, autor maluje silnie i z wielką znajomością omawianych stosunków. — Terytoryalne wychodźstwo polskie dzieli na trzy wielkie grupy: 1) Westfalia i prowincye nadreńskie; 2) Saksonia i prowincye saskie Prus: Brunświk, Anhalt, Hanower, Meklenburg, Oldenburg i położone między temi krajami części Prus; 3) Wielkie miasta całych Niemiec. W Westfalii, obejmującej grupę pierwszą autor podaje liczbę wychodźców na 180.000 głów. Biorąc liczbę istniejących w koloniach towarzystw za probierz, wskazujący stan ekonomiczny, etyczny, narodowy i intelektualny każdej z wymienionych grup, uważa Westfalią za przodującą niejako w tym kierunku. Ignacy Chrzanowski kończy studyum o *Gracyanie Piotrowskim i jego satyrze*, podnosząc znaczenie autora jako moralisty i obserwatora objawów życia społecznego. Wł. Bogusławski kreśli *Kronikę teatralną*. Dział piśmiennictwa zawiera krytykę pamiętnika gen. Kolaczkowskiego, dzieła Żuławskiego: «Spinoza. Człowiek i dzieła» i ocenę utworów Reymonta. Kronika miesięczna i wiadomości naukowe dopełniają zeszytu.

Z. N.

— „Krytyka“, październik. Zeszyt ten zapelniony jest cały artykułami o p. Konopnickiej: *Hołd poetce* przez F.; *Ideje społeczne w utworach jej* przez K. Radosławskiego; *M. Konopnicka jako nowelistka* przez L. Belmonta; *Motywa filozoficzne w poezjach Konopnickiej* przez W. M. Kozłowskiego; *Z literatury o Konopnickiej* przez X.; *Liryka Konopnickiej* przez J. Lorentowicza; *Kwestya kobieca w jej poezjach* przez K. Krauzę.

— „Humanité Nouvelle“, październik. Wstrzymane przez 19 miesięcy wskutek procesu z wydawcami, o którym w swoim czasie donosiliśmy, wydawnictwo to rozpoczyna się nanowo. Sprawa jest jeszcze w kasacyi; ale redaktor p. A. Hamon nie czekając na jej zdecydowanie, odwołał się do przyjaciół i środki na prowadzenie pisma znalazły się żywo. Oby u nas tak być mogło. Redaktor zaczyna od przypomnienia zasady pierwotnej wydawnictwa, wygłoszonej w r. 1900. *H. N.* różni się od wszystkich innych wydawnictw tem, że pozostawia zupełną swobodę opinii i niezależność przekonań autorom, którzy sami tylko są odpowiedzialni za swoje prace. Wychodząc z przekonania, że prawda wytryska z zetknięcia się rozmaitych zdań, pozostawia swobodę wszystkim. Prawda jest zmienna; dzisiejsza prawda będzie błędem jutro. Przytem kto może być pewnym, że ją posiada? Roztropniej więc mówić z Montaigne'em: «kto wie?». *H. N.* jest «stowarzyszeniem wolnem pisarzy niezależnych, wyrażających swoje opinie osobiste z zupełną swobodą».

Artykuły obecnego numeru są następujące: Th. E. Will o *Trustach*. Ciekawe to studyum o owych potworach ekonomicznych Stanów Zjednoczonych, napisane profesora w Ruskin College w Trenton (Mo). Przyczołwszy potworne koncentracje kapitałów w tych syndykatach (powtórzymy niektóre: Beef Trust 100,000.000 dol; Anthracite Coal Trust 150,000.000 dol.; Atlantic Passenger Steamship 100,000.000 i t. d.), autor zastanawia się nad środkami ich zwalczania; nie widzi innych, jak tylko wchłonięcie ich przez państwo. Niech syndykaty przemysłowe zostaną tem, czem jest dziś poczta Stanów Zjednoczonych, a z siły szkodliwej staną się dobroczynną. «Trusty są dobre dla tych, kto do nich należy; niechże wszyscy staną się ich współnikami». V. E. Michellet *Sonety*. — Diplomaticus roztrząsa *Kwestyę wojskową w Finlandyi i w Rosyi*.

Nowela pod tytułem *Otechlań* przez L. Andrejewa (przekład z rosyjskiego). — Dwelshauvers rozpoczyna artykuł o *Ideji prawa w psychologii*. M. Sembat poświęca artykuł *Sytuacji politycznej obecnej we Francji*. — J. Coucke robi studjum psychologiczne nad *wystawą dawnych mistrzów flamandzkich*, która miała miejsce b. lata w Brugges. — Staranny przegląd książek w rozmaitych językach zamyka zeszyt; za dodatek służy memoriał o zatargu pomiędzy redaktorem a dawnym wydawcą, firmą Schleicher frères. W. M.

— „*Mercure de France*“, wrzesień: Pierre Quillan *Les Phéniciens et l'Odysée*. Francis Jommes *Le roman du lièvre*. Virgile Jozz *Watteau des Porcherons à la Comédie Française*. Charles-Henri-Hirsch *M. des Boufflers au clavecin*. Rémy de Gourmont *Les funérailles du style (VIII—XIII fin.)*. Paul Fort *Les hymnes de feu*. Paul Léantaud *Le petit ami — roman*. *Revue de mois*. W dziale o literaturze polskiej, p. Jan Lorentowicz oprócz przeglądu czasopism i wykazu ostatnich nowości literackich, daje obszernie charakterystyki pp. A. Langego i W. Feldmana. P. Langego nazywa «najbardziej być może skomplikowanym pisarzem współczesnym». Podziwia w jego utworach rozmaitość formy, głębę poruszanych kwestyj, niesłychane bogactwo i ekspresję wyrażań, nadające im «pozory nateżonego, pełnego rzeczywistej potęgi życia» — pozory tylko, gdyż zarzuca mu dalej sztuczność, brak szczerości i daru bezpośredniego odczuwania. Źródło tych braków upatruje w tem: «że nawet w chwilach, gdy widowisko życia napelnia mu serce wzruszeniem, a oczy łzami, p. Lange rzuca się do kart jakiegokolwiek filozofii, by się dowiedzieć, co «Księga» mówi o przedmiocie, który potrafił go wzruszyć. Indywidualność jego całkiem refleksyjna, jest wytworem czterech składników połączonych z sobą czysto mechanicznie; sztuka specjalnie francuska, ślepo naśladowująca metodę i sposoby swych wzorów; język polski dziwacznie urobiony i ukształtowany; dusza nakoniec doskonałe kosmopolityczna, przyswajająca z jednaka łatwością wytwory najróżnorodniejszych cywilizacyj. — Całej tej mieszaninie brakuje organicznej jednolitości, wypływającej z rzeczywistego odczucia. Dalej krytyk zaznacza przemiany, przez jakie przechodziła twórczość poety; wspomina o jego młodzieńczych, idejowych utworach, wyśpiewanych w Paryżu, gdy był bardem nowych idei «wśród gromadki bohaterkich idealistów», następnie mówi o jego pielgrzymkach po parnacie francuskim, które «wynarodowiły go na zawsze». Poeci francuscy oczarowali go aż do utraty własnej indywidualności, tłumaczy ich lub kopiuje po polsku; najulubieńszym poświęca apologie skromnie zatytułowane: «*Studia z literatury francuskiej*». «Wkrótce poezja francuska przestaje mu wystarczać, odbywa więc estetyczną wędrówkę po całym świecie, uczy się wszystkich języków, aż do nowo-zełandzkiego i polinezyjskiego, i upaja się ich legendami na równi z poezjami Edgara Poe'go. Dziwnem jest, że p. Lorentowicz, wyliczając różne, zwracające jego uwagę z rozmaitych przyczyn utwory p. Langego, ani słowem nie wspomina o *Holendrze latającym*, jednym z najlepszych utworów poety; za to bardzo pochlebnie odzywa się o pięknym poemacie *Venus żebaczka*, «gdzie biała bogini zstępuje na ziemię, przebrana w lachmany nędznej prostytutki, zwiedza ubogie izby i szynkownię, a oburzona ogromem napotykaną nędzy, zapowiada okrutną zemstę, obiecując udreć i wyniszczać bogaczy i możliwych zgubną namiętnością, którą w nich roznieci. Poemacik ten miewa bole-

sne i potężne akcenty, dające się u p. Langego słyszeć w rzadkich tylko chwilach, gdy życie porywa go pomimo jego własnej woli. Co do miłosnych poezyi, p. Lange napróżno usiłuje mówić nam o miłości, «tej duszy liryzmu ludzkiego», ku której kroczy z prostotą neofity, w białej szacie, by uspić naszą nieufność i zmusić do uwierzenia, że kochał prawdziwie; wszystkie te pełne wdzięku, wygładzone pieścidełka nie przemawiają do serca. Niewieście postacie przepelniające miłosną literaturę wszystkich dawniejszych i dzisiejszych ludów, jak gdyby różnobarwną zasłoną kryją przed poetą oblicze ukochanej kobiety. Kochał przede wszystkim dlatego, że miłość daje powód do tworzenia pięknych frazesów, a piękny frazes, Słowo, Logos, jest dlań jedynem bóstwem; na cześć jego zbudował kilka olśniewających, poetyckich przybytków, jak *Pieśń o Słowie*, *Słowo i Liczba*, a głównie nadzwyczajny poemat o *Rymie*, niezaprzeczone arcydzieło prozodyczne, do którego z bezprzykładną łatwością wprowadził kilkaset rymów zupełnie nieznanych dotąd w Polsce. Z całego tomu szkiców literackich p. t.: *Studia i wrażenia*, zawierającego niestrudzone poszukiwania nad istotą i funkcjonowaniem gieniuszu, niech czytelnik zapamięta przytoczone w tem dziele zdanie Deotymy: «Najbardziej natchnionym ten byłby, ktoby poznał zagadkę natchnienia». W Exegi, finale swych poezyi, p. Lange zwiastuje nam dla siebie nowe życie, nową fazę swych natchnień poetyckich. «Miejmy więc nadzieję, mówi krytyk, ujrzeć nowe życie tego nadzwyczajnego świata, usłyszeć o rzeczywistej radości, rzeczywistych smutkach i miłości, zobaczyć prawdziwe niebo i gwiazdy... nie papierowe!» P. Feldman, nazwany przez p. Lorentowicza, utalentowanym pisarzem i wybitnym publicystą, stanowi z p. Langem prawdziwy kontrast. Do niego przemawia najsilniej treść życia szerokiego, niezależnego, prawdziwego; tęsknota za niem, wyrwa go z pilnie strzeżonych przez tradycję więzów rodzinnych i plemiennych a rzuca w świat szeroki. P. Feldman spędził dzieciństwo pod dachem ubożego, malomiasteczkowego domku i w nędznej, ogłupiającej systemem nauczania szkółce żydowskiej. Dopiero w 14-tym roku życia poznał jako tako język polski i wtedy opuścił swą wioskę, z sercem pełnem entuzjazmu dla ludzi; wtedy to rozpoczęło się jego rzeczywiste wykształcenie, poza obrębem szkół, których nie znał nigdy. Pierwszy jego utwór literacki *Żydziak* wzbudził żywe zainteresowanie. Lecz walka, partye i grupy polityczne, organizowanie ciemnych mas, z których sam wyszedł, entuzjazmują go na równi z pracą literacką. Ten podział energii zaszkodził jednak jego natchnieniu i drugi utwór p. F. *Piękna żydówka*¹⁾ ustępuje pierwszej próbie co do świeżości i wdzięku; oprócz tego pisuje do czasopism i przeglądów piękne szkice, zajmuje się kierownictwem pisma, zwiedza Europę i powraca do walki z większym jeszcze zasobem energii. Pisze nowele, bajki, powieści, żaden jednak z późniejszych utworów nie miał tego powodzenia co pierwszy. Teatr nęci go także: w zeszłym roku wydał dwa dramaty, zdradzające poważny dramatyczny talent. Pomimo gorących przekonań politycznych, nie jest on suchym doktrynerem, kocha życie i piękno. Dowodzi tego starannem kierownictwem «Krytyki» i ostatnią, najważniejszą pracą: *Dwadzieścia lat literatury polskiej*. Dzieło to nadzwyczaj przyjemne w czytaniu, ujmuje szczególnie swą specjalną metodą. P. Feldman uważa literaturę za żywą istotę, która pomimo różnorodności swych

¹⁾ *Piękna Żydówka* poprzedziła *Żydziaka* w rzeczywistości. (*Przyp. Red.*).

przejawów i przemian pozostaje zawsze sama sobą; odsuwa na drugi plan stronę biograficzną, zajmując się przeważnie głównymi prądami. Traci się trochę wśród ogromnej ilości talentów poetyckich i literackich w ostatnich dwudziestu latach; sądzi zbyt skromnie niektórych wybitnych autorów, to znów wynosi za wysoko kilka pomniejszych talentów. Jest tak olśniony niezwykłym rozkwitem nowej poezji polskiej¹⁾, iż zowie ją pierwszorzędną we współczesnej Europie.

G. S.

KORESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Jak czytać artykuły miesięcznika «Poglądu na świat», w których się trafiają słowa mało zrozumiałe i jakim się posiłkować słownikiem?

Odpowiedź. Trudność w tym wypadku może płynąć z dwojakiego źródła. Albo czytelnik zna pojęcie, o którym mowa, tylko pod inną nazwą, jak to się zdarza niekiedy, gdy używa się terminu obcego zamiast swojskiego. W takim razie dosyć jest w paru słowach wytłumaczyć znaczenie wyrazu, do czego wystarczy taki *Słownik wyrazów obcych* (wyd. M. Arcta w Warszawie). Najczęściej wszakże niezrozumiałość wyrazu wynika stąd, że czytelnik nie ma odpowiedniego pojęcia, albo ma bardzo niejasne pojęcie o przedmiocie objętym przez wyraz. W takim razie należy pojęcie to wytworzyć lub je wyjaśnić i uzupełnić. Za źródło tu posłuży najwłaściwiej *Encyklopedia*. Do niej radzimy zwracać się częściej niż do słownika, a skutek niezawodnie będzie lepszy. Z krótkich *Encyklopedyj* polecić można Wiślickiego (wyd. «Przeglądu Tygod.»; dawne wydanie w 3 tomach można nabyć w antykwariach za rs. 3; nowe w 5 tomach

jest droższe). — Obszerniejszą jest *Encyklopedia* Orgelbranda (dawne wydanie w 13 tomach — bardzo tanio u antykwaryuszów).

Pytanie. Chcę poznać ogólnikowo historię, filozofię i literaturę główniejszych narodów, zaczawszy od czasów starożytnych aż do dni dzisiejszych. W jaki sposób mogę osiągnąć zamierzony cel?

Odpowiedź. Program studiów w tych zakresach częściowo ogłosiliśmy p. t.: *Studia nad historią cywilizacji* w I-szym roczniku naszego wydawnictwa (który na żądanie wysłać możemy). Do tegoż zakresu należą w tym samym roczniku artykuły: *Literatura powszechna* (syllabus), *Religie pierwotne*, *Historia w powieści i dramacie*. W roczniku II-gim (1901): *Historia filozofii starożytnej* (program studiów). Co do lektury ogólnie historycznej oraz gałęzi pominiętych w tych programach odsyłamy do książki W. M. Kozłowskiego p. t.: *Co i jak czytać?* zwłaszcza rozdziały VI, VIII i Dodatki III i IV (dział III). Polecamy również gorąco artykuł p. Chmielowskiego w zeszycie lutowym r. b. p. t.: *Historia w powieściach naszych*.

¹⁾ Niestety, wiemy co o tym rozkwicie sądzić należy! (Ob. zeszyt sierpniowy str. 282—285).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wny F. B. w Sejnach.* Na wszystkich uniwersytetach żądają od wstępujących w poczet regularnych studentów bądź matury, bądź też (w niektórych państwach) świadectwa ze szkoły realnej. Można wszakże zapisać się w Krakowie lub Lwowie na hospitanta (wolnego słuchacza) i przygotować się tymczasem na maturę, którą nie tak trudno złożyć, jeśli idzie o dyplom. — Na inne pytania odpowiedź odkładamy, gdyż musimy zasięgnąć opinii specjalistów; to tylko zaznaczymy, że chociażby i nie dorównywał Donelaitis geniuszom wymienionym nawet w przybliżeniu, to dla każdego litwina poznanie jego, jako poety swojskiego, stanowi wdzięczne zadanie.

— *Kółko naukowe w Stanisławowie.* Program czytelnictwa i studyów w zakresie historii literatury (obejmującej i najnowszą, do której wszakże ograniczać się nie należy) umieszczony był w Nrze 11—12 naszego pisma za rok 1900. Nra te wysłałiśmy pod podanym adresem.

— *Wny W. K. w Żerewie.* Seryj dzieł popularno-naukowych o jakie Pan zapytuje w języku niemieckim jest bardzo wiele. Jednym z lepszych i o stosunkowo wysokim poziomie jest wydawnictwo Göschena (*Sammlung Göschen*, Stuttgart, po 80 pf. tomik w oprawie, obejmujący około 10 arkuszy) — znajdzie je Pan w każdej księgarni. Obejmuje pojedyncze gałęzie nauk lub ich części. Przystępniejsza jest *Wissenschaftliche Volksbibliothek* (Schnurpfeil w Lipsku) po 20 pf. numer (w tomikach może być po kilka numerów, jak u Reclama). — Nieco droższa a bardzo popularna i dobra jest serya *Das Wissen der Gegenwart* (Freitag i Tempisky, Lipsk-Wiedeń) po 1 marce tomik w oprawie. Wszystkie wymienione serye zawierają rozmaite gałęzie wiedzy przyrodniczej i humanistycznej (u Göschena nawet fizyka matematyczna i t. p.), często poświęcone są pojedynczym postaciom wybitnym z historii literatury, okresom dziejów, opisanu krajów i t. p.

KRONIKA.

— *Moje piśmko* — pod tym tytułem zaczęło wychodzić pod redakcją p. A. Szycówny pismo dla dzieci do lat 10. Wydawcą jest p. M. Arct. Pismo wychodzi tygodniowo zeszytami w formacie dużego 8-o. Zapełnione jest przeważnie treścią belletrystyczną odpowiednio dobraną; są także artykuły pouczające, jak np. *Babie lato i jego*

sprawcy, Z lat młodocianych A. Mickiewicza i t. p. — Ożywiona korespondencya z młodymi czytelnikami w Nrze 3 świadczyć zdaje się o zainteresowaniu dziatwy piśmem. Miejmy nadzieję, iż zapełni ono skutecznie pewien brak naszego piśmiennictwa peryodycznego — literatury dla najmłodszych czytelników.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

- S. B. Milesi: *L'ipotesi della gravità nella biologia*. Bologna, 1902, str. 26 (odbitka z «Rivista di Filosofia»).
- *Relazione intorno ad un nuovo insegnamento di filozofia*. Brescia, 1902, str. 11.
- Sofokles: *Antygona*, w przekładzie K. Kaszewskiego. Opracował dla użytku szkolnego P. Chmielowski («Arcydzieła polskich i obcych pisarzy», t. 14). Brody, West, str. 78. — Cena 60 hal.
- W. Heinrich: *Teorye i wyniki badań psychologicznych*. Cz. I. Wrażenia zmysłowe. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1902, str. 307. — Cena 1'80 rs.
- A. Niemojewski: *Dzień on, dzień gniewu Pańskiego*. Lwów. Nakł. «Promienia», 1902.
- T. Ribot: *Psychologia uczuć*, przekł. K. Okuszeko. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1901, str. 508. Cena 2'50 rs.

— *Wny M. w Stryju*. Po program szkoły najlepiej udać się do niej samej. Po *Botanice* Gerardina radzimy wziąć *Życie rośliny* Kozłowskiego; po *Chemii* Roscoe'go-Cooke'a *Odczyty o chemii nowoczesnej*. Do religij pierwotnych: Tylor *Cywilizacya pierwotna* (Rozdz. o mytach i animizmie). Do późniejszych: Draper *Dzieje stosunku wiary do rozumu*.

Mamy pewną ilość kompletów

„POGLĄDU NA ŚWIAT“

z lat ubiegłych,

które ofiarujemy za zgłoszeniem do Redakcyi (netto):

Rok 1899 i 1900 (15 numerów) za rs. 2 (w Austrii złr. 2).

Rok 1901 (12 numerów) za rs. 1½ (w Austrii złr. 1½).

Również są do nabycia w Redakcyi

PROGRAMY-STRESZCZENIA (syllabusy):

W. M. Kozłowskiego: *Historya literatury powszechnej*. — Cena kop. 15.

— *Historya filozofii starożytnej*. — Cena kop. 15.

Z. Daszyńskiej-Golińskiej: *Ekonomia społeczna*. Cena kop. 15.

ROK 1902.

Wobec spodziewanego przeniesienia Redakcyi z Krakowa, pragnąc pozbyć się zapasowych numerów, a zarazem ułatwić prenumeratorom, teraz dopiero przystępującym, posiadanie całego rocznika 1902 r., niżamy dla przystępujących do prenumeraty w tym ostatnim kwartale cenę całego rocznika na rs. 3 (w Austrii K. 6), tak iż za tę cenę odbiorą wszystkie Numera od styczniowego do grudniowego r. b.

Udający się wprost do Redakcyi nie ponoszą kosztów przesłania.

BIBLIOTEKA

WYKSZTAŁCENIA WSPÓŁCZESNEGO.

Pod nazwą tą wychodzić będzie od 1 stycznia 1903 r. jako dalszy ciąg **Biblioteki samouków** zapoczątkowanej przez nasze wydawnictwo, nakładem **M. Arcta w Warszawie (Nowy Świat 53)** pod kierunkiem W. M. Kozłowskiego z zachowaniem dawnego programu i układu. Aby przypomnieć go czytelnikom powtarzamy w tem miejscu nasz prospekt:

„**Biblioteka wykształcenia współczesnego**“ składać się będzie z szeregu tomów, obejmujących bądź całość, jakiejkolwiek gałęzi wiedzy, bądź pojedyncze rozdziały, niekiedy nawet bardzo małe skrawki lub poszczególne zagadnienia rozmaitych umiejętności.

Niejednokrotnie wystawialiśmy, jako podstawowe w pracy wykształcenia samego siebie dwie zasady: 1) Ujęcie całości możliwie szerokie, jako punkt wyjścia, a następnie pogłębianie szczegółów, zwłaszcza w gałęziach, do których studyujący czuje pociąg szczególny. 2) Przewaga stanowiska uogólniającego nad informacyjnym; syntezy nad encyklopedyczną zbieraniną wiadomości. Zasady te stanowią podstawę planu «Biblioteki wykształcenia współczesnego», którą zaczynamy od próby ujęcia w całość systematyczną czyli *Klasyfikacyi całej Wiedzy*.

Warunki techniczne nie pozwalają zachować takiego porządku w następujących po sobie tomach, któryby odpowiadał ich pedagogicznemu uszeregowaniu. Zresztą porządek taki nie może być dla wszystkich czytelników jednakowy: każdy musi czynić wybór odpowiadający jego upodobaniom i potrzebom. Pedagogiczny więc charakter całości ujawni się dopiero wtedy, gdy znaczna część gmachu zostanie wykonaną. Tymczasem zaś zaznaczamy jako cechę każdego odrębnego tomu — uogólniający, jeśli rzecz można filozoficzny sposób ujęcia przedmiotu, bez ujemy popularności; jako znamię całości — związek pojedynczych tomów z sobą przez ideę syntetyczną planu ogólnego.

Najbliższe tomy obejmą:

Freemana: **Historya Europy.**

Fyffe: **Historya Grecyi starożytnej.**

Creighton: **Historya rzymska.**

R. Lefèvre: **Grecya dawniejsza.**

Jebb'a: **Historya literatury greckiej.**

W. M. Kozłowskiego: **Pogląd na całość dziejów literatury.**

— **Historya filozofii.**

P. Chmielowskiego: **Historya literatury polskiej (w 2 tomach).**

Każdy tom będzie zawierał około 10 arkuszy.

Cena tomu w oprawie 60 kop.

ZA WIADOMIENIE URZĘDOWE.

C. k. Sąd Krajowy, jako prasowy, na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli §. 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze VIII czasopisma «Pogląd na świat» z października 1902 r. artykuł pod tyt.: *Rozmiary społeczeństwa i ich regulowanie* cały na str. od 342 do 355 zawiera znamiona występku z §. 305 u. k. że zakazuje się rozszerzenia tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratorę Państwa konfiskatę pomienionego numeru, a cały nakład takowego ma być zniszczonym, albowiem w artykule tym autor zachęca do czynów niemoralnych, wskazuje przykłady takichże czynów, oraz, wykazując dodatnie ich strony, zachwala je wobec czytającej pismo publiczności i stara się je wobec niej usprawiedliwić.

Równocześnie na wniosek c. k. Prokuratorji Państwa, stosownie do przepisu §. 20 ust. pras. poleca się Redakcyi czasopisma «Pogląd na Świat», aby uchwałę tę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie takowego pod rygiorem skutków z §. 21 ust. pras. bezpłatnie zamieściła.

C. k. Sąd Krajowy jako prasowy

Kraków dnia 3 listopada 1902 r.

Morelowski.

DO CZYTELNIKÓW.

Przez trzy lata i jeden kwartał walczyło pismo nasze z nieprzyjaznymi warunkami, na jakie narażone są u nas, jak i wszędzie zresztą, wydawnictwa poważne, nie szukające efektu, a rozmijające się z chwilowo panującą modą. Zbyt to krótki czas, abyśmy się ludzi mogli, że garstka myśli w nim rzuconych wyda lato-rośle zdolne do samodzielnego dalszego rozwoju. Ufamy wszakże, że i ten drobny siew, jaki rzucić zdołał «Pogląd na Świat» przez krótki czas swego istnienia, nie pójdzie na marne. Nie wyrzekamy się też nadziei, kiedyś w lepszych warunkach zapaść głębiej lemiesz w niwę oczystą i rzucić w wyorane bruzdy ziarno przy-

szłości. Tym więc z Czytelników naszych, pomiędzy którymi a redakcją ustaliła się łączność duchowa, — a że nie mało jest takich, tego mieliśmy dowody — Czytelnikom tym przesyłamy razem z serdecznem podziękowaniem za objawy życzliwości, pełne nadziei *do widzenia!*

Wydawnictwo obecne kończymy na tym zeszyście.

Redakcja.

NAJNOWSZE POEZYJE JANA KASPROWICZA.

Z datą r. b. wyszły dwa zbiorki poezyj autora *Miłości*; jeden p. t.: *Ginącemu światu* (Lwów, nakł. Towarzystwa Wydawniczego), drugi p. n.: *Salve Regina* (Lwów, nakł. Księgarni Polskiej B. Połanieckiego). Mieszczą one w sobie utwory Kasprowicza z czterech lat ostatnich i były drukowane pierwotnie już to w «*Życiu*» krakowskiem, już to w «*Chimerze*» warszawskiej.

Tytuły organów, poświęconych sztuce i poezji najnowszej, jako miejsca, w którym początkowo ukazywały się te pieśni, mogłyby nasuwać domniemanie, iż autor, co się dotychczas tak samoistnie rozwijał, naraz zaciągnął się pod sztandary «modernizmu» i w jego duchu pisać zaczął. Istotnie jeden z krytyków, doskonale obznajomiony z ruchem poezji europejskiej, stwierdził, że najświeższymi utworami swymi Kasprowicz rozpoczął «zupełnie nową *erę* beztendencyjnej, wszechludzkiej, *absolutnej* poezji, która za wyraz artystyczny używać będzie *wyłącznie* symbolu...»

«Słowa! słowa! słowa!» — trzeba zawołać wraz z Hamletem. Pomijając już fakt, że krytyk nie liczy się z powszechnie przyjętym nie tylko w naszym, ale we wszystkich językach znaczeniem wyrazu: *era*, ogromnie dziwnem się wyda użycie przez człowieka rozumnego, a nie zapaleńca - frazeologa, takich określeń, jak: poezja «absolutna», lub takiego programowego hasła, iż odtąd poezja będzie się posługiwała «wylącznie» tylko symbolami. Takie twierdzenia spotykaliśmy dotychczas w *Confiteor* Przybyszewskiego lub w feljetonowych wywnętrzeniach młodzieniaszków.

«Absolutnej» poezji — jeżeli oczywiście przez «absolutny» rozumieć będziemy to, co wyraz ten naprawdę filozoficznie ozna-

cza — nigdy nie było i najprawdopodobniej nigdy nie będzie; bo jak poznanie nasze, tak i twórczość ma swoje granice, której dotychczas najpotężniejsze nawet gieniusze wiedzy czy sztuki przekroczyć nie zdołały. Mówiąc językiem idealistów, wypadłoby orzec, iż wszystkie, najdoskonalsze nawet utwory sztuki są jeno częściowymi wcieleniami odblasków czy promieni piękna «absolutnego», ale nie samem tem «absolutnem» pięknem...

Mniemanie, jakoby nowa «era» poezyi miała się posługiwać samymi jeno «symbolami», opiera się pewnie na twierdzeniu zgola nie dowiedzionem i niemożliwem do dowiedzenia, jakoby wszelka wielka sztuka była «symboliczną»; jest przytem zamachem na uszczuplenie pola twórczości, bo odcina olbrzymią dziedzinę objawów życia jednostkowego i zbiorowego, które nie zapomocą symbolu, lecz własnem swoim, osobistem, rozumowem czy uczuciowem znaczeniem zdobywają sobie prawo do przedstawienia w dziełach sztuki. Realizm artystyczny nie da się pociągnięciem pióra wymazać ani z dziejów artyzmu, ani z umysłu ludzkiego. Jest on, pojęciowo rzecz biorąc, najzupełniej równouprawniony z symbolizmem, a ze względu na większą jasność, zrozumiałość, przystępnność dla ogółu miał i mieć będzie praktycznie większe zastosowanie. «Arystokraci ducha» mogą się lubować symbolami; wolno im to najzupełniej; ale i ten wzgardzony ogół, bez którego owi «arystokraci» wyżyłby zgola nie mogli, ma także i prawo i swobodę zaspakajania swych potrzeb estetycznych innemi, niekoniecznie symbolicznemi, przejawami piękna, którymi i największe gieniusze świata nie gardziły, ba, same owszem do pomnożenia ich zasobu dziełami swemi się przyczyniały.

Pozostają jeszcze określniki nowej «ery» poetyckiej, zawarte w słowach: «wszechludzka», «beztendencyjna».

Wszechludzka jest każda poezya, wyrażająca uczucia i pomysły, które mogą znaleźć oddźwięk w duszy człowieka bez względu na miejsca jego zamieszkania i czas pobytu ziemskiego. Niewiele tu znaczy okoliczność, czy te uczucia i pomysły przybierają kształty właściwe danemu czasowi i krajowi, czy też nie. Wszechludzką jest poezya Greków, chociaż się tak ściśle łączyła z mitami, podaniami, właściwościami miejscowymi i czasowymi. Wszechludzkimi są dramata Szekspira, lubo we wszystkich łatwo się odnajduje anglika XVI wieku. Jeżeli zaś «wszechludzkie» znaczenie jakiegoś utworu zechcemy oprzeć tylko na tej wyłącznej cesze, iż w nim nie będzie wzmianki o jakimś określonym naro-

dzie i czasie, to ku podparciu takiego twierdzenia będziemy się mogli powołać co najwyżej na niektóre poezye liryczne i dydaktyczne; a cała dziedzina eposu i dramatu będzie musiała ukryć się w głębokim cieniu. Naiwnem byłoby złudzeniem, gdyby ktoś oparł «wszechludzkie» znamię twórczości na takim np. symbolu, iż zamiast mężczyzna i kobieta, powiedziałby: Adam i Ewa. Bo najprzód nazwy te są znane, a więc symboliczne dla pewnej tylko części ludzkości (bynajmniej nawet nie jej większości), a powtórę wszechludzka doniosłość symbolu zależy nie od takiej lub owa-kiej nazwy, lecz od tych myśli, uczuć i ideałów, jakie poeta rozwija, nazwami temi się posługując. Im większą sferę umysłowo-wzruszeniową ogarnie, im głębsze tajniki duszy z niej wydobędzie, tem poezya jego stanie się wspanialszą i bardziej «wszechludzką». Ladażakie zaś lub też jednostronne myśli i uczucia, wyrażone słabo, nie mogłyby rościć pretensyi do «wszechludzkości» pomimo wszelkich symbolów.

«Beztendencyjną» ma być poezya nowej «ery». Żaden rozsądny oceniacz dzieł sztuki nie będzie występował w obronie «tendencji», jeżeli ta zewnętrznie tylko związana została z pomysłem artystycznym, jeżeli nie zlała się, nie stopiła się, jako idea ze swoim wcieleniem. Nawet w dobie panowania pozytywizmu wyróżniano zalety «publicystyczne» od «artystycznych» w poezyach i powieściach. Dzisiaj zapominają o tem krytycy; zdaje się im, że w owej dobie wysławiano tylko pozytywistyczne tendencye w dziełach sztuki, że nie umiano zgola cenić ich według im właściwej skali. Tyle w tem twierdzeniu prawdy, ile w drugim, że poniewierano uczuciem. Ani jedno, ani drugie. Nie cierpiano tylko sentymentalizmu i ślamazarności, bo nawoływano do czynu; szydzono z «cacek» artystycznych, ale wielbiono arcydzieła niemniej gorąco, jak najżarliwsi zwolennicy «sztuki czystej». Jeżeli tedy «beztendencyjność» znaczy wykluczenie chwilowych, przemijających, drobnych, lichych doktryn i doktrynek z dzieł sztuki — na to najzupelniejsza zgoda z tym dodatkiem, że to nie będzie jakąś wyłączną cechą nowej «ery», ale znamieniem każdej prawdziwie wielkiej poezyi. Jeżeli natomiast «beztendencyjność» ma określać wyrugowanie z poezyi głębszej myśli, byle tylko «styl» się okazał w całej czystości, wdzięku, powabie; — to przeciwko temu zakładam protest w imię całości duszy ludzkiej. Stanowi ona jedność i każde dzieło, roszczące prawo do nazwy prawdziwego «tworu», winno całą tę duszę ujawniać, nie tylko w nastrojach i wzrusze-

niach, nie tylko w ciągle zmieniających się falach fantastycznych, ale także i w rozumie; nie jako suchy dydaktyzm, lecz jako wyraz tej najwyższej cechy, którą się człowiek wyróżnia od zwierzęcia. Im głębszy umysł, im potężniejszymi rozporządza środkami artystycznymi, tem utwór jego bardziej się zbliży do tych, co są wiecznotrwale i wszechludzkie.

Z rozbioru powyższego okazuje się, że określenia nowej «ery» poetyckiej niewiele nas nauczyły, a jeszcze mniej przyczyniły się do scharakteryzowania ostatnich poezyj Kasprowicza. Nie, nowej «ery» one nie otwierają, przynajmniej wedle mojego widzenia rzeczy, bo i w dawniejszych dziełach autora *Miłości* odnaleźć można bardzo wiele cech, znamionujących ostatnie dwa zbiory, i to zarówno pod względem treści, jak formy.

Kasprowicz jest pisarzem oryginalnym, który się wykształcił pod wpływem prawdziwie «wszechludzkiej», t. j. wielkiej poezji, nie zaś tych drobnych, przemijających, dekadenckich czy symbolicznych ekstrawagancji, które moda z Zachodu do nas przeniosła. W rozwoju swoim nie okazuje on skoków i przelomów, zależnych od jakiejś modnej szkoły czy szkółki i samodzielność, odrębność jego, należycie niezrozumiana i nieoceniona, stawała się niekiedy powodem do dziwnych aforyzmów, jak ten np., że jest on znakomitym poetą, wcale nie dbającym o piękno i t. p. Jakoż i dwa najnowsze zbiory jego utworów nie okazują zgoła jakiegos pokrewieństwa z modernizmem, lecz są wypływem uczuć i myśli poety samoistnego, nie szukającego wzorów po kapliczkach «najnowszej społeczności», lecz snującego swe pomysły z duszy, która przebywała i przebywa po wielkich świątyniach twórczości wszechludzkiej.

Nie znaczy to jeszcze, iżby te utwory były doskonale, iżby zaspakajały duszę czytelnika, iżby spełniały odwieczne zadanie sztuki; znaczy to tylko, że zagarnianie Kasprowicza do szeregu «modernistów» usprawiedliwić się nie da. Małe czy wielkie, piękne czy brzydkie, ale ma on miejsce w literaturze własnej.

I.

Najogólniejszym wyrazem najnowszej twórczości Kasprowicza jest ból, ból odwieczny, nieustający, od zarania ludzkości po nasze czasy, i po krańce istnienia zasiedziały na tym padole płaczu.

Potęźnie, wspaniale kreśli jego rysy poeta: «Jedno jest tylko w przestworzach widomem, jedno w zachodniej płomienieje zorzy nad płomiennymi falami wiekuistego żywota i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży i nigdy ciężkich swych stóp nie poruszy, by iść i iść i iść poza granice duszy. — Jedno jest tylko Jednem, grzmiącym miedzianą surmą archanioła, ponad pokoleń pokoleniem biednym w Pańskiego gniewu nieskończony dzień: — wielki, wszechmocny Ból... Ogromna, niesłychana, wiekuista męka, z nieprzygasłymi oczyma, milcząca, cicha i, jak zmierzch, pobladła, na wklęsłych skroniach siadła, na wpół otwartych powiekach i na wydętych piersiach tych olbrzymich ciał, które do krzyży przybiła nielitościwa Dłoń... W kleszczach je swoich trzyma, wpija się w kąty ust, ramiona w kabłąk gnie dręcząca wieki, niezmożona siła i, jak śmiertelny szal, zastygły, skamieniały w godzinę konania, swoim ciężarem się wgniata w zwięzle, z przepasek odsłonięte brzuchy i biodra splaszcza, kolana rozsuwa i pokrzywione, czarne palce nóg, pokrytych siecią fioletowych żył, w zamarych kurczach wydłuża... O grozo świata! O widma, płynące w dal! — w ten przestwór ślepy i głuchy, w wilgotny, mgławcy pył, w te ciemne wnętrza bezsłonecznych bryl — w potworne gmachy nadszczytowych chmur!...»

Jak burza gradowa uderzają te słowa w struchlałą pierś czytelnika, który ledwie odetchnąć może wśród strasznego nawału obrazów cierpienia, tem silniej przygnębiającego, że niema w niem różnaitości. Ponure, posępne, ohydne nieraz widziadła «świecących trupim tłuszczem żółkłych, łysych czól», albo «zielonych jaszczurów, oplatujących kręgami śliskimi męczeńskich krzyży smutne miliardy», lub «tumanu ludzkich żądź», co pędzi «z psów szczekaniem, z rzeniem koni, które cugli nie zaznały, łkając, jęcząc, grożąc, klnąc, poszarpane miecąc skargi...».

Nie tyle poeta uwydatnia cierpienia i klęski fizyczne, trapiące ludzkość, ile raczej te okropne zawikłania, jakie powstają, rozrastają się, potężniają, gromami buchają, wskutek starcia się namiętności, najżywotniej z naturą człowieczą spojonych.

Wśród tych namiętności jedna szczególnie wybujała do potęgi niemal nadziemskiej, sprowadzając za sobą najstraszliwsze katusze — to miłość. Nie ta miłość swobodna i lekka, jaką opiewał Anakreont, ani ta marzycielska i anielska, jaka się śniła niektórym romantykom, ale raczej ta straszliwa furja, co po chwilowem nasyceniu, naigrawa się z człowieka i łamie jego istnienie;

ta żądza niezwalczona i nienasycona, co niewolników swoich najokropniejszym poddaje męczarniom.

Mistrzynią takiej miłości jest kobieta. Nie owa anielica, co w rękę swych trzyma złotą wagę świata, lecz urodzona grzesznica, kusicielka, sprzymierzona z szatanem i jemu cześć boską oddająca.

W takim pojęciu roli kobiety Kasprowicz schodzi się w tych poezjach najbliżej z Przybyszewskim, ale od niego zgola niezależnie; pojęcie to bowiem obaj oparli na podaniu biblijnem, przedstawiającem Ewę jako narzędzie szatana, by ludzkość pozbawić rokoszy rajskich. Obrazy, w których Kasprowicz tę charakterystykę kobiety przedstawia, są przerażające, a jego własne. Oto Salome, z płaczem i jękiem wyspiewuje lubieżne litanie przed świętą, okrwawioną głową Jana Chrzciciela...

.
.
.
.
.
.
.
.
.
.
.

Oto w dzień sądu ostatecznego, kiedy Chrystus sądy swe nad ludźmi sprawia, Ewa kładzie białą swą dłoń na głowę szatana, «na trupią, zapadniętą, żółkłą skroni zleniała...» Jej nagie uda drżą, palcami rozczesuje złoto swych warokoczy i falą złocistych włosów osłania jego nagość i pieści ustami czerwonymi bladość jego ust. Wężowe jego kreggi opasują biodra rozlubieżnionej Bolesci; a ona wyprężywszy swe rozpustne ciało, nienasyconem oddycha pragnieniem.

.
.
.
.

Pominąłem słabsze, mniej wymowne rysy kłamstwa, obludy, fałszu, zdrady, ustawicznie się powtarzające we wszystkich utworach, zawartych w obu zbiorach, gdyż wobec uwydatnionych powyżej nie miałyby już one znaczenia. Ewa - kobieta w straszliwych, ohydnych przedstawia się kształtach.

Adam-mężczyzna nie jest od niej lepszy, tylko, że według intencji poety, więcej od niej cierpi, gdyż ma świadomość bolesną całej swojej nikczemności. Wie on, że jest «człowiekiem, który wyszedł z grzechu i prześladowan był przez grzech — do końca»: ojca się wyparł, matkę z domu wypędził, jadowite wyszukawszy ziele, świat niem stłumił w poczęciu, padał potworną żądzą ku bydłom i t. d. Cały stek podłości i zbrodni rozwinął poeta, by nim zalać duszę Adama, w którym nie zdołał dojrzeć ani jednej iskielki szlachetniejszej, ani jednego idealnego popędu. Mężczyzna ten nie imponuje nawet wielkością zbrodni; jest to płaski, powszedni nikczemnik, tem się jeno wyróżniający od tłumu, że zna swoją nikczemność, i że obłudnie kając się, szuka swego usprawiedliwienia w zrzuceniu winy na swą naturę.

Kasprowicz mówi nieraz o Konieczności władającej wszechświatem, czasami wydaje się panteistą, poczytującym wszystkie twory przyrody za braci i siostry, ale najczęściej i najgłośniej wyznaje poglądy antropomorficzne i z ukrytem lub jawnem szyderstwem prawi o mądrości i uczuciu Stwórcy.

Zdaje się, że jak wiele umysłów społecznych, wahających się między teologicznym, tradycyjnym a filozoficznym poglądem na świat, tak i Kasprowicz nie doszedł do zharmonizowania swych pojęć w tej np. mierze, jaką osiągnął Asnyk w ostatniej dobie twórczości swojej. Stąd jego żale, skargi i wyrzuty, robione Stwórcy, «potężnemu łonu przepotęźnych łon», przez teologicznie patrzących na rzeczy, poczytane będą za bluźnierstwo, a dla tych, co się starają usunąć ze swego umysłu antropomorficznie zabarwione pojęcie stosunku Boga, Pierwszej Przyczyny, do świata, wydadzą się bezprzedmiotowemi i bezcelowemi lamentacyami.

Nie przeczę ja bynajmniej, iż ustęp w poemacie: *Dies irae*, w którym Sędzia najwyższy został podsądnym, jest pod względem retorycznym i dobrze zbudowany i silnie wyrażony; ale mam, że dowodzenie samo i nie bardzo przekonywa i niezbyt wpłynie na uczuciowość czytelnika rozważnego a podobać się ono może jedynie tym, co się uskarżają na bezwład woli. Kiedy Prometeusz u Eschylosa miota przekleństwa na Zeusa, rozumiemy go, bo on się uważa za równego, a nawet wyższego. Ale jakie znaczenie mieć mogą wyrzuty czynione przez człowieka, który sam właściwie nie wie, do kogo je zwraca: «A kto mnie stworzył na to, ażeby w tej chwili, odziany potępienia podartą żalobą, kawałem kiru, zdjętym z mar twojego świata, wil się i czołgał przed

tobą i martwem, osłupiałem z przerażenia wzrokiem straszego sądu wylawiał płomienne, świat druzgocące rozkazy? A kto mi kazał patrzeć na te czarne głązy, rozpadające się na gruz pod mocą twojego gniewu, przeraźliwy Boże — na głązy te, gdzie straszny owoc twego drzewa, zlocistowłosa Ewa, do piersi pierś padalca tuli obnażoną?»

Powiedziałem, że człowiek tak przemawiający nie wie rzeczywiście, komu robi wyrzuty, bo oto w innym miejscu takich do tegoż Stwórcy i Pana słów używa: «A oko moje zachodzi mgłą, która jest skonem i mego serca i duszy mej...
. Niechaj rozszarpią na strzępy luny świtowe, powstałe nad ziemią, gdzie ból i rozpacz drzemią, ogromne, przez szatana zapłodnione światy,
. Zrzuć z siebie, Ojczy, nietykalne bla-ski! Zgarnij ze siebie tę bożą, tę władającą moc, co nad wiekami nieugaszoną płomienieje zorzą i światłość daje światom i światy w swoim ogniu na popioły trawi!
.
.

Taka niekonsekwencya w pojęciach i taka frazeologia właściwąby może była w ustach zbolalej, zdenerwowanej kobiety, nie władającej sobą, nie przyuczoney do rozumowania, podlegającej wyłącznie chwilowym zwrotom uczucia; — razi nas atoli w ustach poety, który nieraz już dowiódł i męskiej tęgości myśli i panowania nad zapędami wzruszeniowymi.

Bluźnienie i korzenie się wobec wielkiej, niezłomnej potęgi dawało już w arcydziełach poezyi — że tylko *Księgę Hioba* i III część *Dziadów* przypomnę — znakomite wyniki artystyczne; lecz wyniki te osiągnięte zostały nie przez bierne poddanie się jednostronnemu usposobieniu czy nastrojowi, ale przez zharmonizowanie odmiennych stanów duszy. Zapewne, gdy ktoś do takiego zharmonizowania w sobie samym nie przyszedł, niepodobna mu wyrazić go w swoim dziele. Przekonywanie takiej rozstrojonej duszy zazwyczaj nie osiąga skutku; musi się ona sama przezwyciężyć.

Możeby więc wypadalo, jak chce wielu, poprzestać na znaczeniu tylko tego usposobienia poety i przejść do rozpatrzenia, jakie ono pod względem artystycznym wydało owoce. Zanim jednak do tego przejdę, trudno mi nie stwierdzić, że zarówno krańcowo pesymistyczny pogląd na duszę człowieka, jak i oznaczenie jego

stosunku do Przyczyny Wszechbytu są i jednostronne i w części przestarzałe. Ani historia, ani psychologia nie pozwalają nam widzieć w człowieku samych Judaszów i same bydlęta; dowody szlachetności, zdolności do poświęcenia są zbyt liczne, ażeby je można lekceważyć. Jeżeli w Ewie i Adamie swoim chciał poeta rzeczywiście dać symbol natury ludzkiej, to musimy powiedzieć, że symbol ten jest ulomny i nabrać «wszechludzkiego» znaczenia nie może; zawiera się w nim cząstka tylko duszy ludzkiej, która jest przecie i bogatsza i głębsza, niżby z tego symbolu wnioskować można. A co do antropomorficznego sposobu malowania stosunku stworzeń do Stwórcy, to muszę go uważać za przestarzały; w dobie minionej miał on niezapomnianą doniosłość myślową, uczuciową i artystyczną; ale rolę swoją spełnił już, jak się zdaje, całkowicie.

II.

Właściwością *stylu* Kasprowicza jest tak w dawniejszych, jak i w najnowszych poezjach *szorstka siła* wyrażenia, zarówno w poszczególnych zwrotach, jak i w budowie okresów, nieraz bardzo długich. Dowodów tej siły znaleźć można dużo na każdej stronicy, ale najobficiej w *Dies irae* oraz w *Święty Boże, święty mocny*. Nie mogę ich tu roztaczać w całej rozciągłości, bo musiałbym zanadto przekroczyć ramy tej rozprawki; nie mogę wszakże pominąć jednego przykładu, w którym potęgą słowa głuszy, przynajmniej na chwilę, protest myślowy; jest to może najsilniej odczuty i najsilniej też napisany ustęp w obu zbiorkach: «Szatanie! kop mi samotny grób na opuszczonym łanie, u krzyża czarnego stóp, pod gliny powłoką rdzawą! A iżby nie porósł trawą, tańcz na nim taniec piekielny po wszystkie dni!...

.
.
.
.
.
.
.

Władając dzielnie, a nawet potężnie siłą wysłowienia, poeta nasz nie posiada jej przeciwstawnika — wdzięku; to też utwory, gdzie ten przymiot był potrzebny, a nawet nieodzowny, nie mogą

się liczyć do lepszych. Mam tu na myśli po części *Hymn św. Franciszka z Assyżu*, ale najbardziej *Maryę Egipcyankę*.

Kasprowicz przedstawia śpiew przedśmiertny tej powabnej grzesznicy, która pątując do Palestyny, niby to dla omycia się z grzechów, po drodze pożądlivem zerkala okiem na barczystych młodzieńców,

.....
.....
.....
.....
.....

W pieśni takiej z natury rzeczy powab, subtelność, finezya, byłyby bardzo odpowiednie: możeby nawet potrafiły zakryć wewnętrzną szpetotę postaci, tak pojętej, jak ją przedstawił Kasprowicz, ścigany myślą, że każda Ewa ma «gadzinę zdrady u swych białych stóp». Niektóre zwrotki odznaczają się pewną archaiczną prostotą, ale większość pisana jest takim stylem, jak inne poezye w obu zbiorkach, to jest stylem jędrnym, silnym, barwnym, nie lękającym się żadnego przytwardego lub nagiego wyrażenia. Śpiewa więc ta «biedna, grzeszna Marya», co «przez wieki idzie ku rzece nieznannej», tak jakby się wyrażała lubieżno-krwawa Salome: «spojrz uśmiechniętą zrenicą w tę wiecznie kwitnącą wiosnę, gdzie w kłębach ciał obnażonych gra opętanie miłosne! gdzie mi najpierwsi młodzieńce obiodrza ściągają z ciała» i t. d. — albo też: «matroną jestem w dzień biały, nocą się staczam w kaluzę, a gdzieś tam, w rojnym mieście, zwiędła w rozpuście, rajfurzę».

Wiem, coby mógł powiedzieć na usprawiedliwienie autora zwolennik symbolizmu. Toż przecie ta *Maryja Egipcyanka* nie jest w istocie podaniową świętą, której żywot i pokutę opiewała u nas Drużbacka, ale to symbol jeno kobiecości, powtarzający się we wszystkich krajach i czasach, to tylko uogólnione dążenie do podniosłego mistycznego zachwyty, dążenie wciąż przerywane upadkami w grzechy poprzednie, ziemskie, pospolite, brudne. A jeżeli tak jest, to wymaganie jakiegoś właściwego danej osobistości stylu jest zgoła nieuzasadnione. Na tobym odpowiedział, że jak symbole są różne, tak i sposób ich artystycznego opracowania może i powinien być odmienny. Salomę wolno także poczytywać za symbol, a niekoniecznie za znaną z Pisma św. postać jednostkową; jest ona atoli usymbolizowaniem innej strony usposobienia kobiecego, aniżeli Maryja Egipcyanka; w Salomie nie ma nawet śladu myśli o pokucie; to kobieta-zwierzę, lubująca się w wyche-

sywaniu krwi zakrzepłej z włosów ściętej głowy, w rozwieraniu męczenników powiek palcami i t. d. Stylowo zatem błędem jest wkładać Maryi Egipcyance słowa takie, któreby nie raziły u Salomy.

Kompozytorka utworów ostatnich Kasprowicza, jak niektórych dawniejszych, jest bardzo luźna, zależna raczej od swobodnego kojarzenia się wyobrażeń, aniżeli od rozmysłu i umiaru artystycznego. Niechęć hamowania «wichru natchnienia» już niejednego poetę powiodła na bezdroża. Zapominanie o tem, że nie każda nastrojąca się myśl zasługuje na uwiecznienie, że nie zawsze ten porządek, w jakim się obrazy w duszy naszej snują, jest najlepszy; że artysta powinien dokonywać *wyboru* z pomiędzy różnych przychodzących mu do głowy pomysłów, zawsze się nader szkodliwie na wszelkich dziełach, nie wyłączając poetyckich, odbijało, odbierając im wiele piękności. Dzieło sztuki nie może być czemś niewymiernem, jeżeli nie ma się przemienić na rzecz brzydką lub nawet potworną.

Wszystkie nowsze utwory Kasprowicza są *zbyt długie*, to znaczy, pomysły ich zostały rozwalkowane w sposób zgola nieartystryczny. Powtarzanie stało się koniecznością niemal w szeregu utworów, osnutych na jednym zasadniczym motywie. Powtarzanie to słabo jest zakryte frazeologią, która nigdy zastąpić nie może świeżości myśli. Prócz tego brak wyboru, szeregowanie obrazów według nasuwającego się mimowoli porządku, sprawiły, że wrażenie zamiast się potęgować, słabnie w miarę czytania (z wyjątkiem *Święty Boże*).

Ażeby unaocznić tę wadę, powołam się na drugą część *Pieśni wieczornej*. W tej drugiej części, daleko słabszej od pierwszej, która ma ustępy prześliczne, mieści się spowiedź z popełnionych przez Adama-człowieka grzechów. Nie będę powtarzał całego szeregu; dość będzie rozpatrzeć początek. A więc czytamy tu: ...ojcam się wyparł... matkęm wypędził z domu... ośleplą siostrę spotkawszy żebrzącą, nie czulem tyle odwagi, aby powiedzieć: to siostra moja! przy niej mi pozostać... psa, który zaszedł mi drogę i z głodu zęby wyszczerzył, kopnąłem nogą, aż ze skowytym padł pod moim płotem... robakam zdeptał, tysiące owadów miażdżyłem stopą, wlokąc się przydrożem... Kazałem ścinać pacholkom gałęzie smreków młodziutkich, gdyż iglicami drażniły mi skronie... zabiłem brata, bo mi się woral w miedzę i naręcz owsa mi wyjął dla swego konia...»

Przerywam dalsze wyliczenie grzechów; kolej wymienionych

dotychczasowy wydatnia to, com chciał okazać. To nie ład artystyczny, lecz mieszanina bezcelowa i nieefektowna. Może z punktu widzenia panteistycznego wszystko to jedno: wyprzeć się ojca, wypędzić matkę, zabić brata, czy też zdeptać robaka, zmiażdżyć owady, ścinać smereki; ale dla zwykłego uczucia ludzkiego (nie koniecznie filistra) — różnica ogromna, a przeplatać jedne występki drugimi jest to po prostu kpić z tego uczucia.

Kiedy Werther ubolewa nad tem, że dla swojej przyjemności, kładąc się na murawie, pozbawia życia mnóstwo owadów, nie dziwimy mu się, bo on nie zabił brata, ojca się nie wyparł, i matki nie wypędził, a sam czuł się tak nieszczęśliwym, że litość go brała na widok tych bezimiennych drobnych istot, które ginąć musiały. Motyw ten zwiększał u niego jedynie potęgę smutku nad nieszczęściami, jakim człowiek podlegać musi. Co u Goethego było świeże, oryginalne i zajmujące, to u Kasprowicza, przez nieumiejętne zestawienie, dziwacznie się jeno wydaje i zamierzonego wrażenia wywołać nie może.

Strona wierszowa wreszcie, którą także chciano ogłosić za nowość stylową, zrywającą z prawidłowem budowaniem zwrotek, odpowiadającą natężeniu uczucia rozmaitej długości i rytmu wierszami, mnie się tak nową, nieznaną nie wydaje. Takie wiersze, z których jeden ma jedną lub dwie zgłoski, a inne po kilkanaście, znane były już grekom; a utwory, w których różnorodność nastroju wyrażano zapomocą różnorodnych rytmów, zwano *dytyrambami*. Nawet tacy zwolennicy «prawidłowości», jak francuscy pseudo-klasycy, nie gardzili tą formą.

Ale bez względu na to, czy takie kształty są nowe, czy stare, muszę zauważyć, że do wywołania poczucia harmonii artystycznej wcale się nie przykładają. Bo też przy tym nastroju, który znamionuje utwory Kasprowicza z lat ostatnich, nie może być zgola mowy o harmonii; dążą one raczej do wywołania wrzenia i zamętu uczuć, a ku temu celowi owe nieregularne wiersze dobrze posługują. Może to ktoś uważać za cel i zadanie poezji I ja nie jestem za przesłodzoną sielanką lub obłudnym spokojem, gdy dusza do głębi wzburzona; to jednakże chciałbym stwierdzić, że ustępy u samego Kasprowicza, pisane wierszami regularnymi (np. wszystkie parafrazy pieśni *Dies irae*, pierwsza część *Pieśni wieczornej*) są estetycznie udatniejszymi od owych rwanych, rozszarpywanych, skracanych i wydłużanych szeregów, nie mają-

cych żadnego umiaru. Być może, iż ich zbyt wielka obfitość w obu tomach jest przyczyną tego wrażenia; gdyby ich było mniej, zapewne nie tak narzekalibyśmy na ich ostrokończaste wręby.

P. Chmielowski.

PRAWDA I WIEDZA. DIALOG FILOZOFICZNY.

(OSOBY: FILOZOF, PRZYRODNIK, KOBIETA, SCEPTYK, MARZYCIEL).

PRZYRODNIK.

Powiadasz więc, kochany Filozofie, że umiejętność twoja przez tyle stuleci poszukuje tego, co ma stanowić najwyższą zasadę, decydującą w myśli i w życiu, w nauce i w czynie. Sądzę, że takim probierzem najwyższym może być sama tylko *prawda*.

FILOZOF.

Prawda, powiadasz; rzuciłeś tu ciężkie słowo! Prawda — to dźwignia postępu, to cel usiłowań najlepszych umysłów, marzenie poetów, ołtarz ofiarny męczenników, wieniec, o który walczą bohaterowie... Ale racz wytłumaczyć, co przez nią pojmujesz, bo niema chyba dwóch umysłów, któreby ją jednakowo rozumiały?

PRZYRODNIK.

Co? Niema dwóch? Zdaje mi się, że nie znajdziesz dwóch na miliony, z wyjątkiem chyba filozofów, którzyby ją odmiennie pojmowali. Dla nas, prostych śmiertelników, prawdą jest to, co do wszystkich przemawia oczywistością. Prawdą jest fakt.

FILOZOF.

Określmy dokładniej, co nazywasz faktem. Czy nie jest nim to, co przemawia wprost do zmysłów naszych?

PRZYRODNIK.

Nie inaczej.

FILOZOF.

W takim razie zamiast odpowiedzi, pozwól mi przeczytać jeden ustęp z książki, którą widzę tu w bibliotece naszej gospodyni.

(Dostaje z szafy z książkami «Ruiny» Volneya i znalazłszy rozdział ostatni, czyta):

«Wtedy prawodawca usiadłszy, wyrzekł: «O wy, spierający się z powodu tylu przedmiotów, poświęćcie chwilę uwagi zagadnieniu, któreście mi postawili, a które sami powinniście rozwiązać»».

«A gdy ludy umilkły, prawodawca wznosił rękę ku niebu i wskazując na słońce, zapytał: «Ludy czy to słońce, które was oświeca, wydaje się wam trójkątowem, czy czworobocznem?» — ««Nie — odpowiedzieli wszyscy jednogłośnie — jest okrągłe»».

«Później, biorąc z ołtarza szalki złote, zapytał: «Czy to złoto, które co dnia miewacie w rękę, cięższe jest od równej objętości miedzi?» — ««Tak — odpowiedzieli wszyscy — złote jest cięższe od miedzi»».

«A prawodawca wzięwszy miecz do rąk, pytał dalej: «Czy to żelazo miększe jest od ołowiu?» — ««Nie»» — odpowiedziały ludy. — ««Czy cukier słodki, a żółć, czy gorzka?» — ««Tak»».

«Czy lubicie wszyscy przyjemność, a nienawidzicie cierpienia?» — ««Tak»».

«Wszyscy więc zgadzacie się względem tych przedmiotów i względem wielu innych podobnych. Teraz powiedzcie, czy jest ogień we wnętrzu ziemi i czy są mieszkańcy na księżycu?»

«Na to pytanie odpowiedzią był chaos głosów, a każdy mówił co innego: jedni odpowiadali *tak*, drudzy — *nie*, trzeci — *prawdopodobnie*, inni — że *pytanie jest śmieszne i zbyteczne*, znów inni, że *to byłoby ciekawe*. Słowem niezgoda była powszechna. Po upływie kilku minut, prawodawca zabrał głos:

«Rozwiążcie mi ludy to zagadnienie: Zadałem wam kilka pytań, na które wszyscy odpowiedzieliście jednoznacznie, pomimo różnicy ras i sekt: biali i murzyni, uczniowie Mahometa i Mojżesza, Buddy i Jezusa. Zadaję wam inne i wszyscy jesteście w niezgodzie! *Skąd ta zgodność w jednym wypadku, ta różnica zdań w drugim?*»

«Wtedy gromada ludzi prostych i dzikich, rzekła: «Przyczyna bardzo prosta: w pierwszym wypadku *widzimy, odczuwamy* przedmioty; mówimy o nich na podstawie zmysłów; w drugim są one niedostępne naszym zmysłom; sądzymy o nich, polegając na domysłach»».

«Rozwiązaliście zagadnienie, odpowiedział prawodawca; wasze więc własne wyznaczenie ustanawia prawdę następującą: *Za*

każdym razem, gdy przedmioty mogą być poddane waszym zmysłom, zgadzacie się w sądzie; różnicie się w zdaniu jedynie wtedy, gdy przedmioty są nieobecne lub niedostępne dla was»».

Widzisz stąd przynajmniej — rzekł filozof, zamykając książkę — że wygłoszony przez ciebie probierz nie ma uroku nowości. Powoływano się nań już przed stu laty.

PRZYRODNIK.

Najmniej to mnie wzrusza. Nie mam pretensyi do tworzenia nowych systematów filozoficznych. Przeciwnie, daleś mi najlepszy dowód, że ci wszyscy, którzy nie opletli sobie mózgow pajęczą siecią metafizyki, zawsze jasno widzieli, gdzie jest prawda i zgadzali się na nią.

FILOZOF.

Dobrze; przyjmijmy więc ten probierz, który nam podajesz wspólnie z Volneyem i całą szkołą sensualistów; niech prawdą będzie fakt, czyli to, co widzimy i odczuwamy, co jawne i oczywiste dla naszych zmysłów. Może jednak sam zgodzisz się na pewne wyjątki z tego prawidła.

Oto np. widzimy co dnia, że słońce wznosi się z za tego pagórka, nad którym zawieszona obecnie jest czerwona tarcza księżycy, że przebiega cały strop niebieski, aby ukryć się za tym lasem czerniejącym na horyzoncie. Czy prawdą ma być ruch słońca i spoczynek ziemi?

PRZYRODNIK.

Inne dowody przekonywają nas o przeciwnem.

FILOZOF.

Skądże je bierzemy?

PRZYRODNIK.

Ze spostrzeżeń, ich krytyki, rozumowania...

FILOZOF.

Więc oprócz spostrzeżenia zmysłowego przyjmujesz jeszcze inny sposób odkrycia prawdy — rozumowanie; inne źródło poznania — rozum?

PRZYRODNIK.

Nie źródło tylko narzędzie. Rozum zestawia fakta spostrzeżenia, sprawdza je, wyciąga z nich wnioski, ale nie stwarza wiedzy.

FILOZOF.

Zgoda; nazwijmy go tymczasowo narzędziem. Przekonasz się niebawem, że różnica nie jest tak wielka. Nie jest ci wszakże obcem, że to narzędzie buntuje się niekiedy przeciwko owemu, które uznałeś za główne źródło poznania, t. j. przeciw zmysłom i rości pretensje do wyłączności w tym względzie. Oto np. wpada mi w oko leżąca na tych półkach rozprawa p. Szerbowicza-Wieczór o *Parmenidesie z Elei*¹⁾; pozwolisz mi, że przeczytam z niej kilka wierszy. Jakże to przemawia do poety filozofa greckiego bogini, która go wita za granicami zmysłowego poznania, gdzie opuszczają go przewodniki — zmysły.

«Łaskawie przyjęła mię bogini i ująwszy za prawą rękę, zwróciła ku mnie swe słowa: «O ty, którego nieśmiertelne przewodniki i konie doprowadziły tu do mego siedliska, bądź miłym dla mnie gościem. Nie jakiś tam zły los zaprowadził cię na tę drogę — bez wątpienia bardzo ona daleka od mieszkań śmiertelników — lecz przywiodły cię prawość i sprawiedliwość. Trzeba, żebyś poznał wszystko: i niezłomny duch przekonującej prawdy i zdania śmiertelników, w których niema prawdziwej pewności. Na tej drodze wstrzymaj się od wszelkiej wątpliwości i wahania; niech nie opanowują cię na niej często doświadczony *nałóg dowierzania krótko-widzącemu oku, szumnemu uchu i językowi; myśleniem tylko masz rozebrać dowody prawdy*, które ci odkryję i które będą przedmiotem wielu sporów»».

Widzisz, że Parmenides, a w ślad za nim i inni eleaci, trzymają się zdania wprost przeciwnego niż twoje. Istotnie te dwa «narzędzia» poznania — zmysły i rozum — stają niekiedy w takiej sprzeczności z sobą (czego dowiedli uczniowie i następcy Parmenidesa już w starożytności), która każe prawie wyrzec się nadziei odkrycia prawdy i albo każdemu zdaniu przyznać słusność, jak to uczynili sofiści, mówiąc, że «człowiek jest miarą rzeczy», albo...

¹⁾ *Parmenides, filozof z Elei*, Warszawa, 1868, str. 17.

SCEPTYK (*przerywając z tryumfem*).

...Albo wątplenie podnieść do zasady, jak to uczynił sceptycyzm starożytny, głosząc przez usta Pirrona: «*Mędrzec wstrzymuje się od sądu!*»

PRZYRODNIK.

Możebyś nam przypomniał założenia eleatów, ażeby uniknąć nieporozumień w dyskusji, gdyż nie wszyscy jesteśmy pewni swojej wiedzy historycznej. Zdaje mi się, że eleaci twierdzili jedność bytu i myśli?

SCEPTYK.

I zwodniczość poznania zmysłowego...

KOBIETA.

I jedność wszelkiego bytu? Wszak to ich założeniem jest, jeśli się nie mylę, owo *en kaj pan* (wszystkość i jedność), które Tolland każe wygłaszać, jako dogmat wiary w swoim rytuale wolnomyślnego nabożeństwa w dwadzieścia trzy wieki później?

MARZYCIEL.

Widzę, że Pani zawstydzą nas erudycją.

FILOZOF.

I bystrością w pochwyceniu wątki myśli dziejowej. Tak jest, *Pantheisticon* Tollanda, wydane r. 1720 z miejscem druku *Kosmopolis*, jak i cały nowożytny panteizm, zaczynając od Spinozy, zostaje pod wpływem tych dwóch twierdzeń eleatów, które Pani i mój przeciwnik, Przyrodnik, zaznaczyliście. Wiara w to, że świat rzeczy, świat prawdziwy, istnieje według tych samych praw, co i myśl, że «porządek i związek rzeczy jest ten sam, co porządek i związek myśli», jak to wypowiedział w parę tysięcy lat później Spinoza, każe eleatom oddawać rozumowi przewagę nad zmysłami, widzieć prawdę w tem, czego on uczy, a za złudzenie uważać świadectwo zmysłów. Ponieważ zaś zmysłowość ukazuje nam przedmioty, jako oddzielone od siebie i zmienne, kiedy rozum przeciwnie, dowodzi niemożliwości jednego i drugiego, więc twierdzili, że w rzeczywistości istnieje tylko całość jedna i niezmienna,

wszelkie zaś istnienie oddzielne i wszelka przemiana jest złudzeniem.

PRZYRODNIK.

Wytłumaczcie mi, kochany Filozofie, możliwie jasno, czy istotnie eleaci, a zwłaszcza panteiści późniejsi, sądzili, że np. szklanka, którą trzymam w ręku, łyżeczka, którą w niej mieszam, osoba, z którą w tej chwili rozmawiam, nie istnieją jako przedmioty oddzielne, że są tylko złudzeniami? Bo jeśli je uważali tylko za części całości, wszechświata, to nie różnią się od opinii ogółu; jeśli mówią o nich jako o złudzeniach, w tem znaczeniu, że są tylko naszymi wyobrażeniami, to jak mogą twierdzić o jedności tego, co nie istnieje?

FILozOF.

Słuszne jest, że uważali za zwodnicze istnienie niezależne pojedynczych przedmiotów. Bardzo trudno przedstawić jasno myśl eleatów; bo przedstawić «jasno», znaczy przemówić do wyobraźni, ta zaś władza posługuje się obrazami zmysłowemi, z których właśnie powinniśmy się otrząsnąć, według twierdzenia eleatów, ażeby dostrzedz prawdę. Myśl tę można wszakże wytłumaczyć przez podobieństwo: poszczególne przedmioty są dla całości tem, czem pojedyncza myśl dla człowieka. W każdej myśli swojej objawiam istotę swoją, chociaż myśl ta nie jest ani moją częścią, ani złudzeniem — istnieje ona w rzeczywistości. Jest ona *objawem (modus)* jak nazwał później Spinoza, tem w co się chwilowo wciela owa całość.

Ale jużesmy się oddalili od naszego przedmiotu; nie te bowiem poglądy dotyczące bytu, które należą do metafizyki, lecz obchodzi nas tu bliżej *teorya poznania* eleatów, owo rozróżnienie pomiędzy poznaniem zmysłowem, które uważają za zwodnicze, a rozumowem, które ich zdaniem prowadzi do prawdy. Oddając pierwszeństwo ostatniemu, stali się praojcami racjonalizmu nowożytnego, którego odnowicielem został Kartezjusz. Wykazując sprzeczność pomiędzy temi dwoma narzędziami poznania, jak je nazwał Przyrodnik, zachwiali naiwną wiarę w zmysłowość i położyli kamień węgielny teoryi poznania.

PRZYRODNIK.

Czy sprzeczność taka istnieje naprawdę? Czy nie jest raczej cała wiedza doświadczalna dowodem zgodności rozumu ze zmy-

słami? Czy nie zaczął się właśnie szybki postęp wiedzy od chwili, gdy zwrócono się od rozmawiania do obserwacji przyrody, to jest do zmysłów? Od chwili, gdy zapanowała metoda doświadczalna Bakona? Czyż niepowodzenie poprzednich i późniejszych usiłowań wysnucia czegokolwiek z własnego rozumu nie dowodzą jałowości jego, jako źródła poznania, gdy przeciwnie jest zupełnie na miejscu jako jego narzędzie, kiedy posługujemy się nim, jak w wiedzy ściślejszej, do roztrząsania i wiązania faktów, tych prawdziwych i jedynych składników wszelkiego poznania?

FILOZOF.

Zapomniałeś o jednej i to najściślejszej gałęzi wiedzy, o matematyce, która niezawodnie nie opiera się na doświadczeniu i snuje swoje prawdy drogą czystego rozumowania. Ale wszystko to, co mówisz i w czym masz zupełną słusność, nie usuwa sprzeczności pomiędzy poznaniem zmysłowym a rozumowem, wytkniętej już przez najbliższego z uczniów i następców Parmenidesa...

SCEPTYK.

Chcesz mówić o argumentach Zenona z Elei przeciwko ruchowi?

FILOZOF.

Przeciwko ruchowi, jako najprostszej ze zmian, przeciwko podzielności, jako podstawie pojedynczych istnień.

KOBIETA.

Przypominam sobie argument strzały, który mnie najwięcej uderzył: ponieważ strzała wypuszczona z łuku w każdej bardzo małej chwili zajmuje pewne miejsce w przestrzeni, czyli w każdej chwili zostaje w spoczynku, więc i przez cały czas lotu, który składa się z owych chwil, zostaje również w spoczynku. Ruch więc ma być złudzeniem?

FILOZOF.

Niemniej uderzający jest argument, zapomocą którego dowodzi Zenon, że ciało nigdy nie może dobieść do końca swojej drogi: wprawdzie bowiem nim dobiegnie końca, musi przejść połowę, aby dotrzeć do połowy, powinno przejść jej połowę, wcześniej jeszcze połowę tej połowy i t. d. do nieskończoności. Innymi słowy, ciało

powinno zająć nieskończoną ilość miejsc, co jest niemożliwe w skończonym czasie. To samo dowodzenie figuruje w formie obrazowej pod nazwą *Achillesa* — argument, w którym prędko biegnący Achilles nie może dogonić powoli przesuwającego się żółwia. — Przypomnę wreszcie dowody Zenona przeciwko mnogości: pojęcie to jest pełne sprzeczności; mnogość bowiem byłaby zarazem i ograniczoną i nieograniczoną co do liczby; nieskończenie małą i nieskończenie wielką. Ograniczoną — gdyż skoro byłoby wiele rzeczy, nie byłoby ich ani mniej ani więcej od tego ile jest; nieograniczoną — gdyż dwie rzeczy są dwoma przez to, że między nimi znajduje się trzecia, która je rozdziela; ażeby zaś ta trzecia była oddzielona od pierwszych, między nimi powinny być nowe i t. d. do nieskończoności. — Nieskończenie małą, gdyż każda mnogość składa się z pewnej sumy jednostek, prawdziwą zaś jednostką jest ta, która jest niepodzielna. Aby zaś być niepodzielną, powinna nie mieć żadnej wielkości, gdyż wszystko, co ma wielkość, jest nieskończenie podzielne. Skoro zaś jednostki nie mają żadnej wielkości, to i całość z nich złożona nie może jej mieć; ale ta całość musi jednocześnie być nieskończenie wielką: albowiem to, co nie ma żadnej wielkości, nie istnieje; więc mnogość, aby mogła istnieć, powinna mieć jakąś wielkość, czyli części jej powinny być od siebie oddalone, t. j. inne części powinny się znajdować między nimi. Te zaś znowu muszą mieć wielkość i powinny być rozdzielone przez inne części i t. d. do nieskończoności. Z nieskończonej zaś liczby wielkości, powstaje wielkość nieskończona.

Cel wszystkich tych dowodzeń jest jasny — wykazanie niezgodności z sobą owych dwóch władz poznawczych: oko uczy nas, że w świecie panuje zmienność; rozum dowodzi niemożliwości najprostszej nawet zmiany, jaką jest ruch. Oko i inne zmysły pokazują nam mnogość rozmaitych przedmiotów; rozum dowodzi niemożliwość oddzielnych bytów. Powinniśmy więc wybrać jedną z tych władz i jej zaufać, odrzucając inną. Taki wniosek zrobili eleaci ze swojej analizy poznania i oddali pierwszeństwo rozumowi.

PRZYRODNIK.

Przyznasz mi jednak, że jeśli takimi tylko dowodami filozofia zwalczać będzie prawdziwość świadectwa zmysłów, możemy spokojnie ufać im nadal i niosąc do ust kawałek chleba nie wątpić o tem, że nie polykamy wstrętnego gadu albo trucizny.

FILOZOF.

Potrącasz odrazu o cały szereg zagadnień; pozwól mi więc na nie odpowiedzieć po kolei. Najprzód argumenta Zenona nie są tak dziecinne, jak się wydać może na pierwszy rzut oka, a najlepszym tego dowodem, że do dziś dnia powstają wciąż nowe próby ich zwalczania.

PRZYRODNIE.

Gimnastyka rozumowa niezajętych niczem metafizyków!

FILOZOF.

Przepraszam, że muszę zaprzeczyć; ale nie sami metafizycy niemi się zajmują; zajmują się i ludzie wiedzy ścisłej, matematycy. Zresztą dotyczą one tych niewyjaśnionych a podstawowych punktów wiedzy, tych zasadniczych sprzeczności, które istnieją w niej dotychczas, tylko w nieco odmiennej formie.

Na początku każdej umiejętności spotykamy coś niejasnego, coś niedowiedzonego, a jednak potrzebującego dowodzenia. Nie mówię tu o prawdach, które są oczywiste bez dowodzenia, ale o takich, które nie są same przez się oczywiste, o których więc nie wiemy z pewnością, czy są prawdami, chociaż na nich budujemy niekiedy cały gmach wiedzy. Takie trudności spotykamy u podstawy każdej niemal umiejętności; wszędzie, gdzie tylko poznanie posunęło się do tego stopnia, że rozum mógł działać na równi ze zmysłami, t. j. teoria z doświadczeniem, dedukcyja z indukcyją. W matematyce znajdujemy taki 11-ty pewnik Euklidesa, dotyczący linii równoległych lub zasadnicze pojęcia rachunku różniczkowego; w fizyce pojęcie atomu i siły; przyczynowość i celowość w świecie organicznym. Trudności i sprzeczności te nie przeszkadzają wprawdzie rozwojowi wiedzy jej zastosowaniu, jak ślepa plama siatkówki nie przeszkadza nam widzieć całego pola widzenia. Są one wszakże nieprzełamaną zaporą dla *pojmo-*
wania świata; zaporą, o którą, jak dotąd, bezowocnie uderzają najpotężniejsze umysły nowych i dawnych czasów.

Eleaci przedstawili tylko w najogólniejszej formie te sprzeczności, które są dotąd nierozstrzygnięte, a tylko zamaskowane przez atomistykę w fizyce, przez rachunek różniczkowy w matematyce. Jest to odwieczne zagadnienie niezgodności arytmetyki z geometryą, matematyki z fizyką.

PRZYRODNIK.

Dziwna rzecz! Dostrzegacie panowie jakąś niezgodność między arytmetyką a geometryą, fizyką a matematyką. Jednakże umiejętności te żyją w jak najlepszej zgodzie z sobą i wspierają się nawzajem!

FILOZOF.

Dzieje się to dlatego, żeśmy ukryli te sprzeczności, przenosząc je w dziedzinę nieskończenie małych. Rozum ludzki tak jest urządony, że jeśli czarne nie może być dlań białem, to chętnie jednak zgodzi się, że nieskończenie mała czarna plamka może ujść za nieskończenie małą białą.

PRZYRODNIK.

Jednak doświadczenie nigdzie nie wykazuje śladów, iżby istniała jakaś zamaskowana niezgodność. Zetknięcie się tarczy słońca z cieniem księżyca nie wyprzedza obliczonej przez astronomów chwili początku zaćmienia, ani się od niej opóźnia. Na tysiącolecia w przyszłość i na tysiącolecia wstecz możemy obliczyć położenie ciał niebieskich z większą dokładnością, aniżeli byśmy je wprost obserwowwać mogli...

FILOZOF.

Zapomniałeś dodać: w «w granicach przyjętego za podstawę rachunku przybliżenia». Chwila obserwowana początku zaćmienia różni się zawsze na jakiś drobny ułamek czasu od obliczonej; stosuje się to do wszystkich obliczeń: wszędzie mamy jakiś *plus*, *minus*. Lecz mniejsza o to. Główną rzeczą jest to, że twoje dowodzenie nie broni bynajmniej filozoficznej wartości wiedzy. Gdyby, wyliczenia naukowe nie zgadzały się wcale ze spostrzeżeniem, wiedza nie miałaby dla nas żadnej wartości. Gdyby rozterka pomiędzy zmysłami a rozumem była tak głęboka, że ze świadectw zmysłowych rozum nie potrafiłby wywnioskować o grożącym nam niebezpieczeństwie lub o możliwych korzyściach, narzędzia te byłyby bezużyteczne w życiu praktycznym. Tej ich użyteczności nie myślę wszakże zaprzeczać. A najlepszym dowodem na jej korzyść jest świetny rozwój techniki i przemysłu, tak ułatwiający i upiększający nam życie. Cały ten rozkwit sztuk użytecznych opiera się wszakże na postępkach wiedzy, która nie jest

niczem innym, jak tylko metodycznym i wysubtelnionem zastosowaniem tych dwóch narzędzi poznania, podobnem wszakże w istocie do tego ich użytku, jaki czyni człowiek pierwotny a nawet zwierzę, gdy z minionego doświadczenia wnioskuje o przyszłych i do tego stosuje postępowanie swoje. Zwierzę unikające rozmaitych szkodliwych wpływów otoczenia, gromadzące zapas żywności i t. d., wykonywa już ten program wiedzy, jako czynnika użyteczności, który w tak zwięzłą formę ujął twórca pozytywizmu: *Savoir, pour prévoir, afin de pourvoir*. (Wiedzieć, aby przewidzieć w celu zapobieżenia).

PRZYRODNIK.

Forma to zarówno zwięzła jak i poprawna. Zadaniem wiedzy jest istotnie przewidywanie i korzystanie z tych przewidywań dla celów ludzkich.

FILOZOF.

Naszem zaś jest wykrzycie *prawdy*. I z tego właśnie punktu widzenia badamy doniosłość obu narzędzi poznania. Chcesz mi powiedzieć, że wiedza nie mogłaby przewidywać, nie posiadając prawdy? Jest to istotnie argument, którym najczęściej walczą dogmatycy wiedzy. Ale jej historia pełna jest dowodów przeciwnego. Chaldejczycy przepowiadali zaćmienia z dokładnością, na jaką pozwalały środki spostrzeżeń i narzędzia miernicze ówczesne, nie mając najmniejszego pojęcia o prawdziwej budowie nieba, a mniej jak sto lat temu Carnot wyprowadził swój znakomity «cykl», którym do dziś dnia posługują się jako podstawą do obliczania machin parowych, wychodząc z zupełnie mylnych wyobrażeń o istocie ciepła. A ileż to odkryć chemicznych zawdzięcza swe istnienie przebrzmiałej teorii flogistonu!

Uczonego zadawalnia zgodność obliczenia ze spostrzeżeniem; wszelkie teorye i hipotezy traktuje on jako rusztowania niezbędne w chwili danej, które jednak natychmiast odrzuci, skoro okażą się zbyt czynnymi lub gdy wynajdzie lepsze i prostsze. Dosyć mu mieć pewność w przewidzeniu i stałość w następstwie zjawisk. Ale filozof chce koniecznie *rozumieć*. Uczony zakłada sobie, że $a = b$ i snuje z tego szereg wniosków; a jeśli wnioski zgadzają się z rzeczywistością, mało go obchodzi prawdziwość zrównania początkowego. Ale filozof chce przedewszystkiem wiedzieć: czy ta równość istnieje i dlaczego? Nie dość mu tego, że w granicach

dokładności obserwacji rzeczywistość zgadza się z jego wywodami. Chce zgodności opartej nie tylko na niedokładności i ograniczoności naszych środków spostrzegania, wykradzonej niejako z pod czujności zmysłów; ale zupełnej i bezwzględnej, spoczywającej na uznaniu przez rozum.

PRZYRODNIK.

A więc, jako filozof, wytłumacz mi przynajmniej, czego nie rozumiemy w związku pomiędzy arytmetyką a geometryą, matematyką a fizyką. Gdzie tu ukrywają się sprzeczności?

FILOZOF.

Zanadto przyzwyczailiśmy się do nich, aby je dostrzegać. Ale odsłaniają nam je dzieje wiedzy. W samym już obrębie geometrii, co za trudność nieprzewyciężoną stanowiło dla greków starożytnych wymierzenie długości linii krzywych! Dostyc jest przyjrzeć się z bliska próbom Archimedesesa w tym kierunku, aby dostrzedz, ile wątpliwości budziła sama już myśl zastosowania linii prostej, będącej miarą długości, do krzywej, tak rdzennie i zasadniczo od niej odmiennej.

PRZYRODNIK.

A przecież nie tylko wiedza, ale i praktyka rozwiązuje to zagadnienie w sposób bardzo prosty. Oto mamy np. obwód kloca, który chcemy okleić papierem. Jak długi musi być wycinek papieru? — takie zadanie praktyczne postawić sobie musi każdy rzemieślnik. Bierze więc nić, otacza nią kloc, a później wyciąga na długość. Mamy tedy tu bezpośrednio otrzymaną długość krzywej czyli obwodu.

FILOZOF.

Masz słuszność. Takie jest praktyczne rozstrzygnięcie pytania. Właśnie dajesz przykład doskonały tej metody, którą się posługuje wiedza. Metody opartej na niedokładności naszych zmysłów. Ale dla filozofa zadanie nie jest w ten sposób rozwiązane, tylko przecięte. Wiesz dobrze, że matematyka nowożytna ze wszystkimi środkami, któremi rozporządza, nie może dać dokładnego stosunku pomiędzy długością koła a promienia, lecz jedynie przybliżony. Stosunek ten wyraża się liczbą *irracyonalną*, t. j. «niezrozumiałą». Sama ta nazwa świadczy, że tai się tu dla filozofa za-

gadnienie, które pomija przyrodnik, zadawalniający się tem, iż może ów stosunek irracjonalny obliczyć z takim przybliżeniem, jakie mu jest potrzebne.

PRZYRODNIK.

Nie widzę istotnie po coby miał się troszczyć o coś nad to.

FILOZOF.

Dla zastosowania wiedzy nie jest taka troska potrzebną. Inaczej się dzieje, gdy chcemy przy jej pomocy pojmwować świat. Podobnaż sprzeczność istnieje między rozdzielnymi liczbami arytmetyki a ciągłością przestrzeni lub czasu. Wszelką ilość czyli wielkość arytmetyczną uważamy za złożoną z jednostek, każdą jednostkę, jako osobnik niepodzielny. W rozciągłości, czyli wielkości geometrycznej, nie ma podobnych zamkniętych jednostek. Przestrzeń i czas płyną bez przerwy, liczby skaczą. Pomiędzy dwoma momentami czasu, jakkolwiek blizkimi siebie, ciągnie się nieprzerwana ilość innych momentów; przeciwnie, między dwoma ułamkami, jakkolwiek zbliżone będą ich wielkości, istnieje zupełna przerwa. Ażeby zbliżyć do siebie te dwie rzeczy: wytworzone przez rozum abstrakcyjne pojęcie wielkości i zmysłową formę ujęcia, przestrzeń, drobimy dalej te niepodzielne jednostki, owe «atomy»¹⁾ wielkości. Wytwarzamy łańcuchy, ułamki. Ale ułamki są zawsze tylko mniejszymi atomami, przerwy je dzielące są mniejsze, ale istnieją. Posuwamy więc dzielenie jeszcze dalej i dochodzimy do ilości nieskończenie małych, t. j. do różniczek, które są czemś pośredniem między wielkością a zerem; między czemś a niczem. Iloczyn dwóch różniczek jest już zerem, t. j. niczem; ich iloraz — wielkością skończoną t. j. czemś. Takie, nieskończenie małe ilości różnią się już bardzo mało od przedmiotu, z którym je utożsamiamy — nieskończenie mały odcinek łuku nie różni się od prostej; prędkość zmienną uważać możemy za stałą w bardzo małym odstępnie czasu; — a w granicach tej różnicy właśnie obliczenie zgadza się ze spostrzeżeniem. Gdy zaś ta ścisłość nas nie zadawalnia, bierzemy różniczki drugiego, trzeciego rzędu i t. d. Tak samo, jak z przestrzenią i czasem, postępujemy z napelniającą przestrzeń materią. Ażeby zastosować do niej pojęcie wielkości, rozbijamy ją na nieskończenie małe dro-

¹⁾ *Atom* znaczy po grecku «nie dający się rozdzielić».

biny, czyli cząsteczki fizyczne, a te w razie potrzeby dzielimy na jeszcze mniejsze, czyli atomy i t. d. Nie możemy inaczej zastosować pojęć rozumowych do rzeczy świata spostrzeganego, jak przenosząc do zakresu rozumowania nieścisłość zmysłów naszych, pozwalających ignorować niezgodności, gdy są bardzo małe.

PRZYRODNIK.

Jeśli cię dobrze rozumiem, wynikałoby stąd, że wszystkie owe wielkości nieskończenie małe w matematyce i w fizyce wprowadzone są jedynie w celu ukrycia szwów w łącaniu rozumowania naukowego?

FILOZOF.

Wyrażenie twe jest dosadne, ale poprawne. Poznawać świat, znaczy wciskać go w formy naszego rozumu. Ale pomiędzy tym rozumem, wytwarzającym wiedzę, a materialem spostrzeżenia zmysłowego, z którego ją wytwarza, istnieje ciągly rozdźwięk niedający się przejednać. Radzimy więc sobie w wiedzy wprowadzając do rozumowania zasadę spostrzegania zmysłowego, według której to, czego nie dostrzegamy, nie istnieje dla nas. Tak więc zmuszeni jesteśmy tylokrotnie udawać się do rzeczy nieskończenie małych, aby uzasadnić ową «niedostrzegalność» różnic.

PRZYRODNIK.

Sądziysz więc dalej, że cząsteczki i atomy wymyślone są jedynie w celu zastosowania liczby do zjawisk?

FILOZOF.

Nie jedynie, ale po części. Jest to jeden ze sposobów zamiany różnic *jakościowych*, które nam odsłania zmysłowość na *ilościowe* — wytwór myśli pojęciowej. Dwa ciała mają różną gęstość — powiadamy, że jedno z nich ma więcej cząsteczek niż inne w tej samej objętości. Jedno jest twardsze od drugiego — tłumaczymy to tem, że cząsteczki pierwszego przyciągają się silniej. Jedno jest ciepłe, drugie zimne: mówimy, że cząsteczki pierwszego są w szybszym ruchu. Jedno czerwone, drugie zielone — to znaczy, że cząsteczki pierwszego odbijają tylko powolniejsze drgania eteru, drugiego szybsze i t. d.

Ażebym zrozumieć myśl pitagorejczyków, którzy w liczbie widzieli istotę rzeczy, dość jest przypomnieć poglądy niektórych

nowożytnych filozofów i uczonych. Dla Ampèra na przykład, również jak dla Pitagorasa, jedynym trwałym, co zostaje po usunięciu zmienności i różnaitości obrazów zmysłowych jest liczba. Jakie jest podobieństwo między pięciu ludźmi a pięciu gwiazdami? To tylko, że i jednych i drugich jest pięć. Liczba niezależna jest od wszelkich różnic zmysłowych; ustanawia ona jedność tam, gdzie pozornie istnieje tylko różnorodność. To też dla Ampère'a rzeczywistością nie było niebo widzialne dla oczu cielesnych, ale to, które duchowym wzrokiem oglądał: niebo Newtonów i Laplace'ów, pełne ruchów i proporcji, t. j. liczb i stosunków.

PRZYRODNIK.

W takim razie pierwsi atomiści byliby twórcami wiedzy przyrodniczej nowożytnej, której główną cechą jest zastosowanie miary i wagi do wszechświata?

FILOZOF.

Bez wątpienia, a poprzedził ich Pitagoras, który powiedział że liczby rządzą światem. Atomiści starożytni rozcięli węzeł gordyjski, który rozplątać usiłowali daremnie ich poprzednicy, tak jak to uczynił Comte w naszym stuleciu: rezygnując z pojmowania dla wiedzy. Odnowiona teoria atomistów w wieku Odrodzenia stała się podstawą wiedzy nowożytnej. Ale rzecz można, że od chwili jej powstania wytknięte zostały dwie odmienne drogi dla umysłu badawczego: przyrodoznawstwa, badającego wszechświat jako mechanizm, i filozofii, zagłębiającej się w dziedzinę duchowości, a ogarniającej wszystkie jej gałęzie, filozofii, która w dziełach Platona wzbija się na szczyty idealizmu. Arystoteles chwilowo próbuje połączyć w sposób encyklopedyczny obie dziedziny. Ale zaraz po jego śmierci przyrodoznawstwo rozpryska się w uczonych aleksandryjskich na szereg badań specjalnych, dbających więcej o szczegóły i wiedzę, niż o całość i pojmowanie.

PRZYRODNIK.

Jeśli takie było zawsze usposobienie specjalistów, którzy, obrawszy pewien zakątek wiedzy, nie chcą wiedzieć o niczem poza niem, to nie zaprzeczysz jednak, że dążenie ogólne wiedzy współczesnej jest wprost przeciwne, że pojedyncze jej gałęzie coraz bardziej spajają się z sobą, tworząc organiczną całość, którą obejmuje w jednym systemacie filozofia pozytywna.

FILOZOF.

Prawdą jest, że wszystkie gałęzie wiedzy ściślej dążą coraz bardziej do zlania się w całość organiczną i jednolitą; że pojedyncze części tej całości są od siebie w zależności i zostają w ciągłym wzajemnym oddziaływaniu. Analiza matematyczna rozwija się przeważnie pod wpływem pobudek i zadań, które jej nasuwają mechanika, fizyka i astronomia; każda zaś z tych gałęzi wspiera się na innych. Hypotezy chemiczne usiłujemy doprowadzić do zgodności z wyobrażeniami o budowie materji, które wytwarza fizyka, a w chemii fizycznej czyli ogólnej wytworzyliśmy specjalną gałąź wiedzy przerzucającej most pomiędzy światem atomów a światem cząsteczek. Życie organizmów rozważa fizjologia, jako szereg objawów fizycznych i chemicznych, a fizjologia psychologiczna bada tę dziedzinę graniczną, w której sprawy fizyczne i chemiczne organizmów stykają się jak najbliżej ze zjawiskami świadomości czyli ducha. Ale jest to zarazem granica, gdzie się kończy skuteczność metody przyrodniczej, opartej na zastosowaniu wagi i miary; gdzie kończy się zgodność z sobą pojedynczych gałęzi przyrodoznawstwa. Można było, przyjąwszy atomy i ruch, wyprowadzić z nich — jak to zresztą czynili już w ogólnych zarysach atomiści starożytni — całą różnorodność świata zewnętrznego; możemy podobnie, jak oni, próbować wysnuć z tych ruchów różnorodność organizmów i celowość ich budowy, możemy wreszcie spodziewać się, że kiedyś wiedza ujmie w formuły matematyczne wibracje cząsteczek mózgu, owych «delikatnych, okrągłych i gładkich atomów duszy», jak się wyrażał Demokryt. Ale wiedza nasza kończy się tam, gdzie zaczyna się pierwszy brzask świadomości. Wiedza przyrodnicza, wiedza ilościowa dąży do tego, aby objąć cały wszechświat w jedną formułę matematyczną, jako olbrzymi mechanizm. Przedstawił to wspaniale Laplace, mówiąc, że duch, któryby bodaj na jedną chwilkę wiedział położenie i ruch wszystkich atomów świata, byłby w stanie na podstawie prawideł mechaniki wyprowadzić całą przeszłość i przyszłość. Zakładając w swojej formule świata $t = -\infty$, t. j. cofając się o nieskończoność czasów wstecz, poznałby zagadkowy pierwotny stan rzeczy, biorąc $t = +\infty$, t. j. zaglądnąc w nieskończoną przyszłość, ujrzałby stan końcowy. W tych granicach nie brakłoby mu żadnego ogniwa do ciągłości łańcucha przyczyn i skutków; ale pierwsze i ostatnie zostaną na zawsze zawieszono w próżni.

Zarówno początek jak i koniec wszechrzeczy, pierwsza i ostatnia przyczyna, powstanie i cel świata, leżą poza granicami tego olbrzymiego i wspaniałego gmachu, w którym, jak wyrzekł już Pitagoras «wszystkiem rządzi liczba». Podobnież skoro tylko przekraczamy granice zmysłowości i zastanawiamy się nad swojemi «stanami wewnętrznymi», skoro czujemy w sobie świt jutrzeńki ducha, olbrzymi mechanizm wraz z rządzącemi nim stosunkami i proporcjami rozwiewa się jak widmo z mgły.

Ze świata stopniowanych do nieskończoności ilości przechodzimy do świata jakości odciętych od siebie; z dziedziny ścisłej przyczynowości i zależności do zakresu swobody i popędów samorzutnych, regulowanych tylko przez prawo, które wola nasza sama sobie zakłada, przez autonomiczne prawo moralne. Związek pomiędzy obu światami zrywa się na granicy fizjologii psychologicznej, aby nawiązać się w inny sposób, pod przewodnictwem woli i samorzutnego nakazu w dziedzinach praktycznych: sztuki, rzemiosła i życia społecznego.

To cośmy dotąd brali za wspaniały gmach, okazało się tylko rusztowaniem niezbędnym do jego budowy, wiedza przyrodnicza w końcowej gałęzi swojej niszczy złudzenie, w którym nas dotąd utrzymywała: fizjologia organów zmysłowych odsłania nam nanowo te sprzeczności, które zřęcznie ukryła hipoteza atomistyczna; i wszystkie usiłowania ominięcia ich przez przyrodoznawstwo, okazują się bezowocnemi, skoro wychodząc poza przyrodę zewnętrzną, chcemy utworzyć sobie obraz całkowity świata.

PRZYRODNIK.

Domyślam się, iż chcesz mówić o podmiotowości wrażeń zmysłowych; ale proszę cię, wyjaśnij myśl twoją.

FILOZOF.

Czy słyszysz ten czysty ton, który wydobywa ze stojącej w kącie arfy Marzyciel, znudzony naszym abstrakcyjnym sporem? A teraz spojrzuj w miejsce skąd wypływa. Czem jest dla oka twego? Drgającą struną! — Ogień lampy, która jest światłem dla oka, ciepłem, gdy zbliżamy do niego dłoń, niczem nie przemawia do ucha.

PRZYRODNIK.

Wszystko to uznaje i tłumaczy wiedza. Dla fizyka ciepło, światło, dźwięk, są tylko drganiami cząsteczek ciał lub eteru.

Wobec zakończeń nerwowych organów zmysłowych, występują te drgania jako *bodźce*. Każdy z tych organów reaguje na jakiegokolwiek bądź bodźce zawsze jednakowym sposobem: oko wrażeniem świetlnem; nerwy termiczne — cieplikowem; ucho — dźwiękiem i t. d. Niema więc tu klótni poszczególnych zmysłów, tylko rozmaity sposób ich reagowania, wynikający z ich «specyficznych energii», jak nazwał był niegdyś Jan Müller tę ich właściwość.

FILOZOF.

Zgoda. Nie zatrzymuję się na znaczeniu i wartości tych przypuszczeń, do których jeszcze może z czasem wrócimy. Stwierdzam więc, jak uczy fizjologia, i jak to przed chwilą nam tłumaczyłeś, że każde podrażnienie nerwu wzrokowego, czy to prądem elektrycznym, czy przez uszczypnięcie, lub przecięcie podczas operacji, czy jakimikolwiek środkami chemicznemi wywołuje zawsze tylko wrażenie światła; że to samo stosuje się do słuchu i, po części przynajmniej, do innych zmysłów: wiadomo bowiem, że przepuszczając prąd elektryczny przez nasadę języka, otrzymujemy wrażenia smakowe, zbliżając naelektryzowany przewodnik do twarzy, czujemy jakby dotknięcie pajęczyny. Skoro zaś tak jest, czy nie możemy powiedzieć, że wrażenie powstaje w nas, a jakoś jego zależy wyłącznie od organu podrażnionego? Cóż w takim razie wiedzieć możemy o rzeczywistej jego przyczynie, o tem, co je wywołuje? Jaka pewność wniosku od wrażenia do rzeczy, która je wywołuje.

PRZYRODNIK.

Przecież nie zaprzeczysz, że muszą być jakieś przedmioty, które wywołują wrażenia?

FILOZOF.

Idealiści przeczą temu. Nie posuwając się wszakże tak daleko, zapytam tylko, co możemy wiedzieć o przyczynach wrażeń? Czy mamy wyobrażać sobie przyczynę światła jako szczypeczyki, uciskające nerw wzrokowy, czy jako kropelki kwasu padające na siatkówkę?

PRZYRODNIK.

Robimy ostrożne wnioski na podstawie starannie sprawdzonych świadectw wszystkich zmysłów, które poddajemy krytyce

i analizie rozumu, a w ten sposób dochodzimy do hipotez o materii, eterze i ich ruchu, jako o przyczynach wrażeń.

FILOZOF.

Jest to dawny probierz Locke'a, który uważał jakości za pierwszorzędne lub drugorzędne, stosownie do tego, czy opierały się na świadectwie dwóch lub więcej zmysłów, czy jednego tylko. Locke sądził np. że barwa i ton są podmiotowe, bo pochodzą każde, tylko od jednego zmysłu; natomiast kształt, ruch, wielkość, cielesność, miały należeć do samych przedmiotów, gdyż w poznaniu ich uczestniczą wzrok i dotyk. Wystawmy sobie sędziego, który wyrokuje na podstawie kłamliwych zeznań świadków. Czy wyrok jego będzie poprawnym, gdy zwiększy ilość fałszywych zeznań? Zgodności pomiędzy pojedynczemi zmysłami nie ma i być nie może, bo jakaż zgodność może być między światłem a wonią, ciepłem a dźwiękiem? Są to rzeczy, których nie możemy zgola porównywać. A nie mając *pewności* co do prawdy lub nieprawdy świadectw poszczególnych zmysłów, ani jakiegokolwiek sposobu sprawdzenia ich zgodności z przedmiotem, rozum stara się tylko pogodzić je z sobą; usunąć ich sprzeczności. W tym celu nie tylko rozkłada czyli *analizuje* dane zmysłów, ale uzupełnia i *syntetyzuje*, t. j. łączy przy pomocy wyobraźni twórczej, uzupełniając to, czego brakuje w świadectwach zmysłowych. Wystawmy sobie, że mamy jakiś stary, wyblakły obraz. Gdzieś tam pozostały plamy barwne, wyobrażające tu rękę, tam nogę, gdzieś tam części odzienia, liście, kwiaty — wszystko tak pomieszane, że na pierwszy rzut oka zdaje się, jakoby części obrazu były w kłótni z sobą. Zdaje się, że noga, którą widzimy, nie może należeć do tej samej osoby, co głowa; ręce nie zgadzają się z sobą, ani z resztkami tułowia. Ale oto przychodzi malarz i, przez zręczne dodanie kilku rysów, wywołuje z płótna obraz ustrojonej kwiatami i tańczącej bachantki, której sztuczna poza nadała pojedynczym członkom tak pozornie niezgodne z sobą położenie. Teraz wszystkie części zlewają się w jedną całość. Każdy rys uzupełnia inny. Obraz jest dla nas *zrozumiały*. A przez co został takim? Dzięki kilku pociągnięciom pędzla malarza. Taką też jest praca syntetyczna rozumu w wiedzy. Skąd jednak pewność, że rysy dodane, wiernie odtwarzają te, które niegdyś spajały w całość pozostające dziś na płótnie szczątki obrazu? Czy inny ma-

larz nie zdołałby uczynić tegoż przy pomocy zupełnie odmiennego połączenia istniejących barw?

To, czego brakowało w obrazie, stworzył malarz z swojej wyobraźni. Podobnież umysł nasz wytwarza wyobrażenia i pojęcia, przy pomocy których łączy z sobą świadectwa zmysłów, doprowadzając je w wiedzy do jedności harmonijnej. Hypotezy i teorye są w wiedzy tem, czem rysy dodane przez malarza w naszym przykładzie. Tylko dzięki takiej twórczości, tej syntezie, istnieje wiedza i wszelkie poznanie. A zaczyna się owa twórczość już w organach zmysłów. Oko uzupełnia braki siatkówki i daje nieprzerwane pole widzenia, pomimo istnienia ślepej plamy.

PRZYRODNIK.

Zgodzisz się wszakże, że przy pewnym układzie plam na płótnie, prawdopodobieństwo domysłów może prawie dorównywać pewności?

FILOZOF.

Owo «prawie» wystarcza dla uczonego, który robi obliczenia swoje zawsze w granicach możliwego prawdopodobieństwa i możliwej ścisłości. Ale dla filozofa niema ono żadnej wartości, gdyż prawdopodobieństwo, chociażby największe, oddzielone jest taką przepaścią od pewności, jaka istnieje między bytem, chociażby nieskończenie małym, a niebytem, t. j. zerem. Matematyka przechodzi ponad temi trudnościami, jak to już widzieliśmy, przerzucając je do dziedziny nieskończenie małych różnic, uważając bardzo małą ilość za zero, bardzo wielkie prawdopodobieństwo za pewność. Inaczej niemożliwe byłoby ilościowe ujęcie świata, który dla zmysłów składa się z jakości. Te drobne nieścisłości niezbędne są do uzupełnienia obrazu przyrody, tak jak może niejedno pociągnięcie pędzla, maskujące pozostałe na płótnie plamy, koniecznem było do wskrzeszenia postaci bachantki.

Nie zapominaj i tego, że porównanie, którego użyłem, grzeszy nieścisłością, obracającą się nie na korzyść wiedzy. Obraz uzupełniał się według znanego wzoru — człowieka; wnosząc zaś o wszechświecie według tych «plam», które stanowią cały zasób poznania zmysłowego: barw, tonów, woni, smaków, czuć dotykowych, uzupełniamy je do nieznanego nam pierwowzoru.

SCEPTYK.

Widzę, że jesteś impresjonistą w filozofii.

FILOZOF.

Nie wypowiedziałem dotąd jeszcze swego zdania; snuję tylko wnioski z założeń postawionych przez Przyrodnika. Fizyka rozkładająca zjawiska na ruchy ciał lub atomów, oraz fizjologia zmysłów, ze swoją nauką o energii właściwej nerwów czuciowych, prowadzą z koniecznością do nauki o *podmiotowości* wrażeń. Jest to twierdzenie *sensualizmu*. Pogląd zaś, który Sceptyk nazwał impresyonizmem filozoficznym, pogląd nie przyznający istnienia innych rzeczy, prócz owych plam wrażeńiowych, a więc samych tylko zjawisk, nazywa się *fenomenizmem*. Jest to czysta filozofia faktów nie dopuszczająca żadnego wiążącego je cementu; dla fenomenistów wszechświat, rozprasza się na chaos niezwiązanych niczem zjawisk czyli przedmiotów wrażeń a istota poznająca — w podobnyż chaos stanów świadomości: uczuć wrażeń, myśli, o których nie możemy nawet powiedzieć, czy należność ich do jednej i tej samej osoby nie jest czystym złudzeniem.

PRZYRODNIK.

Widzę, że nie dajesz wcale wiary zmysłom; zdaje mi się więc, iż w sporze między racjonalizmem a sensualizmem stajesz po stronie pierwszego. Lecz powiedz, czyż nie następcy Kartezjusza zapędzili filozofią na rozdroża metafizyki, bałamucąc umysły, dopóki Kant nie przyszedł i jednym podmuchem nie rozwał tego karcianego domku?

FILOZOF.

Bądź ostrożnym. Radzę ci z większą oględnością powoływać się na Kanta; bo jeśli on porównał metafizykę szkoły Wolffa do marzeń czuwającego, to w oczach wczorajszych pozytywistów, którzy dziś jak najpoważniej traktują krążenie stołów i ukazywanie się duchów, jako «fakta» zasługujące na roztrząsanie i badanie (jakie to świetne wyniki owej wygłoszonej przez ciebie teorii, mocą której fakt jest podstawą prawdy!), w ich oczach takie porównanie nie powinno brzmieć jako potępienie. Z drugiej zaś strony ten sam Kant, jedną ręką burzący dawną metafizykę dogmatyczną racjonalistów i zakładający podstawy nowej, krytycznej, drugą zniszczył nazawsze również dogmatyczną metafizykę materyalistyczną, którą wy, panowie przyrodniczy tak chę-

tnie przemycacie pod osłoną neutralnej nibyto w sporach filozoficznych flagi wiedzy ścisłej.

Dobrze wszakże żeś wspomniał imię Kanta. Przychodzi ono w sam czas w tym punkcie naszej dyskusyi. Zgodziliśmy się na to, że ciepło i zimno, barwa i ton są w nas, nie zaś w przedmiotach zewnętrznych, jak się zgadzał co do tego punktu materialista Demokryt, ucząc, że wszystko, prócz atomów i ruchu, jest «mniemaniem», t. j. wyobrażeniem z racjonalistą Kartezyuszem, który nazywał te własności rzeczy *drugorzędnymi*, uważając je za nasze tylko wyobrażenia; kiedy przeciwnie, rozciągłość, kształt, ruch lub spoczynek, ilość, nazywał własnościami *pierwszorzędnymi* — a Locke dodał do nich nieprzenikliwość czyli opór, który ciała wykazują przy dotykaniu. Te pierwszorzędne własności uważano powszechnie za należność rzeczy samych; dopiero Berkeley odważył się zaprzeczyć temu, a gdy to uczynił, «rzeczy» roztopiły się w nic, jak śnieg od podmuchu ciepłego wiatru — zostały tylko wyobrażeniami istot myślących czyli duchów. Dzisiejsza fizyologia zmysłów nie może przystać na taki podział: wiemy, że poczucie oporu przy dotknięciu twardej rzeczy jest tak samo objawem energii właściwej nerwów, jak i dźwięk lub światło. Jeśli więc wszystkie własności rzeczy są w nas, jeśli np. rozkładając wyobrażenie przedmiotu, który nazywamy pomarańczą, przychodzimy do wniosku, że wrażenia dotykowe, których nam dostarcza — miękkość i gładkość skórki, uczucie chłodu, powstają w nas, tak samo, jak smak i woń, jak czerwona jej barwa — to cóż zostaje w samym przedmiocie? Co stanowi jego istotę czyli *substancją*? — Przestrzeń, którą zajmuje, kształt, wielkość — odpowiedziałby Kartezyusz. — Lecz dla czegoż nie mamy posunąć się o krok dalej i powiedzieć razem z Kantem, że i ta przestrzeń istnieje w nas tak samo, jak barwa, jak woń, jak wszystkie inne własności zmysłowe?

PRZYRODNIK.

Chętnie się zgadzam na podmiotowość przestrzeni, tem bardziej, że i matematyka dzisiejsza stara się wytworzyć ogólniejsze o niej pojęcie, niż geometrya Euklidesa, licząca tylko trzy wymiary. Przystaję więc na to, że przestrzeń trójwymiarowa może być tylko wytworem naszej wyobraźni; ale przecież musi istnieć jakiś ośrodek, w którym znajdują się rzeczy, może być wcale niepodobny do naszej przestrzeni o trzech wymiarach.

FILOZOF.

Tak; panowie gotowi jesteście szukać poza przestrzenią zjawiskową jakiejś innej transcendentnej, a nawet, posługując się pewnymi konstrukcjami matematycznymi, usiłowano wprowadzić pojęcia rozmaitych rodzajów przestrzeni. Ale myśl Kanta sięga znacznie dalej. Dla niego przestrzeń jest tylko formą ujęcia, a więc nie istnieje wcale po za nami. Mówiąc obrazowo, przestrzeń jest tylko pewnym porządkiem obserwowanych przez nas zjawisk. Szukać jakiejś przestrzeni rzeczywistej po za tą, którą znamy, jest według myśli Kanta; takąż nedorzecznoscą, jak wyobrażać, że po za książkami umieszczonemi w pewnym porządku w bibliotece istnieje jeszcze jakiś osobny przedmiot, który nazywa się ich klasyfikacją. Ta «podmiotowość» przestrzeni, na jaką tyś się zgadzał, a którą przyjmuje i H. Spencer, starając się unaocznic ją przykładami skażeń, którym ulegają odbicia przedmiotów w zwierciadłach walcowych lub stożkowych, spoczywa na pomieszaniu formy wrażenia z jej treścią. Są to rzeczy, których rozróżnienie stanowi właśnie doniosły punkt estetyki transcendentalnej Kanta. Treścią wrażenia są jakości zmysłowe. Nie odpowiadają one zapewne rzeczywistości przedmiotowej, jak o tem i fizyologia dzisiejsza i fizyka uczą. Ale jedna i druga każą nam przyjąć, że odpowiadają im pewne «bodźce», pewne własności przedmiotów zewnętrznych, powodujące różnicę tych jakości w podmiocie, t. j. w umyśle naszym. Przeciwnie, przestrzeń, która jest *formą ujęcia*, jest zupełnie naszą i podmiotową. Nie odpowiada jej nic w rzeczywistości, według nauki Kanta. Jest ona tym porządkiem, który my wnosimy do świata zewnętrznego, tym sposobem ugrupowania owej treści wrażenia, owych jakości zmysłowych, który już od nas całkowicie pochodzi. Ten to porządek rozmieszcza treść wrażeniową według trzech wymiarów przestrzeni, wytwarzając z niej świat rozciągły.

Widzisz więc, jak stopniowo zmalała owa cząstka «prawdy przedmiotowej», którą zawiera w sobie ujęcie zmysłowe, t. j. to, co stanowi *fakt* właściwy, fakt bezpośrednio dany. Dla umysłu naiwnego jest on cały prawdą; stopniowo badanie filozoficzne i naukowe przychodzi do zaprzeczania prawdziwości pewnej części naszych ujęć: prawdziwemi są tylko własności pierwszorzędne: cielesność, rozciągłość, kształt; drugorzędne — ton, barwa, ciepło, zimno i t. d. są podmiotowe. Jest to stanowisko Locke'a i wie-

dzy współczesnej, dla której materya z «pierwotnemi» własnościami matematycznymi jest realnością. Dlaczego tak jest? Dlaczego fizyka dzisiejsza zatrzymała ów podział na własności pierwszorzędne i drugorzędne, które już Berkeley w połowie XVIII wieku wygnał był z filozofii? Odpowiedź na to znajdziesz z łatwością, jeśli przypomnisz sobie początek naszej dyskusji: są to własności matematyczne, te które pozwalają zastosować liczbę, miarę i wagę do świata rzeczy. Odrzucając je, wiedza zmuszonaby była do zrezygnowania z podstawowego dążenia swego, zasady swej metody: redukcji jakości do ilości. Cóżby jej zostało, gdyby nie mogła mierzyć odległości i rozmiarów ciał i atomów, prędkości ruchów, napięcia sił?

Ale postępowanie teorii poznania idzie swoją drogą. Po Berkeleyu przychodzi Kant i powiada, że owe pierwotne własności materii, to fikcja naszej wyobraźni twórczej razem z całą przestrzenią, w której tkwią, a która jest tylko formą naszego ujęcia. Z rzeczy więc pozostają tylko jakieś aluzye: przypuszczalne istnienie czegoś nazewnątrzą nas, co powoduje, że treść wrażenia odczuwamy raz taką, raz inną. Wszystko pozostałe: przestrzeń z całą geometryą ciał, przenosi się do wnętrza myśli naszej, staje się wytworem naszym, a napięcia sił lub energie stają się tylko ilościowym wyrazem przyczynowości.

SCEPTYK.

Ciesz się mnie bardzo ten wasz postępowanie teorii poznania. Wszystko to woda na młyn staruszka Pyrrona; a jeśli filozofia dzisiejsza pójdzie dalej tą drogą, to mam nadzieję, że z czasem dojdzie do tej prawdy, którą my, sceptycy, oddawna posiadamy, t. j. że nic pewnego wiedzieć nie można.

KOBIETA.

Mam nadzieję, że druzgocąc tak bezlitośnie jedno z tych narzędzy, przy pomocy których umysł nasz stara się dotrzeć do prawdy, czynisz to, Filozofie, jedynie po to, aby stanąć w obronie drugiego. Wykazując, że okienko zmysłów, przez które na świat zewnętrzny patrzymy, mętne tylko i niepewne przynosi nam ztamtąd blaski, zapewne nie zechcesz odbierać nam całkowicie nadziei poznania rzeczywistości, a to, czego zmysły dokonać nie mogą, spodziewam się, że łatwiejszem okaże się dla rozumu.

FILozOF.

Obawiam się, że zawiodę nadzieje twoje, Pani. Niestety, chciałbym posiadać tę pewność w zakresie filozofii, z jaką Przyrodnik oddzielił był złudzenie od rzeczywistości w zjawiskach wschodu i zachodu światła niebieskich. Widzieliśmy wszakże, jak rozległy obszar zaczyna obejmować złudzenie dla umysłu filozoficznego. Cały świat nas otaczający z niezliczonymi słońcami w niesłychanym pędzie przebiegającymi nieskończone obszary przestrzeni; z planetami dokoła nich krążącymi i wirującymi, z barwną różnorodnością życia na tych planetach; z niezliczonymi i urozmaiconymi połączeniami, składami i rozkładami atomów i sił w każdej cząsteczce materii żywej i nieżywej, wszystko to okazuje się jednym olbrzymim złudzeniem, fikcją zmysłów naszych nie lepszą od wschodu i zachodu słońca. I nie tylko to, co odczuwamy bezpośrednio, ale i cała misterna naukowa budowa tego świata; bo przecież w osnowie jej tkwią te same własności przestrzeniowe, «pierwszorzędne», które uznaliśmy za podmiotową formę poznania. A jeśli dodamy do tego, że i czas jest podobną formą stawania się wewnętrznego, a przez to i zewnętrznego — bo świat zewnętrzny istnieje dla nas tylko o tyle, o ile odbija się w naszym umyśle — musimy rozciągnąć zakres złudzenia nie tylko na współistnienie świata, ale na całą jego przeszłość i przyszłość.

SCEPTYK.

Coraz to jaśniej nam się robi, kochany Filozofie!

FILozOF.

Pytanie twoje, Pani, przenosi nas w dziedzinę «logiki transcendentnej». W niej wykazał Kant, że podobnie, jak w ujęciu, umysł nasz układa treść wrażenia według swoich własnych form: czasu i przestrzeni; tak i pojęcia wiążą się w nim przy pomocy stałych form czyli kategorii, których pochodzenie jest również podmiotowe. Jak przy ujęciu świata przez zmysły, tak i przy ujęciu jego przez myśl, wtłaczamy go zawsze do form apriorycznych, właściwych umysłowi naszemu. Do takich kategorii należy, obok innych, przyczynowość. Jest ona wynikiem potrzeby umysłu naszego łączenia z sobą zjawisk, jako przyczyn i skutków. Jeśli zważymy, że przyczynowość jest podstawową zasadą, na której spoczywa cały gmach «praw przyrody», to pokaże się, że cały

ten olbrzymi systemat «żelaznych i niezłomnych praw» zbudowany jest na czysto podmiotowej podwalinie i rozwiewa się w mgłę za powiewem teorii poznania, podobnie jak i zasadnicze pojęcie treści przyrodoznawstwa, materya.

PRZYRODNIK.

Czyżbyś chciał twierdzić, że i prawa przyrody, owe ściśle, wieczne, niezachwiane, rządzące światem z żelaznym rygorem, są także złudzeniem naszym?

FILOZOF.

Złudzeniem w tem samym znaczeniu, w jakim są nim przestrzeń i czas. Złudzeniem koniecznym a zbawiennym, bo bez niego niemożliwe byłoby poznanie.

PRZYRODNIK.

Jakimże sposobem poznanie, które jest dążeniem do prawdy, może opierać się na złudzeniu, t. j. nieprawdzie?

FILOZOF.

Czyż nie zgodziliśmy się na to, że cechą znamioną poznania naukowego jest przewidzenie: *Savoir, afin de prévoir?* Powiedz teraz, czy możliwym byłoby przewidzenie, gdybyśmy nie przyjęli z góry pewnej regularności w przebiegu zjawisk, gdyby wszystko mogło powstawać ze wszystkiego i następować po wszystkim?

PRZYRODNIK.

Oczywiście, że nie byłoby możliwym i w tem właśnie mamy najlepszy dowód, że prawa przyrody nie są urojeniem.

FILOZOF.

W czym mianowicie widzisz ten dowód?

PRZYRODNIK.

Gdyby prawidłowość przyrody była urojoną, przewidzenia nasze nie zgadzałyby się z rzeczywistością, jak to bywa wtedy, gdy badacz, zamiast rzeczywistego odkrycia, wytworzy urojone prawo.

FILOZOF.

A jakże postępuje wtedy przyrodnik, gdy natura nie zgadza się z owem «urojonem» prawem?

PRZYRODNIK.

Odrzuca je i szuka prawdziwego.

FILOZOF.

To też tłumaczy nam, dlaczego przyroda zawsze zgadzać się musi z naszymi prawami. W tym punkcie, gdzie zaczyna się niezgodność, wynajdujemy nowe prawa lub siły, które ją naprawiają i restytuują harmonią pomiędzy myślą a postrzeżeniem.

PRZYRODNIK.

Lecz jakże wytłumaczysz przepowiednie naukowe? Te świetne tryumfy wiedzy, jak odkrycie Neptuna drogą rachunku z perturbacyj Urunusa? Jak wysnuć dedukcyjne refrakcji stożkowej, którą stwierdziło doświadczenie odpowiednio do przewidzeń ułożone?

FILOZOF.

Czy nie jest takim każde doświadczenie metodyczne? Czy nie opiera się na pewnych domysłach, przypuszczeniach, przewidywaniach? Cóż to znaczy owa zgodność z przewidywaniem? Nic innego tylko, że wykroiliśmy z niezmiernego obszaru, nieskończone różnaitych zjawisk, niewielki skrawek, według wymagań naszego rozumu. Skorośmy wśród tej niezmiernej różnaitości, z której wszystko wybrać można, zdołali dobrać pewną gromadkę zjawisk odpowiadających tym wymaganiom, to cóż dziwnego, że znajduje się jeszcze jedno nowe do nich się przyłączające? Umysłem niemethodycznym imponuje zapewne, że to nowe zjawisko poznaniem zostaje już po ustanowieniu prawidła. Ale dla uczonego lub filozofa nie powinno to stanowić różnicy. Wszakże zgodziliśmy się już na to, że «mylne» hipotezy mogą służyć za podstawę do poprawnych wniosków. Newton czynił swoje odkrycia optyczne, opierając się na hipotezie wpływu cząsteczek świetlnych, a Carnot wywiódł swój słynny cykl zapomocą przypuszczenia o niezmienniej ilości ciepłika, który traktował jako «substancyą».

PRZYRODNIK.

Między hipotezą a prawem przyrody istnieje wszakże ogromna różnica.

FILOZOF.

Nie tak wielka jak sądzisz. W czym ją widzisz?

PRZYRODNIK.

Przedewszystkiem w tem, że hipoteza jest wytworem wyobraźni pomysłanym, gwoli faktom; prawa zaś przyrody są ścisłą indukcją z faktów.

FILOZOF.

Zgoda co do pierwszego. Hipoteza jest wytworem wyobraźni. To znaczy, że sformułowana jest w terminach zmysłowych, konkretnych, wyobraźalnych. Prawo zaś przyrody ujęte jest w pojęcia abstrakcyjne, myślowe. Na tem polega istotna różnica. Innej nie dostrzegam; a jeśli przyjrzesz się uważnie, sądzę, iż zgodzisz się na to, co twierdę, t. j. że hipoteza naukowa jest tylko zmysłowo-wyobraźalnym symbolem stosunku, który w terminach pojęciowych wyraża prawo natury; jest intuicyjną, naoczną formą tej samej syntezy, której formę dyskursywną stanowi prawo. Różnica między obu polega jedynie na czynnościach umysłowych, których są wytworem, nie zaś na stosunku każdej do rzeczywistości.

PRZYRODNIK.

Nie chcesz przyznać, że odmienne są drogi, które do obu tych wytworów prowadzą? Czyliż indukcja, zapomocą której znajdujemy prawa przyrody, nie odsłania nam prawdy realnej, zgoła odmiennej od przypuszczeń, zawsze niepewnych, hipotezy?

FILOZOF.

Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie. A więc przedewszystkiem: na czym polega indukcja? Czy nie jest to wnioskowanie na podstawie pewnego spostrzeżenia, że zjawisko podobne powtórzy się, skoro warunki podobne się powtórzą?

PRZYRODNIK.

Nie inaczej. Stapiam siarkę z żelazem i otrzymuję ciało czarne, porowate, które jest siarkiem żelaza. Wnoszę stąd, że ilekroć powtórzę to doświadczenie, otrzymam podobneż ciało.

FILOZOF.

Zobaczmy więc, na czym spoczywa ten wniosek. Czy nie wymaga on najsamprzód przypuszczenia, że wśród rozmaitych substancyj, z którymi spotkać się możemy w naturze, t. j. w zakresie naszych spostrzeżeń świata zewnętrznego, istnieją jednako, którym nadajemy imię siarki, żelaza i t. d.?

PRZYRODNIK.

Niezawodnie. Uczy nas tego doświadczenie.

FILOZOF.

Zobaczymy, czy uczy, czy może my je uczymy. Powtóre, czy nie wymaga wniosek indukcyjny założenia, że zjawiska przyrody odbywają się z pewną stałą prawidłowością? Bo inaczej dla czegóżbyśmy się nie mogli spodziewać, że stapiając siarkę i żelazo jutro otrzymamy cynober, pojutrze cukier i t. d.?

PRZYRODNIK.

Znowuż doświadczenie nas uczy o tem.

FILOZOF.

Za chwilę wrócimy do doświadczenia. Tymczasem mówimy o indukcji. Zgadzasz się więc, że przekonanie o tem, jako raz spostrzegane zjawisko powtórzy się, skoro tylko wrócą te same warunki, stanowi podstawę wniosku indukcyjnego. Jest to założenie, które wytknął już J. St. Mill, pod nazwą «zasady jednostajności przyrody». A teraz przyjrzyjmy się temu, czego nas istotnie uczy doświadczenie w przytoczonym wypadku. Czy każde ciało, które robi wrażenie żółtej barwy na oko, nazwiemy siarką?

PRZYRODNIK.

Nie; oczywiście, iż powinno posiadać cały szereg innych własności, wyróżniających siarkę od niezliczonych ciał żółtych, odmiennych od niej.

FILOZOF.

Innemi słowy tworzymy sobie pewien schemat pojęciowy, w który usiłujemy wcisnąć przedmioty naszego spostrzeżenia. Jeśli przedmiot, który w chwili danej podpada pod obserwację naszą, nie daje się wcisnąć w taki schemat, jeśli się różni w znacznym stopniu zachowaniem wobec czynników, jak przyciąganie ziemi, powodujące ciężar właściwy, działanie wysokiej temperatury, określającej topliwość i t. d., to tworzymy dla niego nowy schemat, nową klasę. Albo, jeśli różnice te nie są znaczne, powiadamy, że mamy siarkę w stanie nieczystym. Widzisz więc, że już samo pojęcie pewnego indywidualizowanego ciała, np. siarki lub węgla, jest tylko schematem myślowym, do którego dobieramy mniej lub więcej z nim się zgadzające dane z nieskończonej różnorodności naszego doświadczenia.

PRZYRODNIK.

Jakże wytłumaczysz, że jednak dane te dają się dopasować do tych schematów?

FILOZOF.

Przyroda jest skrzynią, zawierającą nieskończoną ilość nieskończenie różnorodnych przedmiotów. Zapuszczając do niej rękę nieskończoną ilość razy i wyciągając naoslep, mamy zawsze szansę, wyciągnąć od czasu do czasu przedmioty jednakowe. Więcej nawet; możemy liczyć na to, że od czasu do czasu przedmioty te powtórzą się w jednakowym porządku po sobie, lub w jednakowych połączeniach jednoczesnych. Tłumaczy to nam, dlaczego możemy grupować zjawiska według zasady stałej prawidłowości, nie stając w rozdzwiku z obserwacją.

PRZYRODNIK.

Jakto! Sądziś, że owa niezłomna a tak ścisła prawidłowość zjawisk przyrody jest tylko przypadkowym zbiegiem jednakowych wypadków, wybranych wśród niezliczonej ich różnorodności?

FILOZOF.

Nie inaczej. Matematycy dawno wiedzą o tem, że bezładne pomieszczenie może przybierać pozory najściślejszej prawidłowości. Wyraża to znane «prawo wielkich liczb», teoremat wysnuty przez

Poisson'a. Jeśli weźmiemy np. znaczną ilość ludzi, dajmy na to 10.000 i zrobimy pomiary ich wzrostu, okaże się, że pewna regularna ilość będzie odbiegała od przeciętnego wzrostu w jedną i w drugą stronę. Podobnie ilość listów źle zaadresowanych powtarza się mniej więcej regularnie co roku, chociaż nie można oczywiście znaleźć żadnej przyczynowości zrozumiałej, któraby tłumaczyła stałość tej liczby. W najnowszych czasach zaś, jeden z głośnych matematyków polskich ¹⁾ wykazał drogą analizy matematycznej, że przyczynowość mechaniczna, czyli założenie deterministyczne Laplace'a można uważać za wypadek szczegółowy prawdopodobieństwa, t. j. jako regularność wypływającą z chaosu niezliczonych, a żadnym prawidłem nie związanych wypadków.

PRZYRODNIK.

Czemże jest w takim razie indukcja i badanie naukowe? Byłyżby także złudzeniem umysłowym?

FILOZOF.

Bynajmniej. Indukcja jest tylko odwrotną czynnością dedukcji, która jest prostą sprawą logiczną, jak to zresztą przed laty już wykazał logik angielski Stanley Jevons. Czynność indukcyjna składa się z dwóch momentów: robimy hipotezę i sprawdzamy ją następnie, snując z niej wniosek dedukcyjny, który porównujemy z obserwacją. Jeśli zgoda nie następuje, odrzucamy hipotezę przyjętą i tworzymy nową. Widzisz więc, że indukcja nie jest narzędziem pozwalającym wnikać bezpośrednio w głąb tajemnic bytu. Polega ona na twórczości dowolnej, jak i stawianie hipotez naukowych; różni się od ostatniego tylko tem, że zamiast obrazów naocznych posługuje się pojęciami abstrakcyjnymi. Dlatego też wytwór jej, prawa przyrody, ujęte są w terminach pojęciowe. Na tem jedynie, jak już zaznaczyłem, polega różnica między prawem przyrody a hipotezą naukową. — A teraz, jeśli przypomnisz zasadę indukcji, wygłoszoną przez J. St. Mill'a, zasadę «jednostajności przyrody», zrozumiesz drugi powód, dla którego atomizm jest hipotezą tak dogodną dla przyrodoznawstwa.

PRZYRODNIK.

Domyślam, się, iż jest nim pomnożenie ilości bytów, aby wytworzyć więcej jednakowych.

¹⁾ P. Wł. Gosiewski.

FILOZOF.

Słusznie; chociaż ilość przedmiotów obserwacji jest nieskończona, nie wystarcza wszakże, aby zadośćuczynić potrzebom tej metody, z jaką przystępujemy do pojmowania świata, w granicach ścisłości naukowej. Mnożymy więc ilość rzeczy, drobiąc w myśli każdy przedmiot widzialny na nieskończoność atomów lub cząsteczek niewidzialnych. A każda nowa gałąź wiedzy wytwarza potrzebę coraz dalszego postępu w tym kierunku. Mamy więc biofory i micelle dla zjawisk życia; cząsteczki fizyczne, cząsteczki chemiczne, atomy pierwotne i t. d.

PRZYRODNIK.

Odsłaniasz mi widoki tak niespodziewane, że doznaję wrażenia, jak gdybym się przeniósł na inną planetę i cały bieg świata z nowego oglądał stanowiska.

FILOZOF.

Istotnie, niejedno przedstawia się w świetle odwrotnem z tego stanowiska. Tak np. możemy powiedzieć teraz, w przeciwności do tego, co twierdził Kartezjusz, że właśnie w miarę tego, jak gałąź wiedzy staje się ściślejszą, jak daje się ująć w prawa matematyczne, oddala się coraz bardziej od prawdy, staje się coraz więcej fikcją, naszym pomysłem, wytworem podmiotowości umysłu, tak jak fikcją jest cała matematyka, dotycząca przedmiotów nieistniejących: przestrzeni i czasu. Dlatego właśnie jest ścisłą; dlatego rozum nasz czuje się w niej panem zupełnym i może bez pomocy doświadczenia budować gmachy najfantastyczniejsze, nie obawiając się, aby rzeczywistość zaprzeczyła im prawa bytu. A im większy zakres przyrody wciąga pod panowanie tych fikcyj ilościowych, tem bardziej wprawdzie czuje się w nim jak w domu, tem bezwzględniejszym jest nad nim panem, ale też tem dalszym od rzeczywistości.

PRZYRODNIK.

A tajemnica owej władzy nad przyrodą?..

FILOZOF.

Tłumaczy się bardzo prosto. Wystaw sobie olbrzymi magazyn, zawierający nieskończoną ilość rozmaitych przedmiotów. Do-

póki nie wiemy nic o rozmieszczeniu tych przedmiotów, pomimo bogactwa zasobów, jakie zawiera, jest dla nas bezużytecznym. Moglibyśmy strawić życie bezowocnie na poszukiwaniu rzeczy, której potrzebujemy bardzo nagle. Lecz skoro tylko skatalogujemy zawartość magazynu i dodamy do tego odpowiedni skorowidz, skarby jego staną dla nas otworem. Przyroda nie ujęta w karby praw, niezrozumiała dla nas, jest takim magazynem pozbawionym katalogu. Niezmierne bogactwo jej zasobów jest dla nas bezużytecznem, gdyż nie potrafimy korzystać z niego. Im więcej rozum nasz wnika w nią przy pomocy praw, które jej narzuca, im «zrozumialszą» staje się dla nas, tem więcej możemy korzystać z jej zasobów, tem cudowniejszą staje się nasza władza nad nią. Fikcyjność prawodawstwa tego nic nie ujmuje rzeczywistości samej władzy. Podobnie i katalog skorowidzowy magazynu jest fikcją odpowiadającą potrzebom klasyfikatorskim naszego umysłu, fikcją, której nic nie odpowiada w rzeczywistości; mimo to staje się kluczem do tej rzeczywistości.

SCEPTYK.

Brawo Filozofie! Strzaskales oba urojone narzędzia poznania. Zniweczyles racjonalizm obok sensualizmu. Wykazales, że rozum i zmysły to są tylko słomki, przy pomocy których dzieci wydymają bańki mydlane, lubując się w ich jaskrawych barwach, dopóki nie pękną, pozostawiając zaledwie drobny pyłek mydliu; że są to kalejdoskopy, które ręka filozofów obraca, rozkoszując się coraz to nowem ukształtowaniem nie istniejących w rzeczywistości deseniów. Ponieważ niema nic trzeciego, coby rościło pretensyę do tego, iż jest drogą niezawodną do prawdy, możemy więc śmiało powiedzieć: *poznanie jest niemożliwe*. Nie mieszałem się do waszego sporu; nie przedstawiałem swoich wywodów. Bo i pocóż miałbym to czynić? Zburzyliście sami wszelką pewność. Ja zaś z góry już wiedziałem, że orzech, o który kłóćcie się tak zawzięcie, jest wewnątrz próżny.

KOBIETA.

Przepraszam cię, Sceptyku, ale na twierdzenie twoje zgodzić się nie mogę. Filozof zdruzgotał tylko oba narzędzia poznania, lecz nie zburzył podstaw pewności. Jeśli nie daje nam pewności tej rozum, czy nie znajdziemy jej w innej władzy ducha? Probierz pewności, którego daremnie szukaliśmy w rozumach, czy nie tkwi

w uczuciu? Czy nie jest nim miłość? Czy po tem zupełnem zachwianiu wiary w źródła poznania rozumowego nie znajdziemy w tym uczuciu stałego punktu oparcia dla myśli i czynów naszych, jak Sokrates znalazł go niegdyś w «zgodzie wszystkich»? Zgoda wszak jest pierwszym krokiem do miłości. Co do mnie oświadczyć przynajmniej, przyznam, że ilekroć kusila mię myśl, że wszystkie rzeczy zewnętrzne, a w tej liczbie i bliźni moi są tylko wyobrażeniami memi, myśl, która nasuwa się jako logiczna konsekwencya zasady podmiotowości poznania, burzyło się przeciwko niej uczucie moje, uczucie miłości dla ludzi. Potwornem mi się wydawało przypuszczenie, że istoty, które kocham i szanuję, mogą być tylko bańką mydlaną mojej wyobraźni. A czyż nie na tem samem uczuciu spoczywa przekonanie o nieśmiertelności istot, które kochamy? Nie możemy uwierzyć, aby zgasło kiedyś światło ocz ukochanych, aby rozwiała się w niwecz dusza, którą czujemy tak blizką swojej, a zarazem tak wyższą?

Ośmielam się rzucić to przypuszczenie na szalę sporu waszego. Miłość, która stroi w szaty piękna świat cały; miłość, która daje niezachwiane kierownictwo woli, prowadząc do czynów bohaterских, wydaje mi się zarazem i najmniej zawodną podstawą pewności bytu. A dziwny urok i moc ma dla mnie myśl, że ten jeden probierz wspólny jest wszystkim dziedzinom twórczości ducha naszego.

FILOZOF.

Głębołą myśl wypowiedziałas, Pani, myśl, posiadającą urok dla każdego szlachetnego serca. Jednak muszę stwierdzić, że i próba szukania w uczuciu źródła poznania nie jest nową, a dzieje wykazały, że droga to najniebezpieczniejsza, najłatwiej prowadząca na manowce. Możemy mówić w pewnem znaczeniu o prawdzie uczucia, o prawdzie woli, podobnie, jak mówimy o prawdzie intelektu, a mam nadzieję, iż wrócimy jeszcze do tego przedmiotu. Ale podstawą krytycyzmu myśli jest ściśle rozgraniczenie pomiędzy temi dziedzinami, nie dopuszczające, aby prawda jednego rodzaju przedzierzgała się w rozumowaniu naszym na odmienną; aby się na jej miejsce podstawiała. Prawdą uczucia jest piękno i myt. Znajduje ona uzasadnienie swoje w obrębie poezji i religii, tak jak prawdą dla woli jest idea dobra, a dziedziną jej zastosowania — życie czynne. Skoro jednak pomieszymy jedną z drugą i w uczuciu zaczynamy szukać źródła wiedzy, popadamy w mi-

stycyzm, t. j. wiedzę urojoną, stającą się źródłem najsurowszych zabobonów, z których ludzkość wyprowadziła mozolna praca myśli. Jeśli takie smutne następstwa pociąga za sobą uznanie uczucia za źródło poznania, jeśli z jasnego dnia oświaty wciąga nas na powrót po przebytej już przez ludzkość nocy zabobonów, to tem mniej możemy przyjąć je za probierz pewności tego poznania.

KOBIETA.

Czuję się zwyciężoną na polu poznania; tem chętniej obiecuję sobie rewanż w dziedzinie piękna i mytu. Może wszakże Marzyciel potrafi dać lepszy wyraz myśli, którą raczej odczułam niż przemyślałam, a która dlatego może ułomną postać przybrała. Zdaje mi się, że mogłabym się najprędzej z nim porozumieć. Z miną znużoną i znudzoną słuchałeś nas dotąd, Marzycielu. Czyżbyś tak niechętnem okiem widział dyskusye dotyczące najwyższych zagadnień bytu?

MARZYCIEL.

Zagadnienia są głębokie i wzniosłe; lecz rozprawy o nie często jałowe, zwłaszcza gdy, zamiast szerokiego i prostego gościńca czynów, schodzą na manowce słów. Przyznam się, iż pomimo całej konsekwencji wywodów Filozofa, zrobiły one na mnie wrażenie «snów czuwającego», jak mawiał nasz Grzegorz z Sanoka. Odrzućcie, panowie, te czeze formułki logiczne; zajrzyjcie w żywą i barwną księgę rzeczywistości, w księgę dziejów, a prawda sama przemówi do was głosem donośnym: głosem milionów, cierpiących, walczących, szukających lepszego bytu duchowego i materialnego.

FILOZOF.

Masz słuszność, dzieje odsłaniają przed nami nową prawdę, prawdę czynu, a stawiają przed okiem filozofa nowe zagadnienie: przeznaczenia i celów ludzkości; zagadnienie filozofii dziejów. Ale widząc w czynie główne przeznaczenie człowieka, środkowy punkt jego istnienia, w przeciwności do nałogowego intelektualizmu, usiłującego wszystko w myśl przemienić, stosujemy to samo stanowisko i do wiedzy, jako czynności uczonego. Jest ona wcieleniem dążenia naszego do prawdy; jest więc taką samą czynnością, jak twórczość poetycka, jak czyn moralny i dziejowy. Człowiek stwarza wiedzę, jak stwarza religię, poezya, czyn, dlatego, że potrzeba twór-

czości tej tkwi w naturze jego. W tem jej usprawiedliwienie. Wartości wiedzy nie będziemy wtedy oceniać według tego, o ile nas zbliża do prawdy bezwzględnej, lecz jako składnika *naszego* poglądu na świat. Rzeczy są dla nas tem, czem się nam wydają. A jeśli w świecie, który odsłaniają nam zmysły, niema jedności i harmonii, tem gorzej dla naszego poznania; nie racya to wszakże, abyśmy jej nie wprowadzali. Nie bądźmy dogmatykami faktu. Jeśli wszechświat nie jest filozoficznie zbudowany, nie wynika stąd, iżbyśmy go nie mieli filozoficznie pojmować. Nie powinniśmy tylko mieszać wiedzy, która jest wytworem naszego umysłu, z rzeczywistością przedmiotową, ani czynić zależnym rozkaźnika wewnętrznego, nakazującego nam poszukiwanie prawdy, od faktu możliwości lub niemożliwości jej znalezienia. Realizm przyrodników, dzisiejszych wraca do założenia idealistycznego filozofów, jak wracał niegdyś ku niemu materializm przyrodniczy przez sensualizm Moleschotta. Fizyk dzisiejszy, p. Mach twierdzi, że «nie ciała wytwarzają wrażenia, lecz połączenia wrażeń tworzą ciała», jak niegdyś twierdził Moleschott, że świat nie istnieje poza poznającą istotą. Możemy wszakże zająć jeszcze stanowisko nieidealistyczne, z którego pytanie, czem są rzeczy poza zmysłami naszymi, staje się niedorzecznem, chociażby dlatego, że nie mamy języka, w którymby na nie odpowiedzieć można. Upada wtedy nie tylko metafizyka, ale i wszelka wiedza, jako dążenie do poznania czystego bezwzględnego.

SCEPTYK.

A cóż się dzieje z prawdą?

FILOZOF.

Prawdą dla nas jest to, co zostaje w harmonii z naszymi władzami duchowymi. Prawda nie ma jednego oblicza, któreby się dało ująć w obrazie jednorazowym i utrwalić raz na zawsze. Jest ona wielolica i wielobarwna, jak życie; zmienna, jak dzieje. Prawda dzisiejsza będzie tylko połową prawdy jutro, jej cieniem za sto lat. Dla potocznych celów życia wystarcza ta znajomość rzeczywistości, jaką daje potoczne spostrzeżenie, a probierzem jej będzie owa «zgodność wszystkich», na którą kładł nacisk Sokrates w starożytności, Volney w XVIII stuleciu, a nasz przyjaciel, Przyrodnik, w dzisiejszej dyskusyi. Uczonego nie zadawalnia już

to stanowisko; szuka on swojej, odmiennej prawdy w konstrukcjach naukowych, wprowadzających jedność i harmonię do świata, jako przedmiotu poznania: w teoriach i hipotezach naukowych. I dla niego wszakże probierzem jest «przedmiotowość» w znaczeniu kantowskiem, t. j. zgodność z powszechnymi, całemu rodzajowi ludzkiemu wspólnymi osobliwościami umysłu poznającego. Ceniśmy więc zdobycze wiedzy; bo nie tylko dają nam w ręce klucz do władzy nad przyrodą, ale i odsłaniają nam częściowo oblicze prawdy, każą nam ją widzieć z jednego ze stanowisk ludzkich. Przyjąć je musimy, gdyż przekroczyć go nie jesteśmy w stanie. W tem znaczeniu przyjąć powinniśmy rozkaznik Feuerbacha: «Zadawalniaj się światem danym». Ale zadawalniając się nim, jako danym, t. j. nie zaprzeczając, ani odrzucając, dlatego jedynie, że nie jest prawdą bezwzględną, usiłujemy jednocześnie rozszerzyć, o ile to możliwe, granice tego «danego» świata, dążąc ku niedoścignemu ideałowi poznania doskonałego i bezwzględnego. A nie traćmy nigdy nadziei, że granice te, usuwać się będą coraz dalej, i, jak morze z niebem na krańcu widnokregu, tak obie dziedziny: świata danego i prawdy upragnionej, zleją się gdzieś w jedną w dalekiej przyszłości. Ale jak dla żeglarza w miarę postępu łodzi usuwa się wciąż w przestrzeń niezmierną ledwie dostrzegalna linia zatknięcia obu żywiołów, tak prawda odbiega w przyszłość nieskończoną w miarę postępu badania. Poznajemy w tem jej istotę: *prawda bezwzględna jest ideałem poznania*, jak dobro ideałem czynu, jak miłość wszechludzka, pełna ofiarności, promieniająca z krzyża Golgoty — ideałem uczucia. Prowadzi ona nas przez dzieje, ku wielkim, nieznanym celom świata. Rzucając, jak faros na morzu, snopy białego, olśniewającego światła aż ku najdalszym, tonącym we mgle krańcom falującego niezmiernego wszechbytu, wskazuje nam drogę ku nieskończoności; porywa nas w dążeniu, za którem idąc, znajdujemy szczęście nasze.

Nie powinniśmy jednak zapominać, że po za tem jasnym, ale zinnem światłem prawdy wiedzy, jest inne cieplejsze a stokroć nam bliższe światło uczucia, na które wskazała nam już nasza współbiedniczka. Jako ideał serca staje prawda ta obok ideału rozumu — poznania, a dla filozofa-teoretyka jest z nim równoprawniona, kiedy przeciwnie dla człowieka życia i czynu ma donioślejsze od tamtej znaczenie. Bo gdy pierwsza, podobna jest do promieni alpejskiego słońca, obojętnie odbijających się od lodow-

ców i wiecznych śniegów olbrzymów górskich, nie udzielając im ciepła swego; gdy stwarza tylko wyobrażalne światy, miłość jest potęgą twórczą rzeczywistości. Miłość zaludnia światy; miłość jest ową siłą ciężenia w świecie duchów, spajającą atomy ludzkie w narody, a narody w Ludzkość. Miłość jest rzeczywistem, niewyczerpanem, wciąż się odnawiającem, tryskającym i pieniającem się źródłem szczęścia; jest koroną wieńczącą wszechświat. Ta wieczna podstawa naszego bytu, ten wypływ najczystszy naszego ducha, jest dla nas, jak słusznie zauważyła Pani, prawdą najwyższą, najcenniejszą, chociaż w innym niż poznanie zakresie. Prawdą, wobec której milkną dowody rozumu, milkną nawet świadectwa zmysłów — bo czyliż nie stroi ona w czar piękna najpospolitszych rysów i krajobrazów? Czyż nie każe zapominać o ułomnościach ludzkich? Miłość już w tym smutnym świecie rzeczywistości daje nam odczuć niezrównane szczęście osiągniętego ideału, t. j. tego, do czego dążą wszystkie inne prawdy, a dojrzałym jej owocem jest Dobro, które kochamy bezinteresownie, jest ta forma, w której przybiera ona poważną szatę obowiązku, stając się prawdą czynu.

Filozof równouprawniając te trzy rodzaje prawd, a uznając wyższość dwóch ostatnich dla człowieka życia i czynu, sam nie zadawalnia się jednostronnym obliczem każdej. Szuka on ich syntezy; nie chce patrzeć na świat przez pryzmat wyłączny uczucia lub woli, zmysłów lub rozumu; dąży więc do prawdy, która nie będąc bezwzględna, jest przynajmniej najogólniejszą i najwszechstronniejszą z dostępnych dla człowieka prawd. Tak pojmujemy zadanie nasze.

A teraz widzisz, Przyrodniku, iż, wbrew twierdzeniu twemu, okazało się w tem małym gronie tyle rozmaitych sposobów pojmowania prawdy, ile osób.

SCEPTYK.

Najlepszy dowód, że nie było o co się spierać. Przypomnę więc wam, moi przyjaciele, radę Kandyda: «Idźmy uprawiać nasz ogródek»!

CZYTELNICTWO FILOZOFICZNE.

W wycieczkach górskich mamy niekiedy do wyboru dwie ścieżki, wiodące na ten sam szczyt: jedna jest dłuższa, ściele się szerokimi zygzagami, a prowadzi do celu wprawdzie nie tak prędko, ale też z mniejszym znużeniem. Druga stroma i ciężka, wypada nieraz po niej piąć się przy pomocy rąk i nóg, ale jest krótszą, a dla taterników zapalonych bardziej zajmującą.

Podobnież dwie drogi ma przed sobą czytelnik, obierający jakiś zakres studyów, który chce zdobyć przy pomocy samouctwa, t. j. lektury bez przewodnika - nauczyciela: książki krótko i treściwie przedstawiające przedmiot, oraz obszerniejsze, dające bardziej wyczerpujący, a przez to i bardziej przystępny jego obraz. Jeśli wszakże wśród taterników duchy energiczniejsze wolą drogi krótsze chociaż cięższe, to przeciwnie w wykształceniu siebie samego te same duchy obiorą raczej drugą z wytkniętych przed chwila dróg, a wybór ten zupełnie usprawiedliwić należy.

Jest to bowiem przesądem nieuzasadnionym, chociaż bardzo pospolitym, jakoby z krótszej książki można było przyswoić sobie pręcej przedmiot dany niż z obszernej, nie mówiąc już o tem, że z obszerniejszej poznamy go gruntowniej i wszechstronniej. Stosuje się to zwłaszcza do dziedzin abstrakcyjnych, do których należy w pierwszym stopniu filozofia. Czytelnik skuszony małą objętością jakiegoś treściwego wykładu¹⁾, traci nieraz całe godziny nad paru stronicami, daremnie usiłując pojąć ich sens, zbyt abstrakcyjny skutek treściwości, podkładając domyślny błędny, który jeszcze bardziej utrudnia mu pojmowanie dalszych stron, zmusza do powrotu i tworzenia nowych przypuszczeń, słowem zabiera masę czasu na lamigłównki, których jedynym owocem, wcale nie dodatnim, jest szereg bałamutnych wyobrażeń o przedmiocie²⁾.

¹⁾ Mówię tu o wykładach istotnych; są bowiem, a zwłaszcza rozpowszechnione są w literaturze francuskiej książki krótkie i łatwo czytające się, które wszakże nic nie dają czytelnikowi, prócz zwodniczego zadowolenia, że przeczytał dziełko «filozoficzne», gdy w istocie zajął swój czas jałowym gaudulstwem autora.

²⁾ Nie wchodzimy tu w szczegóły metody czytelnictwa w ogóle, ani też w omawianie znaczenia filozofii dla wykształcenia ogólnego, jej roli w urobieniu poglądu na świat, jej stosunku do innych umiejętności. Przedmioty te

Czytelnikowi więc, który przystępuje do lektury filozoficznej bez uprzedniego przygotowania, nie radzimy zaczynać studyów od żadnych treściwych historyj filozofii, ani jej systematycznych wykładów, lecz od poznajomienia się z niektórymi dziełami znakomitszych filozofów w przekładach polskich, które znajdzie zwłaszcza w *Bibliotece filozoficznej*, wydawanej pod redakcją p. H. Struvego. Z nich jedne mogą być przeczytane, zanim jeszcze studyujący wytworzy sobie nawet wstępne pojęcia o filozofii; drugie — w celu rozszerzenia i pogłębienia tych pojęć wstępnych.

Do pierwszych zaliczamy:

Ksenofonta *Wspomnienie o Sokratesie* (przeł. E. Konopczyńskiego, Warszawa, 1906, str. 222). — Cena kop. 50.

Cycerona *Sen Scypiona* (przeł. H. Sadowskiego, Warszawa, 1871, str. 72). — Cena kop. 25; polecamy poprzedzający go wstęp o filozofii rzymskiej.

Plato *Obrona Sokratesa* (przeł. A. Maszewskiego, wyd. drugie, Warszawa, 1900, str. 80). — Cena kop. 40.

Plato *Fileb, dyalog o rozkoszy* (przeł. B. Kašinowskiego, Warszawa, 1888, str. 103). — Cena kop. 70; zalecamy przeczytanie uprzednie «Życia Platona» przez tłumacza str. I—XXXIX.

Te cztery niewielkie książeczki, które umieściliśmy w porządku ich trudności, zostaną przeczytane prędko i bez wielkich wysiłków. Owocem zaś tej lektury będzie: poznanie we właściwym świetle trzech wybitnych myślicieli starożytności, oraz zapoznanie się z niektórymi zagadnieniami filozofii w tej szacie prostszej i mniej powikłanej, w jakiej przedstawiają się w filozofii starożytnej. Filozofia nowożytna wyspecjalizowuje i komplikuje zagadnienia swoje; dlatego też poznanie jej przedstawicieli odkładamy do czasu, gdy czytelnik systematycznie zorientuje się w całym jej zakresie przy pomocy jednego ze «wstępów», o których za chwilę będzie mowa. Najważniejszym zaś wynikiem pedagogicznym takiej lektury będzie rozproszenie obawy, którą ma każdy nowoprzystępujący wobec filozofii, jako gałęzi wiedzy niezwykle trudnej i abstrakcyjnej. Przeczytanie tych kilku dziełek wykaże czytelnikowi ich, że zagadnienia filozoficzne są przystępne dla każdego umysłu, skoro w sposób należyty i jasny zostaną przedstawione.

zostały bowiem szczegółowo omówione w książce autora p. t.: *Co i jak czytać?* (Ob. rozdziały III, V, VI i VIII części I-szej, oraz całą część II-gą).

Po tej lekturze wstępnej można przystąpić do bliższego wyjaśnienia pojęcia filozofii. Przedewszystkiem należy tu wyjaśnienie jej stanowiska wobec innych umiejętności, miejsce, jakie zajmuje w systemacie wiedzy. Wyświetli tę kwestyę:

* W. M. Kozłowskiego *Klasyfikacja umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego*. (Kraków, 1902, str. 92). — Cena 1 Kor.

Znajdzie tu czytelnik i pierwsze podstawy rozróżnienia pomiędzy filozofią a innymi naukami.

Po tej książeczce przystąpić można do najłatwiejszego, najkrótszego, a zarazem najbardziej wszechstronnie zadanie obejmującego ze «wstępów do filozofii», jakie mamy w polskim przekładzie. Jest nim:

* Oswalda Külpego *O zadaniach i kierunkach filozofii* (przeł. polski pod redakcją p. K. Twardowskiego, wyd. «Wiedza i Życie», t. 2, str. 121 i 194. Lwów, 1899). — Cena zlr. 2 (w prenumeracie zlr. 1:20).

Pierwszy tomik zawiera określenie i podział filozofii oraz omówienie poszczególnych nauk filozoficznych: filozofii przyrody, psychologii, etyki i filozofii prawa, estetyki, filozofii religii, filozofii dziejów, ze wskazaniem najważniejszych dzieł (przeważnie niemieckich) traktujących o każdej z nich. — Drugi tomik poświęcony jest kierunkom filozoficznym dawniejszym i współczesnym w metafizyce, teorii poznania i etyce, a zakończony rozdziałami o zadaniach filozofii i jej systemacie. Wykład tu również zaopatrzone jest we wskazówki bibliograficzne.

Po przeczytaniu więc tego dziełka, raczej po przestudyowaniu, bo lektura tu musi być już bardziej skoncentrowana, czytelnik ma orientację co do zawartości i głównych kierunków obszernej dziedziny filozofii.

Aby teraz poznać bliżej najważniejsze z tych kierunków, wrócić należy do «Biblioteki filozoficznej», a mianowicie do zawartych w niej przedstawicieli filozofii nowożytnej. Teraz możemy już postępować w porządku chronologicznym, który jest zarazem i metodycznym, wskazującym naturalny rozwój myśli filozoficznej. Zaczniemy więc od:

Kartezyusza *Rozmyślenia nad zasadami filozofii* (przeł. J. Dworzaczka, Warszawa, 1885, str. 110). — Cena kop. 70.

Dziełko to znamionujące początek filozofii nowożytnej, zasnanajomi czytelnika zarazem i z filozofem, od którego zwykle i słu-

sznie rozpoczynają się jej dzieje i z kierunkiem *dualistycznym*, który, chociaż bezpowrotnie pokonany w filozofii naukowej, panuje dotąd w poglądach potocznych na «duszę i ciało», oraz w wierzeniach religijnych popularnych ¹⁾.

Trudniejsze wskutek matematycznej metody wykładu jest:

Spinozy *Etyka* (przeł. A. Paskala; wstęp tłumacza zalecamy do poprzedniego przeczytania. Warszawa, 1888, str. 254). — Cena rs. 1⁵⁰.

Ten myśliciel, doprowadzający konsekwentnie do jedności wyższej dualizm Kartezjusza, jest twórcą *monizmu* szeroko pomyślanego, a będącego podstawą wszystkich prób monistycznych, tak rozpowszechnionych w filozofii popularnej drugiej połowy XIX wieku.

Filozofia nowożytna zaczęła się od wyłamania się z pod scholastyki średniowiecznej, od poszukiwania nowych dróg, prowadzących do prawdy, *nowej metody naukowej*.

Przodownikami w tym zakresie byli dwaj myśliciele, którzy wytknęli dwie odmienne drogi, a stali się w ten sposób twórcami dwóch kierunków, ciągnących się przez całe dzieje filozofii nowożytnej: *empiryzmu* i *racyonalizmu*, z dwoma metodami odmiennymi: *indukcy* i *dedukcy*. Nazwałem tu Bakona i Kartezjusza.

Pierwszego poglądy, w braku przekładów polskich dzieł jego, pozna czytelnik najwłaściwiej z książki:

Michała Wiszniewskiego *Bakona metoda tłumaczenia natury*, (Kraków, 1834).

Książkę tę można znaleźć tu i ówdzie u antykwaryuszów.

Znajdzie tu czytelnik obraz filozofii i wiedzy poprzedzających dobę nowożytną, co stanowić będzie doskonale przygotowanie dla zrozumienia doniosłości zarówno poglądów Bakona, jak i następujących po nim filozofów. Obok wykładu i krytyki metody bakonowskiej, wykazuje autor, w jakim stopniu postęp dalszy wiedzy okazał się zgodnym lub nie z jego przewidzeniami, wytykając zwłaszcza doniosłą rolę dedukcy i tych znakomitych postępów, jakie metoda ta spowodowała w astronomii i mechanice od czasów Newtona do Laplace'a i Lagrange'a, ograniczając w ten sposób jednostronność Bakona. Doskonała to książka, napisana z tym

¹⁾ I drugie epokowe dzieło Kartezjusza: *Rozprawę o Metodzie* posiadamy w przekładzie polskim W. Dobrzyckiego (Lwów, 1878). Znaczna część książki (str. 11—109) poświęcona jest życiu i dziełom Kartezjusza.

zapalem do wiedzy, a tchnąca owym świeżym powiewem, które cechują wogóle dzieła tego oryginalnego pisarza. Zaznajamiając z Bakonem, da jednocześnie czytelnikowi możność poznania jednego z najwybitniejszych przedstawicieli kierunku empirycznego w filozofii polskiej.

Berkeley *Rzecz o zasadach poznania* (przekł. F. Jezierskiego, Warszawa, 1890, str. 150). — Cena kop. 50. Wstęp o Berkeley'u do przeczytania.

Dzielko to zaznajomi czytelnika z szeregiem nowych zagadnień, *teorii poznania* (gdy dwa poprzednie obracały się przeważnie w kwestiach *metafizycznych*), a zarazem z kierunkiem nowym *idealizmu nowożytnego* (Plato reprezentuje *idealizm starożytny*).

W tym samym zakresie zagadnień teorii poznania obraca się i Kondyllaka *Traktat o wrażeniach zmysłowych* (przekł. A. Langego, Warszawa, 1887, str. 216). — Cena rs. 1:20; polecamy «Przedmowę» H. Struvego i «Wstęp» tłumacza.

W nim pozna też czytelnik jeden z najważniejszych kierunków w teorii poznania — *sensualizm* (przeciwny mu racjonalizm reprezentują Plato, Kartezjusz i Spinoza).

Wreszcie syntezą racjonalizmu i sensualizmu w teorii poznania a usiłowaniem oparcia metafizyki o trwałe podstawy jest *krytycyzm* Kanta. Z kierunkiem tym najlepiej obezna się czytelnik z dzieła popularnego, w którym sam autor ujął zasady swojej filozofii. Jest nim:

Kanta *Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki, która będzie mogła wystąpić jako nauka* (przekł. R. Piątkowskiego, Warsz., 1901, str. 159). — Cena kop. 50.

Czytając to dziełko, czytelnik będzie miał do pokonania niejedną trudność, wynikającą z abstrakcyjności przedmiotu; przekona się wszakże, że błędem jest wyobrażenie o nieprzystępności filozofii Kanta, które wytworzył sobie ogół, a które ma pewne uzasadnienie dla tych, co bez należytego przygotowania probowali czytać *Krytykę czystego rozumu*. Te same prawdy, wyłożone w *Prolegomenach* w sposób przystępny, trafią łatwo do przekonania każdego.

Dla *idealizmu niemieckiego* pierwszej połowy XIX stulecia najchętniej polecilibyśmy:

J. G. Fichtego *Przeznaczenie człowieka* (*Die Bestimmung des Menschen*), którego wszakże dotąd nie mamy w przekładzie polskim. Zawiera ono prócz tego niezwykle jasne i piękne przedsta-

wienie głównych zagadnień filozoficznych. Miejmy nadzieję, iż ukaże się i ono w «Bibliotece filozoficznej».

Najnowszym odłamem kierunku tego, a zarazem próbą przystosowania jego do wymagań współczesnej wiedzy jest *idealizm realny*, który poznają czytelnicy w wykładzie wdzięcznym i przystępnym z dziełka:

H. Struvego *Synteza dwóch światów*, Warszawa.

Inne dwa kierunki XIX wieku, które panowanie swe rozpoczęły przeważnie w drugiej jego połowie, są: odnowiony *materyalizm* XVIII stulecia oraz *pozytywizm*. Ponieważ nie mamy w przekładzie żadnego z przedstawicieli materyalizmu bardziej konsekwentnego XVIII stulecia, zostaje nam jedynie dla zaznajomienia się z tym kierunkiem dziełko:

L. Büchnera: *Siła i materya* (przekł. polski, Lwów, 1859).

W sposób drastyczny i jaskrawy, ale też i bardzo przystępny reprezentujące ten kierunek.

Co do pozytywizmu polecamy:

H. Grubera *Życie i doktryna Augusta Comte'a* (przekł. M. Dębickiego, Warszawa, 1898, str. 294) — Cena rs. 1.

Dziełko to przedstawia najlepszy treściwy wykład pozytywizmu, jaki mamy po polsku w oddzielnej książce; a chociaż autor jest księdzem i jezuitą, zachowuje zupełną bezstronność względem przedmiotu i broni Comte'a od wielu zarzutów, chętnie przez reakcyonistów podnoszonych.

Równolegle do tych utworów należy odczytać poświęcone każdemu z wymienionych filozofów rozdziały z dzieła:

* R. Falkenberg *Historja filozofii nowożytnej* (przekł. W. M. Kozłowskiego, Warszawa, 1894).

A więc po przeczytaniu Wiśniewskiego lub równolegle z nim §. 7 i 8, Rozdz. I (a mianowicie: *założenie fizyki nowożytnej, poprzednicy Bakona, Bakon*, str. 68—71, polsk. przekł.). Do dzieła Kartezjusza Rozdz. II (str. 94—117). — Przed przystąpieniem do Berkeleya należy przeczytać Rozdz. IV o Locke'u, do którego nauki stoi Berkeley w pewnej przeciwstawności. Ten sam rozdział posłuży za przygotowanie do Condillac'a, który rozwija idee Locke'a. Obok tego ustępy z Rozdz. V, 4 (o Berkeley'u str. 230) i z Rozdz. VI, 2 (o *Sensualizmie* str. 264). Do *Prolegomenów* Kanta za komentarz wyczerpujący posłuży Rozdz. IX, ustęp I (str. 341—414), do Fichtego Rozdział X. Dopiero w takim oświetleniu historycznym pisma te staną się zupełnie zrozumiałemi i przyniosą czytelnikowi dokładną

znajomość kierunków, które reprezentują. Krytyczny ich rozbiór znajdziemy w nieco niżej przytoczonym dziele Wundta.

Zadaniem naszym w tej lekturze jest poznanie typowych kierunków myśli filozoficznej nowożytnej i to możliwie ze źródeł bezpośrednich. Zostawiamy więc tymczasowo na uboczu pominięte rozdziały dzieła Falkenberga, aby wrócić do nich wtedy, gdy będziemy studyowali historią filozofii, kiedy to poznane już kierunki główne powiążą się w myśli naszej z sobą przy pomocy ogniów pośrednich w całość pasma rozwojowego.

Obecnie zaś dla uzupełnienia tej pobieżnej nieco znajomości poglądu na świat materialistycznego, jaką nam daje Büchner zwracamy się do

* A. Fr. Langego *Historii materializmu* (T. I, przekł. A. Świętochowskiego).

Tymczasem ograniczymy się do §. 3, Rozdz. IV (*Systemat natury* str. 329—354).

Po takim konkretnym poznaniu głównych kierunków filozoficznych może czytelnik z wielką korzyścią przeczytać głębszy i bardziej krytycznie opracowany, chociaż bardzo przystępny:

* W. Wundt'a *Wstęp do filozofii* (przekł. W. M. Kozłowskiego pod prasą. Wyd. «Przeglądu Filozof.» w Warszawie).

Dzieło to podzielone jest na trzy części. W pierwszej omawia się *zagadnienie* (pojęcie) i *systemat filozofii*. Roztrząsa tu autor krytycznie rozmaite jej określenia, stosunek do wiedzy i religii oraz próbę najnowszą uważania filozofii za naukę o wartościach. Dalej zastanawia się autor nad klasyfikacją wiedzy wogóle, daje klasyfikacją nauk specjalnych i filozoficznych.

Druga część (str. 86—271) poświęcona jest historycznemu rozwojowi filozofii. Jest to najlepszy krótki wykład historii filozofii od najdawniejszych czasów do najnowszych, również jasny jak i głęboko sięgający we wzajemne oddziaływania w obrębie samej filozofii, niemniej jak i innych czynników kulturalnych.

Trzecia część (str. 271—456) poświęcona jest rozbirowi głównych kierunków w zakresie teorii poznania, metafizyki i etyki. Rozbiór jest bardzo wyczerpujący i krytyczny. Poglądy autora samodzielne i doniosłe, oparte na głębokiej znajomości rzeczy i bystrem pojmowaniu przeszłości i przyszłych zagadnień filozofii.

Po przeczytaniu tego Wstępu, zwłaszcza zaś po jego przestudyowaniu czytelnik będzie się już orientował dobrze w całym zakresie filozofii; będzie dosyć przygotowany, aby pogłębiać przy

pomocy lektury dodatkowej kwestye poszczególne, aby wybrać to, co jest najbardziej potrzebnem ku wytworzeniu naukowego poglądu na świat — głównego celu wykształcenia samego siebie.

W tej dalszej pracy główną pomocą mu będzie:

* H. Struvego *Wstęp krytyczny do filozofii czyli rozbiór zasadniczych pojęć filozofii*. (Wyd. trzecie. Warszawa, 1903, str. 780). — Cena rs. 3.

Tu znajdzie czytelnik określenie filozofii, jej cechy znamienne, jej porównanie z naukami specjalnemi, jej stosunek do rozmaitych objawów życia umysłowego: twórczości, wiedzy, życia czynnego, jej metodę, wreszcie właściwości, rozwój i wykształcenie umysłu filozoficznego. Wszystkie te zagadnienia rozważane są obszernie i krytycznie, z wyczerpującem uwzględnieniem literatury swojskiej i obcej, z krytycznym zestawieniem rozmaitych opinij. Znajdzie tu czytelnik odgłosy sporów, które niedawno roznamiętniały lub dziś jeszcze zapalają umysły, a jeśli nie zawsze zgodzi się na wyrok autora, pogłębi niezawodnie swoje własne poglądy i otrząśnie się z niejednej niekrytycznej naleciałości.

Zaznajomiwszy się z głównemi kierunkami filozofii nowożytnej wogóle, czytelnik zechce zapoznać się z rozwojem historycznym myśli filozoficznej. Szkicowo poznał już go ze *Wstępu* Wundta. Do uzupełnienia posłużyć mogą następujące dzieła:

* Lewes *Historja filozofii od Talesa do Comte'a* (przekł. A. Dygasińskiego), T. I. *Filozofja starożytna* (Warszawa, 1885). — Cena zniżona rs. 1.

Doskonale to pod względem przejrzystości i zalet literackich przedstawienie dziejów filozofii, które zarówno w oryginale jak i w tłumaczeniach niemieckiem i rosyjskiem miało kilka wydań uzupełnionych, u nas nie doczekało się i jednego całkowitego, bo ukazał się tylko tom I-szy. Zawiera on całość historii filozofii greckiej. Wstęp, chociaż zajmująco i żywo napisany, przedstawia jednostronne (a mianowicie pozytywistyczne) zapatrywanie się na całość dziejów filozofii, jako na historję błędnych wysiłków myśli, dochodzącej w końcu do uznania ich bezowocności. Może go czytelnik opuścić, a w każdym razie winien go traktować krytycznie. Również i w oświetleniu pojedynczych momentów wymaga Lewes uzupełnień i sprostowań. Pożytecznym będzie w tym względzie dla czytelnika zaglądnienie równoległe do wydanego przez «Pogląd na świat» syllabusa:

* *Historja filozofii starożytnej*. Treść wykładów. — Cena kop. 15.

Prócz tego mamy parę książek nie obejmujących całości, z których wszakże można korzystać dla uzupełnienia szczegółów.

Dla *filozofii wschodniej* mianowicie: Laforet *Dzieje filozofii starożytnej* (T. I szy, przekł. Wł. Miłkowskiego, Kraków, 1873). — Polecamy tylko rozdziały dotyczące Wschodu. Podobnież M. Straszewskiego *Dzieje filozofii w zarysie* (T. I, Kraków, 1894), zwłaszcza filozofia indyjska str. 81—211; dla Chin (str. 215—330), oraz Egiptu i Persyi (str. 333—395) wykład dotyczy przepisów etycznych, oraz spekulacyj kapłanów, a więc raczej teologicznych niż filozoficznych; narody te bowiem filozofii w naukowym znaczeniu nie miały. Wogóle i w wykładzie indyjskiej filozofii autor nie rozgranicza dosyć ściśle zakresu religii od filozofii, co jest zresztą po części konsekwencyą jego zapatrywań historyzoficznych, według których filozofia bierze początek z religii i w religią się ostatecznie przeobraża. Cennem jest natomiast stanowisko historyka cywilizacyi, ujawniające się w tym podręczniku, zarówno jak i w monografii autora *Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach* (Kraków, 1884), obracającej się wszakże z natury swojej przeważnie w obrębie pojęć etyczno-religijnych.

Dla *filozofii greckiej* polecić można:

Pawlickiego *Historja filozofii greckiej od Talesa do śmierci Arystotelesa* (T. I, Kraków, 1890, — dotąd tylko ten jeden).

Wykład jest barwny, przystępny, dosyć obszerny; nie zawsze jednak stoi na poziomie wymagań współczesnych i zabarwiony jest tendencyą katolicko-neoscholastyczną. W każdym razie jest to jedna z najlepszych książek, jakie mamy po polsku dla tego okresu. Dla filozofii późniejszej polecić można dwie monografie o Platonie: Lutosławskiego *Platon jako twórca idealizmu i socjalizmu* (Warszawa, 1900. — Cena kop. 50), nie obejmująca jednak całej twórczości filozoficznej Platona, oraz Windelbanda *Platon* (przekł. polski, Warszawa, 1902. — Cena rs. 1·20), obejmująca całość w dobrem przedstawieniu znanego historyka filozofii. Zapowiedziany jest również przez Redakcyą «Przeglądu Filozof.» przekład Siebeck'a *Arystotelesa*. O neoplatonizmie pisał p. W. Rubczyński (*Studia neoplatońskie* w «Przeglądzie Filozof.», 1900, zeszyty I i II). — Każdemu z czytelników naszych, czy to wchodzącemu w te szczegóły, czy ograniczającemu się do jednej książki w zakresie filozofii starożytnej gorąco polecamy nie zamykać tego okresu, nie przeczytawszy odpowiedniej części Lange'go *Historji materializmu*, a mianowicie Rozdz. I (str. 1—126, przekł. polski). Uwypu-

klone tu są wprawdzie systemata materyalistyczne; ale i ogniwa pośrednie uwzględnione dostatecznie dla objęcia całości. Przytem doskonały wykład, głębokie pojmowanie i znakomite oświetlenie związku zjawisk na polu myśli i uczucia z ogólnym tłem kulturalnym, wytknięcie punktów styczności z teraźniejszością, wszystko to czyni tę książkę najodpowiedniejszą, jako pomoc w wytworzeniu sobie ostatecznego poglądu na całość dziejów filozofii starożytnej.

Dla *filozofii średniowiecznej* musi się czytelnik polski ograniczyć do wiadomości (wystarczających zresztą) zawartych we *Wstępie* Wundta, które nieco uzupełni następująca książka:

* Szwegler *Historja filozofii w zarysie*, przekł. F. K (rupińskiego) z dodatkiem o filozofii w Polsce, Warszawa, 1863, str. 480 (w antykwarniach).

Jest to jedyna książka obejmująca całość dziejów filozofii w języku polskim i jeden z lepszych krótkich podręczników. Filozofię średniowieczną traktuje wszakże zbyt epizodycznie.

Dla *filozofii nowożytnej* musimy ograniczyć się do wymienionego już dzieła Falkenberga¹⁾, do którego doskonale uzupełnienie stanowi pozostała część I-go tomu (str. 127—168 należą do filozofii średniowiecznej²⁾, oraz cały tom II-gi zawierający obszerny i doskonały rozbiór zasadniczych teoryj i hipotez wiedzy współczesnej.

Dla *historji filozofii w Polsce* mamy:

* H. Struve *Historja filozofii w Polsce*. Zeszyt I, Warsz., 1900.

Zeszyt ten obejmuje: znaczenie i przedmiot historii filozofii w Polsce, literaturę i źródła, wreszcie *charakter narodowy filozofii polskiej*. Ten ostatni rozdział (str. 40—98) stanowi doskonały wstęp do studyów nad filozofią polską. Dzieło to, gdy ukaże się w całości, będzie zapewne stanowiło najlepszy podręcznik w tym przedmiocie, a jedyny obejmujący całość w nieco szerszym zakresie. Tymczasem czytelnik zadowolnić się musi innemi mniej wyczerpującymi źródłami. Należy tu przedewszystkiem krótki szkic p. t.: *O filozofii w Polsce*, stanowiący dodatek do przekładu Schweglera, a opracowany przez F. Krupińskiego. Dalej zarys *Historji logiki w Polsce* w I szym tomie *Wykładu logiki* H. Struvego (Warsz., 1870)

¹⁾ W przygotowaniu jest wydanie z uzupełnieniami według II-go i III-go niemieckiego.

²⁾ Jedną z pięknych kart filozofii średniowiecznej odtwarza Pawlickiego *Abelard i Heloiza*.

obejmujący zresztą całość dziejów filozofii polskiej. Na bliższe poznanie zasługuje zwłaszcza filozofia XIX stulecia. Za źródło godne gorącego zalecenia posłuży:

K. Libelt *Filozofia i krytyka*, T. I obejmujący *Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej* (wyd. drugie, Poznań, 1874).

Właściwy przedmiot nasz stanowi Rozdz. IV (str. 113—195), gdzie podane są jasne i zwięzłe charakterystyki Aug. Cieszkowskiego (przed wydaniem «Ojciec nasz»), B. Trentowskiego (przed «Panteonem»), H. Kamińskiego, Bochwica, Floryana, Królikowskiego, Hoene-Wrońskiego i Bukatego. — Wszakże przeczytanie całego tomu polecamy tak ze względu na znajomość, którą w ten sposób osiągnie czytelnik, poglądów na rozwój filozofii samego Libelta, jako też na godną uwagi treść i piękną formę. Obszerniejsze i późniejsze datą przedstawienie filozofii polskiej z pierwszej połowy XIX stulecia zawiera B. Trentowskiego *Panteon wiedzy ludzkiej* T. II-gi (str. 142—252). Zestawienie najnowszego ruchu w tym, zakresie zawiera W. M. Kozłowski *Współczesna literatura filozoficzna polska* («Ateneum», 1900, T. IV, str. 363—380).

Poprzednia lektura zaznajomi czytelnika z obszarem filozofii i jej stosunkiem do innych zakresów myśli, z jej głównymi kierunkami, z jej historią. Pozostaje jeszcze najważniejsze: znajomość systematyczna filozofii w tej formie, która odpowiada dzisiejszemu poziomowi wymagań od tej umiejętności. Tu doradca, który postawił sobie za zasadę wskazywać jedynie książki polskie, znajduje się w szczególnym kłopotcie. Krótkie wykłady systematyczne tak liczne w języku francuskim, z których dwa przyswojone są: Boirac'a (*Zasady filozofii*, przekł. A. Dygasińskiego, Warszawa, 1891) i dawny J. Simon'a (*Przewodnik filozofii*, przekł. E. Ziemięckiej w r. 1863), stanowią fabrykaty, stworzone dla potrzeb egzaminowych, nie mające żadnej wartości dla samouka, t. j. dla człowieka pragnącego nabyć wiedzę, a przede wszystkim nauczyć się myśleć. Poważniejszych zaś opracowań oryginalnych lub przekładów brakuje zupełnie w niektórych gałęziach. Wskażemy więc to, z czego korzystać można, idąc za tradycyjnym podziałem nauk filozoficznych.

1) **Psychologia.** W nowszych czasach (zaczynając od drugiej połowy XIX stulecia) psychologia stanowczo oddzielona została od nauk filozoficznych, a zbliżona do przyrodniczych. Przyczyną była tu głównie przewaga w tej gałęzi badań psycho-fizjologicz-

nych. Ostatniemi czasy wszakże coraz częstsze odzywają się głosy za pokrewieństwem psychologii z filozofią ¹⁾. Niema też wątpliwości, że znajomość psychologii stanowi niezbędną podstawę studyów filozoficznych. Ważniejszymi podręcznikami w naszym języku są:

* W. James *Pogadanki psychologiczne dla nauczycieli*, (przekł. J. Moszczeńskiej, Warszawa, 1901, wyd. «Przeglądu Pedagog», str. 160.

Jest to książeczka bardzo przystępna i zastosowana do potrzeb pedagogicznych. Autorem jej jest głośny psycholog amerykański. Stanowi doskonały wstęp do poważniejszych studyów.

* Ziehen *Zasady psychologii fizjologicznej*. (Warszawa, 1900, przekł. z niemieckiego, str. 268).

Jest to zupełnie ścisły podręcznik, bardzo treściwy, ale zaznajamiający gruntownie z najnowszemi zdobyczami na tem polu.

Wundt *Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej* (2 tomy, Kraków, 1873—74.

Znakomity pod względem treści i formy wykład; chociaż w niektórych częściach przestarzały, należy do tych rzadkich książek, co zmuszają do myślenia i uczą jego, dlatego też szczególnie godny samouka. Zapowiedziany jest przez Redakcję «Głosu» przekład nowego wydania tej książki, które ukazało się w niemieckim języku po dwudziestoparoletniej przerwie. Jest ono znacznie krótsze, a o ile stoi pod względem współczesności danych naukowych wyżej od pierwszego wydania, o tyleż ustępuje mu we wdzięku wykładu i w szerokości rzutów ogólnych.

Dla poznania rozmaitych kierunków psychologii współczesnej posłużą:

T. Ribot *Współczesna psychologia pozytywna w Anglii* (przekł. J. Ochorowicza, Warszawa, 1876).

Tegoż *Współczesna psychologia niemiecka* (przekł. W. M. Kozłowskiego i S. Bartoszewicza, Warszawa, 1901).

Oba dzieła zawierają wiele materiału przygotowującego do teorii poznania i dlatego szczególnie polecają się tym, którzy psychologią studyują głównie, jako przygotowanie do dalszych studyów filozoficznych.

Wreszcie doskonałą ocenę rozmaitych kierunków i głębsze

¹⁾ W tej liczbie i polski p. K. Twardowskiego (*Psychologia wobec fizjologii i filozofii*, Lwów, 1897). Autor sam dał piękny przykład zastosowania metody, której zwolennikiem jest w psychologii, w badaniu p. t.: *Wyobrażenia i pojęcia* (Lwów, 1898).

wejrzenie w istotę zagadnień psychologicznych, dają rozdziały p. t.: *Mózg i dusza*, *Psychologia przyrodnicza*, oraz *Fizjologia organów zmysłowych* w II-gim tomie *Historji materjalizmu* Langego ¹⁾).

2) **Logika i teoria poznania.** I tu zaczniemy od podręcznika bardzo elementarnego, ale bardzo dobrego, jako wstęp do dalszych studyów:

* St. Jevons *Logika* (przekł. H. Wernica, drugie wyd. polskie w «Bibl. Samokształcenia»).

Nadmieniwszy tylko o przekładzie (po części skróconym i nieukończonym) *Logiki* J. St. Milla przez A. Dygasińskiego, którego pojedyncze rozdziały mogą być bardzo użyteczne (zwłaszcza dotyczące indukcji), oraz o dwutomowej *Logice* Bain'a (przekład z angielskiego, Warszawa, 1878) przejdziemy wprost do książki, która zawiera wprawdzie tylko przekład kilku rozdziałów *Systematu Logiki* Wundta, ale bardzo doniosłych, obejmujących główne zagadnienia teorii poznania i niektóre z doniosłych kwestyj logicznych. Wyszła ona p. t.:

* W. Wundt *Teoria poznania* (przekł. Z. Herynga, Warsz., 1889).

Wstęp (str. 3—14 o zadaniach i kierunkach logiki), oraz dz. I (str. 14—108 o powstawaniu myślenia) należą do logiki i jej podstaw psychologicznych. Dz. II (str. 112—403, odpowiada V-mu oryginału) należy przeważnie do zakresu teorii poznania. Daje tu autor gruntowny rozbiór *form ujęcia* (głównie przestrzeni) oraz pojęć *substancji, przyczyny i celu*. W ten sposób służy ta książka za doskonałe przygotowanie do rozbioru podstawowych zasad przyrodoznawstwa, do których przechodzimy.

3) **Nauka o zasadach**, — tak wślad za Wundt'em nazywamy gałąź, która w filozofii dzisiejszej odpowiada dawnej metafizyce. Stosownie bowiem do skromniejszych roszczeń umysłowości dzisiejszej, zamiast prawdy bezwzględnej, absolutu, czyli «rzeczy w sobie» świata, obiera dziś ta nauka za przedmiot jedynie wykrycie i ocenę krytyczną najwyższych zasad, do których wnieść się może umysł w poznaniu świata. Psychologiczne, logiczne i historyczne warunki są przyczyną, że poznanie to przybiera postać troistą: przyrody, ducha (świadomości), oraz materjalno-duchowych oddziaływań w życiu zbiorowem. Każda z tych postaci staje

¹⁾ Próbą opracowania, nie tyle w formie podręcznika, ile krytycznego zestawienia badań i ich wyników, dla jednej części psychologii (psychologii wrażeń) jest: Heinrich *Teorye i wyniki badań psychologicznych* (Warszawa, 1902).

się źródłem odpowiedniego szeregu umiejętności, które syntetyzując się według wytkniętych grup, wznoszą się do pojęć najogólniejszych *przyrodoznawstwa*, *psychologii* i *filozofii dziejów* (łącznie z filozofią prawa i państwa).

Dla rozbioru tych pojęć najogólniejszych w wytkniętych dziedzinach bardzo nieliczne tylko wskazać możemy źródła:

W. M. Kozłowski *Zasady przyrodoznawstwa w świetle teorii poznania* (pod prasą).

Obok tego rozdziały: *Siła i materya*, *Kosmogonia przyrodnicza*, *Darwinizm i teleologia*, *Pochodzenie człowieka w II tomie Historji materializmu* Langego; także:

W. M. Kozłowski *Szkice filozoficzne* (Warszawa, 1900).

Tu należą mianowicie: *Metafizyka wiedzy przyrodniczej*; *Pojmowanie przyrody*; *Zasadnicze twierdzenia wiedzy przyrodniczej*; *Następcy Darwina i losy darwinizmu*.

Przejście do świata świadomości i materyały do syntezy pomiędzy dziedziną rozciągłości materyjalnej a dziedziną myśli, stanowią studia psychofizyczne. Tu wskazać można (prócz tego co pod rozdziałem psychologii podaliśmy, zwłaszcza obu dzieł Ribot'a):

Sully'ego *Umysłowość ludzka* (przeł. J. Potockiego, Warsz., 1897).

Herzen *Zarys psycho-fizjologii ogólnej* (przeł. Zassowskiego, Warszawa, 1892).

Bain *Umysł i ciało*. Mniemanie o ich wzajemnym stosunku. (Przeł. z angielskiego, Warszawa, 1874).

Do tego dołączyć można pięknie napisane przemówienia:

Du Bois Raymond *Granice poznania natury* oraz *Siedm zagadek wszechświata* (razem), (przeł. M. Massoniusa, Warszawa, 1898).

Dla zakresu filozofii dziejów:

Simmel *Zagadnienia filozofii dziejów* (przeł. W. M. Kozłowskiego, Warszawa, 1902).

4) **Etyka**. W tym zakresie nie mamy dzieł, któreby obejmowały właściwy zakres filozofii moralności. Możemy wskazać jednak na dwa dobre, chociaż krótkie dziełka:

* Höffding *Etyka* (przeł. L. Wolberga, Warszawa, 1902).

* Tegoż *Zasady etyki* (humanitarnej) — dwa przekłady.

5) **Estetyka czyli filozofia piękna i sztuki**. Z książek tego zakresu najbardziej do wymagań naszych zbliża się:

Gyau *Zagadnienia estetyki współczesnej* (przeł. S. Popowskiego, Warszawa, 1901).

Pojedyncze zagadnienia z tych zakresów roztrząsane są także w wymienionych wyżej *Szkicach filozoficznych*.

Nie spodziewamy się, aby ktokolwiek z czytelników naszych pochłonął w nieprzerwanym ciągu wszystkie wymienione tu dzieła: każdy w miarę upodobań, czasu i przygotowania swego potrafi łatwo zrobić odpowiedni wybór, idąc w głąb w tych zakresach, do których będzie czuł największy pociąg. Uwagę tę uważalibyśmy za zbytęcną, gdyby nie naiwne zarzuty niektórych krytyków, skierowane przeciwko dodatkom do *Co i jak czytać?* a polegające na tem, że potrzeba 50 lat, aby wszystkie wskazane tam książki przeczytać.

O dwóch rzeczach tylko pamiętać należy przy tych studiach: 1) przekładać obszerniejsze wykłady krótkim, zwłaszcza na początku; 2) więcej starać się wydobyć z przeczytanego materiału własnym zastanowieniem, niż uzupełniać go natychmiast nową lekturą.

Zadaniem naszym było wskazać lekturę, która posłuży za przygotowanie do studyów filozoficznych głębszych temu, kto czując do nich powołanie, zechce się im oddać. Da ona dostateczną znajomość ogólną zakresu filozofii, jakiej od przeciętnie wykształconego człowieka żądać można, a którą uzyskać można nie wychodząc poza książki polskie. Droga ta jest nieco przydługa, ale dogodna i prowadzi do gruntownej znajomości rzeczy. Kto zechce obrać krótszą, może zatrzymywać się tylko na książkach oznaczonych gwiazdkami lub wybrać niektóre z nich.

PRZYCZYNNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Całość — to, co obejmuje wszystkie części. Można rozróżnić całość *arytmetyczną*, czyli prostą sumę od *całości syntetycznej*, zawierającej pierwiastek architektoniczny (ob.): połączenie według pewnej idei lub zasady, porządek organizacyi części. Do takiego połączenia wszystkich doświadczeń i poznań częściowych w całość syntetyczną dąży wiedza w ogóle, a zwłaszcza filozofia. Odpowiednio do tego wyobrażamy sobie i przedmioty odpowiadające tym poznanom, również jako połączone w jedność organiczną; stąd

już na początku myśli filozoficznej wytwarza się pojęcie *kosmosu* (ob.) czyli *świata* (ob.) lub *wszeczeńświata* (ob.). Moment, w którym człowiek wytwarza te pojęcia, odpowiada zwyczajtwa myśli twórczej (syntetycznej) nad *chaosem* (ob.) wrażeń nie powiązanych jeszcze w całość. Pierwiastek ów architektoniczny stanowi właściwe pojęcie «Boga (Inteligencji) w przyrodzie». Stąd nazwa «Wielka Całość» (*Le grand Tout*), jako pojęcie obejmujące Boga i przyrodę.

Causa finalis przyczyna celowa — jeden z czterech rodzajów *przyczyn* (ob.) rozróżnianych przez Arystotelesa; jest to cel, ku któremu zmierzać ma *przyczyna czynna* (ob.). Poszukiwanie *causae finalis* (celu, ku któremu zmierza pewien wytwór przyrody, intencji Boga przy jego stworzeniu), stanowiło ulubione zajęcie scholastyków. Doktryna ta odziedziczona została po fizyce Arystotelesa.

Argumentum ex causae finalis jest dowód oparty na przypuszczeniu, jakoby na podstawie pewnych skutków, wydających się nam celowo-osiągniętymi, możemy wnosić o tem, że przyczyną ich jest rozumna istota. Tak dowodzi się istnienie Boga na podstawie harmonii i porządku Wszeczeńświata.

Spinoza słusznie nazywał *causae finales* «przysłankiem nieuctwa» (*asylum ignorantiae*); Bacon porównywał je do dziewięć poświęconych Bogu, ale nieplodnych. Co do poprawnego zastosowania idei celu ob. *celowość*.

Causa formalis, efficiens, materialis ob. przyczyna, przyczynowość.

Causa occasionalis ob. *okazyjonalizm*.

Causa sui — przyczyna siebie samego, wytwarzająca siebie, jako skutek. — Określenie, które nadał Spinoza Bogu, jako przyczynie ostatecznej. — Jest to jeden ze sposobów przerywania łańcucha przyczynowości, który inaczej ciągnie się nieskończenie, gdyż każda przyczyna musi być skutkiem innej. Poprawniej może byłoby powiedzieć, że Bóg nie ma przyczyny, jest bytem bezprzyczynowym, a w ten sposób jawnie urwać ów łańcuch.

Celowość (*teologia*) jest zasadą zastosowania idei celu do pojmowania i tłumaczenia lub oceny zjawisk. Możemy rozróżnić *błędne* i *poprawne* użycie zasady celowości. Teologia naiwna (błędna) we wszystkich zjawiskach przyrody widzi dążenie do jakiegoś celu wytkniętego przez Twórcę (ob. *causa finalis*); a że łączy się to stanowisko zwykle z *antropocentryzmem*, uważającym człowieka za główny przedmiot troski bożej, więc cały świat rozważany jest jako śpichrz środków ku zadośćuczynieniu potrzebom lub za-

chciankom tego króla przyrody. Ten rodzaj celowości, do którego rozpowszechnienia przyczyniły się wielce popularne pisma Leibniza, został świetnie wyśmiany przez Voltaire'a w obrazie osła, który tworzy podobnyż *asinocentryczny* pogląd na świat: cała przyroda stworzona, aby dogodzić potrzebom osła; człowiek jest jego naturalnym sługą, który czyści go, troszczy się o pożywienie, napój i t. d. Powszechnie przyjętą przez wiedzę zasadą pojmowania zjawisk przyrody jest *przyczynowość* (ob.). Wszakże nawet w badaniach przyrodniczych celowość nie powinna być zupełnie wykluczoną, przynajmniej jako zasada kierownicza. Tak większa część odkryć fizjologicznych (że nadmienimy jako przykład typowy odkrycie Harveya) odbyła się przez poszukiwanie przeznaczenia pewnego organu. Organizmy bowiem są takimi utworami, w których współdział części zmierza ku wspólnemu celowi: podtrzymania życia i przedłużenia gatunku. To też Kant nazywał je «celami przyrodzonymi» (*Naturzwecke*), chcąc przez to wyrazić, iż są same i przyczyną i skutkiem. Tak nasienie będąc wytworem rośliny (skutkiem), jest zarazem jej przyczyną; toż samo dotyczy życia osobnika (przyswojenie materii organicznej, jako skutek czynności organizmu, a przyczyna jego istnienia i wzrostu). Pod tym względem organizm przeciwstawia się *mechanizmowi* (ob.), w którym pojedyncze części są wzajemnie uwarunkowane i służą pewnemu celowi (przeznaczenie maszyny), ale nie stwarzają siebie same, lub też w ogóle dzieła sztuki. Gdybyśmy bowiem chcieli przyjąć analogią między organizmem a mechanizmem, powinniśmy przypuścić istnienie umysłu kształtującego organizmy według pewnej idei, a byłoby to «śmiercią filozofii przyrody». Przyrodoznawstwo bowiem dąży do wytłumaczenia wszystkich zjawisk drogą mechaniczną. Jakoż współczesny *transformizm* (ob.) usiłuje wyprowadzić z przyczynowości przyrodniczej celowość organizmów, posługując się zasadą: wytkniętą już przez Empedoklesa: wytrwania tylko tych kombinacji i form, które są przystosowane do warunków istnienia, a więc celowe. Tylko takie objaśnienie może zadowolnić umysł badawczy. Celowość może co najwyżej być zasadą kierowniczą badań, lecz nie może być zasadą pojmowania przyrody. Na przedzierzgnięciu jej z zasady regulacyjnej na konstytucyjną polega antynomia *teleologicznej władzy sądenia* (ob.).

To co tu powiedzieliśmy o organizmach, można zastosować do wszechświata jako całości. Jest on sam sobie przyczyną i celem. Skoro tylko zechcemy rozważać wszechświat jako mecha-

nizm, zmuszeni jesteśmy przyjąć *transcendentnego* (ob.) twórcę jego Inteligencją pozaświatową, która go ukształtowała według planu (*demiurg* Platona). Jest to myśl dosyć rozpowszechniona w XVII stuleciu (Clark, Newton i in.) (ob. *Causa finalis*).

Zupełnie wystarczającym i zadawalniającym nasz umysł jest stanowisko celowości, jako zasady wyjaśnienia w utworach ludzkich: maszyny, narzędzia, zarówno jak i utwory duchowe (prawo, moralność, państwo, sztuka, wiedza) wtedy dopiero stają się dla nas zupełnie zrozumiałymi, gdy pojmujemy ich przeznaczenie, co wynika stąd, iż są istotnie dziełem inteligencji, tworzącej celowo. Tak Ihering usiłował oprzeć na kategorii celu cały gmach prawa.— Jeśli w sposobie pojmowania pochodzenia utworów ludzkich stanowisko przyczynowe może współzawodniczyć z celowym (historia naturalna obyczajów, prawa pozytywnego, instytucyj państwowych i t. d.), to ostatnie ma bezwarunkową przewagę, gdy idzie o zasady, według których powinno być ukształtowane, jak w ogóle we wszystkich rzeczach praktycznych. To też ważną rolę przyznać mu należy w filozofii społecznej.

Kant stawia żądanie, aby *objasniać* świat mechanicznie, *oceniać* zaś go teleologicznie. Ponieważ przy badaniu wytworów społecznych, o których mowa, niepodobna oddzielić *oceny* od teoretycznych rozważań, stanowisko celowe, przeto jest tu uzasadnione przez teorią poznania. Toż samo stosuje się i do wszechświata jako całości, skoro opuszczamy stanowisko częściowe i jednostronne przyrodoznawstwa, aby ująć go filozoficznie. «Zmuszeni jesteśmy patrzeć na świat tak, jak gdyby on był dziełem najwyższego rozumu i woli» (Kant).

Cerebracja nieświadoma, tak nazywają niekiedy czynność mózgu (*cerebrum*), odbywającą się samorzutnie, a której wynik tylko gotowy dochodzi do świadomości w postaci myśli nie mającej związku logicznego z poprzedniami.

Chaos — pierwotny stan nieładu, z którego inteligencja twórcza buduje świat według wyobrażeń mytologicznych (por. z tem *Creatio ex nihilo*). Chaos więc miał zawierać wszystkie materyalne pierwiastki świata; inteligencja twórcza przynosiła tylko porządek i ład, rozdzielając je pierwotnie, a później łącząc według pewnych idei (użytku, piękności, celu i t. d. ob. *całość, analiza, synteza*). — Wyobrażenie chaosu odpowiada momentowi historycznemu, gdy umysł ludzki nie wytworzył jeszcze był pojęć kierowniczych, niezbędnych do ugrupowania i połączenia w całość mnogości i różno-

rodności swego doświadczenia. «Nieskończona mnogość szczegółowych momentów bytu, wywołuje początkowo w umyśle ludzkim wrażenie *nieładu, chaosu*, pewnego mniej lub więcej przypadkowego lub samowolnego zjednoczenia różnorodnych lub sprzecznych czynników. Świadczą o tem różne wytwory fantastyczne mitologii, a mianowicie pogład, jakoby świat obecny wytworzył się z rzeczywistego chaosu, jako ze swego pierwotnego stanu. Pogład ten pojąć można jedynie, jako reminiscencyą owej epoki w rozwoju umysłu ludzkiego, gdy nie mógł się jeszcze należycie zorientować wśród bytu, gdy mu się takowy podmiotowo przedstawiał jako chaos» (Struve *Wstęp*).

Charakter — jednostajność woli i czynów. «Charakterem nazywamy taki stopień kultury i udoskonalenia energii osobistej, gdy ona kieruje działalnością człowieka stale, według raz powziętych i za dobre uznanych zasad i celów, przewyciężając, wedle możliwości wszelkie w tym względzie przeszkody». (H. Struve *Wstęp do filozofii*).

Chowanna. Trentowski nazwał tak *pedagogią* (*Chowanna czyli system pedagogiki narodowej*. Poznań, 1842, 4 tomy).

Chrematystyka (*χρημα* — rzecz), nazwa którą niekiedy nadają ekonomii politycznej.

Chrześcijaństwo, jako *pogład na świat*, panujący zwłaszcza w wiekach średnich, jest wynikiem przerobienia religijno-etycznej nauki Chrystusa (wiążacej się ściśle z pewnemi sektami żydowskiemi, a zwłaszcza z nauką saduceuszów) w systemat dogmatów, w których spojona została z różnorodnemi wyobrażeniami filozofii starożytnej, przeważnie zaś z pierwiastkami *neo-platonizmu* i *neo-pitagoreizmu* (ob.), niemniej jak i z filozofią religijną żydowską (Filon z Aleksandryi). Doba wyrobienia dogmatów chrześcijańskich, obejmuje czas od II do V stulecia i nazywa się okresem *patrystyki* (ob.).

Ciało, wszystko to, co jest materyalne (ob. *materya*) nazywamy ciałem. Zasadniczą cechą ciała jest *nieprzenikliwość*: dwa ciała nie mogą być w jednym i tem samym miejscu. Na tem opiera się poczucie cielesności, które wytwarzamy zapomocą dotyku: jest ono oporem, które stawia ciała wniknięciu w zajęte przez nie miejsce częściom *naszego* ciała. — Ciało jest konkretną formą materyi, określoną jej częścią. «Ciało jest zewnętrzną przyczyną, której przypisujemy nasze wrażenia» (Mill *Logika*).

Ciało astralne ob. *Archeus*.

Ciągłość — cecha pewnych wielkości zmieniać się w sposób nieprzerwany, tak iż pomiędzy dwoma jakimikolwiek następującymi po sobie ich wartościami, znajduje się jeszcze nieskończony szereg wartości nieznacznie przechodzących jedne w drugie, a nigdzie nie przedstawiających przerw. Takimi wielkościami ciągłymi są przestrzeń i czas. Przeciwność do nich stanowią liczby dyskretne czyli przerywane.

NOWE KSIĄŻKI.

Gustaw Daniłowski: *Poezye*, Warszawa, Stefan Demby, 1902, str. 94.

... chociaż mi bardzo jest droga
Noc marząca w gwiazd złotej ulewie,
Smutna ziemia i słońca pożoga,
I tęsknota, zakłeta w słów śpiewie,
I lot ptaków, i kwiatów kobierce...
Lecz najdroższe mi ludzkie jest serce! —

W urywku tym zawiera się główna treść prawie wszystkich utworów młodego poety. Kocha on smutną ojczystą ziemię, i umie w prostych a poetycznych słowach oddać wdzięk jej letnich lub zimowych nocy, czar słonecznego dnia, lub melancholię jesieni; kocha poezję, kocha swą młodzieńczą twórczość, lecz przedewszystkiem — najdroższemu dlań «ludzkie jest serce» — Ukochanie to stanowi główny bodziec jego natchnienia, jemu też poświęca najgorętsze i najsilniejsze swe utwory. Ból i cierpienia ludzi, ich nędza zarówno fizyczna jak i moralna, wzbudzają w jego duszy głębokie współczucie lub oburzenie, wylewające się w strofach, przybierających niekiedy gwałtowny prawie charakter, chloszczących satyrą:

Godzien liłości więcej, niż oklasku,
Pajac, co łamie swe członki na piasku,
A potem cyrku obiega półkole,
Zebrząc: co laska!...
To ciemni ludzie i głodni i biedni,
Śmiechem pracują na chleb swój powszedni
I troskę noszą na znędzniałem czole —
Ból kryje maska!...

Lecz godni śmiechu... — nie, więcej — pogardy
Co miał sere w łonie mają kamień twardy,
Móźdżek, co myśli żadnej nie ogarnie,
Ci — z rodu trutni.
Co twarz bezmyślną kryją w modne maski,
I pesymizmu grają dramat płaski,
I zwątpień wielkich udają meczarnie —
Pajace! smutni!...

Takim jest student deklamujący przed panną na balu, zapożyczony z Szopenhauera tyrady; gdyby był szczerym, rzekłby: «wiarą mą — pieniądź; dogmatem karyera!...».

«Bo ból zwątpienia — to kaplica święta, gdzie wielkie duchy rozbijają łona i ręce krwawią, by zdruzgotać pęta ...Wy tam wchodźcie, by wyprawiać młyńce, przedrzeźniać smutek, co im życie skraca, w blaźństwo zmienić tę mękę ich krwawą, zbecześcić bólu ołtarze!»

Częściej jednak zamiast ciskania słów gryzącej pogardy, poeta boleje gorzko nad ciemną, znikomą dolą ludzkiego istnienia i rzuca wtedy ponure skargi pełne gorczy i zwątpienia:

Zc smutnego wybrzeża na morskie głębiny
Zarzuca rybak siatkę misternego wzoru.
Fala siatkę rozdyma, i zda się z pozoru,
Pewna zdobycz. Wyciąga: piasek, muł i trzciny;

A z siatki same strzępy. Lecz ledwie krąg słońca
Zdoła obiegnąć niebo, dzierżga inną znowu.
Zapuszcza z wiarą w morze i, pewien polowu,
Spotyka nowy zawód... I tak jest bez końca

I będzie. Próżno rybak klnie los i narzeka,
W księdze smutnych przeznaczeń nic się nie odmienia;
Siatka ciągle się psuje, a zdobycz ucieka.

Morze — to życie ludzkie; fala to złudzenia;
Niez mordowany rybak — to dusza człowieka;
Zdobycz — szczęście, a siatka — to nasze marzenia...

Wogóle, wybitnymi cechami poezyj p. Daniłowskiego są: smutek i rzeźna, dość często w rozpaczliwy nastrój wpadająca, melancholia. Do tego to rodzaju zaliczyć można dwa niezmiernie wdzięczne i serdecznie odczute jego utwory: *Balladę* i *Gdzie ona?* — ten ostatni, pozwalamy sobie przytoczyć w całości:

Pól mi zielone błyszczą malachity,
Korale maków tkane srebrem rosy,
I niby namiot z błękitów rozbity,
Tak nad tą ziemią zawisły niebiosy.
W błękitach tarcza łśni słońca złocona,
A jednak smutno. Jej niema, gdzie ona?

Wieczór się zbliża; na smukle topole
Z krzykiem zleciały kawki na narady;
Bocian już usnął w swem gnieździe na kole;
Wyplął księżyc i patrzy się błądy,
Czy prędko słońce na zachodzie skona,
A mnie tak smutno... Jej niema, gdzie ona?

Takie tu piękne, ukraińskie noce,
Gdy wiążą kraj ten swojej ciszy pętem:
Niebo drobnymi gwiazdkami migocę,
Potem gwiazd mnogich rozbłyśnie dyamentem.
I stoi noc ta ciszą rozlżawiona...,
A mnie tak smutno... Jej niema, gdzie ona?

Gdzie ona? ciche pytają kurhany,
Co się po polach rozsiadły szeregiem,
Gdzie ona? szepeć mi gwiazd karawany;
Brzozy tak płaczą po nad stawu brzegiem...
Gdzie ona? krzyk ten rwie się z mego łona...
I tak mi smutno... Jej niema, gdzie ona? —

Ogromna, nieprzemierzona tęsknota bijąca z tego wiersza, mimowoli nasuwa przypomnienie idealnej tęsknoty zeyerowskiego *Króla Kofetny*. Choć p. Danilowski należy do grona poetów «najmłodszych», w utworach jego jednak nie znajdujemy krzewiących się bujnie na niwie dzisiejszej poezji rozwichrzeń języka, myśli i wyobraźni. Nie rozkwitają tu ani egzotyczne kwiaty manghi w ścisłkach anakondy, ani złowrogie narcyzy o złotych, zabójczych oczach; niema tu ani zmysłowych odurzeń, ani też nadzmysłowo-erotycznych wizyj. Mary chorych lub przeczulonych wyobraźni nie mają doń przystępu; ojczyzną jego uczuć i natchnień, jest żywa, otaczająca go rzeczywistość. Poezje jego pełne szczerości i prostoty, i tego ciepłego serdecznego humoru, o którym powiedział niegdyś Heine, że jest uśmiechem przez łzy, odbijają od konwulsyjnych drgawek lub bezdusznych cacek dzisiejszego Parnasu, tak jak żywe i gorące światło słoneczne odbijałoby od fosforycznego blasku sztucznych słońc elektrycznych, a perłowa czystość i dźwięczność z serca płynącego wiersza, daleka jest od wszelkich sztucznych ozdób i roboty pilnikowej. J. S.

Biblioteka klasyków rzymskich i greckich, nakładem księgarni Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie.

Księgarze prowincjonalni w Galicyi zawstydzają swoich współbraci stołecznych ruchliwością i przedsiębiorczością. P. Feliks West w Brodach wydaje «Arcydziela polskich i obcych pisarzy» z objaśnieniami; p. Wilhelm Zukerkandel w Złoczowie, prócz «Biblioteki powszechniej», która już przekroczyła 400-ny numer, podjął wydawnictwo «Biblioteki klasyków rzymskich i greckich», dochodzącej już 100-go zeszytu. «Biblioteka» ta, na wzór wydawnictwa niemieckiego Freunda podjęta, ma głównie na widoku uczniów gimnazjalnych, nie umiejących dać sobie rady ze słownikiem, gramatyką i tłumaczeniem.

Możnaby niewątpliwe zawieść spór o właściwość takich ułatwień, takich «oslich mostów». Wprawa w szukaniu wyrazów po słownikach, przypomnianie sobie form gramatycznych, wysilek przy uchwyceniu istotnej myśli autora, są to bardzo ważne czynniki kształcące, których zaniedbywać nie można. Gdy te wszystkie prace przygotowawcze ku zrozumieniu autora dokonane zostaną przez kogo innego, uczeń ma już tylko mechaniczne niemal zadanie przyswojenia sobie tego wszystkiego, a tym sposobem umysłu swego zgola nie «ćwicz», nie «gimnastykuje».

Jest to prawda niezawodna i przeciwko niej żadnego słusznego argumentu przywieść niepodobna. A mimo to, mimo oburzania się większości pedagogów, wszelkiego rodzaju «preparacje» wychodzą wszędzie, we wszystkich językach. Przyczyną tego jest: 1) przeciążenie szkolne, zmuszające do najszybszego załatwienia zadań; a ponieważ szukanie w słownikach, zaglądnienie do gramatyki, pochłania wiele czasu, więc uczniowie poszukują środków mniej czasu zabierających i znajdują je w takich właśnie wydawnictwach, jak «Biblioteka klasyków»; 2) znaczna część uczniów niema należytego rozbudnienia

w stosowaniu prawideł do przypadków szczegółowych i nie umie sobie zgoła poradzić np. z czasownikami nieforemnymi, regułami składni i t. p. — bez pomocy obcej, np. korepetytora, tacy uczniowie nie zdołaliby zadania wykonać, miejsce korepetytora pod pewnym względem zastępuje im gotowa «preparacya» w książce podana; 3) są wreszcie i tacy (choć liczba ich zapewne jest mała), co opuściwszy gimnazyum i zapomniawszy już dużo, chcieliby przecież czytać autorów, o których ze szkoły wynieśli mgliste jeno wspomnienie; dla nich «Biblioteka klasyków» staje się wielce pożądaną, a nawet nieocenioną.

Takie to są podstawy uprawnienia «Biblioteki klasyków». P. Zukerkandel wydał dotychczas 8 życiorysów z Korneliusza Neposa; niektóre, najczęściej czytane księgi Pamiętników o wojnie galijskiej (nie po polsku nazwanej *gallicką*) Juliusza Cezara, niektóre części Historji rzymskiej Liwiusza, dzieła Salustyusza; wyjątki z Tacyta, pewne utwory Cycerona; z poezyi niektóre rzeczy Wergiliusza i Owidyusza. Co do greckich, to dotychczas ukończono tylko *Antygonę* Sofoklesa, a rozpoczęto *Iliadę* i *Odyseję*.

Sposób opracowania mniej więcej wszędzie jest jednakowy; podane są słówka, objaśnienia gramatyczne i rzeczowe, tłumaczenie; a tam gdzie metryka sprawia trudności, oznaczano szczegółowo skandowanie. Tłumaczenie jest niemal dosłowne; o piękność w niem nie troszczono się, zapewne niesłusznie; przekładu wiernego po wszelkich ułatwieniach może już dokonać uczeń nawet bardzo słaby; raczej należałoby mu wskazać, jak trzeba tłumaczyć dobrze, z zachowaniem ducha autora, lecz i zgodnie z duchem języka ojczystego. Poprawność wydania jest znaczna.

P. Chmielowski.

KORESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Proszę o wskazanie podreczników najodpowiedniejszych dla biblioteki samouków, chcących poznać *logikę*, *etykę* i *ekonomią*, i wogóle o katalog, którymbyśmy mogli posilkować się w wyborze książek naukowych dla naszej biblioteki.

Odpowiedź. Katalog najodpowiedniejszych dla wykształcenia ogólnego książek polskich w wymienionych zakresach, zarówno jak i w innych zawiera *dodatek IV* (trzecie wyd.) do książki p. t.: *Co i jak czytać?* Odpowiednie

znaki dołączone do tytułów dają możliwość uczynić z niego wybór stosowny do potrzeb i wymagań danych. W wymienionych zakresach nie ukazało się od czasu wydrukowania tego katalogu nic zanotowania godnego, prócz *Etyki* Höffdinga («Biblioteka samokształcenia»). Katalogi umieszczone w dodatkach, mogą wogóle służyć za program dla bibliotek nie obliczonych na cele specjalnie naukowe, lecz na potrzeby gruntownego wykształcenia ogólnego.

KRONIKA.

— **Otwarcie Instytutu Socyologicznego w Brukseli.** Dnia 18 listopada nastąpiło oficjalne otwarcie Instytutu Socyologicznego w Brukseli. Założycielem jest znany miłośnik wiedzy Ernest Solvay, który dorobiwszy się w przemyśle sody miliardowego majątku, część swych dochodów obraca na popieranie celów naukowych. Nowo-założony Instytut mieści się w parku Leopolda, o kilkadziesiąt kroków od poprzednio założonego Instytutu Fیزیologicznego Solvaya. Park Leopolda przekształca się powoli w ową *cité scientifique*, której założenia życzył miastu burmistrz Buls. Oprócz Muzeum Historii Naturalnej, odnowionego i rozszerzonego, park zawiera obecnie następujące Instytuty: Fیزیologiczny, Anatomiczny, Terapeutyczny i Socyologiczny, a tuż za ogrodzeniem parku buduje się obecnie belgijski Instytut Pasteura. — Wszystkie te zakłady należą do Université Libre, czyli do dawnego Uniwersytetu, posiadającego prawa rządowe.

Zakładając Instytut Socyologiczny Solvay zapewnił jednocześnie przyszłość Ecole des Sciences politiques et sociales i utworzył dziesięć nowych katedr w tej szkole. Wszystkie wykłady nauk społecznych, przeniesione zostały z Uniwersytetu do Instytutu Socyologicznego.

Dyrektorem mianowany został Emil Waxweiler, a jego współpracownikami: Anciaux, Des Marex, Houze, Prius i Wodon.

Instytut urządzony jest z nadzwyczajnym przepychem. Środek gmachu zajmuje olbrzymia sala stanowiąca bibliotekę; światło przenika przez różowe szyby gotyckie dolnych okien przez szybę szklaną górnych okien. Wygodne fotele sprzyjają dłuższej pracy. Katalog ułatwia orientowanie się w olbrzymich zbiorach. Na galeriach górnych znajdują się osobne salki, przeznaczone dla pracowników i komunikujące się z biblioteką, oraz pokoje przeznaczone dla niektórych działów, jak technologia, historia, statystyka. Ściany pozawieszane są mapami, dioramami, fotografiami. Znajdują się tu podobno cenne nadzwyczajniki i wogóle wszystkie książki odnoszące się do socjologii i nauk pokrewnych. Sekcja antropologiczna posiada rzadką kolekcję czaszek.

Instytut otwarty jest dla wszystkich pracowników, posiadających kwalifikacje naukowe i pragnących prowadzić badania w określonym kierunku. Odpowiada podwójnemu celowi: nauczaniu i badaniom samoistnym.

J. Jotejkówna.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wny P. Z. w Kijowie.* Serdecznie dziękujemy za życzliwość i za wyrazy uznania dla wydawnictwa. Z rad niestety skorzystać nie możemy, chociażby dlatego, że wydawnictwo zwijamy na razie. Zresztą częściej mieliśmy z rozmaitych dalekich stron rady, niż po-

parcie przez rozpowszechnienie wśród znajomych wiadomości o piśmie. Na pytania odpowiadamy, o ile to możliwe na razie: o ile «twierdzenie» Guyau o Polakach jest niedorzeczne — o tem sam Pan chyba wie najlepiej. — «Krytyki czystego rozumu» urywki dał

p. Dawid przy tłumaczeniu Paulsena. «Przeł. Filozof.» zamierza z czasem dać jej przekład. O Kancie po polsku nie ma takiej monografii oryginalnej, którą można zalecić; ale doskonałą jest tłumaczona Paulsena. Zajmowali się nim dawniej Bychowiec (tłumaczył niektóre mniejsze rzeczy) i Jędrzej Śniadecki; polemizował z nim Jan Śniadecki. P. Wartenberg ogłosił po niemiecku 2 prace, z których jedną jest *Kant's Theorie der Causalität* Lipsk, 1899). Przekład *Wstępu* Paulsena, na razie przynajmniej, byłby przedwczesnym wobec drukującego się przekładu doskonałego *Wstępu* Wundta. Wogóle wiadomości o zamierzonych lub roz-

poczętych przekładach daje «Książka». Przekł. pol. Kenana *Syberyi* nie ma debitu. Cieszkowskiego po polsku wyszło 2 tomy *Ojciec nasz'a*; debitu zdaje się nie mają. Towiański nie nie drukował; są tylko «Rozmowy» jego wydane przez uczniów. Z *Historii Europy* wydzie niebawem króciutka Freemana («Bibl. wykształ. współcz.»).

— *Wny F. B. w Sejnach*. Pomimo starań nie mogliśmy uzyskać żadnej kompetentnej oceny Donalitiusa, ani wiadomości o dziełach litewskich.

— *Wny M. Z. w Warsz.* Do «Wędrowca» wogóle nie radzimy się zwracać.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

- F. Schur: *Podręcznik geometrii analitycznej z licznymi figurami w tekście*, przełożył F. Łopuszański. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1901, str. 241. — Cena 1 rb.
- M. Hoffman: *Bakterye i drożdże w rolnictwie i przemyśle rolnym, z niemieckiego przeł. Dr Aleksander Żurkowski*. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1900, str. 145. — Cena 60 kop.
- I. M. Judt: *Żydzi jako rasa fizyczna*. Analiza z dziedziny antropologii z 24 rys., mapą i tablicami graficznymi w tekście. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1902, str. 189. Cena 1'50 rs.
- A. Mickiewicz: *Ballady i romanse*. Opracował H. Kopia («Arcydz. pisarzy swoich i obcych»). Brody, West, str. 104. — Cena 60 hal.
- A. Bernthsen: *Podręcznik chemii organicznej*, przekł. zbiorowy pod red.
- B. Znatowicza. Warszawa, 1902, str. 563. — Cena 2'25 rs.
- C. Reinhertz: *Poziomowanie w zakresie melioracji rolnych*. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, str. 77, kartonow. — Cena 50 kop.
- J. Modelski: *Podręcznik do powlekania metalami za pomocą elektryczności*. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1900, str. 62, karton. — Cena 50 kop.
- St. Zdziarski: *Garsć baśni ludu ruskiego* (ze wsi Nałuża pow. Trembo-welskiego), Kraków, 1902, str. 22.
- *Z menażeryi ludzkiej*. Przyczynek do filozofii życia. Lwów, 1903, str. 87.
- *Szkice literackie*. Lwów, 1903, str. 311.
- J. Nusbaum: *Zasady anatomii porównawczej*. Wiadomości wstępne i anatomia porównawcza zwierząt bezkręgowych. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1899, str. 744 z 212 rysunkami oraz 5 tabl. litograf. — Cena 4 rb.